

Arthur Koestler

Płomień i lód
Przygody mojego
życia

Przekład
Władysław Jeżewski

WYDAWNICTWO
MAGNUM

Spis treści

1. Saga rodu Koestlerów
2. Lecząca strzała
3. Polityczne przebudzenie
4. Obieżyświat na wolności
5. Król Fajsal
6. Od Góry Oliwnej przez Montparnasse do Berlina
7. Liberalny Götterdämmerung
8. O nauce, szarlatanach i dziwakach
9. W sterowcu nad Arktyką
10. Portret autora jako członka partii
11. Początek podróży
12. Kaukaski sen
13. Turkiestan, Buchara i Samarkanda
14. Czerwone dni i białe noce
15. Poetyckie interludium
16. Czerwona eminencja

17. Doktor Costler i czystka w szklance wody

18. Wycieczka w I wiek p.n.e.

19. Czas oczekiwania

20. W jaskini lwa

21. Bitwa we mgle

22. Rozmowa ze śmiercią

23. Powrót do codzienności

24. „Ciemność w południe”

25. „Śmieć tego świata”

26. Ucieczka do życia

Przypisy

Saga rodu Koestlerów

Drzewo genealogiczne Koestlerów zaczyna się od mego dziadka Leopolda i kończy na mnie.

Podczas wojny krymskiej Leopold X. uciekł z Rosji przez Karpaty na Węgry. Piszę o nim „X.”, ponieważ w rzeczywistości nie nazywał się Koestler, a prawdziwego nazwiska nie zdradził nikomu, nawet dzieciom. Wiadomo tylko, że w latach sześćdziesiątych XIX wieku przyjechał do miłego węgierskiego miasta Miszkolca i przybrał nazwisko Koestler, Köstler, Kestler albo Kesztler – w dokumentach figurują wszystkie odmiany.

Nie wiadomo, dlaczego uciekł z Rosji. Być może zdezerterował z wojska, może działał w ruchu eserowskim, a może popełnił jakieś przestępstwo. Oczywiście najbardziej podoba mi się to drugie przypuszczenie.

Zmarł w 1911 roku, gdy miałem sześć lat. Pamiętam, że był wysokim i delikatnym mężczyzną o fizjonomii patriarchy: z długą białą brodą, zawsze ubrany w surdut – wciąż widzę, jak siadając na bujanym fotelu, charakterystycznym ruchem odchyła czarne poły.

Po przyjeździe do Miszkolca Leopold poślubił córkę właściciela tartaku, a może córkę sędziego mającego jakiś związek z tartakiem – dokładnie nie pamiętam. W każdym razie kierował tartakiem do czasu, aż pewnego dnia ten spłonął i Leopold zbankrutował. Jak zobaczymy dalej, bankructwo jest u Koestlerów rodzinne i za każdym razem okazuje się błogosławieństwem. Leopolda skłoniło ono do przeniesienia się z żoną i czwórką małych dzieci do stolicy Węgier, Budapesztu.

Tam, za czasów dzieciństwa mego ojca, Koestlerowie wiedli życie ludzi z pogranicza drobnomieszczaństwa i klasy robotniczej. Leopold nigdy już nie stanął na nogi. Mógł zapewnić dzieciom tylko takie wykształcenie, jakie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku monarchia austro-węgierska oferowała ludziom ubogim. Dwie córki Leopolda, moje ciotki Jenny i Betty, pospiesznie wyszły za mąż, jedna za posłańca bankowego, druga za czeladnika drukarskiego. Starszy syn, stryj Jonas, został pomocnikiem księgowego i był nim do końca

życia. Młodszy, Henrik, który zostanie moim ojcem, rozpoczął karierę zawodową jako chłopiec na posyłki w sklepie z konfekcją.

Tak oto Koestlerowie znaleźli się u dołu drabiny społecznej i byliby się już pewnie nie wydźwignęli, gdyby mój ojciec nie okazał się cudownym dzieckiem – cudowne dzieci to też rodzinna przypadłość Koestlerów. Ojciec miał czternaście lat, gdy został chłopcem na posyłki w firmie Sommer und Grünwald w Budapeszcie. Pracę zaczynał o wpół do ósmej rano, wstawał jednak o czwartej i przez trzy godziny uczył się niemieckiego, angielskiego i francuskiego, latem chodząc tam i z powrotem po parku, a zimą ślęcząc nad sfatygowanymi podręcznikami gramatyki w źle oświetlonej kuchni. Samodzielne opanowanie tylko jednego języka obcego przed dziesięciogodzinnym dniem pracy stanowiłoby wielkie osiągnięcie. Porwanie się na naukę trzech naraz było pierwszym z owych szalonych przedsięwzięć, które ojciec będzie później podejmował jeszcze wiele razy z niegasnącym nigdy optymizmem. Z upływem lat stawały się one coraz bardziej fantastyczne i niedorzeczne. W młodości jednak ojciec zrobił nad brzegami Dunaju karierę typową raczej dla Ameryki końca XIX wieku. W ciągu dziesięciu lat z chłopca na posyłki awansował najpierw na subiekta, potem dyrektora, a w końcu młodszego wspólnika firmy. Zanim w wieku dwudziestu dziewięciu lat ożenił się z moją matką, zdążył już być w Niemczech i Anglii, nawiązać osobiste kontakty z tamtejszymi fabrykantami i otworzyć własną firmę.

Był niskim, tryskającym energią mężczyzną o żywych ruchach; miał naiwne brązowe oczy, ciemne włosy przedzielone na środku równiutko jak przy linijce i tak elegancki wygląd, że często brano go za Amerykanina. Pochlebiało mu to, choć najbardziej podziwiał Anglię, zawsze nosił angielskie ubrania i nieświadomie zamienił moje życie w piekło, zamawiając dla mnie, wówczas trzynastoletniego, etoński mundurek – pierwszy w całym Budapeszcie – i zmuszając do jego noszenia, co narażało mnie na nieustanne drwiny kolegów szkolnych. W sposób wręcz niewiarygodny łączył spryt z infantylizmem, pomysłowość z prostodusznością. Ponieważ w trudnych latach młodości wszystkie wolne godziny poświęcał na naukę gramatyki francuskiej, angielskiej i niemieckiej, nie miał zwyczaju czytać dla rozrywki; przez

całe życie przeczytał tylko jedną powieść, *Trzech muszkieterów* Alexandre'a Dumasa. Nie chodził do teatru ani do kina, kochał tylko operę; sztuki piękne dlań nie istniały. Gazety jednak czytał od deski do deski, z wyjątkiem powieści w odcinkach i felietonów; pasjonował się nauką.

Kiedyś pokazałem jego charakter pisma znajomej grafolog.

– Zna pan dobrze tę osobę? – zapytała.

– Nieźle.

– Ma pan szczęście do niezwykłych ludzi. Osoba, która to napisała, nie posiada żadnego wykształcenia, ale ma wyjątkowo bujne życie wewnętrzne, typowe dla schizofreników, którzy malują te niesamowite obrazy. Bardzo możliwe, że to naprawdę schizofrenik.

– To mój ojciec – odparłem, po czym zmieniliśmy temat.

Pewnego dnia – miałem wtedy bodaj siedem albo osiem lat – na dziedziniec naszej kamienicy wtoczył się wóz zaprzężony w szóstkę koni. Kilku ludzi, pocąc się i postępując, wniosło po schodach do palarni w naszym mieszkaniu jakąś ogromną maszynę. Z właściwym sobie entuzjazmem ojciec objaśnił nam, że jest ona prototypem wynalazku o gigantycznych możliwościach, w który postanowił zainwestować.

– Ale do czego ona służy? – zapytała mama.

– Sami zobaczycie – odparł promieniejący ojciec. – Zademonstruje nam to wynalazca we własnej osobie. To geniusz, nazywa się profesor Nathan.

Po kilku minutach zjawił się wynalazca, zdumiewająco brudny człowieczek z garbem na plecach i długą brodą, wyglądający zupełnie jak jeden z siedmiu krasnoludków królowny Śnieżki. Przez kilka godzin grzebał we wnętrzu maszyny, która od czasu do czasu iskrzyła groźnie, była bowiem zasilana prądem. W końcu coś błysnęło oślepiająco i w mieszkaniu zapadła ciemność, której towarzyszył swąd spalonej gumy oraz krzyki kucharki i służącej, przyglądających się wraz z nami pracy wynalazcy. Profesor Nathan oznajmił z niewzruszonym spokojem, że to tylko zwarcie i że przyjdzie jutro z odpowiednim kablem i innymi niezbędnymi częściami. Kolację zjadłem przy romantycznym świetle świecy i z podniecenia nie mogłem zasnąć, zachodząc w głowę, do czego służy nasza maszyna. Nazajutrz po śniadaniu przyjechał

profesor Nathan i zabrał się do pracy. Mama pozwoliła mi przyglądać się jego poczynaniom tylko z daleka, twierdząc, że maszyna może wybuchnąć. Po godzinie urządzenie zostało w końcu uruchomione. Dudniło i stukało jak stara prasa drukarska, a jego ogromne cielsko, zajmujące pół pokoju, dygotało tak gwałtownie, że popielniczki, nimfy z brązu i kupidyny tańczyły na wszystkich blatach. Ojciec uroczyście uściśnął rękę profesora Nathana i wreszcie zademonstrował zebranym domownikom, do czego służy machina. Patrzyliśmy z wytrzeszczonymi oczami, jak profesor wręcza ojcu teczkę z paczką kopert różnych wymiarów. Ojciec wziął paczkę i zaczął wkładać zaklejone koperty jedną po drugiej do otworu w maszynie, a profesor Nathan, wspinając się na palce, wyjmował je z drugiego otworu, z dumą wymachując każdą nad głową, niczym iluzjonista pokazujący królika. Koperty wychodziły z maszyny otwarte.

– Czyż to nie rewelacyjny wynalazek? – wołał ojciec szczęśliwy jak dziecko.

Przymiotniki „rewelacyjny”, „kolosalny”, „nadmierzający” i „fenomenalny” należały do jego ulubionych wyrażen. Jeżeli interes był „kolosalny”, znaczyło to, że jest niezły. Jeśli był tylko „wspaniały”, staliśmy u progu bankructwa.

– Ale do czego ona służy? – znów zapytała matka, a jej twarz wykrzywił nerwowy tik, będący nieomylną oznaką zdenerwowania.

– Czyż nie widzisz, że jest fantastyczna? – wykrzyknął w odpowiedzi ojciec. – Ileż milionów roboczogodzin może zaoszczędzić amerykańskim firmom, które są zasypywane listami!

Ojciec rozprawiał dalej, choć jego entuzjazm był już trochę sztuczny. Służąca i kucharka wróciły do kuchni, matka w milczeniu zamknęła się w swoim pokoju, ojciec jednak nie przestawał mówić, choć zostałem mu tylko ja – jedyny uczeń samotnego proroka, gotów go zdradzić, nim trzeci kur zapieje. W końcu wybuchnąłem płaczem.

Wkrótce potem cudowna maszyna do otwierania kopert zniknęła z naszego mieszkania, zostawiając po sobie tylko płat spalonej tapety w palarni. Nigdy więcej nie było o niej mowy.

Naprawdę niezwykle w tym wszystkim wydaje mi się to, że mimo całej naiwności ojcu przez długi czas znakomicie się wiodło. Z wiekiem

coraz bardziej zdumiewał mnie paradoks, że osoba tak łatwowierna, wręcz dziecinna, potrafi zarabiać pieniądze w bezlitosnym świecie interesów. Wiele lat później, gdy poznałem kilku naprawdę bogatych ludzi, paradoks ten dostrzegłem jeszcze wyraźniej. Potentaci, z którymi się w ciągu życia zetknąłem – wydawcy, marszandzi, bankierzy, producenci filmowi – byli co do jednego osobami ekscentrycznymi, irracjonalnymi i z gruntu naiwnymi; przeczyli więc potocznej opinii, że przedsiębiorca to człowiek twardy i diabelnie sprytny. Widocznie osobników przebiegłych, bezwzględnych i wyrachowanych można spotkać tylko w świecie drobnych i średnich interesów; ludzie robiący naprawdę wielkie pieniądze muszą posiadać szczególny dar, nie mający wiele wspólnego z inteligencją, jak talent do gry na puźoniu albo do jazdy na wrotkach. Niestety, talent ten nie jest dziedziczny.

To, co napisałem wyżej o Leopoldzie X. i swoim ojcu, powinno wystarczyć do określenia mego pochodzenia społecznego – a raczej jego braku. Moje lata dojrzwania przypominają zapierającą dech podróż kolejką górską w wesołym miasteczku: ojciec siedzi z przodu, wołając „rewelacyjny”, „tytaniczny”, „kolosalny”, a mama omdlewa, gdy wagoniki pędzą w górę i w dół, z szaleńczą prędkością przelatując zakręty.

Ojciec zmarł w 1940 roku. W chwili gdy piszę te słowa, mama mieszka w Londynie i jest młodą duchem, osiemdziesięcioletnią staruszką. Na myśl, że przeczyta tę książkę, ogarnia mnie ta sama paraliżująca obawa, która powstrzymywała mnie w dzieciństwie od prowadzenia pamiętnika – bo byłem pewien, że odnajdzie go i przeczyta, choćbym nie wiedzieć w jakim zakamarku go schował.

W 1947 roku mama odwiedziła mnie i żonę na naszej owczej farmie w północnej Walii. W pewnej chwili stanęła przed moją biblioteczką.

– Ach – powiedziała swoim miękkim wiedeńskim akcentem – więc masz książki tego doktora Freunda.

– Freuda, mamó, Freuda, nie Freunda! – poprawiłem z wyrzutem.

– Freud czy Freund, co za różnica? Nigdy nie starałam się zapamiętać jego nazwiska.

– To znaczy, że mama go znała? – wtrąciła moja żona, nie mogąc

ukryć podniecenia.

– *Aber natürlich*. Zawsze próbował nawiązać przez ciotkę Lore stosunki z naszą rodziną, ale nigdy go nie zaprosiliśmy. To był *ein ekelhafter Kerl*, odrażający jegomość.

– Ależ niech mama opowie nam o tym – poprosiła żona. – Jak go mama poznała?

– Przez ciotkę Lore. Ciotka Lore była bardzo szanowaną osobą w wiedeńskim towarzystwie, ale czasami miewała dziwne pomysły – była cokolwiek *überspannt*, ekscentryczna...

Okazało się, że w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku ciotka Lore prowadziła w Wiedniu pensję dla dziewcząt z wyższych sfer. W jakiś sposób poznała młodego dr. Freuda, który zrobił na niej duże wrażenie. W dzieciństwie moja matka cierpiała na migrenę, więc na nalegania ciotki Lore postanowiono wysłać ją do Freuda. Po dwóch albo trzech wizytach mama zapowiedziała, że więcej do niego nie pójdzie.

– Ale dlaczego? – spytała moja żona. – Co on mamie zrobił?

– Masował mi kark i zadawał głupie pytania. Mówiłam ci już, że to był *ein ekelhafter Kerl*.

Obliczyliśmy, że mama musiała chodzić do Freuda około 1899 roku, kiedy on i Breuer ogłosili swoje *Studia nad histerią*. Gdyby moja matka kontynuowała terapię, zapewne wyszłaby za męża za kogoś innego, a ja bym się nie urodził. Mama jednak wzruszyła ramionami i odrzuciła tę hipotezę jako „ekscentryczną”. A potem z tęsknotą w oczach rzekła:

– W młodości znałam znacznie wybitniejsze osobistości niż wasz doktor Freud. Wciąż pamiętam pewien bal, miałam wtedy osiemnaście lat. Nigdy byście nie zgadli, kto mnie poprosił do pierwszego walca...

Zawiesiła na chwilę głos, po czym wykrzyknęła z triumfem:

– Balduin Groller!

Balduin Groller był w tych latach modnym felietonistą. Na długo przed śmiercią popadł w zupełne zapomnienie.

Moja matka pochodziła ze starej praskiej rodziny żydowskiej, wywodzącej się podobno od samego rabina Loewa ben Becalela, uczonego kabalisty.

Według legendy ben Becalel stworzył Golema, człekopodobnego potwora z gliny, który miał bronić Żydów praskich przed prześladowaniami. Aby oszczędzić członkom tej rodziny wciąż mieszkającym w Pradze lub Wiedniu kłopotów – politycznych i innych – będę ich nazywał „Hitzigami”^[1].

Mój pradziad Hitzig napisał trzytomowy traktat *Zur Reform der Volks- und Staatswirtschaftlichen Zustände*, a literackie stowarzyszenie Concordia ufundowało dla niego honorowy grobowiec na cmentarzu wiedeńskim. Honorowy grobowiec to na pewno nie było co; ów grobowiec, pensja prowadzona przez ciotkę Lore i fakt, że jeden z powinowatych był ministrem finansów cesarza Franciszka Józefa, składają się na dawny splendor rodu Hitzigów z czasów poprzedzających „grzech pierworodny”.

Do grzechu tego doszło w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Jedna z córek Hitzigów zakochała się i wbrew woli rodziców poślubiła jakiegoś awanturnika. Nicpoń ten pożyczył pieniądze na weksel, który zgodnie z najlepszą tradycją wszystkich tego rodzaju nicponi dał do podżyrowania ojcu mojej matki. Kiedy termin płatności weksła upłynął, mój dziadek musiał go wykupić, a nie miał za co. Rodzina uzbierała pieniądze, aby ratować rodzinny honor. Skandal został zatuszowany, a mój dziadek, znów zgodnie z tradycją, otrzymał bilet do Ameryki, gdzie miał odbyć pokutę. Wydaje się, że skwapliwie skorzystał z okazji, bo wyjechał i nigdy już nie wrócił. Na zdjęciu wykonanym w miasteczku Washington w Massachusetts w 1907 roku widać brodacza, który siedzi na bujanym fotelu z fajką w zębach i psem u boku. Potem wszelki śluch o nim zaginął.

Tak więc obaj moi dziadowie zerwali święte więzy rodzinne. Jeden pojawił się znikąd, drugi zniknął nie wiedzieć gdzie. Obaj byli wygnańcami i niespokojnymi tułaczami. Przynajmniej pod tym względem pozostałem wierny rodzinnej tradycji.

Chroniczne migreny mojej matki, jej drażliwość i nerwowe tiki były zapewne skutkiem nagłej katastrofy rodzinnej i gwałtownych zmian, które pociągnęła ona za sobą. Mama była dziewczyną ładną, rezolutną i nie narzekającą na brak wielbicieli. I oto z dnia na dzień stała się kopciuszką epoki Franciszka Józefa – najstarszą córką bez posagu.

Najgorsze ze wszystkiego było dla niej to, że musiała opuścić ukochany Wiedeń i zamieszkać u zamężnej siostry w Budapeszcie.

Choć przez blisko pół wieku mieszkała w tym mieście, nigdy nie przestała uważać Węgrów za barbarzyńców i nie nauczyła się dobrze mówić po węgiersku. Mnie wyszło to na korzyść, bo wychowałem się dwujęzycznie: w szkole mówiłem po węgiersku, w domu po niemiecku. Z tego samego powodu otrzymałem na imię Arthur, choć go nienawidziłem i nie potrafiłem właściwie wymówić, bo mam trudności z wymową „r”. Mama wybrała je dlatego, że brzmiało obco i nie miało węgierskiego odpowiednika.

Opowieść o moich przodkach byłaby niepełna bez krótkiej wzmianki o późniejszych losach Hitzigów. Mama miała siostrę i brata. Brat, mój ukochany wuj, ożenił się ze śliczną jasnowłosą berlinianką i został pobożnym protestantem. Kiedy nie mógł już znieść rządów Hitlera, utopił się w Köpenicker See, jeziorze na przedmieściach Berlina.

Siostra miała na imię Rose. Podczas wojny mieszkała z córką i dwojgiem wnucząt we wsi na Słowacji. Pewnego dnia w 1944 roku sympatyczny wiejski policjant, stary przyjaciel rodziny, poprosił, aby przyszły na posterunek dla załatwienia drobnych formalności. Kilka tygodni później formalności te zakończyły się w komorze gazowej w Auschwitz. Ciotka Rose miała siedemdziesiąt dwa lata, kuzynka Margit czterdzieści jeden lat, jej córka Käthe siedemnaście, a syn Georg dwanaście. Mama, którą Rose zapraszała do siebie, podzieliłaby pewnie ich los, gdyby nie pokłóciła się z siostrą i nie została w Budapeszcie. Chyba za sprawą opatrności dr Freud nie zdołał jej pół wieku wcześniej wyleczyć z chorobliwej nerwowości. Ale cudowne ocalenia to też specjalność mojej rodziny.

Jak już wspomniałem, jestem ostatnim męskim potomkiem rodziny Koestlerów. Po mojej śmierci, która zgodnie z przepowiednią Cyganki będzie nagłą i gwałtowną, saga rodu Koestlerów, Köstlerów, Kestlerów albo Kesztlerów dobiegnie końca.

Przyszedłem na świat w ósmym roku małżeństwa moich rodziców – mama miała już wówczas trzydzieści pięć lat – jako ich pierwsze i jedyne dziecko. Nie rodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą: ważyłem prawie pięć kilogramów, a poród trwał ponad dwa dni i omal nie

zakończył się śmiercią mojej matki. Cały antypatyczny freudowski Olimp, od króla Edypa do Orestesa, przemaszerował przed moją kołyską.

Jak można było się spodziewać po kobiecie stojącej u progu wieku średniego i wyrwanej z własnego środowiska, miłość matki do mnie, jedynaka, była zaborcza, bezgraniczna i kapryśna. Z powodu częstych migren matka miała skłonność do zmiany nastrojów, od wylewnej czułości do gwałtownych wybuchów gniewu, przez co emocjonalny klimat moich lat dziecięcych stale wahał się między tropikiem a strefą podbiegunową.

Od trzeciego roku życia powierzano mnie opiece cudzoziemskich guwernantek – *Fräuleins*, *Mademoiselles* i *Misses*, które zmieniały się często aż do chwili, gdy skończyłem dwanaście lat. Żadna nie wytrzymała dłużej niż rok. Niemiecka *Fräulein* znikła w tajemniczych okolicznościach, ponieważ, jak się później dowiedziałem, uwiódł ją mój daleki kuzyn (syn wspomnianego wcześniej awanturnika). Angielska Miss została odprawiona po dwóch tygodniach, ponieważ matka dowiedziała się, że w przeszłości jeździła konno w cyrku. Inna musiała być chyba sadystką, bo zapamiętałem tylko szereg wymyślnych kar, które mi wymierzała. Wszystkie te guwernantki przybyły przed 1914 rokiem na dalekie Węgry wskutek jakiegoś nieszczęścia lub tajemniczego wydarzenia w swoim życiu. Gdyby były mężczyznami, zaciągnęłyby się pewnie do Legii Cudzoziemskiej. Wciąż mam fotografię z 1910 roku, na której widać grupę tych dziwnych kobiet z ich nieszczęśliwymi podopiecznymi w budapeszteńskim zoo. W swoich turniurach, mufkach, boach i kapeluszach z piórami wyglądają jak pensjonariuszki zakładu karnego dla kobiet.

Drugie miejsce, w naszym domu i wśród przyczyn mojej nerwicy, zajmowała nasza służąca, Bertha Búbala, koścista kobieta o końskiej twarzy. Zapewne z powodu jakichś rozczarowań, które spotkały ją w życiu, była ona osobą zgorzkniałą i pełną pretensji do całego świata. Mojej matce służyła z wielkim oddaniem, ta jednak nią pomiatała. Dlatego Bertha odgrywała się na mnie.

Główna zasada jej rządów brzmiała: oskarżony jest winien, jeśli nie potrafi udowodnić swojej niewinności. Choć zawczasu nie dało się

powiedzieć, czy jakiś czyn jest przestępstwem, nigdy nie miałem wątpliwości co do swojej winy. Powstawała ona automatycznie, w taki sam sposób, w jaki ręce brudzą się w ciągu dnia.

Dlatego pierwszym faktem życiowym, który zapuścił korzenie w moim umyśle, było poczucie winy. Korzenie te rozrastały się w ruchomych piaskach dziecięcych przeżyć szybko, cicho i niepowstrzymanie jak drzewo eukaliptusowe.

Moja matka nie tylko tolerowała, ale wręcz popierała despotyzm Berthy, widząc w nim coś ze spartańskiego ideału, który miał nie pozwolić na to, abym „rozpuścił się jak dziadowski bicz”. Naczelna zasada wychowawcza owych czasów głosiła, że dzieci nie wolno „rozpuszczać” i trzeba je „krótko trzymać”. Toteż w moim dzieciństwie wszystko, co nie było wyraźnie dozwolone, było zakazane.

Do głównych przestępstw należało: hałasowanie, rezonowanie, obrażanie Berthy, mówienie w obecności obcych bez pytania, zapominanie o „proszę” lub „dziękuję bardzo”, domaganie się dokładki bez czekania, aż mi ją zaproponują. Ale były to wszystko jasno określone wykroczenia; ciemna strona życia polegała na tym, że popełniało się przestępstwo, nie wiedząc o tym.

Rodzice karali mnie rzadko. Najczęściej słyszałem, że jestem „niedobrym dzieckiem”. Kazano mi wtedy stać „w kącie”, twarzą do ściany; potem nie odzywano się do mnie przez kilka godzin, a czasami dzień lub dwa, do czasu oficjalnej ceremonii przebaczenia. Polegała ona na moim przyznaniu się do winy i solennej obietnicy, że nigdy więcej tego nie zrobię, po czym następowało przebaczenie. Istniał jeszcze stan pośredni: wówczas zwracano się do mnie i ja sam mogłem się odzywać, ale tylko wtedy, gdy było to konieczne; mówiąc językiem dyplomatycznym, uznawano mnie *de facto*, ale nie *de iure*.

W tym wszystkim ojciec praktycznie nie brał udziału. Był zbyt zaabsorbowany swoimi maszynami do otwierania kopert i innymi chimerami, by wtrącać się do mojego wychowania. Poza tym zdawał sobie sprawę z własnej niewiedzy w sprawach edukacji, a obcowanie z przedwcześnie dojrzałym mołem książkowym, ciągle zadającym mu pytania, na które nie znał odpowiedzi, musiało być dlań udręką. Kochał mnie tkliwie i nieśmiało z bezpiecznej odległości, a w późniejszych

latach czuł naiwną dumę, widząc moje nazwisko w druku. Nieśmiałość była wzajemna. Od moich szkolnych lat aż do jego śmierci nie nawiązaliśmy ze sobą duchowego kontaktu, ani razu nie rozmawialiśmy o sprawach osobistej natury. Nigdy też się nie pokłóciliśmy. Lubiliśmy się i szanowaliśmy z ową ostrożną powściągliwością nieznajomych, którzy podróżują pociągiem w jednym przedziale. Choć obaj byliśmy na swój sposób półobłąkani, we wzajemnych kontaktach zachowywaliśmy się rozsądnie i rzeczowo. Ogólnie biorąc, z nikim nie utrzymywałem przez tak długi czas tak kulturalnych i układowych stosunków jak z ojcem.

Każde z moich najwcześniejszych wspomnień można włożyć do szuflady opatrzonej jednym z trzech napisów: poczucie winy, strach i samotność.

Z tych trzech strach był doznaniem najżywszym i najtrwalszym. Przeżycia, które mnie najgłębiej ukształtowały, miały charakter wstrząsów.

Pierwszy z nich zdarzył się między moim czwartym a piątym rokiem życia. Mama ubrała mnie bardzo starannie i razem z ojcem wyszliśmy z domu. Już to było czymś niezwykłym; ale jeszcze dziwniejszy był fakt, że gdy szliśmy ulicą, rodzice trzymali mnie za ręce w taki sposób, jakby chcieli mnie za coś przeprosić. Uprzedzili mnie, że idziemy do doktora Neubauera, który obejrzy moje gardło i przepisze mi lekarstwo na kaszel. W nagrodę miałem dostać lody.

U doktora Neubauera byłem już tydzień wcześniej. Zbadał mnie, a potem zaczął szeptać z rodzicami, co mnie bardzo zaniepokoiło. Tym razem nie musieliśmy czekać. Lekarz i pielęgniarka byli już przygotowani na naszą wizytę. Zachowywali się z podejrzaną uprzejmością. Kazano mi usiąść na krześle przypominającym fotel dentystyczny. Potem, bez ostrzeżenia ani wyjaśnienia, skórzanymi pasami przywiązano mi do niego ręce i nogi. Półprzytomny ze strachu odwróciłem głowę w stronę rodziców i kiedy zobaczyłem na ich twarzach przerażenie, ziemia rozstąpiła się pode mną. Lekarz wyprowadził ich z gabinetu, a potem umieścił mi pod brodą metalową tackę, rozsunął mi szczęki i wepchnął między zęby gumowy knebel.

Przez kilka minut grzebano mi w ustach metalowymi narzędziami;

dusiłem się i wymiotowałem krwią do tacki pod brodą. W ten sposób, bez znieczulenia, przeprowadzano w Budapeszcie Anno Domini 1910 operację usunięcia migdałków. Nie wiem, jak reagowały na nią inne dzieci. Prawdopodobnie jakieś wcześniejsze, zapomniane przeżycie uczuliło mnie na taki zabieg, bo doznałem wstrząsu, który miał trwały wpływ na moje życie.

Te chwile zupełnej samotności, kiedy opuszczony przez rodziców znajdowałem się we władzy złych mocy, przepełniły mnie rodzajem kosmicznej grozy. Czułem się tak, jakbym trafił do mrocznego podziemnego świata, w którym panuje pierwotne okrucieństwo. Od tej pory nigdy już nie zapomniałem o istnieniu tego świata, do którego można trafić w każdej chwili, bez ostrzeżenia.

Jest bardzo możliwe, że moje późniejsze zainteresowanie przemocą, terrorem i torturami wywodzi się z opisanego wyżej przeżycia i że dr Neubauer przyczynił się do tego, iż stałem się kronikarzem pewnych najbardziej odrażających aspektów naszej epoki. Było to moje pierwsze zetknięcie z „prabo”, prabojaźnią, irracjonalnym pierwotnym lękiem, który odgrywał potem tak ważną rolę w otaczającym mnie świecie, że wymyśliłem ten poręczny skrót. Kiedy wiele lat później znalazłem się w rękach reżimu, którego nienawidziłem i bałem się najbardziej ze wszystkich, miałem wrażenie, że to tylko powtórka znanej mi już sytuacji: gdy zostałem związany, zakneblowany i wydany na pastwę wrogich sił. A kiedy moi przyjaciele padali ofiarą różnych europejskich dyktatur, pisząc o nich, bez trudu potrafiłem wczuć się w ich sytuację.

Między dziewiątym a dziesiątym rokiem mojego życia nastąpiła seria wstrząsających wydarzeń, które pozostawiłyby niezatarte ślady na psychice nawet normalnego dziecka. Podpaliłem nasz dom, przeszedłem dwie operacje i przeżyłem brzemienny w skutki konflikt między rodzicami. To ostatnie było najgorsze, ale z oczywistych przyczyn nie będę o tym mówić. Doszło do szeregu bardzo przykrych scen, wskutek których, pomijając nawet ich przerażający charakter *per se*, poznałem, czym jest uczuciowe rozdarcie. Wszystkie moje przeżycia w owym krytycznym roku należy widzieć na tym tle.

Chodzi o lata 1914–1915. Wybuch pierwszej wojny światowej

spowodował ruinę budapeszteńskiej firmy ojca. Opuściliśmy stolicę Węgier i przenieśliśmy się do Wiednia. Od tej pory nigdy już nie mieliśmy prawdziwego domu.

Pierwszym przystankiem w naszej koczowniczej wędrówce był pensjonat Exquisit mieszczący się na piątym piętrze starej kamienicy w centrum Wiednia, naprzeciwko katedry św. Stefana. Pewnego popołudnia – było to w czasie gdy stosunki między rodzicami układały się wyjątkowo źle – zostałem sam w naszym mieszkaniu. Było mi bardzo smutno i pomyślałem, że światło kilku kolorowych świeczek, które kupiła mama, nieco mnie rozweseli. Zapaliłem je więc, postawiłem na parapecie i pochłonięty lekturą zupełnie o nich zapomniałem. W pewnej chwili jedna ze świec wpadła do kosza z papierami, które zaczęły się palić. Próbowałem ugasić ogień, machając koszem w powietrzu; kiedy zaczął mnie parzyć, rzuciłem go na firanki. Pokój, jak wszystkie pokoje w szanujących się pensjonatach owych czasów, był pełen pluszowych obić i aksamitnych poduszek, pożar więc szerzył się błyskawicznie. Ze strachu przed karą nie wołałem o pomoc i gorączkowo zacząłem zrywać firanki; dym stawał się coraz gęstszy. Potem musiałem zemdleć, bo pamiętam tylko, że obudziłem się w łóżku panny Schlesinger, francuskiej guwernantki, która mieszkała w pensjonacie i w której się kochałem. Rodzice wrócili w chwili, gdy pod kamienicę zajęchała straż pożarna; zanim pożar został ugaszony, spłonęły trzy lub cztery pokoje z widokiem na katedrę św. Stefana. Nie zostałem ukarany, rodzice nie robili mi nawet wymówek. Skala mojej zbrodni najwidoczniej przekroczyła granice jakiegokolwiek kary.

Potem dostałem zapalenia wyrostka robaczkowego i konieczna była operacja. Udając, że śpię, podsłuchałem rozmowę, z której zrozumiałem, że zabieg odbędzie się nazajutrz. Karetką pojechałem do szpitala. Był pogodny zimowy poranek; kiedy przejeżdżaliśmy przez piękny dziedziniec Hofburga, ze słonecznego nieba zaczęły spadać małe płatki śniegu. Przez okienko karetki przyglądałem się tańczącym śnieżynkom i nagle poczułem dziwną zmianę nastroju. Chyba wtedy właśnie po raz pierwszy uległem delikatnemu, ale obezwładniającemu działaniu piękna i doznałem wrażenia, że roztapiam się w przyrodzie, jak ziarnko soli rozpuszcza się w morzu. Na początku podróży przyglądałem

się twarzom przechodniów z bezsilną zazdrością. Rozmawiali i śmiali się, ich jutro miało być takie samo jak wczoraj; tylko ja byłem sam ze swoim nieszczęściem. Widok płatków śniegu na pałacowym dziedzińcu uspokoił mnie i pojednał z losem.

Podróż karetką stała się przełomowym wydarzeniem. Czekają mnie co prawda jeszcze chwile grozy: jazda na wózku do sali operacyjnej, a potem paniczny strach przed uduszeniem się, gdy zakładano mi maskę do narkozy. Ale widmo podziemnego świata ustąpiło pod wpływem innej, jeszcze bardziej tajemniczej siły. Jak się miało okazać, nie znikło na zawsze, a tylko wycofało się na z góry upatrzone pozycje.

Operacja się nie udała i powiedziano mi, że trzeba ją będzie powtórzyć. Traktowano mnie teraz jak dzielnego chłopca, któremu nie straszny zły wilk. Ja jednak śmiertelnie bałem się narkozy, bo miałem wrażenie, że za chwilę się uduszę. Stary wróg, „prabo”, pojawił się znowu, choć w nowym przebraniu. Ale pewnego dnia, czytając *Przygody Münchhausena*, wpadłem na pewien pomysł. Chępliwy baron opisywał, jak to wpadł do trzęsawiska i zaczął zapadać się coraz głębiej. Kiedy błoto sięgało mu już do brody i jego chwile wydawały się policzone, uratował się w prosty sposób: chwycił się za włosy i wyciągnął z topieli.

Fortel barona tak mnie zachwyił, że głośno się roześmiałem – i w tej samej chwili znalazłem rozwiązanie trapiącego mnie problemu. Mogłem jak baron wyciągnąć się z bagna moich lęków, sam trzymając maskę do narkozy, póki nie stracę przytomności. Dzięki temu będę miał poczucie, że panuję nad sytuacją i uniknę przerażającego poczucia bezsilności.

Opowiedziałem o tym matce, która w lot zrozumiała, o co mi chodzi, i przekonała chirurga, aby spełnił moją prośbę. Choć operację odkładano zbyt długo i znów musiałem jechać karetką do szpitala, nie czułem strachu, gdy zachęcany uśmiechem anestezjologa przyłożyłem maskę do twarzy.

Odtąd nauczyłem się oswajać swoje obsesje i lęki – a przynajmniej znajdować jakiś rodzaj *modus vivendi* z nimi. Dojście do porozumienia z własną nerwicą wydaje się sprzecznością samą w sobie; ja jednak uważam, że jest możliwe, o ile człowiek uzna swoje kompleksy i będzie

je traktował niejako z kurtuazją, zamiast je zwalczać albo zaprzeczać ich istnieniu. Jestem głęboko przekonany, że człowiek ma władzę wyciągania się za włosy z grzędawiska. „Baron w bagnie”, pogromca „prabo”, stał się dla mnie zarówno symbolem, jak wyznaniem wiary.

Po strachu i poczuciu winy najsilniejszym doznaniem mego dzieciństwa było uczucie samotności.

Zanim poszedłem do szkoły, nie miałem żadnych kolegów. Moi rodzice nie utrzymywali stosunków towarzyskich, bo matka uważała, że w przeciwieństwie do wspaniałego Wiednia Budapeszt jest miastem barbarzyńskim. Z innymi dziećmi mogłem się bawić tylko podczas rzadkich okazji, gdy mama czuła się zmuszona zaprosić partnerów handlowych ojca na tak zwany *jour* – co w wiedeńskiej francuszczyźnie oznaczało oficjalne popołudniowe przyjęcie z kawą, bitą śmietaną i tortami – albo kiedy my byliśmy zaproszeni na taki *jour*. Zdarzało się to raz, dwa razy w roku.

W pierwszej chwili po poznaniu nowego kolegi ogarniała mnie paralizująca nieśmiałość. Najgorszy był rytuał podawania sobie rąk, do czego zachęcali nas dorośli groteskowo słodkim i szczebiotliwym głosem. Kiedy jednak dorośli zasiadali za stołem, a my zostawaliśmy sami w pokoju dzieciennym, moja nieśmiałość zniknęła i zachowywałem się jak mały maniak. Wszystkie zabawy, które wymyśliłem przed wizytą, należało koniecznie wypróbować podczas tych krótkich, nieskończenie cennych chwil – tak kochankowie, spotykający się bardzo rzadko, pospiesznie urzeczywistniają swoje erotyczne marzenia. Ale nagle, w trakcie tej gorączkowej zabawy, ogarniał mnie strach, że popołudnie wkrótce dobiegnie końca, a właściwie że dorośli mogą je skończyć w każdej chwili; ta obawa zwiększała jeszcze moją nerwowość i nadawała jej chorobliwy charakter. Wcześniej nauczyłem się zatruwać sobie przyjemność przypominaniem, jak bardzo jest ona krótkotrwała.

Również podczas rzadkich okazji, kiedy rodzice zabierali mnie do cyrku lub teatru, stale towarzyszyło mi poczucie przemijania. Jeśli sztuka miała trzy akty, pod koniec pierwszego mówiłem sobie: a więc jedna trzecia przyjemności jest już za mną. Od połowy drugiego aktu z narastającym smutkiem myślałem o tym, że z każdą chwilą zbliżam się do nieuchronnego końca. W późniejszych latach, gdy zostałem kibicem

piłki nożnej, podczas pasjonującego meczu co chwila zerkałem na zegarek, aby zobaczyć, jak długo jeszcze potrwa gra.

Nigdy nie wyleczyłem się z tej obsesji. Z wiekiem mniej litowałem się nad sobą, a więcej nad innymi, którzy gonili za przyjemnościami, nie zdając sobie sprawy z ich zdradzieckiej natury.

Tak jak podczas walki z „prabo”, obsesyjnym lękiem, który prześladował mnie w dzieciństwie, „baron w bagnie” przyszedł mi na pomoc również w zmaganiach z samotnością.

Kiedy miałem trzynaście lat, przez pewien czas mieszkaliśmy u siostry mojej matki. Któregoś dnia cała rodzina poszła do kina, nawet służba dostała wolne. Byłem przyzwyczajony do samotności, ale źle się czułem w wielkim i pustym mieszkaniu ciotki, miałem więc pretensję do dorosłych, że zostawili mnie samego na całe popołudnie bez książek i klocków, choć byłem przecież gościem. Aby się na nich jakoś odegrać, położyłem się w butach na jedwabnej kapie zakrywającej ciotczyne łóżko. Ten zbrodniczy czyn od razu poprawił mi humor. Leżałem z rękami pod głową, gapiąc się w sufit i stopniowo ogarnęła mnie nieskończona błogość – zdałem sobie sprawę, że lubię być sam. Było to wspaniałe odkrycie: pustynne piaski mojej samotności nagle przemieniły się w złoto. Istniało nieskończenie wiele rzeczy, o których mogłem myśleć, którymi mogłem się zajmować, bawić, i o których inni w swoim zagonionym życiu nie mieli pojęcia. Wszyscy oni byli lunatykami, tylko ja miałem oczy szeroko otwarte.

Był to typowo münchhausenowski fortel, którego wynalezienie zamknęło jeszcze jeden rozdział w moim życiu. Okazało się, że również samotność da się oswoić. Co prawda, tak jak lęku, nie udało mi się jej przewyciężyć całkowicie, ale nauczyłem się z nią żyć.

Lecąca strzała

Mówiłem dotąd o doznaniach: poczuciu winy, strachu i samotności. Wypada teraz powiedzieć kilka słów o intelekcie.

Spoglądając wstecz na swój rozwój intelektualny, dostrzegam osobliwą sprzeczność. Byłem dzieckiem przedwcześnie dojrzałym, nad wiek rozwiniętym. Ale w okresie dojrzewania i młodości dorastałem wolniej od rówieśników i nie tylko wyglądałem na młodszego od nich, ale miałem też dziecinne usposobienie. Używając języka psychiatrów, zdradzałem tendencję do zachowań infantylnych z wyraźnymi obsesjami. Można powiedzieć, że szybko zdobyłem dużą wiedzę, ale bardzo powoli mądrość.

Uczyłem się z pasją, czytałem zachłannie, wcześniej ujawniłem zamiłowanie do matematyki, fizyki i konstruowania mechanicznych zabawek; w wieku dwunastu lat mówiłem płynnie po węgiersku, niemiecku, francusku i angielsku. A ponieważ umiałem wymieniać bezpieczniki, naprawiać lampy i zbudowałem okręt podwodny, który pływał w naszej wannie, postanowiono, w zgodzie z moimi własnymi pragnieniami, że zostanę inżynierem albo fizykiem. Dlatego po ukończeniu szkoły powszechnej zostałem posłany do *Realschule*, do której uczęszczałem przez siedem lat, najpierw na Węgrzech, a potem w Austrii.

Od dzieciństwa aż po studia wyższe interesowałem się właściwie wyłącznie matematyką i naukami przyrodniczymi, a moją główną rozrywką były szachy. Fascynowały mnie zwłaszcza geometria, algebra i fizyka, ponieważ uważałem – tak jak pitagorejczycy i alchemicy – że nauki te zawierają klucz do zrozumienia „zagadki wszechświata”. Sądziłem, że zagadka ta da się ująć w jakąś tajemną formułę przypominającą szyfr do sejfu, kamień filozoficzny albo eliksir życia. Jej rozwiązanie wydawało mi się jedynym celem, dla którego warto żyć, a każdy krok na drodze poznania był ekscytujący.

Dorastałem u schyłku epoki, w której nauka nie była jeszcze ujęta w abstrakcyjne wzory uniemożliwiające jej zrozumienie przez dyletantów. Atomy wciąż poruszały się w trójwymiarowej przestrzeni

i mogły być przedstawione za pomocą modeli, w których szklane kulki elektronów krążyły wokół jądra jak planety wokół Słońca. Przestrzeń nie była jeszcze zakrzywiona, świat był nieskończony, a umysł przypominał zegarek. Nie istniał czwarty wymiar czasoprzestrzeni ani podświadome Id, ów czwarty wymiar umysłu, gdzie linie proste zakrzywiają się, a logika staje się złudzeniem.

Do bohaterów mojej młodości należeli Darwin, Spencer, Kepler, Newton i Mach, a także Edison, Hertz i Marconi – Buffalo Bille odkryć naukowych. Moją biblią zaś była wówczas *Die Welträtsel* Ernsta Haeckla. W tej popularnej książce z przełomu wieków wyliczono siedem „zagadek wszechświata”: sześć z nich (między innymi natura materii i geneza życia) zostało już jakoby „ostatecznie rozwiązanych”, a siódmą, wolność woli, uznano za „czysty dogmat oparty na złudzeniu i w rzeczywistości nie istniejący”.

Dobrze było w wieku czternastu lat wiedzieć, że zagadki wszechświata zostały rozwiązane. Mimo to nie pozbyłem się wszystkich wątpliwości, ponieważ wskutek jakiegoś przeoczenia na liście nie znalazły się paradoksy nieskończoności i wieczności.

Nieskończoność i wieczność – w tym był sęk. Pewnego dnia podczas letnich wakacji w 1919 roku leżałem na jednym ze wzgórz w Budzie. Przed moimi oczami rozpościerało się bezkresne, jasne, nasycone błękitem niebo. Doznałem swego rodzaju mistycznego uniesienia; był to jeden z tych stanów spontanicznej iluminacji, które są tak częste w dzieciństwie, a z biegiem lat stają się coraz rzadsze. Oto z nagłą wyrazistością uświadomiłem sobie paradoks przestrzennej nieskończoności – doznanie to było tak silne i dotkliwe, jakby ucięła mnie osa. Powiedzmy – rozumowałem – że ktoś wypuści strzałę z taką siłą, iż pokonawszy przyciąganie ziemskie, przeleci ona obok Księżycy, Słońca – i co dalej? Przemierzy przestrzeń międzygwiazdową, minie inne słońca, przeleci przez Drogę Mleczną – ale co potem? Będzie lecieć dalej przez mgławice spiralne i inne galaktyki i nic nie będzie w stanie jej zatrzymać, żadna granica w przestrzeni i w czasie – a najgorsze, że nie chodziło o jakąś fantazję, lecz rzeczywistość. Taką strzałę można było skonstruować. Istniała ona nawet w naturze: komety poruszające się po orbitach parabolicznych były takimi właśnie strzałami, które wznosiły

się, czy też spadały, do nieskończoności – myśl ta stanowiła dla mózgu nieznośną torturę. Niebo nie miało prawa być tak niebieskie i zadowolone z siebie, skoro jego uśmiech skrywał tę najstraszliwszą tajemnicę, której nie chciało zdradzić – tak jak uśmiechający się dorośli, którzy postanowili zachować sekret i odmawiają człowiekowi najświętszego prawa: prawa do wiedzy. Prawo do wiedzy było przyrodzone i niezbywalne, bo inaczej po cóż człowiek miał oczy, aby widzieć, i umysł, aby myśleć?

Nie mogłem znieść myśli, że nieskończoność pozostanie nierozwiązaną zagadką. Tym bardziej, że skończony byt, taki jak ziemia – albo ja spoczywający na niej – w porównaniu z nieskończonością stanowił zero. Jeżeli przestrzeń była nieskończona, to z matematycznego punktu widzenia ziemia była niczym i ja byłem niczym, podobnie jak rok, sto lat i długość ludzkiego życia. To nie trzymało się kupy, gdzieś musiał tkwić błąd, a odpowiedzi należało szukać w książkach poświęconych grawitacji, elektryczności, astronomii i wyższej matematyce. Może to mnie wybrał los, abym rozwiązał zagadkę nieskończoności? Wydawało mi się to tym bardziej prawdopodobne, że nikt nie był tak zafascynowany przestrzenią i lecącą strzałą jak ja.

Poszukiwanie absolutu jest zajęciem ludzi, którzy nie potrafią zadowolić się światem względności, tym, co jest tu i teraz. Moja obsesja na punkcie lecącej strzały była tylko pierwszym etapem tych poszukiwań. Kiedy nie przyniósł on oczekiwanych rezultatów, nieskończoność w roli celu została zastąpiona przez utopię takiego lub innego rodzaju. To samo pragnienie absolutu i ta sama mentalność „wszystko albo nic” pchnęła mnie na drogę ku Ziemi Obiecanej i ku ruchowi komunistycznemu. W innych epokach podobne tęsknoty znajdowały naturalne spełnienie w Bogu. Od końca XVIII wieku tron Boga stał pusty, ale w ciągu następnego półtora stulecia działo się tyle frapujących rzeczy, że ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy. Dziś jednak, po straszliwych katastrofach, które położyły kres wiekowi rozumu i postępu, pustka ta staje się bardzo odczuwalna. Epoka, w której dorastałem, była okresem tęsknoty i utraty złudzeń.

Aż do czasu studiów historia, polityka, sprawy społeczne i etyczne nie odgrywały w moim rozwoju intelektualnym prawie żadnej roli.

Z poetów najbardziej lubiłem Ady'ego, współczesnego liryka węgierskiego, Rilkego, Goethego, Heinego i Byrona, w takiej właśnie kolejności. Czytałem też wszystkie powieści, jakie mi wpadły w ręce, ale ich lekturę uważałem za stratę czasu nie zbliżającą mnie do rozwiązania jedyne go istotnego problemu, ostatniej zagadki, którą rozwikłać mogła tylko nauka i filozofia przyrody. Dla kolegów interesujących się historią i naukami społecznymi miałem tylko pogardę; uważałem, że podążają błędną drogą. Człowiek jako istota społeczna i moralna nie budził zainteresowania, był tylko pyłkiem we wszechświecie, a jego dzieje przypominały taniec drobin kurzu wzbitych w górę przez odkurzacza. Interesujące i godne badań były co najwyżej reakcje chemiczne zachodzące w tkankach ciała ludzkiego, algebra procesów dziedziczenia, pochodzenie człowieka od małp i mechanizm funkcjonowania jego mózgu.

Kiedy miałem około siedemnastu lat, cały ten obraz świata rozpadł się w gruzy. Do tego czasu, choć urodziłem się w 1905 roku, byłem dzieckiem XIX stulecia – stulecia schematycznej filozofii i zarozumiałych uproszczeń, które panowały jeszcze na początku XX wieku, póki pierwsza wojna światowa nie odesłała ich do lamusa.

Dwudziestego ósmego lipca 1914 roku monarchia austro-węgierska wypowiedziała wojnę Serbii. Wybuch pierwszej wojny światowej pozostawił w pamięci dziewięcioletniego dziecka, którym wówczas byłem, tylko dwa ślady:

1. Ojciec leżał na kanapie i cierpiał na niestrawność na tle nerwowym, musiałem mu więc przynieść lek na żołądek. Tymczasem ojciec tłumaczył mamie, że musi otworzyć nową firmę, bo odtąd nie będzie mógł sprowadzać angielskich tkanin.

2. Podczas popołudniowego spaceru z guwernantką napotkaliśmy radosnych demonstrantów śpiewających hymn narodowy: „Boże, zbaw Węgrów/ I obdarz ich swymi łaskami/ Wspomóż ich swą prawicą/ Gdy walczą z wrogami”. Masowa demonstracja, którą zobaczyłem wtedy pierwszy raz, zrobiła na mnie takie wrażenie, że wyrwałem się biednej *Fräulein* i dołączyłem do maszerujących, krzycząc na przemian „Śmierć serbskim psom” i „Boże, zbaw Węgrów”.

Pół roku później Serbia, odwieczny wróg, została pokonana^[2].

Wydarzenie to natchnęło mnie do napisania pierwszego w życiu wiersza, który posłałem do pisma dla młodzieży. Do dziś pamiętam dwie pierwsze linijki:

Nareszcie w grudniu Belgrad skapitulował
A Węgier stał na jego murach i triumfował.

W węgierskim oryginale brzmiało to o wiele piękniej, redakcja jednak odrzuciła wiersz.

Wbrew powszechnym oczekiwaniom wojna nie skończyła do Bożego Narodzenia, toteż przestałem się nią interesować; nadal jednak wtykałem w kolorowe mapy małe flagi oznaczające linię frontu, co uważano zarówno za zabawę, jak za patriotyczny rytuał. Ze względu na wiek ojciec nie został powołany do wojska. Cztery wojenne lata spędziliśmy częściowo w Budapeszcie, a częściowo w Wiedniu, przeprowadzając się z jednego pensjonatu do drugiego. Następnym wydarzeniem politycznym, które na zawsze zapamiętałem, była rewolucja węgierska z listopada 1918 roku, ponieważ znów towarzyszyła jej masowa demonstracja.

Wypadki te, od których zaczął się rozpad monarchii austro-węgierskiej, zachowały się w mojej pamięci niczym stary i często oglądany film dokumentalny. Balkon w kamienicy oddalonej o kilka numerów od biura ojca przy ulicy Lajosa Kossutha jest udekorowany flagami i kolorowym sukniem. Gęsty, falujący tłum wypełnia ulicę na długości blisko kilometra. Wysoki, ciemnowłosy, zgarbiony mężczyzna o niezgrabnych ruchach przemawia z balkonu do tłumu. To hrabia Mihály Károlyi. Proklamował właśnie odłączenie się Węgier od Austrii i ich odrodzenie się w postaci wolnej, niepodległej i demokratycznej republiki, której prezydentem wkrótce zostanie wybrany. Jego głos brzmi sztucznie, mówi z wysiłkiem, bo podczas operacji gardła wstawiono mu w podniebienie srebrną płytkę. Ludzie wiwatują na jego cześć i śpiewają hymn narodowy. Ojciec i ja idziemy w demonstracji i wracamy do domu upojeni; obaj jesteśmy żarliwymi patriotami węgierskimi. Mama krzywi się, jest przecież wiedenką i pilnie śledzi wiadomości z dworu austriackiego.

Po sześciu miesiącach liberalny rząd musiał podać się do dymisji i władzę objęli komuniści pod wodzą Béli Kuna. Miałem już wtedy

ponad trzynaście lat, więc lepiej zapamiętałem ówczesne wydarzenia.

Moje pierwsze zetknięcie z komunizmem jest nierozłącznie związane z *Marszem żałobnym* Chopina.

Kilka dni przed objęciem władzy partia komunistyczna zorganizowała w Budapeszcie demonstrację, podczas której zginęło kilku jej członków. Przywódcy partii wezwali do licznego udziału w pogrzebie, który miał być próbą sił. Za karawanem, udekorowanym zielonymi wieńcami i czerwonym sukniem, szło około pięćdziesięciu tysięcy robotników z fabryk pod Budapesztem. Maszerowali powoli, z godnością, w karnych szeregach. Węgry były wciąż krajem na wpół feudalnym. Nigdy wcześniej mieszkańcy Budapesztu nie widzieli tłumu krzepkich proletariuszy idących eleganckimi ulicami śródmieścia; wielu zapewne nie widziało dotąd na oczy robotnika fabrycznego. *Marsz żałobny* Chopina, grany bez przerwy przez orkiestrę kolejarzy, brzmiał w ich uszach jak podzwonne dla pewnej epoki.

Była to najbardziej wzruszająca muzyka, jaką dotąd słyszałem. Chyba pierwszy raz w życiu doznałem muzycznej ekstazy. Przeżycie to zlało się w moim umyśle z widokiem trumien męczenników na czele orszaku żyłastych mężczyzn o surowych rysach twarzy i szczerych, pewnych siebie spojrzeniach. Marsz Chopina uczynił ze mnie romantycznego komunistę, mimo że nie wiedziałem jeszcze, co to słowo znaczy. Ale jego znaczenie wkrótce stało się dla mnie jaśniejsze i spotkało się z akceptacją mojego naukowo ukształtowanego umysłu.

Rewolucja komunistyczna odniosła zwycięstwo bez rozlewu krwi. Hrabia Károlyi liczył na poparcie demokracji zachodnich, które uważał za swoich sprzymierzeńców i dla których ryzykował głową, przekazując im wyrazy sympatii, gdy Austro-Węgry wciąż prowadziły wojnę. Spotkał go zawód. Bez pomocy i wsparcia zagranicy musiał ustąpić, a władzę przejęła jedyna zorganizowana siła w kraju zdolna zapobiec chaosowi. Dopiero około dwudziestu lat później, kiedy na emigracji zaprzyjaźniłem się z Károlyim, pojąłem cały tragizm owych dni – ślepotę i brak wyobraźni państw zachodnich, które odwróciły się plecami do swoich liberalnych sojuszników i nieświadomie sprzyjały siłom stawiającym sobie za cel ich zniszczenie. Powstanie Węgierskiej Republiki Rad w 1919 roku było bezpośrednim skutkiem polityki

Zachodu – pierwszym przykładem procesu politycznego, który w następnym ćwierćwieczu powtórzy się jeszcze wielokrotnie.

Wówczas oczywiście nie mogłem o tym wiedzieć. Po *Marszu żałobnym Chopina* rozległy się dziarskie melodie *Marsylianki* i *Międzynarodówki*, które w ciągu stu dni Węgierskiej Republiki Rad zalały kochające muzykę miasto naddunajskie powodzią ognistych dźwięków. Wiedeń tańczył walce Johanna Straussa, a lud Budapesztu maszerował w takt *Marsylianki*.

„Lud” w tym wypadku oznaczał nie tylko klasę robotniczą, biedne chłopstwo i parobków, lecz także postępowe drobnomieszczaństwo i inteligencję. W 1919 roku komunizm był nowym słowem, kojarzącym się z dobrem, sprawiedliwością i nadzieją. W jednym z pierwszych artykułów na łamach „Vörös Újság” (Czerwonej Gazety), które przeczytałem, wyjaśniano, że ponad 30 procent ziemi ornej na Węgrzech należy do obszarników, stanowiących 2 procent ludności. Była to dla mnie nowość. Autor artykułu pytał, czy jest słuszne i korzystne dla narodu, że na każdy tysiąc ludzi jeden jest bardzo bogaty, a cała reszta bardzo biedna; i czy nie lepiej byłoby rozdzielić bogactwo po równo między wszystkich. To drugie wydawało się bardziej logiczne. Dawniej nie sięgałem po gazety, teraz czytałem „Vörös Újság” nieomal z takim samym zainteresowaniem jak powieści Jules’a Verne’a. Dlaczego nikt wcześniej nie mówił o tych sprawach?

Jedna ze strof *Międzynarodówki* brzmi tak:

Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata
Przed ciosem niechaj tyran drży
Ruszymy z posad bryłę świata
Dziś niczym, jutro wszystkim my.

Podczas owych stu wiosennych dni wydawało się, że bryła świata rzeczywiście została ruszona z posad – o czym, jak wiedziałem, marzył już Archimedes. Nawet w szkole zachodziły dziwne i ekscytujące wydarzenia. Pojawili się nowi nauczyciele mówiący do nas innym tonem i traktujący nas jak dorosłych, z powagą i życzliwością.

Pierwszego maja odbyły się w naszej szkole uroczystości z okazji święta pracy. Uczeń ostatniej klasy, czarujący i utalentowany siedemnastoletni młodzieniec, który ogłosił już w piśmie literackim kilka

wierszy, słaWił pamięć Dantona i Saint-Justa. Jego przemówienie zostało entuzjastycznie przyjęte przez uczniów i nowych nauczycieli; starzy jednak słuchali go w grobowym milczeniu. Po upadku Węgierskiej Republiki Rad mówca został wyrzucony ze szkoły i podobno zamordowany przez „białą gwardię”. Po raz pierwszy zetknąłem się wówczas z takim wypadkiem; określenie „terror kontrrewolucyjny” nabrało dla mnie osobistego, przerażającego znaczenia.

Obchody 1 Maja w 1919 roku były apogeum krótkotrwałej Węgierskiej Republiki Rad. Całe miasto wyglądało jak przewrócone do góry nogami. Na budapeszteńskich placach tłoczą się zbyt wielkie pomniki bohaterów nacierających na nieprzyjaciela konno lub przemawiających z uniesioną ręką i rulonem pod pachą. Pierwszego maja wszystkie te pomniki obudowano drewnianymi rusztowaniami w kształcie kuli; obciążnięto je czerwonym suknem, na którym wymalowano kontynenty i oceany. Te gigantyczne globusy – niektóre miały ponad piętnaście metrów średnicy, bo bohater siedział na wyjątkowo wysokim rumaku – wywierały fascynujące wrażenie. Wyglądały jak zakotwiczone balony, gotowe unieść całe miasto w powietrze. Stanowiły symbol nowego, kosmopolitycznego ducha i aspiracji nowego reżimu, który chciał „ruszyć z posad bryłę świata”. Jeszcze piękniejsze i bardziej imponujące były plakaty wiszące na każdym murze, które przeobraziły ulice w barwne galerie obrazów. Projektowała je czołówka węgierskich malarzy; później wyjechali oni masowo do Europy Zachodniej i Ameryki, gdzie zyskali sławę jako artyści, rysownicy i ilustratorzy. Jedne plakaty wykonane były w stylu kubistycznym, inne futurystycznym; wszystkie słaWiły bezimiennych robotników, chłopów i żołnierzy, żaden nie przedstawiał przywódcy. Tylko znawcy wiedzą, że plakaty powstałe za czasów Węgierskiej Republiki Rad to jedno z największych osiągnięć sztuki użytkowej.

Inną osobliwością owych „stu dni” było to, że budapeszteńscy żywili się głównie lodami. Ponieważ chłopci nie chcieli sprzedawać swoich produktów za papierowe pieniądze, mieszkańcy stolicy nieomal przymierali głodem. Żywność była racjonowana i zniknęła ze sklepów. Na kartki i za papierowe pieniądze emitowane przez reżim można było dostać tylko kapustę, przemarznątą brukiew i lody. Przypuszczam,

że jakiś pomysłowy komisarz ds. aprowizacji natknął się w państwowym magazynie na zapas wanilii i polecił ją zużytkować w odebranej prywatnemu właścicielowi wytwórni lodów.

Ktoś mógłby sądzić, że moja sympatia dla Węgierskiej Republiki Rad wynikała właśnie z tej obfitości lodów, zjadanych na śniadanie, obiad i kolację. Byłoby to przypuszczenie niesłuszne, ponieważ wytwarzano tylko jeden gatunek lodów: waniliowe, których nie lubię. Wspominam o tej historii, ponieważ była charakterystyczna dla improwizowanego, dyletanckiego, a nawet surrealistycznego sposobu sprawowania władzy przez węgierskich komunistów. Wszystko to wyglądało całkiem sympatycznie, przynajmniej w porównaniu z obłędem i okrucieństwem, które w późniejszych latach miała przeżyć Europa. Nie było terroru. Na prowincji doszło wprawdzie do aktów przemocy na niewielką skalę, na posterunkach policyjnych zdarzały się pobicia, ale nie odbiegało to od węgierskiej tradycji. Liczba ofiar Węgierskiej Republiki Rad nie sięgnęła nawet pięciuset.

Choć byliśmy rodziną mieszczańską, a ojciec jako fabrykant podpadał pod oficjalną kategorię kapitalistycznych wyzyskiwaczy, nie czuliśmy się zagrożeni. Fabrykę znacjonalizowano, a ojciec został jej dyrektorem. Jego pensja wynosiła mniej więcej tyle, ile dawniej zysk z produkcji. Na balkonie pensjonatu trzymaliśmy dwie kury; przewodniczący komitetu blokowego uznał to za godny naśladowania przykład gospodarności, dzięki której stolica mogłaby się sama wyżywić.

Pewnego dnia o świcie zbudziło nas dwóch ludzi w mundurach z karabinami przewieszonymi przez ramię i bagnetami skierowanymi w sufit. Byli to żołnierze węgierskiej Armii Czerwonej zajmujący się rekwirowaniem mieszkań i pokojów – wszystkim rewolucjom towarzyszy brak przestrzeni mieszkalnej. W pensjonacie zajmowaliśmy dwa pokoje – rodzice jeden, ja drugi. Żołnierze, wyraźnie zakłopotani swoim zadaniem, rozglądali się po naszym mieszkaniu rozszerzonymi ciekawością, naiwnymi oczami. Ojca nie było, zdaje się, że tej nocy spał w fabryce. Matka jednak, czując niepewność żołnierzy, poradziła sobie z nimi bez trudu. Któryś usiłował dowodzić, że jeden pokój nam wystarczy.

– Niby jak troje ludzi ma mieszkać w jednym pokoju? – zapytała mama z oburzeniem.

– No, no, nie takie rzeczy się widziało – odparł żołnierz z niepewnym uśmiechem.

Pewnie pochodził ze wsi, gdzie często sypiano po siedmioro w jednej izbie. Drugi żołnierz przez cały czas milczał. Wybałuszał tylko oczy, starając się nie patrzeć na mamę, która miała na sobie szlafrok. Po niedługim czasie wynieśli się, cicho przeprasząc za najście.

I tak było wszędzie. Wspomniałem wcześniej, że przeciętny mieszkaniec lepszych dzielnic Budapesztu prawdopodobnie nie widział nigdy robotnika fabrycznego. Miał oczywiście do czynienia z hydraulikiem, elektrykiem, tapicerem, ci jednak należeli raczej do drobnomieszczaństwa; byli zepsuci przez napiwki i przyzwyczajeni do wchodzenia drzwiami dla służby. Ale szerokie masy robotników fabrycznych, kolejarzy, górników, wyrobników i parobków były przeciętnemu mieszczaninowi zupełnie obce. Do najciekawszych aspektów Węgierskiej Republiki Rad należało to, że tych dziwnych ludzi nagle widziało się wszędzie; ku zdumieniu wszystkich okazali się zupełnie inni od hydraulików, sprzątaczek i taksówkarzy, którzy do tej pory uchodzili wśród mieszczan za przedstawicieli „ludu”. Zachowywali się niezręcznie, ale mieli dziwną pewność siebie i godność. Dla ludzi z kawiarni i eleganckiego Corso – a także dla mnie – była to prawdziwa rewelacja.

Któregoś dnia kuzynka Margit zabrała mnie do zakładów metalowych na budapeszteńskim przedmieściu Újpest, gdzie prowadziła wykłady z ekonomii politycznej dla robotników. Wartownik, który ją znał i chyba lubił, zaprowadził nas do sali. Siedziało tam w ławkach około dwudziestu mężczyzn w różnym wieku. Kiedy weszliśmy, wszyscy wstali z miejsc jak uczniowie na widok wchodzącego nauczyciela, a potem usiedli, głośno szurając nogami. Kuzynka, która zginie później w Auschwitz wraz z dwojgiem dzieci, mówiła przez mnie więcej dziesięć minut o znaczeniu i historii pieniądza, wyjaśniając, że prymitywne plemiona używały muszli, tytoniu albo soli jako pieniędzy, aby ułatwić wymianę towarów, do czego w istocie służą pieniądze. Ledwie zaczęła wykład, jeden lub dwóch „studentów”

zasnęło; kilku słuchało z przymkniętymi oczami, w których nigdy nie pojawił się błysk zrozumienia. Pozostali jednak mieli zachwycone i zaintrygowane miny, łowili każde słowo. Żądza wiedzy, która malowała się na ich twarzach, sprawiła, że raptem poczułem się im bliski. Zdążyłem już polubić tych przedstawicieli dziwnej rasy, która wtargnęła na nasze ulice. Przypadli mi do serca żołnierze, próbujący zarekwirować mój pokój, podobały mi się plakaty, na których węgierskich proletariuszy przedstawiono w stylizowanej formie. Ale dopiero teraz, widząc robotników w uczniowskich ławkach, zrozumiałem, że ich uczucia, aspiracje i rozczarowania są takie same jak moje. Nagle uświadomiłem sobie, że miałem niezasłużone szczęście, bo mogłem pójść do szkoły i czytać książki, podczas gdy dla tych umorusanych, spoconych i nieokrzesanych ludzi wykład mojej kuzynki był rzadką i wyjątkową przyjemnością. W wieku czternastu lat myśl, że chodzenie do szkoły jest przywilejem, wydaje się zupełnie absurdalna, ja jednak uznałem ją za ważne i oryginalne odkrycie. Kiedy bardzo banalne twierdzenie nagle odsłania przede mną swój głęboki sens, jest to dla mnie zawsze silne przeżycie emocjonalne. Od tej pory hasło „równej edukacji dla wszystkich” traktowałem bardzo osobiście. To, że zamożność rodziców decyduje o wykształceniu dziecka, wciąż wydaje mi się jedną z największych niesprawiedliwości naszej cywilizacji.

Jedną z najbardziej niezwykłych cech Węgierskiej Republiki Rad było poczucie humoru, rzecz bardzo rzadko spotykana podczas rewolucji. Budapeszt rozbrzmiewał zabawnymi anegdotami opowiadany w kawiarniach i na kabaretowych estradach. W hitlerowskich Niemczech i stalinowskiej Rosji za opowiadanie „kontrrewolucyjnych” dowcipów, a choćby słuchanie ich trafiało się do obozu koncentracyjnego. W sielskich dniach 1919 roku najpopularniejszy komik budapeszteński wciąż mógł co wieczór prezentować swój popisowy numer „To się nadal ciągnie”.

W pierwszych dniach Węgierskiej Republiki Rad budapeszteńscy mieszkańcy byli przekonani, że komunistyczny reżim nie przetrwa tygodnia; zgadzano się, że to „długo nie potrwa”. Wspomniany komik, którego nazwisko wypadło mi z pamięci, pojawiał się na scenie

z akordeonem i miną winowajcy. Stawał na środku i bez słowa zaczynał grać. Wśród chichotów publiczności sfatygowany instrument rozciągał się i rozciągał, aż w końcu komik mówił ze zdziwieniem „To się nadal ciągnie”. Budapesztańscy mają osobliwe, absurdałne poczucie humoru; zwrot „to się nadal ciągnie” stał się najpopularniejszym hasłem węgierskiej komuny. Podobno pewnego wieczoru przedstawienie oglądał sam dyktator Republiki Rad, Béla Kun. Po jego zakończeniu stanął na fotelu w swojej łoży i oświadczył uprzejmie:

– Zdziwicie się, ale to potrwa.

Nie mogę ręczyć za prawdziwość ostatniej części tej historyjki, ale fakt, że ludzie w nią wierzyli, jest sam w sobie znamieny dla atmosfery węgierskich „stu dni”.

W lipcu 1919 roku wojska czeskie i rumuńskie obaliły Węgierską Republikę Rad. Jej przywódcy, którym udało się uciec do Rosji, między innymi Béla Kun, zostali zlikwidowani w czasie czystek stalinowskich pod koniec lat trzydziestych. Po krótkiej okupacji stolicy przez armię rumuńską władzę przejął admirał Horthy, który ustanowił pierwszy na wpół faszystowski rząd w powojennej Europie. Pod koniec lat dwudziestych zaczęła się powolna liberalizacja reżimu, ale pierwsze lata rządów Horthy’ego z ich zorganizowanymi pogromami, bombami rzucanymi do synagog, izbami tortur i polowaniami na ludzi stanowiły straszną zapowiedź czasów, które miały wkrótce nadejść.

Podczas rumuńskiej okupacji opuściliśmy Węgry i przenieśliśmy się na stałe do Austrii. Podniecenie wywołane wkroczeniem wojsk rumuńskich, nasze połączone z przygodami przejście przez granicę austriacką bez wizy wyjazdowej, zmiana otoczenia i intensywna nauka do egzaminów wstępnych do austriackiej szkoły sprawiły, że szybko zapomniałem o komunistycznych „stu dniach”.

Ale oddziaływały one na mnie silniej, niż zdawałem sobie z tego sprawę. Majestatyczna procesja pogrzebowa i *Marsz żałobny* Chopina, gigantyczne czerwone globusy, szkolne obchody 1 Maja i wykłady w Újpest zapisały się w mojej podświadomości. Na krótko tylko zwiększyły moje zainteresowanie polityką i sprawami społecznymi. Po wyjeździe z Węgier odzwyczaiłem się nawet od czytania gazet i znów całkowicie poświęciłem się naukom przyrodniczym, matematyce

i szachom. Moje polityczne libido przebudziło się na chwilę, a potem znów pogrążyło się we śnie; mówiąc językiem Freuda, weszło w „okres utajenia” trwający kilka lat.

Jako wyrostek byłem irytującą i żalną postacią. Przez dwa lub trzy lata słowa Cyrila Connolly’ego o jego młodości dotyczyły również mnie: „W każdej chwili nienawidziłem siebie; suma tych chwil to moje życie”.

Byłem niski i szczupły, włosy, przylizane wodą i brylantyną, czesałem z przedziałką, miałem dość przystojną twarz o niewykształconych jeszcze, dziecinnych rysach, a na ustach stale błąkał mi się uśmieszek, który wyglądał bezczelnie, ale miał tylko maskować bezgraniczną nieśmiałość i niepewność siebie.

Dwadzieścia lat później pewien bystry agent kominternowski powiedział do mnie: „Wszyscy mamy jakiś kompleks niższości, ale twój to nie kompleks, to katedra”.

O elementach, z których składała się ta budowla, już mówiłem lub napomykałem. Oprócz nich istniała jeszcze jedna rzecz, którą przez pewien czas dręczyłem się najbardziej: kiedy miałem szesnaście lat, w mojej klasie był tylko jeden uczeń niższy ode mnie – karzeł.

Jak już pisałem, dojrzewałem powoli, zarówno pod względem fizycznym, jak psychicznym. Rosłem aż do dwudziestego drugiego roku życia, osiągając swój obecny wzrost: 170 centymetrów. Jeszcze dziś czuję się nieswojo w towarzystwie wysokich kobiet; a jak wiadomo, kobiety, które podczas koktajli podchodzą do pisarza i zachwycają się jego książkami, mają zwykle ponad 45 lat i więcej niż 180 centymetrów. Ale to, co dziś jest chwilowym i drobnym dyskomfortem, w wieku szesnastu lat było prawdziwą torturą. Nie chciałem chodzić na lekcje tańca z obawy, że będę musiał tańczyć z wyższymi partnerkami. Jeżeli przyjaciele zapraszali mnie na przyjęcia, wypytywałem ich najpierw o zainteresowania intelektualne, kolor włosów i oczu oraz, oczywiście tylko przy okazji, o posturę panien, które miały tam być obecne. Informacja, że na przyjęciu będzie piękna, wysoka blondynka, wystarczyła, abym wymówił się złym samopoczuciem. Przykład Napoleona, Beethovena i innych wielkich ludzi nikczemnego wzrostu pocieszał mnie tylko trochę. Nie był też ostrzeżeniem przed

tradycyjnymi przywarami niskich osób: próżnością, zaciornością i żądzą władzy.

Za tę udrękę w dużej mierze odpowiadały matki dwóch moich kolegów szkolnych. Przebierając się kiedyś w kabinie kąpielowej, przypadkiem usłyszałem ich rozmowę:

– Czy to nie straszne, jak szybko rośnie mój syn? – rzekła jedna, na co druga odpowiedziała:

– Nie ma się czym martwić. Straszne to byłoby wtedy, gdyby był niski jak syn Koestlerów.

Oczywiście to przykre zdarzenie nie miało trwałych skutków, gdyby nie mój neurotyczny charakter, znajdujący pożywkę we wszystkim, co powiedzą lub uczynią niefrasobliwi ludzie.

W wieku siedemnastu lat wstąpiłem na politechnikę. W mojej korporacji studenckiej każdemu nowicjuszowi podczas uroczystej ceremonii nadawano przydomek. Mnie nazwano „Perqueo”. Było to imię karła ze starej niemieckiej pieśni studenckiej.

Następną po niskim wzroście przyczyną mojego kompleksu niższości był dziecinny wygląd. W wieku szesnastu lat wyglądałem na czternastolatka, jako dwudziestolatek na szesnaście lat, a jako trzydziestoletni mężczyzna – na dwadzieścia jeden. Dziś, gdy mój wygląd odpowiada wiekowi, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby los zdjął mi z twarzy i barków dziesięć lat. Kiedy udręki przeszłości stają się tylko zabalsamowanym wspomnieniem, wydają się wręcz niewiarygodnie śmieszne. Ale wówczas były prawdziwymi udrękami – takimi jak na przykład nieporozumienie z adiutantem króla Iraku Fajsala...

Zdarzyło się to podczas mojego pobytu w Bagdadzie w 1928 roku. Byłem wtedy korespondentem prasy Ullsteina na Bliskim Wschodzie i polecono mi napisać relację o jednym z częstych kryzysów rządowych w Iraku. Po przyjeździe poprosiłem o posłuchanie u króla Fajsala Ibn Husajna. Przyjął mnie adiutant władcy ubrany w bardzo szykowny biały mundur; uprzedzono go już o moim przybyciu, o którym napisano nawet w tamtejszej prasie – byłem wszak przedstawicielem największego koncernu prasowego w Europie.

Adiutant rozmawiał ze mną bardzo uprzejmie, ale ilekroć

poruszałem sprawy polityczne albo wspominałem o audiencji u Jego Królewskiej Mości, zmieniał temat i z życzliwym uśmiechem pytał na przykład o programy nauczania w europejskich szkołach. Po wypiciu przepisanej liczby filiżanek słodkiej i gorzkiej kawy i chyba już znużony jałową rozmową wstał i zapytał:

– A kiedyż mamy się spodziewać szanownego ojca pańskiego?

Widocznie uważał, że przedstawicielem Ullsteina może być tylko człowiek w średnim wieku, który wysłał wcześniej swego syna z kurtuazyjną wizytą. Przynajmniej tym razem stanąłem na wysokości zadania i oznajmiłem z dworskim ukłonem:

– *Mon père, c'est moi.*

Największym moim przekleństwem była nieśmiałość. Nieśmiałego młodzieńca można porównać do kabla wysokiego napięcia, którego gruba izolacja chroni przed wpływami zewnętrznymi, ale zarazem odcina od świata. Istnieje kilka rodzajów nieśmiałości. U jednych z biegiem czasu napięcie się zmniejsza, izolacja staje się giętsza, a nieśmiałość przemienia się w uprzejmą powściągliwość. U innych zachodzi odwrotne zjawisko: warstwa ochronna staje się sztywnym, nieprzeniknionym pancerzem, który dusi jego właściciela i odstrasza wszystkich potencjalnych przyjaciół. Istnieje wreszcie trzecia kategoria. U osób do niej należących nieśmiałość występuje okresowo. Raz są więc skrępowane i nie mogą wykrztusić słowa, innym razem stają się gadatliwe i tracą wszelkie hamulce. Tak jest właśnie ze mną.

Przez całą młodość dźwigałem na barkach brzemień nieśmiałości, tak jak trędowaty niesie swój dzwonek: kiedy wchodzi do pokoju, śmiech zamiera, a na dźwięk jego kroków pustoszeją ulice. Z ludźmi albo nie utrzymywałem żadnych kontaktów, albo łączyła mnie z nimi najbliższa zażyłość. To ostatnie było jednak rzadkością. Najczęściej czułem się tak, jakbym mieszkał w przenośnym więzieniu własnego pomysłu, śledzony zdumionymi i niechętnymi spojrzeniami.

Z tej opresji nie mógł mnie wyratować nawet cudowny fortel „barona z bagna”. A ściślej mówiąc, pomagał bardzo powoli. Trzeba było bez przerwy ciągnąć się za włosy, aby trzymać głowę nad powierzchnią, aż wreszcie powoli, bardzo powoli znajdowało się *modus vivendi*.

Nieśmiałość i niepewność siebie towarzyszą mi wiernie do dziś. Nigdy z nich nie wyrosłem, zdołałem je tylko ukryć pod maską gadatliwej, towarzyskiej, sztucznej osobowości, której nie cierpię.

Okres dojrzewania to coś w rodzaju emocjonalnej choroby morskiej. Obie są zabawne, ale tylko z perspektywy czasu. Szesnastoletni młodzieniec, którym byłem, z przylizanymi włosami, głupkowskim uśmiechem, zarazem aroganckim i zażenowanym, cierpiał na emocjonalną chorobę morską: żądny przyjemności, dręczony poczuciem winy, rozdarty między kompleksem niższości a poczuciem wyższości, potrzebą samotności i pragnieniem towarzystwa i zabawy; wciąż myślał obsesyjnie o strzale lecącej w nieskończoną dal, ale miał coraz mniejszą nadzieję na jej doścignięcie; wciąż szukał wszytkowiedzącego szamana, lecz zarazem obawiał się utraty względów pokojówki Mathilde. Pierwotne lęki wczesnego dzieciństwa odeszły w cień, ale nie znikły, przyczaiły się tylko, gotowe przy pierwszej okazji znów zaatakować.

Ten ukryty niepokój, świadomość winy i nieuchronnej kary istniały przez cały czas, jak rytmiczne uderzanie nocą fal o brzeg morza. Kiedy pod oknem słyhać głosy, a na nadmorskim bulwarze rozlegają się śmiechy, można o nim zapomnieć. Gdy jednak śmiech i głosy cichną, stłumiony grzmot fal znów się nasila i człowiek zdaje sobie sprawę, że dźwięk ten zawsze tam był i że fale nigdy nie przestaną rozbijać się o nabrzeże.

Polityczne przebudzenie

We wrześniu 1922 roku zapisałem się na Politechnikę Wiedeńską. Około połowy studentów w ówczesnym Wiedniu należało wówczas do organizacji studenckich zwanych *Burschenschaften*, czyli korporacjami. Były one wzorowane na podobnych bractwach działających na uczelniach niemieckich i wywodziły się jeszcze z czasów średniowiecza. Ich członków obowiązywał kodeks honorowy, a podczas uroczystości galowej strój, którego częścią były między innymi szarfa i szpada. Sprawy honorowe rozstrzygano podczas pojedynków.

W stolicy Austrii istniały wtedy korporacje trojakiemu rodzaju: pangermańskie, liberalne i syjonistyczne. Działało również kilka bractw katolickich, do których należeli studenci wydziałów teologicznych; ponieważ jednak nie pojedynkowali się, nie brano ich poważnie. Socjalistów, którzy tworzyli tylko stowarzyszenia, a nie korporacje, darzono powszechną pogardą.

Choć w wieku czternastu lat zostałem komunistą, trzy lata później wstąpiłem do korporacji syjonistycznej.

Korporacje pangermańskie były niejako austriackimi filiami takich bractw, jak Saxonii, Gothia, Vandalia. Większość z nich na długo przed Hitlerem miała wypisaną na sztandarach doktrynę rasistowską i przyjmowała do szeregów tylko osoby czysto aryjskiego pochodzenia.

Bractwa liberalne zwalczały pangermanistów, wyznawały postępowe poglądy i przyjmowały Czechów, Węgrów, Żydów i przedstawicieli innych „niższych ras”.

Pierwszą syjonistyczną korporację – w moich czasach było ich na wiedeńskich uczelniach dwanaście – założył w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku dr Teodor Herzl, twórca i ideolog syjonizmu. Chodziło o pokazanie światu, że Żydzi umieją się pojedynkować, pić piwo, krzyczyć i śpiewać tak jak przedstawiciele innych narodów. Korporacje syjonistyczne, zgodnie z prawem kompensacji, wkrótce prześcignęły wszystkie inne. Twórcy pierwszej z nich, Kadimah (po hebrajsku „naprzód”), przez pół roku po osiem godzin dziennie uczyli się szermierki, nim wystąpili w galowym stroju

w auli Uniwersytetu Wiedeńskiego. Oszołomieni członkowie Teutonii, Saxonii, Gothii i Vandalii nie mogli znieść tego widoku i wszczęli burdę. Doszło do szeregu pojedynków, w których członkowie Kadimah zrobili z przeciwników miazgę. Po Kadimah powstała moja korporacja, Unitas, a potem Ivriah, Libanonia, Robur, Jordania i inne. Potrzeba kompensacji to silny bodziec. Jak jąkała Demostenes został największym greckim mówcą, bo zmuszał się do mówienia z kamykami w ustach, tak członkowie Libanonii i Jordanii stali się najlepszymi szermierzami na uniwersytecie, prawdziwym postrachem swoich przeciwników.

W 1920 roku odbył się w Waidhofen krajowy zjazd korporacji pangermańskich. Podjęto na nim uchwałę, która miała obowiązywać wszystkich członków tych bractw. Brzmiała ona tak: „Każdy syn żydowskiej matki jest pozbawiony honoru i dlatego żadnemu z nich nie należy dawać satysfakcji z bronią w rękę”. Pozostaje kwestią sporną, czy słynna „uchwała waidhofska” była skutkiem obawy przed szermierczą biegłością syjonistów, jak twierdzili Żydzi, czy też miała inne przyczyny; tak czy owak stawiała syjonistów w trudnej sytuacji. Nie mogąc walczyć z przeciwnikami na rapiery, musieli dowodzić swej odwagi przy użyciu pięści i pałek. W rezultacie Uniwersytet Wiedeński stał się widownią ustawicznych krwawych burd.

Zazwyczaj dochodziło do nich w sobotnie poranki podczas tradycyjnej parady korporacji pod arkadami auli. Bijatyka rozpoczynała się prawie zawsze tak samo. Członek Libanonii albo Jordanii czuł się „sprowokowany” jakąś prawdziwą lub wyimaginowaną zniewagą, na przykład złym spojrzeniem lub potrąceniem łokciem przez Saxona albo Teutona. Podchodził wówczas do sprawcy, stukał obcasami i oświadczał:

– *Herr Kollege*, pan mnie sprowokował. Proszę udać się ze mną na rampę.

Tamten nie mógł odmówić, bo zgodnie z zasadami wszystkie sprawy honorowe należało rozstrzygać na rampie, poza terenem i jurysdykcją Alma Mater.

Zwaśnieni udawali się więc na rampę, a za nimi podążali w dyskretnej odległości członkowie ich korporacji oraz sprzymierzone z nimi siły. Tam obrażony ponownie stukał obcasami i wykrzykiwał

swoje imię, a jego przeciwnik robił to samo. Obrażony wręczał następnie swoją wizytówkę i zadawał rytualne pytanie:

– W jakim miejscu i czasie moi sekundanci mają oczekiwać pańskich?

Teraz mogło nastąpić jedno z dwojga. Jeśli korporacja obrażającego nie była związana „uchwałą waidhofska” (jak w wypadku liberałów i nielicznych bractw pangermańskich), przyjmował on wyzwanie. Nazajutrz sekundanci obu stron spotykali się w kawiarni i sprawę załatwiano przez honorowe przeprosiny lub pojedynki. Jeżeli jednak było inaczej, obrażający odpowiadał uroczystym pytaniem:

– *Herr Kollege*, czy jest pan Aryjczykiem?

W myśl reguł obowiązujących korporacje syjonistyczne na to pytanie należało albo spoliczkować pytającego, albo uderzyć go laską w głowę, czyli znieważać cielesnie. Korporant, który nie postąpiłby w ten sposób, miał być natychmiast wyrzucony z bractwa. Kiedy pierwszy raz byłem świadkiem takiego zdarzenia, brał w nim udział członek mojej korporacji. Pochodził z Węgier tak jak ja, nosił przydomek Attyla i był niski, a za przeciwnika miał wysokiego blondyna, Niemca. Usiłował uderzyć go laską w głowę, ale tamten, uśmiechając się drwiąco, odparował cios i laska mego kolegi pofrunęła w powietrze. Attyla jednak niemal w tej samej chwili wyciągnął lewą rękę i zdołał musnąć policzek blondyna wierzchem dłoni. Tym samym część ceremonialna została zakończona i zaczęła się ogólna bijatyka. Następną rzecz, którą pamiętam, to to, że siedzę na ziemi z melonikiem wciśniętym na oczy (melonik należał do mego ojca, od którego pożyczałem go na te sobotnie okazje), a ze skaleczenia nad okiem kapie krew. W tej wygodnej pozycji obserwowałem dalszy ciąg bójki i przyjazd policji. Następnie nasza korporacja w zwartym szyku pomaszerowała do apteki, aby opatrzyć rany, a potem do ulubionej piwiarni.

Siedziba Unitasu mieściła się w suterynie kamienicy w porządnej dzielnicy wiedeńskiej Josefstadt. Ta *Bude* (kwatery) składała się z wielkiej sali szermierczej, sali zebrań i pokoju gościnnego. Przez następne trzy lata to dziwne lokum było moim drugim, a właściwie

pierwszym domem. Moje pierwsze odwiedziny miały doniosły skutek, bo za ich sprawą przyłączyłem się do czynnej walki o państwo żydowskie. Brałem udział w tej walce przez dwadzieścia pięć lat, z czego cztery spędziłem w Palestynie.

Jeszcze tego wieczoru zostałem przyjęty do korporacji. Przy długim stole w sali zebrań, wśród wesołych głosów, śmiechu i śpiewów, pierwszy raz doznałem najsilniejszego z uczuć społecznych: poczucia braterstwa i przynależności.

W pewnym momencie Otto Hahn i Attyla, którzy zostaną później moimi bliskimi przyjaciółmi, wdali się ze mną w rozmowę o polityce. Attyla zapytał, co myślę o syjonizmie. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że właściwie nie wiem, co znaczy to słowo. Z grubsza biorąc chodzi o to, wyjaśnił Attyla, że przez dwadzieścia stuleci Żydzi byli prześladowani i że najpewniej tak samo będzie w dwudziestym pierwszym stuleciu. Spory z antysemitami nie miały sensu, tym bardziej że Żydzi byli rzeczywiście chorym narodem, narodem bez państwa, niczym człowiek bez cienia. Struktura społeczna tego narodu przypominała odwróconą piramidę, z nieproporcjonalnie liczną warstwą adwokatów, kupców, uczonych, a bardzo niewielką liczbą rolników i robotników. Jedyną receptą był powrót do ziemi. Jeśli Żydzi chcieli być tacy jak inne narody, musieli jak inne narody mieć własny kraj i podobną strukturę społeczną. To wszystko, innego wyjścia nie było.

Wydało mi się to tak proste i oczywiste, że zdziwiłem się, dlaczego sam na to nie wpadłem. Ale dotychczas nie zetknąłem się z antysemityzmem i zawsze uważałem „kwestię żydowską” za takie samo nudziarstwo jak samorządność miast czy wojna o sukcesję hiszpańską. Szczególnie rozbawiło mnie to, że ani Attyla, ani Hahn, tak przejęci kwestią żydowską, wcale nie wyglądali na Żydów. Attyla, który nazywał się Jacob Teller – został później dentystą w Tyberiadzie – miał rysy typowo mongolskie: szerokie kości policzkowe i wesołe skośne oczy; stąd też wziął się jego przydomek. Natomiast Hahn, alias „Gockel”, czyli kogut – potem chirurg w Tel Awiwie – ze swymi jasnymi włosami, zadartym nosem i bliznami po pojedynkach wyglądał jak typowy bohater aryjski.

Jeśli czytelnikowi wydaje się, że idealizuję swoje czasy

studenckie, to należy to przypisać ciepłej pamięci o braterskiej więzi łączącej mnie z członkami mojej korporacji. Jest z pewnością paradoksem, że w tych skrajnie konserwatywnych, anachronicznych, wyzywających się w gadaniu i pojedynkach bractwach studenckich panowała zdrowsza atmosfera niż we wszystkich innych wspólnotach i klikach, z którymi zetknąłem się później. Patrząc z dzisiejszej perspektywy weterana niezliczonych sporów i walk frakcyjnych staczanych w komórkach partii komunistycznej, redakcjach gazet, na zjazdach pisarzy i w łonie postępowych komitetów, wydaje mi się niemal niewiarygodne, że jako neurotyczny młodzieniec przez trzy lata obcowałem na co dzień z grupką młodych, i to jeszcze żydowskich intelektualistów, i nie byłem świadkiem ani jednej poważnej kłótni. Umożliwiła to chyba tylko panująca w Wiedniu atmosfera *laisser-faire* i erotycznej tolerancji, połączona z tradycyjną dyscypliną i dwornymi obyczajami. Taka sama harmonia istniała bowiem w większości innych korporacji, zarówno pangermańskich i liberalnych, jak syjonistycznych. Wewnętrzne spory były natomiast częste wśród studentów ze stowarzyszeń socjalistycznych, którzy uważali nas za „wystrojone małpy”, troglodytów i tępaków.

Zainteresowanie polityką po raz pierwszy obudził we mnie *Marsz żałobny Chopina*, a za drugim razem – *Gaudeamus igitur*. W obu wypadkach zdecydowały o tym najpierw pobudki emocjonalne, a dopiero później racjonalne argumenty.

Mój stosunek do syjonizmu przeszedł przez kilka faz. Pierwszy krok był łatwy, ale późniejsza walka o jasność i zrozumienie już taka nie była. Trwała blisko ćwierć wieku. Podczas pierwszego wieczoru w siedzibie Unitasu całe zagadnienie wydawało mi się proste, było tylko kwestią odwagi i godności, jak powiedział Hahn. Podobnie proste musiało się ono wydawać niewolnikom faraona, którzy wyruszyli do Ziemi Obiecanej w błogiej nieświadomości, że droga wiedzie przez pustynię.

Przed oczami wciąż stoi mi taki obraz: moja lecąca w nieskończoność strzała, o której w ten czy inny sposób stale myślałem, rozszczepia się na dwoje. Dwie połowy zmieniają tor lotu i podążają w przeciwnych kierunkach; jedna symbolizuje czyn, a druga myśl.

Młodzieńcze poszukiwanie tajemnicy nieskończoności rozpada się na dwa jednoczesne, ale sprzeczne ze sobą dążenia.

Pamiętam wyraźnie chwilę, w której strzała rozszczepiła się i dwie jej połowy zaczęły wieść własną, samodzielną egzystencję. Było to pewnego wiosennego poranka w 1924 roku. Siedziałem na ławce w Volksgarten, jednym z czarownych parków wiedeńskich, a obok leżały książki. Na wierzchu znajdowała się broszura poświęcona niedawnym arabskim rozruchom w Palestynie. Z przerażającymi szczegółami opisywano w niej, jak dzieci żydowskie giną od miecza niczym w czasach Heroda, żydowscy pionierzy są oślepiani, kastrowani, a potem zabijani, tymczasem władze mandatowe pozostają bierne i odmawiają wydania Żydom karabinów do samoobrony.

Czytając broszurę czułem, jak ogarnia mnie i dusi bezsilny gniew. Moralne oburzenie do dziś odczuwam w sposób fizyczny, czuję przyływ adrenaliny, mięśnie napinają się i domagają się działania. Kiedy skończyłem lekturę broszury i nieco się uspokoiłem, zapadłem w swój zwyczajowy sen na jawie, marząc o poświęceniu życia dla sprawy uciśnionych i napisaniu książek, które wstrząsną sumieniem świata.

Po chwili, wciąż jeszcze nie otrząsnąwszy się z tego snu, otworzyłem na zaznaczonej stronie drugą książkę. Był to napisany przez Weyla wstęp do Einsteinowskiej teorii względności. Mój wzrok padł na zdanie, które na zawsze już utkwiło mi w pamięci. Autor pisał, że ogólna teoria względności powiodła wyobraźnię człowieka „po szczytach lodowców nigdy wcześniej nie tkniętych ludzką stopą”. Ta płaska metafora wywarła na mnie nieoczekiwane silne wrażenie. Ujrzałem, jak rewolucyjne równanie Einsteina – energia to iloczyn masy i kwadratu prędkości światła – unosi się nad lodowcami niczym przejrzysta mgła i pod wpływem tego obrazu ogarnęło mnie uczucie nieskończonego spokoju i błogości. Zamęczone dzieci i wykastrowani pionierzy z Ziemi Świętej skurczyli się do mikroskopijnych rozmiarów. Od początku życia na ziemi zwierzęta karmią się innymi zwierzętami; takie jest prawo natury i historii, nie ma się czym podniecać. Na los owych nieszczęśników należy patrzeć z takim samym filozoficznym dystansem, jak na wybuchy supernowych, plamy na Słońcu, erozję skał

i przemianę lasów pierwotnych w węgiel. Tej zmianie perspektywy towarzyszyła wyraźna zmiana fizjologiczna. Dławiące oburzenie minęło, ogarnął mnie zupełny spokój i „uczucie oceaniczne”^[3].

Często doznawałem obu tych stanów ducha, ale nigdy w tak krótkim czasie jak tego dnia. Są one przeciwieństwami pod każdym względem – mechanizmu fizjologicznego, treści emocjonalnej, światopoglądu i postaw społecznych, których są wynikiem. Moralne oburzenie można porównać do nagłej lub ciągłej implozji, która wytwarza ciśnienie i energię potrzebną do działania. Natomiast „uczucie oceaniczne” prowadzi do cichej ekspansji świadomości, jej uwolnienia od wszelkich nacisków i bodźców, do chwilowej nirwany.

Ktoś, kto mówi o rozdwojeniu własnej osobowości, może być posądzony o próżność, zwłaszcza gdy chodzi o mieszkańca środkowej Europy, wychowanego na słowach Goethego: „Dwie dusze ach! mieszkają w moim łonie”^[4]. Ale chcąc pozostać w zgodzie z prawdą, nie mogę tego przemilczeć, bo przez całe życie „dwie dusze w moim łonie” zmagają się ze sobą. Walka ta jest też jednym z motywów przewodnich tych wspomnień. Tytuły wielu moich książek są zestawieniem przeciwieństw: *The Yogi and the Commissar*, *Insight and Outlook*, *Le Zéro et l’infini*, *Arrival and Departure* i tak dalej. Wybierałem je mniej lub bardziej nieświadomie i dopiero znacznie później zdałem sobie sprawę, że jest w tym pewna prawidłowość.

* *

Wykonawszy pierwszy krok, po krótkim czasie tkwiłem już ciałem i duszą w działalności syjonistycznej.

Judaizm mnie nie pociągał. Wychowałem się w zasymilowanym środowisku, któremu obca była tradycja żydowska. Dopiero teraz za pośrednictwem ruchu syjonistycznego zetknąłem się z polskimi i rosyjskimi Żydami, wykształconymi w szkołach talmudycznych i mówiącymi w jidysz – języku powstałym na podłożu dialektów średnio-wysoko-niemieckich z domieszką elementów hebrajskich, romańskich i słowiańskich, zależnie od obszaru, na którym go używano. Żargon ten, z jego charakterystycznym zaśpiewem, nadającym każdej rzeczowej wypowiedzi emocjonalne zabarwienie, odstręczał mnie. Nie miał ustalonych reguł gramatycznych, słownika ani logicznej precyzji.

Brzmiał nie jak mowa, ale jak śpiew, i nieodmiennie towarzyszyła mu gestykulacja. Brakowało mu jednoznaczności, był pełen podtekstów, przesycony emocjami, tonący w swego rodzaju logicznym półmroku. Nigdy nie udało mi się przewyciężyć niechęci do tego języka i umysłowości, której był odbiciem.

Prawo możeszowe stanowi na przykład, że podczas Paschy można jeść tylko prażony chleb i nie wolno mieć w domu naczyń, w których był kiedyś zakwas. „W twoim domu – objaśniają uczeni w Piśmie – znaczy «należący do ciebie»”. Wystarczy więc w wigilię Paschy pójść do sąsiada chrześcijanina i „sprzedać” mu naczynia, zobowiązując się do ich „odkupienia” po Passze za tę samą cenę. Naczyni nie trzeba nawet przenosić do sąsiada, mogą pozostać w domu, skoro należą już do kogo innego. Palenie ognia w Szabat to grzech, ale zapłcenie służącemu-chrześcijaninowi za popełnienie tego grzechu jest wśród ortodoksyjnych Żydów powszechną praktyką. W ten sposób omijano wiele żydowskich przykazań religijnych. Religia pustyni stała się religią getta.

Najbardziej zdziwiło mnie to, że tradycjoniści żydowscy rozumieją opowieść o „narodzie wybranym” całkiem dosłownie. Protestowali przeciwko dyskryminacji rasowej, a jednocześnie głosili wyższość własnej rasy, opartą na przymierzu Jakuba z Bogiem. Ponieważ w wieku sześciu lat dowiedziałem się, że Węgry są piórem na czapce Boga, miałem alergię na wszelkie roszczenia do miana narodu wybranego.

Krótko mówiąc, im lepiej poznawałem judaizm, tym bardziej byłem przygnębiony – i tym żarliwszym stawałem się syjonistą. Państwo żydowskie było jedynym lekarstwem na chorobę, której nie potrafiłem nazwać ani zdefiniować, ale która wydawała się ściśle związana z tym, że Żydzi nie mają własnego państwa i flagi narodowej. Muszą być gośćmi w czyimś domu i bez względu na to, czy są tolerowani, czy prześladowani, zawsze uchodzą za obcych; taka jest przyczyna ich choroby. Odrodzenie państwa żydowskiego od razu uleczyłoby tę chorobę i wszystko byłoby dobrze.

Jednakże działalność ruchu syjonistycznego w latach dwudziestych nie budziła optymizmu. Polegała głównie na ciągłych zbiórkach

pieniędzy – na Żydowski Fundusz Narodowy, na Fundusz Odbudowy, na szpital Hadassah, na Uniwersytet Hebrajski, na szkołę sztuk pięknych Bezalel, wreszcie na pensje dla ludzi, którzy organizowali te zbiórki. Syjonizm miał być ucieczką z getta, ale getto nie dało mu od siebie uciec; wisiało jak duszący opar nad zjazdami syjonistycznymi, klubami i biurami ruchu. Głównym zadaniem szeregowych członków było ciągle potrząsanie puszką na datki. Stąd stary dowcip: „Syjonizm to pieniądze, o które jeden człowiek prosi drugiego, aby trzeci mógł wyjechać do Palestyny”.

Wielka wizja twórców ruchu, Herzla i Nordaua, skurczyła się do tej monotonnej biurokratycznej zebraniny. Światowe Żydostwo nie skorzystało z historycznej szansy, jaką stworzyła deklaracja Balfoura; w ciągu dziesięciu lat w Palestynie osiedliło się niecałe sto tysięcy Żydów. Samą ideę państwa żydowskiego zastąpiono mętym określeniem „siedziby narodowej”, nie mającym żadnego konkretnego znaczenia w prawie międzynarodowym. Imigranci napływali wąskim strumyczkiem, od dziesięciu do dwudziestu tysięcy ludzi rocznie. Osiągnięcia pionierów, którzy osuszyli bagna i przeobrazili kamienistą pustynię w sad rodzący owoce, zasługiwały na podziw, i tak samo godne podziwu były ich osiedla, w których zniesiono pieniądze i własność prywatną – wszelkie przedmioty włącznie z koszulami i chustkami do nosa należały do całej wspólnoty. Ale bez silnego pod względem politycznym i gospodarczym zaplecza te utopijne przedsięwzięcia miały równie niewielkie szanse powodzenia jak podobne eksperymenty w przeszłości.

Nie poddałem się zniechęceniu tylko dzięki człowiekowi, którego rola w stworzeniu państwa żydowskiego nie została dotąd należycie doceniona. Włodzimierz Żabotyński, bo o nim mowa, został pierwszym szamanem politycznym w moim życiu.

Kiedy go poznałem, miał czterdzieści kilka lat. Był człowiekiem wzrostu nieco poniżej średniego, poruszał się jak żołnierz, a mówił jak literat. Pochodził z Odessy, jak Lew Trocki, z którym łączyło go pewne podobieństwo i którego losy pod niektórymi względami ułożyły się podobnie. Miał potężną głowę, twarz o słowiańskich rysach i wytworne, osiemnastowieczne maniery. Jego osobisty magnetyzm, któremu ulegali

zarówno zwolennicy, jak przeciwnicy, wynikał w dużej mierze z niezwykłego głosu: każdy język – a znał ich biegle osiem – brzmiał w jego ustach jak włoski.

Już w wieku dwudziestu kilku lat, publikując w prasie pod pseudonimem „Altalena”, Żabotyński zdobył w Rosji znaczny rozgłos. Znakomity dziennikarz i prelegent, walczył z sentymentalnym kultem chłopstwa głoszonym przez rosyjskich eserowców i propagował miejski liberalizm w stylu zachodnim. Nienawidził mesjańskiej ideologii terrorystycznej pierwszych rewolucjonistów rosyjskich i stawiał im za przykład wielkich dziewiętnastowiecznych liberałów i humanistów. Wychował się w kosmopolitycznej, postępowej atmosferze Odessy i tradycja żydowska była mu obca. Kiedy Herzl pozyskał go dla syjonizmu, Żabotyński zajął wobec tego ruchu takie samo stanowisko, jakie zajmował wobec problemów Rosji. Nie cierpiał mętnego mistycyzmu i mglistego sentymentalizmu przenikającego ideologię ruchu; nie znosił talmudycznej dialektyki i pokrętnej taktyki jego przywódców. Podczas kongresów syjonistycznych mówił jasnym, prostym, europejskim językiem, który brzmiał zupełnie nieżydowsko dla wychowanych w tradycji i żargonie żydowskim przywódców. Większość ówczesnych syjonistów wyobrażała sobie „siedzibę narodową” jako rodzaj idealnego getta, pozbawionego typowych dla getta ograniczeń, ale przywiązanego do jego obyczajów i mającego jego atmosferę – a nawet architekturę, którą pierwsi osadnicy wiernie kopiowali. Tymczasem dla Żabotyńskiego i jego zwolenników syjonizm oznaczał całkowite zerwanie z tradycją, oznaczał europeizację, rządy parlamentarne wzorowane na brytyjskim systemie politycznym, edukację wzorowaną na francuskiej oświacie świeckiej, armię narodową i, co było już szczytem herezji, latynizację archaicznego alfabetu hebrajskiego. Dlatego uznano go za heretyka, antysemitę, militarystę, a później oczywiście za faszystę.

Podczas pierwszej wojny światowej Żabotyński dzięki cierpliwym i wytrwałym zabiegom zdołał przekonać rząd brytyjski do zgody na utworzenie „Legionu Żydowskiego” – pierwszego żydowskiego oddziału zbrojnego w czasach nowożytnych. Legion walczył w kampanii palestyńskiej pod dowództwem generała Allenby’ego; Żabotyński brał

udział w tych walkach w randze kapitana. W 1920 roku, podczas pierwszych rozruchów arabskich, stworzył nielegalną żydowską organizację samoobrony, która walczyła w Jaffie i Jerozolimie. To właśnie relacja o popełnionych wówczas gwałtach wywołała moje oburzenie. Arabski prowodyr tych rozruchów oraz Żabotyński jako organizator samoobrony żydowskiej zostali skazani przez brytyjskie sądy wojskowe na piętnaście lat ciężkich robót. Kilka miesięcy później Żabotyńskiego objęła amnestia; po wyjściu na wolność z twierdzy w Akce został ogłoszony bohaterem narodowym. W 1921 roku wybrano go do egzekutywy syjonistycznej – gabinetu cieni przyszłego państwa żydowskiego – ale wkrótce zrezygnował z tego zaszczytu z powodu różnic politycznych; chodziło przede wszystkim o zastąpienie idei państwa żydowskiego dwuznaczną koncepcją „siedziby narodowej”. Słuszność jego stanowiska w tym sporze, który wydawał się wtedy tylko awanturą o słowa, stała się oczywista dwadzieścia lat później, gdy rząd brytyjski zakazał Żydom wjazdu do Palestyny pod pretekstem, że budowa „siedziby narodowej” została już ukończona.

W 1924 roku Żabotyński założył własny ruch „syjonistycznych aktywistów”, który zmienił później nazwę na partię o nazwie „Sojusz Rewizjonistycznych Syjonistów”. Z partii tej wyklują się w następnych latach grupy terrorystyczne, Irgun i Stern, które odegrają rozstrzygającą rolę w walce o niepodległość Izraela. Żabotyński nie dożył ostatecznego zwycięstwa, nie mógł być też obecny na uroczystości nazwania jego imieniem jednej z głównych ulic w Tel Awiwie. W 1924 roku, gdy przyjechał do Wiednia z odczytami, wydarzenia te należały jeszcze do odległej przyszłości.

Wizytę „Żabo”, jak nazywali go przyjaciele, przygotował jeden z jego współpracowników, dr Wolfgang von Weisl. Weisl był oficerem armii austriackiej (a potem został między innymi dowódcą artylerii izraelskiej na pustyni Negew). Ten bardzo sympatyczny, żądny przygód człowiek stanie się później jednym z moich najbliższych przyjaciół. Podczas swoich studiów w Wiedniu należał do mojej korporacji Unitas, a w 1924 roku, kiedy go poznałem, był korespondentem „Neue Freie Presse” na Bliskim Wschodzie.

Zorientowawszy się, że partia syjonistyczna w Wiedniu jest

w rękach płatnej biurokracji, której zależy przede wszystkim na utrzymaniu stanowisk, Żabo i jego zwolennicy postanowili pozyskać sobie korporacje stanowiące rezerwuar młodzieńczej energii, trwonionej teraz na jałowe zbieranie składek. Von Weisl szturmem zdobył Unitas. Po trzech spotkaniach dyskusyjnych przeszliśmy jak jeden mąż pod sztandary „syjonistycznych aktywistów”. Żabotyński został wybrany na honorowego członka korporacji, który to tytuł nadano dotąd tylko Herzlowi i Nordauowi, i zamówiono dla niego złotą odznakę. W maju 1924 roku, z wyłożonym aksamitem pudełkiem z odznaką honorowego korporanta, pojechałem na stację graniczną Lundenburg – trzecią klasą, ale w świetnym nastroju. Towarzyszył mi przypominający Falstaffa „Puttl”, którego bali się wszyscy pangermaniści. Na zatłoczonym peronie rozpoznaliśmy Żabotyńskiego na podstawie fotografii – wychodził z austriackiego urzędu celnego z *Boską komedią* w oryginale pod pachą^[5]. Przypadło mi krępujące zadanie powitania go w Austrii i przypięcia mu do płaszcza naszej odznaki na oczach zdumionych podróżnych i urzędników celnych. Puttl i ja, wyglądający jak Dawid i Goliat, mieliśmy na sobie fioletowo-biało-złote szarfy korporacyjne. Z ulgą stwierdziłem, że „Żabo” wygląda raczej jak Dawid. Zachował się bardzo uprzejmie i kilkoma życzliwymi słowami podziękował za zaszczyt. Zaprotestował dopiero wtedy, gdy Puttl próbował przepasać go szarfą. Schował ją do kieszeni, tłumacząc, że mogłaby wystraszyć kelnera w wagonie restauracyjnym, do którego nas zaprosił. Później zwierzył mi się, że rzadko kiedy bywał tak zażenowany jak w owej chwili. Od razu mnie polubił i po zakończeniu krótkiego pobytu w Wiedniu zabrał mnie do Czechosłowacji jako sekretarza i współprelegenta na dalszy ciąg swojego cyklu odczytów. W ten sposób znalazłem się na wojennej ścieżce prowadzącej do Syjonu.

Tragedia Żabotyńskiego, który głośno opowiadał się za utworzeniem państwa żydowskiego po obu brzegach Jordanu, polegała na tym, że o dobre kilka lat wyprzedził swój czas. Istniała zasadnicza różnica temperamentów między nim a syjonistycznym przywództwem, którego uosobieniem był dr Weizman. Przywódcy zaklinali się na wszystkie świętości, że syjonizm nie dąży do utworzenia państwa żydowskiego; sama nazwa została usunięta z oficjalnej

frazeologii syjonistycznej. Za kulisami jednak cytowano słynne słowa Weizmana: „Zawsze o tym myśleć, nigdy o tym nie mówić”. Tak więc oficjalna dyplomacja syjonistyczna pukała do kuchennych drzwi, tymczasem Żabotyński dobijał się do drzwi frontowych. Z perspektywy czasu wydaje się, że obie taktyki były konieczne do osiągnięcia celu. Bez ostrożności i makiawelizmu oficjalnego przywództwa z jednej strony i kawaleryjskich szarż opozycji Żabotyńskiego oraz jej spadkobierców, terrorystów, z drugiej, ruch syjonistyczny albo osiadłby na mieliźnie, albo poniósłby heroiczną klęskę.

Ale jest to mądrość po fakcie. W 1924 roku, gdy zaangażowałem się w działalność syjonistyczną, wszystko było dla mnie jasne i proste: my, opozycja, mamy rację, a reszta się myli.

Im bardziej pochłaniała mnie polityka, tym mniej czasu poświęcałem studiom. Po trzecim semestrze przestałem praktycznie chodzić na wykłady. Przed egzaminem zamknąłem się na tydzień lub dwa w pokoju, kułem po całych nocach i jakoś udało mi się zdać. Ale czytanie o maszynach parowych, sprzężarkach, liniach wysokiego napięcia, prądnicach, wytopie stali i próbach wytrzymałości materiałów nudziło mnie coraz bardziej. Inżynieria społeczna była znacznie ciekawsza od inżynierii materiałowej. A nauki stosowane miały przecież bardzo słaby związek z tajemnicami wszechświata.

Wieczorami chodziłem na zebrania polityczne i brałem udział w bardzo przyjemnej działalności korporacyjnej. W ciągu dnia, zamiast słuchać wykładów, zaszywałem się w bibliotece uniwersyteckiej i czytałem o sprawach nie mających nic wspólnego ze studiami ani z polityką. Odkryłem Freuda. Przeczytawszy prawie wszystko, co do owego czasu opublikował, sięgnąłem po pisma psychoanalitycznych odstępców, Adlera, Stekela i Junga, a potem po dzieła z zakresu psychiatrii, psychologii eksperymentalnej i psychologii sztuki. Jednocześnie starałem się śledzić na bieżąco rewolucyjne odkrycia w dziedzinie fizyki teoretycznej, które też były bardzo odległe od przedmiotu moich studiów. A więc u progu dwudziestego roku życia rozdwojenie mojej osobowości i aspiracji stało się jeszcze wyraźniejsze. Jedna połowa była fanatyczna, nietolerancyjna i zdeterminowana, a druga roztopiała się w „oceanicznym uczuciu”.

Kiedy miałem osiemnaście albo dziewiętnaście lat, mój ojciec zbankrutował. Nigdy już się nie podźwignął. Wkrótce po opuszczeniu domu rodzinnego musiałem wziąć rodziców na utrzymanie.

Wszystko, co ojciec robił, robił w wielkim stylu, i nie inaczej było z bankructwem. Po przeprowadzce do Wiednia został prezesem nowo utworzonej firmy importowej. Miał samochód służbowy, który w Wiedniu 1919 roku był ewenementem, i mieszkał w apartamencie w hotelu Grand, stanowiącym szczyt wiedeńskiego szyku. Wszystko to oczywiście było zbyt piękne, aby mogło długo trwać. Po roku lub dwóch ojciec odszedł z firmy, aby założyć własny interes, i apartament w hotelu Grand zamienił najpierw na umeblowane mieszkanie w arystokratycznej dzielnicy Belvedere, a potem na pokoje w pensjonacie w znacznie mniej reprezentacyjnej dzielnicy Alsergrund.

W okolicach roku 1922 ojciec wszedł w spółkę ze starą firmą importową pana W. Wierny swej maksymie robienia interesów „w stylu amerykańskim”, nie zawarł ze współnikiem żadnej umowy, całe przedsięwzięcie opierało się na wzajemnym zaufaniu. Ale były to lata szalejącej inflacji, kiedy musiano oszukiwać, aby przeżyć, gdy szacowne panie domu szły na ulicę, żeby utrzymać rodzinę, a renomowane firmy wdawały się w spekulacje walutowe. Ten sabat czarownic, który na zawsze zniszczył ciało i duszę środkowoeuropejskiego mieszczaństwa, wytworzył trujące jady totalitarnych ideologii; był to początek końca cywilizowanego życia nad Dunajem i na wschód od Renu. Nic więc dziwnego, że pan W., potomek kilku pokoleń szacownych kupców, uległ pokusie oszukania mojego prostodusznego ojca.

Mechanizm oszustwa był bardzo prosty: transakcje finansowe firmy księgowano kilka dni lub tygodni przed ich zawarciem lub po nim. Wobec gwałtownych zmian kursowych, które powodowała inflacja, machinacje te wystarczyły, aby pokaźny zysk stał się na papierze dużą stratą. Księgi rachunkowe prowadził stary i zaufany buchalter firmy pana W., więc mój ojciec nigdy ich nie sprawdzał. Podejmował pieniądze, kiedy ich potrzebował, a resztę zostawiał współnikowi. Aż do dnia, kiedy pan W. poinformował go, że pieniądze się skończyły, bo wszystko pochłonęły straty. Na dowód przedstawił księgi rachunkowe.

Ojciec wrócił do domu załamany. Tak jak w dniu wybuchu pierwszej wojny światowej przyniosłem mu szklankę wody z sodą oczyszczoną, bo znów leżał na kanapie, dręczony skurczami żołądka. Godzinę później zadzwonił telefon. Stary pan G., buchalter firmy, chciał porozmawiać z ojcem w cztery oczy.

Przyszedł po kolacji. Był niskim człowieczkiem o pomarszczonej twarzy, w meloniku, sztucznych spodniach i surducie. Pracował w firmie pana W. od około czterdziestu lat, jeszcze za ojca, a nawet dziadka obecnego właściciela. Miał już pod siedemdziesiątkę, był symbolem starej cesarskiej Austrii. Po godzinnej rozmowie z ojcem wyszedł z popielatą twarzą, jeszcze bardziej postarzały. Sumienie kazało mu przyznać się ojcu, że od około dwóch lat na polecenie pana W. systematycznie fałszował daty w księgach rachunkowych. Przyniósł też ze sobą i zdeponował u ojca napisane kaligraficznym pismem długie oświadczenie, w którym szczegółowo opisał cały proceder.

Wyznając prawdę, G. narażał się oczywiście na utratę pracy i dobrego imienia, a nawet na więzienie. To, że zdecydował się na ten krok, nie tylko dowodziło jego uczciwości i wystawiało najlepsze świadectwo dziewiętnastowiecznemu światu, z którego się wywodził; świadczyło też o ujmującej osobowości mego ojca, o jego rozbijającej niewinności.

Ojciec udał się do adwokata i pan W. został aresztowany pod zarzutem defraudacji. Stary G. z jakiegoś powodu pozostał na wolności. Pan W. zaproponował ojcu miliard austriackich szylingów za wycofanie skargi. Mimo inflacji była to ogromna kwota, stanowiła mniej więcej połowę sumy, którą według zeznań buchaltera pan W. zdefraudował. Adwokat odradził ojcu ugodę i ojciec odmówił. Kilka dni później pan W. wyszedł z więzienia za kaucją. Po tygodniu sprawę przeniesiono z sądu karnego do administracyjnego. Adwokat twierdził, że pan W. musiał zapłacić łapówkę; sędziów, zarabiających w okresie inflacji tyle, ile kosztował wówczas kilogram masła, było wówczas prawie tak samo łatwo kupić, jak ich żony i córki w barach przy Kärntnerstraße.

Sprawa ciągnęła się przez kilka lat. Na dobę przed pierwszą rozprawą pana G. znaleziono martwego w jego nędznie umeblowanym pokoju. Sekcja zwłok wykazała udar mózgu. Adwokaci pana

W. twierdzili, że G. przez zemstę złożył nieprawdziwe zeznania. Cóż mogło znaczyć słowo biednego nieżyjącego człowieka przeciwko słowu pana W. z jego pieniędzmi i znajomościami? Istniały oczywiście dokumenty firmy, ale te tymczasem zostały odpowiednio spreparowane. Ich badanie ciągnęło się przez następny rok. W końcu ojciec nie potrafił już dowieść niczego i przegrał sprawę. Proces pochłonął resztki oszczędności.

Historia ta zniszczyła ojcu zdrowie i nerwy. Nigdy nie pogodził się z niesprawiedliwością, która spotkała go za sprawą złego losu i ludzi pozbawionych skrupułów. Czułem dlań litość i coraz większą odpowiedzialność za rodziców. Moja kosztowna edukacja stanowiła teraz jedyną inwestycję, na której można było opierać nadzieję na przyszłość. W następnym roku miałem skończyć studia, a potem szukać pracy jako kreślarz w fabryce. W biednej, kadłubowej Republice Austriackiej staczającej się coraz głębiej w otchłań kryzysu młodym inżynierom niełatwo było znaleźć pracę, i tak zresztą marnie opłacaną. Ale innego wyjścia nie było. Mogłem liczyć, że w ciągu dziesięciu lat zostanę naczelnym inżynierem, a po dwudziestu lub trzydziestu wiceprezesem lub kimś w tym rodzaju. A tymczasem strzała, rozszczepiona lub nie, kontynuowała swój lot w nieskończoną dal.

Jesienią 1925 roku ojciec uzbierał trochę pieniędzy na podróż do Londynu, gdzie miał nadzieję odnowić kontakty z angielskimi fabrykantami. Choć zachowywał pozory optymizmu i rozprawiał o „rewelacyjnych” i „kolosalnych” interesach, stracił dawną pewność siebie; aby mieć oparcie, zabrał ze sobą mamę. Zostałem sam w pensjonacie, w którym mieszkaliśmy przez ostatnie trzy lata.

Pewnego październikowego wieczoru wróciłem późno do domu po długiej dyskusji z rosyjskim studentem Tarasowem na temat wolnej woli i determinizmu. Tarasow był socjalistą i wyglądał tak, jakby zszedł wprost z kart *Biesów*; nie spotkałem w życiu człowieka, który bardziej przypominałby bohaterów Dostojewskiego. Był brzydki, szczery, miał udręczoną duszę i gorące serce. Rok później popełnił samobójstwo, skacząc z mostu do zamrzniętego Dunaju. Nie mógł dłużej znieść skrajnej nędzy.

Podczas naszej dyskusji Tarasow uparcie bronił

deterministycznego stanowiska, ja natomiast twierdziłem, że w określonych granicach człowiek ma wolność decyzji i jest panem swego losu. Nie piliśmy alkoholu, tylko słabą herbatę, ale do domu wracałem w stanie upojenia. Padał ulewny deszcz, a ponieważ nie miałem kapelusza ani parasola, z rozkoszą poddałem się strugom wody, która wlewała mi się za kołnierz i lodowatym strumyczkiem ściekała po plecach. Ulice były puste; z powodu ogromnej ilości wypitej herbaty musiałem przystanąć pod latarnią i mój mały dodatek do potoków wody lejących się z nieba wydał mi się jakoś symboliczny i znaczący.

Po przyjsciu do domu, zapaliłem zapalkę i ogarnięty maniackim uniesieniem powoli spaliłem swój indeks. Dokument ten był świętą księgą każdego studenta; wpisywano w nim stopnie z egzaminów, zaliczenia wykładów i ćwiczeń oraz inne ważne dla przebiegu studiów informacje. Odtworzenie go byłoby bardzo trudne, jeśli w ogóle możliwe, ponieważ na politechnice, z powodu nadmiaru studentów, prowadzono tylko księgi egzaminacyjne, tymczasem obecność na niektórych wykładach była obowiązkowa. Toteż paląc indeks, w praktyce paliłem za sobą mosty – traciłem szansę na ukończenie studiów i tytuł inżyniera.

Zrobiłem to bez wcześniejszego namysłu. Decyzja musiała z pewnością dojrzewać od jakiegoś czasu w mojej podświadomości, ale świadomie nigdy nie ośmieliłem się nawet pomyśleć o czymś takim. Porzucenie studiów w siódmym, czyli przedostatnim semestrze, a tym samym odrzucenie trudnej, ale solidnej kariery zawodowej w chwili, gdy rodzice wiązali z nią wszystkie nadzieje, było szczytem nieodpowiedzialności i głupoty.

Powodem mego pozornie szalonego kroku było nagłe pragnienie zrobienia czegoś nierozsądnego. Dyskusja z Tarasowem wprowadziła mnie w stan, który mogę tylko nazwać nagłym przypiływem „uczucia oceanicznego”, i w tym stanie wszystkie wartości uległy odwróceniu.

Nie miałem żadnych planów z wyjątkiem tego, aby „żyć własnym życiem”. W tym celu musiałem „zejść z torów”. Tory te wyobrażałem sobie bardzo wyraźnie jako niekończące się szyny kolejowe leżące na butwiejących podkładach. Tarasow twierdził, że człowiek rodzi się na pewnym torze, tak jak pociąg zaczyna swój bieg zgodnie z rozkładem

jazdy; i znalazłszy się na takim torze, nie ma już wolnej woli. Jego życie jest określone przez siły zewnętrzne: stalowe szyny, stacje, zwrotnice. Jeżeli się z tym pogodzi, bieg po torach stanie się przyzwyczajeniem, od którego nie będzie już mógł się uwolnić. Chodziło o to, aby człowiek zeskoczył z tych torów, zanim przywyknie, zanim zostanie zamknięty w toczącym się więzieniu. Inaczej mówiąc, rozsądek i rutyna wydawały mi się kaftanem bezpieczeństwa, pod którym gniło żywe ciało.

Teorię tę tłumaczyłem swoim przyjaciółom z wielką elokwencją, która stała się jeszcze większa, gdy chwilowa iluminacja minęła, a ja przeraziłem się tego, co zrobiłem. Odpowiadali mi zgodnie: „Po prostu odechciało ci się być inżynierem. Może rzeczywiście to nie jest twoje powołanie, ale na litość Boską odbębnij te pozostałe pół roku i skończ studia, a potem rób, co chcesz. W razie czego zawsze będziesz miał dyplom w kieszeni. Bez względu na twoje przyszłe plany, rezygnowanie w ostatniej chwili z szansy na porządny zawód, to wariactwo”. „Ale ja chcę postępować jak wariat” – powtarzałem uparcie.

W nocy po spaleniu indeksu miałem sugestywny sen. Byłem małym dzieckiem i szedłem z guwernantką budapeszteńską ulicą. Przechodziliśmy obok sklepu żelaznego i wtedy wyrwałem się jej, wszedłem do sklepu i kupiłem łopatę...

Sen ten nawiązywał do jednego z moich ulubionych dziecięcych marzeń. W wieku około pięciu lat, czyli w okresie wielkiej samotności przed pójściem do szkoły, często marzyłem o tym, żeby uciec z domu, kupić łopatę i zarabiać na życie tak, jak mężczyźni pracujący na ulicach przy sadzeniu drzew i kładzeniu szyn tramwajowych. Nie martwiłem się jakoś tym, że nie mam pieniędzy na łopatę ani że władze miejskie nie przyjmują do pracy pięcioletnich chłopców.

Marzenie o łopacie i sen, który mi o nim przypomniał, ujawniały ukryte w podświadomości pragnienie ucieczki i spalenia za sobą mostów, pragnienie, które oładnęło mną w nocy po rozmowie z Tarasowem – a także później, w innych decydujących sytuacjach.

Cztery czy pięć miesięcy, które dzieliły ową noc od mego wyjazdu do Palestyny, były prawdziwym koszmarem. Decyzja o porzuceniu studiów zapadła na „płaszczyźnie tragicznej”, na której liczą się tylko takie kwestie, jak wolna wola i determinizm, a względy praktyczne się

nie liczą. Ale większa część doby upływa człowiekowi na „płaszczyźnie banalnej” codzienności, gdzie wielkie słowa nie mają ani znaczenia, ani wymiernej wartości, i są zbywane wzruszeniem ramion jako objaw nerwicy.

W tym przejściowym okresie żyłem w czyścicu poczucia winy i wyrzutów sumienia. Moi rodzice tkwili w Anglii. Podejrzywałem, że nie mają pieniędzy na powrót. Często po kilka tygodni zalegałem z opłatami za mieszkanie w pensjonacie, ale ojcu udawało się od czasu do czasu przesłać właścicielowi jeden czy dwa funty, a ponieważ mieliśmy trochę mebli i rzeczy, które w razie potrzeby mogłem sprzedać, miałem co jeść i gdzie mieszkać. To tylko zwiększało jeszcze moje poczucie winy, bo wiedziałem, jak ciężko jest ojcu zdobyć te kilka funtów, ja tymczasem trwoniłem czas w bibliotece i pisałem kłamliwe listy, zapewniając rodziców, że za kilka miesięcy skończę studia, pójdę do pracy i będę zarabiał na utrzymanie domu.

Gnębiły mnie tak silne wyrzuty sumienia, że rano nie mogłem wstać z łóżka i czytałem, drzemałem albo marzyłem na jawie do drugiej albo trzeciej po południu. Zdarzało się nawet, że spędzałem w pościeli cały dzień.

W tym czasie napisałem jedyny wiersz, który moim zdaniem ma jakąś literacką wartość. Była to modlitwa nowego samochodu, który pewnego zimnego poranka zjeżdża z taśmy montażowej. Pierwszy raz uruchomiono silnik i karoseria auta drży z obawy przed tym, co je czeka na szosie. Modli się:

Panie, jak trudny jest pierwszy krok,
A potem tylko wieczny mrok.

Wytrwałem jednak w swoim postanowieniu i moja noga więcej nie pozostała w budynku politechniki przy Karlsplatz. Są dwa rodzaje odwagi: odwaga dzielnego człowieka i odwaga tchórza, który często bywa bardziej uparty. Mnie zawsze cechowała ta druga. Byłem śmiertelnie przerażony podjętą decyzją, ale nie zmieniłem jej. W nogach łóżka postawiłem kawałek kartonu z takim oto mottem: **MIEĆ ODWAGĘ – TO NIGDY NIE POZWOLIĆ, ABY TWOJE LĘKI MIAŁY WPŁYW NA TWOJE CZYNY.**

W moim pensjonacie mieszkało dwoje niezwykłych ludzi. Byli to

pierwsi intelektualiści, z którymi się zetknąłem. Dr Theodor Adorno, filozof i estetyk muzyki, uczeń Albana Berga, był nieśmiałym, roztargnionym i tajemniczym młodym człowiekiem obdarzonym subtelnym urokiem osobistym, którego jednak nie umiałem wtedy docenić. Podobno jedna z postaci z *Doktora Faustusa* Thomasa Manna jest jego zjadliwą karykaturą. W pensjonatowej jadalni Adorno siadywał przy stoliku z osobą tak jak on zamkniętą w sobie: aktorką Anni Mewes, przyjaciółką Rainera Marii Rilkego (zachowały się listy poety do niej). Adorno i Mewes od czasu do czasu schodzili ze swego intelektualnego Olimpu i życzliwie zamieniali ze mną kilka słów. Nie mogli oczywiście traktować poważnie młokosa z korporacji studenckiej, paradującego z trójkolorową szarfą w poprzek piersi. Ale moje błazeństwa chyba ich bawiły.

Pewnego dnia Adorno i Mewes podejmowali gościa: tęgą kobietę w średnim wieku o żywych ruchach i brzydkiej, acz ciekawej twarzy. Jak się później dowiedziałem, była to Regina Ullmann, szwedzka poetka, której utwory zdobyły uznanie krytyki literackiej, choć pozostały praktycznie nieznaną szerszej publiczności. Po obiedzie panna Mewes zaprosiła mnie do ich stołu i przedstawiła Reginie Ullmann – przypuszczam, że w charakterze lokalnej osobliwości. Szwedka przyjrzała mi się i zapytała, czy to prawda, że rzuciłem studia bez zgody rodziców. Zadała jednak swoje pytanie tak rzeczowym tonem, pozbawionym wszelkich dydaktycznych podtekstów i ocen moralnych, że moja nieśmiałość prysła w jednej chwili i wyłożyłem jej swoją teorię o konieczności zejścia z torów i błogosławieństwach braku rozsądku. Słuchała uważnie, a potem rzekła:

– Jest pan tak głęboko przekonany o słuszności swoich poglądów, że nie rozumie pan ludzi, którzy ich nie podzielają, prawda?

Skwapliwie przytaknąłem, na co Ullmann powiedziała:

– No cóż, młody człowieku, może ma pan i rację.

To było wszystko. Nigdy więcej nie spotkałem Reginy Ullmann, nie czytałem też żadnej z jej książek. Ale ta krótka rozmowa bardzo podniosła mnie na duchu.

Wyjazd do Palestyny w charakterze pioniera (po hebrajsku *chaluc*) – to znaczy robotnika rolnego bez kapitału – nie był wprawdzie tak

trudnym zadaniem jak zdobycie amerykańskiej wizy imigracyjnej, ale wcale nie należał do łatwych. Brytyjskie władze mandatowe co roku przyznawały Światowej Organizacji Syjonistycznej pewną liczbę świadectw imigracyjnych, które organizacja rozdzielała między partie syjonistyczne. Ponieważ liczba uzyskanych świadectw decydowała o sile danej partii w Palestynie, stronnictwa walczyły o nie jeszcze zacieklej niż o należną sobie część funduszy z ŚOS. Prawie wszystkie świadectwa dla *chalucim*^[6] bez kapitału otrzymywały ugrupowania lewicowe. Prowadziły one w Europie szkoły rolnicze, w których kandydaci na emigrantów uczyli się podstaw uprawy roli, a także odbywali gruntowne szkolenie polityczne. Nauka trwała od roku do dwóch, a czasem dłużej, zależnie od liczby dostępnych świadectw imigracyjnych.

Nowo powstała partia rewizjonistyczna nie otrzymała dotąd żadnych świadectw. Ale mój przypadek był wyjątkowy, ponieważ rzadko się zdarzało, aby obiecujący polityk syjonistyczny i działacz korporacyjny postanowił rąbać drwa i orać ziemię w Palestynie. Dlatego, dzięki cierpliwym zabiegom, pomocy ustosunkowanych ludzi i po zdaniu egzaminu z nowohebrajskiego zostałem przez wiedeński oddział Organizacji Syjonistycznej umieszczony na liście oczekujących na świadectwo imigracyjne dla robotników rolnych.

Egzamin z hebrajskiego był z tego wszystkiego najłatwiejszy. W ciągu kilku tygodni nauczyłem się mówić dość biegle tym zmartwychwstałym językiem biblijnym. Najtrudniejsze było czekanie i niepewność, czy dostanę w końcu upragniony certyfikat, od którego wszystko zależało. Gdyby mi go odmówiono, nie wiedziałbym, jak wyzwolić się z koszmaru, w którym żyłem.

Świadectwo otrzymałem około połowy marca 1926 roku. Rodzice nadal przebywali w Anglii. Napisałem do nich długi list, bodaj najbardziej rozwlekły i kłamliwy utwór, jaki w życiu spłodziłem. Donosiłem, że wyjeżdżam na rok do Palestyny, aby objąć stanowisko zastępcy inżyniera w jednej z fabryk, i że dzięki zdobytej w ten sposób praktyce znacznie łatwiej mi będzie znaleźć później pracę w Austrii. Rodzice zachowali się wspaniale, bo zamiast gróźb i przekleństw przysłali mi błogosławieństwo – wraz z przestrogą matki, żebym

„na Wschodzie” nie wdał się broń Boże w złe towarzystwo, a na statku nosił szalik, bo na pokładzie zwykle mocno wieje.

Opuściłem Wiedeń i dom rodzinny symbolicznego dnia: 1 kwietnia 1926 roku. Fakt, że był to „prima aprilis”, nie zakłócił podniosłości chwili. Cała korporacja stawiała się na dworcu „w pełnej gali” i gdy ja wystawiałem radosną twarz przez okno przedziału trzeciej klasy, odśpiewała hymn syjonistyczny. Potem rozległ się gwizdek lokomotywy, świst pary i stukot kół ruszającego pociągu – najcudowniejsza muzyka dla młodego człowieka zmierzającego na spotkanie przygody. Moje dziecięce marzenie wreszcie się spełniło: uciekłem i kupiłem sobie łopatę.

Obieżyświat na wolności

Jak już wspomniałem, osadnicy żydowscy uważali, że Żydzi mogą się odrodzić jako naród tylko wtedy, gdy pod względem struktury społecznej upodobnią się do innych narodów, to znaczy wytworzą liczną warstwę rolników i robotników. Aby znów stać się normalnym narodem, muszą odwrócić piramidę socjalną istniejącą w getcie, które od wieków skazywało ich na pasożytniczą egzystencję lichwiarzy, handlarzy i pośredników. Ziemia obiecana stanie się naprawdę ich ziemią dopiero wówczas, gdy będą ją uprawiać własnymi rękami. „Jeśli swych sił nie wyteżę, plonu nie zbiorę” – pisał hebrajski poeta Bialik.

Ten pogląd określił charakter ruchu syjonistycznego. Hasło powrotu do ziemi nie wzięło się z romantycznego kaprysu, wyrażało historyczną konieczność.

A kiedy uznano tę konieczność, z typową dla Żydów przesadą podniesiono ją do rangi nieomal mistycznego kultu pracy rąk, trudu, który uszlachetnia. Kult ten stopił się z marksistowską doktryną klasową, z tołstojską etyką i żydowskim mesjanizmem. Ten osobliwy aliaż narodowego odrodzenia i socjalistycznej utopii znalazł najczystsze wcielenie w osiedlach kolektywnych – wspólnotach agrarnych, które nadały Izraelowi charakter niezwyklego eksperymentu społecznego.

Jechałem właśnie do jednego z takich osiedli, Kwuca Hefciba w dolinie Jezreel. Słowo *kwuca* znaczy „grupa” lub „wspólnota” i określa się nim mniejsze osiedla kolektywne, większe bowiem nazywają się kibucami. Hefciba to arabska nazwa wzgórza, w pobliżu którego leżało osiedle.

Dolina Jezreel ciągnie się szerokim łukiem od Morza Śródziemnego do Jordanu. W czasach biblijnych była i dziś znów jest najżyźniejszym obszarem w Palestynie. W 1926 roku rozpościerała się tu kamienna pustynia, nawiedzana przez malarię, tyfus i beduińskich rozbójników.

W tym czasie Hefciba była osiedlem żydowskim położonym najdalej na wschód, w głębi terytorium zamieszkanego przez samych Arabów. Miała też najgorszy klimat, leżała bowiem około stu metrów

poniżej poziomu morza. Latem panował tu upał i duchota, potęgowane jeszcze przez chamsin, gorący wiatr pustynny; znane jest jego niekorzystne działanie na system nerwowy człowieka – dawne prawo tureckie uznawało za okoliczność łagodzącą to, że zbrodnia została popełniona podczas chamsinu. Komary, muchy, karaluchy i pluskwy występowały w obfitości – była to jedyna obfitość, jaką natura obdarzyła tę ziemię, gleba bowiem była tu jałowa i kamienista, nie tknięta lemieszem od półtora tysiąca lat. Wśród osadników spotykało się prawie samych adwokatów, architektów i doktorów filozofii z Wiednia i Pragi. Nie znali wcześniej uprawy roli ani ciężkiej pracy fizycznej. Osiedle zbudowano u stóp wzgórza Bet-Choron, gdzie Jozue pokonał Amorytów i kazał stanąć słońcu.

Przyjechałem do Hefciby pewnego kwietniowego wieczoru w 1926 roku. Na widok osiedla przeżyłem szok. Kilka dni wcześniej zszedłem na ląd w Hajfie i wciąż miałem w oczach malowniczy i barwny obraz tego orientального miasta portowego. Teraz znalazłem się w ponurej i zaniedbanej oazie pustynnej; liche poletka warzywne otaczały drewniane chaty. Chaty te nie przypominały domów z bali, jakie stawiali amerykańscy pionierzy, ale były jak sklecone budy typowe dla europejskich dzielnic nędzy. Tylko obora i kwadratowy, biały budynek, w którym mieszkały rozdzielone z rodzicami dzieci, były z betonu. Nie wiem, jak wyobrażałem sobie to osiedle, ale na pewno nie tak.

Była pora kolacji. Mężczyźni i kobiety zebrali się w drewnianym baraku mieszczącym osiedlową jadalnię. Siedzieli na ławach przy stołach zrobionych z nieheblowanych desek. Większość miała pewnie od dwudziestu do trzydziestu lat, ale widoczne w ich postaciach zmęczenie sprawiało, że wyglądali znacznie starzej. Zwieszali się nad talerzami, opierając łokcie na stole, i w milczeniu zajadali zupę, nie mając nawet sił rozmawiać. Ich twarze były opalone, ale niezdrowe – wiele miało żółtawy odcień zdradzający malarię; surowy klimat i ciężka praca wyostrzyły rysy kobiet. Kiedy wszedłem, nikt się mną nie zainteresował, nie zapytał, co mnie sprowadza. Tak mi się przynajmniej zdawało. Dopiero później przekonałem się, że wspólnota bardzo uważnie, choć w milczeniu przygląda się każdemu nowemu przybyszowi.

Zapytałem o Guetiga, swego czasu członka korporacji Unitas, a teraz jednego z kierowników osady, którego uprzedzono o moim przyjeździe. Usłyszałem, że choruje na malarię. Człowiek, który odpowiedział na moje pytanie, bez dalszych wyjaśnień posunął się, aby zrobić mi miejsce przy stole. Usiadłem, podano mi zupę i pajdę chleba, ale wciąż nikt nie pytał, kim jestem i co tu robię. W żydowskich wspólnotach obowiązywała i nadal obowiązuje zasada, że wędrowcowi daje się jedzenie i nocleg, nie żądając zapłaty i nie zadając żadnych pytań.

Kolacja składała się z zupy cebulowej, chleba, koziego sera i oliwek. Obiad następnego dnia wyglądał tak samo, a na śniadanie była herbata oraz sałatka z cebuli i surowych warzyw. Mięso jedzono tylko raz w tygodniu, w szabat.

Wdałem się w rozmowę z moim sąsiadem, śniadym i wychudzonym mężczyzną w grubych okularach. Na jego pobrużdżonej twarzy malowała się siła, inteligencja i łagodność. Nazywał się dr Loeb. Zadedykowałem mu swoją powieść o Palestynie, *Thieves in the Night*.

Wyjaśniłem Loebowi, że przyjechałem, aby wstąpić do wspólnoty. – Na stałe? – zapytał, nie podnosząc oczu znad talerza.

Odpowiedziałem, że jeszcze nie wiem; że chciałbym popracować tu rok lub dwa, a potem może poszukam pracy w Tel Awiwie albo zajmę się polityką. Loeb przyjął moje słowa w milczeniu. Chłęptał zupę i żuł chleb, skupiając się na jedzeniu, jak ludzie, którzy przez cały czas walczą o zachowanie sił. Tak jedzą ciężko chorzy i więźniowie obozów koncentracyjnych wiedzący, że każda stracona kaloria zmniejsza ich szanse na przeżycie. Po pewnym czasie Loeb powiedział, że z powodu kryzysu ekonomicznego kandydatów na członków wspólnoty jest więcej, niż może ona przyjąć. Widząc przestrach w moich oczach, dodał, że porozmawia z sekretarzem – sekretarz był starostą i przywódcą wspólnoty – i zapyta, czy mógłbym zostać przez kilka tygodni na próbę.

Przed przyjęciem do wspólnoty każdy kandydat musi odbyć okres próbny – rodzaj nowicjatu – podczas którego ocenia się jego tężyznę fizyczną i zdolność przystosowania się do nowego otoczenia. Jak się znacznie później dowiedziałem, podczas naszej krótkiej rozmowy Loeb zdążył już mnie ocenić i dojść do wniosku, że się nie nadaję. Nikt nie

wstępuje do wspólnoty „na rok lub dwa”, tak jak nikt na rok lub dwa nie wstępuje do zakonu. W późniejszych czasach młodzi ludzie przed podjęciem pracy w mieście spędzali zwykle pół roku lub rok w gospodarstwie kolektywnym. Ale w owych latach wstąpienie do *kwuca* było zobowiązaniem na całe życie.

Dostałem łóżko w pustej i dusznej izdebce, w której spało już dwóch innych mężczyzn. Izba zajmowała połowę domu, w którego drugiej połowie mieszkało małżeństwo. Przez cienkie drewniane przepierzenie słyszeć było każde słowo i każdy dźwięk. Brak sfery prywatnej, do której nie należała nawet łaźnia z prysznicami i latryna, dokuczał osadnikom jeszcze bardziej niż choroby i fizyczne zmęczenie. We wszystkich wspólnotach obowiązywała zasada, że dzieci i bydło mają pierwszeństwo przed dorosłymi. Dlatego pierwszym betonowym budynkiem była obora, a drugim dom dla dzieci, podczas gdy dorośli musieli mieszkać w namiotach i drewnianych budach, często przez wiele lat. Ten dobrowolny ascetyzm wynikał po części z biedy, a po części z kolektywistycznej ideologii osadników. Członkowie *kwuca* uważali ją za mistyczną wspólnotę, w której nie tylko własność, ale myśli, uczucia i najbardziej intymne sfery życia należy dzielić ze sobą – z jedynym wyjątkiem życia seksualnego. Rozwiążłość uważano za oznakę egoizmu i nieprzystosowania społecznego. Kłótnie i tragedie na tle seksualnym naturalnie zdarzały się, ale były rzadkością, przede wszystkim dlatego, że zmęczenie i brak intymności stępiały popęd płciowy. Doprowadziło to zresztą do ciekawego zjawiska – powstania swego rodzaju bariery erotycznej między mężczyznami a kobietami z tej samej wspólnoty i wytworzenia się skłonności do egzogamii, czyli zawierania małżeństw z obcymi.

Na drugi dzień po przyjeździe zostałem przydzielony do pracy na stromym zboczu, które miało się kiedyś stać polem warzywnym. Na razie jednak był to wytyczony palikami pas jałowej ziemi, mającej w sobie chyba więcej kamieni niż gleby. Wszystkie kamienie należało zebrać i wynieść w koszach. Kiedy mały skrawek został oczyszczony z większych kamieni, motyką żłobiło się w nim bruzdy. Po dwóch godzinach takiej roboty ręce miałem całe w pęcherzach, w głowie mi się kręciło, choć owinąłem ją mokrą chustką, a każda kostka bolała mnie

tak, jakby łamano mnie kołem. Loebł, który kierował naszą grupą roboczą, przyglądał mi się kątem oka i raz po raz radził odpocząć. Drugiego i trzeciego dnia było tak samo; dopiero pod koniec pierwszego tygodnia przywykłem do rytmu pracy i nauczyłem się wykonywać wszystko najmniejszym nakładem sił.

Okres próbny trwał cztery lub pięć tygodni. Za wszelką cenę starałem się ukryć niechęć do łopaty – tego zardzewiałego, powyginanego narzędzia, tak różnego od lśniącego nowością symbolu moich dziecięcych marzeń o wolności. Ale w małej wspólnotcie, w której każdy żyje niejako na oczach innych, nic się nie ukryje; nawet chwilowy zły humor, cień niezadowolenia, pierwsze oznaki sympatii czy wrogości są natychmiast widoczne dla wszystkich. Nie jest to skutek plotek ani wzajemnego szpiegowania, ale raczej jakiegoś szóstego zmysłu, który wytwarza zżyta ze sobą społeczność i który rejestruje wszelkie odchylenia od normy z precyzją sejsmografu. Członek *kwuca* ma przez to dziwne wrażenie, że jest przezroczysty, jakby wciąż prześwietlał go aparat rentgenowski, przed którym nie ma się gdzie schować. U większości doprowadza to prędzej czy później do psychicznego kryzysu. Mniej więcej połowa osób nie jest w stanie tego wytrzymać i opuszcza *kwuca* w drugim lub trzecim roku pobytu. Pozostali trwale się przystosowują i po kilku dalszych latach stają się niezdolni do innego życia.

Być może po kilku miesiącach rozsmakowałbym się w kopaniu, ale na początku nie potrafiłem ukryć swojej awersji. Na moją niekorzyść przemawiało też to, że chciałem zostać tylko na określony czas – co uznano za niepoważną, „kosmopolityczną” postawę – że kandydatów na kibucników było trzy do czterech razy więcej niż miejsc i że należałem do partii Żabotyńskiego. Członkowie wspólnoty mieli skrajnie lewicowe poglądy i uważali mego mentora za militarystę, a jego partię za ruch faszystowski.

Pod koniec okresu próbnego Loebł oświadczył mi delikatnie, że na zebraniu członków wspólnoty uznano, iż dwóch innych kandydatów lepiej ode mnie nadaje się pod względem fizycznym i psychicznym do życia w *kwuca*. Przyjąłem tę wiadomość z mieszanymi uczuciami: przygnębieniem i na wpół świadomą ulgą. Trudności,

o których wcześniej wspomniałem, nie były zmyślane, ale gdybym miał prawdziwe powołanie, zapewne bym je przewyciężył. Mimo to fiasko moich planów było dla mnie dużym rozczarowaniem i choć wiem doskonale, że nie nadawałem się do życia w kolektywie, jeszcze dziś pamięć o tej osobistej klęsce sprawia mi przykrość.

Pobyty w *kwuca* oznaczał życie w heroicznym ubóstwie i zmaganie się z przyrodą na granicy ludzkiej wytrzymałości. Nie istniały tu instytucje i udogodnienia właściwe normalnym społeczeństwom. Ani policja, ani żandarmeria nie broniły osadników, choć w kraju tym uważano ich za niepożądanych gości. Musieli oni w jednej ręce trzymać pług, a w drugiej miecz, tak jak w czasach Ezdrasza, po powrocie Żydów z babilońskiej niewoli. W osiedlach obowiązywał zakaz pracy najemnej. To samo dotyczyło własności prywatnej i pieniędzy. Członek wspólnoty pracował do utraty tchu i otrzymywał absolutne minimum potrzebne do życia. Miał zapewniony dach na głowę i jedzenie, a ze sklepu osiedlowego dostawał bezpłatnie mydło, szczoteczkę do zębów, ubranie robocze, lektury, znaczki pocztowe i środki antykoncepcyjne. Jego potomstwo wychowywało się pod opieką pielęgniarek i nauczycieli w osiedlowym domu dla dzieci. Pieniędźmi obracał tylko skarbnik wspólnoty, ale nawet on swoje transakcje przeprowadzał głównie na papierze. Potrzebne towary kupowano na kredyt w spółdzielczych sklepach należących do hebrajskich związków zawodowych, a produkty wytworzone przez wspólnotę sprzedawano innemu oddziałowi tej organizacji. Dzieci urodzone i wychowywane w osiedlach nigdy nie widziały banknotów ani monet; nie znały wartości pieniędzy i nie umiały się nimi posługiwać.

Wszystko to sprawiało, że wspólnoty tworzyły własny świat, odcięty od świata zewnętrznego. Życie w *kwuca* było ciężkie, ale jednocześnie pozbawione ekonomicznych trosk, zmartwień typowych dla zwykłej egzystencji. Wspólnota zaspokajała wszystkie potrzeby swoich członków od kołyski po grób.

Teraz zaczął się dla mnie czas biedy i głodowania, który trwał około roku.

Przyjechałem do Palestyny z niecałym funtem w kieszeni. Mój bagaż składał się z jednej walizki, w której miałem garnitur na zmianę,

parę butów, sześć koszul i dzieło Schopenhauera *Świat jako wola i przedstawienie* w dwóch tomach, z których jeden skradziono mi w Hajfie zaraz po przyjeździe. Drugi tom, razem z garniturem, koszulami itd. zamierzałem oddać sklepowi osiedlowemu w Hefcibie. Nie martwiłem się o pieniądze, bo jako członek wspólnoty nie potrzebowałem ich.

Wyjeżdżając z Hefciby, miałem już tylko około dwudziestu piastrów, czyli mniej więcej cztery szylingi. Musiałem iść do Hajfy na piechotę. Odległość wynosiła tylko sześćdziesiąt kilometrów, ale z powodu tropikalnego upału, konieczności niesienia walizki i lekkiej dyzenterii, której się nabawiłem, do celu dotarłem dopiero po trzech dniach. Mniej więcej co dwa kilometry musiałem przystawać pod krzakiem, a w tym czasie krzaki w dolinie Jezreel rosły dość rzadko. Mimo to nie narzekałem. Na posiłki i nocleg zatrzymywałem się w kolektywnych osiedlach położonych przy drodze – Tel Josef, Ein Harod, a także w nowych wsiach, takich jak Nahalal, gdzie mieszkańcy byli nie mniej gościnni. W dolinie Jezreel – rolniczym centrum przyszłego państwa – mówiono wyłącznie po hebrajsku. Na ulicach Hajfy i Tel Awiwu wciąż słyszało się rosyjski, polski, jidysz lub niemiecki, ale osadnicy z doliny byli purystami również pod względem językowym. Byli to twardzi, małowówni ludzie; od rolników z innych stron świata różnili się przede wszystkim biblijną gościnnością i kulturą umysłową, która wychodziła na jaw, gdy nawiązało się z nimi bliższy kontakt. Chociaż zaznałem od nich wiele życzliwości, podświadomie uważałem, że nie dorównują mieszkańcom Hefciby. Mój pobyt był krótki i skończył się wyjazdem, ale zdążyłem się już zarazić lokalnym patriotyzmem prawdziwego osadnika.

Do Hajfy przyszedłem z nienaruszonymi dwudziestoma piastrami i wyleczony z dyzenterii. Nie wiedziałem, co robić dalej, ale miałem nadzieję, że partia rewizjonistyczna pomoże mi znaleźć jakąś pracę.

Po przyjeździe z Europy i przed wyruszeniem do Hefciby odwiedziłem przywódcę partii w Hajfie, dr. Abrama Weinshalla, jednego z najbardziej znanych adwokatów w ówczesnej Palestynie. Miał wtedy trzydzieści kilka lat, był wysokim mężczyzną o młodzieńczym wyglądzie.

Pierwszy raz spotkaliśmy się po południu w jego biurze, dzień po moim przyjeździe. Rozmawialiśmy do trzeciej nad ranem, czyli około dwunastu godzin. Obaj byliśmy żarliwymi zwolennikami Żabotyńskiego; omówiliśmy działalność naszej partii w Palestynie w porównaniu z Europą i snuliśmy plany przyszłych kampanii politycznych. Oprócz tego że mieliśmy identyczne poglądy polityczne, polubiliśmy się od pierwszej chwili. Nasza przyjaźń trwa do dziś.

Po powrocie z Hefciby zadzwoniłem do Abrama. Ucieszył się, że nie zostałem osadnikiem, i od razu zaprosił mnie do siebie. Powiedział, że mogę mieszkać z nim i jego żoną, jak długo zechcę. Z radością przyjąłem zaproszenie i udałem się do nich, wydając pół piasra na autobus, i pięć na kwiaty dla pięknej Ziny.

Pobyty u Weinshallów był bardzo przyjemnym interludium, które odsunęło o kilka tygodni okres mojego głodowania. Wraz z Abramem rzuciliśmy się w wir działalności politycznej, która koncentrowała się wokół trzech przedsięwzięć. Pierwszym był hebrajski tygodnik pod tytułem „Zafon”, czyli „północ” (Hajfa była największym miastem północnej Palestyny). Drugim – Sochnut Medinit Leumit, dosłownie „Państwowa Narodowa Agencja Prasowa”, która przygotowywała przeznaczony dla Europy polityczny serwis prasowy. Trzecim Sehutenu – „nasza prawica” – rodzaj Ligi Swobód Obywatelskich, która miała zapewniać Żydom pomoc prawną i bronić ich przed nadużyciami władz mandatowych. Te trzy przedsięwzięcia – nazywane przez nas żartobliwie „trzema S” – wypełniały nam czas do drugiej, trzeciej w nocy. Tygodnik hebrajski był składany i odbijany ręcznie w małej drukarni w dzielnicy arabskiej. Ponieważ mój hebrajski nie wystarczał do prac redakcyjnych, przypadło mi zadanie pozyskiwania reklam do tygodnika. Przez osiem godzin dziennie wędrowałem rozpalonymi, zakurzonymi uliczkami Hajfy i namawiałem sklepikarzy, przedsiębiorców i właścicieli kawiarni do reklamowania się w naszym piśmie. Dzięki temu dobrze poznałem charakter tego przemysłowego miasta pionierów z jego tygłem ras i narodów.

Liga Swobód Obywatelskich była oczkiem w głowie Abrama, agencja prasowa – moim. Pisałem większość materiałów, sam sporządzałem matryce, drukowałem teksty na powielaczu i wkładałem

do kopert, które wrzucałem do skrzynek pocztowych. Biuletyn ukazywał się raz na tydzień, w czwartki, na dziesięciu gęsto zadrukowanych stronach; zawierał artykuły i doniesienia agencyjne. Wysyłałem go do około pięćdziesięciu periodyków syjonistycznych w Europie i Stanach Zjednoczonych. Po miesiącu miałem dwóch stałych subskrybentów: jednego w łotewskiej Rydze, drugiego w czzechosłowackim Brnie, po pięć palestyńskich funtów rocznie. Ale wiele naszych materiałów ukazywało się w syjonistycznych gazetach wydawanych w różnych językach, choć bez zapłaty i wskazania źródła. Mimo wszystko było to małe zwycięstwo polityczne; przywódcy syjonistyczni konsekwentnie ignorowali żądania opozycji rewizjonistycznej, więc stawialiśmy sobie za cel obalenie tego muru milczenia.

Biuletyn cieszył się pewnym autorytetem, ponieważ powstawał w Palestynie, kraju, na który zwrócone były oczy wszystkich syjonistów, ale do którego niewielu z nich odważyło się przyjechać. Dlatego każdy głos z Palestyny miał dla syjonistów takie samo znaczenie jak dla komunistów każdy głos z Rosji. Kilka tygodni po powstaniu Sochnut Medinit Leumit czołowy organ ruchu syjonistycznego w Europie, „Jüdische Rundschau”, zamieścił całostronicowy artykuł mojego autorstwa, przedstawiający szczegółowo program opozycji rewizjonistycznej. Publikacja wywołała duże poruszenie. Wyglądało na to, że mury Jerycha wreszcie upadły, więc Abram, Zina i ja uczciliśmy to lodową ucztą w najlepszej greckiej kawiarni w Hajfie. Lody „u Greka” były naszym ulubionym przysmakiem. Odkąd znalazłem się wśród ascetycznych pionierów w Ziemi Świętej, zapomniałem nawet, jak smakuje alkohol.

W Hajfie w roku 1926 roku mieliśmy jeszcze tylko dwie inne rozrywki. Kiedy wieczorem nie pracowaliśmy, co zdarzało się dość rzadko, szliśmy do arabskiej kawiarni pod gołym niebem, w której był ekran kinowy. Nazywała się, o ile dobrze pamiętam, „Ogród Eden” i była rzeczywiście rajskim miejscem. Wyświetlano nieme filmy zachodnie z arabskimi napisami. Taperem był jednooki Arab grający na pianinie *Marsz Torreadora z Carmen* albo arię Cavaradossiego z *Toski*. Pierwszy utwór stanowił tło muzyczne dla napadów na dyliżans,

pościgów i strzelanin, drugi dla scen miłosnych. Ponieważ arabska muzyka jest monotonna i opiera się na powtórzeniach, wszyscy byli zadowoleni. Popijaliśmy słodką, gorącą kawę z malutkich filiżanek, paliliśmy fajkę wodną, oglądaliśmy gwiazdziste niebo albo postaci na bladym, rojącym się czarnymi płatkami ekranie, na którym w księżycowe noce prawie nic nie było widać, i czuliśmy się szczęśliwi. Choć Europejczycy nie tak wyobrażają sobie tajemniczy Wschód, to nawet bez arabskich gości, wśród których czasem zdarzali się milczący Beduini z Transjordanii, w „Ogrodzie Eden” panowała prawdziwie orientalna atmosfera.

Drugą rozrywką była przejażdżka taksówką w księżycową noc wzdłuż piaszczystej plaży do średniowiecznej twierdzy w Akce. Okolice zatoki Hajfa, dziś jednego z centrów rafineryjnych świata, były wciąż pustkowiem; oprócz księżyca i morza widać było tylko kilka palm na wydmach i Araba śpiącego w cieniu swojego wielbłąda. W połowie długości zatoki zatrzymaliśmy się i kąpaliśmy się przy świetle księżyca, a nasze ciała lśniły w wodzie jak srebrne ryby. Potem, jeśli u Greka było jeszcze otwarte, znów szliśmy na lody.

Po miesiącu Weinshallowie przeprowadzili się do nowego mieszkania, uznałem więc, że pora stanąć na własnych nogach. Ponieważ nasze „trzy S” finansował głównie Abram z własnej kieszeni, nie mogłem przyjmować zapłaty za swoją pracę. Dlatego postanowiliśmy, że dopóki agencja prasowa nie zacznie na siebie zarabiać, będę pobierał funta miesięcznie na mieszkanie i dziesięć procent prowizji od opłat za reklamy w naszym tygodniku. Niestety, dzień po opuszczeniu przeze mnie azylu u Weinshallów okazało się, że jeden z pracowników odebrał należności za ogłoszenia od większości naszych klientów i uciekł w kierunku Bagdadu. Był to ciężki cios dla naszego pisma i dla mnie osobiście. Beztrąsko oznajmiłem, że mimo to jakoś sobie poradzę, i choć Abram i Zina wiedzieli, że nie należę do bogaczy, nie mieli pojęcia, jak bardzo jestem biedny.

Z miesięczną pensją w wysokości jednego funta w kieszeni zacząłem szukać noclegu. Znalazłem go w kolonii niemieckiej, na zielonym przedmieściu Hajfy. Zamieszkałem w jednym pokoju z żydowskim policjantem nazwiskiem Danzig i jego osiemnastoletnią

siostrą. Pochodzili z Rosji, mieli niewinne dusze rosyjskich studentów i uważali, że mieszkanie ze mną w jednym pokoju jest czymś zupełnie naturalnym. Mnie z kolei się to podobało, tym bardziej że panna Danzig odznaczała się urodą, a jej brat był policjantem. Poza tym chcieli tylko osiemdziesiąt piastrów miesięcznie za łóżko, dzięki czemu zostało mi dwadzieścia, z którymi mogłem rozpocząć niezależne życie. Ponieważ wydawałem jedynie dwa dziennie, wystarczyły mi na dziesięć dni. Za dwa piastry kupowałem filiżankę czarnej kawy, jedną *pitta* – płaski, okrągły chleb arabski – i pół funta oliwek. Kawę wypijałem rano, a w ciągu dnia, gdy zaczynał mi doskwierać głód, jadłem chleb i oliwki.

Przez następne kilka miesięcy uczucie głodu nie opuszczało mnie ani na chwilę, ale jeszcze dotkliwszy niż zwykły głód był głód nikotyny. Znajomy z Wiednia, architekt Sobelson, miał biuro w połowie drogi między kolonią niemiecką a śródmieściem Hajfy. Codziennie zachodziłem do niego, rzekomo na pogawędkę, a w rzeczywistości po to, żeby wypalić kilka papierosów. Ten cynizm nieoczekiwanie opłacił mi się, bo właśnie w dniu, w którym wydałem ostatniego piastra i została mi tylko garstka oliwek, Sobelson znalazł mi pracę u innego architekta, pana Boutagiego. Boutagi należeli do najzamożniejszych chrześcijańsko-arabskich rodzin w Hajfie; posiadali domy towarowe i stacje benzynowe, prowadzili kancelarię adwokacką i zasiadali w radzie miejskiej. Jeden z Boutagich, stary chciwiec, zbił fortunę na małych i nędznych domkach dla Arabów. Nie miał licencji architekta i za rządów tureckich nie potrzebował jej. W owych czasach zezwolenie na budowę załatwiano za bakszysz. Przedsiębiorca budowlany wysyłał kilku ludzi na plac budowy, gdzie z gliny i wypalanych na słońcu cegieł klecono coś, co przypominało dom; projektu architektonicznego nie potrzebowali, wystarczyła im tradycja i doświadczenie. Teraz, za rządów brytyjskich, należało przedstawiać do zatwierdzenia plan budynku, wyposażyć go w kanalizację i przestrzegać przepisów przeciwpożarowych. Stary Boutagi musiał więc zatrudnić europejskiego architekta, który miał dopilnować, aby wszystkie wymagania zostały spełnione. Nie byłem właściwie architektem, ale dlatego właśnie zgodziłem się pracować za cztery funty miesięcznie. W czasie studiów na politechnice zdałem egzamin z podstaw budownictwa, chociaż tam

chodziło o budowanie stacji pomp, stacji transformatorowych i tym podobnych prostych budynków betonowych, z którymi inżynier elektryk może mieć do czynienia podczas robót instalacyjnych. Nie przejmowaliśmy się jednak takimi drobiazgami i z entuzjazmem zabrałem się do pracy nad projektem dwurodzinnego, jednopiętrowego domu kamiennego z balkonami, łazienką, filarami, łukami mauretańskimi i mnóstwem ozdóbek. Nawet doświadczony architekt miałby z tym wiele kłopotu; choć więc stary Boutagi i ja zrobiliśmy, co w naszej mocy, stworzyliśmy projekt, który przez dłuższy czas budził wesołość w okręgowym inspektoracie budowlanym. Nie licząc mniejszych błędów, filary podtrzymujące dach wisiały w powietrzu, co było skutkiem pomylenia cali z centymetrami. Toteż po około trzech tygodniach moja kariera architekta dobiegła końca.

Wstydziłem się poprosić mego chlebodawcę o zadatek. Ciekawe, że ludzie głodni są często przewrażliwieni i bardzo dumni. Podczas moich najgłodniejszych tygodni Abram i Zina stale zapraszali mnie na obiad, ja zaś często wymawiałem się brakiem czasu. Kiedy, mniej więcej raz w tygodniu, przyjmowałem zaproszenie, obiad stawał się udręką; musiałem rezygnować z dokładki i ukrywać swoje łakomstwo, podejrzewając, że przyjaciele czytają w moich myślach i widzą moją żarłoczność. Oprócz powieści Knuta Hamsuna *Głód* w literaturze jest zdumiewająco mało wzmianek o tym elementarnym doznaniu fizycznym. Zapewne chodzi o to, że człowiek kulturalny wstydzi się mówić o fizjologii swego organizmu; instynktownie stara się ukrywać głód, tak jak naga osoba odruchowo zasłania genitalia. George Orwell był jednym z niewielu współczesnych pisarzy, którzy przez dłuższy czas głodowali; ale w jego autobiograficznej książce *Na dnie w Paryżu i Londynie* też są tylko bardzo skąpe wzmianki o uczuciu głodu. I choć często chciałem pomówić na ten temat z Orwellem, ów dziwny wstyd sprawiał, że ilekroć się spotykaliśmy, zapomniałem o tym – aż w końcu było za późno.

Kiedy nie udało mi się zostać architektem, postanowiłem sprzedawać lemoniadę na bazarze.

Lemoniada miała w ówczesnej Palestynie duże powodzenie. Na prawie każdym rogu widziało się stragany z tak zwanym gazosem.

Nazwą tą, pochodzącą od francuskiego *eau gazeuse*, określano wszelkie rodzaje kolorowych, gazowanych napojów przechowywanych w wielkich szklanych butlach. Stragany ozdobione tęczą płynów o smaku pomarańczowym, cytrynowym, limonowym, tamaryndowym, daktylowym i arbuзовym ubarwiały ulice palestyńskich miast; dziś wraz z prawie wszystkimi innymi śladami Orientu znikły z pracowitego, szarego i przedsiębiorczego Państwa Izrael. Po ulicach krążyło też wielu przekupniów, którzy nosili przytwierdzoną do pasa miedzianą bańkę wypełnioną lemoniadą z lodem i krzyczeli „*Ya lemoun, ya lemoun*”, klekocząc przy tym parą miedzianych kastanietów. A więc pewnego dnia, kiedy znów kończyły mi się oliwki, pożyczyłem ten ekwipunek od Araba prowadzącego stragan z gazosem i zacząłem chodzić po bazarze, wołając „*ya lemoun*” i starając się, aby klekot kastanietów brzmiał fachowo. Nie brzmiał jednak, bo miałem wrażenie, że cały suk śmieje się ze mnie. W ciągu kilku godzin udało mi się sprzedać tylko dwie szklanki *lemoun* po pół piastra, co nie pokryło nawet kosztów lodu.

Sprzedaż lemoniady, jak każde zajęcie, ma swoje sekrety. Co pół godziny trzeba wracać do straganu po świeży lód. Po dwukrotnym dodaniu lodu należy dolać ekstraktu, aby lemoniada nie była zbyt wodnista. Oprócz bańki trzeba nosić ze sobą butelkę wody do płukania szklanki na oczach klienta. Okrzyki i dźwięk kastanietów muszą być odpowiednio głośne i przenikliwe, aby zwracać uwagę, ale słowo *lemoun* trzeba wymawiać omdlewającym, drżącym głosem, by wywołać w wyobraźni potencjalnego klienta obraz karawany ginącej z pragnienia na pustyni. Słowem, również sprzedaż lemoniady ma swoich Napoleonów; i jeśli komuś brak szczególnego talentu, nie powinien się do niej zabierać. W temperaturze ponad 30 stopni musiałem nosić prawie dziesięć kilogramów. Po trzech dalszych próbach dałem za wygraną.

Wkrótce potem wyprowadziłem się od Danzigów i w końcu, goły jak święty turecki, wylądowałem w klubie partii rewizjonistycznej.

Nasz klub, którego byłem honorowym sekretarzem, mieścił się w jednym pokoju z balkonem. Za całe umeblowanie służyły cztery drewniane ławki i dwa stoły zavalone gazetami i pismami, tworzące twarde, ale względnie wygodne łóżko. Koszule i skarpetki, które prałem i cerowałem co drugi dzień, zaczęły się już rozłazić. W takich łachach

nie mogłem pokazać się Weinshallom ani innym znajomym.

Całe dni spędzałem w klubie, czytając gazety, dyskutując z gośćmi klubu na temat taryf ochronnych dla Palestyny albo siedząc na balkonie i wyglądając na ulicę Allenby'ego, na której kłębiły się wielbłądy, samochody, osły, Arabki w czarnych kwefach, młode Żydówki z grubymi udami w spodenkach khaki, sprzedawcy lemoniady i cała reszta. Nocą spałem albo drzemałem, dochodząc do wielkiej wprawy w robieniu z gazet materaca i poduszki.

Piątego dnia mojej kariery poszczącego fakira siedziałem jak zwykle na balkonie, gdy moją uwagę zwróciła arabska dorożka. Jechał nią wysoki Arab w beduińskim zawoju, wioząc ze sobą niewiarygodną ilość bagażu. Jakby poczuwszy na sobie mój wzrok, spojrział na mnie i zawołał po niemiecku z wiedeńskim akcentem. Przyjrzałem mu się uważniej i poznałem dr. Weisla, znajomego z korporacji Unitas, a wówczas korespondenta prasy Ullsteina na Bliskim Wschodzie.

Weisl kazał dorożkarzowi zatrzymać się i wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie. Wracał właśnie do swojej stałej kwatery w Jerozolimie z Dżabal ad-Duruz – stąd to arabskie przebranie. Po przywitaniu zaprosił mnie do Greka na lody, dokąd pojechaliliśmy jego dorożką.

Jedzenie lodów po czteroipółdniowej głodówce jest ciekawym przeżyciem. Po pierwszej łyżeczce masz wrażenie, jakby brzytwa przecinała ci żołądek; po drugiej i trzeciej czujesz, że we wnętrzu twego ciała zbudowano fabrykę lodów. U Greka było pewnie z 30 stopni, ale ja oblałem się zimnym potem i zacząłem dzwonić zębami. Potem musiałem wyjść i zwymiotować. Ale podstawivszy głowę pod kran z zimną wodą, od razu poczułem się świetnie i ogarnęła mnie niemal euforia. Weisl zapytał, co mi jest; wyjaśniłem, że miałem ostatnio atak gorączki *papataci*, co zresztą było prawdą. Gorączkę *papataci* wywołuje ukąszenie muchy o tej samej nazwie. Chory dostaje gorączki dochodzącej do 40 stopni, która trwa cztery dni, po czym mija, nie powodując żadnych szkodliwych dla zdrowia skutków. Jako lekarz Weisl doradził mi filiżankę gorącej herbaty zamiast lodów. Do herbaty podano talerz ciasteczek, które zjadłem ze smakiem. Rozmawialiśmy z ożywieniem, aż w końcu Weisl musiał mnie pożegnać, bo spieszył się

na pociąg. Wcisnął mi do ręki banknot funtowy, prosząc, żebym zapłacił rachunek, i pobiegł do czekającej dorożki. Zaprotestowałem, bo rachunek nie mógł wynieść więcej niż pięć piasstrów. Weisl krzyknął:

– Niech się pan nie wygłupia! – wsiadł do dorożki, podciągnął swoją szatę, ukazując spodnie w prążki, i znikł mi z oczu.

Spotkanie z Weislem w cudowny sposób odmieniło mój los. Nazajutrz, ubrany w nową koszulę i skarpetki, zjadłszy dobre śniadanie złożone z kawy i dwóch jajek, poszedłem na plażę przy kolonii niemieckiej. Kiedy wygrzewałem się na piasku, podszedł do mnie młody człowiek o rumianej twarzy i przywitał się wylewnie. Ponieważ go nie poznałem, wyjaśnił, że nazywa się Reich, że jego ojciec był wielkim rabinem w Baden pod Wiedniem, gdzie kiedyś chodziłem do szkoły, i że zna mnie z tych czasów.

– Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś staniesz się taki sławny – dodał.

– Ja sławny – niby dlaczego?

– Jak to „niby dlaczego”? – odpowiedział pytaniem, jak to mieli w zwyczaju rabini. – Człowiek, którego drukują na pierwszej stronie „Neue Freie Presse”, musi być sławny.

„Neue Freie Presse” cieszyła się wielkim poważaniem wśród obywateli dawnej monarchii austro-węgierskiej i była w Europie Środkowej mniej więcej tym, czym „The Times” w Wielkiej Brytanii. Przed kilkoma miesiącami, w przypływie śmiałości, posłałem do redakcji tej gazety artykuł *Ankunft in Palästina* (Przyjazd do Palestyny), choć zdawałem sobie sprawę, że szansa na ujrzenie go w druku jest taka jak zdobycie głównej wygranej na loterii. Nie mając większych złudzeń, zapomniałem o całej sprawie. Zamieszczenie artykułu oznaczało dla mnie nie tylko chwilowy triumf, ale początek kariery dziennikarskiej i pisarskiej, czego w owej chwili miałem dziwnie jasną świadomość.

W radosnym nastroju poszedłem z Reichem do jego mieszkania, aby zobaczyć wydrukowany artykuł. Ponieważ traktował mnie już z szacunkiem należnym sławnemu człowiekowi, uznałem, że najpierw powinienem postawić mu lody u Greka. Kiedy w końcu przyszliśmy do Reicha, przeżyłem bolesne rozczarowanie. Mój artykuł rzeczywiście

znajdował się na pierwszej stronie, ale już w drugim zdaniu trzeciego akapitu, gdzie napisałem, że „woda w zatoce Hajfa jest nieruchoma jak zielone szkło”, zamiast słowa *Glas* wydrukowano *Gras* [trawa]. Byłem załamany i zacząłem podejrzewać, że redaktor z zazdrości celowo wykoślawił mój tekst. Oliwy do ognia dołał jeszcze Reich, który jakoś nie mógł zrozumieć, że porównywanie nieruchomej wody do trawy jest kompromitacją.

Tydzień później czekało mnie drugie, jeszcze większe rozczarowanie. Rodzice wrócili z Londynu do Wiednia i mama gratulując mi w liście sukcesu dziennikarskiego, dyskretnie wspomniała, że skorzystała ze swej znajomości z przyjaciółką redaktora gazety, aby nakłonić go do przyjęcia artykułu. Rana zadana mojej pisarskiej dumie goiła się bardzo długo.

W stosownym terminie otrzymałem z „Neue Freie Presse” czek na kwotę jednego funta i dziesięciu szylingów. Razem z resztą, która pozostała mi z funta od Weisla, miałem teraz prawie dwa funty. Uznałem, że pora zmienić klimat i rozpocząć nowe życie. Naradziłem się z Abramem i doszliśmy do wniosku, że powinienem pojechać do Tel Awiwu, gdzie szanse znalezienia pracy były większe. Miałem też nadal prowadzić swoją agencję prasową.

Aby zaoszczędzić pieniądze i zobaczyć trochę świata, znów ruszyłem na piechotę. Tym razem jednak moja walizka była lżejsza o drugi garnitur i parę butów, które rozpadły się ze starości.

W ówczesnej Palestynie istniały trzy główne miasta. Hajfa, z jej portem i fabrykami, stanowiła prężny ośrodek przemysłowy, któremu ton nadawali pionierzy. Jerozolima, chlubiąca się świętymi miejscami, uniwersytetem, klasztorami i monastyrami, była centrum duchowym i siedzibą rządu. Oba miasta zamieszkiwała mieszana ludność chrześcijańska, żydowska i muzułmańska. Tylko Tel Awiw miał czysto żydowski charakter – był pierwszym miastem hebrajskim od czasu zniszczenia Jerozolimy przez Tytusa. Przypominał od dawna śniony sen, który nieoczekiwanie się spełnił. I jak wszystkie sny – irracjonalny, pogmatwany, niepojęty – łatwo przeradzał się w koszmar. Nawet jego nazwa była paradoksalna, bo *tel* znaczy wzgórze, a *aviv* wiosna, tymczasem miasto leży na równinie, a po zimowych deszczach prawie

od razu następują letnie upały.

Historia Tel Awiwu zaczęła się niecałe pokolenie wcześniej, gdy grupka Żydów z arabskiej Jaffy postanowiła zbudować własną dzielnicę podmiejską według wzorów uważanych przez nich za typowe dla ówczesnej Europy. Porzucili arabski port z jego krętymi zaułkami, bazarami i egzotycznymi zapachami i na żółtym piasku nadmorskich wydm zaczęli wznosić miasto swoich marzeń: dokładną kopię żydowskich dzielnic Warszawy, Krakowa i Łodzi. Po obu stronach głównej ulicy noszącej imię dr. Herzla stały wyjątkowo brzydkie kamienice – każda wyglądała jak sierociniec lub koszary policji. Było też mnóstwo nędznych sklepików, sprzedających lemoniadę, guziki albo lep na muchy.

Od początku lat dwudziestych XX wieku, odkąd do Tel Awiwu zaczęli przybywać syjonistyczni osadnicy, miasto rozbudowywało się coraz szybciej wzdłuż brzegu morza. Rozwój nabierał tempa po każdej nowej fali imigrantów, a potok asfaltu i betonu posuwał się nieustannie od wydm w głąb lądu. Nikt nie miał czasu ani ochoty na planowanie; miasto rosło gorączkowo i chaotycznie jak tropikalna dżungla. Każdy przybysz, przywożący ze sobą oszczędności, budował swój wymarzony dom; a przez kilkanaście lat inspiracją dla wszystkich tych murowanych fantasmagorii były nędzne kamieniczki z małego polskiego miasteczka. „Wiosenne Wzgórze” stało się labiryntem domów z odpadającą sztukaterią, która po pierwszych deszczach wyglądała jak chora na odrę.

Ale życiu w ówczesnym Tel Awiwie nadawali ton nie właściciele tych domów, lecz ich budowniczości. Ulicami pierwszego hebrajskiego miasta zawładnęli kilkunasto- i dwudziestokilkuletni robotnicy płci obojga. Wszyscy nosili koszule khaki, krótkie spodnie i ciemne okulary; krawaty, zwane „śledzikami”, widziało się rzadko. Wieczorami, gdy chłodna bryza znad morza łagodziła skwar, spacerowali ramię w ramię po gorącym asfalcie na wprost ukończonych bulwarów, które urywały się na wydmach. Nocą rozpalali ogniska i tańczyli hora na plaży. Byli pracowici, sentymentalni i weseli. Ich entuzjazm nie gasł ani na chwilę. W mieście było wówczas mało kawiarni, ale wiele klubów robotniczych. Tanie restauracyjki serwowały posiłki na kredyt i na kredyt kupowały produkty; właściciele domów wynajmowali na kredyt pokoje w swoich

domach, zbudowanych dzięki kredytowi. Pomimo to miasto, zamiast rozsypać się w piasek, na którym zostało wzniesione, rosło i potężniało.

Przybyłem do Tel Awiwu w apogeum kryzysu ekonomicznego. Strumień imigrantów nieomal wysechł, po części z powodu ograniczeń nałożonych przez administrację brytyjską na liczbę imigrantów bez kapitału, po części wskutek niechęci żydowskich kapitalistów do emigracji do Palestyny. Spadł popyt na nowe domy, a ponieważ budownictwo było główną gałęzią palestyńskiej gospodarki, doszło do bezrobocia na masową skalę.

Znalezienie stałej posady w Tel Awiwie okazało się niemal równie trudne jak w Hajfie. Drugi artykuł, który posłałem do „Neue Freie Presse”, nie ukazał się; rękopisy rozsyłane do innych europejskich gazet wracały z adnotacją „nie skorzystamy”. Chleb, oliwki i prasowane daktyle znów stały się moją wyłączną strawą.

Przez pewien czas pracowałem w biurze podróży. Do moich obowiązków należało prowadzenie korespondencji w języku angielskim i francuskim. Ale swobodne mówienie po angielsku i francusku to zupełnie co innego niż redagowanie listów handlowych, które powinny być napisane nie tylko poprawnie, ale także językiem idiomatycznym i zgodnym z etykietą obowiązującą w branży. Po dwóch tygodniach zostałem zwolniony.

Przez miesiąc lub dwa zajmowałem się pozyskiwaniem ogłoszeń i reklam do „Commerce and Industry”, periodyku wydawanego po hebrajsku i angielsku przez Stowarzyszenie Producentów Palestyńskich. Zarabiałem pięć funtów miesięcznie, ale tylko jeden funt wypłacano mi w gotówce. Pozostałe cztery dostawałem w postaci bonu na dwa posiłki dziennie w restauracji pana Altshulera przy ulicy Allenby'ego. Za bon ten pan Altshuller otrzymywał od fabryki papierosów dr. Waltera Mosesa papierosy o wartości czterech funtów. Dr Moses z kolei płacił tym bonem za reklamy zamieszczone w „Commerce and Industry”. W ten sposób koło się zamykało.

Był to doskonały przykład samowystarczalnej gospodarki opartej na wzajemnym kredycie. Jedyńm problemem, jak w wypadku każdego *perpetuum mobile*, były straty spowodowane przez tarcie; pokrywano je za pomocą datków z zagranicy.

Minęło lato, lecz moja sytuacja nie zmieniła się. Cotygodniowe listy do rodziców, pełne przemyślnych kłamstw o czekających mnie wspaniałych perspektywach, spędzały mi sen z powiek. Zbliżały się moje dwudzieste pierwsze urodziny, a ciągle chodziłem głodny. Wieczorem siadywałem na ulubionej ławce nad brzegiem morza i przez godzinę przyglądałem się przechodniom. Niedaleko stał straganiarz sprzedający banany i okrągłe ciastka kokosowe. Banany wisiały w kiściach i łatwo było je policzyć. Ich liczba wahała się zawsze między 90 a 110. Stały się moją obsesją: bezsensownie zastanawiałem się, czy gdybym miał pieniądze, żeby kupić wszystkie banany, zjadłbym sto za jednym zamachem, czy wcześniej bym wymiotował. Dwa lata później wróciłem w to miejsce jako dobrze sytuowany korespondent zagraniczny, kupiłem banany i zacząłem je zjadać jeden za drugim. Właścicielowi wyjaśniłem, że chodzi o zakład. Doszedłem do dwudziestu sześciu, ale ponieważ trzy godziny wcześniej zjadłem obfity obiad, wyniku eksperymentu nie można było uznać za rozstrzygający.

Tak więc w ciągu pół roku przyjąłem i straciłem kilka posad. Wyglądało na to, że nie nadaję się do niczego.

Wtedy właśnie zadzwonił von Weisl z Jerozolimy i złożył mi niespodziewaną propozycję. Chciał, abym pojechał z nim do Kairu i redagował wychodzący tam niemieckojęzyczny tygodnik. Zgodziłem się bez wahania. Mogło się wydawać, że w końcu do czegoś doszedłem.

Tygodnik nosił tytuł „Nil- und Palästina-Zeitung”. Był dwujęzyczny, arabsko-niemiecki, a finansowało go poselstwo republiki weimarskiej w Kairze, które chciało w ten sposób wspierać niemiecki eksport na Bliski Wschód. Weisl jako redaktor naczelny też miał swój cel: szerzenie propagandy syjonistycznej wśród Arabów. Ale po trzech numerach tygodnik po cichu zakończył swój żywot, tak jak wszystkie moje poprzednie przedsięwzięcia, od architektury po sprzedaż lemoniady.

Znów znalazłem się w ślepych zaułku. Przez kilka tygodni pracowałem jako sekretarz u von Weisla, a potem nadarzyła się nieoczekiwana okazja.

Międzynarodowy ruch rewizjonistyczny rósł w siłę, jego siedzibę przeniesiono do Berlina. Organizacja potrzebowała sekretarza wykonawczego i Żabotyński zaproponował mnie na to stanowisko. Istniała duża szansa, że je otrzymam, musiałem tylko przyjechać do Berlina, aby omówić sprawę z Międzynarodowym Komitetem Wykonawczym. Bez zwłoki więc opuściłem Palestynę.

Wybrałem najtańszą w tym czasie trasę: małym rumuńskim parowcem wypływającym z Aleksandrii dotarłem do Konstancy, a stamtąd koleją do Budapesztu, gdzie spotkałem się z rodzicami. Nie był to chwalebny powrót. Ale podróż przez Dardanele i Bosfor, okraszona gwałtownym sztormem na Morzu Czarnym, miała zbyt wiele uroku, abym zdręczał się myślami o przyszłości. Poza tym podróżowałem w towarzystwie przepięknej tancerki urodzonej z ojca Niemca i matki Jawajki. Wracała z tournée po egipskich kabaretach prawie tak samo spłukana jak ja. Pod koniec długiej jazdy pociągiem nie miałem już ani grosza i za nasze śniadanie w wagonie restauracyjnym zapłaciła moja towarzyszka. Tak więc, oprócz innych doświadczeń zdobytych podczas tego krótkiego roku, posmakowałem też życia żigolaka – w skali jednej filiżanki gorącej kawy i dwóch rogalików z masłem i dżemem.

Rodzice zajmowali pokój sublokatorski w mieście, którego mama nie znosiła, ale do którego musieli wrócić z powodu plajty ojca. Moja tancerka pojechała dalej do Berlina, a ja byłem zbyt zaczadzony miłością i tęsknotą, aby się przejmować sytuacją rodziny. Nie miałem na bilet do Berlina, a nie mogłem prosić ojca o pieniądze. Poszedłem więc do redakcji „Pestera Lloyd”, węgierskiej gazety niemieckojęzycznej mającej stare tradycje. Redaktor naczelny Vészi przyjrzał mi się badawczo i zapytał, czego sobie życzę. Powiedziałem, że przyjeżdżam z Bliskiego Wschodu, gdzie pisałem artykuły do „Neue Freie Presse”; liczba mnoga była przesadą, ale uważałem, że w tych okolicznościach jest uzasadniona.

Vészi pokręcił głową.

– Powiedz to swojej cioci. Wyglądasz jak sztubak, a opowiadasz mi o „Neue Freie Presse”!

Wyjąłem więc paszport, a z niego kartkę z artykułem, który

zawdzięczałem staraniom matki. Vészi zapytał, czy mam ze sobą jakieś rękopisy. Dałem mu pięć artykułów podróżniczych o Palestynie i Egipcie. Wybrał trzy, rzuciwszy tylko okiem na tytuły, i wypisał kwit do kasy.

– Skoro „Presse” cię drukuje, to ja też mogę cię drukować – oświadczył. – A teraz spływaj, nie mam czasu.

Stary Vészi – niski, łysy, z głową jak ostryga – w ten sam, ojcowsko-szorстки sposób zaprzyjaźnił się z wieloma młodymi pisarzami. W przedwojennej Europie wciąż istnieli tacy redaktorzy. Dziś można ich oglądać tylko w filmach.

Podzieliłem się pieniędzmi z ojcem i pojechałem do Berlina.

Tam czekało mnie małe i duże rozczarowanie. Moja tancerka wyjechała do Paryża, nie zostawiając nawet adresu. A partia rewizjonistyczna nie miała pieniędzy. Otrzymałem wprawdzie posadę wraz z szumnie brzmiącym tytułem światowego sekretarza wykonawczego, ale pracowałem tylko na pół etatu za nędzne sto marek, czyli pięć funtów miesięcznie.

Moja praca polegała na dyktowaniu listów do różnych ekspozytur ruchu; wyjaśniałem w nich postanowienia komitetu centralnego, odpowiadałem na pytania i nakłaniałem do większej aktywności. Nie było to zbyt ciekawe zajęcie, ale dzięki niemu poznałem dobrze psychologię polityki. Syjoniści stanowili mniejszość w rozmaitych żydowskich mniejszościach. Ruch rewizjonistyczny był więc niejako mniejszością do trzeciej potęgi. Ale w każdym oddziale ruchu w łonie opozycji działała opozycja, a wszystkie odłamy i frakcje zwalczały się zaciekle. Było tak wszędzie, od Kowna po Paryż i od Berlina po Saloniki. Spory miały tło osobiste lub ideologiczne, ale najczęściej jedno i drugie. Nauczyłem się, że większość lokalnych konfliktów dotyczących doktryny lub taktyki wynika z prywatnej rywalizacji. Ale przekonałem się też, że im mniejsza grupka, tym łatwiej w niej o specjalistów w dzieleniu ideologicznego włosa na czworo i sekciarskich maniaków.

Trzy albo cztery miesiące spędzone w Berlinie należały do najmniej ciekawych okresów w moim życiu. Włóczenie się bez grosza przy duszy po Bliskim Wschodzie to ekscytująca przygoda, ale

praca biurowa za sto marek na miesiąc w Berlinie przygodą nie była. Za sześćdziesiąt marek miesięcznie wynająłem umeblowany pokój ze śniadaniem w proletariackiej dzielnicy, niedaleko Alexanderplatz. Z pensji zostawało mi niewiele więcej niż jedna marka dziennie, czyli tyle, ile kosztował jeden gorący posiłek. Nie miałem już ani na kino lub teatr, ani na zaproszenie przyjaciółki do kawiarni. Berlin lat dwudziestych był najbardziej kosmopolityczną stolicą w Europie, pulsował życiem i pasjonował się najróżniejszymi sprawami. Mnie tymczasem brakowało strawy duchowej i materialnej, czułem się samotny, zżerała mnie zawiść.

We wrześniu 1927 roku, tuż przed moimi dwudziestymi drugimi urodzinami, pojawiła się szansa na prawdziwą karierę zawodową. Von Weisl, korespondent prasy Ullsteina na Bliskim Wschodzie, udał się w podróż po Indiach, Malajach i Dalekim Wschodzie. Tym samym na pewien czas zwolniło się jego stanowisko z siedzibą w Jerozolimie. Von Weisl zaproponował mnie na swoje miejsce i zostałem zatrudniony.

Koncern Ullstein znajdował się w tym czasie w zenicie powodzenia. Był największym przedsiębiorstwem w swoim rodzaju w Europie, a prawdopodobnie i na świecie. Tylko w Berlinie wydawał cztery codzienne gazety: czcigodną, założoną jeszcze w 1704 roku „Vossische Zeitung”; „Berliner Morgenpost” mającą największy nakład ze wszystkich gazet niemieckojęzycznych; „B.Z. am Mittag”, która pobila wszystkie rekordy szybkości dostarczania informacji, i „Tempo”, sensacyjną popołudniówkę. Wydawał też kilkanaście tygodników i miesięczników mogących zaspokoić najróżniejsze gusty i adresowanych do czytelników ze wszystkich warstw społecznych: od intelektualnego „Der Querschnitt”, do popularnej „Die Grüne Post”, od popularnonaukowego tygodnika „Koralle” po pismo dla pań „Die Dame”, a przede wszystkim „Berliner Illustrierte Zeitung”, największy w Europie tygodnik ilustrowany. Ponadto Ullstein należał do największych wydawców książek w Niemczech, posiadał własne biuro podróży, a także agencję fotograficzną i informacyjną, mające subskrybentów od Skandynawii po Bałkany. Stanowisko korespondenta prasy Ullsteina było marzeniem każdego dziennikarza, stawiało go w rzędzie arystokratów tego zawodu. Miałem więc powody, aby poczuć

się bardzo ważnym człowiekiem, zwłaszcza że nie skończyłem jeszcze dwudziestu dwóch lat i byłem najmłodszym dziennikarzem, który dostąpił tego zaszczytu.

Siedziba Ullsteina przy Kochstraße w Berlinie przypominała raczej ministerstwo niż redakcję. Firma należała do synów Leopolda Ullsteina, założyciela dynastii. Było ich pięciu, tak jak kiedyś braci Rothschildów, i tak jak Rothschildowie byli Żydami. Ich dewizą był polityczny liberalizm i nowoczesna kultura. Mieli poglądy antimilitarystyczne, antyszowinistyczne i paneuropejskie. Atmosfera przyjaźni francusko-niemieckiej z epoki Brianda–Stresemanna była w dużej mierze efektem zabiegów koncernu Ullstein, który miał wielki wpływ polityczny i stanowił uosobienie wszystkiego, co postępowe i kosmopolityczne w republice weimarskiej.

Posadę zdobyłem dzięki bezwstydnemu kłamstwu. Nie wiadomo było, jak długo von Weisl będzie nieobecny w Jerozolimie – mógł to być rok albo dwa lata. Na tak krótki czas firma nie chciała wysłać wysoko opłacanego korespondenta i wolała zatrudnić miejscowego dziennikarza. Razem z von Weislem udaliśmy więc, że mieszkam na stałe w Jerozolimie i przyjechałem tylko na krótko do Berlina. Mogłem się pochwalić kilkoma opublikowanymi artykułami, a von Weisl gorąco mnie polecał. Mimo to moi przyszli zwierzchnicy mieli wątpliwości. Decyzja zależała od dr. H., szefa działu kadr, i dr. Magnusa, szefa agencji informacyjnej. Przeciwno mnie przemawiał przekłety dziecinny wygląd i nieśmiałość, która podczas rozstrzygającej rozmowy praktycznie mnie sparaliżowała, a po drwiącej uwadze dr. H. spowodowała nagły i bardzo niewczesny wybuch agresji. H. natychmiast powziął do mnie awersję, którą potem przez lata dotkliwie odczuwałem. Magnus jednak, suchy, małomówny, niski hamburczyk, potraktował mnie po ojcowsku – być może dlatego, że sam cierpiał na nieuleczalną nieśmiałość, którą maskował służbistością. Na koniec oświadczył:

– Dobrze, przyjmujemy pana na próbę. Dwieście marek miesięcznie plus wierszówka. Ale proszę pamiętać, że to okres próbny.

H. w milczeniu wzruszył tylko ramionami. Opinię o mnie miał wypisaną na twarzy.

Do Jerozolimy wróciłem pod koniec września 1927 roku, niemal dokładnie dwa lata po spaleniu indeksu, a wraz z nim mostów za sobą. Wydarzenie to zakończyło okres terminowania, tułaczki, głodowania i nieudanych prób startu życiowego. Następne cztery lata to mniej lub bardziej banalna historia człowieka sukcesu, europejskiego dziennikarza pracującego na Bliskim Wschodzie, w Paryżu i Berlinie. To lata wytężonej pracy, usilnych dążeń i pustej satysfakcji, którym w 1931 roku położył kres następny punkt zwrotny w moim życiu, gdy po raz drugi spaliłem za sobą mosty i wstąpiłem do Komunistycznej Partii Niemiec.

Król Fajsal

Wiosną 1940 roku, na krótko przed niemieckim atakiem na Francję, detektywi z Préfecture de Police przeprowadzili rewizję w moim paryskim mieszkaniu. Odchodząc, zabrali ze sobą między innymi kilka pękatek albumów z artykułami prasowymi, które opublikowałem w ciągu minionych piętnastu lat. Nigdy ich już nie zobaczyłem. Z wyjątkiem dwóch niepublikowanych maszynopisów, które policjanci przeoczyli (jednym była *Ciemność w południe*), przepadło wszystko, co napisałem do trzydziestego piątego roku życia.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że zupełnie nie żałuję tej straty. Choć w następnych latach często ślęczałem po bibliotekach publicznych, nie przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć przy okazji do swoich dawnych artykułów. Postanowiłem to uczynić dopiero wiosną 1951 roku, kiedy zaczynałem pracę nad tymi wspomnieniami i chciałem odświeżyć sobie pamięć. Udałem się do nowojorskiej biblioteki publicznej, a tam skierowano mnie do działu czasopism przy 25. Ulicy przechowującego między innymi egzemplarze „Vossische Zeitung” i „Neue Freie Presse”.

Teraz dopiero pojąłem, dlaczego wcześniej nie kwapiłem się do lektury swoich artykułów. Frazeologia tych tekstów była nieznośna, ich stylistyka i sposób ujęcia pochodziły z dawno minionej epoki, oddalonej od terażniejszości nie o ćwierć wieku, ale kilka stuleci. Było to upiorne przeżycie; im więcej rozsypujących się paczek rozwiązywałem, krztusząc się od kurzu wzbijanego w powietrze, tym bardziej czułem się jak archeolog, który wtargnął do grobowca faraona.

Kraje arabskie w latach międzywojennych odznaczały się tą miłą cechą, że odwiedzający je europejski dziennikarz mógł udać się po informacje prosto do króla, emira albo paszy i zwykle był zapraszany na obiad. Dzięki temu mając zaledwie dwadzieścia trzy lata, mogłem się pochwalić – i chwaliłem się – znajomością z królem Iraku Fajsalem, emirem Transjordanii Abd Allahem, egipskim premierem Nahhasem Paszą, prezydentem Libanu i tak dalej. Tylko dwóch z nich wywarło na mnie trwałe wrażenie: jowialny, sprytny, wybuchowy Abd Allah i jego brat król Fajsal.

Fajsal, przyjaciel Thomasa Edwarda Lawrence'a i bohater powstania arabskiego podczas pierwszej wojny światowej, był prawdopodobnie ostatnim wielkim Arabem naszych czasów, pomnikową, melancholijną postacią. Nie spotkałem nikogo, kto roztaczałby wokół siebie tak przejmującą aurę samotności.

Komnata w pałacu, w której przyjął mnie Fajsal, ma w mojej pamięci kształt ośmiokąta, jest oślepiająco biała, z wysokim sklepieniem podpartym ośmioma marmurowymi filarami. Fajsal siedział sam na kanapie. Ubrany był z europejska z wyjątkiem *iraquiya*, czarnego, dwugraniastego nakrycia głowy używanego w Mezopotamii. Miał wówczas czterdzieści dwa lata, zaledwie dziesięć więcej niż na portrecie Augustusa Johna zamieszczonym w *Siedmiu filarach mądrości*, a przecież można go było wziąć za ojca romantycznej postaci z tego obrazu. Spiczasta bródka i drobne rysy szczupłej twarzy pozostały bez zmian, ale straciły cały blask. Wrażenie było tak silne, że choć Fajsal siedział twarzą do słońca, w mojej pamięci jego oblicze spowija cień. Był wciąż „wysoki, dostojny, pełen królewskiego dostojęstwa w głowie i ramionach”, jak pisze o nim Lawrence, ale „wzruszająca kruchość” powiększyła się, a witalność gdzieś znikła. Pod wpływem życiowego rozczarowania pustynny bohater stał się własnym cieniem.

Poniżej cytuję fragmenty swojej relacji z audiencji u Fajsala („Vossische Zeitung”, marzec 1929 roku):

Wiedziałem, że król Fajsal zna francuski, byłem więc zawiedziony, gdy wezwał prywatnego sekretarza, aby tłumaczył naszą rozmowę. Usiedliśmy w fotelach przy stoliku dla palaczy wykonanym z kości słoniowej. Poprosiłem Jego Królewską Mość o opinię na temat perspektyw i przyszłości ruchu panarabskiego.

Król mówił powoli, jakby smakował każde słowo. Jedność arabska, odrodzenie niegdyś potężnego imperium, to pragnienie każdego Araba. Ale postęp jest powolny i utrudniany przez „nadzwyczajne okoliczności”. Wyglądało na to, że się waha, rozważa wszystkie za i przeciw; potem, po dwóch nieudanych próbach, wypowiedział w końcu to zdanie: „Zagraniczne wpływy nie sprzyjają tym dążeniom”.

Ileż goryczy, bólu i bezsilności, ileż niespełnionych marzeń kryło się w tym zdaniu. Ucieczka z Damaszku, spod armat francuskich,

po nocy, w przebraniu, ciężarówką – reflektory przecinają mrok pustyni, bledną ostatnie światła miasta, które zdobył na czele swej zwycięskiej armii i w którym Zgromadzenie Narodowe radośnie wybrało go na króla Wielkiej Syrii. Potem wkroczenie wygnańca do Bagdadu, jego koronacja z łaski Brytyjczyków na władcę tego kraju żebraków, łotrów i koczowników...

Skierowałem rozmowę na incydenty graniczne między Irakiem a królestwem wahhabitów w Arabii Środkowej, grożące w owym czasie wybuchem wojny. Pilnowałem się jednak, aby nie wymienić imienia Ibn Sauda, przywódcy wahhabitów, którzy wypędzili ojca Fajsala i całą dynastię Haszymidów z Półwyspu Arabskiego. Ojciec Fajsala, Husajn, stary i przebiegły jak lis były szarif Mekki, który kilka lat wcześniej proklamował się kalifem wszystkich Arabów, przebywał teraz na wygnaniu na Cyprze. Zgodnie z arabską tradycją jego synowie – władcy Transjordanii i Iraku – mieli obowiązek pomścić hańbę ojca. Ale oba kraje pozostawały pod zwierzchnictwem brytyjskim; minęły dni, gdy arabski władca mógł przestrzegać świętego kodeksu honorowego. Na tym polegała tragedia Fajsala. On też nie wymienił imienia prześladowcy swego ojca; jego głos pozostał uprzejmy, ale stracił dźwięczność. Król mówił odrobinę bardziej piskliwie – jakby chciał powetować w ten sposób swoją bezsilność, upokorzenie, które go trawiło.

– Nie – rzekł w odpowiedzi na moje pytanie – wydarzenia w Arabii Środkowej nie mają żadnego znaczenia dla odrodzenia arabskiego. Nigdy, nawet u szczytu potęgi kalifatu, półwysep nie dorównywał poziomem cywilizacji innym państwom arabskim – i nie można oczekiwać, że to się zmieni w przyszłości. Arabia Środkowa jest dziś bardziej niż kiedykolwiek krajem ciemnych fanatyków...

W tym momencie Fajsal odzyskał panowanie nad sobą i ciągnąc bardziej dyplomatycznym tonem, zapewnił, że nie ma niebezpieczeństwa wybuchu wojny; potyczki graniczne między plemionami są naturalnym, sezonowym zjawiskiem, wyolbrzymianym przez prasę. Jeżeli tylko gazety powstrzymają się od dolewania oliwy do ognia, wszystko będzie dobrze...

Tym frazesem skończyła się audyencja.

Kiedy zgięty w niskich ukłonach wychodziłem, uważając, by się nie potknąć, twarz Fajsala po raz pierwszy rozjaśnił uśmiech.

Powiedział:

– Jest pan jeszcze bardzo młody. Miejmy nadzieję, że kiedy wróci pan do naszego dalekiego kraju, będziemy znacznie bliżej arabskiej jedności.

Było dla mnie oczywiste, że w to nie wierzy. Czułem ulgę, gdy adiutant zamknął drzwi i ciemna postać monarchy, stojąca samotnie w oślepiająco białej komnacie, znikła mi z oczu. Król Fajsal zmarł trzy lata później. Był ostatnim pięknym wcieleniem anachronicznego ideału, który niezwykły geniusz z Oksfordu próbował ożywić, ale który historia skwitowała wzruszeniem ramion.

Od Góry Oliwnej przez Montparnasse do Berlina

Jerozolimska melancholia to lokalna przypadłość, taka jak wrzód bagdadzki; wywołuje ją połączone działanie tragicznej piękności i nieludzkiej atmosfery tego miasta. Jerozolima odznacza się wzniosłym i smutnym pięknem górskiej twierdzy leżącej wśród pustyni, tragedii pozbawionej nadziei na katharsis. Gniewne oblicze Jehowy unosi się nad rozgrzanyimi skałami, które widziały więcej świętych mordów, gwałtów i grabieży niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi. Świętość zatruwa mieszkańców Jerozolimy. Józef Flawiusz, który był kapłanem w tym mieście i cierpiał na jerozolimską melancholię, napisał kiedyś: „Połączenie tego, co boskie, z tym, co śmiertelne, jest odstręczające”.

Jerozolimczycy tworzą prawdziwą mozaikę, ale każdy kamyczek tej mozaiki jest odstręczający. Chyba najbardziej odstręczające jest duchowieństwo, muzułmańskie, chrześcijańskie i żydowskie. Kler muzułmański za moich czasów średnio dwa razy w roku nawoływał do świętego rozlewu krwi. W piątkowy poranek podczas Ramadanu spokojny Arab, właściciel domu, mógł żartować z rodziną swego żydowskiego lokatora, a potem pójść do meczetu, wysłuchać imama, wrócić do domu i kuchennym nożem zadźgać lokatora, jego żonę i dzieci. Duchowni prawosławni, katoliccy, syryjscy, koptyjscy, ormiańscy i innych wyznań chrześcijańskich potrafili wadzić się z powodu takich kwestii, jak to, czy prawosławni mają prawo ustawić drabinę na posadzce ormiańskiej kaplicy w Bazylice Narodzenia Pańskiego w Betlejem, aby umyć górną część kaplicy; albo czy zasłona zawieszona przez prawosławnych na dolnej balustradzie nr 2 u stóp filara, który znajduje się na południowy wschód od lewych schodów wiodących do żłóbka, ma być napięta, czy ułożona w naturalne fałdy (oba przykłady są autentyczne, a mogę dodać do nich jeszcze przepis, że „katolicka zasłona powinna opadać w sposób naturalny z tego samego filara, a odległość między nią a prawosławną winna wynosić szesnaście centymetrów”).

Kler żydowski spierał się z muzułmanami o prawo do ulicy prowadzącej do Ściany Płaczu, a między sobą o metodę rytualnego

uboju; zachęcał też swoich ortodoksyjnych zwolenników, aby w obronie świętości szabatu bili bezbożników palących papierosy na ulicach i rzucali kamieniami w przejeżdżające samochody.

Tak samo zatruta była polityczna atmosfera Jerozolimy. Ród Husajnich mordował członków rodu Naszaszibich; podczas zamieszek oba klany mordowały Żydów. Partie żydowskie nienawidziły przede wszystkim siebie nawzajem, a potem Brytyjczyków i Arabów, w takiej właśnie kolejności. Angielscy sahibowie, tu zwani *hawadjas*, zachowywali się tak, jak to mieli w zwyczaju angielscy sahibowie.

W Jerozolimie nie było kawiarni, nocnych klubów ani życia towarzyskiego. Ludzie zamykali się we własnym kręgu, w kręgu swojej religii, rodu lub partii. Było to ascetyczne, faryzejskie miasto, pełne nienawiści, nieufności i fałszywych relikwii. Mieszkałem przy ulicy Proroków 29, pięć minut piechotą od *via Dolorosa*, a dziesięć od meczetu Omara, gdzie za szylinga pokazywano głąz z odciskami palców archanioła Gabriela. Nigdy nie żyłem tak blisko Boga i nigdy nie byłem od niego bardziej oddalony. Cała doczesna historia miasta, od króla Dawida do Heroda, od Piłata do krzyżowców, od Tytusa do Glubba i Bernadotte'a to świadectwo niszczycielskiej mocy wiary, fiaska prób porozumienia się z Bogiem i wynikającego stąd odstręczającego charakteru połączenia tego, co śmiertelne, z tym, co boskie. Świadomość tej klęski, akcentowana przez wyniosłe milczenie pustyni, wyschnięte koryta potoków i jałowe skały, jest przyczyną jerozolimskiej melancholii.

Moja sytuacja towarzyska była trudna, choć jako przedstawiciel Ullsteina cieszyłem się pewnym prestiżem. Zarabiałem coraz więcej dzięki licznym artykułom, które pisałem do różnych gazet mojego koncernu, a po pierwszym roku chlebodawcy podnieśli mi pensję z dwustu do siedmiuset marek. Dzięki temu moje zarobki sięgały tysiąca marek miesięcznie, co na Bliskim Wschodzie końca lat dwudziestych było górą pieniędzy. Toteż mimo że musiałem utrzymywać rodziców, żyłem na wysokiej stopie. Ponieważ jednak należałem do partii rewizjonistycznej, byłem bojkotowany przez biurokrację syjonistyczną i oficjalne kręgi żydowskie. Jako syjonista nie mogłem utrzymywać kontaktów towarzyskich z Arabami, a jako cudzoziemiec nie miałem

wstępu do brytyjskiego klubu i na salony brytyjskich sfer kolonialnych. Ale nie byłem samotny, miałem w Jerozolimie garstkę przyjaciół. Jeździliśmy konno po pustyni judejskiej i na osłach przy świetle księżycy. Weekendy spędzałem u swego przyjaciela Har-Evena w wesołym Tel Awiwie.

Moje obowiązki dziennikarskie polegały na relacjonowaniu wydarzeń w Palestynie, Egipcie, Transjordanii (dziś Jordania), Iraku, Syrii i Libanie. Miałem również z oddalenia pisać o tym, co dzieje się w królestwie wahhabitów rządzonego przez Ibn Sauda. Od powrotu do Palestyny jesienią 1927 roku aż do wyjazdu do Paryża dwa lata później pisałem do rozlicznych gazet i pism Ullsteina przeciętnie trzy obszernie artykuły tygodniowo. Mniej więcej połowa z nich dotyczyła wypadków politycznych, a resztę stanowiły relacje z podróży i felietony na wszelkie możliwe tematy; pisałem o teatrze hebrajskim, burdelach bejruckich, mozaikach bizantyńskich, strojach beduińskich, królowej Sabie i wytwórni potażu nad Morzem Martwym.

W roku 1928 Żabotyński przyjechał do Jerozolimy i objął funkcję redaktora naczelnego najstarszego dziennika hebrajskiego, „Doar Hayom” („Kurier Codzienny”). Zostałem członkiem redakcji i prowadziłem cotygodniową rubrykę poświęconą wydarzeniom międzynarodowym. Ale główny obszar mojego zainteresowania leżał gdzie indziej. Prasa hebrajska była nieznośnie napuszona, prowincjonalna i drętwa. Chciałem nadać naszemu dziennikowi bardziej ludzkie, europejskie, zwyczajne oblicze, ograniczyć liczbę zjadliwych polemik na rzecz rzetelnych informacji, walczyć z jerozolimską melancholią. Zaproponowałem między innymi całokolumnowy dodatek weekendowy z zagadkami, dowcipami, konkursami, kącikiem szachowym. Żabo zgodził się i mianował mnie redaktorem tego rozrywkowego dodatku, którego nie znała dotąd prasa jerozolimska i który szybko zyskał popularność – choć na początku omal nie doszło do kompromitacji. Otóż w pierwszym numerze dodatku zamieściłem „dwadzieścia pytań” zaczerpniętych z pisma „Uhu”. Odpowiedzi miały się znaleźć w następnym numerze. Pech chciał, że zapodziałem gdzieś egzemplarz „Uhu” z odpowiedziami i mimo rozpaczliwych wysiłków nie udało mi się zdobyć drugiego. Większość pytań miała postać: „Ile

kilometrów ma Wielki Mur Chiński?” albo „Kto wynalazł lep na muchy?”, mogłem więc znaleźć odpowiedź w encyklopedii; ale dwie albo trzy musiałem wyssać z palca. Jedno z tych koszmarnych pytań pamiętam do dziś: „Jaki gryzoń żyje najdłużej?”. Pytałem na Uniwersytecie Hebrajskim, w wydziale rolnictwa Komitetu Wykonawczego Organizacji Syjonistycznej i pewnej angielskiej ornitolog – bez skutku. Orzekłem więc autorytatywnie, że najdłużej żyje wiewiórka. Nikt nie zakwestionował tej odpowiedzi.

Zachęcony powodzeniem dodatku weekendowego postanowiłem przyswoić kulturze hebrajskiej krzyżówkę gazetową. Nie było to proste, bo alfabet hebrajski zawiera tylko spółgłoski. W VI i VII wieku opracowano wprowadzić system samogłosek, ale ani w piśmie odręcznym, ani w druku prawie się ich nie używa. A kiedy już się to robi, na przykład w elementarzach, samogłoski są pisane pod spółgłoskami, a nie obok nich. Dlatego krzyżówki hebrajskie mogą zawierać tylko spółgłoski, przez co zarówno ich układanie, jak rozwiązywanie jest bardzo trudne. Zainteresowałem sprawą pewnego młodego filologa hebrajskiego i razem ułożyliśmy pierwsze sześć krzyżówek. Należało też wymyślić hebrajską nazwę dla tej umysłowej rozrywki. Byliśmy w Jerozolimie, więc nazwa zawierająca słowo „krzyż” niezawodnie wywołałaby oburzenie ortodoksyjnych czytelników. Nawet Żabo nie chciał ryzykować skandalu. Zdecydowaliśmy się więc na „Hidud Hamo'ach”, co znaczy „akrobatyka mózgu”. Zawsze będę dumny z tego, że jestem ojcem hebrajskiej krzyżówki.

Mimo tych i innych rozrywek pobyt w Palestynie coraz bardziej mnie męczył. W 1929 roku wydawało się, że syjonizm utknął w martwym punkcie. Strumień imigrantów zamienił się w wąską strużkę. Naziści, którzy znów przeistoczą ją w rwącą rzekę, nie doszli jeszcze do władzy.

Wyjechałem do Palestyny ogarnięty młodzieńczym entuzjazmem, pragnieniem przeżycia romantycznej przygody. Zamiast wymarzonej utopii znalazłem rzeczywistość – niebywale złożoną rzeczywistość, która mnie pociągała i odpychała zarazem; ale niechęć, z jednego powodu, powoli zaczęła brać górę. Tym powodem był język hebrajski. Język ten

skostniał, przestał się rozwijać i został odrzucony przez Żydów na długo przed narodzeniem Chrystusa – w jego czasach mówiono po aramejsku – teraz zaś został siłą przywrócony do życia. Z powodu archaicznej struktury i słownika zupełnie nie nadawał się do wyrażania myśli, uczuć i dążeń dwudziestowiecznego człowieka. Czyniąc hebrajski oficjalnym językiem, mała społeczność Żydów palestyńskich odcięła się nie tylko od zachodniej cywilizacji, ale także od własnej przeszłości kulturalnej.

Bąłem się, że jeśli pójdę tą samą drogą, będzie to dla mnie duchowe samobójstwo. Przez lojalność dla syjonizmu uzyskałem palestyńskie obywatelstwo i palestyński paszport, na co zresztą zdecydowało się niewielu syjonistów; nawet dr Weizman zrzekł się brytyjskiego obywatelstwa dopiero po wyborze na prezydenta Izraela. Mogłem zrezygnować z europejskiego obywatelstwa, ale nie z europejskiej kultury. Byłem romantykiem zdolnym do różnych szaleństw, lecz w tej sprawie nie znałem kompromisów. Wiedziałem, że w hebrajskojęzycznym otoczeniu zawsze będę obcy, a jednocześnie powoli stracę kontakt z kulturą europejską. Wyjechałem z Europy jako dwudziestoletni młodzieniec. Po trzech latach miałem dość Wschodu – zarówno arabskiego romantyzmu, jak żydowskiego mistycyzmu. Mój umysł i dusza tęskniły za Europą, łaknęły Europy, wyrwały się do Europy.

Następny urlop należał mi się od czerwca 1929 roku. Postanowiłem, że po nim nie wrócę już do Palestyny.

Tym razem wracałem do Europy francuskim statkiem płynącym z Hajfy do Triestu. Podczas rejsu zaprzyjaźniłem się z osiemnasto-, dziewiętnastoletnią pasażerką podróżującą trzecią klasą. Była ładną, drobną brunetką i miała na sobie coś w rodzaju niebieskiego mundurka skautowskiego z czerwoną chustą na szyi; na ramieniu nosiła skórzaną torbę przypominającą torbę listonosza. Drugiego albo trzeciego dnia opowiedziała mi o sobie. Należała do młodzieżówki partii komunistycznej i jechała do Związku Sowieckiego. Do Palestyny wyemigrowała z rodzicami, ortodoksyjnymi Żydami, którzy już nie żyli; ukończyła szkołę im. Herzla w Tel Awiwie, a potem pracowała w kibucu w Galilei. Nie podobał jej się ciasny, nacjonalistyczny światopogląd ruchu syjonistycznego. Uznała, że prawda znajduje się w Rosji: „Jeśli

naprawdę potrzebujemy mesjasza, to już go znaleźliśmy. Mesjasz ludzkości to Lenin”. Powiedziała te słowa ze śmiertelną powagą i w jej ustach wcale nie zabrzmiały one śmiesznie. Wuj mieszkający w Związku Sowieckim załatwił jej wizę (rodzice dziewczyny pochodzili z Rosji). Była więc w drodze z Ziemi Obiecanej do Ziemi Obietnicy.

Po przybyciu do Triestu nie wsiedliśmy do swoich pociągów, ona do moskiewskiego, ja do berlińskiego, ale razem pojechaliśmy do Wenecji. Odkryłem wtedy, że całym bagażem dziewczyny jest owa skórzana torba. Spędziliśmy dwa dni w Wenecji, którą znałem, bo bywałem w niej z rodzicami, ale której moja towarzyszka nigdy nie widziała i nigdy nie miała ponownie zobaczyć. Rozstaliśmy się na jakimś dworcu kolejowym – w Bolzano albo w Merano, o ile mnie pamięć nie myli. W biurze podróży kupiła bilet kolejowy do Moskwy. Miała już tylko garść drobnych, więc wcisnąłem jej do ręki trochę grosza. Powiedziała mi wtedy:

– Wiesz, że z Rosji nie można wysyłać pieniędzy, oddam ci po rewolucji światowej, a to może potrwać trzy albo cztery lata.

Miesiąc później przysłała mi z Moskwy jedyny list. Jego treść była ogólnikowa, ale przebijał z niej smutek. Natychmiast odpisałem, ale nie dostałem już odpowiedzi. Uczestnicy dziecięcej krucjaty, których sprzedano w niewolę Maurom, też nie pisali listów do domu.

Wspominam ten epizod, bo choć zapomniałem imię mojej towarzyszki podróży, zachowałem w pamięci jej postać w czerwonej chustce, ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię – tak jak zapamiętałem *Marsz żałobny* Chopina i gigantyczne czerwone globusy z Budapesztu. Były to skryte na razie w podświadomości punkty orientacyjne, które wskazywały mi drogę.

Po przyjeździe do Berlina zostawiłem bagaż na dworcu i udałem się na spotkanie z moim bezpośrednim zwierzchnikiem dr. Magnusem. Od wyniku naszej rozmowy zależało, czy zatrzymam się w dobrym, czy w tanim hotelu.

Kiedy powiedziałem Magnusowi, że raczej odejdę z firmy, niż wrócę do Jerozolimy, nie zdziwił się. Kiwnął głową, jakby się tego spodziewał, przez kilka sekund przypatrywał mi się, a w końcu rzekł ze swoim cierpkim uśmiechem:

– Skoro ma pan dosyć świętości, to może pojechałby pan do Paryża?

W późniejszych latach moje zainteresowanie syjonizmem osłabło, wtapiając się w szerszy kontekst zajmujących mnie zagadnień społecznych.

Odżyje ponownie trzynaście lat później, gdy Hitler uruchomi swoje komory gazowe i krematoria.

Do czerwca 1929 roku mój adres brzmiał: Jerozolima, ulica Proroków 29. W lipcu tego roku zmienił się na: Paryż, 23 rue Pasquier.

Miałem szczęście – choć go wówczas nie doceniałem – że z powodu choroby kolegi musiałem od razu zacząć pracę. Już na drugi dzień po przyjeździe pracowałem od 9 do 13, od 15 do 19 i od 21 do 23. Przez dwa miesiące nie miałem nawet czasu zajrzeć do Luwru. Dlatego nigdy nie oglądałem Paryża oczami turysty. Niejako wrastałem w jego tkankę, wiodąc życie francuskiego pracownika biurowego o przeciętnych dochodach. Od pierwszych chwil czułem się w Paryżu jak u siebie i poruszałem się w nim ze swobodą świadczącą o moim głębokim pokrewieństwie duchowym nie tyle z francuską sztuką, architekturą i literaturą, ile z życiem francuskiego drobnomieszczanina, najbardziej konserwatywną i zamkniętą formą egzystencji. Moja nowa praca tak różniła się od poprzedniej jak krajobrazy jednego i drugiego miasta. W Jerozolimie byłem panem siebie, w Paryżu miałem nad sobą szefa i musiałem przestrzegać ustalonych godzin pracy. Z drugiej strony, na Bliskim Wschodzie nic szczególnego nie działo się w polityce, Paryż tymczasem był stolicą Europy.

„Ambasador” Ullsteina w Paryżu, dr Leo Stahl, był ode mnie starszy o mniej więcej dwadzieścia lat. Słowo „ambasador” jest całkiem na miejscu, ponieważ jako korespondent największej niemieckiej sieci prasowej, lansującej ideę zbliżenia między Francją a Niemcami, miał duże wpływy polityczne. Stahl był kanciastym, krępy Bawarczykiem wyznania mojżeszowego, weteranem pierwszej wojny światowej, z której wrócił z Krzyżem Żelaznym na piersi i kulawą nogą. Jako pierwszy korespondent niemiecki został akredytowany we Francji po zawieszeniu broni w 1918 roku i był obecny na historycznym

posiedzeniu Izby Deputowanych, podczas którego pąsowy z emocji Briand, uderzając pięścią w pulpit po każdym zdaniu, wygłosił rewolucyjne oświadczenie: „Francuzi są wielkim narodem” (uderzenie). „Niemcy też są wielkim narodem” (uderzenie, grobowa cisza). „Niech wreszcie żyją w zgodzie, *nom de Dieu*” (burzliwa owacja).

Była to pierwsza i o ile pamiętam ostatnia anegdota, którą usłyszałem od swego nowego zwierzchnika. Stahl traktował pracę z niezwykłą uczciwością i sumiennością, graniczącą z pedanterią. Niestety, był bardziej urzędnikiem niż dziennikarzem i w naszej siedzibie panowała atmosfera przypominająca raczej szkołę męską albo koszary niż redakcję prasową. Biuro Ullsteina znajdowało się w eleganckiej dzielnicy Madeleine. Stały personel składał się z szefa, dwóch redaktorów – Briksa i mnie – oraz sekretarki. Brix był pulchnym, towarzyskim i dobrodusznym mieszkańcem Saary, całkowicie pozbawionym ambicji, przekonań i kłopotów osobistych. W naszym kwartecie odgrywał rolę łagodzącą i pojednawczą. Później miał służyć swoim nazistowskim szefom równie rzetelnie jak liberalnym Ullsteinom, ale jest jednym z niewielu, którym nie mam tego za złe.

Stahl nie wierzył w relacje z pierwszej ręki, dlatego przez cały dzień musieliśmy tkwić przy swoich biurkach, choćby na zewnątrz nie wiedzieć co się działo. Nasza praca polegała na czytaniu francuskich gazet, pism i biuletynów agencyjnych, wybieraniu z nich materiału i opracowywaniu go. Dlatego w ciągu całego roku spędzonego na paryskiej placówce tylko raz byłem na posiedzeniu Izby Deputowanych, której obrady codziennie relacjonowałem i komentowałem – i to wyjątkowe wydarzenie nastąpiło dopiero po trzech miesiącach od mego przyjazdu. Tylko dwa razy opuściłem w godzinach pracy twierdzę przy rue Pasquier, aby przeprowadzić wywiad osobiście zamiast przez telefon: pierwszy raz z hrabią de Broglie po otrzymaniu przezeń Nagrody Nobla, a drugi z Carlo Rosellim po jego ucieczce z Włoch. Ten pierwszy wywiad miał doniosłe skutki dla mojej kariery.

Większość dnia spędzaliśmy, jak już pisałem, w redakcji; potem na zmianę z Briksem pełniliśmy nocny dyżur w sali prasowej znajdującej się w suterynie budynku giełdy.

W ciągu pierwszych trzech miesięcy miałem łatwiejszą zmianę: od 21 do 23. Potem Brix poszedł na urlop, musiałem więc przejąć również jego dyżur, od 4 do 8 rano; od 9 do 13 miałem przerwę na sen. Tak zaczął się nowy rozdział w moim paryskim życiu.

Brix pracował rankami od wielu lat i zdążył do tego przywyknąć. Ja musiałem się zdecydować, czy iść spać o północy, żeby o 3.15 wyrwał mnie ze snu terkot budzika, czy w ogóle się nie kłaść i zadowolić się czterema godzinami snu na dobę. Ale niełatwo jest noc w noc czuwać do 4 rano, a potem iść do pracy – nawet w Paryżu i nawet w wieku dwudziestu czterech lat.

Poza tym nie byłem nocnym markiem, chciałem tylko uniknąć tortury wstawania po trzech godzinach snu. Szedłem więc do jednej z czynnych przez całą dobę *brasseries* przy Boulevard Edgar Quinet, w których przesiadywały prawie wyłącznie zmęczone uliczne prostytutki; albo do *Chope du Nègre* przy rue du Faubourg Montmartre, odwiedzanej przez wyżej wymienione i ich opiekunów – *maquéraux* i *souteneurs* w każdym wieku; ich głównym zajęciem było granie w belotkę i pilnowanie swoich dam, a także ich klientów. Czasami włóczyłem się też po paryskich halach, przyglądając się rozładunkowi gór warzyw i owoców, ryb i mięsa, jaj i kur – i zazdrościłem Zoli, który napisał swą słynną powieść o halach, *Brzuch Paryża*, nigdy nie będąc w nich nocą (wolał opierać się na naocznych relacjach braci Goncourtów).

Wśród paryskich domów publicznych były przybytki poważne i mniej poważne. Te pierwsze bardzo dbały o swoją reputację; nie zezwalano tam na pijaństwo, hałaśliwe zachowanie ani oskubywanie klientów, a dziewczęta musiały przestrzegać ścisłej etykiety. W Paryżu działało wiele luksusowych domów publicznych, takich jak *Chabannais*, *Sphinx* albo lokal przy rue des Victoires, specjalizujący się w „żywych obrazach”, w których występowali mnisi, zakonnice, księżęta i pastereczki w pozach *rabelaisowskich*. Ale takie miejsca, jak wszystko, co związane z turystyką, traktowano w branży z pogardą. Poważne domy służyły mieszkańcom dzielnicy, miały swoją mniej lub bardziej stałą klientelę, przystępne ceny i miłą atmosferę. Gość mógł w nich siedzieć przez godzinę nad szklanką piwa lub kieliszkiem koniaku, zapłacić i nie

nagabywany wrócić do domu – co właśnie czyniła mniej więcej połowa klientów. Nierzadko nawet przychodzili z żonami lub kochankami, które chciały zaspokoić ciekawość i zobaczyć „dom” od środka; tylko w tanich zakładach, obawiających się konkurencji, obowiązywał zakaz wstępu dla kobiet.

Najbardziej frapujące w domu o ustalonej reputacji były rozmowy między statecznymi mieszczkami, które przychodziły z mężami, a pracującymi w nim dziewczętami. Małżonkowie wchodzili do lokalu, niekiedy pod rękę; *gérante* (kierowniczka) witała ich z uszanowaniem i prowadziła do stołu z powagą właściwą *maître d’hotel* w dobrej restauracji. Mąż, mający na sobie wyjściowy garnitur, był często w niezręcznej sytuacji; musiał zachowywać się swobodnie i wyglądać na światowca – ale nie nazbyt swobodnie, aby nie stwarzać wrażenia, że świetnie zna to miejsce. Starał się udawać, że ostatni raz był tu przed dwudziestu laty, jeszcze za kawalerskich czasów.

Żona jest zarumieniona z emocji, jej imponująca pierś faluje, nerwowo poprawia swoje boa. Siadają i zapraszają do stolika któreś dziewczę, bo umówili się wcześniej, że będą „poznawać życie”. Wywiązuje się rozmowa będąca wzorem francuskiej uprzejmości.

Mieszczka jest odziana po szyję, panienka – naga przynajmniej do pępka, zachowuje się jednak obyczajnie i z godnością. Para proponuje jej koniak albo szampana, ale dziewczyna wybiera skromnie likier miętowy.

– Nie lubi pani *les alcools, Mademoiselle?* – pyta mieszczka.

– Ach, nie, *Madame*. Mam tylko po nich zgagę.

– To ciekawe, bo ja też. Nie mam nic przeciwko małemu *apéritif* przed obiadem i szklaneczce wina, ale jeśli chodzi o *les alcools*...

– Całkowicie się z panią zgadzam, *Madame*. One bardzo szkodzą na żołądek. Pamiętam, jak kiedyś...

I zaczynają rozwodzić się o dietach, wątrobach i zaparciach, z czułością wspominając swoje choroby i operacje. Stąd już tylko mały krok do kwestii wzrostu kosztów utrzymania. Mąż nie bierze udziału w rozmowie i nudzi się, jak to zwykle bywa, gdy spotkają się dwie kobiety. Kiedy próbuje zamówić drugą kolejkę – kieliszki kobiet pozostają nietknięte – jest szybko i stanowczo przywoływany

do porządku:

– Ach, ci mężczyźni...

– O *la, la, Madame*, mogłabym pani niejedno opowiedzieć...

Głowy kobiet pochylają się ku sobie. Mieszczka zapomina zupełnie o nagich piersiach dziewczyny, które przed chwilą obrzuciła ukradkowym, pełnym zazdrości spojrzeniem. Panience pochlebia ta zażyłość z szacowną *burgeoise*; obie z zadowoleniem mszczą się na mężu, żalonym brutalu. Chichoczą i wymieniają się sekretami, które wywołałyby rumieniec na twarzy każdego mężczyzny; mieszczka bawi się jak nigdy w życiu. W końcu mąż, ziewając demonstracyjnie, wyjmując zegarek i oświadcza, że pora iść spać. Aby ocalić męską dumę, przy słowie „spać” mruga porozumiewawczo. Dziewczyna, grzeczna do końca, zauważa filuternie:

– Ach, jeśli o to chodzi, to znajduje się pan w bardzo szczęśliwym położeniu, *Monsieur*, znacznie szczęśliwszym niż tutaj.

Po czym rozstają się w świetnym humorze i doskonałej zgodzie.

Jedyna trudność dla dziewczyny polega na właściwym rozpoczęciu rozmowy. Jeżeli nie uda jej się szybko przełamać pierwszych lodów, zawstydzona mieszczka nieuchronnie zada fatalne pytanie:

– Czy nie jest pani zimno, *Mademoiselle*?

Właściwa odpowiedź brzmi:

– Ach, wie pani, można się przyzwyczać.

Po czym trzeba wspomnieć o złej pogodzie i kiepskich plonach, co znów prowadzi do wzrostu kosztów utrzymania itd.

Ankieta socjologiczna, której nigdy nie przeprowadzono, wykazałaby, że panienska zatrudniona w poważnym domu publicznym w Paryżu miała średnio dwadzieścia pięć lat, dzięki regularnym badaniom lekarskim i środkom zapobiegawczym była zdrowa, że miała jedno dziecko przebywające gdzieś na prowincji, że zamierzała jeszcze przez pięć lat pracować w swoim fachu, a potem za odłożone oszczędności kupić sklep lub kawiarnię w jakimś miasteczku, wyjść za mąż za zamożnego wdowca i do końca swych dni prowadzić szczęśliwe życie, otoczona szacunkiem sąsiadów. Co tydzień miała wychodne, zakładała elegancki kostium, nieco staroświecki kapelusz, robiła skromny makijaż, owijała się wyliniałym lisem i spędzała ten

dzień z krewnymi na wsi albo z dzieckiem i jego opiekunami. Ani krewni, ani opiekunowie dziecka nie znali jej prawdziwego zawodu, a strojem i wyglądem nie różniła się od ekspedientki z domu towarowego albo szwaczki z maison de couture, którą udawała. Niczym też, po zrealizowaniu swoich planów życiowych, nie będzie się różnić od innych właścicielek kawiarni albo sklepu z kapeluszami w małym miasteczku, które też wydały się za zamożnych wdowców. Może tylko będzie bardziej wyrozumiała dla kaprysów i dziwactw swego męża i dla natury ludzkiej w ogóle. Wśród ubranych na czarno, piersiastych, miłych i energicznych kobiet siedzących za podzwaniającymi kasami jest we Francji wiele dawnych prostytutek i kraj tylko na tym korzysta. Mogę się też założyć, że niektóre z nich były bohaterkami ruchu oporu.

W 1946 roku paryskie domy publiczne zostały zamknięte i od tej pory zaczęły szybko obrastać legendą. Czytelnik być może wyczuje w tych wspomnieniach nutę nostalgii – przyznaję się do niej bez skrępowania. Domy publiczne były bowiem częścią paryskiego krajobrazu, francuskiego sposobu życia i francuskiej literatury. Co się tyczy moralności, to wszystkie oklepane, ale przecież słuszne argumenty przemawiały na ich korzyść: że prostytutka jest tak stara jak cywilizacja, że będzie istnieć, dopóki seks będzie determinowany przez czynniki biologiczne, a małżeństwo przez społeczne i ekonomiczne, że skutkiem prawnego zakazu – tak jak w wypadku prohibicji – jest zejście prostytutki do podziemia, gdzie towarzyszy jej przestępstwo, przemoc i korupcja. Paryskie domy publiczne w okresie legalności nie były ani Sodomą, ani idyllą, jak opisywano je w niektórych powieściach; były porządnymi firmami, w których seks, pozbawiony całej tajemniczej otoczki, sprzedawano jako towar. Handel jakąkolwiek zdolnością człowieka zawsze w pewien sposób go degradowuje; ale między prostytutką cielesną a innymi jej formami – polityczną, literacką, artystyczną – nie ma przecież zasadniczej różnicy. Jeśli bardziej odraża nas ta pierwsza, to dowodzi to, że ciało traktujemy poważniej niż duszę. Absurdem jest myślenie, że w społeczeństwie nastawionym na zysk najsilniejszy z ludzkich popędów uchroni się przed komercjalizacją. A jeśli handel seksem uznaje się za nieunikniony, to handel legalny, ujęty w karby przepisów jest lepszy niż czarny rynek.

Konieczność powtarzania takich truizmów wydaje mi się bardziej żenująca niż obrona legalności prostytucji. Ale tchórzostwo w tej dziedzinie jest tak powszechne, że ich przypomnienie wydaje mi się uzasadnione. Tym bardziej, że wydarzenie, które doprowadziło do zamknięcia paryskich domów publicznych, jest groteskowym szczytem hipokryzji. Jego bohaterką była słynna agentka wywiadu z czasów pierwszej wojny światowej, Marthe Richard.

Marthe Richard, alias Marthe Richer, née Betenfeld, później znana jako Marthe Crompton, urodziła się w 1889 roku w Lotaryngii. Jako jedna z pierwszych kobiet otrzymała w 1913 roku licencję pilota. W 1914 roku wywołała sensację, proponując, aby Ministerstwo Wojny stworzyło kobiecą eskadrę myśliwską; pomysł został jednak odrzucony. W 1915 roku jej mąż, bogaty przemysławiec, zginął na froncie i pani Richard postanowiła pomścić jego śmierć, zostając szpiegiem. Szef wywiadu francuskiego, kapitan Ladoux, wysłał ją do neutralnej Hiszpanii, gdzie Richard udało się nawiązać stosunki z komandorem von Krohmem, niemieckim attaché morskim w Madrycie. W 1933 roku została odznaczona orderem Legii Honorowej, a potem opublikowała trzy książki autobiograficzne.

Podczas drugiej wojny światowej Marthe Richard nie mogła zaspokoić trawiącej ją żądzy rozgłosu. Jej godzina nadeszła po wyzwoleniu Paryża. Została wybrana do rady miejskiej i na pierwszym jej posiedzeniu w grudniu 1945 roku znalazła prosty sposób uwiecznienia swego nazwiska w paryskich annałach. Wygłosiła płomienną mowę przeciwko domom publicznym i poddała pod głosowanie formalny wniosek o ich zamknięcie.

Galeria klaskała, rajcy miejscy znaleźli się w kłopotcie. Co innego wiedzieć, że domy publiczne są złem koniecznym, a co innego wystąpić w ich obronie na publicznym zebraniu. Ojcowie miasta bali się, że w ten sposób wystawią na szwank reputację swojej partii, dadzą do ręki przeciwnikom argumenty i narażą się na oskarżenie, że siedzą w kieszeni *tauliers* – bogatej i potężnej organizacji właścicieli burdeli. Tak więc członkowie chadeckiego MRP, komuniści, socjaliści i radykalni socjaliści jeden po drugim wstawali i deklarowali, że stoją po stronie cnoty. Odbyło się publiczne głosowanie i w ogólnym zamieszaniu

sześćdziesięciu siedmiu z sześćdziesięciu ośmiu rajców głosowało za zamknięciem domów publicznych. Samotny bohater, który głosował przeciw, zasłużył na miejsce w Panteonie, ale jego nazwisko nie przeszło do historii.

Niedługo po moim przyjeździe do Paryża nastąpił czarny wtorek, 29 października 1929 roku. Nie doceniliśmy wówczas wagi tego wydarzenia, dopiero po kilku miesiącach Europa odczuła jego skutki. Kiedy jednak fala kryzysu dotarła do krajów europejskich, wypadki potoczyły się z zawrotną szybkością. Bezrobocie w Niemczech wzrosło do sześciu milionów – jednej trzeciej całej siły roboczej. Równie szybko rosły wpływy NSDAP. Europa chwiała się w posadach. Ale w swoich doniesieniach z Paryża praktycznie nie wspominaliśmy o krachu na Wall Street. Byliśmy przekonani, że to tylko kolejny kryzys gospodarczy; nie zauważyliśmy, że zaczął się kryzys cywilizacji.

W przerwach między codziennymi obowiązkami pisałem średnio dwa długie artykuły do „Vossische Zeitung” miesięcznie. Były one poświęcone filmom surrealistycznym (*Pies andaluzyjski* Buñuela wszedł właśnie na ekrany), teatrowi małżeństwa Pitoeffów, aferze „Gazette du Franc” i tajemniczemu zniknięciu carskiego generała Kutiepowa (uprowadzonego przez GPU, w co jako dobry postępowiec nie chciałem uwierzyć). Pisałem też o słynnym teatrze marionetek (Teatro dei Piccoli), dokąd przez pewien czas często chodziłem, o pierwszych francuskich filmach dźwiękowych, ostatniej książce Maeterlincka i teorii materii de Broglie’a, za którą uczoney otrzymał w 1929 roku Nagrodę Nobla.

Ten ostatni artykuł był przełomem w moim życiu zawodowym. Zadzwoiłem do de Broglie’a niecałą godzinę po otrzymaniu przez nasze biuro wiadomości ze Sztokholmu; sam laureat nie uzyskał jeszcze oficjalnego potwierdzenia. Cieszył się jak dziecko, wcale tego nie ukrywał i dwa razy zapytał mnie: „Jest pan pewien, że to prawda, a nie jakiś kawał?”. Jeden lub dwóch dziennikarzy zdążyło już doń zadzwonić i zadać mu kretyńskie pytania o plamy na słońcu i promienie śmierci. Z ulgą więc dowiedział się, że studiowałem nauki przyrodnicze i pasjonuję się fizyką. Rozmawialiśmy trzy albo cztery godziny; de Broglie miał wtedy trzydzieści siedem lat i łączył w sobie geniusz

z urokiem osobistym – rzecz rzadko spotykana. Potem przez całą noc jak w uniesieniu pracowałem nad artykułem. W przystępny sposób opisałem w nim przewrót w nauce i filozofii wywołany przez mechanikę falową de Broglie’a–Schrödingera. Ukazał się kilka dni później w „Vossische Zeitung” i zwrócił uwagę dr. Franza Ullsteina, starszego wspólnika firmy, który po jego przeczytaniu uznał, że mam wielki talent do popularyzacji nauki. Na jego żądanie zostałem mianowany redaktorem naukowym „Vossische Zeitung” i we wrześniu 1930 roku objąłem w Berlinie nowe stanowisko. Od tej chwili moja kariera nabrała tempa. Byłem teraz szefem działu naukowego najbardziej renomowanej gazety niemieckiej i doradcą ds. naukowych wielkiego koncernu Ullstein. Rok później zostałem też szefem działu zagranicznego gazety „B.Z. am Mittag”. Moje miesięczne dochody sięgały dwóch tysięcy marek – w ciągu czterech lat wzrosły więc czternastokrotnie i były bliskie maksimum tego, co mógł wówczas zarobić niemiecki dziennikarz.

Jednakże pod względem intelektualnym był to w moim życiu okres zastoju. Odkąd w wieku dwudziestu dwóch lat zacząłem piąć się po szczeblach kariery, przestałem rozwijać się duchowo. Dni, w których dręczył mnie obraz rozszczepionej strzały, dylemat między działaniem a kontemplacją, należały do przeszłości i do przyszłości. Mój pobyt w Paryżu i pierwszy rok w Berlinie były pełne rozmaitych wrażeń, ale jałowe pod względem duchowym. Czas wypełniały mi dwie rzeczy: szaleńcza praca i gorączkowa pogoń za kobietami, która trwała zresztą około dwudziestu lat. To, że była to pogoń za widmem, a nie za przyjemnością, jak wówczas uważałem, zrozumiałem – wraz z innymi prawdami dotyczącymi mojej osoby – dopiero po czterdziestce.

Liberalny Götterdämmerung

Przyjechałem do Berlina 14 września 1930 roku, w dniu brzemiennych w skutki wyborów do Reichstagu.

Dotychczas NSDAP miała w niemieckim parlamencie dwanaście mandatów. W wyborach 14 września zdobyła ich sto siedem. Socjaldemokraci stracili dziesięć miejsc. Komuniści zwiększyli stan posiadania o 40 procent, narodowi socjaliści – o 800. Zbliżała się decydująca rozgrywka. Doszło do niej już dwa i pół roku później.

Na drugi dzień po wyborach objąłem swoje nowe stanowisko w imponującym budynku przy Kochstraße. Wszyscy byli tam jeszcze w szoku. Musiałem złożyć wizyty kurtuazyjne redaktorom czterech dzienników i kilkunastu periodyków, urzędującym na drugim i trzecim piętrze wielkiego gmachu. Uścisk ich ręki był słaby, wzrok mieli nieobecny. Dwóch lub trzech zapytało z kwaśnym uśmiechem: „Czemu u licha nie został pan w Paryżu?”. Przyjazd nowego redaktora naukowego w tej właśnie chwili uznali za świetny dowcip.

Po kilku dniach panika minęła, ludzie z Kochstraße i w całym Niemczech zajęli się codziennymi sprawami, choć kraj stał się tymczasem istnym polem minowym.

Ponad połowa pracowników Ullsteina miała żydowskie korzenie. Ale pozostałych nie czekał później lepszy los. Ullstein był *bête noire* doktora Goebbelsa. Uosabiał wszystko, czego minister propagandy nienawidził: „kosmopolityczną literaturę brukową”, „żydowski pacyfizm”, „plutodemokrację”, „zachodnią dekadencję”.

Dwa i pół roku to dużo czasu. Wahadło wychylało się to w jedną, to w drugą stronę. Wybory następowały po sobie w coraz krótszych odstępach, gorączka polityczna rosła. Liczba głosów oddawanych na narodowych socjalistów wzrastała skokowo, ale od czasu do czasu zdarzało im się drobne niepowodzenie i wszyscy oddychali nieco swobodniej. W NSDAP doszło do wielkiej czystki, której ofiarą padł Gregor Strasser i która miała jakoby tak bardzo osłabić partię, że stała się ona niezdolna do działania. Była chwila, że partie demokratyczne ocknęły się z odrętwienia i pruska policja zaaresztowała

kilku funkcjonariuszy SA. A w listopadzie 1932 roku Hitler poniósł nawet małą porażkę wyborczą, która wywołała ostatni przypływ nadziei tuż przed samym końcem.

Po fakcie zadawano sobie pytanie: jak mogliśmy być tak głupi, aby nie widzieć, że wszystko jest przesądzone? Odpowiedź jest taka, że było raz lepiej, raz gorzej, że trwało to aż dwa i pół roku i że z powodu ograniczonej ludzkiej wyobraźni większość Niemców wcale nie uważała, że wynik jest przesądzony.

Nie czekałem na koniec. W lipcu 1932 roku, kilka dni po tym, jak jeden porucznik na czele ośmiu policjantów z rozkazu von Papena rozpędził socjaldemokratyczny rząd Prus, wyjechałem do Rosji. Widziałem więc agonię republiki weimarskiej tylko przez dwadzieścia dwa z trzydziestu miesięcy. Okres ten zapisał się w mojej pamięci jako nieprzerwany ciąg wydarzeń: wahania krzywej między nadzieją i rozpaczą przestały być widoczne, niezaprzeczalnym faktem było tylko stałe zsuwanie się ku przepaści – najpierw powolne, potem coraz szybsze i zakończone nagłym upadkiem.

Wszystkie fazy tego procesu znajdowały odbicie w fabryce opinii publicznej, w której pracowałem. Ton naszych gazet wyraźnie się zmieniał. W „Vossische Zeitung” pojawiła się stała rubryka poświęcona Niemcom mieszkającym za granicą. Wielu z nas po raz pierwszy w życiu usłyszało nazwę „Niemcy sudeccy”. Brzmiała ona tak śmiesznie i zaściankowo, że zdanie „Jesteś typowym Niemcem sudeckim” stało się ulubionym żartem dziennikarzy z działu felietonów „Vossische”. Ale nasza rubryka wcale nie była żartem. Symbolizowała na wpół świadomą reorientację polityki redakcyjnej z kosmopolitycznej na pangermańską.

Nasze gazety usztywniły stanowisko wobec mocarstw zachodnich. Zawsze krytykowaliśmy traktat wersalski, teraz jednak rzeczową krytykę zastąpiło zarozumiałe przekonanie o własnej racji. Artykuły wstępne stały się drętwe, prowincjonalne i pełne patriotycznych frazesów. Redaktorów i korespondentów zagranicznych wcale nie trzeba było przekonywać do zmiany kursu. Instynktownie i samorzutnie dostosowali się do nowego tonu nadanego przez dyrekcję. Gdyby ktoś im zarzucił, że zmienili przekonania, zaprzeczyliby z oburzeniem i zupełnie szczerze.

Na długo przed upływem ostatnich trzydziestu miesięcy

„Vossische”, biblia niemieckiego liberalizmu, nie miała poza nazwą prawie nic wspólnego ze swym dawnym wcieleniem. Kierownicy niektórych działów mężnie próbowali się opierać, ale należeli do wyjątków. W firmie pojawiały się nowe twarze, starzy redaktorzy znikali.

Ta cicha czystka trwała przez cały 1932 rok. Choć Ullsteinowie byli Żydami o postępowych zapatrywaniach, starali się powoli i w sposób pośredni aryżować firmę i nadać jej nacjonalistyczne oblicze. Ofiarami czystki padali więc, o ile dobrze pamiętam, wyłącznie Żydzi lub osoby o lewicowych poglądach, a na ich miejsce zatrudniano wyłącznie Aryjczyków i zatwardziały nacjonalistów. Do pierwszych ofiar należał Stefan Grossmann, jeden z najbardziej szanowanych publicystów liberalnych; jego los podzielili Heinz Pohl, znakomity krytyk filmowy z „Vossische”, i Franz Hoellering, redaktor naczelny „B.Z. am Mittag”. Przez pewien czas pełniłem stanowisko zwolnione przez Hoelleringa, aż nadeszła moja kolej; ale ja przynajmniej zostałem zwolniony z uzasadnionego powodu.

W budynku przy Kochstraße zapanowała atmosfera strachu i niepewności, odzwierciedlająca strach i niepewność panujące w całym kraju. Nadal chodziliśmy po dźwiękochłonnych korytarzach z minami ministrów, ale ukradkiem przyglądaliśmy się sobie, zastanawiając się, kto będzie następny. Niekiedy wiadomo było, że ktoś jest przeznaczony do odstrzału, sama ofiara jednak żyła w błogiej nieświadomości tego, co ją czeka. Anegdota krążąca po pokojach redakcyjnych trafnie oddawała tę sytuację. Jest to jedyna chińska anegdota, jaką znam, a warto ją opowiedzieć, bo znakomicie oddaje atmosferę ostatnich miesięcy republiki weimarskiej.

Za panowania drugiego cesarza z dynastii Ming żył kat Wang Lun. Był mistrzem swego rzemiosła, a jego imię znano we wszystkich prowincjach cesarstwa. W owych czasach wykonywano wiele egzekucji i czasem należało stracić aż dwudziestu ludzi jednego po drugim. Wang Lun miał zwyczaj stawać u stóp szafotu z uprzejmym uśmiechem, chowając swój zakrzywiony miecz za plecami i gwizdząc jakąś miłą dla ucha melodię. Kiedy ofiara wchodziła na szafot, szybkim ruchem miecza ścinał jej głowę.

Kat przez całe życie marzył o jednym, choć spełnienie tego marzenia zajęło mu pół wieku wyteżonych starań. Chodziło o ścięcie człowiekowi głowy tak szybko, aby zgodnie z prawem bezwładności pozostała ona na karku ofiary – jak talerz pozostaje w tym samym miejscu, gdy nagłym szarpnięciem wyciągniemy spod niego obrus.

Wielka chwila Wang Luna nadeszła w siedemdziesiątym ósmym roku jego życia. Tego pamiętnego dnia musiał wysłać szesnastu klientów z tego świata cieni do świata ich przodków. Stał jak zwykle u stóp szafotu i już jedenaście ogolonych głów spadło na ziemię po jego mistrzowskim cięciu. Kiedy na szafot wchodził dwunasty skazaniec, miecz Wang Luna przeciął jego kark tak błyskawicznie, że głowa pozostała na swoim miejscu, a jej właściciel nadal wchodził po schodach, nie zdając sobie sprawy, co zaszło. Po wejściu na szafot zwrócił się do Wang Luna w te słowa:

– Okrutny Wang Lunie, czemu przedłużasz moje męki oczekiwania, skoro innych potraktowałeś z tak życzliwą i miłosierną szybkością?

Usłyszawszy to, Wang Lun wiedział, że dokonał dzieła swego życia. Twarz rozjaśniła mu się uśmiechem zadowolenia, po czym rzekł uprzejmie do czekającego:

– Proszę tylko pochylić głowę.

Chodziliśmy cichymi korytarzami twierdzy niemieckiej demokracji, pozdrawiając się kpiącym „Proszę tylko pochylić głowę”. I dotykaliśmy naszych karków, aby się upewnić, że głowa nadal jest na swoim miejscu.

Republika weimarska była skazana na zagładę. Niemiecki liberalizm zdradził swoje przekonania i skompromitował się, nie zwiększywszy wcale swoich szans na przetrwanie. Nadzieja na ratunek z tej strony okazała się płonna.

Niczego też nie można się było spodziewać po socjalistach. Przez minione ćwierć wieku celowali w oportunizmie i zgniłych kompromisach. W 1912 roku uroczyście ślubowali, że nie pozwolą wciągnąć Niemiec do wojny; dwa lata później entuzjastycznie poparli decyzję kajzera Wilhelma o wypowiedzeniu wojny. W 1918 roku, kiedy klęska wojenna wyniosła ich do władzy, nie skorzystali z historycznej

szansy uczynienia Niemiec naprawdę demokratycznym państwem. W tym celu należało złamać potęgę magnatów z Zagłębia Ruhry, pruskich junkrów i wojskowej kamaryli, ale socjaliści nie odważyli się na to. Nigdy nie mieli konstruktywnego programu politycznego, zamiast śmiało iść do przodu, lawirowali. W wyborach prezydenckich 1932 roku poparli zramolałego feldmarszałka Hindenburga, niemieckiego Pétaina. Dzięki nim Hindenburg został wybrany, a pół roku później mianował kanclerzem Adolfa Hitlera.

Na ich tle Komunistyczna Partia Niemiec prezentowała się godnie. Co prawda w jej polityce też zdarzały się zakręty, którym towarzyszyły zmiany taktyki sprzymierzonych z nią związków zawodowych, ale wiedzieli o nich tylko znawcy polityki rewolucyjnej; również tylko wtajemniczeni zdawali sobie sprawę z roli Moskwy w tych wydarzeniach. Według osób postronnych komuniści przez cały okres 1918–1930 prowadzili dość konsekwentną politykę. Ich taktyka bywała czasem niejasna i nieco zaskakująca, ale czas nagłych i radykalnych wolt jeszcze nie nadszedł. Kiedy w 1931 roku KPD i NSDAP zgodnie domagały się referendum, aby obalić socjalistyczny rząd Prus, i gdy w listopadzie 1932 roku naziści razem z komunistami poparli strajk komunikacji w Berlinie, byłem już tak przesiąknięty marksistowską doktryną, że uznałem te posunięcia za „dialektycznie słuszne”.

Można zdecydować się na coś za sprawą pozytywnego motywu, a można zrobić to przez wykluczenie innych możliwości. Po wyborach z września 1930 roku widziałem, jak klasa średnia zdradza swoje przekonania i wyrzeka się wszystkich swoich zasad. Czynny opór przeciwko Hitlerowi wydawał się możliwy tylko dzięki połączeniu sił z socjalistami lub z komunistami. Porównanie ich dotychczasowej działalności, ich energii i determinacji dyskwalifikowało tych pierwszych i wskazywało na tych drugich.

Nie ja jeden doszedłem do takiego wniosku. Polaryzacja między dwoma skrajnymi orientacjami była wyraźnie widoczna i miała wszelkie znamiona nieuchronności. Sytuację tę celnie wyrażał tytuł słynnej książki H.R. Knickerbockera, która zyskała wówczas ogromną poczytność: *Germany – Fascist or Soviet?* Nie było „trzeciej siły” ani trzeciej możliwości.

W takiej sytuacji zabrałem się do studiowania literatury komunistycznej. Jednym z guru, którzy odegrali wybitną rolę w mojej konwersji na komunistyczną wiarę, był młody człowiek imieniem Otto. Z początku wiedziałem o nim tylko tyle, że jest „ważnym działaczem frontu kulturalnego”. Kilka tygodni później dowiedziałem się, że pod pseudonimem Paul Berlin napisał kilka rozpraw zamieszczonych w pismach marksistowskich i że odgrywa czołową rolę w Związku Niemieckich Pisarzy Proletariacko-Rewolucyjnych, organizacji pisarzy komunistycznych i komunizujących ściśle związanej z Kominternem.

Było to w roku 1931. Trzy lata później, już po przejęciu władzy przez Hitlera, spotkaliśmy się na emigracji w Paryżu. Zaprzyjaźniliśmy się i współpracowaliśmy w paryskim biurze partii, a po moim małżeństwie z siostrą żony Ottona zostaliśmy szwagrami. Dzięki temu po czterech latach znajomości dowiedziałem się, że mój szwagier nie nazywa się ani Otto, ani Paul, ale Peter Maros. Nadal jednak nie wiedziałem, na jakie nazwisko wystawiony jest jego paszport, choć z jego rzucanych mimochodem półsłówków mogłem się domyślić, że nie brzmi ono „Peter Maros”.

Otto, alias Paul Berlin, alias Peter Maros był szczupłym i żyłastym mężczyzną o bardzo silnej osobowości. Wyraz jego twarzy od razu przykuwał uwagę, promieniowała bowiem dyskretną, ascetyczną świętością. Miał wąskie usta, wysokie czoło i nienaturalnie wielkie źrenice, które przewiercały rozmówcę na wylot i onieśmiały go blaskiem braterskiej miłości. Później dowiedziałem się, że ten nadzwyczajny efekt był spowodowany zaburzeniami czynności tarczycy. W połączeniu z całą osobowością Petera działał jednak niezawodnie na każdego sympatyzującego z komunizmem *bourgeois*. Był to okres polityki Frontów Ludowych i partii bardzo zależało na zjednaniu sobie mieszczaństwa. Peter odwiedzał profesorów francuskich uniwersytetów, pisarzy i bankierów, aby zdobyć ich poparcie dla jakiegoś „antyfaszystowskiego” komitetu, prosić o podpis, datek albo list polecający. Po takim spotkaniu żaden z tych porządnych ludzi nie mógł oprzeć się myśli: „Jeśli partia komunistyczna składa się z takich ludzi, to nie może być zła”.

Kilka lat później, podczas hiszpańskiej wojny domowej, Peter

został jednym z organizatorów słynnego antyfaszystowskiego Kongresu Pisarzy w Madrycie, który Stephen Spender opisał dość zgryźliwie w swoich wspomnieniach. Po wystąpieniu z partii w 1938 roku straciłem go z oczu. Później dowiedziałem się, że po wybuchu wojny wrócił do swojej ojczyzny, Jugosławii.

W 1950 roku podczas przyjęcia w domu wysokiego urzędnika Departamentu Stanu w Waszyngtonie posadzono mnie obok jednego z członków jugosłowiańskiej delegacji do ONZ. Należał oczywiście do partii komunistycznej, choć miał krótszy staż ode mnie: ja wystąpiłem z partii w 1938 roku, on rok później dopiero do niej wstąpił. Zapytałem, czy zna mojego przyjaciela Petera Marosa. Na dźwięk tego nazwiska rozpromienił się. Odpowiedział, że Peter to jeden z najwspanialszych ludzi, jakich zna: czysty, odważny i ofiarny, nieomal święty. Był teraz redaktorem czołowego komunistycznego pisma literackiego w Jugosławii. Z entuzjastycznej wypowiedzi mego sąsiada zrozumiałem, że Peter również w jego życiu odegrał rolę guru, pozyskując go dla sprawy komunizmu.

Mój stan ducha w tym okresie kształtowały przede wszystkim czynniki emocjonalne, a nie rozumowe. Można go streścić w dwóch słowach: bunt i wiara.

Do buntu nie trzeba mnie było namawiać. Od dzieciństwa żyłem w stanie ustawicznego oburzenia. Kiedy osiągnęło ono szczyt, wstąpiłem do partii komunistycznej. Stale oburzonego buntownika różni od poważnego rewolucjonisty to, że ten pierwszy potrafi zmienić sprawę, o którą walczy, a ten drugi nie. Buntownik kieruje swe oburzenie raz przeciwko jednej, drugi raz przeciwko innej niesprawiedliwości; rewolucjonista konsekwentnie nienawidzi tego samego. W buntowniku jest zawsze coś z Don Kichota, rewolucjonista to biurokrata Utopii. Buntownik jest entuzjastą, rewolucjonista fanatykiem. Robespierre, Marks, Lenin byli rewolucjonistami; Danton, Bakunin, Trocki – buntownikami. Bieg historii zmieniają przeważnie rewolucjoniści, ale niektórzy buntownicy odciskają na niej trwalszy, choć subtelniejszy ślad. W każdym razie buntownik, mimo wszystkich swoich nużących tyrad i wybuchów entuzjazmu, jest sympatyczniejszy od rewolucjonisty – mówię oczywiście *pro domo sua*.

Pisałem już, jak pod wpływem haniebnej polityki administracji mandatowej w Palestynie z romantyka stałem się aktywnym syjonistą. Ale do białej gorączki doprowadziła mnie dopiero amerykańska praktyka niszczenia zapasów żywności dla utrzymania cen na produkty rolne, bo było to w czasie, gdy miliony bezrobotnych nieomal przymierały głodem. Polityka gospodarcza, która doprowadziła do stosowania takich metod, jest dziś przedmiotem sporów wśród ekonomistów; ale w 1931 i 1932 roku wzbudziła w Europejczykach przerażenie i gniew, które zniszczyły resztki ich wiary w istniejący porządek społeczny. W 1932 roku w Niemczech sześć milionów ludzi, jedna trzecia zawodowo czynnych obywateli, nie miało pracy. W Austrii, na Węgrzech i w sąsiednich krajach było podobnie albo jeszcze gorzej. Mięso, kawa i owoce stały się dla szerokich rzesz nieosiągalnym luksusem, nawet chleb krojono w cienkie kromki. Tymczasem gazety donosiły lakonicznie o wyrzucaniu do morza milionów ton kawy, o paleniu pszenicy, niszczeniu wieprzowiny i oblewaniu pomarańczy naftą w celu „złagodzenia sytuacji na rynku”. Był to groteskowy i niepojęty paradoks – niepojęty dla jego prostodusznych ofiar, bo dla ludzi społecznie uświadomionych stanowił dowód całkowitego krachu i rozkładu istniejącego systemu gospodarczego. Czyż Marks nie przepowiedział, że kapitalizm upadnie wskutek wewnętrznych sprzeczności? Że kryzysy będą następować coraz częściej, a każdy kolejny będzie głębszy – aż ostatni spowoduje upadek kapitalizmu? Było widać jak na dłoni, że proroctwo Marksa jest bliskie spełnienia się. Kiedy na oczach głodujących niszczy się żywność, aby ich tłusci wyzyskiwacze jeszcze bardziej się utuczylili, dzień Sądu Ostatecznego musi być blisko.

Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata

Przed ciosem niechaj tyran drży

Ruszymy z posad bryłę świata...

Echa „stu dni” Węgierskiej Republiki Rad, echa gniewu hebrajskich proroków i odgłosy nadchodzącej Apokalipsy według św. Marksa; pamięć o bankructwie ojca, widok demonstracji głodujących, którzy szurali po bruku dziurawymi butami, i zapach palonej na polach pszenicy – wszystko to doprowadziło do potężnego wybuchu emocjonalnego. Obudziłem się z politycznego letargu.

Aczkolwiek mieszanka, która powodowała eksplozję, różniła się w poszczególnych przypadkach, wielu pisarzy i intelektualistów z całego świata zareagowało w ten sam sposób: we Francji – Barbusse, Romain Rolland, Gide, Malraux; w Niemczech – Piscator, Becher, Seghers, Brecht; w Anglii – Auden, Isherwood, Day-Lewis; w USA – Sinclair, Dos Passos, Steinbeck, Caldwell – by wymienić tylko najważniejszych. W latach trzydziestych przyjęcie komunistycznej wiary nie było modą ani aberracją, ale szczerym i spontanicznym objawem optymizmu zrodzonego z rozpacz: chybioną rewolucją ducha, nieudanym renesansem, fałszywym początkiem historii. Wciąż uważam, że przyjęcie nowej religii było szlachetną pomyłką.

Przedstawiłem niektóre powody, dlaczego miliony Europejczyków w latach trzydziestych stały się buntownikami. Nowa wiara, która zrodziła się z tego buntu, opierała się na mitologii Sowietów.

Mit sowiecki – w odróżnieniu od sowieckiej rzeczywistości – oddziaływał zarówno na płaszczyźnie rozumowej, jak irracjonalnej. W praktyce jednak obie przenikały się do tego stopnia, że trudno przedstawić poszczególne etapy procesu, w wyniku którego ludzie stawali się wyznawcami tego mitu.

Pierwszy etap pamiętam jednak wyjątkowo jasno, gdyż wydawał mi się całkowicie logiczny. Porównanie sytuacji w Związku Sowieckim z sytuacją w krajach zachodnich przemawiało stanowczo na korzyść tego pierwszego. Na Zachodzie panowało masowe bezrobocie, w Rosji brakowało rąk do pracy. Na Zachodzie ciągłe strajki i niepokoje społeczne groziły w niektórych krajach wybuchem wojny domowej; w Związku Sowieckim, gdzie wszystkie fabryki należały do ludu, istniało socjalistyczne współzawodnictwo robotników sprzyjające wzrostowi produkcji. Na Zachodzie anarchiczna zasada *laissez-faire* pogrążała system kapitalistyczny w chaosie i kryzysie; w Rosji pierwsza pięciolatka w zawrotnym tempie przeobrażała najbardziej zacofany kraj Europy w najbardziej rozwinięty. Nawet gdyby sama historia stała po stronie komunizmu, nie mogłaby wymyślić niczego lepszego niż ta zbieżność w czasie najcięższego kryzysu świata zachodniego z pierwszą fazą rewolucji przemysłowej w Związku Sowieckim. Kontrast między uwiązaniem kapitalizmu a bujnym rozwojem planowej gospodarki

sowieckiej był tak uderzający, że prowadził do oczywistego wniosku: oni są przyszłością, a my przeszłością.

Dosłownie zakochałem się w sowieckiej pięciolatce. Na krótko przed wstąpieniem do partii chciałem rzucić pracę i na rok lub dwa pojechać do Rosji, aby pracować tam jako traktorzysta. Państwo sowieckie potrzebowało wykwalifikowanych traktorzystów, a ponieważ byłem prawie inżynierem, mój plan wydawał się zupełnie logiczny. Zwierzchnicy partyjni wytłumaczyli mi jednak, że to „typowo drobnomieszczańsko-romantyczny pomysł”, i musiałem z niego zrezygnować. Wspominam o tym, bo było to dokładne, choć nieświadome powtórzenie mojej eskapady do Palestyny. Teraz jednak miałem dwadzieścia pięć lat, byłem doświadczonym zagranicznym korespondentem i mocno stąpającym po ziemi dziennikarzem. Moja gotowość do powtórzenia przygody sprzed pięciu lat dowodzi, iż pod względem emocjonalnym pozostałem dorastającym chłopcem – ale świadczy też o tym, że żyjąc w rozpadającym się społeczeństwie, łaknąłem wiary, szansy budowania i tworzenia.

Tworzenie, budowanie, konstruowanie – na tym polegał powab nowej wiary. Rewolucja światowa była tylko formalnością, której należało dopełnić przed zbudowaniem bezklasowego społeczeństwa, tak jak Sąd Ostateczny musi poprzedzać ustanowienie Królestwa Niebieskiego na ziemi. Nie sposób jej przeprowadzić bez walki i rozlewu krwi, ale ten punkt programu mało mnie obchodził. Interesowało mnie tylko to, co miało nastąpić potem, czyli budowa społeczeństwa komunistycznego będącego ostatecznym celem dążeń ludzkości. Miało ono uwolnić wszystkie twórcze zdolności człowieka, wprzęgnięte teraz w jarzmo ekonomii. „Przeciętny obywatel bezklasowego społeczeństwa będzie równy Arystotelesowi, Goethemu, Marksowi” – pisał Trocki. Po wyzwoleniu z jarzma prometejska energia człowieka wytryśnie jak lava podczas wybuchu wulkanu. Ruszy ona „z posad bryłę świata” i przywiąże ją do strzały zmierzającej w bezkresną dal...

Była to potężna, uskrzydlająca wiara, a jej utrata spowodowała nieodwracalne zubożenie duchowe. Wyznawała ją większość moich towarzyszy partyjnych i przynajmniej na początku naszej działalności

w partii pierwiastki prometejskie w komunizmie spychały na drugi plan jego destrukcyjne tendencje.

Delikatni liberałowie, którzy nie lubili Marksa i brzydzili się przemocą, wracali z podróży do Rosji pełni sympatii do „wielkiego sowieckiego eksperymentu”. Zaniepokojeni kryzysem przemysłowcy i bankierzy przyznawali, że „być może coś w tym jest”. W rozmaitych „Towarzystwach na rzecz Współpracy Kulturalnej z ZSRS” zasiadali ludzie ze wszystkich sfer, od księżnych po dentystów. A niezapomniane filmy rosyjskie z tej epoki przyjmowali entuzjastycznie zarówno zwykli widzowie, jak krytycy, niezależnie od poglądów politycznych.

Takie obrazy, jak *Burza nad Azją* i *Pancernik Potiomkin*, były dla mnie niezapomnianym przeżyciem. Dotyczyło to również, choć w mniejszym stopniu, europejskich występów teatrów Tairowa i Meyerholda oraz książek nowych pisarzy sowieckich – *Złodzieja* Leonowa, *Cichego Donu* Szołochowa, *Żelaznego potoku* Sierafimowicza i opowiadań Isaaka Babla z wojny domowej. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jakie wrażenie zrobiłyby na mnie dzisiaj; wtedy wydawało mi się, że w Rosji Sowieckiej rodzi się nowa, wspaniała kultura, która z czasem – prawdopodobnie po zakończeniu pierwszej pięcioletki – dorówna dziełom renesansu i greckiej złotej ery.

A przecież arcydzieła Eisensteina i Pudowkina powstały dzięki państwu, Stanisławski, Meyerhold i Wachtangow byli pracownikami państwowymi, a całą poezję i prozę publikowało państwo – to znaczy suwerenny lud, robotnicy i chłopci, największy i najbardziej oryginalny mecenas, jakiego znała Sztuka! Rząd zdolny do takich osiągnięć może budzić tylko miłość i podziw oraz nową wiarę w ludzkość.

Uważałem również, że komunistyczna Rosja podjęła walkę tam, gdzie liberalny Ullstein ją przerwał. Ten koncern prasowy, dla którego pracowałem przez pięć lat na Bliskim Wschodzie, w Paryżu i Berlinie i do którego bardzo się przywiązałem, był dla mnie ucieleśnieniem postępowego liberalizmu i śmiałego awangardyzmu. Rewolucyjni pisarze i poeci niemieccy zawsze mogli liczyć na przychylnie recenzje na łamach naszych gazet. Według mnie istniała logiczna ciągłość między modernizmem weimarskim a nową kulturą sowiecką, która, jak się zdawało, przejmie jego dziedzictwo.

Jak można było pogodzić tę koncepcję historycznej ciągłości z deklarowanym przez partię zamiarem „zniszczenia przeszłości”? Sprzeczność tę zauważyłem dopiero kilka lat później, ale mój biegły w dialektyce umysł poradził sobie z nią bez trudu. Wszystkie zjawiska społeczne kryją wszak w sobie sprzeczność, która jest istotą rozwoju postępującego wskutek powstawania i znoszenia się przeciwieństw. Kapitalizm w jego obecnym stadium należało uważać za tezę, rewolucję proletariacką za antytezę, a przyszłe bezklasowe społeczeństwo komunistyczne za syntezę, w której wszelkie sprzeczności zostaną zniesione. Wszystko zatem było w porządku i nie było się czym martwić.

Z jednej strony studia nad Marksem, Engelsem i Leninem (nikt w partii nie traktował Stalina poważnie jako filozofa) pozwalały w nowym świetle ujrzeć bieg dziejów, dawne i obecne stosunki społeczne; umożliwiały precyzyjniejsze i „konkretniejsze” ujęcie zjawisk społecznych niż teorie burżuazyjnych socjologów; służyły za kompas, który wskazywał jeśli nie rozwiązanie, to przynajmniej metodę rozstrzygnięcia dowolnego problemu z każdej dziedziny życia. Wciąż uważam, że Marks i Engels zajmują w dziejach myśli ludzkiej równie ważne miejsce jak Darwin. Jednakże w ciągu ostatnich stu lat socjologowie i genetycy dokonali wielu doniosłych odkryć i „ortodoksyjny marksista” jest dziś takim samym anachronizmem jak biolog, który ma się za „ortodoksyjnego darwinistę”.

Choć więc studia nad marksizmem rozszerzyły moje umysłowe horyzonty i wyostrzyły zdolności krytyczne, narzuciły mi zarazem abstrakcyjną, schematyczną i zbyt uproszczoną metodę myślenia, która mimo swej wyrafinowanej dialektyki była często zdumiewająco naiwna. Przy całej wewnętrznej spójności doktryna marksistowska zastępuje obraz człowieka zdjęciem rentgenowskim jego ekonomicznego szkieletu; dzięki niemu można zdiagnozować złamanie albo zwapnienie kości, ale nic więcej. Dlatego choć marksizm okazał się niezwykle przydatny w pewnym zakresie, jego przewidywania ludzkich zachowań były nieodmiennie fałszywe. Minimum znajomości psychiki rosyjskiego chłopca – takiego, jakim był on w rzeczywistości, a nie według doktryny – pozwoliłoby bez trudu przewidzieć, że przymusowa kolektywizacja

spowoduje katastrofę. A bardziej realistyczne spojrzenie na faszyzm powstrzymałoby komunistów przed absurdalną przepowiednią, że „w roku 1932 nastąpi ostateczny triumf rewolucji komunistycznej w Niemczech”.

O nauce, szarlatanach i dziwakach

Wbrew swoim przeczuciom, że nadchodzi koniec świata, a raczej niezależnie od nich, po przyjeździe do Berlina z zapalem rzuciłem się w wir pracy. Tytuł redaktora naukowego brzmi mało ciekawie, dla mnie jednak nowe zajęcie okazało się znacznie bardziej interesujące od pracy korespondenta zagranicznego. Po czterech latach podróżowania zmęczyła mnie obfitość kolorowych, ale nieuporządkowanych wrażeń i powierzchowność takiego dziennikarstwa, jakie dotąd uprawiałem. Czulem, że wśród całego tego zgiełku i zamętu mój umysł pracuje na jałowym biegu; teraz, gdy odżyło moje zainteresowanie polityką, powróciłem też do swej młodzieńczej pasji – nauki, w której tkwił klucz do zagadki wszechświata.

Im bardziej pochłaniał mnie materializm historyczny i przyziemna doktryna walki klasowej, tym bardziej romantyczny, jakby na zasadzie przeciwwagi, stawał się mój stosunek do nauki. Zjawisko to nie miało jednak czysto subiektywnego charakteru, gdyż właśnie wówczas w nauce dokonywała się rewolucja, która burzyła przyjęte dotychczas założenia, zastępując tradycyjne koncepcje rzeczywistości nowym, iście futurystycznym obrazem świata. Moja strzała nie leciała już po linii prostej ku nieskończoności, poruszała się po torze eliptycznym w zakrzywionej czasoprzestrzeni skończonego wszechświata i miała na koniec wrócić do punktu wyjścia niejako z drugiej strony, tak jak ziemski podróżnik, który stale podąża na wschód.

W nowej kosmologii relatywistycznej wszechświat przestał być nieskończony, tak jak przed kilkoma wiekami stało się to z kulą ziemską. Na podstawie oszacowań średniej gęstości materii obliczono, że jego „średnica” wynosi od dziesięciu do stu miliardów lat świetlnych.

Jeszcze bardziej zdumiewające było odkrycie, że ten skończony wszechświat rozszerza się z oszałamiającą prędkością, niczym, mówiąc słowami Einsteina, „wybuchający granat”. Z analizy widm odległych galaktyk wynikało bowiem, że galaktyki te oddalają się od nas; a im dalej się znajdują, tym szybciej się oddalają. Tak więc zarówno w sensie politycznym, jak fizycznym żyliśmy w eksplodującym świecie.

Po swoim powrocie z obserwatorium astronomicznego na Mount Wilson w 1931 roku Albert Einstein udzielił mi wywiadu. W najmniejszym stopniu nie był zaniepokojony tym, że nasz wszechświat eksploduje. „Jeśli zestawi się przewidywania ogólnej teorii względności z danymi empirycznymi dotyczącymi ekspansji materii kosmicznej, to okaże się, że stosunek między prędkością ekspansji a średnią gęstością materii całkiem dobrze zgadza się z teoretycznymi przewidywaniami” – powiedział mi.

W czasie gdy pełniłem funkcję redaktora naukowego nie tylko eksplodował makrokosmos; w stanie jeszcze większego fermentu znalazł się też mikrokosmos, wewnątrz atomu. Wielkimi krokami posuwały się naprzód badania nad rozszczepieniem jądra atomowego. Jeden z najśmielszych eksperymentów w tej dziedzinie obmyślili trzej młodzi fizycy berlińscy – Brasch, Lange i Urban – którzy postanowili rozbić atom dosłownie za pomocą błyskawicy. Cyklotron ani synchrotron nie zostały jeszcze wynalezione; w celu rozbicia atomu potrzebowano w tym czasie napięcia rzędu kilku milionów woltów. Aby je uzyskać, naukowcy z Berlina zbudowali laboratorium we włoskich Alpach, na Monte Generoso (wysokość tysiąc siedemset metrów n.p.m.), i za pomocą latawca wypuszczonego w chmury burzowe uzyskali wyładowania o napięciu piętnastu milionów woltów. To prometejskie wyzwanie rzucone bogom nie mogło pozostać bez kary; któregoś dnia Curt Urban spadł ze skały i zginął na miejscu.

W jednym z pierwszych artykułów popularnonaukowych opublikowanych w „Vossische Zeitung” omawiałem kwestię rozszczepienia atomu; artykuł zajmował całą kolumnę i nosił melodyjny tytuł: *Millionen wohnen in den Atomen* (Miliony mieszkają w atomach). Wywołał protesty w niemieckich kręgach akademickich, ponieważ był jakoby zupełnie „fantastyczny i utopijny”.

W tym czasie profesor Chadwick z Cambridge ogłosił eksperymentalny dowód na istnienie neutronu, a Hahn i Meitner z laboratorium w dzielnicy Berlina Dahlem bombardowali uran neutronami; ich badania doprowadziły do rozszczepienia jądra atomowego. Za sprawą dziwnego kaprysu historii wtedy też odkryto deuter, izotop wodoru (tworzący z tlenem ciężką wodę), co skierowało

prace nad niemiecką bombą atomową na fałszywe tory.

Jeszcze większe znaczenie od tej podwójnej rewolucji w makro- i mikroskali miał towarzyszący jej przewrót filozoficzny, który nazwano „kryzysem przyczynowości”. Już wcześniej musieliśmy zrezygnować z pojęcia absolutnego czasu i absolutnej przestrzeni; teraz dołączył do nich trzeci filar naszego tradycyjnego poglądu na świat: prawo przyczynowości. Tak zwane prawa przyrody straciły trwałe oparcie; odtąd można je było uważać nie za pewniki, a jedynie za twierdzenia statystycznie prawdopodobne. Związek przyczynowo-skutkowy niejako się rozluźnił; fizyk nie mógł już powiedzieć: „W takich a takich warunkach zajdzie to i to”, a jedynie: „Jest prawdopodobne, że to i to zajdzie”. Okazało się, że uniwersalne prawa przyrody są tylko praktycznymi regułami, do których stosują się wyłącznie zjawiska o większej skali, bo wewnątrz atomu determinizm nie obowiązuje. Tym samym z wszechświata zniknęła wszelka pewność.

Kryzys ten dojrzał w laboratoriach fizyków od początku XX wieku, ale wszystkie jego filozoficzne konsekwencje stały się jasne dopiero około 1930 roku. Już z teorii wysuniętej przez Rutherforda i Soddy’ego w 1903 roku wynikało, że rozpad promieniotwórczy jest zjawiskiem „samorzutnym”, to znaczy niezależnym od stanu fizycznego atomu, jego położenia i otoczenia; i że najdokładniejszy nawet opis obecnego stanu atomu nie pozwala na określenie jego stanu w przyszłości. Losy takiego atomu wydawały się zdeterminowane „od środka, a nie od zewnątrz”, jak powiedział James Jeans. Pojedynczy atom cieszył się więc wolnością przynajmniej w tym znaczeniu, że fizyka nie mogła podać wyjaśnienia jego zachowania. W 1917 roku Einstein wykazał, że prawu „samorzutnego” rozpadu podlegają wszystkie atomy. W latach 1927–1932 seria odkryć w fizyce położyła kres odwiecznemu złudzeniu, że świat jest trwały, uporządkowany i przyczynowo zdeterminowany. Wynikało z nich, że położenie elektronu poruszającego się w przestrzeni można wyrazić tylko za pomocą rachunku prawdopodobieństwa; „zasada nieoznaczoności” Heisenberga stanowiła, że ta sama nieokreśloność dotyczy elektronów w atomie i że jednoczesne wyznaczenie z dowolną dokładnością położenia i pędu takich elektronów jest nie tylko praktycznie, ale nawet

teoretycznie niemożliwe. W 1932 roku newtonowski obraz świata został zastąpiony przez coś w rodzaju ekspresjonistycznego portretu pełnego takich dziwolągów, jak „ujemne energie”, „dziury w przestrzeni” i elektrony „poruszające się w odwrotnym sensie czasu”.

W jednej dziedzinie, będącej właściwie pograniczem nauki, moje dziennikarskie wysiłki zakończyły się zupełnym fiaskiem. Chodzi o parapsychologię. W roku 1931 zamieściłem we wszystkich czterech dziennikach Ullsteina następujące ogłoszenie:

CREDO QUIA ABSURDUM

Poszukujemy informacji o autentycznych doświadczeniach okultystycznych – telepatii, jasnowidzeniu, lewitacji itd. Informacje zostaną odpowiednio wynagrodzone, pod warunkiem że można je będzie zweryfikować ponad wszelką wątpliwość przy pomocy niezależnych i godnych zaufania świadków; w przeciwnym razie nie będą rozpatrywane.

Obawiałem się, że zostanę zasypany lawiną listów, tymczasem otrzymałem tylko trzydzieści kilka. Najwidoczniej ostatnie zdanie ogłoszenia, a może i nagłówek po łacinie podziałały zniechęcająco. Ani jednego doniesienia nie udało się zweryfikować w sposób, który spełniałby naukowe wymagania.

Przeprowadziłem drugi eksperyment, którego wynik był również negatywny w sensie obiektywnym, ale okazał się bardzo ciekawy z psychologicznego punktu widzenia. W tym czasie w Europie, a zwłaszcza w Niemczech wielkim rozgłosem cieszył się pewien szarlatan – Eric Jan Hanussen. Był on współczesnym i dość tandetnym naśladowcą hrabiego Cagliostro. Miał duże zdolności hipnotyczne i podczas swoich seansów stosował wszystkie tradycyjne sztuczki – ustawiał na scenie ochotników z widowni, wprawiał ich w trans hipnotyczny i kazał im wykonywać ośmieszające czynności. Poza tym przeprowadzał eksperymenty z odnajdywaniem ukrytych przedmiotów, „czytał w myślach”, odczytywał teksty w zaklejonych kopertach i tak dalej. Wszystko to było typowe dla ludzi tego fachu, ale Hanussen miał wyjątkowy talent do autoreklamy, co tłumaczy jego szybką karierę i marny koniec. Kiedy jedna z gazet oskarżyła go o mączenie widzom

w głowach, wytoczył jej proces o oszczerstwo, po czym pod pretekstem udowodnienia swoich okultystycznych umiejętności zamienił salę sądową w kabaret i zupełnie otumaniał biednych sędziów. Był zausznikiem jednego z wysoko postawionych nazistów, hrabiego Helldorfa, który został później szefem berlińskiej policji. W willi Helldorfa w Wannsee Hanussen grał rolę mistrza ceremonii podczas nocnych orgii, w czasie których usypiał ładne aktoreczki, wmawiał im, że są w objęciach kochanka, i kazał okazywać swoje uczucia.

Po dojściu Hitlera do władzy Hanussen został nadwornym magikiem i astrologiem narodowych socjalistów. Jednak po pewnym czasie gestapo odkryło, że naprawdę nie nazywa się Eric Jan Hanussen, ale Hermann Steinschneider i że nie jest duńskim baronem, lecz synem żydowskiego kupca z Prościejowa (Proßnitz) w Czechach. Kilka dni później jego podziurawione kulami zwłoki znaleziono w lesie pod Berlinem.

Poznałem Hanussena w 1931 roku. Był przysadzistym, śniadym i niebywale energicznym mężczyzną o nerwowych ruchach, nie pozbawionym uroku osobistego. Nie chodziło mi o sprawdzenie jego rzekomych zdolności okultystycznych – to wymagałoby zbyt kosztownej aparatury – ale wiarygodności obserwatorów, którzy uważali, że w obcowaniu z takimi magikami potrafią zachować obiektywizm. Hanussen miał przeprowadzić pewien eksperyment w obecności dwóch dziennikarzy – pewnej pani uchodzącej za znawczynię okultyzmu i mojej. Potem mieliśmy niezależnie od siebie zapisać, co widzieliśmy i myśleliśmy w jego trakcie, a następnie porównać nasze sprawozdania i stwierdzić, jaki użytek dziennikarski można z nich zrobić.

Eksperyment był prostym testem w zakresie tak zwanej psychometrii – odgadywania wydarzeń związanych z nieożywionym przedmiotem lub właścicielem tego przedmiotu. Właścicielem przedmiotu musiała być oczywiście jakaś trzecia, odpowiednio wiarygodna osoba. Wybraliśmy pana Apfela, portiera wydawnictwa Ullstein, który zajmował swoje stanowisko od trzydziestu lat i był wzorem pruskiej rzetelności, poprawności i pedanterii.

W oznaczonym czasie nasza trójka stawiała się w luksusowej willi Hanussena, łączącej funkcjonalny neogotyck z japońszczyzną

i architektonicznymi upodobaniami amerykańskich gangsterów. Właściciel zaproponował nam najpierw trunki, potem cygara, wreszcie kilka eksperymentów na rozgrzewkę, ale za każdym razem spotkał się ze stanowczą odmową. Panu Apfelowi nie wolno było rozmawiać z Hanussenem, aby magik nie mógł sobie wyrobić zdania o jego psychice. Nieco zdetonowany naszą powściągliwością, Hanussen przeszedł w końcu, dość niechętnie, do rzeczy. Odwrócił się szybko do Apfela i rzekł do niego:

– Proszę oddać mi pęk kluczy, który ma pan w lewej kieszeni spodni!

Pan Apfel zachowywał kamienny spokój. Zgodnie z naszymi zaleceniami słucał wszystkiego, co mówi Hanussen, nie potakując ani nie przecząc, a tym samym nie dając jasnowidzowi żadnych wskazówek. Hanussen wziął klucze w jedną rękę, drugą przyłożył do czoła, od czasu do czasu zamykał oczy i przeciągłym głosem człowieka będącego w transie opowiadał, że klucze mówią mu o ciężkiej chorobie i wyzdrowieniu; o akcie przemocy; o przyjściu na świat dziecka po bolesnym porodzie; o długo oczekiwanym spadku; o kimś cierpiącym na przejedzenie albo przewlekłe zaparcia i o włamaniu – które jednak mogło zostać popełnione w sąsiednim budynku. Kiedy skończył, z ciekawością popatrzyliśmy na pana Apfela.

– No cóż – rzekł portier, spokojnie wkładając klucze do kieszeni – prawdę mówiąc, nic z tego, o czym mówił ten pan, nie wydarzyło się, odkąd noszę te klucze, czyli od trzydziestu lat. Z jednym wyjątkiem – dodał w zamyśleniu – w ostatnie Boże Narodzenie rzeczywiście trochę się przejadłem.

Wróciliśmy do domu i napisaliśmy nasze sprawozdania. Nazajutrz moja koleżanka po fachu, której nazwiska zapomniałem, pokazała mi swoje. Przeczytałem coś w tym stylu:

„Miałam wcześniej duże wątpliwości co do mediumistycznych zdolności Erica Jana Hanussena. Wątpliwości te całkowicie rozwiązał spektakularny eksperyment psychometryczny przeprowadzony wczoraj przez Hanussena w obecności dwóch wiarygodnych świadków, pana Apfela i pana Koestlera, w jego ze smakiem urządzonej willi w Tiergarten. Używając pęku kluczy należących do pana Apfela

w charakterze przedmiotu kontaktowego, przedstawił on następujące psychometryczne skojarzenia...”. (Tu następowało wyliczenie wszystkiego, co powiedział Hanussen, od „ciężkiej choroby” po „włamanie w sąsiednim budynku”). „Zaświadczam uroczyście i mogę to udowodnić, że w ciągu ostatniego roku rzeczywiście doszło do wszystkich zdarzeń wymienionych przez Hanussena; zdarzenia te jednak nie przytrafiły się panu Apfelowi, lecz mnie. Zjawisko to tłumaczę tym, że w taksówce, którą jechaliśmy do willi Hanussena, siedziałam blisko pana Apfela, po tej stronie, po której nosi klucze; kontakt fizyczny z testowanym przedmiotem najwidoczniej spowodował, że Hanussen nawiązał podświadomą psychometryczną łączność ze mną, sądząc, że to pan Apfel...”.

Przez życzliwość dla mojej koleżanki postanowiłem nie publikować relacji o naszym eksperymencie.

Fascynującą częścią mojej pracy były spotkania z szalonymi wynalazcami i ekscentrykami działającymi na pograniczu nauki, którzy mogli być albo oszustami, albo nieznanymi geniuszami. Przez dwa dni na przykład badałem tradycyjną prądnicę z twornikiem oryginalnej konstrukcji zbudowaną przez berlińskiego inżyniera, Paula Hoffmana, który twierdził, że jego wynalazek zapewnia urządzeniu o 10 procent większą sprawność. Gdyby informacja potwierdziła się, byłaby to techniczna rewolucja. Wielu ekspertów – między innymi inżynierowie z laboratorium badawczego Siemensu i kilku rzeczoznawców występujących w sądach niemieckich – uznało, że twierdzenie Hoffmana odpowiada prawdzie. Napisałem więc ostrożną relację o „cud-prądnicy” Hoffmana i omal nie przypląciłem tego utratą posady. Gazety niemieckie i zagraniczne zacytowały mój artykuł i dziennikarze zaczęli walić drzwiami i oknami do wynalazcy, któremu tak uderzyło to do głowy, że ogłosił, iż jego urządzenie ma ponad stuprocentową sprawność. „Sprawność” (używam tego słowa w jego technicznym znaczeniu) przekraczająca sto procent oznacza, że maszyna wytwarza energię z niczego, czyli jest „*perpetuum mobile* pierwszego rodzaju”; inżynier, który występuje z takim twierdzeniem, to albo szarlatan, albo wariat. Do redakcji „Vossische” zaczęły napływać protesty. Musiałem napisać drugi artykuł, w którym powtórzyłem cytowane poprzednio

oświadczenia ekspertów i zrzekłem się wszelkiej odpowiedzialności za twierdzenia wygłaszane później przez Hoffmana. Na tym sprawa powinna była się skończyć, ale się nie skończyła. Kilka dni później wezwał mnie do siebie jeden z braci Ullsteinów, ten z najniższym ilorazem inteligencji z całej piątki.

– Mam tu list – oświadczył z zafrasowaną miną – który chciałbym panu przeczytać.

List pochodził od niemieckiego profesora fizyki o międzynarodowej sławie. Tonem nie znoszącym sprzeciwu domagał się on zwolnienia ze stanowiska „tego nieuka redaktora naukowego, który na waszych szacownych łamach zamieszcza obłąkane twierdzenie oczywistego szarlatana, głoszącego bezwstydnie, że wynalazł maszynę o sprawności przekraczającej sto procent”. Wyjaśniłem panu Ullsteinowi, że profesor musiał źle zrozumieć mój artykuł i że nigdy nie twierdziłem, iż wspomniane urządzenie ma ponad stuprocentową sprawność.

– A dlaczego nie może mieć takiej sprawności? – zapytał na to mój pracodawca.

Wyjaśniłem, że byłoby to sprzeczne z pierwszą zasadą termodynamiki, tak zwanym prawem zachowania energii.

– Ale skąd pewność, że to prawo jest słuszne? Prawa przychodzą i odchodzą. Nie powinien pan być takim doktrynerem. Chciałbym, żeby moi redaktorzy mieli otwarty umysł...

Po czym wyjął drugi list, napisany przez niewątpliwego szaleńca, który protestował przeciwko mojemu twierdzeniu, że maszyna nie może mieć ponad stuprocentowej sprawności.

Próbowałem wyjaśnić, że oba zarzuty się wykluczają. Czy zatem zarzuca mi się kwestionowanie pierwszej zasady termodynamiki – czego nie uczyniłem – czy to, że jej bronię?

– Przecież ja się na tym nie znam – odpowiedział z urazą pan Ullstein – To pan musi wiedzieć, o czym pan mówi.

Na szczęście na tym się skończyło, ale od tej pory pan Ullstein żywił do mnie głęboką niechęć.

* *
*

Istnieją wynalazcy, będący w połowie geniuszami, a w połowie

szarlatanami, którzy wydają się skazani na porażkę. Ich życie to nieustanna tragikomedia. Mają oni podstawy wiedzy technicznej i wpadają na oryginalne pomysły, ale kwestie praktyczne traktują z wyniosłą pogardą, konstruując maszyny, które pracują „w teorii”, są jednak dziwolągami pod względem technicznym. Do tej kategorii wynalazców należał na przykład biedny profesor Nathan, który sprzedał memu ojcu maszynę do otwierania kopert; w Berlinie miałem zetknąć się z wieloma podobnymi oryginałami.

Pewnego dnia jechałem automobilem, który, co może brzmieć niewiarygodnie, napędzany był jedynie powietrzem i wodą... Jego konstruktor, Erich Graichen ze wsi Altenburg w Turyngii, wiązał z wynalazkiem wszystkie swoje nadzieje. Jeśli skonstruowany przez was samochód napędzany powietrzem i wodą jeździ, to chyba macie prawo widzieć się w roli nowego Henry’ego Forda i przewidywać bankructwo General Motors i koncernów naftowych?

Samochód Graichena, który własnymi rękami zbudował prototyp, miał silnik o mocy pół konia mechanicznego i kartonową karoserię, był jednoosobowy, jego siedzenie wyściełały dwie poduszki z rodzinnej sofy, a hamulce uruchamiało się, pociągając za sznurówki. Mimo to ten osobliwy pojazd jeździł, i to z prędkością maksymalną 40 kilometrów na godzinę. Został zarejestrowany przez Urząd Komunikacji Turyngii, obłożony podatkiem drogowym przez Urząd Skarbowy i opatentowany przez niemiecki Reichs-patentamt. Graichen budował go trzy lata i 3 listopada 1931 roku o szóstej rano wyruszył nim z Altenburga do Berlina.

Ponieważ w samochodzie było miejsce tylko dla jednej osoby, żona Graichena, jego przyjaciel Ferdinand Frühauf i mechanik Ewald Ihle wraz z szerokim asortymentem części zamiennych jechali za nim taksówką – tak jak łódź podąża zawsze za śmiałkiem próbującym przepłynąć kanał La Manche.

Do Lipska dojechano jeszcze tego samego ranka bez żadnych przygód, ale niedaleko za miastem samochód się zepsuł. Naprawa zajęła całe dwa dni. Wieczorem 5 listopada ruszono dalej.

Na wrzosowiskach Düben pękła tylna oś. Zespawano ją i nazajutrz kontynuowano podróż.

Ósmego listopada podróżnicy dotarli do Wittenbergi, starego miasta uniwersyteckiego. Tu posilili się i kiedy już mieli wyjeżdżać, okazało się, że jakiś dowcipniś ukradł kilka podstawowych części pojazdu. Niezrażony Graichen przyczepił auto liną do taksówki i został doholowany do miasteczka Treuenbrietzen. Tam ukradzione części zastąpiono zapasowymi i 9 listopada o czwartej rano wehikuł triumfalnie wjechał do Berlina.

Dwa dni potem rozmawiałem z Graichenem i wypróbowałem jego samochód. Dwie godziny po naszej rozmowie zadzwonił do mnie i powiedział, że kiedy siedzieli z żoną w kawiarni, z samochodu zniknęła najdroższa jego część, elektromagnes, a wraz z nim taksówkarz, mechanik, aparat fotograficzny i wszystkie dokumenty z Urzędu Patentowego.

Biedny Graichen... Jego historia była typowa dla szalonych wynalazców, którym stale przydarzają się groteskowe tragedie. Szczerze mu współczułem, więc choć było to sprzeczne z etyką zawodową, poświęciłem mu długi artykuł, licząc, że ktoś zainteresuje się jego wynalazkiem albo zaproponuje mu pracę. Ale kilka dni później Graichen wjechał z Berlina i nigdy więcej o nim nie słyszałem.

Mniej interesującym typem niż szalony wynalazca jest szalony naukowiec, który odkrył, że kula ziemską nie jest bryłą, ale pustą sferą, a Słońce, Księżyc i gwiazdy krążą nie na zewnątrz, ale wewnątrz niej; albo że przestrzeń międzygwiazdowa wypełniona jest stałym lodem; albo że kula ziemską przestała się obracać w 1500 roku p.n.e., po tym jak omal nie zderzyła się z Wenus. Szalony wynalazca zwykle konstruuje jakiś prototyp, choćby najbardziej dziwaczny; szalony naukowiec jest najczęściej maniakiem opętany jedną myślą, jeśli nie zwyczajnym pomyślnym. Podczas dwu lat spędzonych za biurkiem redaktora naukowego poznałem więcej takich maniaków niż w ciągu siedmiu lat w kręgu rewolucyjnych intelektualistów – co mówi samo za siebie. Znalazł się wśród nich człowiek, który wynalazł nowy alfabet złożony z samych podwójnie symetrycznych liter, takich jak „O”. Twierdził, że po zastosowaniu tego alfabetu jedną książkę lub gazetę będzie mogło czytać czterech ludzi – od północy, południa, wschodu i zachodu. I z wielkim przekonaniem dowodził, ile miliardów marek

dochodu narodowego będzie można dzięki temu oszczędzić.

Zwykle wiadomo od razu, czy prorok jakiejś nowej teorii jest dziwakiem, szarlatanem czy geniuszem, a może każdym z nich po trosze. Do tych ostatnich należał mieszkający w Paryżu Rosjanin George Lakhovsky. Twierdził on, że każda komórka organizmu ludzkiego jest rezonatorem elektrycznym, w którym chromosomy działają jak obwody rezonansowe wytwarzające fale elektromagnetyczne o określonej częstotliwości. Wszelkie zaburzenia w chromosomach lub ich otoczeniu zmieniają tę naturalną częstotliwość komórki i przejawiają się jako choroba. Częstotliwość fal może się zmieniać wskutek niedoboru mikroelementów, obecności wirusów lub bakterii, nietypowych fluktuacji promieniowania słonecznego lub kosmicznego i wywoływanego przez nie promieniowania wtórnego. Dlatego aby chronić ciało przed szkodliwym promieniowaniem, Lakhovsky skonstruował spiralę z kabla miedzianego, którą należało nosić jako pas, naszyjnik, bransoletkę itd. Przez pewien czas spirale Lakhovsky'ego (nowoczesne talizmany przeciwko siłom nieczystym) sprzedawały się w Paryżu i Budapeszcie jak ciepłe bułeczki. Nie trzeba dodawać, że tysiące ludzi zaklinało się, iż odkąd noszą spiralę Lakhovsky'ego, czują się jak „nowonarodzeni”.

Można by to było uznać za zwykłą szarlatanerię, gdyby nie fakt, że pomysł Lakhovsky'ego został przedstawiony Francuskiej Akademii Nauk z gorącą rekomendacją profesora Jacques'a Arsene'a d'Arsonvala, wybitnego uczonego i byłego prezesa akademii. Profesor d'Arsonval orzekł między innymi, że chore sadzonki geranium potraktowane przez Lakhovsky'ego nie tylko zostały całkowicie wyleczone, ale osiągnęły wysokość 1,5 metra, kilkakrotnie większą od normalnej... Oddział onkologiczny szpitala San Spirito pod Rzymem przeprowadził próby leczenia za pomocą wynalazku Lakhovsky'ego i uzyskał obiecujące wyniki. Choć nigdy nie słyszałem o nowym lekarstwie na raka, które nie dawałoby na początku pozytywnych rezultatów, wszystko to brzmiało tak intrygująco, że wybrałem się specjalnie do Paryża, aby przeprowadzić wywiad z Lakhovskym. Poznałem człowieka równie czarującego, co zagadkowego, który pokazał mi swoje laboratorium i powtórzył wszystko, co wcześniej twierdził w druku. Wróciłem

przekonany, że połowa jego twierdzeń to lipa, ale wciąż nie wiedziałem, co sądzić o drugiej połowie. Potem jednak Lakhovsky zniknął z horyzontu. Wciąż myślę, że oficjalna nauka uzna kiedyś, iż „coś w tym jednak jest”, tak jak nowoczesna chemia odkryła, że warto coś niecoś ocalić z bełkotu alchemików. Tymczasem znalazłem pocieszenie w pamiętnych słowach profesora d'Arsonvala z jego wstępu do książki Lakhovsky'ego:

Tym, co odróżnia pomysły głupca od pomysłów naukowego geniusza, jest to, że eksperyment obala te pierwsze i potwierdza te drugie...

Pewnego dnia w 1931 roku, wkrótce po eskapadzie Graichena, mój ojciec niespodziewanie przyjechał do Berlina. Był w świetnym humorze, uśmiechał się zagadkowo i tryskał optymizmem – nieomylny znak, że znów planuje jakieś „kolosalne” przedsięwzięcie. Tym razem chodziło o wiecznotrwałe żarówki elektryczne. Serce mi się ścisnęło, gdy drugiego dnia pobytu w Berlinie opowiedział mi o tym, bo cudowne żarówki (tańsze, jaśniejsze, wiecznotrwałe) były ulubionym polem działania szarlatanów i maniaków wszelkiej maści. Ojciec miał oczywiście w teczce taką żarówkę, owiniętą w watę. Z tajemniczą miną wkręcił ją do lampki nocnej.

– Widzisz, pali się! – wykrzyknął uradowany.

Najgorsze było to, że ojciec oczekiwał ode mnie pomocy, liczył, że zrobię jego wynalazkowi „kolosalną” reklamę w moich gazetach. Wynalazca – niejaki profesor Marcus – przyjechał razem z nim z Budapesztu i zatrzymał się w tanim hotelu. Ojciec nawiązał negocjacje z niemieckim konsorcjum przemysłowym, które ponoć zdradzało „kolosalne” zainteresowanie sprawą. Wystarczyła tylko drobna reklama prasowa, aby ojciec mógł podpisać kontrakt i zabrać mamę w „fantastyczny” rejs po Morzu Śródziemnym.

Wziąłem przekłętą żarówkę, obiecawszy ojcu, że jej nie stłukę, i zaniósłem do laboratorium. Zużywała dwadzieścia pięć procent więcej prądu i miała o połowę krótszą trwałość niż zwykła. Zadzwoniłem do archiwum redakcyjnego i zapytałem, czy nie mają jakichś wycinków dotyczących niejakiego profesora Marcusa. Mieli: Julius Marcus, alias profesor Marko, alias Mark, skazany na dwa lata więzienia

za wyłudzenie pieniędzy na wynalazek; dwa wcześniejsze wyroki za oszustwo. Jeden z wycinków zdobija nawet fotografia. Pożyczyłem go i wróciłem do domu. Ojciec konferował właśnie z dwoma sztywnymi, wykrochmalonymi pruskimi przedsiębiorcami. Nigdy nie przestał traktować mnie jak cudowne dziecko i teraz z dumą przedstawił swoim rozmówcom:

– Oto mój syn, słynny dziennikarz, o którym już panom opowiadałem. A ci panowie, synu, to moi przyszli współnicy.

Prusacy uścisnęli mi rękę z dość kwaśnymi minami; nie przywykli mieszać interesów z rodzinną sielanką. Powiedziałem, że chciałbym zamienić z ojcem słowo na osobności, i przeszliśmy do drugiego pokoju. Kiedy pokazałem mu wycinek ze zdjęciem wynalazcy, na chwilę postarzał się o dwadzieścia lat. Ale tylko na chwilę. Potem powoli wzruszył ramionami i rzekł:

– No cóż, będziemy musieli odłożyć nasz rejs. Muszę cię też prosić o pożyczkę na bilet do Budapesztu.

Widziałem już oczyma duszy, jak matka, z nerwowym tikiem w twarzy, wita mego ojca, który znów pobity, ale niezwyciężony, w odpowiedzi na jej „a nie mówiłam” przedstawia swój kolejny „kolosalny” projekt obmyślony w pociągu.

Wróciliśmy do czekających Prusaków.

– *Meine Herren* – oznajmił ojciec uroczyście – mój syn ma dla panów niezwykle doniosłą nowinę.

Z radosnego tonu jego głosu Prusacy musieli wnosić, że żarówka jest prawdziwą żyłą złota. Kiedy przeczytałem tekst wycinka, *die Spucke bleib ihnen weg* – „zabrakło im śliny” – jak trafnie wyraża to niemieckie powiedzenie.

– *Unglaublich* – wykrztusił jeden z nich. – I z czego się pan tak cieszy, panie Koestler?

– Ależ, *meine Herren* – odparł ojciec – czyż to nie wspaniale mieć takiego mądrego syna?

W sterowcu nad Arktyką

Latem 1931 roku cztery największe banki niemieckie wstrzymały wypłaty depozytów, a rząd Rzeszy ogłosił, że nie jest dłużej w stanie spłacać reparacji. Kryzys osiągnął dno, bezrobocie doszło do szczytu. Nikt nie mógł czuć się pewny swojej posady. W tym właśnie czasie dyrektor koncernu Ullstein poprosił mnie do siebie na rozmowę.

– Ile pan ma lat? – zapytał.

– Dwadzieścia sześć.

– Kawaler? Bez rodziny i osób na utrzymaniu?

Odruchowo podrapałem się w kark, pamiętając, co przydarzyło się ofierze Wang Luna. Dyrektor, dr Wolff, krępy, nieśmiały i sympatyczny Bawarczyk, wydawał się zakłopotany.

– Jak na swój wiek, to zjeździł pan kawał świata – był pan wszędzie z wyjątkiem bieguna północnego, cha, cha.

– Cha, cha.

– No więc, jeśli obieca pan, że nie będzie zadzierał z misiami polarnymi, cha, cha, możemy wysłać pana na biegun. Po okazyjnej cenie kupiliśmy wyłączne prawo do relacjonowania wyprawy sterowcem na biegun północny, kiedy ten głupi Hearst wypuścił je z ręki...

W 1931 roku wyprawa polarna wciąż miała w sobie coś z chłopięcego marzenia. Kapitan Scott, kontradmirał Peary, Amundsen i Nansen należeli do bohaterów mojego dzieciństwa, tak jak Charles Lindbergh i Lawrence z Arabii byli bohaterami następnego pokolenia. Wciąż pamiętam szaloną radość, rumieniec na twarzy i zawrót głowy, którego doznałem po słowach dyrektora Wolffa.

Wyprawa rozpoczęła się trzy tygodnie później, 26 lipca 1931 roku, i należała do najbardziej udanych przedsięwzięć w swoim rodzaju. Zwieńczyła również moją krótką karierę dziennikarską. Ponieważ Ullstein miał prawo wyłączności, byłem jedynym przedstawicielem prasy na pokładzie sterowca – żaden dziennikarz nie mógł marzyć o niczym więcej. Podczas nieprzerwanego lotu, trwającego pięć dni i cztery noce, wyprawa wykonała zdjęcia fotogrametryczne lądów położonych między 40 a 110 stopniem długości geograficznej

wschodniej (od Ziemi Franciszka Józefa do Ziemi Północnej), odkryła pół tuzina wysp, wymazała kilka innych z mapy, wypełniła jedną z ostatnich białych plam na tej mapie i mówiąc słowami dowódcy wyprawy, „wykonała w ciągu dziewięćdziesięciu godzin pracę, na którą połączona ekspedycja morsko-lądowa musiałaby poświęcić kilka lat, nie uzyskując równie wiarygodnych wyników”. Niektóre poprzednie wyprawy statkami powietrznymi do Arktyki zakończyły się katastrofą. Sterowiec *Italia* Umberta Nobilego rozbił się; Amundsen, który wyruszył na pomoc rozbitkom, zaginął bez wieści wraz ze swoim samolotem. Ekspedycja sterowca *Graf Zeppelin* zakończyła romantyczną epokę w badaniach nad Arktyką i rozpoczęła epokę naukową. Na tym, bardziej niż na konkretnych wynikach, polegało jej historyczne znaczenie.

W ciągu trzech tygodni, które pozostały do startu wyprawy, przeczytałem o Arktyce tyle książek, że nie mogłem już na nie patrzeć. Ale na kilka dni przed wyjazdem doznałem olśnienia. Zerwałem się z biurka i pobiegłem prosto do gabinetu szefa firmy, dr. Franza Ullsteina. Gdyby udało się urzeczywistnić mój pomysł – a nie widziałem powodu, dlaczego miałyby się to nie udać – byłoby to najbardziej fantastyczne kuriozum w historii. Chodziło ni mniej, ni więcej tylko o założenie kolonii przyszłego państwa żydowskiego w Arktyce.

Wiadomo, że jeśli zatknie się flagę narodową na nieznanym dotąd terytorium, to obejmuje się to terytorium w posiadanie w imieniu państwa, do którego flaga należy. W 1931 roku wciąż miałem palestyńskie obywatelstwo. Ponadto nie ulegało wątpliwości, że na mało zbadanych wodach opływających Ziemię Północną odkryjemy wiele nieznanych wysp – i tak się zresztą stało. Musiałem więc tylko zaopatrzyć się w kilkanaście flag syjonistycznych – niebiesko-białych ze złotą gwiazdą Dawida pośrodku – obciążyć je ołowianym ciężarkiem i zrzucić po jednej na każdą wyspę. Dzięki temu przyszłe Państwo Izrael będzie miało kolonię, a przynajmniej wczasowisko za kołem podbiegunowym. A kto mógł docenić je bardziej niż mieszkańcy rozpalonej pustyni?

Dr Ullstein zamyślił się.

– Niczego sobie pomysł – powiedział w końcu. – W każdym razie

nada się na tytuł...

Zaprosił kilku doradców na konferencję. Jak zwykle nie obyło się bez sprzeciwów. Głównym argumentem oponentów było to, że moja propozycja mogła rozniecić antysemityzm w Niemczech. Dumny sterowiec niemiecki wyprawia się do Arktyki, żeby zająć terytoria dla Żydów... Wskazałem na symboliczną wymowę takiego gestu, na ogromne wrażenie, jakie zrobi on w Ameryce w chwili, gdy Rzesza jak powietrze potrzebuje kredytów, i na fakt, że wyprawa ma charakter międzynarodowy, a nie tylko niemiecki.

– Ale pan jest pracownikiem niemieckiej firmy – usłyszałem na to.

Odparłem, że mogę oficjalnie zrezygnować ze stanowiska i wziąć udział w ekspedycji jako specjalny wysłannik zatrudniony ze względu na znajomość spraw naukowych, choć jestem Palestyńczykiem... Żałuję, że nasza narada nie została w żaden sposób uwieczniona. Poważni pruscy dyrektorzy rzadko mieli okazję omawiać tak surrealistyczny pomysł. Na koniec dr Ullstein, mający wielkie poczucie humoru, odroczył konferencję do czasu naradzenia się z naszym specjalistą od prawa międzynarodowego. Wynik tej narady okazał się dla mnie niepomysłny. Prawnik wyjaśnił, że wszystkie nieodkryte dotąd lądy arktyczne leżące między 30o 4' 33'' długości geograficznej wschodniej a 168° 49' 30'' długości geograficznej zachodniej należą automatycznie do Związku Sowieckiego bez względu na to, kto je odkryje.

Tak więc Izrael nie zdobył kolonii w Arktyce, mimo że nasza wyprawa odkryła kilka nieznanych wysp.

Lot sterowcem był wzniosłym przeżyciem. Żaden inny przymiotnik nie oddałby sprawiedliwości ani krajobrazowi, który przesuwiał się przed naszymi oczami podczas tych czterech dni i jednakowo słonecznych nocy, ani sterowcowi, którym lecieliśmy.

Odkąd przestano budować statki powietrzne lżejsze od powietrza, sterowiec stał się już tylko historyczną osobliwością, wymarłym potworem niczym dinozaur. Jak dinozaur był ostatnim ogniwem ślepej gałęzi ewolucji: zbyt wielki, delikatny i powolny, by przeżyć. Ale za sprawą swego ogromu i wyjątkowej urody był bożyszczem i fetyszem narodu mającego wrodzone skłonności do bałwochwalstwa. Wyglądał jak gigantyczna złota rybka, od dzioba do ogona mierzył dwieście

czterdzieści metrów – dwa razy więcej niż największe boisko futbolowe. Miał ponad trzydzieści metrów wysokości, czyli sięgał dachu dziesięciopiętrowego budynku albo iglicy średniej wielkości kościoła. Jego gładkie poszycie, pokryte powłoką zawierającą sproszkowane aluminium, błyszczało jak srebro, a w swej połyskliwej, niepokalanej gładkości przypominał z daleka żywe zwierzę: dobrodusznego, kolosalnego Moby Dicka przestrzeni powietrznej majestatycznie płynącego przez chmury.

Gondola, czyli kabina pasażerska, znajdowała się pod kadłubem, blisko dzioba. Mieściła mostek kapitański i pokoje dla pasażerów wyposażone we wszelkie luksusy typowe dla nowoczesnych liniowców oceanicznych. Przez małe, zwykle zamknięte drzwi z tyłu gondoli szło się ciemnym przejściem do tajemniczej krainy, czyli brzucha wieloryba. Było to najbardziej fantastyczne miejsce, jakie można sobie wyobrazić.

Cała wewnętrzna przestrzeń, ogromniejsza niż katedra, ale rozciągnięta horyzontalnie w kształt cygara, tonęła w mroku, pachniała gorzkimi migdałami i rozbrzmiewała niskim, stłumionym szumem, który nasuwał skojarzenie z leniwym trzepotem skrzydeł niewidocznych nietoperzy. Zapach powodował cyjanowódór, dźwięk – wypełnione wodorem komory będące organami wewnętrznymi latającego wieloryba, jego pęcherzami pławnymi unoszącymi w powietrzu olbrzymią konstrukcję. Komory te ustawione były w dwóch rzędach wzdłuż całej długości sterowca niczym gigantyczne gruszki o średnicy piętnastu metrów, zawieszane do góry nogami. Pod normalnym ciśnieniem atmosferycznym, gdy statek spoczywał na ziemi, zwisały bezwładnie, ich powłoki były pomarszczone i zwiotczałe; kiedy jednak sterowiec unosił się w strefę rozrzedzonego powietrza, pęczniały, wypełniając brzuch wieloryba dźwiękiem przypominającym trzask tysięcy biczów. Między rzędami komór biegł wąski pomost zawieszony w mroku na wysokości dwudziestu metrów, z poręczą w postaci jednego dygoczącego kabla. Z tego pomostu konserwowano i naprawiano komory – przy świetle używanych w kopalniach lamp Davy’ego, ze względu na ogromne niebezpieczeństwo wybuchu wodoru.

Start nastąpił 24 lipca z bazy we Friedrichshafen nad Jeziorem Bodeńskim. Na pokładzie znajdowało się pięćdziesięciu sześciu ludzi –

czterdziestoosobowa załoga i szesnastu członków wyprawy. Wśród tych ostatnich było czterech Rosjan, między innymi dowódca ekspedycji profesor Samojłowicz, ośmiu Niemców, dwóch Amerykanów, w tym badacz polarny Lincoln Ellsworth, jeden Szwed i jeden urodzony na Węgrzech Palestyńczyk. Ponieważ nie mogliśmy zabrać ubrań cywilnych, bo bardziej liczyło się paliwo, wszyscy nosiliśmy niezgrabne kombinezony polarne – co przy temperaturze 25 stopni w cieniu wzbudziło wesołość kilku tysięcy widzów przybyłych ze wszystkich stron Niemiec i Szwajcarii, aby obserwować odlot.

Start podniebnego kolosa był sam w sobie spektakularnym wydarzeniem. Kiedy *Graf Zeppelin* znajdował się w bazie, ilość gazu i balast były tak wyliczone, że ciężar statku i jego siła wyporu pozostawały w bardzo delikatnej równowadze; sterowiec, z dziobem przytwierdzonym do masztu łączem zwalnianym za naciśnięciem guzika, unosił się w powietrzu w swoim hangarze. Kiedy wsiedliśmy do środka, około stuosobowa obsługa naziemna zaczęła wywlekać latającego wieloryba z hangaru za pomocą lin zwisających z gondoli. Z okna wyglądało to tak, jakby ciągnęli za uzdę krnąbrnego konia. Znalazłszy się na zewnątrz, na zielonym polu przed hangarem, przy użyciu kilku gumowych wężów zaczęliśmy spuszczać wodę balastową. Chwilę później pracownicy obsługi naziemnej wykonali dramatyczny manewr. Na komendę puścili liny i uchwycili dwie poziome belki znajdujące się na spodzie gondoli, po obu jej stronach. Na drugą komendę podnieśli ogromnego wieloryba nad głowę i dosłownie wyrzucili go w powietrze. Sterowiec lekko zadygotał i zaczął wznosić się pionowo ku błękitnemu niebu z taką prędkością, że w ciągu kilku sekund hangar, lotnisko i ulice skurczyły się do rozmiarów miasteczka dla lalek. Ponieważ siła wyporu przewyższała ciężar statku, wystarczyło go lekko popchnąć, aby wzleciał ku górze niczym pęcherzyk powietrza w wodzie.

Ten szybki, bezgłośny i nie wymagający wysiłku wzlot, a raczej upadek w górę, dostarcza niezapomnianych wrażeń. Nie ma nic wspólnego z hałaśliwym i niepokojącym startem samolotu, któremu towarzyszy ryk silników, a potem przyprawiające o mdłości kołysanie się linii horyzontu. Statek lżejszy od powietrza wznosi się w zupełnej ciszy, gładko, spokojnie, jakby o własnych siłach; pasażer ma złudzenie,

że wyzwała się z pęt ziemskiej grawitacji, że płynie po niebie, unoszony przez wielką bańkę z gazem.

Silniki włączyły się dopiero na wysokości trzystu metrów i sterowiec rozpoczął lot po torze poziomym. Ponieważ pięć silników napędzających śmigła znajdowało się w osobnych gondolach z dala od łatwopalnego kadłuba, do kabiny dolatywał tylko odległy, cichy szum. Nie czuło się żadnych drgań ani wstrząsów: dziury powietrzne i słabsze porywy wiatru nie wywierają wpływu na ogromną masę sterowca. W samolocie śmigła mają za zadanie wytwarzać siłę nośną, która utrzymuje maszynę w powietrzu; latający wieloryb wisi w powietrzu dzięki sile wyporu, a śmigła tylko popychają go naprzód. Dlatego sterowiec właściwie nie leci, lecz płynie. I nawet jeśli wszystkie pięć silników zgaśnie, nadal będzie płynął na swój dobroduszny, słoniowaty sposób. Wszystko to daje pasażerom w kabinie poczucie bezpieczeństwa, uspokaja ich i wprawia w kontemplacyjny nastrój, czego nie da się powiedzieć o innych sposobach podróżowania w powietrzu.

O piątej po południu znaleźliśmy się nad Berlinem, gdzie zaplanowano pierwszą przerwę w podróży. Kapitan sterowca Eckener, którego zdolności ekscytowania tłumów dorównywały umiejętnościom nawigacyjnym, przez godzinę krążył nad miastem, wywołując wśród berlińczyków nowy paroksyzm zeppelinomanii. W Niemczech na całej trasie naszego przelotu wyły syreny fabryczne, trąbiły klaksony, ludzie powiewali czym się dało, a od zadzierania głowy w niebo sztywniały im karki. Freudyści objaśniali niemieckie szaleństwo na punkcie zeppelinów tym, że sterowiec jest symbolem fallicznym; zwolennicy Adlera dopatrywali się w nim kompensacji właściwego Niemcom kompleksu niższości, a według marksistów była to ucieczka od walki klasowej. Tak czy inaczej nasze popisy nad Berlinem osiągnęły zamierzony efekt, wywołując masową pielgrzymkę na lotnisko w Staaken, gdzie sterowiec miał być przez noc wystawiony na pokaz. Eckener i władze miejskie Berlina zawarli umowę o równym podziale wpływów z biletów wstępu.

Ponieważ start ze Staaken miał nastąpić o piątej rano, zawiozłem dwóch Amerykanów – Lincolna Ellswortha i komandora Smitha ze Straży Przybrzeżnej USA – do Berlina, aby pokazać im nocne życie

stolicy. Mieliśmy na sobie kombinezony polarne, więc wszędzie nas rozpoznawano. Taksówkarze nie chcieli brać za kurs, właściciele klubów nocnych częstowali nas szampanem, a damy przy barze mdlały na nasz widok. Rola bohaterów bardzo nam się podobała. Przyjechaliśmy na lotnisko zaledwie pół godziny przed startem, przemykając się pod zgorzonymi spojrzeniami panów profesorów, którzy uznali już nas za zaginionych.

Drugiego dnia przelecieliśmy nad Szwecją, Estonią i Finlandią i dotarliśmy nad Leningrad. Chociaż dopiero pięć miesięcy później wstąpiłem do partii komunistycznej, byłem już na tyle zaawansowany ideologicznie, że kontakt z ziemią sowiecką uważałem za ukoronowanie całej wyprawy. Poprzedniego wieczoru na wypad do Berlina zaprosiłem Samojułowicza i pozostałych Rosjan, którzy jednak grzecznie odmówili i przez całą noc na krok nie ruszyli się z lotniska. Uznałem to za chwalebny przykład zakonnej ascezy i choć sumienie klasowe trochę mnie uwierało, Rosjan zastąpiłem Amerykanami. Podczas lotu do Leningradu nastąpił następny drobny incydent, którego znaczenia wówczas nie rozumiałem. Przecieliśmy właśnie wybrzeże Estonii. Stałem obok rosyjskiego radiooperatora, Krenkla, obaj wyglądaliśmy przez okno. Zauważyłem, że krajobraz jest bardzo ładny, na co Krenkel odparł, pogardliwie wzruszając ramionami:

– Estonia? To nieciekawy kraj. W Rosji nazywamy ją „kartoflaną republiką”.

Ponieważ codziennie musiałem nadać pięć tysięcy słów, a nic ciekawego się nie działo, w jednej z depeesz wspomniałem o „Estonii, którą Rosjanie na pokładzie sterowca nazywają «kartoflaną republiką»”. Krenkel zobaczył tę depezę w kabinie łączności. Kiedy spotkaliśmy się następnym razem, zapytał mnie szeptem:

– Dlaczego chce mnie pan wpędzić w kłopoty?

Nie wiedziałem, o co mu chodzi, dopóki zrezygnowanym tonem, zacinając się, nie wyjaśnił, że każda uwaga, która może zakłócić przyjazne stosunki między Związkiem Sowieckim a jego sąsiadami jest uważana za prowokację.

– Chyba nie będzie pan miał kłopotów z powodu jakiegoś niewinnego żartu? Nie wymieniłem nawet pańskiego nazwiska.

Tym samym zrezygnowanym tonem odparł:

– Niewinnego...?

Odwrócił się i do końca podróży nie odezwał się do mnie.

Później doszło do nieporozumień z innymi Rosjanami.

W pierwszej korespondencji wspomniałem, nie pamiętam już w jakim kontekście, że rankiem w dniu naszego startu profesor Samołowicz się golił, podczas gdy wszyscy inni jedli śniadanie. Jedna z naszych wieczornych gazet zrobiła z tego zupełnie niewinną anegdotę o „roztargnionym profesorze, który omal nie spóźnił się na start”. Samołowicz dowiedział się o wszystkim podczas naszego przystanku w Leningradzie. Napomknął mi o tym pozornie niedbałym tonem – i były to ostatnie słowa, które do mnie skierował.

Jak już zauważyłem, te drobne incydenty – a było ich oczywiście więcej między Rosjanami a Niemcami na pokładzie – nic mi wówczas nie mówiły. Trudno się temu dziwić, ponieważ to, na co zwracamy uwagę, zależy w ogromnym stopniu od naszego emocjonalnego nastawienia. Znacznie dziwniejsze jest to, że rzeczy, którym początkowo nie przypisujemy żadnego znaczenia, zostają mimo wszystko zapamiętane. Pamięć wydaje się składać z szeregu trybików, które zaskakują po latach albo wcale. Dlatego od mego pierwszego kontaktu z Rosją Sowiecką i jej obywatelami uruchomił się w moim umyśle subtelny mechanizm, który na podobieństwo sortownika rozdzielał wszystkie moje spostrzeżenia do dwóch szufladek. Te, które zatrzymały się na filtrze, były zapamiętywane i dodawane do obrazu, który sam w sobie był prawdziwy, choć przypominał mozaikę po wyjęciu wszystkich kamyków z wyjątkiem białych. Pozostałe przeżycia, które przeszły niezauważone przez sito filtra, stworzyły swego rodzaju stertę popiołu w głębi mojej świadomości. Po kilku latach popiołu tego zbierze się tyle, że zatka filtr i zacznie wydobywać się z powrotem na powierzchnię. Podczas tego bolesnego procesu każde zapomniane zdarzenie wyjdzie na światło dzienne, ciągnąc za sobą niemiły zapaszek.

W Leningradzie spotkaliśmy się z ową wylewną rosyjską gościnnością, która, choćby została wcześniej zaplanowana, po kilku pierwszych kieliszkach wódki staje się spontaniczna i jest naturalnym, niemal nieodpartym sprzymierzeńcem sowieckiej propagandy.

Na granicy wyleciało nam na powitanie pięć sowieckich samolotów wojskowych. Eskortowały nas do samego Leningradu, wykonując wokół sterowca przeróżne akrobacje niczym wesołe delfiny wokół wieloryba. Na leningradzkim lotnisku odbyło się tradycyjne huczne przyjęcie. Nie zabrakło pół tuzina gatunków kawioru, jedzonego drewnianymi łyżkami jak grochówka; toastów wznoszonych przez niemieckiego ambasadora, przewodniczącego Leningradzkiej Rady Miejskiej, prezesa Akademii Nauk ZSRS i tak dalej; pieśni śpiewanych przez chór Armii Czerwonej i, żeby było śmieszniej, transparentu „Witamy nieustraszonych bohaterów Arktyki”. Miano takie zdobywa się zwykle pośmiertnie, przyjemnie więc było otrzymać je wcześniej.

Choć nie byłem jeszcze członkiem partii, należałem do Towarzystwa Przyjaciół Związku Sowieckiego, fasadowej organizacji, będącej w istocie powolnym narzędziem w rękach partii komunistycznej. Pokazałem swoją legitymację członkowską sąsiadowi, zwalitemu, rubasznemu oficerowi Armii Czerwonej, który podał ją do obejrzenia innym; wzbudziła ogólny entuzjazm – wznoszono toasty na moją cześć, ściskano mnie, obejmowano, klepano po plecach. Wódka, sterowiec, świadomość, że stanąłem w końcu na ziemi wielkiej obietnicy – wszystko sprawiło, że noc ta stała się równie radosna i pamiętna, jak tylko jedno wydarzenie w moim dotychczasowym życiu: pierwsza popijawa w siedzibie Unitasu w Wiedniu. Znów przyjęto mnie do braterskiej wspólnoty, choć tym razem doświadczenie koleżeństwa i poczucie przynależności nie były przyczyną, lecz skutkiem mojej politycznej ewolucji.

Nazajutrz rozpoczęła się właściwa, arktyczna część wyprawy. Wystartowaliśmy 26 lipca o ósmej rano i wylądowaliśmy dopiero 30 lipca o szóstej po południu, po nieprzerwanym locie trwającym cztery i pół doby, podczas którego słońce nie zaszło dla nas ani na chwilę. Z dziennikarskiego punktu widzenia sama ekspedycja była nieciekawa, bo wszystko przebiegało zgodnie z planem i nie miałem do przekazania żadnych sensacji. Wyprawy arktyczne stają się interesujące dopiero wtedy, gdy coś idzie źle, a polarnicy, walczący z wichurą i mrozem, zjadają ostatniego psa, a potem siebie nawzajem. Nic takiego nam się nie przydarzyło – i w głębi duszy trochę tego żałowałem. Podróżując

w ogrzewanym elektrycznie wnętrzu naszego wieloryba, mogliśmy się skarżyć tylko na brak snu. Każdy członek wyprawy miał bowiem swoje zadania badawcze do wykonania, a było ich tyle, że nie starczało na wszystko czasu: fotografowanie, nanoszenie na mapę nieznanych lądów, obserwacje meteorologiczne, pomiary magnetyzmu ziemskiego, promieniowania kosmicznego i tak dalej.

Jak już mówiłem, ten pozbawiony dramatyzmu, rzeczowy charakter ekspedycji sprawił, że stała się ona punktem zwrotnym w badaniach arktycznych. Epoka psich zaprzęgów i wielomiesięcznych wędrówek po śnieżnych pustkowiach minęła, zaczęła się era latających laboratoriów. Poprzednia próba powietrznej eksploracji Arktyki, podjęta przez Nobilego w sterowcu *Italia*, zakończyła się katastrofą. Od czasu naszej wyprawy amerykańska 375 Eskadra Meteorologiczna przeprowadziła co najmniej pięćset rutynowych lotów z Alaski nad biegunem północnym. Ale jej szybkie samoloty wykonują swoje zadanie w ciągu kilku godzin. My tymczasem bujaliśmy nad morzami i lądami Arktyki przez kilka dni, poruszając się ze średnią prędkością stu kilometrów na godzinę, czyli wolniej niż szanujący się automobilista, i często zatrzymując się w powietrzu, aby wykonać zdjęcia albo wypuścić do stratosfery małe balony meteorologiczne z przyrządami samopiszącymi. Był w tym dreszczyk emocji i urok podróży ostatnim żaglowcem w epoce statków motorowych.

Pierwszego dnia przelecieliśmy nad jeziorem Ładoga, Karelią, Archangielskiem, Półwyspem Kolskim i znaleźliśmy się nad Morzem Barentsa. O ósmej wieczorem czasu środkowoeuropejskiego przecięliśmy koło podbiegunowe północne. Co dwie godziny musiałem nadawać radiogram. Z czasem zadanie to było coraz trudniejsze do wykonania, ponieważ wlecieliśmy w strefę gęstej mgły i nie widziałem, co się dzieje na zewnątrz. O wszystkim, co było ciekawego w naszym życiu na pokładzie, zdążyłem już napisać w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin.

Jedynym dramatycznym wydarzeniem wyprawy było spotkanie z rosyjskim lodołamaczem *Małygin*, które odbyło się 27 lipca po południu. Było ono dramatyczne z historycznego punktu widzenia, bo pierwszy raz sterowiec wodował na otwartym morzu, ale także

dlatego, że w jego trakcie omal nie zmiażdżyła nas dryfująca góra lodowa. Przede wszystkim jednak przeżyliśmy chwile prawdziwego wzruszenia, jak to zawsze się zdarza, gdy obcy ludzie spotykają się na niegościnnym pustkowiu, w tym wypadku na wodach Oceanu Lodowatego pod osiemdziesiątym stopniem szerokości geograficznej północnej.

Przez cały ranek powoli posuwaliśmy się na północ pod wiatr wiejący z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i przez dość gęstą polarną mgłę, którą szybko znienawidziliśmy. W południe przekroczyliśmy siedemdziesiąty piąty równoleżnik i Eckener zaryzykował wzniesienie się w wolne od chmur rejony atmosfery. Zmiana wysokości lotu w Arktyce jest zawsze niebezpieczna dla sterowca, ponieważ związany z nią spadek temperatury grozi nagłym oblodzeniem kadłuba. Wobec jego ogromnej powierzchni ciężar lodu jest tak wielki, że może doprowadzić do katastrofy – co przytrafiło się Italii. Jednakże balony meteorologiczne dostarczyły nam wiarygodnych informacji o temperaturze wyższych warstw atmosfery i wszystko zakończyło się szczęśliwie. Często jednak ulegaliśmy złudzeniu, biorąc wyjątkowo gęsty obszar mgły za górę lodową, co napędzało nam niezłego stracha. Innym dziwnym i pięknym zjawiskiem był cień sterowca na mlecznej powierzchni mgły pod nami. Od czasu do czasu wokół jego czoła pojawiała się tęczowa obwódka, przypominająca świetlistą aureolę.

W pewnej chwili mleczne kształty wokół nas stały się tak mylące, że nawet Eckener się zaniepokoił i zaczął podejrzewać awarię wysokościomierza. Wszedł do mesy i warknął do Samojułowicza:

– Chciałbym, żeby mi ktoś powiedział, czy to, co widać przed nami, to mgła czy lód.

Na szczęście okazało się, że to tylko mgła.

Dwaj dowódcy wyprawy oczywiście serdecznie się nie znosili. W ogóle na pokładzie panowała mało sympatyczna atmosfera. Po części wynikało to stąd, że niemieccy profesorowie rzadko dają się lubić. A ponieważ ci, którzy brali udział w naszej ekspedycji, byli albo narodowymi socjalistami, albo zatwardziałymi reakcjonistami, między nimi a Rosjanami wyczuwało się głęboką nieufność, maskowaną

sztynną akademicką uprzejmością. Ale pewien wpływ mogło wywrzeć też, nawet w tym krótkim czterodniowym okresie, dobrze znane negatywne działanie krajobrazu polarnego na psychikę ludzką. Ze wszystkich barw biała przygnębia mnie najbardziej, jeśli jestem na nią wystawiony przez dłuższy czas i bez chwili przerwy.

Wreszcie, około trzeciej po południu, mgła rozviała się, odsłaniając usiane dryfującymi krami morze koloru ołowiu. Przekroczyliśmy siedemdziesiąty ósmy równoleżnik; od kilku godzin byliśmy już w kontakcie radiowym z *Małyginem*. Czekał na nas u brzegów Wyspy Hookera w archipelagu zwanym Ziemią Franciszka Józefa. Po godzinie kry lodowe zbiły się ze sobą, pozostawiając tylko kilka wąskich przesmyków, przypominających czarne żyłki na powierzchni szarego marmuru. Następną godzinę później ujrzeliśmy przylądek Flora na jednej z najdalej wysuniętych na południe wysp archipelagu.

Przed naszymi oczami przesuwaly się kolejne wyspy – Ziemia Jerzego, Ziemia McClintocka. Wszystkie wyglądały tak samo – lodowce i skały rozrzucone po bezkresie oceanu polarnego. Potem, z wielką ulgą, zobaczyłem na tej białej pustyni żywe stworzenia: rodzinę niedźwiedzi polarnych dryfujących na krze po otwartym morzu. Jeden, prawdopodobnie samiec, stanął na tylnych łapach i kręcił głową, po czym cała rodzina wskoczyła do wody i odpłynęła. Widać nie spodobał się im, uznali nas za intruzów. Kra, teraz już pusta, dryfowała dalej... Niektórzy sądzą, że Amundsen przepłynął na takiej krze dwa tysiące mil z Wyspy Niedźwiedziej, na której rozbił się jego samolot, do Ziemi Franciszka Józefa. Tę szaloną hipotezę wysunął Amerykanin nazwiskiem Fiala; tuż przed startem naszej wyprawy Eckener otrzymał od kobiety-jasnowidza list z opisem zatoki na jednej z wysp Ziemi Franciszka Józefa, gdzie jakoby miało się znajdować ciało Amundsena. Zatoka ta rzeczywiście istniała i odpowiadała dość wiernie opisowi z listu – być może kobieta zdobyła skądś dokładną mapę Arktyki. Obejrzeliśmy przez lunety każdy skrawek terenu, ale nie dostrzegliśmy żadnej ludzkiej istoty, żywej ani martwej. Te bezcelowe poszukiwania były głównie ukłonem w stronę Ellswortha, przyjaciela Amundsena. W 1926 roku we trójkę z Nobilem pierwsi przelecieli nad

biegunem północnym na sterowcu Norge. Po tej wyprawie Amundsen i Nobile poróżnili się. Dwa lata później Nobile zorganizował własną wyprawę na sterowcu *Italia*, która miała rozślawić Włochy Mussoliniego. *Italia* rozbiła się; Amundsen, spiesząc na ratunek swemu adwersarzowi, wystartował ze Spitsbergenu i zaginął, tymczasem Nobile uratował się bez jego pomocy. Teraz Ellsworth leciał sterowcem, a Nobile znajdował się na pokładzie *Małygina*, co nadawało temu spotkaniu dodatkowy, osobisty wymiar – rys tragizmu, który publiczność bardzo lubi.

Dostrzegliśmy *Małygina* tuż po szóstej po południu. Stał na kotwicy w jednej z zatok wyspy Hookera, przybrany flagami i chorągiewkami; syrena okrętowa porykiwała radośnie. Okrążyliśmy go kilka razy, a potem wyłączyliśmy silniki, otworzyliśmy zawory gazowe i zaczęliśmy opadać. Niecałe sto metrów nad poziomem morza wyrzucono do wody dwa płócienne worki balastowe zastępujące kotwice. Kiedy obniżyliśmy się jeszcze bardziej, do morza spuszczone wąż gumowy, przez który przepompowano wodę morską, aby dociążyć sterowiec i dzięki temu oszczędzić cenny gaz. Pneumatyczne pływaki na spodzie gondoli dotknęły wody i sterowiec znieruchomiał na gładkiej powierzchni morza.

Musieliśmy wodować dwieście metrów od lodołamacza, aby *Graf Zeppelin* nie zapalił się od iskier z okrętowego komina. Napompowaliśmy gumową tratwę, ale zanim zdążyliśmy ją rzucić na wodę, przyplłynęła łódź z *Małygina*. Powstało zamieszanie, przez co pozostała część tego historycznego wydarzenia zbiła mi się w pamięci w jeden kłęb chaotycznych wrażeń. Worki z pocztą, które Eckener rozkazał wyładować najpierw, blokowały drzwi gondoli. Ludzie z łodzi, wyglądający bardzo malowniczo w swoich ciężkich futrach, mogli więc tylko zaglądać do okien gondoli, uśmiechać się szeroko i krzyczeć coś po rosyjsku. Jeden wołał Ellswortha – był to Nobile. Amerykanin podbiegł do okna i uścisnął mu rękę, wypowiadając pamiętne słowa:
– Dzień dobry, jak się pan miewa?

W tym momencie Eckener coś krzyknął i kilku członków załogi popędziło z mostka kapitańskiego przez mesę, znikając za drzwiami prowadzącymi do wnętrza sterowca. Zanim się zorientowaliśmy,

o co chodzi, z węży gumowych trysnęła woda, kotwice poszybowały w górę, głowy w futrzanych czapach za oknami zniknęły i znaleźliśmy się w powietrzu, a pasażerowie łodzi zadzierali tylko głowy i patrzyli na nas ze zdumieniem. Okazało się, że Eckener kazał natychmiast odciążyć sterowiec, bo prąd powietrza zaczął znosić go w stronę gór lodowych; przy pierwszym zetknięciu krucha gondola roztrzaskałaby się na kawałki.

Całe spotkanie trwało dokładnie trzynaście minut. Kiedy zatoka ginęła w oddali, syrena *Małygina* wydała przeciągły dźwięk brzmiący w naszych uszach jak lament porzuconej panny młodej.

Przez resztę dnia przeprowadzaliśmy pomiary kartograficzne Ziemi Franciszka Józefa.

Archipelag, odkryty w 1873 roku, w następnych latach został z grubsza naniesiony na mapę.

Naszym pierwszym celem była wyspa o nazwie Ziemia Alberta Edwarda, okazało się jednak, że taka wyspa nie istnieje. Figurowała na wszystkich mapach Arktyki, lecz w samej Arktyce jej nie było. Szukaliśmy wytrwale, ale nie znaleźliśmy jej ani tam, gdzie powinna być, ani nigdzie indziej.

Następnym celem była Ziemia Harmswortha.

Może to zabrzmieć śmiesznie, ale Ziemia Harmswortha również nie istniała. Tam, gdzie jakoby się znajdowała, widzieliśmy tylko czarną płaszczyznę arktycznego morza i sunące po nim jasne odbicie sterowca.

Bóg jeden wie, czy badacz, który naniósł te wyspy na mapę (przypuszczam, że był to Julius von Payer, odkrywca Ziemi Franciszka Józefa), padł ofiarą złudzenia, biorąc jakieś góry lodowe za ląd stały, czy też od tego czasu pochłonęło je morze, co jest jednak mało prawdopodobne. Tak czy owak 27 lipca 1931 roku zostały one oficjalnie wymazane z mapy Arktyki.

* *
*

Nazajutrz o siódmej rano znaleźliśmy się nad Ziemią Północną, drugim głównym celem wyprawy. Odkrył ją w 1913 roku rosyjski badacz Boris Wilkiki, ale tylko część jej wschodnich wybrzeży została naniesiona na mapę, reszta wciąż była białą plamą.

Zobaczyć białą plamę i patrzeć, jak wypełnia ją panorama

wyjątkowej piękności, to rzadki przywilej. Powoli zaczynałem dostrzegać różnice w pejzażu arktycznym. Ziemia Franciszka Józefa, mimo że mieniła się feerią barw, była martwa i statyczna, tymczasem Ziemia Północna wydawała się pełna życia w sposób napawający grozą, ponieważ z jej wielkich lodowców podnosiły się małe obłoczki mgły, przez co lodowce wyglądały jak białe wulkany, z których wytryskuje w powietrze lodowata lawa. Nawet weterani wypraw arktycznych zgodnie twierdzili, że nie widzieli wspanialszego widoku. Ja napawałem się nim tym bardziej, że koło przylądka Flora straciliśmy kontakt radiowy ze światem. Uwolniony od nudnego obowiązku nadawania co dwie godziny sensacyjnych korespondencji, mogłem w końcu obserwować, podziwiać i przeżywać wszystko, co widziałem, bez konieczności przelewania tego na papier.

Kiedy lecieliśmy na północny zachód przez Morze Karskie, jeden z naszych uczonych zapoznał mnie z podstawami kriologii, czyli nauki o lodzie. Poznałem różnice między lodem z głębi lądu, pakiem i lodem dryfującym; dowiedziałem się, że lodowce spływające do morza dają początek górom lodowym; i że zgodnie z teorią profesora Wiesego istnieje związek przyczynowy między zmianą pokrywy lodowej na Morzu Barentsa a wahaniami poziomu wody w Jeziorze Wiktorii w Afryce. Zawarłem też znajomość z przyrządem zwanym licznikiem Aitkena, służącym do obliczania liczby cząstek pyłu w centymetrze sześciennym powietrza. Po przekroczeniu przez nas koła podbiegunowego licznik wskazywał średnio od 200 do 300 cząstek, podczas gdy w mieście przemysłowym średnia ta wynosi od 300 000 do 400 000.

Dla dopełnienia mej edukacji pozwolono mi na dwadzieścia cudownych minut stanąć za sterem, a dokładniej za sterem pionowym. Sterowcem bowiem kieruje zawsze dwóch ludzi, stojących obok siebie na mostku; jeden steruje wysokością, drugi kierunkiem. Ster to elektryczny serwomechanizm używany między innymi na liniowcach oceanicznych. Składa się z dwóch drążków; w zależności od tego, czy przesuwają się prawy czy lewy drążek, dziób statku skręca w prawo lub w lewo. Widzieć, jak powietrzny kolos słucha się lekkiego dotknięcia kciuka, było oczywiście upajającym przeżyciem, które natychmiast

odmłodziło mnie o dziesięć lat. Gdyby Eckener zaproponował mi pracę sternika, przyjąłbym ją chyba bez wahania.

Nowa Ziemia była ostatnim archipelagiem w naszym programie badawczym. Leży ona między 70 a 77 stopniem szerokości geograficznej północnej i składa się przede wszystkim z dwóch rozciągniętych mniej więcej południkowo wysp, przedzielonych wąską cieśniną Matoczkin Szar. Cieśnina ta to w istocie kanion między dwoma stromymi ścianami skał i lodowców, sięgających półtora tysiąca metrów n.p.m., a swym okrutnym pięknem przewyższa nawet Ziemię Północną.

Moje cudowne wspomnienia z Nowej Ziemi straciły jednak cały urok, gdy się dowiedziałem, że w późniejszych latach na archipelagu działały sowieckie obozy koncentracyjne. Od połowy lat trzydziestych rękami robotników przymusowych wydobywano tam miedź, ołów i węgiel. Wśród więźniów innych sowieckich łagrów krążyły opowieści o warunkach panujących w tych arktycznych kopalniach podczas nocy polarnej. Wiało od nich większą grozą niż od relacji o komorach gazowych w Bergen-Belsen.

Już nad Nową Ziemią nasz radiooperator nawiązał łączność z parowcem u wybrzeży Spitsbergenu, a niedługo potem ze stacjami na lądzie stałym. Czar przysł, przygoda dobiegała końca. Jeszcze raz spojrzałem na iskrzące się lodowce i góry lodowe żeglujące po spokojnym morzu, a potem pożegnałem się z arktyczną nirwaną i zasiadłem do maszyny do pisania. Dwadzieścia cztery godziny później wylądowaliśmy w Berlinie, witani przez oślepiające lipcowe słońce i wiwatujący tłum, który śpiewał *Deutschland, Deutschland über alles, Über alles in der Welt*.

Portret autora jako członka partii

Wyprawa polarna była kolejnym punktem zwrotnym w moim życiu.

Po powrocie otrzymałem z całej Europy zaproszenia do wygłoszenia odczytów. Poprosiłem o sześciotygodniowy urlop i spakowawszy do walizki dziennik pokładowy i zestaw przezroczy, objechałem z odczytami Niemcy, Danię, Szwecję i Holandię.

Po powrocie zaproponowano mi stanowisko szefa działu zagranicznego i zastępcy redaktora naczelnego „B.Z. am Mittag”, największej wówczas popołudniówki niemieckiej; nadal miałem być też redaktorem naukowym „Vossische Zeitung”. Zgodziłem się. Było to rzadko spotykane połączenie stanowisk; wiązało się z nim mnóstwo pracy, wysokie uposażenie i duża satysfakcja zawodowa. Pracowałem tak około dziewięciu miesięcy. W tym okresie wstąpiłem do Komunistycznej Partii Niemiec.

Ewolucję moich poglądów politycznych, która doprowadziła do tej decyzji, omówiłem wcześniej. Trudniej wyjaśnić, dlaczego zdecydowałem się na akces do komunizmu akurat w tym czasie. Moja kariera zawodowa rozwijała się przecież bardzo pomyślnie. Do ruchu rewolucyjnego zwykle popycha ludzi rozpacz, głód, brak perspektyw życiowych, bezrobocie. Mnie tymczasem szło lepiej niż kiedykolwiek. I to właśnie tłumaczy, dlaczego podjąłem swoją decyzję właśnie wtedy. Ponieważ dowiodłem sobie, że potrafię „zrobić karierę”, mogłem z niej zrezygnować – nie bojąc się zarzutu, iż postępuję tak tylko dlatego, że nie stać mnie na sukces. A gdy poczułem, że mam swobodę wyboru, do głosu ponownie doszła moja skłonność do palenia za sobą mostów.

Utwierdziwszy się w przekonaniu, że komunizm jest jedynym rozwiązaniem dla Europy – nie tylko jako mniejsze zło w porównaniu z faszyzmem, ale idealny ustrój społeczny – mogłbym poprzestać na cichym wspieraniu partii i głosowaniu na nią w wyborach. Ale chęć spalenia za sobą mostów była nieodparta, postanowiłem więc zostać aktywnym członkiem partii i jej aparatu wywiadowczego.

Kilka lat wcześniej rzuciłem studia dlatego, że zapragnąłem

uczynić coś szalonego, zejść z torów, po których miało się toczyć moje życie. Chaos charakterystyczny dla lat inflacji, która sprowadziła zdrowy rozsądek do absurdu, był dodatkowym pretekstem i uzasadnieniem mojej szaleńczej decyzji.

Tym razem miałem jeszcze lepsze alibi. Republika weimarska wyraźnie zmierzała ku wojnie domowej; zarówno w razie zwycięstwa komunistów, jak narodowych socjalistów liberalna prasa nie miała szans na przetrwanie. Dlatego irracjonalny impuls, który skłonił mnie do porzucenia owoców wieloletniej pracy, okazał się koniec końców całkowicie racjonalny, bo to świat oszalał, a nie ja. Gdybym postępował racjonalnie, najprawdopodobniej skończyłbym w krematorium w Bergen-Belsen. W tragicznych okresach przełomów dziejowych świat rządzi się inną logiką niż w trywialnych czasach spokoju. Przeciętnemu obywatelowi trudno, a często wręcz nie sposób się przestawić; biernie przyjmuje on wojny i rewolucje. Tymczasem pozornie zwariowani awanturnicy, artyści i inni ludzie niezrównoważeni nawykli do balansowania na krawędzi, gdzie płaszczyzna tragiczna i banalna przecinają się, przeskakują ochoczo z jednej płaszczyzny na drugą. W czasach katastrof rozkwitają; szaleństwo jest ich aniołem stróżem.

Choć od ponad roku powoli zmierzałem do komunizmu, decyzja o zapisaniu się do partii znów zapadła nagle. Indeks spaliłem w stanie euforii po dyskusji o determinizmie i wolnej woli z Tarasowem. Tym razem rozstrzygające wydarzenie miało bardziej przyziemny charakter. Dokładniej mówiąc, była to cała seria groteskowych zdarzeń, które rozegrały się pewnego grudniowego wieczoru 1931 roku.

Była to sobota. Wczesnym popołudniem pojechałem do warsztatu po samochód, który oddałem do naprawy przed prawie trzema tygodniami. Z powodu nieszczelności w przewodzie olejowym zatarły się cylindry i konieczny był remont silnika. Ponieważ bardzo potrzebowałem samochodu do pracy, cieszyłem się, że mogę go wreszcie odebrać.

Z warsztatu pojechałem do przyjaciela, dr. Alfreda Apfela, który w sobotnie popołudnia urządzał tradycyjną partyjkę pokera. Apfel był sławnym adwokatem i znaną postacią w berlińskich kręgach towarzyskich. Sympatyzował z komunistami i bronił wielu działaczy

rewolucyjnych. Otyły i jowialny, słynął z dowcipu i hazardowej gry w karty. Żonaty z piękną i ekstrawagancką kobietą, która prowadziła lewicowy salon intelektualny, lubił zwabiać literacką brać do karcianego stołu, gdzie śmiejąc się i wygłaszając błyskotliwe aforyzmy, bezlitośnie oskubywał swoich partnerów z pieniędzy. Byłem nałogowym pokerzystą, grałem jednak jak oferma, więc zwykle przegrywałem; ale tego popołudnia straciłem znacznie więcej, niż mogłem sobie na to pozwolić – równowartość kilkumiesięcznej pensji.

W fatalnym nastroju pojechałem na spotkanie radykalnej cyganerii artystycznej, gdzie szybko się upiłem, co było w tej sytuacji zupełnie zrozumiałe. Impreza trwała do drugiej czy trzeciej nad ranem. Zupełnie zapomniałem, że mam w chłodnicy wodę i że noc może być mroźna. Kiedy po wyjściu z przyjęcia podszedłem do swego świeżo naprawionego samochodu, zobaczyłem, że z chłodnicy zwisa gruby sopel lodu – widok, który każdego automobilistę doprowadzi do płaczu, choćby nawet auto nie należało do niego.

Widząc moją rozpacz, jedna z obecnych na spotkaniu panien, która zresztą zawsze mnie drażniła, zaproponowała mi gościnę, bo mieszkała niedaleko. Finał można było bez trudu przewidzieć. Obudziłem się ze straszliwym kacem pomieszanym z wyrzutami sumienia, niepokojem i poczuciem winy, obok nielubianej kobiety, splukany i z gruchotem zamiast samochodu.

Zawsze miałem może zabobonne, ale głębokie przekonanie, że wydarzenia następujące seriami mają doniosłe znaczenie. Kiedy w krótkim czasie dochodzi do kilku większych i mniejszych nieszczęść, są one ostrzeżeniem – jakby jakaś tajemnicza siła ciągnęła was za rękaw. Musicie wtedy odgadnąć, przed czym ostrzega was los. Jeżeli zlekceważycie przestrożę, zapewne nic złego się nie stanie, ale przegapicie szansę, żeby odmienić swoje życie. Nie jest wcale naiwnym przesądem pogląd, że często to sam człowiek podświadomie prowokuje takie serie zdarzeń; że ostrzeżenie może wychodzić od tego „kogoś we mnie, kto jest bardziej mną niż ja sam”. Później dowiedziałem się, że André Malraux wyznaje podobny przesąd czy też przekonanie. Owo pociąganie za rękaw przez los nazywa *le langage du destin*.

Jeśli o mnie chodzi, to przeznaczenie często przemawia do mnie

prostym językiem. Seria groteskowych nieszczęść, które przydarzyły mi się wspomnianej nocy, wyglądała tak, jakby ich sprawcą był jakiś prymitywny dowcipniś; ale twarz błazna, który pochyla się nad nami, może przejmować grozą. Kiedy wróciłem do domu, decyzja zapadła, choć miałem wrażenie, jakbym to nie ja ją podjął; podjęła się sama.

Siedem tłustych lat dobiegło końca, byłem teraz przygotowany na siedem lat chudych. Koniecznie pragnąłem pogodzić swoje życie z przekonaniem, tak jak wtedy, gdy wyruszałem do Nowego Jeruzalem; chciałem przeskoczyć z płaszczyzny banalnej egzystencji na tragiczną, zza dziennikarskiego biurka na barykady rewolucji, która na rok przed dojściem Hitlera do władzy wydawała się całkiem realna i bliska. Krótko mówiąc, moje wstąpienie do partii było zarówno aktem wiary, jak wyrazem pragnienia, aby „stać się sobą i tylko sobą”.

Podanie o przyjęcie do partii napisałem 31 grudnia 1931 roku, adresując je do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Niemiec; załączyłem krótki życiorys i wyraziłem gotowość służenia sprawie w taki sposób, jaki partia uzna za stosowne.

KPD uznała, że najlepiej służyć jej będę na swoim dotychczasowym stanowisku, ukrywając fakt przynależności i pod pseudonimem pracując dla aparatu wywiadowczego partii. Pod koniec naszego pierwszego spotkania mój przyszły zwierzchnik zapytał, jaki pseudonim sobie wybrałem. Jak zwykle w takich razach przez chwilę nic mi nie przychodziło do głowy. Potem powiedziałem:

– Iwan Steinberg.

„Iwan” był łatwy do wytłumaczenia: brzmiał z rosyjska i miło dla ucha. Ale dlaczego „Steinberg”, który po niemiecku znaczy „kamienna góra”? Nie znałem żadnej osoby o tym nazwisku.

A może jednak? Wracając do domu z tego spotkania, którego cień będzie towarzyszył mi do końca życia, nagle pomyślałem o swoim przyjacielu Har-Evenie, psychoanalityku z Tel Awiwu. Przypomniałem sobie, jak namawiał mnie do powrotu do domu i dokończenia studiów. „Jeśli nie zrobisz dyplomu – powtarzał – zawsze już będziesz musiał uciekać”. Stary kochany Har-Even. „Har” znaczy „góra”, a „Even” – „kamień”. Har-Even był więc hebrajskim Steinbergiem.

A więc przeznaczenie mogło też przemawiać po hebrajsku. Wydało

mi się brzydką sztuczką losu, że w ten określony sposób przypomniał mi o biblijnej klątwie, którą rzucił na mnie mój przyjaciel. Z drugiej strony, jeżeli rzeczywiście już do śmierci miałem się tulać po świecie, dobrze było o tym wiedzieć i się z tym pogodzić.

Na moje podanie o przyjęcie do Komunistycznej Partii Niemiec otrzymałem po około tygodniu dość zagadkowy, napisany na maszynie list bez nagłówka, opatrzony nieczytelnym podpisem. Zapraszano mnie, „nawiązując do Pańskiego łaskawego listu z 31 grudnia”, na spotkanie z „przedstawicielem naszej firmy” w pewnej berlińskiej piarni.

W oznaczonym miejscu i czasie czekał na mnie Ernst Schneller, kierownik wydziału agitacji i propagandy (AGITPROP) Komunistycznej Partii Niemiec, a zarazem szef jednego z tajnych „aparatów”, czyli siatek wywiadowczych Kominternu. Poza tym był posłem do niemieckiego parlamentu (*Reichstagsabgeordneter*). Prowadził więc podwójne życie – oficjalnego dostojnika i nielegalnego konspiratora – i bynajmniej nie był wyjątkiem. Wielu komunistów żyło wówczas *à cheval* – jak mawiano w partii francuskiej; wyrażenie to pochodzi z ruletki i dotyczy gracza, która obstawia jednocześnie dwie liczby. Uważano, że nie ma w tym nic złego. Elementarna dialektyka marksistowska wymagała, aby korzystać w pełni ze swobód obywatelskich zagwarantowanych przez burżuazyjną konstytucję.

Spotkałem się z Ernstem Schnellerem dwa razy i więcej go nie widziałem. Kilkanaście lat później został rozstrzelany w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Wyglądał niepozornie, był nieśmiały, chudy i kościsty, twarz miał zapadniętą, uśmiechał się z zakłopotaniem. Wyznał mi, że jest wegetarianinem i żywi się głównie surowymi warzywami i owocami, a także, że oprócz prasy partyjnej nie czyta innych gazet. Zrazu wziąłem go za ograniczonego biurokratę partyjnego, ale szybko nabrałem szacunku dla jego spokojnego i inteligentnego sposobu argumentowania. Wyznałem mu, że chciałbym rzucić pracę i zostać traktorzystą w Rosji, ale podczas kilkugodzinnej rozmowy Schneller przekonał mnie, że bardziej przydam się partii, jeśli zachowam swoje poglądy dla siebie, pozostanę dziennikarzem, w miarę możliwości będę wpływał na linię swojej gazety i przekazywał partii wszelkie poufne informacje. Wyjaśnił, że wprawdzie partia może jeszcze

prować jawną działalność, ale prawdopodobnie zostanie wkrótce zdelegalizowana i będzie musiała działać w konspiracji. Wówczas ludzie zajmujący wysokie stanowiska i nie budzący podejrzeń, tacy jak ja, będą jeszcze przydatniejsi w walce z faszyzmem i imperialistyczną agresją. Mówił tak przekonująco, że pod koniec naszej pierwszej rozmowy przystałem na jego propozycję i zostałem, nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co robię, członkiem służby wywiadowczej Kominternu.

Podczas naszego drugiego i ostatniego spotkania Schneller wręczył mi legitymację partyjną wystawioną na nazwisko Iwana Steinberga. Przyprowadził też ze sobą śniadą grubaskę o imieniu Paula, która miała pośredniczyć między mną a moim przyszłym zwierzchnikiem w aparacie, Edgarem. Od chwili wstąpienia do partii znajdowałem się więc w dziwnym, tonącym w półmroku świecie konspiracji, zamieszkanym przez „Edgarów” i „Paule”, ludzi pozbawionych nazwiska i adresu – ulotne cienie, które przypominały fosforyzujące stworzenia z głębin oceanu.

* *
*

Moje kontakty z aparatem pozostały bardzo luźne i po dwóch lub trzech miesiącach zakończyły się w groteskowych okolicznościach. Jak już mówiłem, byłem wówczas szefem działu zagranicznego „B.Z. am Mittag” i redaktorem naukowym „Vossische Zeitung”; obie gazety należały do koncernu prasowego Ullstein. Jako szef działu zagranicznego miałem dostęp do wszystkich poufnych wiadomości politycznych napływających do tej swoistej centrali informacyjnej republiki weimarskiej. Moim sekretarzem był dwudziestoletni von E., syn emerytowanego ambasadora niemieckiego. Dzieliło nas tylko pięć lat, więc szybko zostaliśmy przyjaciółmi. Nawracałem E. na wiarę marksistowską i stałem się dla niego takim samym guru, jakim dla mnie był Peter. Po dwóch tygodniach uznałem, że dojrzał na tyle, abym mógł go zwerbować. W domu jego rodziców bywali oficerowie niemieckiego sztabu generalnego i dyplomaci. Poprosiłem mego młodego przyjaciela, żeby miał oczy i uszy otwarte i przekazywał mi ważniejsze informacje – zwłaszcza wszystko, co dotyczyło „przygotowań Niemiec i innych mocarstw imperialistycznych do wojny napastniczej przeciwko Związkowi Sowieckiemu”.

Przez kilka tygodni wszystko było dobrze, ale potem młodego von E. zaczęło dręczyć sumienie i pewnego ranka, po bezsennej nocy, postawił mi ultimatum; musiałem zdecydować, czy ma on ujawnić naszą zdradziecką działalność, czy się zastrzelić. Napisał list do dyrektora firmy, w którym przyznawał się do wszystkiego, ale zapowiedział, że wyśle go tylko za moją zgodą. Położył ten długi odręczny list na moim biurku.

Logicznie rzecz biorąc, żądanie von E. nie miało sensu. Z punktu widzenia prawa nie popełniliśmy żadnego przestępstwa. Nie wykradliśmy tajemnic wojskowych, nie sprzedaliśmy dokumentów politycznych. Von E. powtórzył mi tylko trochę plotek, którymi podzieliłem się ze swymi kolegami partyjnymi. Argumenty te nie trafiły jednak młodemu człowiekowi do przekonania. Twierdził, że można sobie być marksistą albo socjalistą, ale przekazywanie informacji agentom obcych mocarstw to zupełnie co innego – to zdrada. I nie jest ważne, czy byliśmy szpiegami w ścisłym znaczeniu tego słowa, czy nie. Jeżeli nie pozwolę mu wyznać wszystkiego zwierzchnikom, nie będzie mógł dalej żyć.

Nie potraktowałem groźby von E. z całą powagą. Miałem nieodparte wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Wetknąłem mu z powrotem list do kieszeni i powiedziałem, żeby oddał go dyrektorowi i poszedł do diabła – było mi zupełnie obojętne, co się stanie.

Taki był koniec mojej z trudem zdobytej pozycji w świecie dziennikarskim, koniec drogi na szczyt drabiny społecznej i początek nowych siedmiu chudych lat. Dzięki historii z von E. nie zostałem zwykłym partyjnym aparatczykiem. Na krótko przed katastrofą Edgar zaproponował, żebym z ramienia aparatu pojechał do Japonii, występując oficjalnie jako korespondent prasowy. Zgodziłem się bez wahania i choć na razie nic z tego nie wyszło, prędzej czy później na pewno czekało mnie takie zadanie. Byłem na razie dyletantem, dryfującym na obrzeżach cyklonu, ale jeszcze kilka tygodni albo miesięcy i nieuchronnie zostałbym wciągnięty w rejony, skąd nie byłoby już powrotu. Wskutek zdemaskowania mnie przez von E. nie tylko straciłem pracę u Ullsteina, ale także przydatność dla aparatu – i to

w sposób, który przekonał Edgara i Schnellera, że zupełnie nie nadają się do konspiracyjnej roboty. Pozbyli się mnie bez ceregieli.

Kilka dni po mojej rozmowie z von E. wydawnictwo zwolniło mnie ze wszystkich stanowisk pod pretekstem redukcji zatrudnienia i zaproponowało wysoką odprawę za zerwanie pięcioletniej umowy. Nie padło ani jedno słowo o von E. ani o partii komunistycznej. Ullsteinom bardzo zależało na uniknięciu skandalu. Partia też go sobie nie życzyła i Edgar kazał mi przyjąć propozycję.

Pauli nigdy więcej nie widziałem, a Edgara tylko raz. Dziewczyna zginęła w Ravensbrück, Edgar, alias Fritz Burde, był podczas wojny szefem placówki wywiadu Armii Czerwonej w Skandynawii i został później zlikwidowany na rozkaz Berii.

Po utracie pracy nic nie wiązało już mnie z mieszczańskim światem. Ponieważ przestałem być przydatny aparatowi, nie musiałem dłużej ukrywać, że należę do partii. Wyprowadziłem się z mieszkania w eleganckiej dzielnicy Neu-Westend i zamieszkałem w kamienicy przy Bonner Platz. Zwano ją Czerwonym Blokiem, ponieważ jego mieszkańcy, w większości pisarze i artyści bez grosza przy duszy, znani byli z lewicowych poglądów. Zapisałem się do lokalnej komórki komunistycznej i mogłem wreszcie prowadzić życie godne członka partii.

Nasza komórka należała do kilku tysięcy podstawowych jednostek siatki komunistycznej w Berlinie i kilkuset tysięcy takich jednostek na całym świecie. Liczyła około dwudziestu członków. Świadomość, że należymy do wielomilionowej, karnej armii, towarzyszyła nam zawsze. Było wśród nas kilku literatów, na przykład Alfred Kantorowicz i Max Schroeder, psychoanalityk Wilhelm Reich, który w 1933 roku wystąpił z partii, kilku aktorów z awangardowego teatru Die Mausefalle, parę dziewcząt z intelektualnymi ambicjami, agent ubezpieczeniowy i kilku robotników. Do naszej komórki należeli w większości intelektualiści, więc miała ona nietypowy charakter; pełniła jednak bardzo typową funkcję.

Prowadziliśmy zarówno legalną, jak nielegalną działalność. Komórka odbywała zebrania raz w tygodniu, ale aktywniejsi członkowie kontaktowali się ze sobą codziennie. Oficjalne zebranie zaczynało się

zawsze od wykładu politycznego, który wygłaszał instruktor z komitetu dzielnicowego partii (albo kierownik komórki według wytycznych otrzymanych z komitetu). Referent przedstawiał stanowisko partii w bieżących kwestiach. Potem odbywała się dyskusja, ale szczególnego rodzaju, bo kiedy partia zajęła stanowisko w jakiejś sprawie, krytykę tego stanowiska uważano za sabotaż. Teoretycznie przed ustaleniem stanowiska partii dyskusja była dopuszczalna, ale w praktyce stanowisko takie zawsze narzucała zwierzchność, bez zasięgania opinii szeregowych członków. Jedno z haseł partii niemieckiej brzmiało: „Na froncie się nie dyskutuje”. Inne głosiło: „Komunista jest zawsze na froncie”. Dlatego podczas wszystkich dyskusji panowała jednomyślność.

W ciągu ośmiu miesięcy 1932 roku w Niemczech, stojących na skraju wojny domowej, odbyły się cztery burzliwe kampanie wyborcze, które przetaczały się przez kraj niczym następujące po sobie trzęsienia ziemi. Najpierw wybory prezydenckie, potem wybory do pruskiego Landtagu i wreszcie dwukrotne wybory do Reichstagu. Braлиśmy udział w tych kampaniach, chodząc od drzwi do drzwi i namawiając mieszkańców do głosowania na naszą listę, rozdając literaturę partyjną i pisząc ulotki. Najcięższym zadaniem było zdobywanie głosów. Robiło się to przede wszystkim w niedzielne poranki, bo wtedy można było zastać większość ludzi w domu. Dzwoniliśmy, wkładaliśmy stopę między framugę a drzwi i wręczaliśmy broszury i ulotki, zapraszając uprzejmie do natychmiastowej dyskusji politycznej. Słowem, sprzedawaliśmy światową rewolucję jak się sprzedaje odkurzacze. Ludzie najczęściej reagowali niechęcią, ale rzadko agresją. Często zatrzaskiwano mi drzwi przed nosem, lecz nikt nie rzucał się na mnie z pięściami. Omijaliśmy jednak tych, o których wiedzieliśmy, że są narodowymi socjalistami. A dobrze znaliśmy nazistów z naszej kamienicy i sąsiednich domów, tak samo jak naziści znali nas; dbały o to nasze rywalizujące ze sobą komórki i służby ochronne. Całe Niemcy, miasta i wsie, pokryte były tymi dwoma rozgałęzionymi i gęstymi siatkami organizacyjnymi.

Podczas długiego upalnego lata 1932 roku toczyliśmy nieustanny bój z narodowymi socjalistami. W Berlinie nie było prawie dnia bez jednej lub dwóch ofiar śmiertelnych. Do potyczek dochodziło głównie

w zadymionych piwiarniach w dzielnicach robotniczych. W jednych zbierali się naziści, w innych my (były to tak zwane *Verkehrslokale*, lokale kontaktowe). Wchodząc do niewłaściwej piwiarni, człowiek wkraczał na terytorium wroga. Od czasu do czasu hitlerowcy ostrzeliwali jeden z naszych lokali. Robili to zgodnie z najlepszymi tradycjami chicagowskiej mafii: banda esamanów przejeżdżała powoli przed witrynami piwiarni, strzelając przez szyby, i pędem odjeżdżała. Ponieważ mieliśmy znacznie mniej samochodów niż nieprzyjacieli, do akcji odwetowych używaliśmy aut kradzionych albo pożyczonych od naszych sympatyków. Akcje te przeprowadzali członkowie RFB (Roter Frontkämpfer-Bund, Związku Czerwonych Weteranów Wojennych). Mój samochód często pożyczali nieznani mi towarzysze. Oddawali go po kilku godzinach bez słowa wyjaśnienia – a ja nie zadawałem żadnych pytań. Miałem małego, otwartego, czerwonego fiata, który oczywiście zupełnie nie nadawał się do celów bojowych; prócz mnie jednak nikt w naszej komórce nie posiadał samochodu. Był to ostatni relikwyt mojej mieszczańskiej przeszłości, który teraz służył proletariackiej rewolucji. Połowę dnia spędzałem za kierownicą, przewożąc ulotki i broszury, śledząc auta nazistów, których numery rejestracyjne przekazali nam informatorzy, i ochraniając naszych ludzi. Kiedyś przewiozłem z dworca do piwnicy pod sklepem warzywnym części do ręcznej prasy drukarskiej.

Kilka tygodni później kanclerz von Papen dokonał puczu: ośmiu policjantów dowodzonych przez porucznika wkroczyło do siedziby rządu Prus i przepędziło ministrów urzędującego socjaldemokratycznego gabinetu. Był to początek końca.

Socjaldemokratyczna Partia Niemiec mająca osiem milionów członków nie kiwnęła palcem. Podporządkowane jej związki zawodowe nie ogłosiły nawet strajku protestacyjnego. Tylko my, komuniści, wezwaliśmy do natychmiastowego strajku generalnego, ale nikt nie posłuchał naszego apelu. Jak papierowy pieniądz w czasach inflacji, nasze hasła nie miały już dla mas żadnej wartości. Po 20 lipca 1932 roku wszyscy z wyjątkiem nas samych wiedzieli, że KPD, najsilniejsza partia komunistyczna w Europie, jest wykastrowanym kolosem, którego wojownicza gadanina ma tylko zamaskować utratę męskości.

Kilka miesięcy później wszystko było skończone. W ciągu paru godzin okazało się, że lata pracy konspiracyjnej i przygotowań do walki były niepotrzebne. W pierwszych dniach po dojściu Hitlera do władzy w starannie przygotowanych kryjówkach aresztowano przewodniczącego KPD Thälmana i większość kierownictwa partii. Pozostali członkowie Komitetu Centralnego udali się na emigrację. Nad Niemcami zapadła długa noc.

* *
*

Rzuciłem się w wir działalności partyjnej z takim samym entuzjazmem i zapamiętaniem jak po przystąpieniu do korporacji studenckiej w Wiedniu. Żyłem w partii, z partią i dla partii. Nie byłem już sam, znalazłem braterską wspólnotę, do której wcześniej tęskniłem. Spełniło się moje marzenie, aby należeć do jakiejś organizacji.

Oddałem się partii duszą i ciałem, ale nie byłem zupełnie ślepy na absurdalne zjawiska zachodzące w moim nowym otoczeniu. Zauważyłem, że polityczni instruktorzy, których komitet dzielnicowy przysyłał na nasze zebrania, wiedzieli tylko o tym, co dzieje się w polityce partyjnej – to znaczy o strajkach, demonstracjach i sprawach związków zawodowych. Nie mieli pojęcia lub nie chcieli uwierzyć, że Brüning, kanclerz z ramienia katolickiej partii Centrum, naprawdę sprzeciwia się Hitlerowi albo że jest różnica między brytyjskimi torysami a niemieckimi narodowymi socjalistami. Demokracja była według nich „zamaskowaną formą dyktatury kapitalistycznej klasy rządzącej”, a faszyzm jej „jawną formą”, ale oba systemy władzy miały taką samą „treść klasową”. Walka polityczna między różnymi „burżuazyjnymi” partiami odzwierciedlała jedynie „wewnętrzne sprzeczności systemu kapitalistycznego”. Uważałem takie poglądy za słuszne, a zarazem niesłuszne. Niesłuszne, bo były prymitywnym uproszczeniem złożonej rzeczywistości; ale ponieważ z historycznego punktu widzenia subtelne różnice nie miały znaczenia, dialektyczny teleskop ukazywał fundamentalną prawdę.

Istniały jednak rzeczy jeszcze trudniejsze do przyjęcia, zwłaszcza z dziedziny języka i literatury. Po przemówieniu wygłoszonym na zebraniu naszej komórki, podczas którego kilka razy użyłem słowa „spontaniczny”, życzliwy towarzysz zwrócił mi uwagę, żebym

w przyszłości unikał tego wyrazu, bo o „spontanicznych przejawach ducha rewolucyjnego” mówi Trocki w swojej teorii rewolucji permanentnej. Towarzysz, który powrócił niedawno ze Związku Sowieckiego, zapoznał mnie z fragmentami odczytu wygłoszonego przez partyjnego instruktora na zebraniu robotniczego kółka literackiego w jednej z fabryk. „Pogląd, że poezja wymaga jakiegoś specjalnego talentu, którzy jedni ludzie mają, a inni nie – wywodził instruktor – to burżuazyjna metafizyka. Sztukę tworzenia poezji można nabyć dzięki nauce i ćwiczeniom, tak jak każdą umiejętność. Potrzebujemy więcej świadomej klasowo poezji proletariackiej; musimy zwiększyć produkcję poezji na froncie literackim. Początkujący adeptci powinni zacząć od pięciu do dziesięciu linijek dziennie, a potem wyznaczyć sobie cel: od dwudziestu do trzydziestu linijek, i stopniowo zwiększać ilość i jakość swojej produkcji”.

Nieco później sam usłyszałem, jak jakiś rosyjski prelegent tłumaczy, że moda na bardzo długie wiersze w Niemczech lat dwudziestych była ideologicznym odbiciem inflacji z jej górami zadrukowanego papieru. Podczas pobytu w Związku Sowieckim ciągle stykałem się z takimi absurdami, ale powtarzałem sobie, że to nie ma znaczenia, że to tylko wzruszający objaw nadgorliwości i entuzjazmu zacofanego narodu, który budzi się z wielowiekowej apatii i ucisku. „Zacofane masy” nie mogły przecież z dnia na dzień dorównać poziomem intelektualnym byłemu redaktorowi prasy Ullsteina.

Po kilku miesiącach działalności w partii moja wiara zaczęła przybierać bardziej giętką i trwałą formę. Wszystko, co mi się nie podobało, uznawałem za „dziedzictwo kapitalistycznej przeszłości”, „nieuchronną dziecięcą chorobę rewolucji” albo „konieczny, lecz tymczasowy środek pomocniczy”.

Istniała jednak granica samooszukiwania się, której nie potrafiłem przekroczyć. Dostosowałem swój język i sposób myślenia do wymagań partii, ale tylko w dziedzinie słowa mówionego. Kiedy zasiadałem do pisania, napotykałem podświadomy opór. Choć byłem doświadczonym dziennikarzem, w ciągu całej komunistycznej kariery nie potrafiłem napisać ani jednego artykułu do prasy partyjnej – nawet wtedy gdy widmo głodu zajrzało mi w oczy. Na początku pisałem ulotki

i broszury na zamówienie naszej komórki, ale choć trzymałem się w nich wiernie linii partyjnej, ich styl zbyt odbiegał od przyjętego szablonu i komitet dzielnicowy nie chciał ich zatwierdzić. Znacznie później, podczas kampanii przed plebiscytem w Zagłębiu Saary w styczniu 1935 roku, zredagowałem jeden numer humorystycznej gazetki partyjnej, ale nie zezwolono na publikację następnych. Mogłem wygłaszać przemówienia zgodne z partyjną ortodoksją i dostosowane do poziomu „zacofanych mas”, kiedy jednak próbowałem pisać w ten sposób, byłem jak sparaliżowany; zaczynałem poprawiać szyk zdań, robiłem kleksy, nie mogłem się skupić i łapałem się na bazgraniu po kartce albo rysowaniu nagiej bogini wznoszącej ku słońcu sierp i młot.

Głęboki i trwały wpływ wywarła na mnie jedna zwłaszcza osobliwość życia partyjnego: kult proletariatu i pogarda dla inteligencji. Bez przerwy powtarzano nam, że przynależność do partii to dla intelektualistów pochodzenia mieszczańskiego wielki przywilej, a nie prawo. Jesteśmy tolerowani, bo w okresie przejściowym partia potrzebuje inżynierów, lekarzy, uczonych i literatów z okresu przedrewolucyjnego. Ale zasługujemy na tyle samo zaufania i szacunku, ile w hitlerowskich Niemczech tak zwani pożyteczni Żydzi, którzy po zakończeniu krótkiego okresu swojej „przydatności” podzielą los reszty rodaków. Pochodzenie społeczne rodziców i dziadków miało takie samo znaczenie w państwie komunistycznym, jak pochodzenie rasowe pod rządami nazistów. Dlatego intelektualiści komunistyczni pochodzący ze sfer mieszczańskich starali się na wszelki sposób upodobnić do proletariuszy. Nosili zgrzebne golfy, nie czyścili paznokci, mówili po robotniczemu. Jeden z naszych niepodważalnych dogmatów głosił, że członkowie klasy robotniczej, bez względu na poziom inteligencji i wykształcenia, mają „słuszniejszy” niż intelektualiści pogląd na każde zagadnienie polityczne. Miało to wynikać z właściwego im instynktu politycznego, który zawdzięczali swojej świadomości klasowej. Naziści również przeciwstawiali „zdrowy i naturalny instynkt rasowy” – „niszczącej przebiegłości żydowskiej”.

Robotnicy, z którymi zetknąłem się podczas działalności w partii, mówili powoli, wysławiali się w sposób naturalny i zachowywali się na ogół bezpretensjonalnie i swobodnie. Dopiero znacznie później

przekonałem się, że kierowca ciężarówki albo monter może być tak samo neurotyczny jak krytyk literacki, brakuje mu tylko słów i pojęć, aby wyrazić swoje stany ducha. Wydawało mi się wtedy, że robotnicy z naszej komórki partyjnej to silni, milczący, twardzi i sympatyczni ludzie, którzy z wyroku historii przejmą rządy nad światem z rąk zgniłej burżuazji, a poza tym są duchowo zdrowsi i mocniejsi od przemądrzałych pozerów w moim typie. Słowem, świadomy klasowo proletariusz był marksistowskim odpowiednikiem russowskiego szlachetnego dzikusa, nietzscheańskiego nadczłowieka, hitlerowskiego *Blut- und Bodenmenscha* i stał się swoistym zbiorowym superego komunistycznej inteligencji.

Poza komórką partyjną, która stała się całym moim światem, miałem teraz niewielu przyjaciół i znajomych, a nawet oni byli komunistami albo sympatykami komunizmu. Z innymi ludźmi nie miałem już o czym rozmawiać. Nadchodziła epoka totalitarna, wszystkie stosunki stały się spolaryzowane i napięte. Przypominało to rekwirowanie prywatnych telefonów w strefie przyfrontowej. Możliwości kontaktu między ludźmi nieustannie malały.

Spośród intelektualistów komunistycznych, którzy cieszyli się największą sławą w Berlinie czasów przedhitlerowskich, najbardziej lubiłem kompozytora Hannsa Eislera. Nie wdawał się on w żadne polityczne intrygi i udawało mu się trzymać z dala od wszystkich wstrząsów i burz życia partyjnego, co zakrawało wręcz na cud. Ponieważ muzyka ma jeszcze mniej wspólnego z polityką niż literatura i malarstwo, kompozytorów w tym czasie wciąż zostawiano we względnym spokoju; Komitet Centralny partii sowieckiej zmasowaną nagonkę na Szostakowicza i formalistów rozpętał dopiero dwadzieścia lat później. Sympatyczny Hanns był łysym człowieczkiem o twarzy jak księżyc w pełni, miał wielkie poczucie humoru i potrafił żartować z samego siebie. Bardzo lubiłem słuchać, jak rąbie na fortepianie swoje rewolucyjne pieśni i śpiewa je chrapliwym głosem. Pieśni te: *Der Marsch der Arbeitslosen* (Marsz bezrobotnych), *Hymne auf die Komintern* (Hymn do Kominternu) i tak dalej, do których słowa napisał Johannes Becher albo Erich Weinert, były zarazem sentymentalne, zagrzewające do walki i dydaktyczne. Tylko one spośród dzieł sztuki

popularnej, które stworzył europejski ruch komunistyczny, zdobyły powodzenie i dały początek rewolucyjnemu folklorowi.

Najmodniejszym poetą w kręgu snobów i salonowych komunistów tego okresu był Bertolt Brecht. Nie zetknąłem się z nim osobiście, ale nie sposób oddać atmosfery ostatnich dni republiki weimarskiej, nie poświęcając mu choćby kilku słów. Jego sztuki zyskały znacznie większą popularność niż eksperymentalne dramaty duetu Auden–Isherwood w Wielkiej Brytanii. Do jednych napisał muzykę Hanns Eisler, do innych Kurt Weill. Muzyka ta pełna była melodii wpadających w ucho, łatwych do nucenia, przez swój sentymentalizm podobnych do niemieckiej ballady, ale wskutek dysonansowej, nowoczesnej instrumentacji pobrzmiwało w nich wyrafinowane szyderstwo. Widz wzruszał się, a jednocześnie miał pełne ironii poczucie wyższości. Na tym dwuznacznym tle muzycznym podawano tekst znakomity literacko, ale na wskroś fałszywy pod względem intelektualnym.

Opera za trzy grosze, największy sukces Brechta, stanowiła współczesną parafrazę *Opery żebraczej* Johna Gaya. Była to dramaturgiczna zgrywa intelektualisty epatującego mieszczan scenami z życia złodziei i prostytutek. Jeden z refrenów, wyrażający w krótkim zdaniu przesłanie autora, stał się słynnym powiedzeniem w przedhitlerowskich Niemczech: „Najpierw żarcie, a potem moralność” (*Denn erst kommt das Fressen, und dann kommt die Moral*).

Motyw przewodni innego bardzo popularnego utworu Brechta, sztuki dydaktycznej *Człowiek jak człowiek*, też można sprowadzić do jednego zdania: „Do diabła z jednostką”. Z pułku znika żołnierz, zamiast którego wcielają do szeregów jakiegoś mężczyznę złapanego na ulicy. Różnicy nie ma żadnej, bo każdego człowieka można zastąpić innym: „Słońcu wszystko jedno, na kogo świeci”.

Mimo posępnej wymowy sztuki Brechta podbiły publiczność dzięki wybitnemu talentowi lirycznemu autora, melodyjnym piosenkom, a przede wszystkim swojej stylizowanej i egzotycznej scenerii, bo rozgrywały się w Alabamie, Chinach, Indiach, rzeźniach Chicago, królestwie zmarłych. Niektóre piosenki zaczerpnął Brecht z Kiplinga, inne z Villona, nie podając jednak źródła. Kiedy czołowy krytyk

niemiecki wytknął mu plagiat, odpowiedział wyniośle, że tak jak w ekonomii nie uznaje w literaturze własności prywatnej. Postępowa inteligencja uznała tę deklarację za niezwykle oryginalną i śmiałą.

Apogeum literackiej kariery Brechta, a jednocześnie najbardziej znamienne dzieło sztuki w całej literaturze komunistycznej, to dramat *Die Maßnahme* (Decyzja). Moim zdaniem historycy w przyszłych stuleciach będą go uważać za wzorcowy przykład literackiej apologii pogardy dla człowieka.

Sztuka ma postać rozprawy sądowej. Trzech agentów Kominternu wraca z tajnej misji w Chinach i wyjaśnia przed trybunałem partyjnym, dlaczego musieli zabić swego młodego towarzysza i wrzucić jego ciało do dołu z wapnem. Dramat, napisany w 1931 roku, jest proroczą przepowiednią moskiewskich procesów pokazowych, które rozpoczną się pięć lat później. Młody towarzysz symbolizuje bolszewicką starą gwardię, którą trzeba wymordować i wrzucić do dołu z wapnem, ponieważ zachowała resztki człowieczeństwa, a jej „serca biją dla rewolucji”.

Niektóre sceny sztuki mają w sobie surowy majestat księżycowego krajobrazu, inne sprawiają wrażenie zjadliwej parodii komunistycznej doktryny. Jednakże ani autor, ani aktorzy i widzowie nigdy nie traktowali utworu jako parodii. Cechuje go nieludzka logika typowa dla wizji schizofrenika; i gdy uzna się dwa podstawowe założenia, że partia ma zawsze rację i że cel uświęca środki, jego pozornie proroczy charakter staje się jedynie logiczną konsekwencją tych założeń.

W swojej znakomitej analizie twórczości Brechta Herbert Lüthy napisał, że tym byłym anarchistą i skrajnym liberałem kierowała nie miłość do „ruchu robotniczego – którego nigdy nie znał – ale głębokie pragnienie totalnego autorytetu, totalnego podporządkowania się totalnej władzy, nowemu bizantyńskiemu Kościołowi państwowemu – niezmiennemu, hierarchicznemu, ufundowanemu na nieomyślności władcy”^[7].

Ogromne powodzenie sztuk Brechta było objawem samobójczych tendencji niemieckiej demokracji. Główną rolę w jego najśłynniejszej sztuce, *Operze za trzy grosze*, grała wybitna aktorka, Carola Neher, jego kochanka, muza i najbliższa przyjaciółka. Kilka lat później

wyemigrowała do Związku Sowieckiego i podzieliła los „młodego towarzysza” z *Die Maßnahme*. Brecht nawet nie zaprotestował. Pozostał wierny partii i swemu wyznaniu wiary: „Wytarżaj się w błocie i uściśnij swego kata”.

* *
*

Czekałem na wizę sowiecką. Niedługo po utracie posady poprosiłem partię o zgodę na emigrację. Zgoda taka była rzadkim przywilejem, ponieważ każdy komunista miał obowiązek pracować dla rewolucji w swoim kraju. Nadal jednak cieszyłem się pewną sławą jako liberalny dziennikarz (powodów mojego odejścia z wydawnictwa Ullstein nie znano publicznie) i partia pragnęła to wyzyskać. Zdecydowano, że pojedę do Związku Sowieckiego i napiszę cykl artykułów o pierwszej pięciolatce; miałem przy tym udawać, że wciąż jestem reporterem prasy burżuazyjnej. Podpisałem umowę z agencją literacką Carl Duncker Verlag, która zawarła kontrakt na druk moich artykułów z około dwudziestoma gazetami z różnych krajów Europy. Ale mijały miesiące, a wiza nie było.

Tymczasem musiałem z czegoś żyć. Odprawę, którą wypłacił mi Ullstein, posłałem rodzicom; miała im wystarczyć na dwa albo trzy lata, czyli do zwycięstwa rewolucji. Zostawiłem sobie tylko tyle, żeby starczyło na bilet do Moskwy, bo optymistycznie zakładałem, że gdy partia zgodzi się na mój wyjazd, wizę dostanę od ręki. Na szczęście udało mi się za dość okrągłą sumkę sprzedać powieść detektywistyczną w odcinkach gazecie „Münchner Illustrierte Presse”; poza tym nadal współpracowałem z „Vossische Zeitung”, choć moi dawni chlebodawcy wiedzieli, iż jestem komunistycznym agentem. Fakt, że było to możliwe, należał do sympatycznych paradoksów burżuazyjnego liberalizmu, którym tak gardziłem.

Zapewne do tej pory czekałbym na wizę, gdyby Johannes R. Becher nie przyjechał w tym czasie z Moskwy.

Becher, nadworny poeta komunistyczny, przewodniczył Związkowi Niemieckich Pisarzy Proletariacko-Rewolucyjnych. Zaprzyjaźniliśmy się i Becher załatwił mi oficjalne zamówienie z MORP (Międzynarodowe Obiedinienie Riewolucyjnych Pisatielej, Międzynarodowe Zrzeszenie Pisarzy Rewolucyjnych), na książkę

o Związku Sowieckim pod roboczym tytułem: „Rosja oczami mieszczanina”. Miałem więc z grubsza napisać to samo, co w cyklu artykułów dla Dunckera: pan K., korespondent prasy liberalnej, zaczyna podróż uprzedzony do komunizmu, ale pod wrażeniem wyników pięciolatki stopniowo zmienia poglądy i kończy jako przyjaciel i admirator Związku Sowieckiego. Ponieważ MORP był *de facto* agendą Kominternu, a Becher zajmował tam wysokie stanowisko, w końcu otrzymałem wizę.

Zawsze mieszkałem w hotelach albo umeblowanych mieszkaniach, miałem więc mało rzeczy osobistych; moje ulubione książki zmieściły się w jednym dużym pudle. Wciąż jednak miałem samochód, który oddał nam wiele cennych usług. W partii nazywano go pieśczośliwie Gretchen. Któregoś dnia Becher zapytał mnie, czy przed wyjazdem zamierzam sprzedać Gretchen. Odparłem, że chciałbym zostawić go partii.

– Partia – rzekł na to Becher – to wielka organizacja. Niemiecka filia MORP jest jej częścią. Dlatego logicznie byłoby zostawić Gretchen nam.

Zgodziłem się, że tak będzie logicznie. Ponieważ Becher przewodniczył niemieckiej filii MORP, było też logiczne, że to on zaopiekował się Gretchen i kilka dni po moim wyjeździe do Rosji pojechał nim do Schwarzwaldu szukać natchnienia. W podziękę załatwił mi umowę z rosyjskim Gosizdatem przewidującą trzy tysiące rubli zaliczki na poczet honorarium za książkę. Ta przyjacielska transakcja uświadomiła mi, że sytuacja pisarza w Związku Sowieckim zależy całkowicie od opinii, jaką cieszy się on w partii.

Pod koniec lipca 1932 roku byłem wreszcie gotów pożegnać świat mieszczański i ruszyć w podróż do Ziemi Obietnicy. Republika weimarska miała jeszcze przed sobą pół roku istnienia. Minęło też właśnie sześć i pół roku od mojego wyjazdu do Ziemi Obiecanej, Palestyny. Czulem taką samą euforyczną radość, że spaliłem za sobą mosty, i z tym samym gorączkowym podnieceniem oczekiwałem podróży do krainy utopii. Dopiero po wielu latach zrozumiałem, że niespokojny obieżyświat pragnie tylko jednego: uciec od samego siebie.

Początek podróży

Moim pierwszym celem była nie Moskwa, lecz Charków, ówczesna stolica Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. W mieście tym miałem przyjaciół: Alexandra Weissberga i jego żonę Evę Stricker, którzy zaprosili mnie do siebie. Chcieli, abym u nich pomieszkał, dopóki nie oswoję się trochę z nowym otoczeniem.

Eva, ciemnowłosa, prześliczna, była malarką i projektantką ceramiki artystycznej. Znałem ją od dzieciństwa. W *The God that Failed* występuje pod prawdziwym imieniem, a w innej mojej książce pod pseudonimem. Alex był fizykiem i członkiem Komunistycznej Partii Austrii. Poznałem go w berlińskim atelier Ewy, zanim jeszcze się pobrali i wyjechali do Związku Sowieckiego, gdzie objął ważne stanowisko naukowe. Nie mogłem wówczas przewidzieć, że czekają ich długie lata uwięzienia i cierpień.

Mój obraz Rosji ukształtowała całkowicie sowiecka propaganda. Wyobrażałem ją sobie jako super-Amerykę, kraj realizujący największe przedsięwzięcie w dziejach, tętniący pracą, życiem, entuzjazmem. Mottem pierwszej pięciolatki było „dogonienie i prześcignięcie” Zachodu. Zadanie to wykonano w ciągu zaledwie czterech lat. Na granicy miałem „wsiąść do pociągu w dwudziesty pierwszy wiek”, jak obiecywało inne hasło.

Kilka drobnych zdarzeń z tej podróży nie zatarło mi się pamięci nawet po dwudziestu latach. Najpierw kontrola celna na granicznej stacji Szepetówka. Ponieważ jako dziennikarz wcześniej dużo podróżowałem, poznałem kontrolę graniczną w prawie wszystkich krajach europejskich i kilku azjatyckich. Ale kontrola celna w Szepetówce była jedyna w swoim rodzaju. Wszędzie indziej funkcjonariusze służby celnej wkładali ręce do walizki, przesuwali je wzdłuż ścianek i po dnie albo wyjmowali taki czy inny przedmiot, aby go bliżej obejrzeć. Natomiast sowieccy celnicy wypakowywali całą zawartość każdej walizki i wszystkie rzeczy rozrzucali po kontuarach i brudnej podłodze. Rozwijali każde opakowanie, otwierali każde pudełko z czekoladkami albo spinkami do koszul, przeglądali każdą książkę i każdy dokument.

Potem pakowali wszystko z powrotem. Trwało to pół dnia. Pasażerowie nie mogli czekać w pociągu stojącym na stacji, bo w tym czasie tak samo metodycznie przeszukiwano puste przedziały.

Pociągiem podróżowali w większości Rosjanie, wiozący ze sobą przede wszystkim żywność. Setki funtów cukru, herbaty, masła, kiełbas, słoniny, herbatników i konserw piętrzyło się na kontuarach i podłodze baraku, w którym mieścił się Urząd Celny. Zdumiały mnie twarze celników: malowała się na nich pożądlivość i rezygnacja. Wiedziałem, co to głód; sposób, w jaki głodny człowiek obraca w rękach pęto kiełbasy – z nabożnym szacunkiem i smutkiem w oczach – nie da się z niczym pomylić.

Pociąg jechał powoli przez ukraiński step, posapując i często stając. Na każdej stacji czekał na nas tłum chłopów w łachmanach, proponujących ikony i obrusy za bochenek chleba. Kobiety podnosiły do okien małe dzieci – z kończynami jak patyczki, wzdętymi brzuchami, wielkimi główkami kiwającymi się na chudych szyjach. Przyjechałem do Rosji u szczytu klęski głodowej z lat 1932–1933, która wyludniła całe rejony i pochłonęła kilka milionów ofiar, a o której nic nie wiedziałem. Władze utrzymywały katastrofę w tajemnicy przed światem. Sceny, które powtarzały się na każdej stacji wzdłuż trasy mojej podróży, dały mi o niej pewne pojęcie, ale nie pozwoliły zrozumieć jej przyczyn ani rozmiarów. Moi rosyjscy towarzysze podróży usilnie przekonywali mnie, że ci biedni ludzie byli kułakami, bogatymi chłopami, którzy sprzeciwiali się kolektywizacji, trzeba ich więc było wypędzić ze wsi.

Kiedy pociąg zbliżał się do mostu na rzece, przez korytarz przeszedł konduktor z kawałkami tektury pod pachą i pozasłaniał nimi wszystkie okna. Na pytanie, dlaczego to robi, moi towarzysze podróży odpowiedzieli z uśmiechem, że mosty są obiektami wojskowymi, więc nie można pozwolić, aby ktoś je sfotografował. Zetknąłem się później z wieloma równie groteskowymi zdarzeniami, które zanotowałem sobie jako przykłady rewolucyjnej czujności.

Następną niespodziankę przeżyłem w Charkowie. Moi przyjaciele nie wyszli po mnie na dworzec. Chciałem do nich zadzwonić, ale okazało się, że jedyny telefon na głównym dworcu kolejowym w Charkowie jest zepsuty. Zamiast taksówek były tylko konne dorożki,

jakby prosto z opowiadań Czechowa. W końcu udało mi się odnaleźć mieszkanie Weissbergów. Telegram, który wysłałem przed wyjazdem z Berlina, dotarł osiemnaście godzin po mnie. W 1932 roku listy w Rosji szły często po kilka tygodni, telegramy kilka dni, a telefoniczne rozmowy międzynarodowe należały do wyłącznych przywilejów wysokich urzędników partyjnych i państwowych.

Na to brutalne zderzenie złudzeń z rzeczywistością zareagowałem w sposób typowy dla prawdziwego wyznawcy. Byłem zdziwiony i dezorientowany, ale amortyzatory ideologii partyjnej zaczęły działać natychmiast. Choć miałem oczy do patrzenia, mój wyćwiczony w dialektyce umysł zdołał wytłumaczyć wszystko zgodnie z doktryną. Ten „wewnętrzny cenzor” działał skuteczniej i pewniej niż wszelka oficjalna cenzura.

Weissbergowie zajmowali niewielkie, ale jak na sowieckie warunki luksusowe mieszkanie, należące do Ukraińskiego Instytutu Fizyczno-Technicznego, w którym pracował Alex. Nowe fabryki, uczelnie i ośrodki badawcze miały własne domy mieszkalne, a wiele z nich nawet własne gospodarstwa lub działki przyzagrodowe. Dlatego ich pracownicy byli całkowicie uzależnieni od swoich posiadłości. Mieszkanie składało się z trzech pokoi, które zajmowali Alex, Eva i jej matka. Weissbergowie często gościli też u siebie fizyków z zagranicy.

Mieszkałem u nich przez mniej więcej dwa tygodnie, a potem wyruszyłem w swoje liczne podróże po kraju, ale jeszcze kilka razy wracałem do tej przyjaznej i wygodnej przystani. Nie przeczuwaliśmy, jaki los czeka Weissbergów. Poznałem wielu kolegów Aleksa, między innymi czołowych fizyków sowieckich. Gdyby jakiś prorok szepnął nam do ucha, że przyjdzie czas, gdy ludzie ci oskarżą Weissberga o współpracę z gestapo i działalność terrorystyczną, uznalibyśmy go za wariata.

Podczas tego pierwszego pobytu odwiedziłem charkowskie fabryki i kluby robotnicze. Po rosyjsku mówiłem niegrammatycznie, ale dość płynnie. Podczas ostatnich czterech miesięcy w Berlinie uczyłem się rosyjskiego tą samą przyspieszoną metodą, dzięki której przed wyjazdem do Palestyny opanowałem nowohebrajski. Moje słownictwo składało się z około tysiąca słów, którymi zonglowałem tak jak portierzy hotelowi

i przewodnicy wycieczek, nie przywiązując wagi do gramatyki. Dzięki temu mogłem poruszać się samodzielnie, jeździć tramwajami, robić zakupy i rozmawiać z ludźmi na ulicach. Jedynymi środkami komunikacji publicznej w Charkowie były staroświeckie tramwaje elektryczne, które kursowały co dwadzieścia, trzydzieści minut. W środku tłoczyło się trzy razy więcej pasażerów, niż powinno, a ci, którzy nie zmieścili się w wagonie, wisieli na zewnątrz w akrobatycznych pozach. Dosłownie oblepiali stopnie, zderzaki, okna i dach. Podczas pierwszej podróży takim tramwajem skradziono mi nie tylko portfel, który trzymałem w tylnej kieszeni spodni, ale papierosy z zewnętrznej kieszeni marynarki i wieczne pióro z wewnętrznej. Ścisk w tramwaju był taki, że mogliby mi odciąć nogawki, a nic bym nawet nie poczuł. Nagminny tłok w środkach komunikacji, biurach i innych miejscach publicznych sprawiał, że Rosja była rajem dla kieszonkowców, którzy osiągnęli nieznane nigdzie indziej mistrzostwo. Rekrutowali się głównie z szeregów *biezprizornych*, bezdomnych sierot, od czasu wojny domowej grasujących po kraju jak szarańcza.

W 1932 roku w Charkowie można było kupić bez trudu tylko lep na muchy, prezerwatywy i znaczki pocztowe. Sklepy spółdzielcze, które miały zaopatrywać ludność w podstawowe artykuły, świeciły pustkami. Względnie obfity wybór towarów w moim uprzywilejowanym sklepie dla gości zagranicznych wprowadził mnie w błąd i dopiero znacznie później zdałem sobie sprawę ze skali głodu na Ukrainie. Jednakże brak towarów rzucił mi się w oczy już pierwszego dnia. Nigdzie nie można było kupić butów ani ubrań, papieru do pisania, kalki, grzebieni, szpilek do włosów, gwoździ, garnków, patelni ani nawet igieł do prymusa, nieodzownych do czyszczenia dysz maszynki do gotowania używanej przez wszystkich Rosjan. Później, kiedy przez kilka zimowych miesięcy w Charkowie nie było prądu, w sklepach zabrakło też nafty będącej paliwem do prymusów.

Gdy w jakimś sklepie pojawił się towar, wiadomość o tym rozchodziła się błyskawicznie i wszyscy biegli na zakupy – wszystko jedno, czy chodziło o szczoteczki do zębów, dropsy, papierosy, knoty czy patelnie. Widząc kolejkę przed sklepem, ludzie szybko stawali na jej końcu. Często, gdy kolejka była długa i zakreślała na rogu ulicy, stojący

na końcu nie wiedzieli, „co rzucili”, i bawili się w zgadywanie albo dla żartu rozpuszczali plotki. Szybko polubiłem ten sport i już drugiego dnia w Związku Sowieckim przyniosłem do domu jako zdobycz organki i butelkę wywabiacza plam, który wypalił dziurę w najlepszym garniturze Aleksa.

Mniej zabawny, bo na jego widok żałość ścisnęła gardło, był bazar znajdujący się na wielkim, pustym placu. Ludzie, którzy mieli coś do sprzedania, kucali w ulicznym kurzu i rozkładali swoje towary na chustce albo innym kawałku materiału. Towarem mogła być garść zardzewiałych gwoździ, podarta kołdra bądź zsiadłe mleko sprzedawane na łyżki razem z muchami. Jakaś staruszka mogła siedzieć godzinami, żeby sprzedać jedną pisanekę albo mały kawałek zeschniętego koziego sera. Staruszek z gołymi owrzodzonymi nogami próbował wymienić swoje podarte buty na kilo czarnego chleba i paczkę machorki. Częstym przedmiotem wymiany były łapcie, a nawet podeszwy i obcasy oderwane od butów i zastąpione kłębkami szmat. Niektórzy staruszkowie nie mieli nic do sprzedania; śpiewali ukraińskie dumki i czasami rzucano im po kopiejce. Widziało się sporo kobiet z niemowlętami, które kładły obok siebie na chodniku albo na kolanach, aby je nakarmić. Wydawało się, że usta tych dzieci, rojące się od much, ssą żółć zamiast mleka. Zaskakująco wielu mężczyzn cierpiało na choroby oczu: jeden miał zeza, drugi zmętniałą źrenicę, trzeci był pozbawiony całego oka. Prawie wszyscy mieli spuchnięte ręce i nogi; również ich twarze były raczej obrzękłe, a nie wychudzone, a ich barwę określił kiedyś piszący o więźniach Tołstoj jako „odcień kiełków ziemniaków przechowywanych w piwnicy”.

Bazar w Charkowie przedstawiał jeden z tych widoków, który można namalować z pamięci nawet po dwudziestu latach. Według oficjalnej wersji wszyscy ci ludzie byli kułakami, którym za karę odebrano gospodarstwa. W rzeczywistości byli to zwykli chłopci, których głód wygnał ze wsi. Po zeszłorocznych żniwach miejscowi funkcjonariusze partyjni, starając się dostarczyć wymaganą ilość zboża, odebrali chłopom nie tylko całe zbiory, ale też ziarno siewne i w nowo utworzonych gospodarstwach kolektywnych nie miano czym siać. Bydło i drób chłopci woleli wyrzucić niż oddać do kołchozu. Kiedy więc zjedli

ostatnie ziarno z ukrytych zapasów, porzucili ziemię, która nie należała już do nich. Całe wsie zostały opuszczone, wyludniły się całe rejony. Oprócz pięciu milionów kułaków deportowanych według oficjalnych danych na Syberię, po kraju tułało się kilka milionów innych chłopów. Zapełniali stacje kolejowe, tłoczyli się w pociągach towarowych, wegetowali na targowiskach i placach i umierali na ulicach. Nigdy nie widziałem tylu pospiesznych pogrzebów co podczas tamtej zimy w Charkowie.

Oficjalnie żadnego głodu nie było. Mówiono tylko o „trudnościach na froncie kolektywizacji”. „Trudności” to jedno z najczęściej używanych słów w sowieckim języku potocznym. Służyło do bagatelizowania klęsk, które pomniejszano w takiej samej mierze, w jakiej wyolbrzymiano osiągnięcia. Obywatel sowiecki od razu rozumiał, iż „gigantyczne zwycięstwo sił rewolucyjnych w Wielkiej Brytanii” oznacza, że na brytyjskich komunistów padło o pół procenta więcej głosów, natomiast wiadomość o „pewnych trudnościach na odcinku ochrony zdrowia w Birobidżanie” – że szaleje tam cholera.

Próbując zrozumieć życie codzienne w totalitarnym państwie, należy wystrzegać się uproszczeń. W okresie poprzedzającym zabójstwo Kirowa w 1934 roku, które rozpętało terror, mieszkańcy Związku Sowieckiego nie żyli w stanie permanentnego strachu, odczuwali raczej niepewność i niejasne obawy. Nieostrożna uwaga zwykle nie pociągała jeszcze za sobą natychmiastowej kary. Obywatel wiedział tylko, że jego słowa zostaną zapisane w aktach i że pewnego dnia, może za rok, a może za dziesięć lat, kiedy narazi się komuś w pracy, wda się w romans z zazdrosną kobietą, albo gdy sąsiadowi spodoba się jego mieszkanie, GPU wykorzysta przeciwko niemu każdą nieprawomyślną rozmowę i każdą podejrzaną znajomość. Innymi słowy, obywatel sowiecki nie miał większych powodów do strachu przed władzami niż katolik przed dniem Sądu Ostatecznego – tyle że GPU działało za jego życia i że nie mógł liczyć na spowiedź i odpuszczenie grzechów.

W 1932 roku w gronie przyjaciół wciąż można było usłyszeć nieprawomyślny żart. Aby zrozumieć przytoczony niżej przykład, trzeba wiedzieć, że przed swoim zesłaniem Trockie opowiadał się za obciążeniem chłopstwa kosztami rozwoju przemysłu, a Bucharin

chciał iść na ustępstwa wobec chłopów kosztem robotników. Podczas przyjmowania do partii kandydat musiał odpowiedzieć na szereg pytań. Oto właściwe odpowiedzi na nie:

Pytanie: Czym należy tłumaczyć, że żywność jest w mieście, ale nie ma jej na wsi?

Odpowiedź: Odchyleniem lewicowo-trockistowskim.

Pytanie: Czym należy tłumaczyć, że żywność jest na wsi, ale nie ma jej w mieście?

Odpowiedź: Odchyleniem prawicowo-bucharinowskim.

Pytanie: Czym należy tłumaczyć, że żywności nie ma ani w mieście, ani na wsi?

Odpowiedź: Właściwą realizacją generalnej linii partii.

Pytanie: A czym należy tłumaczyć, że żywność jest i na wsi, i w mieście?

Odpowiedź: Krwiożerczym kapitalizmem.

Obywatel sowiecki żył w ciągłej obawie przed wysłaniem w delegację służbową do jakiegoś odległego zakątka kraju – na Ural, Syberię Wschodnią albo do Kazachstanu. Niekoniecznie była to kara, taki los mógł spotkać praktycznie każdego – na dowolnym stanowisku i dowolnego dnia. Delegacja to polecenie służbowe, a w gospodarce centralnie zarządzanej każdy obywatel jest pracownikiem państwowym.

Delegacja mogła być stała lub czasowa. Wielu wysokich urzędników – z administracji, przemysłu, oświaty, wydawnictw – stale podróżowało w delegacji. Jednym z powodów tego zjawiska było powolne i niepewne funkcjonowanie poczty, łączności telegraficznej i telefonicznej. Sprawy ważne i skomplikowane mogły być załatwione tylko osobiście. W całkowicie scentralizowanym państwie władze lokalne nie mogły podejmować ważniejszych decyzji bez zgody wyższych instancji. Dlatego na prośbę o spotkanie z wysokim przedstawicielem władz na prowincji słyszało się najczęściej, że wyjechał on w delegację i wróci w przyszłym tygodniu albo dopiero za dwa tygodnie.

Na tej podstawie można by sądzić, że podróżowanie było w Związku Sowieckim sprawą prostą. Nic bardziej mylnego. Teoretycznie w owym czasie obywatel sowiecki miał jeszcze prawo

poruszać się po kraju bez ograniczeń. W praktyce jednak z powodu niewiarygodnego przeciążenia wszystkich środków transportu podróżować mogli tych ci, którzy mieli zarezerwowany bilet. Podróżni bez takiego biletu musieli stać w kolejkach do kasy – przez kilka godzin albo kilka dni, zależnie od okoliczności. A zdobywszy już bilet, musieli czekać na stacji, znów przez wiele godzin albo dni, na pociąg towarowy albo pasażerski, który zawiezie ich do następnego węzła kolejowego. Dlatego w całej Rosji na stacjach kolejowych koczowały miliony ludzi. Siedzieli cierpliwie i bez słowa skargi na brudnych peronach i w poczekalniach wśród swoich tobołów z pościelą i innymi manatków. Były to czasy wielkiego przełomu, nazwane oficjalnie „nomadyzmem w rolnictwie i przemyśle”. Klęska głodu zamieniła dużą część ludności w kolejowych koczowników, którzy przemierzali tysiące kilometrów, bo słyszeli, że w jakimś miejscu panują lepsze warunki.

Szybkość, z jaką uprzywilejowani obywatele otrzymywali rezerwację kolejową, zależała od „siły” ich organizacji – czyli departamentu, trustu, fabryki, gospodarstwa państwowego albo innej instytucji, w której pracowali. Absolutny priorytet miało GPU, po nim szła partia, dalej administracja rządowa, armia, przemysł ciężki, przemysł metali lekkich, przemysł artykułów konsumpcyjnych, związki zawodowe, ośrodki badawcze itd., mniej więcej w takiej właśnie kolejności. Podobny system priorytetów stosowały wydziały lokalowe rad miejskich, zajmujące się przydziałem mieszkań, pokoiów i łóżek w pokojach, a także centralny zarząd hoteli przydzielający urzędnikom w delegacji miejsca w pokojach hotelowych. Ten sam system decydował o przynależności obywatela do spółdzielni spożywczej i o tym, czy ma on prawo wstępu na jakiś spektakl teatralny.

Kiedy obywatel sowiecki ubiegał się o jakiś towar lub świadczenie, od biletów kolejowych do kartek na żywność, pierwsze pytanie brzmiało zawsze: „Jaka jest wasza organizacja?”. Prawa i przywileje obywatela zależały całkowicie od miejsca, jakie zajmowała jego organizacja w piramidzie społecznej, i od jego rangi w tej organizacji. Nie było chyba dotąd społeczeństwa o tak ściśle zhierarchizowanej strukturze, całkowicie decydującej o pozycji socjalnej i aktywności życiowej człowieka.

Z przedrewolucyjnej literatury rosyjskiej znamy takie na przykład charakterystyki postaci: „Iwan Iwanowicz Gołupczin, urzędnik trzynastej rangi”. Tradycyjny system rang, poprzednio ograniczony do administracji i wojska, objął teraz cały naród, a każdy obywatel znał swoje dokładne miejsce w piramidzie, mimo że oficjalnie nie nosił żadnej rangi.

Inna osobliwość tego hierarchicznego systemu polegała na tym, że każda degradacja, każdy krok w dół był ostateczny i nieodwołalny. W innych krajach ludzie raz są na wozie, raz pod wozem. W Związku Sowieckim bardzo niewielu polityków, biurokratów, uczonych, pisarzy albo artystów odzyskało dawną pozycję, gdy raz zaczęło zsuwać się w dół piramidy.

Autor bez stałej posady zajmował miejsce u dołu sowieckiej hierarchii. Ja jednak miałem swoją „organizację” – MORP – która jako związana z Kominternem znajdowała się mniej więcej w połowie piramidy. Byłem ponadto członkiem partii, co poprawiało moją pozycję – lecz tylko niemieckiej, a nie rosyjskiej, co ją pogarszało. Miałem też przy sobie list z AGITPROP EKKI (wydziału agitacji i propagandy Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej), co znów stawiało mnie znacznie wyżej.

Listy polecające zastępowały w Związku Sowieckim paszport i na ich podstawie podróżujący obywatel otrzymywał zezwolenia, przydział na nocleg, kartki itd. Dlatego listy te bardzo starannie sformułowano i nadawano im określoną kategorię, aby było jasne, jakie przywileje przysługują okazicielowi. Miałem „mocny” list podpisany przez towarzyszkę Gopnier, kierowniczkę AGITPROP EKKI. Było w nim napisane, że jestem delegatem Związku Proletariacko-Rewolucyjnych Pisarzy Niemieckich i podróżuję z upoważnienia Kominternu.

Byłem też korespondentem zagranicznym kilku dużych gazet burżuazyjnych, akredytowanym w tym charakterze przy wydziale prasowym sowieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Dzięki temu zajmowałem jedno z najwyższych miejsc niejako po drugiej stronie piramidy. Miałem prawo do zakwaterowania w hotelu Inturistu, jeśli w danym mieście był taki, do podróżowania pociągami „miękką klasą”

i do kupowania żywności w INSNAB, sklepach spółdzielczych dla korpusu dyplomatycznego, zagranicznych dziennikarzy i doradców technicznych. Nie podobały mi się te burżuazyjne przywileje, ale ponieważ podróżowałem przez odległe i dotknięte klęską głodu regiony kraju, często tylko dzięki nim miałem co jeść i gdzie spać.

Pilnowałem się, aby nie pokazywać swojej legitymacji z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w siedzibach partii i fabrykach, które odwiedzałem, ani nawet towarzyszących podróży; wiedziałem, że wzbudzi ona tylko nieufność i podejrzenia. Z drugiej strony, nigdy nie okazywałem listu z Kominternu dyrektorom hoteli, urzędnikom kolejowym ani kierownikom sklepów spółdzielczych – przestałbym wówczas być burżuazyjnym turystą, którego ze względów propagandowych w Związku Sowieckim traktowano lepiej. Takie podwójne życie nie uchodziło za coś zdrożnego. Odzwierciedlało tylko zasadniczą różnicę między „linią Ministerstwa Spraw Zagranicznych” a „linią Kominternu” – czyli dwoma obliczami Związku Sowieckiego: państwa uznanego przez wspólnotę międzynarodową i tajnego ośrodka światowej rewolucji. Każdy członek partii miał obowiązek zawsze pamiętać o tej dwoistości.

Podróżowałem więc w podwójnym charakterze, z jednym kompletem dokumentów w prawej kieszeni, a drugim w lewej. Dzięki prostej regule mnemotechnicznej, że Komintern „jest po lewej”, ani razu się nie pomyliłem.

Ale i tak nie mógłbym podróżować samotnie bez pomocy jedynej w Związku Sowieckim organizacji, która sprawnie funkcjonowała: GPU. Na każdej stacji kolejowej znajdował się komisariat GPU, który utrzymywał minimum porządku w powszechnie panującym chaosie. Zadaniem „dworcowego GPU” nie była inwigilacja polityczna; pełnił on funkcję biura podróży i punktu informacyjnego dla ludzi będących w delegacji służbowej. Po wyjściu z pociągu w nieznanym mieście szedłem prosto do komisariatu GPU, legitymowałem się i zgodnie z przepisami otrzymywałem to, na co żaden nieurzędowy podróżny nie mógł liczyć: pokój lub łóżko, kartki, transport. Moje organizacje, Komintern i Ministerstwo Spraw Zagranicznych, nie miały przedstawicielstw w małych miejscowościach; dlatego GPU brało mnie

pod swoje skrzydła, dopóki powolnie działający miejscowy komitet partii albo hotel rządowy nie przejęły nade mną pieczy. Jak już mówiłem, GPU było jedyną sprawną instytucją w kraju, swego rodzaju konstrukcją stalową, która trzymała razem całą piramidę. Znamienne, że konstrukcja ta podlegała nie aparatowi rządowemu ani władzom miejskim, ale Głównemu Zarządowi Politycznemu. Nie terror, lecz wszechobecność GPU, bez którego niczego nie sposób było załatwić i który jedyny potrafił cokolwiek zrobić, określała charakter tego totalitarnego państwa policyjnego.

Miałem szczęście, że swoją podróż rozpocząłem od Charkowa, a nie od Moskwy, bo dzięki temu od początku zetknąłem się z codziennym życiem prowincjonalnego miasta sowieckiego, o którym zagranica wiedziała tyle, ile o ciemnej stronie Księżyca. Twarzą, którą Związek Sowiecki pokazywał Europie, była Moskwa – jedyne miasto, w którym mogli mieszkać zagraniczni dyplomaci i dziennikarze. Moskwa jednak różniła się od reszty Związku Sowieckiego bardziej niż stolica jakiegokolwiek kraju od jego prowincji. Była ośrodkiem scentralizowanego imperium, siedzibą nie tylko partii i rządu, ale kierowniczych organów wszystkich branż przemysłu i rolnictwa, dystrybucji i wszelkiej innej działalności. Dlatego miała absolutny priorytet pod względem zaopatrzenia w towary, od żywności i opału po szczoteczki do zębów, szminki i inne artykuły luksusowe nieznane reszcie kraju. Poziom życia w Moskwie w 1932 roku był mniej więcej taki, jak w walijskim mieście górniczym podczas kryzysu; mimo to budził zazdrość mieszkańców innych rejonów Związku Sowieckiego, które odwiedziłem podczas mojej długiej podróży.

Rewolucja zmieniła niewiele w życiu miast leżących na peryferiach kraju. Na przedmieściu mogła powstać nowa fabryka, uprzywilejowani obywatele mogli mieć radio, a nawet telefon, ale przeludnienie i obskurny wygląd budynków, pustki w sklepach, zniknięcie drobnych oznak zbytku, wszelkich barw i przyjemności sprawiły, że prowincjonalne miasto sowieckie stało się jeszcze smutniejsze i brzydsze.

Swego czasu komunistyczna pisarka Anna Seghers, którą bardzo cenię, opowiadała w wąskim kręgu członków partii o potajnym

spotkaniu z towarzyszem w lesie w Austrii. Była wiosna i mimo niewesołych okoliczności spacer po lesie sprawił jej wielką radość. Rozmówca Seghers, funkcjonariusz partyjny, zaraz po powitaniu rozpoczął „analizę trudności, wobec których stoi ruch, i sposobów ich przezwyciężenia”. Pisarce wydało się nagle, że wszystkie ptaki przestały śpiewać, a powietrze straciło cały aromat. Była gorliwą komunistką, więc to przeżycie do głębi ją poruszyło. „Dlaczego – zapytała z rozpaczą – dlaczego wszędzie, gdzie się pojawiaimy, więdną liście?”

Te smutne słowa są w mojej pamięci nierozdzielnie związane z wrażeniami z pobytu w Związku Sowieckim.

Podczas pierwszego etapu podróży miałem się z grubsza zapoznać z osiągnięciami pięciolatki w okręgach przemysłowych republiki rosyjskiej i ukraińskiej. Zacząłem od SK-1, nowo wybudowanej fabryki syntetycznego kauczuku w Jarosławiu. Stamtąd parowcem kołowym udałem się w dół Wołgi do sowieckiego Detroit, Gorkiego (jak nazywał się wówczas Niżny Nowogród) z jego wielkimi zakładami produkcji samochodów.

Z Gorkiego wróciłem do Moskwy, a potem ruszyłem na pielgrzymkę do najświętszego z sowieckich sanktuariów: zapory wodnej na Dnieprze. Potem zamierzałem objechać niemieckie kołchozy na Ukrainie, ale w ostatniej chwili zezwolenie cofnięto. Gospodarstwa kolektywne, w których pracowało w sumie pół miliona Niemców, potomków osadników przybyłych do Rosji jeszcze za Katarzyny II, należały do najciężej dotkniętych przez klęskę głodową. Tych, którzy przeżyli, kilka lat później deportowano na Syberię razem z mieszkańcami zlikwidowanej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Niemców Wołżańskich.

Tak się złożyło, że rok, który spędziłem w Związku Sowieckim, 1932–1933, był przełomowym rokiem w jego historii. Reżim znalazł się na rozdrożu. Przymusowa kolektywizacja i forsowne uprzemysłowienie doprowadziły do głodu i nieomal załamania się produkcji. Oba zjawiska miały wspólną przyczynę: brak jakichkolwiek bodźców do lepszej pracy.

Przed wyjazdem z europejskiej części Rosji ukończyłem pierwsze sześć artykułów na temat osiągnięć pięciolatki i złożyłem je w moskiewskiej centrali MORP. Uzgodniliśmy, że pod pozorem

„przyjacielskiej rady” MORP wstępnie ocenzuruje artykuły, które zaniósę potem oficjalnemu cenzorowi w wydziale prasowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Wtedy zaczęły się trudności. MORP-owi nie spodobały się moje artykuły. Uznano, że są zbyt krytyczne, a jednocześnie przesiąknięte romantycznym idealizmem. Opinię tę zakomunikował mi Siergiej Trietjakow, ówczesny przewodniczący sekcji rosyjskiej MORP, w obecności Paula Dietricha, przedstawiciela niemieckiej sekcji organizacji.

Trietjakow, autor kilku dramatów i powieści, znajdował się wówczas u szczytu sławy i cieszył się względami partii. Zachowywał się tak powściągliwie i z dystansem, że pozostał mi tylko w pamięci niewyraźny obraz wysokiego, chudego mężczyzny o mongolskiej twarzy. W 1937 roku został rozstrzelany jako szpieg.

Paul Dietrich, mój oficjalny łącznik z niemiecką sekcją Kominternu, pochodził z rodziny robotniczej z Zagłębia Saary. Był to mężczyzna tęgi, jowialny i sympatyczny, niewolniczo uległy wobec żony, histeryczki o imieniu Lilly, która raz po raz próbowała odebrać sobie życie w kominternowskim hotelu Lux. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Trzy lata później pracowaliśmy razem podczas kampanii wyborczej przed plebiscytem w Zagłębiu Saary. W 1936 roku został odwołany do Moskwy, a rok później rozstrzelany jako szpieg.

Spotkanie z Trietjakowem było krótkie i oficjalne. Pokornie uznałem jego werdykt, obiecałem wykazać na przyszłość więcej bolszewickiego samokrytycyzmu i przerobić artykuły. Po drodze do siedziby Kominternu na placu Maneżowym Paul pocieszył mnie, zauważając, że Trietjakow i Becher mają ze sobą na pieńku; ponieważ legitymowałem się listem od Bechera, nie mogłem liczyć na przychylniejszą ocenę.

Poprawiłem artykuły i jeszcze raz złożyłem je w MORP. Zwrócono mi je bez komentarza. Uznałem to za milczącą zgodę i zaniósłem teksty do wydziału prasy i informacji Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Wydziałem kierował wówczas trzydziestoletni Konstantin („Kostia”) Umanski, niski, przystojny i zawsze elegancki. Dzięki urokowi osobistemu, cynicznemu poczuciu humoru i pozornej szczerości

był bardzo lubiany przez zagranicznych korespondentów akredytowanych w Moskwie. Przypuszczano, że cieszy się osobistymi względami Stalina, bo tylko tym potrafiono wytłumaczyć, że człowiek o tak niebezpiecznych cechach zajmuje tak wysokie stanowisko. Umanski był później ambasadorem w Stanach Zjednoczonych, a następnie w Meksyku. Zginął pod koniec wojny w tajemniczej katastrofie lotniczej.

Przyjął mnie bardzo życzliwie, a potem często się spotykaliśmy. Na oczekaniu przeczytał moje artykuły i po kilku nieistotnych skrótach zezwolił na publikację. Kiedy opowiedziałem mu o spotkaniu z Trietjakowem, roześmiał się, poklepał mnie po plecach i poradził, żebym omijał MORP szerokim łukiem:

– Jest pan oficjalnie burżuazyjnym korespondentem, więc niech się pan trzyma nas, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i unika tych kominternowskich nadgorliwców. Zadbamy o pana, ale niech pan nie mówi o tym, że należy pan do partii i ma związki z Kominternem. Oficjalnie nic o nich nie wiem.

Umanski, pracujący „po linii Ministerstwa Spraw Zagranicznych”, nie lubił się z „towarzyszami z Kominternu”. Pracownicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Kominternu różnili się sposobem myślenia i stylem życia jak dzień od nocy. Ci pierwsi byli światowcami, utrzymywali stosunki ze sferami burżuazyjnymi i żyli po mieszczańsku. Ci drudzy, przeciwnie, wiedli ascetyczne życie i walczyli z kapitalizmem. Dlatego jedni i drudzy szczerze się nie znosili.

Umanski nie tylko pogardliwie wyrażał się o funkcjonariuszach Kominternu; był też zręcznym propagandystą, wiedział, że propaganda będzie tylko wtedy skuteczna, gdy zostanie zamaskowana pozorami obiektywizmu. Pisarze komunizujący i komunistyczni, o których przynależności partyjnej nie wiedziano powszechnie (tak jak w moim wypadku), byli tym pożyteczniejsi, im łatwiej mogli przekonać czytelników o swojej neutralności. Ministerstwo Spraw Zagranicznych dopuszczało więc krytykę pewnych niedoskonałości reżimu, dopóki ułatwiała to lansowanie najważniejszych tez sowieckiej propagandy.

Po zaakceptowaniu przez Umanskiego moich artykułów na temat europejskiej części Rosji jesienią 1932 roku wyruszyłem na Kaukaz

i do Azji Środkowej.

Kaukaski sen

Sowiecki Kaukaz podzielony był wówczas na trzy Zakaukaskie Autonomiczne Socjalistyczne Republiki Sowieckie: Gruzję ze stolicą w Tyflisie (Tbilisi), Armenię ze stolicą w Erywaniu i Azerbejdżan ze stolicą w Baku.

Tyflis dzieliło od Erywania około trzystu sześćdziesięciu kilometrów, ale podróż trwała aż szesnaście godzin, bo po drodze przez Mały Kaukaz pociąg musiał wspiąć się na wysokość ponad tysiąc ośmiuset metrów n.p.m. Między miastami jeździły tylko dwa pociągi złożone z pięciu, sześciu wagonów, po jednym dziennie w każdym kierunku. Mój skład miał odjechać o dziewiątej wieczorem, ale kiedy o wyznaczonej godzinie przybyłem na dworzec, powiedziano mi, że pociąg utknął w górach po drodze z Erywania i ma kilka godzin opóźnienia.

Poczekalnia na dworcu w Tyflisie wyglądała tak samo jak na innych dworcach w Związku Sowieckim – jak pole bitwy pokryte zwłokami. Z rezygnacją usiadłem wśród swoich bagaży na brudnej posadzce, otoczony tobołami, koszami i ciałami śpiących ludzi.

Około północy przyjechał pociąg i dwaj oficerowie dworcowego GPU, którzy dowiedzieli się o obecności „delegata Kominternu”, odprowadzili mnie do wagonu sypialnego zarezerwowanego dla uprzywilejowanych podróżnych.

Pierwszy, nieziemski widok góry Ararat w świetle wstającego dnia pozwala zrozumieć, dlaczego legenda wybrała ją na miejsce, na którym zatrzymała się arka Noego. Wskutek optycznego złudzenia wydawało się, jakby środkowe partie góry, do wysokości około czterech tysięcy metrów, nie istniały – rozplynęły się i zlały z zachmurzonym niebem; widać było tylko białe wierzchołek, sięgający prawie pięciu tysięcy dwustu metrów, który nagle ukazał się w górnej części okna i unosił się nad ziemią jak rakieta lecąca na Księżyc. Mieszkańcy Erywania powiedzieli mi, że Ararat często przybiera ten niesamowity wygląd. Bardzo możliwe, że w ten sam sposób unosił się nad opadającymi wodami potopu.

Erywań miał wówczas wiele wspólnego z Tel Awiwem – ścigali tu synowie innego prześladowanego narodu, aby budować swój nowy dom. Byli pełni nadziei i wdzięczności dla reżimu sowieckiego, który podarował im republikę autonomiczną, tak jak Żydzi byli wdzięczni Wielkiej Brytanii, gdy Balfour obiecał im Palestynę. Pod koniec pierwszej wojny światowej Erywań przypominał raczej brudną wioskę azjatycką, zatłoczoną uchodźcami, którzy uniknęli tureckich rzezi. Teraz wyglądał jak wielki plac budowy i szybko stawał się nowoczesnym miastem. „Aż trudno uwierzyć, ile tu dokonano w ciągu kilku lat za pomocą bardzo skromnych środków” – pisał w 1926 roku Fridtjof Nansen, wysoki komisarz ds. uchodźców, w swoim raporcie dla Ligi Narodów. To, co zobaczyłem, potwierdzało jego słowa.

Rzeź dwóch milionów Ormian podczas pierwszej wojny światowej była chyba największą zorganizowaną zbrodnią w dziejach do czasu wymordowania przez Niemców sześciu milionów Żydów. Jak większość ludzi słyszałem wcześniej o „masakrach Ormian”, ale dopiero książka Nansena i pastora Lepsiusa, którą przeczytałem w Tyflisie, uzmysłowiła mi całą ich potworność. Autorzy cytują na przykład słynną depezę tureckiego ministra spraw wewnętrznych, Talâta, do gubernatorów prowincji z 15 września 1915 roku:

Jak już informowano, rząd na polecenie komitetu postanowił eksterminować wszystkich Ormian mieszkających w Turcji. Kto sprzeciwia się temu poleceniu, nie może być uważany za przyjaciela rządu. Jakkolwiek eksterminacja może się wydawać sposobem godnym ubolewania, należy położyć kres istnieniu Ormian, nie wyłączając kobiet, dzieci i chorych, nie słuchając głosu sumienia ani litości. Talât^[8].

Brzmiało to niewiarygodnie, jak podłe fałszerstwo propagandowe, ale było prawdą. A był to tylko ostatni rozdział historii, która pod względem cynizmu i grozy ma niewiele równych sobie i w której wszystkie mocarstwa europejskie odegrały haniebną rolę. Odkąd zostałem komunistą, tak często słyszałem i powtarzałem wyświechtany slogan o „zbrodniach imperializmu”, że stał się on dla mnie pustym dźwiękiem. Za sprawą oskarżeń norweskiego polarnika i niemieckiego duchownego, których nie można było podejrzewać o marksistowskie ciągoty, znów nabrał świeżego, przerażającego znaczenia.

Im dłużej przebywałem w Erywanii, tym bardziej stolica Armenii przypominała mi Tel Awiw. Entuzjazm, zamęt, błędy i zły smak, które towarzyszyły gorączce budowania, budziły niedawne, wzruszające wspomnienia. Tu również brzydkie, tanie budynki użytkowe wypierały czarodziejski, kolorowy i brudny Orient. Erywań też był rozwichrzonym, chaotycznym miastem pionierów – nieukończone ulice między wciąż rosnącymi budynkami tworzyły istny labirynt rur i kabli. Telefonów było tak mało, że telefonistce podawało się nazwisko, a nie numer abonenta. Miasto przypominało językową Wieżę Babel, bo dużą część mieszkańców stanowili uchodźcy i imigranci z Turcji, Europy i Ameryki. Często mi się zdarzało, że kiedy łamanym rosyjskim pytałem przechodnia o drogę, odpowiadano mi płynnie po niemiecku albo francusku. Erywań miał prężną i dobrze zorganizowaną inteligencję, bardzo przyjaźnie, w przeciwieństwie do tyfliskiej, nastawioną do Rosji i reżimu sowieckiego.

Wróciłem do Tyflisu bardzo podniesiony na duchu. Nie mogłem przewidzieć, że ten szczęśliwy dla Ormian okres potrwa bardzo krótko. Wielka czystka zalała okolice Araratu jak nowy potop. Jej skutki były w Armenii chyba jeszcze tragiczniejsze niż w innych republikach, ponieważ ze względu na bliskość granicy tureckiej i perskiej jej mieszkańców uważano za niepewnych i podejrzanych. A Ormianie osiadli w innych częściach Związku Sowieckiego znaleźli się wśród pierwszych ofiar prześladowań – jak to zwykle bywało w dziejach tego nieszczęśliwego narodu. W Charkowie na przykład mieszkało około sześciuset Ormian, w większości niepiśmiennych szewców i pucybutów. Jesienią 1937 roku wszystkich ich aresztowano i wtrącono do więzienia.

Po kilkudniowym pobycie w Tyflisie pojechałem do Baku, stolicy Azerbejdżanu i centrum największego w Rosji zagłębia naftowego. Ponieważ czekało mnie jeszcze kilka tysięcy kilometrów podróży przez sowiecką Azję Środkową, zamierzałem tam zostać tylko tydzień. Zostałem prawie trzy razy dłużej, ponieważ miasto zafascynowało mnie, a poza tym zakochałem się i musiałem dokonać bolesnego wyboru między uczuciem a obowiązkiem.

Wszystko zaczęło się w pociągu. Nic w tym dziwnego, bo długie podróże koleją są w Rosji tym, czym u nas rejsy transatlantyckie,

i stanowią dla cudzoziemców najlepszą okazję do zawierania znajomości ze zwykłymi ludźmi.

Kiedy pociąg stał jeszcze na dworcu w Tyflisie, doszło do jednego z częstych zwarć w instalacji elektrycznej i w wagonie sypialnym zgasło światło. Siedziałem sam w ciemnościach, gdy do mego przedziału weszła młoda kobieta, a za nią wysoki oficer Armii Czerwonej. Czerwonoarmista miał w ręku świeczkę i w jej migotliwym świetle po raz pierwszy ujrzałem Nadieżdę Smirnową: szczupłą, mniej więcej dwudziestopięcioletnią dziewczynę, dorównującą wzrostem swemu towarzyszowi; gibkość jej figury podkreślał jeszcze czarny dopasowany kostium. Miała miękkie, brązowe włosy, które połyskiwały w świetle świecy, i nieskazitelnie piękny, klasyczny profil. Z profilu właśnie zobaczyłem ją najpierw i do dziś uważam, że nie widziałem w życiu piękniejszego: wysokie, prawie nienormalnie wysokie i ślicznie sklepione czoło oraz cudnie wykrojone usta greckiej bogini. Potem odwróciła głowę i ujrzałem jej twarz od przodu – kontrast był uderzający i niepokojący. Profil miała wyniosły w swej piękności; *en face* wyglądała zachwycająco, ale inaczej. Jej wielkie czarne oczy, ze źrenicami zwężonymi od światła świecy, sprawiały wrażenie krótkowzrocznych – dzięki temu nieludzka doskonałość jej rysów miała w sobie coś wzruszającego i tęsknego. Z profilu Nadieżda wyglądała jak nieprzystępna wielka dama; *en face*, czasami, jak dziewczynka. Ruchy miała szybkie i nerwowe; cała jej postać skojarzyła mi się z legendarnymi primabalerinami z Teatru Maryjskiego w Petersburgu, których zresztą nigdy nie widziałem.

Wszystko trwało tylko kilka sekund. Nadieżda i jej towarzysz najwyraźniej pomylili się. Oficer przeprosił grzecznie, a Nadieżda w milczeniu skinęła głową, po czym przeszli do sąsiedniego przedziału. Niedługo potem pociąg ruszył, a ja poszedłem spać, tęskniąc za światem zgniłej burżuazji, w którym kobiety miały wdzięk Nadieżdy, pachniały perfumami i całe godziny spędzały w wannie.

Wczesnym rankiem wyszedłem na korytarz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, i pierwszą osobą, którą tam ujrzałem, była Nadieżda. Stała przy oknie naprzeciwko swojego przedziału i patrzyła na przesuwaną się za szybą krajobraz.

Stałem przy swoim oknie, ale byłem tak onieśmielony jej urodą, że nie mogłem wykrztusić słowa. Znowu poczułem się jak uczeń. Wiedziałem, że jeśli nawet coś powiem, zabrzmie to fałszywie i niezręcznie. Jak tchórz usprawiedliwiałem się przed sobą, że milczę z powodu oficera towarzyszącego dziewczynie. Staliśmy tak w milczeniu około pięciu minut, a potem Nadieżda wróciła do siebie. Później zapytała mnie, dlaczego byłem taki ponury i arogancki i nie odezwałem się do niej, a kiedy wyjaśniłem, że nie miałem odwagi, nie chciała mi uwierzyć.

Poszedłem na śniadanie do wagonu restauracyjnego, a chwilę później w drzwiach stanęła Nadieżda. Kelner wskazał jej wolne miejsce naprzeciwko mnie. Nadieżda usiadła, skinąwszy mi w milczeniu głową tak jak poprzedniego dnia. Po chwilowym ataku paniki wymyśliłem w końcu „oryginalny” sposób rozpoczęcia rozmowy – zapytałem piękność, czy jedzie do Baku. (Baku było jedynym miastem, do którego jechał pociąg).

– Tak – odpowiedziała. – Pan też?

Tak zaczął się najsmutniejszy romans mojego życia, którego wspomnienie miało mnie prześladować przez wiele lat.

W jednej chwili rozpaczliwie zakochałem się w Nadieżdzie Smirnowej. Wiedziałem, że to miłość, bo najśmielszym moim pragnieniem było trzymać ją za rękę, bez mała umrzeć dla niej. Miałem dwadzieścia siedem lat i kolejny raz uległem romantycznemu zauroczeniu.

Wagon restauracyjny był wyjątkowo dobrze zaopatrzony: czarny chleb, ogórki, solone śledzie, wódka, herbata i czerwony kawior. Zamówiłem wszystko. Na Kaukazie często zaczyna się dzień od tak obfitego posiłku, ja jednak pierwszy raz piłem wódkę o ósmej rano. Jej działanie okazało się zbawienne. Na Ukrainie nauczyłem się klasycznego sposobu picia wódki: wypija się mały kieliszek przezroczystego ognistego płynu, a potem przykładają do nosa kawałek czarnego chleba, wdychając jego silny, kwaśny zapach dla rozjaśnienia umysłu, po czym zakąsa się kiszonym ogórkiem. Nadieżda spojrzała na mnie nieco zaskoczona, a potem uśmiechnęła się figlarnie. Nagle odrzuciła włosy, odstawiła szklankę z pozbawioną smaku herbatą,

i wyciągnęła w moją stronę pusty kieliszek, który kelner postawił obok jej talerza. Ucieszyłem się. Ten gest był jak zawarcie paktu między nami.

Siedzieliśmy w wagonie restauracyjnym do południa, rozmawiając i zajadając się czerwonym kawiozem. Wypiliśmy jednak tylko małą butelkę wódki. Ku mojej wielkiej radości okazało się, że wysoki oficer pozostał w Tyflisie – był przypadkowym znajomym, który odprowadził Nadieżdę na dworzec. Z niedowierzaniem przyjąłem informację, że moja nowa znajoma pracuje jako urzędniczka w Zarządzie Wodociągów Rady Miejskiej Baku i wraca właśnie z dwutygodniowego urlopu w Kisłowodzku, znanym uzdrowisku kaukaskim. Mówiła płynnie po francusku z melodyjnym rosyjskim akcentem; zawsze uważałem, że tylko tak wolno kaleczyć francuski. Znała też kilka słów po niemiecku, a kiedy się ożywiała, recytowała Puszkina i Majakowskiego. Wyraziłem zdziwienie, że pracuje w wodociągach, bo zupełnie mi to do niej nie pasowało.

– A co robiłby pan na moim miejscu? – zapytała.

Przypuszczałem, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że jest aktorką albo primabaleriną, a przynajmniej żoną ludowego komisarza. Uśmiechnęła się i powiedziała z lekką ironią, ale tonem, który zamykał dalszą dyskusję:

– Wodociągi zapewniają spokojniejsze życie.

Przez cały czas gadałem jak najęty, a Nadieżda słuchała z rozbawieniem. W ciągu tych trzech czy czterech godzin opowiedziałem jej prawie o wszystkim – o Paryżu, Wiedniu, Egipcie i biegunie północnym. Zachęcała mnie do zwierzeń, zrazu jakby mimochodem, ale powoli jej pytania na temat życia w Europie zaczęły zdradzać ciekawość i tęsknotę. Znałem już tę beznadziejną nostalgię wykształconych Rosjan za światem, którego nigdy nie mieli zobaczyć. Zrobiło mi się jej żal i chyba pierwszy raz niejasno uświadomiłem sobie nieludzkość reżimu, który pozbawił dwieście milionów swoich obywateli kontaktu z innymi krajami. Nadieżda zadawała kolejne pytania, jedne inteligentne, inne rozbijające naiwne, a ja patrzyłem, jak ta wyniosła dziewczyna zaczyna przypominać biedne dziecko, przykute do łóżka przez ciężką chorobę i wypytujące o bal, na który nie może pójść.

Kiedy w końcu opuściliśmy wagon restauracyjny, zaprosiła mnie do swojego przedziału. Zostaliśmy tam aż do przyjazdu do Baku, oglądając zdjęcia, które Nadieżda zrobiła podczas wakacji, i książki, które przywiozłem ze sobą z Europy. Potem, pod wpływem nagłego impulsu, pokazała mi skarby, które udało jej się zdobyć w Kisłowodzku przez przyjaciółkę przyjaciółki: wełniany sweter i parę zamszowych butów zagranicznej produkcji. Były to rzeczy bardzo proste i zwyczajne, ale w Rosji prawie nie do dostania. Kiedy zauważyła zdziwienie w moich oczach, zmieszała się. Nie mogła się oprzeć pokusie pochwalenia mi się, a ja zepsułem jej całą przyjemność. Obiecałem, że gdy przyjadę następnym razem, złożę u jej stóp wszystkie skarby świata, od lyońskich jedwabi po perski nard; mówiłem to, klęcząc przed nią. Nadieżda ucałowała mnie w czoło jak królowa.

Pociąg przyjechał do Baku w porze obiadu, zaproponowałem więc Nadieżdzie, żebyśmy spędzili wieczór razem. Powiedziała, że mieszka z ciotką. Wzięliśmy dorożkę i pojechaliśmy do hotelu Inturistu, gdzie zostawiłem bagaż, a potem do mieszkania ciotki. Było to małe, dwupokojowe mieszkanko, sypialnia i duży pokój, w którym na kanapie spała Nadieżda. Meble były stare, poobijane i tandetne. Ciotka, pomarszczona drobna staruszka, blada i powściągliwa, nosiła się staroświecko – dość wspomnieć koronkowy kołnierzyk sukienki. Mówiła świetnie po francusku. Obawiałem się, czy nie będzie zdenerwowana tym, że Nadieżda sprowadza do domu cudzoziemca, ale nawet jeśli tak było, nie dała tego po sobie poznać. Nie zdradzała żadnej ciekawości. Kiedy Nadieżda poszła się odświeżyć, zrobiła herbatę i po godzinnej zdawkowej rozmowie wyszliśmy. Nadieżda założyła nowy sweter i zamszowe buty i chwytając moje spojrzenie, uśmiechnęła się z autoironią, ale nic nie powiedziała. Ciotka jednak od razu spostrzegła nowe rzeczy i zawołała:

– *C'est joli.*

Były to jedyne słowa, które wypowiedziała z jakim takim ożywieniem.

Na ulicy Nadieżda wzięła mnie pod rękę i szczebiotała jak ptaszek wypuszczony z klatki. Zapytałem, co robi jej ciotka.

– Nic – odparła. – Jest wdową.

Zapytałem, czym zajmował się jej wuj. Okazało się, że za caratu był konsulem jednego z europejskich mocarstw. Jeśli chodziło o rodziców, Nadieżda odpowiedziała krótko:

– Nie żyją.

Kilka dni później opowiedziałem o ciotce Nadieżdy znajomemu z GPU, o którym napiszę dalej. Następnego dnia zdał mi relację, a jego słowa do dziś dokładnie pamiętam:

– Zapytałem swojego naczelnika o ciotkę twojej dziewczyny. Zaśmiał się i powiedział: „*Staraja, staraja szpionka*”.

Nadieżda była tylko „pod obserwacją”.

Znajomość z bakijskim GPU zawarłem w dwojaki sposób. Aby zrozumieć późniejsze wydarzenia, trzeba pamiętać, że działo się to w roku 1932, a więc przed okresem terroru, a po drugie, że mimo pewnych wątpliwości byłem nadal wiernym wyznawcą. Dlatego „towarzyszy z GPU” traktowałem tak, jak porządny obywatel angielski traktuje Scotland Yard. Praca dla GPU uchodziła za największy zaszczyt dla członka partii, dowód jego absolutnej lojalności. „Każdy bolszewik musi być czekistą” – powiedział Lenin i dla każdego bolszewika, z Rosji czy z zagranicy, była to oczywistość. Po zerwaniu z KPD, kiedy przez pewien czas obawiałem się, że partia każe mnie zlikwidować, skrót ten stał się dla mnie symbolem terroru, groźniejszym niż swastyka. Ale w 1932 roku symbolizował ojcowską władzę, wszechobecną i wszechmocną. Słowem, „towarzysze z GPU” zastąpili mi szamanów, w których wierzyłem w młodości, więc traktowałem ich z dziecięcą ufnością. Pod tym względem okazałem się chyba bardziej naiwny niż większość moich towarzyszy partyjnych. Był to skutek mego infantylizmu, o którym wcześniej mówiłem.

* *
*

Drugiego albo trzeciego dnia pobytu w Baku poszedłem na zakupy do INSNAB, sklepu dla cudzoziemców. Był tam czerwony kawior, który stał się moją codzienną strawą, ale niewiele poza tym. Obok mnie w kolejce stał młodzieniec mówiący z wyraźnym obcym akcentem, tak jak ja. Kiedy nasz kawior zawijano w egzemplarze „Prawdy” z ostatniego tygodnia, wdałem się z nim w rozmowę. Wyszliśmy ze sklepu razem.

Mój nowy znajomy nazywał się Paul Werner. Był niski i zwinny jak łasica, wyglądał zarazem krucho i krzepko. Miał bladą, wymizerowaną twarz dziecka ze slumsów. Jego prawy bark był wyższy niż lewy i wyglądał tak, jakby Paul stale go unosił, aby zasłonić się przed uderzeniem. Można go było wziąć za gazeciarza, który biegnie Friedrichstraße, wykrzykując tytuł gazety, albo sprzedawcę owoców na londyńskiej ulicy – gdyby nie jego brązowe, miękkie oczy. Były to oczy smutnego, starzejącego się garbusa. Ich łagodne, zamyślane spojrzenie stanowiło dziwny kontrast ze zwinnymi ruchami i ostrymi rysami twarzy. Wydawały się mówić: „Nie zwracaj uwagi na to, jak wyglądam i jak się zachowuję. Naprawdę jestem kimś innym”.

Od razu polubiłem Paula. Miło było spotkać w tym dalekim kraju towarzysza z Komunistycznej Partii Niemiec, który mówił tym samym językiem, a w dodatku tym samym żargonem; z którym można było mówić skrótami, zamiast dukać po rosyjsku, i żartować na osobiste tematy. Nawet nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, jak bardzo tego potrzebuję. Werner potrzebował tego jeszcze bardziej. Pracował w Baku od ponad roku i kiedy włączyliśmy się po deszczu przygnębiającymi ulicami, na których unosił się wszechobecny zapach nafty, sprawiał wrażenie bardzo samotnego człowieka. Powiedział, że pracuje w związkach zawodowych. Wydało mi się to dziwne, więc zapytałem, co u licha młody Niemiec z Lipska robi w azerbejdzańskich związkach zawodowych? Wzruszył swoim wyższym ramieniem i odparł, że partia przenosi go z jednej roboty do drugiej i że obecnie jest swego rodzaju instruktorem czy też prelegentem w ruchu europejskich związków zawodowych. Nie brzmiało to przekonująco. Byłem naiwny, ale nie aż tak. Przyszła mi do głowy intrygująca myśl, że mój nowy znajomy jest „towarzyszem z GPU”, pracującym dla niepoznaki w związkach zawodowych. Sądziłem tak na podstawie pewnych sprzeczności w jego opowieści; mówiła mi to też intuicja, którą zawdzięczałem kontaktom z aparatem Schnellera i innymi towarzyszami wykonującymi potajemne zadania. Oczywiście jednak mogłem się mylić.

Zaprosiłem Paula na wódkę. Rozmawialiśmy przez kilka godzin, aż musieliśmy się rozstać, bo umówiłem się z Nadieżdą. W którymś momencie zapytałem Wenera, czy wie, jak mógłbym zdobyć do mojej

książki informacje o działalności zagranicznych wywiadów w Baku. Wyglądał na bardzo zaskoczony i poradził mi, żebym zostawił ten temat w spokoju. Powiedziałem, że moim zdaniem jest to kwestia o dużym znaczeniu politycznym. Prasa kapitalistyczna ciągle wytyka Związkowi Sowieckiemu podejrzliwość wobec cudzoziemców i bardzo restrykcyjne przepisy wizowe. Chciałem więc udowodnić, że szpiegostwo i sabotaż naprawdę istnieją. A Baku, centrum naftowe Rosji, położone blisko granicy tureckiej i perskiej, świetnie nadawało się do akcji szpiegowskich. Potrzebowałem jednego, dwóch przykładów dla udowodnienia swojej tezy.

Werner nadal kręcił nosem. Wtedy wpadłem na pomysł.

– *Weisst du was?* Pójdę prosto do GPU i poproszę ich o materiały. Oczywiście nazwiska, szczegóły i tak dalej nie zostaną ujawnione.

Werner wybuchnął śmiechem.

– Jak długo jesteś w ZSRS? Pół roku? Zupełnie zwariowałeś. Do GPU nie idzie się zadawać pytania, ale odpowiadać na pytania. *Du bist verrückt!* Wywalą cię na zbity pysk i będziesz miał poważne kłopoty.

Ale ja nie zamierzałem rezygnować. Umówiliśmy się na obiad następnego dnia. Jak na pracownika związków zawodowych Werner miał dziwnie dużo wolnego czasu.

Nazajutrz rano udałem się do siedziby GPU w Baku. Mieściła się w imponującym gmachu w Bieligorodzie, nowoczesnej europejskiej dzielnicy. Atmosfera panująca w budynku nie zrobiła na mnie szczególnego wrażenia. Ludzie stojący w holu w kolejce do portiera byli nędznie ubrani i chmurni, tak jak ludzie w każdej kolejce w Rosji. Jeżeli byli wystraszeni albo przygnębieni, nie zauważyłem tego. Portier, zwany *komiendant* jak w każdej instytucji, był niechlujnym niskim mężczyzną o zdecydowanie nieprzyjemnym obliczu; zapamiętałem, bo mnie to zdziwiło. Zapamiętałem też, że wszyscy ludzie z kolejki mieli wypisane na maszynie wezwania. *Komiendant* podstemplowywał je, zaznaczając godzinę i minutę, o której interesant się stawił. To również było normalną praktyką we wszystkich sowieckich urzędach. Ponieważ nie miałem wezwania, *komiendant* spytał mnie opryskliwie, czego chcę. Pokazałem mu list polecający z Kominternu i powiedziałem,

że chciałbym porozmawiać z „odpowiedzialnym towarzyszem z departamentu zajmującego się szpiegostwem”. Portier zapytał, w jakim celu. Odrzekłem, że nie mogę mu powiedzieć, i powtórzyłem swoją prośbę. Odpowiedział:

– To będzie Departament Ekonomiczny.

Ten szczegół również utkwiał mi w pamięci, ponieważ do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego nawet GPU, którego jednym z zadań była przecież walka ze szpiegostwem, musiał to ukrywać pod fikcyjnymi nazwami. Ale eufemizmy i kamuflaż należały do konspiracyjnego rytuału świata komunistycznego.

Komiendant wszedł do dźwiękoszczelnej kabiny i zadzwonił na górę. Potem kazał mi zaczekać. Czekałem mniej więcej pół godziny. Umundurowany strażnik zawiózł mnie windą na wyższe piętro i poprowadził korytarzem do małego pokoju, w którym stało duże biurko i trzy krzesła. Za biurkiem siedział wysoki oficer z ogoloną głową. Bez uśmiechu poprosił mnie, żebym usiadł i wytłumaczył, co mnie sprowadza. Zachowywał się uprzejmie, ale sztywno. Wylegitymowałem się i krótko wyjaśniłem cel mojej wizyty. Przez kilka minut z niezwykłą uwagą studiował moje dokumenty, niektóre czytając dwa, trzy razy, jakby chciał się ich nauczyć na pamięć. A potem, patrząc na mnie oczami pozbawionymi wyrazu, powiedział:

– Nie udzielamy informacji, jakich żądacie, obywatelu.

Miałem mu za złe, że nazwał mnie obywatelem, a nie towarzyszem. Powtórzyłem argumenty, których użyłem w rozmowie z Wernerem. Kiedy mówiłem, rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł drugi oficer. Zasalutował po wojskowemu mojemu rozmówcy i położył przed nim plik listów. Kiedy siedzący za biurkiem kwitował odbiór, drugi oficer przypatrywał mi się i, jak mi się zdawało, jego usta wykrzywił drwiący uśmieszek. Był wysoki i szczupły, o smagłej przystojnej twarzy; zachowywał się z dużą swobodą. W przeciwieństwie do niego oficer siedzący za biurkiem, ze swoją łysą czaszką, matowymi oczami i sztywnym, chrzęszczącym mundurem wydawał się należeć do jakiejś prymitywnej rasy biurokratów-troglodytów. Instynktownie zauważyłem, że chociaż moje dokumenty sprawdzał bardzo dokładnie, przyniesione listy pokwitował, ledwie na nie zerknąwszy. Wychodząc,

śniady znów zasalutował przepisowo, na co siedzący zdawkowo kiwnął głową. Potem odwrócił się do mnie i przerywając mi, rzekł:

– Omówię waszą sprawę z kolegami. Zawiadomimy was.

Zapytałem, czy mam zadzwonić za kilka dni.

– To nie jest konieczne – odparł. – Czekać, aż was zawiadomimy.

Na tym rozmowa się skończyła. Nigdy nie otrzymałem żadnego zawiadomienia. Najwidoczniej chodziło o danie nauzki głupiemu cudzoziemcowi. Nie byłem już więcej w siedzibie GPU, ani w Baku, ani gdziekolwiek indziej.

Jednakże ta krótka, milcząca scena zrobiła na mnie dziwnie silne wrażenie. Wydała się mi nierzeczywista, choć nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Kilka dni później poznałem powód. W tym czasie Werner nie udawał już przede mną, że pracuje w związkach zawodowych. Kiedy opowiedziałem mu o wizycie w GPU, zaczął pokładać się ze śmiechu, a potem powiedział:

– Odegrali przed tobą rutynową komedię. Ten śniady, elegancki był naczelnikiem, ten za biurkiem jego podwładnym. Naczelnik wszedł pod jakimś pretekstem, bo chciał ci się przyjrzeć.

Zapytałem, czemu by to miało służyć, na co Werner odparł:

– Nie wiesz, że wszystko obserwuje się lepiej okiem kibica?

Sześć lat później zastanawiałem się, kto mógłby być pierwowzorem dwóch głównych postaci mojej powieści; scena z bakińskiego GPU stanęła mi wtedy przed oczami niemal jak halucynacja. Tak powstał Iwanow i Gletkin z *Ciemności w południe*.

Podczas drugiego lub trzeciego spotkania z Wernerem, nad obfitym posiłkiem zakrapianym wódką, powiedziałem mu wprost, że jestem pewien, iż pracuje dla „towarzyszy z GPU”. Od razu zrozumiał, że nie ma sensu zaprzeczać. Wyznał, że kazano mu niby to przypadkiem zaprzyjaźnić się ze mną, ale po kilku dniach polecono zaprzestać inwigilacji, bo z Moskwy przyszły informacje o mnie i naczelnik powiedział mu:

– Wasz przyjaciel jest w porządku. Nie ma potrzeby się nim zajmować.

Bardzo mi to pochlebiło. Werner też był zadowolony. Czuł się

bardzo samotny – dopiero po naszym rozstaniu zrozumiałem jak bardzo – i koniecznie chciał się komuś zwierzyć. W ciągu dwóch dni opowiedział mi historię swojego życia.

Wychował się w Lipsku, w Saksonii, w rodzinie robotniczej. Jako dziecko był skrzyżowaniem ulicznika, na którego wciąż wyglądał, z mołem książkowym i marzycielem, co widać było w jego oczach. Wstąpił do Komunistycznego Związku Młodzieży Niemieckiej, a potem, po przekroczeniu odpowiedniego wieku, przeszedł do KPD. Partia potrzebowała broni do walki z hitlerowcami i Werner wziął udział w śmiałej akcji jej zdobycia, ale potem musiał uciekać za granicę. Przez rok włóczył się po Belgii i Francji. Bywało, że z głodu kradł żywność, zabijał dzikie koty i sprzedawał ich futro za pół bochenka chleba i paczkę tytoniu. W końcu złapał kontakt z partyjnym aparatem i został wciągnięty do działalności konspiracyjnej. Wykonywał różne tajne zadania; ostatnim była likwidacja jakiegoś zdrajcy. Werner opowiadał o popełnionym przez siebie morderstwie bez żadnych emocji, ale z zakłopotaną miną człowieka przyznającego się do czegoś głupiego i ośmieszającego. Chwilami wstydził się tak bardzo, że unikał mojego wzroku; innym razem patrzył mi prosto w oczy łagodnie, pytająco, jakby badając moją reakcję. Kiedy skończył, zapytałem, czy czasem mu się to śni. Zaprzeczył – śniło mu się tylko to, jak zabija koty, oczy martwych kotów i ich zapach.

Po zabójstwie wyjechał do Związku Sowieckiego, gdzie otrzymał azyl polityczny, a potem swoją obecną pracę. Praca ta, jak wiedziałem, miała jakiś związek z GPU. Co dokładnie robi, nie powiedział, a ja nie pytałem go o to.

Kilka dni po naszej rozmowie Werner zdradził mi, że GPU interesuje się Nadieżdą i jej ciotką. Dwie samotne kobiety, wdowa po zagranicznym konsulu i jej olśniewająco piękna siostrzenica, musiały oczywiście budzić podejrzenia. Partia uczyła, że pochodzenie społeczne decyduje o politycznej prawomyślności, a Nadieżda i jej ciotka pochodziły z rosyjskiej arystokracji albo bogatego mieszczaństwa. Nie wierzyłem, że ciotka jest szpiegiem, wydawało mi się to zbyt prymitywne i oczywiste. Być może w dawnych czasach konsul, a może i jego żona, wykonywali jakieś rutynowe zadania wywiadowcze

i określenie *staraja szpionka* odnosiło się do tego. Ale właśnie ze względu na przeszłość ciotka nie mogła moim zdaniem kontynuować takiej działalności. Co do Nadieжды, to myśl, że jest obcą agentką, brzmiała po prostu niedorzecznie. Była pod obserwacją – w porządku. Jeżeli Werner chciał się z nią spotkać, nic nie stało na przeszkodzie. Mogło to tylko pomóc w przekonaniu go o absurdalności wszelkich podejrzeń.

Naturalnie o to właśnie Wernerowi chodziło. Nie pamiętam, czy to ja zaproponowałem spotkanie, czy on, nie ma to zresztą znaczenia. Zdaje mi się, że Werner chciał, abym udawał przed Nadieждą, że znamy się jeszcze z Niemiec, aby nie wzbudzić jej podejrzeń. Jeśli tak było, to odrzuciłem ten pomysł, tłumacząc się chyba, że nie umiem kłamać. Ujawnienie Nadieждzie, czym zajmuje się Werner, nie wchodziło oczywiście w rachubę. Oznaczałoby to złamanie partyjnej dyscypliny równające się zdradzie, która w owym czasie była dla mnie nie do pomyślenia.

Spotkaliśmy się na obiedzie w jednej z dwóch „wolnorynkowych restauracji” w Baku. „Restauracje wolnorynkowe” były jeszcze wówczas tolerowane, ale uchodziły za spelunki, do których mogą zaglądać tylko cudzoziemcy, rekiny czarnego rynku i inne „niedobitki nepowskich pasożytów”. W każdym mieście była jedna lub dwie takie restauracje – największą sławę miała moskiewska Café Metropole – i wszyscy wiedzieli, że każde słowo wypowiedziane w takim miejscu już po godzinie jest znane GPU. Ale tylko tam można było zjeść i wypić (słono płacąc) w niemal przedrewolucyjnej atmosferze, wśród uśmiechniętych kelnerów i dźwięków cygańskiej orkiestry. Pokusa była tak silna, że choć wizyta w „wolnorynkowej restauracji” mogła narazić człowieka na kłopoty, panował tam zawsze tłok.

Nadieжда nie chciała przyjść. Zrazu dumnie odmówiła, ale zdradziły ją oczy, w których błyszczała ciekawość i pożądlivość. Czulem ucisk litości w sercu, ilekroć widziałem, jak zza klasycznego profilu wyłania się smutna mała dziewczynka. Nieomal wołałem, aby pozostała wyniosła i nieprzystępna. Trzymanie w objęciach młodej greckiej bogini, którego to zaszczytu od czasu do czasu dostępowałem, było bluźnierstwem i świętokradztwem. Podczas całej mojej pogoni

za ideałem kobiety żądzę zawsze towarzyszyło pragnienie kultu; teraz odkryłem, ku swojej zgrozie i radości, że pragnienie kultu może być silniejsze niż żądza.

Nadieżda w końcu przyjęła zaproszenie, ale nie przyszła w nowym swetrze i zamszowych butach. Miała na sobie swój czarny dopasowany kostium. W restauracji zaległa cisza, kiedy szła, a raczej płynęła między stolikami w naszą stronę. Oczy Wenera przez chwilę zrobiły się okrągłe. Nadieżda powitała nas swoim pełnym wdzięku, lekkim skinieniem głowy, które tak dobrze znałem. Czułem jednak, że od pierwszego wejrzenia poczuła do Wenera antypatię.

Nie pamiętam, czy mówiłem kiedyś Nadieżdzie, że należę do partii, ale nawet jeśli nie, to domyśliła się tego. O Wenerze powiedziałem jej tylko tyle, że jest młodym Niemcem, którego poznałem przypadkiem w sklepie, i że pracuje w związkach zawodowych. Teraz zrozumiałem, że poznanie ich ze sobą było błędem. Werner i ja żyliśmy w różnych światach, a przecież coś nas ze sobą łączyło – tym czymś była partia. Z początku sądziłem, że Nadieżda jest zazdrosna o to, że mamy wspólne sprawy, o których ona nic nie wie; potem uświadomiłem sobie, że jest nie tylko zazdrosna, ale boi się, i że nie ufając Wenerowi, przestała też ufać mnie. Czułem, że coś się między nami psuje i że nie mogę temu zapobiec.

Wiedziałem już, jak wygląda Nadieżda, gdy się boi, widziałem więc, że teraz boi się Wenera. Strach okazywała tak, jak robią to ludzie odważni. Trzymała głowę nieco wyżej niż zwykle i zachowywała się bardzo spokojnie, jakby czekając bez ruchu na cios katowskiego topora – niczym Maria Antonina na szafocie. W Rosji nie uważa się za tchórza kogoś, kto okazuje przyjaźń ludziom, których się boi, a duma nie uchodzi za zaletę. Nadieżda jednak ani razu nie uśmiechnęła się do Wenera. Była uprzejma, powściągliwa i nieobecna, jakby oddalona od nas o całe mile, choć przecież czułem zapach jej perfum.

W rozpaczy piłem jeden kieliszek wina za drugim. Po drugiej butelce napięcie nieco zelżało, ale tylko pozornie. Na domiar złego odkryłem, że Wenera nie tylko onieśmiela niezwykłą urodą Nadieżdy, ale że cierpi on na kompleks niższości. Kiedy byliśmy sami, nie dawał tego po sobie poznać, w partii klasę robotniczą uważano przecież za coś

lepszego od mieszczaństwa. Ale przy naszym restauracyjnym stole znalazł się w mniejszości, nie umiał elegancko posługiwać się widelcem i nożem – a na ten odwieczny kompleks niższości nawet marksizm nie potrafi nic poradzić. Ja tymczasem miałem głębokie poczucie winy wobec proletariatu, którego Werner był wzorcowym przedstawicielem – garbaty ulicznik, koci morderca, ścigany i prześladowany, który poniósł dotąd sto razy większe ofiary dla partii niż ja, mieszczański inteligent, kiedykolwiek poniosę. Nie potrafiłem pocieszyć Nadzieży ani złagodzić jej niepokoju; zamknęła się w sobie. Ale mogłem ośmielić nieco Wenera, podkreślając naszą zażyłość i solidarność. Zachowanie Nadzieży musiało mu się wydać zwyczajną zarozumiałością osoby z wyższych sfer. Jej postawa jeszcze bardziej zbliżyła mnie do Wenera.

Nie byłem świadom wyboru, dokonałem go bezwiednie i odruchowo. Ale tak jest z większością zdrań. Nikt nie mówi sobie w pewnej chwili: „Zostanę zdrajcą”. Człowiek stopniowo osuwa się w otchłań zdrady.

Przez tydzień lub dziesięć dni po niefortunnym obiedzie Nadzieża unikała mnie. Kiedy dzwoniłem, wymawiała się brakiem czasu. Nie pokłóciliśmy się, nie padło między nami ani jedno niemiłe słowo. Potem przypadkiem spotkaliśmy się na ulicy i od tej chwili aż do mojego wyjazdu wszystko było znów jak dawniej – ale tylko pozornie. W istocie nic nigdy nie jest „tak jak dawniej”. Nie wyjaśniła, dlaczego mnie unikała, a ja nie nalegałem.

Któregoś dnia musiałem pójść na pocztę, bo listy do mnie wysyłano na *poste restante*. Nadzieża poszła ze mną. Od mojego agenta, Karla Dunckera, otrzymałem depeszę mniej więcej takiej treści: „Sztokholm i Madryt załatwione. Zurych i Warszawa niepewne. Depeszuj trasę podróży i szybko wysyłaj tekst”. Telegram dotyczył publikacji moich artykułów w prasie zagranicznej. Ale komuś, kto o tym nie wiedział, jego treść musiała się wydać tajemnicza i podejrzana.

Włożyłem telegram do kieszeni płaszcza. Po drodze z poczty Nadzieża, jak to miała w zwyczaju, szła przytulona do mnie, trzymając rękę w kieszeni mojego płaszcza. Rozstaliśmy się pod jej biurem. Po przyjściu do domu sięgnąłem do kieszeni. Depeszy nie było.

Mogła wypaść przypadkiem, ale z różnych względów było to

nieprawdopodobne.

Wydawało mi się, że są tylko dwa wyjaśnienia. Pierwsze: Nadieżda pracuje dla GPU, a całe jej zachowanie, włącznie z pozorną nieufnością do Wenera, jest wyrefinowaną grą. Nie miałbym o to do niej pretensji, czułbym się tylko urażony w swojej próżności. Byłem po stronie GPU, a GPU było po mojej stronie. Ale ta hipoteza z prostego powodu nie mogła być prawdziwa. GPU tak czy owak czytało wszystkie moje depeze, bo wszystkie przechodziły przez cenzurę. Nie musiało ich więc wykraść.

Według drugiej hipotezy, przeciwko której każdym włókmem swego ciała się buntowałem, Nadieżda była agentką obcego państwa. Nie mogłem jednak zrozumieć, jakie obce państwo mogło się interesować depezą do pana Arthura Koestlera, dziennikarza. Cała historia wydawała mi się absurdalna. Potem jednak przypomniałem sobie, że w trakcie swojej działalności w aparacie partyjnym chciwie zbierałem wszelkie informacje, istotne i nieistotne, aby mieć co napisać w raporcie dla Edgara. W tym świetle moja hipoteza stawała się nieco bardziej prawdopodobna.

W końcu postanowiłem powiedzieć Wenerowi o zaginięciu depezy.

Donoszenie było podstawowym obowiązkiem członka partii i próbą jego lojalności. W czasie wielkiej czystki żony denuncjowały mężów, a synom kazano podpisywać się pod żądaniem powieszenia ich ojców. Podczas siedmioletniej działalności w partii komunistycznej zadenuncjowałem lub zdradziłem tylko jedną osobę, która była mi najdroższa ze wszystkich w tym okresie: Nadieżdę. Nie przesadzam, mówiąc, że ochoczo i z radością oddałbym dla niej życie. Nie kochałem partii, dla której ją zdradziłem. Miałem co do jej polityki wątpliwości i zastrzeżenia, bywało, że się na nią oburzałem. Ale byłem jej częścią, tak jak ręce i jelita są częścią mnie. Nie był to związek, lecz tożsamość.

Wyjaśnienie, które zbyt późno przyszło mi do głowy, a które uważam dziś za prawdziwe, jest najtrudniejsze do zniesienia w całej tej historii. Nadieżda nigdy nie zadawała mi osobistych pytań. Interesowała ją Paryż i Berlin, Nil i Jordan, ale wyglądało na to, że moje życie prywatne jej nie obchodzi. W swoim zaślepieniu nie rozumiałem, że nie

ma kobiety, która nie jest ciekawa życia ukochanego mężczyzny. Nadieżda, wyniosła primabalerina o klasycznym profilu, była zbyt dumna, aby zdradzić się ze swoją ciekawością. Ukradła depeszę, bo chciała się dowiedzieć, czy pochodzi od kochanki albo żony mieszkającej w dalekim, rozjarzonym światłami Paryżu bądź Berlinie.

Tylko jedno pozwala mi żywić pewną nadzieję.

Pewnego dnia Werner zapytał mnie niby to mimochodem, dlaczego nie wezmę Nadieżdy w podróż po Azji Środkowej. Urlop z pracy można było jej załatwić bez trudu. Oficjalnie występowałaby jako moja tłumaczka, a ja miałbym towarzystwo.

Propozycja wyszła oczywiście od zwierzchników Wenera. Można ją było rozumieć dwojako. Po pierwsze: GPU chciało mieć mnie na oku. Tyle że nie raz już sam prosiłem Nadieżdę, aby ze mną pojechała, a ona odmawiała. Gdyby pracowała dla GPU, na pewno by się zgodziła, skoro życzyli sobie tego jej szefowie.

Druga możliwość była odwróceniem pierwszej. GPU chciało użyć mnie, aby mieć Nadieżdę na oku. Powiedziałem Wernerowi szczerze, że moim zdaniem o to chodzi w tej propozycji. Z niezwykłą u niego powagą odparł:

– Jeśli według ciebie nie ma nic na sumieniu, jest to najlepszy sposób, żeby jej pomóc.

Logicznie rzecz biorąc, miał rację.

Znów więc zacząłem błagać Nadieżdę, by pojechała ze mną. Odmówiła: nie zostawi ciotki ani swojej pracy. Powiedziałem, że mogę jej załatwić delegację służbową, będzie moim tłumaczem. Słabo się uśmiechając i zbliżając swoją twarz do mojej, tak że jej oczy lekko zezowały, zapytała:

– Załatwić – przez kogo?

– Przez Inturist – odparłem.

Musiało to zabrzmieć naturalnie, bo spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Wszyscy przewodnicy i tłumacze zatrudnieni w Inturiscie pracowali rzecz jasna dla GPU, ale nie musiałem o tym wiedzieć. Przez chwilę jakby się wahała, ale potem odrzuciła głowę do tyłu i rzekła stanowczo:

– Nie.

Zabrzmiało to niemal odpychająco, ale chwilę później zaproponowała wesoło, byśmy poszli na obiad do „wolnorynkowej restauracji” i posłuchali orkiestry cygańskiej. Wydawało mi się, odparłem, że jej się tam nie podoba. Znowu odpowiedziała jednym słowem, uśmiechając się:

– *Niczego.*

Zameldowałem Wernerowi, że nie udało mi się namówić Nadzieży. Jak zwykle lekko się krzywiąc i patrząc na mnie nieruchomo, powiedział:

– *Du wurdest gewogen und zu leicht befunden* (Zważono cię na wadze i okazałeś się zbyt lekki^[9]).

Było to na dzień lub dwa przed moim wyjazdem z Baku. Przez okno hotelowe dolatywało wycie syreny małego parowca pływającego po Morzu Kaspijskim, który miał mnie zawieźć na jego wschodni brzeg. Po chwili milczenia Werner rzekł bardzo wyraźnie:

– A może byś jej powiedział, żeby załatwiła sobie pracę w jakimś innym mieście?

Potem, raczej półsłówkami niż wprost, opowiedział mi o czymś, o czym wówczas nie wiedziałem, ale czego potwierdzenie znalazłem później w relacjach wielu uciekinierów ze Związku Sowieckiego. Jeśli ktoś mało ważny wzbudzał podejrzenia miejscowego GPU, mógł uniknąć represji, przeprowadzając się do innego miasta. Przeciężeni pracą funkcjonariusze GPU rzadko interesowali się ludźmi, którzy znikali z terenu ich działalności. Nie sposób było śledzić milionów osób w kraju, w którym miliony ciągle przenosiły się z miejsca na miejsce. Gdyby Nadzieję udało się przekonać do zamieszkania gdzie indziej – na przykład w Leningradzie, gdzie miała znajomych – najpewniej byłaby bezpieczna. Gdyby jednak pozostała w Baku, prędzej czy później musiała popaść w kłopoty.

Poddając mi ten pomysł, Werner dowiódł, że wierzy w niewinność Nadzieży i że chce jej pomóc. To właśnie pozwalała mi łudzić się nadzieją. Jest nawet możliwe, że Werner nie poinformował swoich zwierzchników o zaginięciu telegramu. Ale nigdy już nie będę miał co do tego pewności. Czasami wydaje mi się, że tak, innym razem, że nie.

Mój statek odpływał tuż przed północą, ale jak zwykle nie obyło się bez opóźnień. O czwartej rano wciąż spacerowaliśmy z Nadieżdą po pustych bakijskich dokach. W Baku przez okrągłą dobę z wież naftowych i wysokich kominów rafinerii padał czarny śnieg. Około pierwszej zaczęło siąpić. Nadieżda nigdy nie nosiła kapelusza ani chustki. Nafta padająca z nieba wraz z deszczem wsiąkała w jej włosy. W Baku nie można było dostać szamponu. Na widok Nadieżdy myjącej swoje piękne włosy szarym mydłem ścisnęło mi się serce.

Z Wernerem pożegnałem się w hotelu, abyśmy przed odjazdem mogli być z Nadieżdą sam na sam. Od wielu godzin toczyliśmy nużący spór. Powiedziałem, że powinna załatwić sobie pracę w Leningradzie. Zapytała dlaczego. Odparłem: „Dlatego”. Ponowiła pytanie, a ja powtórzyłem odpowiedź. Nie mogłem powiedzieć nic więcej. Mój rosyjski był ubogi, to samo dotyczyło francuskiego Nadieżdy. To, czego sobie nie powiedzieliśmy, mogło zapełnić cały tom.

Mieliśmy do siebie pisywać, a ja przyrzekłem, że po zakończeniu podróży po Azji Środkowej wrócę do Baku. Ale żadne z nas w to nie wierzyło. W dokach nie było nikogo, czasem tylko mijał nas patrol wojskowy. Inni pasażerowie spali już na pokładzie statku. My jednak chodziliśmy tam i z powrotem po deszczu zmieszonym z naftą. Ścisnąłem jej zimne palce, które wsunęła mi do kieszeni płaszcza, a każda minuta była udręką. Potem zaczęła się znowu:

– Dlaczego chcesz, żebym pojechała do Leningradu?

Nigdy dotąd nie była tak natarczywa. Ja jednak nie mogłem jej powiedzieć nic więcej.

Czekałem na syrenę statku, jak człowiek stojący pod stryczkiem czeka na otworzenie się zapadni – aby wreszcie było po wszystkim. W końcu rozległ się ryk syreny. Podeszliśmy powoli do trapu, a potem zatrzymaliśmy się. Chciałem ją pocałować, ale nie mogłem się na to zdobyć. Nadieżda nie poruszyła się. Pochyliła głowę, z której ściekała teraz woda, i utkwiała wzrok w butach, swoich ukochanych zamszowych trzewikach.

– Zupełnie je zniszczyłam – powiedziała.

Były to jej ostatnie słowa.

Ruszyłem po trapie i znalazłem się w dusznym pomieszczeniu

pełnym chrapiących ludzi. Ze względów bezpieczeństwa nikomu nie było wolno przebywać na pokładzie. Nie mogłem więc nawet pomachać Nadieżdzie na pożegnanie.

Moje listy do Nadieżdy Smirnowej pozostały bez odpowiedzi. Nie wiem nawet, czy je otrzymała. GPU jest kapryśne niczym bogowie. Nie wiem, co się stało z nią i z Wernerem.

Podczas wielkiej czystki komuniści niemieccy mieszkający w Rosji, z bardzo nielicznymi wyjątkami, zostali aresztowani, uwięzieni w obozach albo wydani gestapo. Szansa na to, że Werner przetrwał czystkę, jest niewielka.

Co do Nadieżdy, to jeżeli pozostała w Baku, nie mogła uniknąć swego losu. Jeśli jednak wyjechała w odpowiednim czasie, to być może przeżyła. Czasami myślę, że tak się właśnie stało, i próbuję sobie wyobrazić, że prowadzi normalne życie gdzieś w Moskwie albo w Leningradzie. Nie udaje mi się jednak, bo zaraz staje mi przed oczyma inny obraz – scena z restauracji, gdy Nadieżda nie chciała ani razu uśmiechnąć się do Wenera i trzymała głowę nienaturalnie wysoko i nieruchomo. Należała do ludzi, którzy, jak mówi Koran, dźwigają swój los uwiązany do szyi.

Turkiestan, Buchara i Samarkanda

Przez pierwsze dwa tygodnie w ponurym i odludnym Turkiestanie byłem pogrążony w ponurym przygnębieniu. Pustynie Turkiestanu i pustynie arabskie należały swego czasu do najbardziej niespokojnych regionów kuli ziemskiej, ale po wyczerpaniu swoich sił żywotnych powróciły do stanu bliskiego barbarzyństwa. Koczownicy z pustyń azjatyckich byli plagą starożytnych cywilizacji na Bliskim Wschodzie; podczas ostatniej kampanii podbojów Arabowie zanieśli sztandar islamu aż do Indii i Hiszpanii. Pustynia Turkiestanu Zachodniego, leżąca między Morzem Kaspijskim a wyżyną Pamir, była rejonem zwiększonego ciśnienia demograficznego, które wywołało z kolei „wielką wędrówkę ludów”.

Na początku lat trzydziestych sowiecka Azja Środkowa składała się z trzech Socjalistycznych Republik Sowieckich: Turkmenii, Uzbekistanu i Tadżykistanu. Z tych trzech Turkmenia była najbardziej odludna. Graniczyła z Morzem Kaspijskim na zachodzie, Persją i Afganistanem na południu, Amu-darią na wschodzie oraz z Kazaską Autonomiczną Socjalistyczną Republiką Sowiecką i Uzbekistanem na północy. Jej obszar miał mniej więcej powierzchnię Niemiec, ale w 1932 roku zamieszkiwało ją zaledwie milion ludzi. Prawie cały obszar kraju pokrywała pustynia. Osady ludzkie leżały tylko na jej obrzeżach, gdzie nieliczne rzeki umożliwiały nawadnianie pól, na których uprawiano przeważnie bawełnę.

Miast było niewiele. Jedno skupisko oaz znajdowało się na północy, niedaleko ujścia Amu-darii do Jeziora Aralskiego. To dawny chanat Chiwy, będący w 1932 roku wciąż czymś w rodzaju baśniowej krainy, do której od południa docierały tylko karawany. Pozostałe miasta leżały wzdłuż jednej nitki Kolei Środkowoazjatyckiej biegnącej u podnóża gór Kopet-dag, które ciągną się wzdłuż granicy perskiej. Mimo swoich egzotycznych nazw miasta te – Kyzyl Arwat, Baharden, Geok Tepe, Aszchabad, Mary – nie miały charakteru orientального, ale były typowymi rosyjskimi miastami garnizonowymi. Mieszkali w nich nie Turkmeni, lecz Rosjanie – urzędnicy, kolejarze, żołnierze, kupcy,

rzemieślnicy i inni osadnicy; ludność tubylcza wiodła nadal półkoczowniczy żywot. Zaczęło się to zmieniać dopiero podczas pierwszej pięciolatki i wywołanej przez nią rewolucji przemysłowej. Nowe fabryki przyciągnęły do miast tubylczą siłę roboczą, a stworzenie „świadomego klasowo rodzimego proletariatu przemysłowego” stało się oficjalnym celem polityki władz sowieckich we wszystkich republikach związkowych. Mimo to w 1932 roku Turkmeni wciąż stanowili mniejszość w miastach Turkmenii, nie wyłączając stolicy, Aszchabadu.

Dlatego carskie miasta garnizonowe, pokrywające jak wysypka szlachtetne oblicze Azji, były całkowicie pozbawione lokalnego kolorytu i regionalnej architektury. Bolszewicy dokończyli dzieła, które rozpoczął rosyjski imperializm. Carskie osadnictwo miało na celu utrzymanie tubylców w dotychczasowym stanie prymitywizmu i ciemnoty – w okresie rewolucji liczba piśmiennych w Turkmenii nie przekraczała jednego procenta. Reżim komunistyczny obrał pozornie przeciwny kurs, który miał jednak jeszcze tragiczniejsze skutki. Tubylców ściągnięto do miast i wykształcono, to znaczy w przyspieszonym tempie zrusyfikowano i zsovietyzowano. Dzieci koczowników zostały poddane indoktrynacji i pozbawione tożsamości narodowej. Przemocą i przy użyciu propagandy zniszczono wszelkie tradycje narodowe, folklor, rękodzieło i sztukę ludową. Pierwotne plemiona i ludy stały się nieokreśloną, bezbarwną i bezkształtną masą robotów pracujących dla totalitarnego państwa.

Z dwoma wyjątkami – starej Buchary i Samarkandy – nie pamiętam prawie nic z miejscowości, które zwiedzałem wtedy w Azji Środkowej. Po latach Krasnowodzk, Aszchabad, Mary, Taszkent zlewają się w mojej pamięci w jeden obraz, obraz ponurego i szarego rosyjskiego miasta prowincjonalnego; tyle że w Turkmenii były one jeszcze biedniejsze i bardziej ponure niż w Rosji właściwej.

W stolicy Turkmenii nie było hotelu, więc dworcowe GPU zakwaterowało mnie w tak zwanym *domie sowietow*, w którym zatrzymują się podróżujący urzędnicy. Dostałem przypominający celę więzienną pokój z metalowym łóżkiem jako jedynym meblem. Cuchnęło fekaliami, bo toaleta znajdująca się po drugiej stronie korytarza była ciągle zatkana i wylewała. Od wyjazdu z Baku cierpiałem na ciężką

depresję. Położyłem się na łóżku i czułem się zapomniany przez Boga w tym zapomnianym przez Boga kraju. Po drodze z dworca do *doma sowietow* samochodem GPU zobaczyłem już wszystko, co było do zobaczenia w stolicy Turkmenii, a co wyglądało dokładnie tak jak przedmieścia Charkowa. Co ja u licha robiłem w Aszchabadzie?

Leżałem na łóżku bez pościeli, dręczony czarnymi myślami, wdychając wyziewy kanalizacyjne i licząc plamy na ścianie pozostawione przez rozgniecione pluskwy. Nagle usłyszałem dźwięki gramofonu. W sąsiednim pokoju ktoś ze zdartej płyty słuchał popularnego wówczas wyciskacza łez śpiewanego przez Sophie Tucker, *My Yiddishe Momma*. Brzmiało to dość niesamowicie w *domie sowietow* w Aszchabadzie, wstałem więc, żeby się dowiedzieć, kim jest mój sąsiad. Zapukałem, otworzyłem drzwi i zobaczyłem młodego amerykańskiego Murzyna, który kuczał przy przenośnym gramofonie w pustym pokoju takim jak mój i wydawał się pogrążony w takiej samej jak ja melancholii. Okazało się, że to pisarz James Langston Hughes, którego *Shoeshine Boy* z zachwytem czytałem w Berlinie.

Hughes poczęstował mnie wódką i kielbasą z wielbłąda (która razem ze słodkim turkiestańskim melonem zastąpiła w Azji czerwony kawior, moje dotychczasowe główne pożywienie) i nad tymi delikatesami opowiedział mi swoją tragikomiczną historię. Przyjechał do Związku Sowieckiego przed kilkoma miesiącami z około czterdziestoosobową trupą murzyńskich aktorów i śpiewaków zaproszonych przez MIEŻRABPOM, sowiecki trust filmowy, w celu nakręcenia filmu o prześladowaniach Murzynów. Hughes miał napisać scenariusz. Ale kiedy znaleźli się w Moskwie, ZSRS i USA nawiązały rozmowy dyplomatyczne, które w 1933 roku doprowadziły do oficjalnego uznania państwa sowieckiego przez Stany Zjednoczone. Amerykanie postawili szereg warunków, między innymi zażądali od Rosji zaprzestania propagandy wśród amerykańskich Murzynów. Dlatego MIEŻRABPOM z dnia na dzień zrezygnował z nakręcenia filmu.

Przez kilka tygodni Amerykanie tkwili beczynnie w Moskwie. Potem działacze Inturistu zabrali ich na wycieczkę po Krymie i w końcu wyprawili z powrotem do Stanów, wyrażając żal i uśmiechając się

przeprasza­jąco. Natomiast Hughesowi, który zdobył już w Ameryce nazwisko i którego nie można było pozbyć się w ten sposób, zaproponowano wydanie książki. Miał w niej napisać o życiu ludzi w rejonach uprawy bawełny w Azji Środkowej i porównać je z położeniem robotników na plantacjach amerykańskiego Południa. Hughes całym sercem popierał wówczas Związek Sowiecki, ale o ile pamiętam, nie należał do partii. Był pisarzem angażującym się w politykę z pobudek czysto humanitarnych. Nie wiedział nic o związku między amerykańsko-sowieckimi pertraktacjami a odstąpieniem MIEŻRABPOM-u od nakręcenia filmu – ja zresztą też.

Zaakceptowawszy propozycję, Hughes pojechał do Aszchabadu. Tu skończyły mu się pieniądze. MIEŻRABPOM wypłacił mu pewną kwotę na podróż i obiecał dosłać resztę. W tym okresie jednak rząd sowiecki prowadził rygorystyczną politykę deflacyjną. Wszystkim organom administracyjnym i instytucjom produkcyjnym brakowało gotówki i całymi tygodniami nie mogły one dotrzymać swoich zobowiązań finansowych, włącznie z wypłatą pensji i innych wynagrodzeń. Hughes wysyłał jedno ponaglenie za drugim do MIEŻRABPOM-u, ale na żadne nie doczekał się odpowiedzi. Przez ostatnie trzy tygodnie mieszkał jako swego rodzaju pensjonariusz aszchabadzkiego GPU w *domie sowietow*, kupując żywność na kredyt w kantynie GPU i sklepach spółdzielczych. Całą tę historię uważał za dobry dowcip – jedno z tych zabawnych zdarzeń, które są nieuchronne w kraju wielkiej rewolucji.

Oburzony tym, jak potraktowano Hughesa, bez jego wiedzy wysłałem do Kominternu długi telegram, opisując sytuację Amerykanina i grożąc, że w Stanach Zjednoczonych wybuchnie skandal, gdy rozejdzie się wieść, że czołowy pisarz murzyński został podstępem zwabiony do Aszchabadu i pozostawiony tam na łasce losu. Skutek przeszedł wszelkie oczekiwania: pieniądze dla Hughesa nadeszły już po kilku dniach.

Skuteczność mojej interwencji można wytłumaczyć następująco. Ponieważ podlegałem niemieckiej sekcji Kominternu, a Hughes amerykańskiej, zgodnie z tradycją międzyresortowej rywalizacji sekcja niemiecka skwapliwie skorzystała z okazji, aby dokuczyć swoim

amerykańskim kolegom, informując o sprawie prezydium Kominternu.

W średniowieczu Bucharą i Samarkandą były ukrytymi klejnotami Azji Środkowej. W Samarkandzie miał stolicę Timur i jego następcy, w Bucharze znajdował się najśłynniejszy w świecie islamu ośrodek nauki. Od dzieciństwa nazwy tych dwóch miast były dla mnie pełne czarodziejskiego uroku. Nigdy nie marzyłem, że będę mógł je zwiedzić. Na szczęście trafiłem na ów krótki okres w ich dziejach, w którym stały się względnie łatwo dostępne dla Europejczyków. Mimo to w pamięci pozostały mi tylko nieliczne obrazy o nieprzemijającej piękności, zresztą nierozzerwalnie związane z widokami nędzy i zaniedbania oraz atmosferą bezmiernego smutku. Rosjanie potraktowali te dwa cudowne miasta równie bezlitośnie, jak uczyniły to kiedyś wojska Czyngis-chana.

Pamiętam, jak szedłem przez pusty samarkandzki Registan w towarzystwie Uzbeka, oficera Armii Czerwonej. Mój rozmówca urodził się w Samarkandzie i mimo że był prawowiernym komunistą, kochał swoje miasto i jego przeszłość jak współczesny ateńczyk kocha Ateny, a rzymianin – Rzym. Registan w Samarkandzie musiał być kiedyś najbardziej imponującym i najpiękniejszym pomnikiem islamu. Jest to rozległy symetryczny plac otoczony przez trzy słynne medresy: Uług Bega, Szir Dar i Tillja Kari, które jeszcze dziś wywierają wielkie wrażenie i budzą respekt. Ich fasady zdobi nieskończenie skomplikowana, misterna plątanina rzeźbionych, ażurowych i emaliowanych kolumn i łuków. Mozaiki pokrywające mury ułożone są z emaliowanych kamyczków w kolorze turkusowym, złotym, różowym i zielonym – zastygły na wieki fajerwerk barw. Widziałem już niebiesko-złote meczety Jerozolimy, Bagdadu i Damaszku, potem miałem jeszcze zobaczyć grenadyjskie i sewilskie; ale w Samarkandzie geniusz kulawego wodza i jego następców stworzył syntezę architektury arabskiej, perskiej i dalekowschodniej tak oryginalną i zachwycającą, że chciało się tylko usiąść w cieniu niszczyjących turkusowych arkad i płakać. Łuki kruszały, kamyczki mozaiki odpadały od ścian, a ich potrzaskane kawałki wały się wśród gruzów cuchnących psią uryną.

Oficer uzbecki patrzył zgnębiony na te rozsypujące się cuda architektury. Jako człowiek małomówny powiedział tylko:

– Rząd przyznał sto pięćdziesiąt tysięcy rubli na prace

konserwatorskie.

Podczas swego rocznego pobytu w Rosji, w czasie którego żyłem jak asceta, wydałem prawie 10 procent tej kwoty.

„Wstawajcie, wstawajcie, wypróżnijcie się, gimnastykujcie się, gimnastykujcie się, dziesięć minut kultury fizycznej, jedzcie śniadanie, jedzcie śniadanie, a teraz pora do pracy”.

Komendy te wykrzykiwano przez megafon zainstalowany na placu w Bucharze. Megafony zastąpiły w tym mieście muezinów. Ich mechaniczne, hipnotyzujące komendy skojarzyły mi się z jedną ze scen z *Nowego wspaniałego świata* Aldousa Huxleya.

Szlachetna Bucharą została zsovietyzowana brutalniej niż inne miasta azjatyckiej części ZSRS. Całą starówkę zrównano z ziemią. Bazary – niegdyś najsłynniejsze w Azji Środkowej – były martwe. Nie było już kramów z dywanami, jedwabiem, tkaninami, wyrobami złotników i kotlarzy, karakułami, rzadkimi rękopisami, księgami i egzotycznymi przyprawami. Trzysta sześćdziesiąt meczetów i sto czterdzieści medres również było martwych. Kilka zamieniono na szkoły, resztę zburzono. Słynne księgi i manuskrypty, dzięki którym Bucharą była ośrodkiem nauki, zostały spalone, rozkradzione, zniszczone. Sięgający pięćdziesięciu metrów minaret Kalan, z którego zrzucano bluźnierców i heretyków, zburzono. W cytadeli urządzono internat dla studentów, w jej wielkim holu sypialnię, a w haremie emira – zakład dla umysłowo chorych.

– Za cztery lata – oświadczył nam z dumą przewodniczący komitetu planowania miasta – Bucharą stanie się europejskim miastem.

Na widok opustoszałej Samarkandy krajało się serce, zniszczona Bucharą nie budziła takich emocji. Przez trzy ostatnie wieki była bowiem miastem jak z koszmarnego snu – fanatyzm islamski stał się tu rodzajem zbiorowego obłędu. Ostatni emirowie prześcignęli w okrucieństwie nawet na wpół obłąkanych chanów Chiwy. W Chiwie węgierski podróżnik Ármín Vámbéry był świadkiem publicznego wyłupiania oczu trzydziestu sędziwym jeńcom wojennym. W Bucharze przestępców wrzucano do wyschłych studni, strącano z dachu meczetu albo podrzynano im gardła na placu. Wszelkie odstępstwo od religijnej ortodoksji, przewinienie seksualne albo krytyka absolutnego władcy były

natychmiast karane śmiercią. Vámbéry opisuje, jak *raiz* (strażnik religii) „z dziewięciornym biczem w ręku przemierza ulice i miejsca publiczne, przepytuje każdego przechodnia z zasad islamu, a nieuków odsyła do szkoły dla chłopców, choćby byli sześćdziesięcioletnimi starcami z siwymi brodami”.

Emir i jego dwór zmuszali ludność terrorem do ascetycznego życia, ale sami pławili się w luksusach i rozpuście. Jedynym budynkiem, który, o ile mnie pamięć nie myli, władze sowieckie zachowały w stosunkowo dobrym stanie i udostępniały zwiedzającym, był pałac ostatniego emira; miał on służyć jako pamiątka strasznej przeszłości. Wzniesiono go i urządzono na przełomie wieków, dając pokaz komicznie złego gustu. Ostatni emir miał chyba obsesję na punkcie luster, ponieważ widziało się je wszędzie, jak w niektórych paryskich domach publicznych – na suficie nad łóżkiem, na przenośnych parawanach, na ścianach i drzwiach, a nawet w jedynej w pałacu toalecie (w haremie była tylko zbiorowa latryna). Komnata audiencyjna była groteskową imitacją wersalskiej Galerii Zwierciadlanej; stał tam przenośny tron obity czerwonym pluszem. W otoczonej murem części ogrodu przylegającej do haremu połyskiwała tafla sztucznego jeziora, w którym nałożnice kąpały się nago, a emir przyglądał się im z balkonu wybudowanym specjalnie w tym celu. Wszystko wyglądało tak, jak pałac orientального despoty wyobrażają sobie autorzy brukowych powieści.

„Pora na spoczynek, uziemcie swoją antenę radiową, sprawdźcie, czy wasza antena jest uziemiona. Wywietrzcie swój pokój, wywietrzcie swój pokój. Dobranoc”.

Megafony umilkły. Czerwony sierp księżycy wzeszedł nad rozpadającymi się minaretami szlachetnej Buchary, która za cztery lata miała przestać istnieć.

Czerwone dni i białe noce

Po kilku dniach w Taszkencie, bezbarwnej stolicy administracyjnej republik środkowoazjatyckich, i tygodniu w sowchozie w Kazachstanie moja podróż dobiegła końca. Wróciłem do Moskwy, ale wpływy mojej organizacji, albo moja pozycja w niej, nie wystarczyły, abym otrzymał własne lokum, w którym mógłbym napisać zamówioną książkę.

Pojechałem więc do Charkowa, do gościnnych Weissbergów. Przez dwa tygodnie mieszkalem u Aleksa i Evy, a potem udało mi się załatwić pokój w charkowskim hotelu Inturistu, gdzie późną zimą i wiosną 1933 roku napisałem *Von weißen Nächten und roten Tagen*.

W tym czasie Hitler został kanclerzem, a miesiąc później naziści urządzili naszym towarzyszom partyjnym noc św. Bartłomieja. Dowiedziałem się o tym pewnego wieczoru w mieszkaniu Weissbergów – Alex opisał to wydarzenie w swojej *Wielkiej czystce*. Graliśmy w pokera na kopiejki: Alex, ja i Lew Szubnikow, kierownik laboratorium niskich temperatur Instytutu Fizyczno-Technicznego. Szubnikow był uroczym profesorem, bardzo roztargnionym i cokolwiek ekscentrycznym. Kiedy jeden z nas rozdawał karty, profesor powiedział ni z tego, ni z owego:

– A więc podpalili Reichstag. Zastanawiam się, po co Hitler to zrobił?

– Co? – krzyknęliśmy obaj z Alekssem.

– Nie wiecie? Naziści podpalili wasz parlament. Słyszałem w radiu.

Alex i ja od razu zrozumieliśmy, co to oznacza. Podczas pierwszego miesiąca koalicyjnych rządów Hitlera narodowi socjaliści zachowywali pozory praworządności i demokracji. Teraz zrzucili maskę i pokazali prawdziwe oblicze: zaczął się terror, a Niemcy stały się państwem totalitarnym. Przewidywaliśmy to od dawna; ale jak zwykle w takich wypadkach bywa, spełnienie naszych mrocznych prorocत्व okazało się zupełną niespodzianką. Nie pamiętam, co zrobiłem ani co mówiłem. Alex pisze w swojej książce, że wyszedłem z pokoju, aby się spakować i wracać do Berlina, ale on przekonał mnie, abym zaczekał

na dokładniejsze informacje. Najwidoczniej wciąż wierzyłem, że partia będzie walczyć na barykadach, o których tyle mówiliśmy w swoich przemówieniach i które opiewaliśmy w rewolucyjnych pieśniach.

Jeszcze tego samego wieczoru nadeszły wiadomości, które pozbawiły nas wszelkich złudzeń. Nikt nie wznosił barykad. Partia, która podczas ostatnich wyborów zdobyła pięć milionów głosów, skapitulowała bez walki. Hitler odniósł całkowite i ostateczne zwycięstwo.

Podczas naszej partii pokera w mojej sytuacji życiowej zaszła zasadnicza zmiana, z której przez długi czas nie zdawałem sobie sprawy. Przestałem być turystą, stałem się politycznym uchodźcą – i pozostanę nim przez następne trzynaście lat.

Jednakże przez pewien czas w moim życiu nic się nie zmieniło. Nadal pisałem książkę i martwiłem się nie o przyszłość Europy ani swoją własną, ale o to, jak pracować w nieogrzewanym pokoju podczas srogiej ukraińskiej zimy. Oto bowiem w tym roku głodu i społecznych katastrof doszło do jeszcze jednego nieszczęścia: w Charkowie nie było prądu – a centralne ogrzewanie w hotelu Regina miało zasilanie elektryczne. Na dworze temperatura często spadała do trzydziestu stopni poniżej zera. Kiedy paliło się na dworze papierosa, woda zawarta w tytoniu zamarzała i papieros robił się twardy jak patyk; człowiek miał wrażenie, że je nikotynowe lody. W moim pokoju woda w kranie była stale zamarznięta, a temperatura rzadko przekraczała zero stopni. Zrazu próbowałem pracować w łóżku, ale okazało się to niewygodne. Stukałem więc na maszynie okutany w waciak i w rękawiczkach.

Prądu nie było przez całą zimę. Ukraińska stolica żyła w permanentnym zaciemnieniu, sparaliżowana głodem, mrokiem i mrozem. Elektryczne tramwaje – straszliwie zatłoczone nawet w normalnych warunkach – jeździły teraz tylko przez dwie godziny dziennie, aby dowieźć robotników do fabryk i odwieźć ich z powrotem. Urzędnicy pracowali przy świetle lamp naftowych, a kiedy zabrakło nafty – kaganków. Siedzieli skuleni w swoich waciakach, otoczeni obłoczkami pary z oddechów niczym święci w niebie. Po ósmej wieczorem ulice były tak wyludnione, jak w mieście za kołem podbiegunowym podczas nocy polarnej.

Pewnego dnia pokojówka z naszego uprzywilejowanego hotelu

zemdlała z głodu. Okazało się, że nie jadła od trzech dni; dopiero co przyjechała ze wsi, więc spółdzielnia nie wydała jej trzydniowej racji, czyli tysiąca ośmiuset gramów, czarnego chleba. Dzienny przydział chleba wynosił wówczas osiemset gramów dla robotników fabrycznych, sześćset gramów dla innych pracowników fizycznych i czterysta gramów dla pracowników biurowych. Chleb, kilka listków herbaty oraz od czasu do czasu kapusta albo solony śledź – to było wszystko, co wydawano na kartki żywnościowe. Na wsi ludzie umierali z głodu, w miastach wegetowali na granicy przeżycia. Wydawało się, że życie stanęło w miejscu, a cała machina administracyjna za chwilę się rozpadnie.

W prasie sowieckiej nie mogła ukazać się najmniejsza wzmianka o panującej w kraju sytuacji. Rząd był zdecydowany ukryć przed ludźmi prawdę o ich własnym położeniu. Tylko w państwie, w którym wszystkie informacje zostały scentralizowane na czubku piramidy, a środki łączności znajdowały się w rękach rządu, to zadanie mogło zostać wykonane. Prasa sowiecka była objęta tak ścisłą kontrolą, jakiej nazistom nigdy nie udało się wprowadzić. W każdym mieście, włącznie z Moskwą, ukazywały się dwie gazety poranne: rządowa i partyjna. Gazety rządowe drukowały codziennie artykuł wstępny z moskiewskich „Izwestij”, przesyłany drogą telegraficzną lub radiową. Gazety partyjne zamieszczały wstępniak z „Prawdy”. Wszystkie informacje krajowe i zagraniczne rozsyłała jedna jedyna agencja prasowa, TASS. O wydarzeniach lokalnych pisano wyłącznie na podstawie oficjalnych komunikatów. Wskutek tej totalnej centralizacji wiadomości ludzie nie tylko nie wiedzieli nic o wydarzeniach zagranicznych, ale także o tym, co się zdarzyło poza najbliższą okolicą.

Każdego ranka dowiadywałem się więc z charkowskiej gazety o wykonaniu lub przekroczeniu planów produkcyjnych, o entuzjastycznym współzawodnictwie między brygadami szturmowymi w fabrykach, przyznaniu Orderów Czerwonego Sztandaru, nowych gigantach przemysłowych na Uralu i tak dalej. Na zdjęciach byli albo młodzi ludzie, zawsze roześmiani i trzymający jakiś sztandar w rękach, albo jakiś miły staruszek z Uzbekistanu, zawsze uśmiechnięty i pilnie uczący się alfabetu. Ani słowa o lokalnej klęsce głodu, epidemii tyfusu, wymarciu całych wsi; w charkowskiej gazecie nigdy nie wspomniano

nawet o tym, że w Charkowie nie ma prądu. Miałem wrażenie, że żyję w jakiejś sennej nierzeczywistości, a gazeta informuje o innym kraju, nie mającym nic wspólnego z tym, w którym żyjemy. To samo dotyczyło radia. Toteż ludzie z Moskwy nie mieli pojęcia, co słychać w Charkowie, a jeszcze mniejsze o tym, co się dzieje w Taszkencie, Archangielsku albo Władywostoku, odległym w najlepszym razie o dwanaście dni drogi koleją – i to w kraju, w którym tak szybko podróżowali tylko urzędnicy państwowi, nie należący do rozmownych. Ogromny kraj spowijał całun milczenia i nikt spoza wąskiego kręgu wtajemniczonych nie znał prawdziwego obrazu sytuacji.

W kwietniu skończyłem pisanie *Von weißen Nächten und roten Tagen*. Dałem tekst do przepisania w sześciu egzemplarzach i rozesłałem je do wydawnictw państwowych w Moskwie, Charkowie, Tyflisie i Erywaniu, które podpisały umowę na rosyjskie, niemieckie, ukraińskie, gruzińskie i ormiańskie wydanie książki. Umów tych, przewidujących między innymi wypłatę sowitych zaliczek, nie zawdzięczałem swojej sławie literackiej – która wówczas nie istniała, bo nie wydałem jeszcze żadnej książki – ale listowi polecającemu z Kominternu. Na jego widok dyrektor wydawnictwa państwowego w Charkowie albo w Erywaniu nie mógł odmówić wydania książki, uznanej za ważny wkład do walki na froncie propagandowym, jeśli nie chciał się narazić na oskarżenie o sabotaż. W ten właśnie pośredni sposób Komintern sfinansował mój pobyt w Związku Sowieckim. Dzięki podobnym metodom zapewniano sobie współpracę autorów zagranicznych, którzy nie należeli do partii. Rzecz jasna z wielką radością dowiadywali się oni, że Uzbegy, Tadżykowie i Eskimosi pragną czytać ich książki i bardzo by się oburzyli, gdyby im powiedzieć, że zaliczki od różnych wydawnictw sowieckich to zwykłe łapówki.

Ale mimo że zawarłem wiele umów, ukazało się tylko niemieckie wydanie *Von weißen Nächten und roten Tagen*. Był to cienki tomik w broszurowej oprawie, opublikowany w Charkowie i przeznaczony dla niemieckojęzycznej mniejszości mieszkającej na Ukrainie. Mój maszynopis został tak pocięty przez cenzurę, że ostała się niecała połowa oryginalnego tekstu. Książka wyszła drukiem w 1934 roku, już po moim wyjeździe ze Związku Sowieckiego. Nie przysłano mi egzemplarza

autorskiego. O tym, że rzecz została wydana, dowiedziałem się dopiero trzynaście lat później, gdy nieznany czytelnik amerykański przysłał mi egzemplarz, który wpadł mu przypadkiem w ręce podczas podróży do Związku Sowieckiego.

Z punktu widzenia prestiżu pisarskiego liczyło się tylko rosyjskie wydanie, które jednak nie ujrzało światła dziennego. Trzy miesiące po złożeniu maszynopisu dowiedziałem się od jednego z wysokich urzędników moskiewskiego trustu wydawniczego, że książkę odrzucono, ponieważ została napisana „zbyt swobodnym i niepoważnym stylem”. Był to dla mnie oczywiście bolesny zawód. Mogłem się tylko pocieszać, że nie zostałem oskarżony o żadne polityczne odchylenie i moje akta partyjne pozostały czyste.

Mniej więcej w tym czasie Paul Dietrich, przyjaciel i bezpośredni przełożony w niemieckiej sekcji Kominternu, poinformował mnie, że partia sprzeciwiła się mojemu dalszemu pobytowi w Związku Sowieckim. Działacze i intelektualiści z KPD, którym udało się uciec z Niemiec przed hitlerowskim terrorem, stworzyli w Paryżu ośrodek propagandy antyfaszystowskiej. Polecono mi do nich dołączyć.

Pomimo że w Związku Sowieckim bez trudu znalazłbym pracę, a w Paryżu musiałem zaczynać wszystko od nowa, przyjąłem tę wiadomość z ogromną ulgą. Choć byłem komunistą, życie w Rosji strasznie mnie przygnębiało. Ale dopiero teraz, w obliczu wyjazdu, mogłem przyznać sam przed sobą, jak bardzo było ono smutne i posępne. Brudne ulice, wszechobecna brzydota i nędza, ponura pompatyczność wszystkiego, co się czytało i słyszało, atmosfera zakładu poprawczego dla nieletnich. Poczucie odcięcia do świata. Śmiertelna nuda prasy, w której na próżno było szukać czegoś krytycznego lub kontrowersyjnego, zbrodni, sensacji, plotek, skandali obyczajowych, czegokolwiek, co ludzkie. Nieustanne apele i kazania, stereotypowa jednolitość wszystkiego, wszechobecne portrety Starszego Brata, który patrzył na człowieka z każdego kąta. Przytłaczająca beznadziejność uprzemysłowionego Neandertalu.

A mimo to pozostałem wierzącym komunistą. Wraz z innymi towarzyszami z krajów zachodnich byłem przekonany, że warunki życia w Związku Sowieckim nie są wynikiem błędów w naszej doktrynie, ale

zacołania sowieckiego społeczeństwa. W Niemczech, Austrii albo Francji rewolucja miała wyglądać zupełnie inaczej. Wśród niemieckich komunistów w Rosji krążyło powiedzenie, które powtarzano sobie tylko szeptem: „*Wir werden es besser machen*” – „My zrobimy to lepiej”. Innymi słowy, każdy komunista, który mieszkał jakiś czas w Związku Sowieckim, wracał do ojczyzny jako skryty titoista.

Przekonanie, że „zrobimy to lepiej”, pozwoliło mi zachować wiarę w komunizm. Nie była to już owa naiwna wiara sprzed roku, z którą wsiadałem w Berlinie do pociągu, spodziewając się, że pojedę nim prosto do Utopii. Stała się wiarą cokolwiek tęskną i ezoteryczną, ale tym trudniejszą do zachwiania. Wierzyłem teraz w komunizm nie ze względu na przykład Związku Sowieckiego, ale pomimo niego. A wiara wyznawana „pomimo czegoś” jest zawsze trwalsza i mniej podatna na rozczarowania niż ta, którą wyznaje się „ze względu na coś”. Ostatnie tygodnie pobytu w Rosji spędziłem w Moskwie. Poznałem wielu działaczy wysokiego szczebla z Kominternu i aparatu państwowego, między innymi Michaiła Kolcowa, Karola Radka i Nikołaja Bucharina. Bucharin i Radek zrobili na mnie duże wrażenie, ale spotkałem się z nimi tylko raz i to w dość oficjalnych okolicznościach, trudno mi więc cokolwiek o nich powiedzieć, opierając się na tak skąpej podstawie. Poza tym pewne ich cechy zawarłem w postaci Rubaszowa w *Ciemności w południe* i dziś nie potrafię już stwierdzić, które z nich należą do żywych ludzi, a które tylko do bohatera mojej powieści.

U wszystkich tych działaczy rzucało się w oczy wielkie zmęczenie. Im wyżej stali w hierarchii, tym bardziej byli zmęczeni. Nigdzie nie widziałem tak wyczerpanych ludzi jak wśród sowieckich polityków, wśród bolszewickiej starej gwardii. Nie był to tylko skutek przepracowania, nerwów i ciągłego niepokoju. Płacili teraz za przeszłość, za lata konspiracji, więzień i zesłania; za lata głodu i wojny domowej; lata, kiedy w każdej chwili musieli być gotowi oddać życie dla sprawy. Byli rzeczywiście „trupami na urlopie”, jak ich kiedyś nazwał Lenin. Nic nie mogło ich już przerazić ani zdziwić. Dali z siebie wszystko. Historia wyżyła ich do ostatniej kropli, spaliła ich ostatnią duchową kalorię; oni jednak wciąż żarzyli się zimnym światłem poświęcenia jak fosforyzujące zwłoki.

Wyjechałem z Rosji latem 1933 roku.

Kilka tygodni przed wyjazdem siedziałem na tarasie Café Metropole w Moskwie w nastroju samobójczej depresji. Orkiestra grała popularną wówczas piosenkę. Jej refren brzmiał:

Jeśli mnie kochasz, musisz dla mnie kraść

I bajkę o szczęściu opowiadać mi ...

Wypiłem trzy wódki i ostatnie słowa piosenki, wraz z rzewną melodią i moim smutnym nastrojem, podziałały na mnie hipnotycznie. Pograżyłem się w długim śnie na jawie, w „bajce o szczęściu”, jak to ujął ckliwy refren. W tym śnie przyszedł mi do głowy pomysł sztuki. Dwóch zwiadowców z odległej, przeludnionej planety, którzy szukają terenów nadających się do kolonizacji, ląduje na Ziemi. Wyjaśniają ludzkości, że tylko szczęśliwe planety mają kosmiczne prawo do istnienia, i dają jej trzy dni na zorganizowanie szczęścia na Ziemi. Jeśli Ziemianom się nie powiedzie, położą kres ich niedoli, a ich planeta zostanie przeznaczona do lepszych celów. W obliczu takiego ultimatum rząd podaje się do dymisji, opozycja umywa ręce i władzę przejmują dyletanci, którzy mianują dyktatorem szczęścia szalonego poetę o imieniu Świetlik. I oto, ku ogólnemu zdumieniu, zapanowuje powszechna szczęśliwość: pieniądze zostają zniesione, władza zlikwidowana, wszelkie tabu zniszczone, a wszystkie drzwi szeroko otwarte. Niestety, pod koniec trzeciego dnia zwiadowcy okazują się oszustami. Ponieważ szczęście nie jest już potrzebne, stary porządek zostaje przywrócony i wszyscy wracają do swego dawnego nieszczęśliwego życia.

Bez chwili zwłoki zabrałem się do pisania sztuki, używając do tego papierowych serwetek z Café Metropole. Z komunistycznego punktu widzenia była to oczywiście niewybaczalna herezja: „eskapizm” to niemal najcięższy grzech dla komunisty, więc czułem się jak psotny uczeń rysujący obsceniczne obrazki na tablicy przygotowanej do uroczystej lekcji historii. Sztukę ukończyłem w ciągu trzech tygodni, ostatni akt pisząc w pociągu, którym wyjechałem ze Związku Sowieckiego. Zatytułowałem ją Bar du Soleil. Sztuka nie miała literackich pretensji, była dla mnie ucieczką od ponurej rzeczywistości, stąd podtytuł: „Eskapada w czterech aktach”. Czekala ją długa, lecz

pozbawiona sukcesów kariera sceniczna.

Ostatnie dwa tygodnie w Związku Sowieckim spędziłem ponownie w charkowskim mieszkaniu Weissbergów. Znowu graliśmy w pokera z drogim profesorem Szubnikowem. Pięć lat później Szubnikow zeznał podczas przesłuchania w GPU:

Weissberg przyjechał do nas do Instytutu z Niemiec w 1931 roku. Został zwerbowany przez gestapo i miał za zadanie organizować sabotaż i szpiegostwo. Próbował mnie zwerbować do swojej organizacji, ale ponieważ już od 1924 roku byłem na służbie niemieckiego wywiadu, odmówiłem. Od tej pory pracowaliśmy równolegle, ale nie kontaktując się ze sobą.

W mieszkaniu Aleksa poznałem najważniejszych pracowników Ukraińskiego Instytutu Fizyczno-Technicznego: jego dyrektora, profesora Lejpunskiego, który kierował jednocześnie zakładem rozszczepienia atomu; Lwa Dawidowicza Landaua, cudowne dziecko rosyjskiej fizyki, który razem z Lejpunskim miał duży udział w budowie rosyjskiej bomby atomowej; kierownika laboratorium krystalograficznego, profesora Obrieimowa, i brytyjskiego fizyka Martina Ruhemanna, którego Alex ściągnął do Charkowa. Wszyscy ci luminarze nauki, odwiedzający Weissberga, aby pograć w pokera albo porozmawiać przy szklance herbaty, pięć lat później zeznali, że Alex szpiegował dla gestapo i nakłaniał ich do sabotażu i zamachów. Nie byli to ani tchórze, ani źli ludzie; musieli zeznać to, czego od nich żądano. W późniejszej fazie czystki sami zostali aresztowani i podpisali zeznania, w których oskarżali się nawzajem i samych siebie o te same wymyślone zbrodnie. W 1939 roku, po zakończeniu wielkiej czystki, Landau, Lejpunski i Obrieimow zostali zwolnieni z więzienia i wrócili do pracy. Ruhemanna deportowano do Anglii; pozostał członkiem partii komunistycznej. Jak skończyła się historia Aleksa i Evy, opowiem dalej.

Zdobycie zezwolenia na wyjazd okazało się nieomal tak trudne, jak wcześniej załatwienie sowieckiej wizy. Kiedy je w końcu otrzymałem, poczułem jeszcze większą ulgę. Alex odprowadził mnie na dworzec, gadatliwy, okrągłolicy i wesoły jak zawsze. Gdy pociąg ruszał ze stacji, powiedział mi na pożegnanie:

– Pamiętaj, Arthurze, cokolwiek się stanie, nieś wysoko sztandar Związku Sowieckiego.

Poetyckie interludium

W przedziale trzeciej klasy jechałem na wygnanie. Pierwszy etap mojej podróży wiódł przez Polskę i Czechosłowację do Wiednia. Trwał blisko trzy dni, które w większości spędziłem na pisaniu *Bar du Soleil*, bezgranicznie szczęśliwy, że jestem znowu w Europie. W chwilę po przejechaniu granicy atmosfera zmieniła się jak za sprawą czarów. Bufety dworcowe uginały się od przysmaków, których nie widziałem od roku – kanapek z serem, jajkami, kiełbasą i szynką; kawy, rogalików i ciastek. W kioskach mogłem kupić zagraniczne gazety, pisma i książki; perony i kasy biletowe nie były już polem bitwy; i, co najbardziej rzuciło mi się w oczy, ludzie w pociągu wyglądali i zachowywali się rozmaicie, nie byli drobinami szarej, bezkształtnej masy. Byli zdumiewająco żywi, oryginalni, a niektórzy z nich, cud nad cudy, chodzili z psami. Nikt w Rosji nie miał psa – ale zauważyłem to dopiero teraz.

Czułem się jak uczeń, który uciekł z lekcji na przedstawienie do cyrku. W takim nastroju żyłem przez kilka tygodni. Była to właściwie dziecinna reakcja, bo z punktu widzenia człowieka dorosłego moje perspektywy wyglądały mizernie. Berlińskie mieszkanie i wszystkie ruchomości skonfiskował rzecz jasna hitlerowski reżim. Moja kariera skończyła się: byłem niemieckim dziennikarzem, który nie mógł publikować w Niemczech. Wszystkie oszczędności oddałem rodzicom przed wyjazdem do Związku Sowieckiego, a rubli, które tam zarobiłem, nie dało się wymienić na inne waluty. Zbliżały się moje dwudzieste siódme urodziny, a ja nie miałem pracy, ojczyzny i znów byłem pozbawiony środków do życia. Kiedy pierwszy raz znalazłem się w takiej sytuacji, miałem dwadzieścia lat i głodny tułałem się po Palestynie. Od tego czasu minęło siedem lat. Ciekawe, że dokładnie siedem lat później po raz trzeci zostanę życiowym rozbitkiem – w 1940 roku, gdy Europę ogarnie pożar wojny, a ja zdołam uratować tylko szczoteczkę do zębów i dziennik.

Po przyjeździe do Wiednia nie miałem nawet pieniędzy na taksówkę. Zostawiłem bagaż na dworcu i tramwajem pojechałem do dr. Hahna, starego przyjaciela z korporacji Unitas. Telegrafowałem

do niego z Moskwy, ale nie otrzymał mojej depeszy. Był piękny, letni dzień, ja jednak wciąż chodziłem w butach z cholewami i bryczesach; jedyny porządny garnitur został w walizce, bo nie chciałem spać w nim przez trzy dni w pociągu. Wsiadając z tramwaju nr 11, przypadkiem wpadłem na Hahna – kilka kroków od jego domu. Moje niespodziewane przybycie w bardzo osobliwym stroju uznał za przedni żart i zapytał, czy wracam spod bieguna północnego.

– Nie, z Samarkandy – odpowiedziałem poważnie.

– Kłamiesz – rzekł na to Hahn. – Do Samarkandy nie jeździ jedenastka, tylko siedemnastka.

Zostałem u Hahna trzy albo cztery dni, odbywając kilka sentymentalnych spotkań ze starymi przyjaciółmi i przyjaciółkami. Wydało mi się teraz nieprawdopodobne, abym kiedykolwiek chciał opuścić Europę na zawsze. Ale choć nie było mnie tylko rok, stwierdziłem z bólem, że znalazłem się na innym kontynencie. Złośliwy nowotwór, który wyhodowano w Niemczech, trawił już żywą tkankę Europy. Wszędzie w Wiedniu czułem tę samą niepewność i nerwowe napięcie, miałem to samo przeczucie rychłej zagłady, które dręczyły mnie w Berlinie podczas ostatniego lata przed dojściem Hitlera do władzy. Stałem się wrażliwy na tę atmosferę jak reumatyk na zmiany pogody. W późniejszych latach miałem wiele okazji zrobić użytek z tego kasandrycznego daru proroczego, najpierw w Hiszpanii, potem we Francji. Polega on na nie do końca uświadomionych wrażeniach i spostrzeżeniach nieistotnych drobiazgów. Kelnerzy w kawiarniach wciąż tytułowali starych klientów *Herr Doktor*, ale serdeczna poufałość znikła. Czuło się nieokreślony dystans i rezerwę, jakby wszyscy mieli coś do ukrycia. Powietrze pełne było niewypowiedzianych myśli, znaków zapytania zawieszonych w dymie papierosowym. W tramwajach pasażerowie wydawali się zwracać uwagę, jaką gazetę czyta sąsiad i jaką odznakę nosi.

To niemiłe wrażenie wzmocniło się jeszcze, kiedy wszedłem do auli Uniwersytetu Wiedeńskiego. Z każdym jej filarem łączyły mnie wspomnienia i w tym właśnie miejscu, najbliższym mi w całym Wiedniu, najdotkliwiej odczułem zmianę atmosfery. W auli przeważały teraz krzepkie prostaki w śmiesznym tyrolskim stroju – krótkich

skórzanych spodniach i białych dzierganych podkolanówkach. Przechadzali się po mozaikowej posadzce Alma Mater, pokazując owłosione nogi i rzucając dokoła prowokacyjne spojrzenia. Białe skarpetki i skórzane spodenki były nieoficjalnym mundurem austriackich narodowych socjalistów. Symbolizowały austriacką odmianę faszyzmu z jej fanatycznym, ludowym prowincjonalizmem. Ze smutkiem rozglądałem się za dziewczętami – uroczymi, subtelnymi, zalotnymi studentkami wiedeńskimi. Ich też już nie było. Zastąpiły je zaniedbane, piersiaste, spocone Gretchen z warkoczami. Warkocz na Uniwersytecie Sigmunda Freuda! Był to taki sam polityczny symbol jak białe skarpetki studentów.

Dowiedziałem się, że tradycyjne sobotnie bijatyki, sól i pieprz moich studenckich czasów, już się nie odbywają. Naziści, socjaliści, liberałowie i syjoniści wymieniali pod arkadami wrogie spojrzenia, ale nie ciosy. Może dlatego, że wszystkie korporacje przeczuwały, iż tym razem nie skończy się na podbitych oczach i rozkwaszonych nosach, lecz na trupach. Kilka lat później tak się właśnie stało.

Byłem przekonany, że Wiedeń czeka zagłada, ale wierzyłem jeszcze, że pewnego dnia wskrzesi go komunistyczna rewolucja.

Przed wyruszeniem w dalszą drogę do Paryża zamierzałem odwiedzić rodziców w Budapeszcie. Za ostatnie ruble kupiłem w Moskwie pierścionek z malutkim brylancikiem stanowiący teraz cały mój majątek. Sprzedałem go w Wiedniu za kwotę, która ledwie wystarczyła na bilet powrotny do Budapesztu i kilkudniowy pobyt w tym mieście. Na razie nie potrzebowałem więcej, bo mój bilet kolejowy z Moskwy do Paryża przez Wiedeń był ciągle ważny.

Ale tuż przed wyjazdem z Wiednia dowiedziałem się, że mamy nie ma w Budapeszcie; wyjechała na wakacje do mojej kuzynki Margit, mieszkającej we wsi Kalna na Słowacji. Jej mąż, dr Miklós, był tam lekarzem. Ponieważ nie musiałem bardzo zbaczać z drogi, żeby dostać się do Kalny, pojechałem tam. Przyjęto mnie z tradycyjną węgierską gościnnością. Pozostałem przez dwa tygodnie i przytyłem jakieś pięć kilo, które straciłem w Rosji. Miało to być nasze ostatnie rodzinne spotkanie.

Wypoczęty i utuczony na kaczkach, gęsiach i kurczakach z mizerią

(„Przez cały rok nie jadłeś w Rosji pieczonych gęsi? Biedny chłopiec, to musiało być straszne” – żałowała mnie kuzynka Margit), pojechałem lekko oszołomiony, powątpiewając w rzeczywistość tego, co mnie otacza, do Budapesztu. Zostałem ojca jak zwykle bez grosza i jak zwykle snującego „kolosalne” projekty. Nie zdoławszy zrobić majątku na wynalazku peklowania żywych świń, prowadził teraz rozmowy w sprawie sprzedaży całorocznych zbiorów węgierskiej papryki do Anglii.

– Masz już kupca? – zapytałem przezornie.

– Każdy w Anglii kupi paprykę – odparł z entuzjazmem. – Kto nie lubi papryki?!

Zamierzałem zostać tylko kilka dni. Poza odwiedzeniem rodziców chciałem w Budapeszcie sprzedać kilka niepolitycznych artykułów o Azji Środkowej, kolebce narodu węgierskiego, żeby nie przyjeżdżać do Paryża zupełnie bez pieniędzy. Ale z kilku dni zrobiły się trzy miesiące, niespodziewanie bowiem uśmiechnęło się do mnie szczęście. W dniu przyjazdu powierzyłem staremu przyjacielowi, Andorowi Némethowi, maszynopis Bar du Soleil. Dwa dni później Andor przybiegł do mnie z wiadomością, że czołowy współczesny teatr repertuarowy w Budapeszcie, Belvárosi Színház (Teatr Miejski), kupił moją sztukę, płacąc pokaźną zaliczkę.

Andor Németh był najbardziej malowniczą postacią, jaką znałem. W młodości uchodził za jednego z najsubtelniejszych prozaików węgierskich swojego pokolenia. Jego tragedia polegała na tym, że wskutek nieuleczalnego lenistwa, nieosiągalnie wysokich wymagań, które sobie stawiał, i obojętności na sławę, nigdy nie napisał powieści.

Był ode mnie mniej więcej dziesięć lat starszy. W 1914 roku, tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, zrobił dyplom nauczyciela literatury węgierskiej i francuskiej i otrzymał stypendium na Sorbonie. W dniu, w którym Francja wypowiedziała wojnę Austro-Węgrom, wszystkim Węgrom zamieszkałym w Paryżu nakazano opuścić kraj w ciągu dwudziestu czterech godzin. Németh oczywiście przespał ostatni pociąg i wraz z innymi Węgrami przebywającymi we Francji został internowany w byłym klasztorze na wyspie Noirmoutier. Przez cztery lata, które tam spędził, pisał książkę o swoim internowaniu. Inny pisarz

węgierski, internowany w tym samym miejscu, Aladár Kuncz, zajął się tym samym. Książka Németha miała być długą powieścią psychologiczną, książka Kuncza – reportażem. Németh nigdy nie ukończył swojej powieści, reportaż Kuncza stał się bestsellerem.

Po zakończeniu wojny Németh wsiadł do pociągu do Budapesztu, ale dojechał tylko do Wiednia, tymczasem bowiem Béla Kun dokonał na Węgrzech rewolucji i komunikacja kolejowa została na pewien czas zawieszona. Németh udał się do poselstwa węgierskiego i w budynku zastał tylko nowo mianowanego *chargé d'affaires*, którym okazał się jego szkolny kolega. Dyplomata zapytał, jakie ma plany. Németh odparł, że nie ma żadnych planów, pieniędzy ani dachu na głowę.

– Wiesz co – rzekł mu na to *chargé d'affaires* – może zostałbyś moim pierwszym sekretarzem?

– Czemu nie? – odparł Németh.

Trzy miesiące później reżim komunistyczny na Węgrzech upadł i Németh jako członek jego korpusu dyplomatycznego automatycznie został emigrantem politycznym. Nigdy jednak nie wstąpił do partii komunistycznej. *Chargé d'affaires* dał mu swego czasu formularz podania o przyjęcie do partii, ale Németh zapomniał go wypełnić.

Németh zaniósł moją sztukę swemu przyjacielowi Bárdosowi, dyrektorowi Belvárosi Színház. Bárdos przeczytał maszynopis tego samego wieczoru, a nazajutrz podjął decyzję o wystawieniu sztuki. Postanowiliśmy, że Németh przełoży ją na węgierski i na afiszu będą figurować oba nasze nazwiska. Zaliczką podzieliliśmy się po połowie. Wieczorami chodziliśmy do jednej z trzech lub czterech kawiarni, w których zbierali się literaci, słuchaliśmy najnowszych dowcipów i dyskutowaliśmy na wszelkie możliwe tematy z wyjątkiem polityki. W ciągu kilku dni poznałem prawie wszystkich węgierskich pisarzy oraz ich świtę, bo wybitniejszym zawsze towarzyszyły żony, były żony, kochanki oraz wielbiciele byłych żon i kochanek. Ci ostatni należeli do gatunku nader porządnych, sympatycznych i dobrze wychowanych młodych ludzi, którzy czuli się zaszczytzeni tym, że przyjęto ich do kręgu znanych pisarzy.

To dziwne towarzystwo bardzo różniło się od kół literackich Paryża, Londynu czy Berlina. Powojenne Węgry były państwem

kadłubowym liczącym siedem milionów mieszkańców, z których większość stanowili na wół piśmienni chłopi. Tak jak Austria znajdowały się w stanie ciągłej depresji gospodarczej, przerywanej tylko okresami ostrego kryzysu. Ale w przeciwieństwie do Austrii nie miały żadnych związków z kulturą swych większych sąsiadów. Węgrzy tworzą bowiem etniczną enklawę w Europie, w której ich jedynymi dalekimi krewnymi są Finowie. Pisarze węgierscy mogą zyskać szerszy krąg odbiorców tylko dzięki emigracji i przejściu na język przybranej ojczyzny. Ale zerwanie z własnym językiem i tradycją oznacza najczęściej śmierć dla pisarza, jego przemianę w bezimiennego, kosmopolitycznego dziennikarza lub literackiego wyrobnika. Głównym towarem eksportowym Węgier po pierwszej wojnie światowej byli reporterzy, scenarzyści, producenci filmowi, redaktorzy pism ilustrowanych, rysownicy, aktorki i twórcy szlagierów – międzynarodowy świat sztuki i literatury. Rozrzuciła ich po świecie owa siła odśrodkowa, która powstaje zawsze wtedy, gdy zbyt wiele utalentowanych jednostek znajdzie się w małym kraju bez możliwości rozwinięcia talentu. Choć miałem szczęście, że wychowałem się w rodzinie dwujęzycznej i jako dziecko wyjechałem z Węgier, zapłaciłem za to utratą kulturalnych korzeni.

Ci, którzy pozostali w kraju, byli skazani na tworzenie dla nielicznej, wybrednej i sytej publiczności. Czołowi węgierscy poeci i powieściopisarze z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku zajęliby poczesne miejsce w literaturze każdego większego narodu. Ponieważ jednak ich kraj był mały i biedny, musieli zarabiać pisaniem do gazet i żyć w atmosferze umysłowego zaścianka. Pisarze mieszkający w większych krajach instynktownie unikają środowiska, w którym dorastali w młodości; artysta z małego kraju jest na zawsze skazany na intelektualne getto. Literackimi gettami Budapesztu były kawiarnie, będące zarazem siedzibami zwalczających się stronnictw. Wielu pisarzy pracowało, czytało i przyjmowało gości w kawiarniach. Mieli swoje stoliki, przyzwyczajenia i własny dwór.

Wszystko to sprawiło, że życie kulturalne miasta miało w sobie ciepło i serdeczność, które mnie całkowicie zauroczyły. Po roku spędzonym na posępnej ludzkiej pustyni, jaką był Związek Sowiecki,

trafiłem na łono czulej, kazirodczej rodziny. Pozostałem wierzącym marksistą i jeszcze przez pięć lat miałem należeć do partii komunistycznej, ale zawsze łaknąłem kontrastów, fascynował mnie sposób życia zupełnie odmienny od mojego. Jeżeli kiedykolwiek istniało dekadencje społeczeństwo, to znajdowało się ono tu, w budapeszteńskich kawiarniach. Pobyt w rodzinnym mieście był dla mnie wspaniałymi wakacjami, chwilową ucieczką od życiowych problemów. Jednocześnie utwierdził mnie w przekonaniu, że kultura burżuazyjna jest skazana na zagładę.

Németh i ja przyjaźniliśmy się zwłaszcza z dwoma pisarzami węgierskimi: poetą Attilą Józsefem oraz krytykiem i eseistą Pálem Ignotusem. Choć w ojczyźnie Attilę Józsefa uważa się za największego poetę węgierskiego XX wieku, jego nazwisko jest wciąż praktycznie nieznane poza Węgrami.

Attila József popełnił samobójstwo w wieku trzydziestu dwóch lat; zarówno jego dzieło, jak losy stały się przerażającym symbolem naszych czasów. Był współczesnym Villonem, którego życie i twórczość obracały się wokół dwóch intelektualnych biegunów tego stulecia, Marksa i Freuda, i który umarł jako ich ofiara.

József urodził się w 1905 roku w rodzinie niewykwalifikowanego robotnika i sprzątaczkę. Jego ojciec porzucił rodzinę, gdy chłopiec miał trzy lata, i aż do siódmego roku życia Attila wychowywał się w sierocińcu i u obcej rodziny na wsi. W wieku szkolnym zarabiał na życie jako odźwierny w kinie, gazeciarz i nocny kelner, a podczas studiów nosił bagaże na dworcu, pływał na barce po Dunaju, był dokerem, sprzątaczem i korepetytorem.

Zadebiutował w wieku szesnastu lat na łamach czołowego węgierskiego pisma literackiego „Nyugat” (Zachód). Rok później, w 1922 roku, „Nyugat” wydrukował jego wiersz *Z czystym sercem*, który wywołał ogólnokrajowy skandal i doprowadził do jego wydalenia z uniwersytetu w Szeged. *Z czystym sercem* uznano za swoisty manifest powojennego pokolenia mieszkańców Europy Środkowej.

Pierwszy tomik poezji Józsefa ukazał się w tym samym roku, drugi trzy lata później. W 1925 roku mecenas literatury węgierskiej, baron Lajos Hatvany, wysłał poetę na wakacje letnie do Francji,

a w późniejszych latach wspomagał go drobnymi datkami. Mimo to przez całe krótkie życie József borykał się z nędzą; nigdy nie dochrapał się owych „dwustu miesięcznie”, które stały się jedną z jego licznych obsesji. „Dwieście” odnosiło się do węgierskich pengő i równało się dwunastu angielskim funtom.

Kiedy w 1933 roku poznałem Attilę, mieliśmy po dwadzieścia siedem lat. Wyglądał jak typowy Węgier pochodzenia chłopskiego: średniego wzrostu, szczupły, żyłasty, sprężysty i prosty jak sierżant. Miał trójkątną twarz z wysokim czołem, spokojnymi brązowymi oczami i regularnymi rysami, którym podkreślony wąs dodawał swady. Była to przystojna i męska, ale zupełnie przeciętna twarz, która mogłaby należeć do damskiego fryzjera. Nic w tej spokojnej powierzchowności nie zdradzało, że jej właściciel spędził kilka miesięcy w szpitalu psychiatrycznym, cierpi na urojenia i zmierza do tragicznego końca.

W czasie gdy się przyjaźniliśmy, Attila zachowywał się całkiem normalnie, miał tylko swoje dziwactwa i intelektualne obsesje. Do tych ostatnich należała przede wszystkim psychoanaliza i heglowsko-marksistowska dialektyka. W 1930 roku Attila wstąpił do działającej w konspiracji Węgierskiej Partii Komunistycznej i cztery lata później został z niej wyrzucony za trockizm. Pozostał jednak szczerym proletariuszem i rewolucjonistą, który z jakobińską pasją nienawidził „bonapartyzmu” Stalina. Pod względem intelektualnym był prawdziwym mistrzem dialektycznej akrobatyki i mógł do czwartej rano spierać się o jakiś mało znany dekret Komuny Paryskiej z 1871 roku albo Węgierskiej Republiki Rad z 1919 roku, analizując jego konsekwencje w maniackim słowotoku i z szachową logiką (był też zresztą zapalonym szachistą). Do domu wracał nad ranem i uwolniwszy się od tych umysłowych natręctw, pisał jeden ze swoich wierszy, które należą dziś do kanonu literatury węgierskiej. Nazajutrz po obiedzie odczytywał go mnie albo Némethowi, a potem znów rzucał się w wir dialektycznej dyskusji. Uciekał od poezji w filozofię i od filozofii w poezję. W swojej twórczości dokonał czarodziejskiej syntezy tych dwóch dziedzin, w życiu jednak pozostał rozdarty między nimi, zarówno w sensie metaforycznym, jak klinicznym: cierpiał na schizofrenię.

Nigdy nie kłóciliśmy się o politykę, bo z temperamentu też byłem

trockistą, a Attila nie atakował mnie w najsłabszym punkcie, czyli w sprawie Rosji. Nie interesował się Rosją, lecz niedolą własnego kraju, który znał do samego dna.

Wyjątkową cechą jego późniejszych wierszy było cudowne połączenie myśli i melodii. Wśród współczesnych poetów nie widzę nikogo, kto by mu pod tym względem dorównywał. Jego najbardziej skomplikowane i intelektualne, marksistowskie i freudowskie wiersze brzmią jak pieśni ludowe, a czasem jak dziecinne rymowanki.

Attila wstawał zwykle około południa i po obiedzie wypijał kawę ze mną i Némethem. Jeśli go nie uprzedziliśmy, że musimy pracować, rozmawiał z nami przez całe popołudnie. W pewnym sensie należał też do naszej „firmy” pisarskiej, bo zamówiliśmy u niego piosenki do węgierskiej inscenizacji *Bar du Soleil*. Ale nawet w tym okresie całkowitej poczytalności zdarzały mu się przebłyśki szaleństwa. Pewnego dnia, podkrecając węża, wygłosił mimochodem niebywale obsceniczne zdanie; było to o tyle zaskakujące, że normalnie cechował go proletariacki purytanizm.

Innym razem zastałem go na kanapie w pokoju Németha, pogrążonego w depresji. Zapytałem, czy coś się stało – potwierdził. Spytałem co i Attila usiadł nagle i powiedział z krzywym uśmiechem:

– Zobaczmy, czy zgadniesz za pomocą Bar Kochby.

„Bar Kochba” była modną wówczas w Budapeszcie zabawą w pytania i odpowiedzi. Nasz dialog wyglądał mniej więcej tak:

P: Czy to coś, co stało się dziś?

O: Tak.

P: Czy chodzi o pieniądze?

O: Nie.

P: O kobietę?

O: Tak.

P: Irene?

O: Nie.

P: Judit?

O: Tak.

P: To tragedia czy komedia?

O: Tragedia.

P: Uciekła?

O: Nie.

P: Zabiła się.

O: N-nie.

P: Próbowwała się zabić?

O: Tak...

W ten sposób dowiedziałem się, że narzeczona Attili, Judit, próbowała się otruć i została odwieziona do szpitala w stanie krytycznym. Attili nie wpuszczono do szpitala, czekał na wiadomość przy telefonie. Kochał Judit i przeżywał katusze, a mimo to nie wyrzekł się opisanej wyżej zabawy. Judit w końcu wyzdrowiała. Zdarzenie to mówiło wiele o stanie ducha Attili, a zarazem było przykładem wisielczego humoru, tak typowego dla atmosfery miasta.

Attila wielokrotnie próbował odebrać sobie życie, pierwszy raz w wieku dziewięciu lat, kiedy połknął kostkę krochmalu, myśląc, że to trucizna. W wieku czternastu albo piętnastu lat położył się na torach, po których codziennie o tej samej godzinie przejeżdżał pociąg towarowy. Czas mijał, ale pociąg nie nadjeżdżał. W końcu Attila wstał i zaczął iść mu na spotkanie. I wtedy dowiedział się, co się stało: kilometr wcześniej na torach zginął inny człowiek. „Ktoś umarł za mnie” – powtarzał potem.

Od tej pory pociągi, zwłaszcza towarowe, stały się jeszcze jedną obsesją poety. W 1937 roku przez kilka tygodni przebywał w zakładzie dla obłąkanych. Kiedy jego stan się poprawił, został oddany pod opiekę swoich sióstr, które mieszkały w małej wsi nad Balatonem. Pewnego listopadowego wieczoru Attila poszedł ku stacji kolejowej, na której stał pociąg towarowy jadący do Budapesztu. Kiedy zbliżał się do stacji, pociąg powoli ruszył. Attila zaczął biec, przecisnął się pod opuszczonym szlabanem, ukląkł na torach i położył prawą rękę na szynach między dwoma wagonami. Odciętą rękę znaleziono później w pewnej odległości od zmiążdżonego ciała.

Kilka dni po śmierci Attili rodzina znalazła w jego szufladzie koszulę z odciętym nożyczkami prawym rękawem. Kompleks winy najwidoczniej skłonił go do myśli, że powinien obciąć sobie prawą rękę; a pociąg, dokonawszy tego, wciągnął resztę ciała pod koła. O śmierci

poety powiedział jego siostronom chichoczący i bełkoczący wiejski półgłówek.

Węgierska Partia Komunistyczna, która za życia wykleła Attilę Józsefa, po śmierci kanonizowała go. Gdyby dożył czasów, gdy Węgry znalazły się pod władzą sowiecką, podzieliliby zapewne los wielu innych moich przyjaciół. Może więc dobrze, że wybrał pociąg towarowy. Gdyby mógł wrócić choćby na godzinkę, podkreśliłby węża i wszczął dyskusję nad tym, kiedy z dialektycznego punktu widzenia człowiek powinien umrzeć.

* *
*

Drugim naszym przyjacielem był młodzieńczy, łysiejący, dowcipny i sympatyczny Pál Ignótus, który przez całe życie żył w cieniu słynnego i apodyktycznego ojca. Stary Ignótus był literackim papieżem Węgier, twórcą i redaktorem „Nyugat”, przywódcą „zachodniego” nurtu w literaturze węgierskiej. Młody Ignótus poszedł w jego ślady jako znakomity krytyk literacki i współredaktor, z Attilą i Némethem, pisma literackiego. Pod koniec lat trzydziestych wyemigrował do Anglii i w czasie wojny pracował w węgierskiej sekcji BBC. Nie interesował się polityką; był z przekonań umiarkowanym liberałem i miał sympatię do socjalizmu i komunizmu, który uważał za radykalne skrzydło „ruchu postępu”. Po wojnie nowy rząd węgierski zaproponował mu stanowisko attaché prasowego poselstwa węgierskiego w Londynie i Ignótus zgodził się.

W 1950 roku stary Ignótus zmarł i Pál pojechał do Budapesztu na pogrzeb. Było to niedługo przed procesem byłego ministra spraw zagranicznych László Rajka. Ignótus nie wrócił już do Londynu. W węgierskich gazetach ukazała się krótka informacja, że został skazany na dziewięć lat więzienia za zdradę stanu i szpiegostwo. Proces odbył się za zamkniętymi drzwiami. Zbrodnia Pála polegała na tym, że mieszkał na Zachodzie, a jego tragedia – że był zdeorientowanym i łatwowiernym liberałem. Podczas naszych długich dyskusji w powojennym Londynie zawsze z uśmiechem ganił mnie za „fanatyczną” nieufność do reżimów stalinowskich. Zlekceważył moją radę, aby nie wracał do Budapesztu, uznając ją za objaw ewidentnej manii prześladowczej.

Kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Budapesztu dwóch agentów Kominternu, Szallai i Fuest, zostało osądzonych w trybie doraźnym i powieszonych. Przyjechali z Moskwy z fałszywymi paszportami, aby zreorganizować podziemną partię komunistyczną, ale zaraz po przekroczeniu granicy zostali zdemaskowani i aresztowani.

Ich egzekucja odbiła się głośnym echem, bo od końca lat dwudziestych reżim Horthy'ego prowadził względnie liberalną politykę, mniej więcej w duchu tradycji Austro-Węgier z ich schyłkowych lat. Przywódcy Węgierskiej Republiki Rad znaleźli się na emigracji – jedni w Moskwie, inni w Paryżu, ale pomniejsi działacze, tacy jak Németh, albo sympatycy, jak baron Hatvany, powoli wracali do kraju i żyli przez nikogo nie niepokojeni. Przywrócono wolność prasy; w parlamencie istniała legalna opozycja, w skład której wchodziło kilka partii, między innymi socjaliści, a literaci mogli bez większego skrępowania wyrażać swoje poglądy. Attila József publikował rewolucyjne wiersze, a Lajos Kassák, ojciec węgierskiej awangardy poetyckiej, redagował przy kawiarnianym stoliku i wydawał swój awangardowo-rewolucyjny kwartalnik. Policja nie interesowała się literatami, dopóki byli tylko literatami i nie kontaktowali się z Węgierską Partią Komunistyczną, jedynym potencjalnym przeciwnikiem władz. W 1933 roku partia ta skurczyła się już do garstki straceńczych fanatyków; szeregowi członkowie opuścili ją. Szallai i Fuest, dwaj wypróbowani i doświadczeni działacze Kominternu, przyjechali ożywić zamierającą działalność konspiracyjną. Ich egzekucja – pierwsza polityczna egzekucja od kilku lat – miała być przestrogą.

Moi budapeszteńscy przyjaciele opowiedzieli mi o niej z drastycznymi szczegółami. Powieszenie nie odbyło się publicznie, ale niektórzy dygnitarze i ludzie uprzywilejowani mogli się jej przyglądać. Kilku węgierskim arystokratkom udało się zdobyć „zaproszenia”. Należały one do owych hałaśliwych, krzykliwie ubranych i obnoszących się ze swoim bogactwem niewiast, które są zmorą dyrektorów hoteli Ritz w całej Europie. Kiedy skazańców prowadzono na szafot na więziennym dziedzińcu, gdzie dla widzów ustawiono specjalną trybunę, dostojne damy zaczęły histerycznie im wymyślać. Szallai i Fuest byli działaczami Węgierskiej Republiki Rad, więc damy mściły się na nich za swą

ówczesną niedolę, kiedy to w ich domach kwaterowano uchodźców, którzy zaplamili kosztowne dywany. Skazańcy nie słuchali ich obelg w milczeniu: jeden śpiewał *Międzynarodówkę*, dopóki nie otworzyła się zapadnia, drugi wykrzykiwał hasła i zapowiadał, że ich śmierć zostanie pomszczona. Gdyby mogli przewidzieć, jak będzie wyglądać ta zemsta, zapewne umarliby w milczeniu.

Kiedy zjawiłem się na Węgrzech, pamięć o tych wydarzeniach była wciąż żywa. Czytelnik może pomyśleć, że w takich okolicznościach sporo ryzykowałem, jadąc do Budapesztu prosto z Moskwy. W rzeczywistości nie ryzykowałem niczego, choć zawłóści podwójnego życia komunisty w owych czasach są dość trudne do wytłumaczenia. Należy pamiętać, że z wyjątkiem Attili i Németha nikt w Budapeszcie nie wiedział o mojej przynależności do partii. Nigdy nie publikowałem w komunistycznych gazetach. Na liście członków mojej berlińskiej komórki partyjnej figurowałem jako Iwan Steinberg. Z formalnego punktu widzenia w moim życiorysie nie było niczego kompromitującego. Od lat pracowałem w szacownym domu wydawniczym Ullstein, a do Związku Sowieckiego pojechałem jako korespondent równie szacownej agencji prasowej Dunckera. Nigdy nie prowadziłem działalności politycznej na Węgrzech. Cieszyłem się tu nawet pewnym rozgłosem, ponieważ gazety z patriotyczną dumą pisały, że jedyny reporter biorący udział w wyprawie polarnej na sterowcu *Graf Zeppelin* był Węgrem. Zresztą, ponieważ niedługo po tej wyprawie upłynął termin ważności mego palestyńskiego paszportu, powróciłem do węgierskiego obywatelstwa i podróżowałem z paszportem węgierskim. Krótko mówiąc, byłem burżuazyjnym dziennikarzem, który po wielu podróżach po obcych krajach, włącznie ze Związkiem Sowieckim, przyjechał odwiedzić starych rodziców w swoim rodzinnym mieście.

Istniało oczywiście niewielkie prawdopodobieństwo, że jakiś węgierski agent działający w Berlinie doniósł, iż obracam się w kręgach komunistycznych. Tego jednak, a nawet członkostwa w Komunistycznej Partii Niemiec (które trudno byłoby udowodnić), nie uważano za przestępstwo, jeśli tylko nie działałem na szkodę Węgier. W najgorszym razie, myślałem, policja mnie przesłucha (co uczyniła)

i każe mnie śledzić (co zapewne zrobiła). Dopóki jednak stroniłem od kontaktów z podziemną partią komunistyczną (a nie zamierzałem ich nawiązywać), nie miałem się czego obawiać.

Rozumowanie to, potwierdzone opiniami ludzi, z którymi rozmawiałem w Moskwie, okazało się słuszne. Urzędnik paszportowy na granicy węgierskiej lekko się wzdrygnął na widok mojej wizy sowieckiej. Węgry nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Sowieckim, a gazety węgierskie nie miały swoich korespondentów w Moskwie. Kiedy jednak wyjaśniłem, że pracuję dla gazet niemieckich, i okazałem dokumenty, urzędnik, wciąż nieco sceptyczny, pozwolił mi jechać dalej do Budapesztu. Zatrzymał jednak mój paszport i poinformował, że odbiorę go w komendzie głównej policji, dokąd zostanę wezwany w stosownym czasie.

Wezwanie przyszło na adres ojca mniej więcej po tygodniu od mojego przyjazdu. Poszedłem po odbiór paszportu bez większych obaw. Dyżurny sierżant był jednym z owych dobrodusznych, wąsatych policjantów, których znałem z dzieciństwa. Siedziba policji wydała mi się przyjemniejszym miejscem niż budynek GPU w Baku. Czekają na mnie trzech uprzejmych funkcjonariuszy z wydziału politycznego, ubranych po cywilnemu. Idąc po schodach, powtarzałem sobie: „Nie daj się zepchnąć do obrony. Masz czyste sumienie. Pracujesz dla szczęścia ludzkości”. Nie wiem, czy to dzięki tej autosugestii, czy dziennikarskiej bezczelności, którą nabyłem z latami praktyki, dość, że po kilku minutach atmosfera stała się całkiem sympatyczna. Usiedliśmy przy stole. Kiedy opowiedziałem o Ullsteinie, Dunckerze i tak dalej, policjantom skończyły się pytania i zapadło milczenie. Odetchnąłem z ulgą, bo nie zapytali mnie o moje kontakty w Berlinie. Policjant siedzący u szczytu stołu – zastępca szefa wydziału politycznego – rzekł łagodnie, tonem na wpół żartobliwej rozpaczki:

– Pan chyba nie zdaje sobie sprawy, że jest pierwszym Węgrem od 1919 roku, który przyjechał tu prosto z Moskwy z legalnym paszportem.

– Jestem też pierwszym Węgrem, który omal nie dotarł do bieguna północnego – odparłem.

Najmniej inteligentny policjant z całej trójki zapytał mnie

podchwytliwie, czy „nawiązałem kontakt z komunistami w Moskwie”. Odpowiedziałem, że przeprowadziłem wywiady z wieloma z nich i że wszystkie moje kontakty były z komunistami, bo komuniści tworzą rząd sowiecki.

– A jakie zrobili na panu wrażenie? – spytał z wyraźnym zainteresowaniem.

Odrzekłem, że niektórzy wydają się bardzo inteligentni.

Czy spotkałem się ze Stalinem? Przyznałem z żalem, że nie. A z kim jeszcze się spotkałem? Wymieniłem Bucharina i Radka, ale w tym momencie zastępca szefa przerwał mi jakby od niechcenia:

– A z Bělą Kunem?

Zaległo pełne napięcia milczenie. Běla Kun, dyktator Węgierskiej Republiki Rad, stał się na Węgrzech postacią legendarną, istnym diabłem z rogami. Zanim zdążyłem się zastanowić, usłyszałem własną odpowiedź:

– Oczywiście.

Było to kłamstwo. Próbowałem spotkać się z Kunem, ale on nie miał czasu albo chęci spotkać się ze mną. Nie wiem dokładnie, dlaczego skłamałem – może jakiś wewnętrzny głos podpowiedział mi, że gdybym zaprzeczył, nie uwierzyliby mi; a może chciałem się trochę popisać. W każdym razie obrałem właściwą taktykę, bo wiadomość zelektryzowała moich rozmówców; jeden z nich zapytał z naiwną ciekawością, czy Kun rzeczywiście całkowicie wyłysiał, czy „zrobił karierę na Kremlu” i czy żyjąc tak długo wśród Rosjan, nadal mówi płynnie po węgiersku. Moje twierdzące odpowiedzi na dwa ostatnie pytania wydawały się mile łechtać patriotyczną dumę policjantów. Jestem pewien, że przeżyli duży zawód, gdy sekretarzem generalnym Kominternu został Bułgar Dymitrow, a nie Kun^[10].

W końcu oddali mi paszport i uścisnęli rękę. Zastępca szefa wydziału politycznego zapytał jeszcze mimochodem, czy mam zamiar odwiedzić fabryki i robotnicze przedmieścia. Zaprzeczyłem, wyjaśniając, że piszę sztukę.

– Świetnie – odparł. – Dopóki siedzi pan w kawiarniach i nie chodzi po fabrykach, nie mamy nic przeciwko panu.

Było to znakomite podsumowanie poglądów samej partii

komunistycznej na rolę związanych z nią intelektualistów.

Opuściłem siedzibę policji bardzo zadowolony z siebie. Nie zastanowiło mnie, jak liberalne są te rzekomo „półfaszystowskie” Węgry; nie przyszło mi też do głowy, żeby porównać względną wolność, jaką nadal cieszyli się ich mieszkańcy, z całkowitym zniewoleniem obywateli w państwie sowieckim.

Moja sztuka nie doczekała się premiery. Entuzjazm Bárdosa zgasł równie szybko, jak się pojawił. Zmianę zdania uzasadnił on tym, że nie podoba mu się węgierskie tłumaczenie. Niemiecki oryginał przeczytał pobieżnie i dopiero czytając sztukę uważniej we własnym języku, dostrzegł jej słabości dramaturgiczne i ultralewicową wymowę.

Podczas ucieczki z Francji w 1940 roku zgubiłem maszynopis *Bar du Soleil*. W 1943 roku napisałem inną sztukę na ten sam temat i zatytułowałem ją *Twilight Bar*. Miała te same wady dramaturgiczne, co pierwsza i choć została wystawiona we Francji, Ameryce i kilku innych krajach, prawie wszędzie zrobiła klapę.

We wrześniu 1933 roku, wkrótce po swoich dwudziestych ósmych urodzinach, wyjechałem do Paryża. Eskapistyczne interludium dobiegło końca.

Czerwona eminencja

Przez następne trzy lata, od jesieni 1933 do jesieni 1936 roku, żyłem w skrajnej biedzie, całkowicie poświęcając się działalności politycznej. Były to lata wielkiej antyfaszystowskiej krucjaty, która przy dźwięku werbli i fanfar, kroczyła od jednej klęski do drugiej.

Najpierw Niemcy demonstracyjnie wystąpiły z Ligi Narodów. Potem krwawo stłumiono powstanie socjaldemokratycznego Schutzbundu w Austrii. Potem Hitler wygrał plebiscyt w Zagłębiu Saary. Potem wypowiedział traktat wersalski. Potem zawarł angielsko-niemiecki układ morski, na mocy którego Niemcy mogły zbudować większą flotę niż francuska. Potem zajął Nadrenię, a potem przyłączył Austrię do Rzeszy. Tymczasem Mussolini podbił Abisynię, Japonia Mandzurię, a Franco zwyciężył w wojnie domowej w Hiszpanii. A później były Monachium i Praga i wreszcie wojna, którą przewidywaliśmy, ale której nie potrafiliśmy zapobiec.

Przyjechałem do Paryża w czasie, gdy w Lipsku trwał proces o podpalenie Reichstagu, trzymający w napięciu całą Europę. Dzień po przyjeździe poznałem Willego Münzenberga, szefa propagandy Kominternu w państwach zachodnich. Tego samego dnia zacząłem pracę w jego sztabie i przyłączyłem się do wielkiej batalii propagandowej między Berlinem a Moskwą. Zakończyła się ona całkowitą klęską hitlerowców – jedyną, jaką zadaliśmy im w ciągu siedmiu przedwojennych lat.

Obaj adwersarze starali się wykazać, że to druga strona podpaliła gmach niemieckiego parlamentu. Świat przyglądał się temu spektaklowi z zapartym tchem i tak niewielkim zrozumieniem jego prawdziwego znaczenia, z jakimi dzieci oglądają film sensacyjny o skomplikowanej fabule. Ludzie bowiem nie przywykli jeszcze do teatralnych sztuczek, fantastycznych oszustw i kuglarskich metod totalitarnej propagandy. A to przedstawienie miało nie jednego reżysera, jak później moskiewskie procesy pokazowe, lecz dwóch, którzy swymi trikami chcieli pognębić konkurenta, niczym czarownicy rywalizujący ze sobą na oczach tubylców.

Czarownikami tymi byli dr Joseph Goebbels i Willi Münzenberg, ale mało kto wiedział wówczas, i wie jeszcze dziś, o istnieniu tego drugiego. Świat sądził, że jest świadkiem klasycznej walki między prawdą i kłamstwem, winą i niewinnością. W rzeczywistości obie strony były winne, choć nie zbrodni, o które się nawzajem oskarżały. Obie kłamały i obie obawiały się, że przeciwnik wie więcej, niż w rzeczywistości wiedział. Dlatego ich walka przypominała zabawę w ciuciubabkę między dwoma gigantami. Gdyby świat przejrzał wtedy stosowane przez nich chwytaki i podstępki, oszczędziłby sobie wielu cierpień. Ale ani wówczas, ani później Zachód nie rozumiał totalitarnej mentalności.

Dramatyzm procesu ujawnił się szczególnie w scenach, które miały w sobie coś z tragedii Shakespeare'a, a zarazem coś z operetki. Pierwszą była szermierka słowna między Dymitrowem a Göringiem. Georgi Dymitrow, przyszły sekretarz generalny Międzynarodówki Komunistycznej, pełnił wówczas funkcję politycznego instruktora Kominternu do spraw krajów bałkańskich, Göring zaś był premierem Prus i przewodniczącym Reichstagu. Dymitrow należał do pięciu oskarżonych o podpalenie gmachu Reichstagu, Göring występował oficjalnie jako świadek oskarżenia, ale faktycznie jako podsądny odpierający komunistyczne oskarżenie, że to on jest prawdziwym podpalaczem. Wysoki funkcjonariusz Kominternu na ławie oskarżonych i dostojnik nazistowski na miejscu dla świadka obrzucali się obelgami jak przekupki. Nigdy dotąd jeden z przywódców wielkiego mocarstwa nie zrobił z siebie tak żalostnego widowiska w sali sądowej.

Dymitrow: Czy panu premierowi Göringowi wiadomo, że setki tysięcy niemieckich robotników mają dziś pracę dzięki zamówieniom przemysłu sowieckiego?

Premier Göring: Powiem panu, co wiadomo narodowi niemieckiemu. Narodowi niemieckiemu wiadomo, że pan zachowuje się tu bezczelnie, że pan tu przyjechał, aby podpalić nasz Reichstag. W moich oczach jest pan łajdakiem, który powinien wisieć...

Dymitrow: Chyba boi się pan moich pytań, panie premierze.

Göring: Wynocha stąd, panie oszust!

Innym świadkiem oskarżenia był minister propagandy Goebbels,

który długo rozwodził się o nielegalnych, podstępnych i konspiracyjnych metodach działania komunistów.

Dymitrow: Panie ministrze, czy wiadomo panu, że w Austrii i Czechosłowacji pańscy towarzysze ideowi, narodowi socjaliści, również [jak komuniści] muszą działać nielegalnie, posługiwać się fałszywymi paszportami, konspiracyjnymi adresami i zaszyfrowaną korespondencją?

Goebbels: Odpowiem panu słowami Schopenhauera: Każdy zasługuje na to, aby na niego spojrzeć, ale nie każdy zasługuje na to, aby z nim rozmawiać.

Naziści i komuniści zgadzali się co do tego, że van der Lubbe rzeczywiście podpalił Reichstag. Obie strony zgadzały się też, że aby spowodować tak wielki pożar, musiał mieć do pomocy kilku specjalistów. Według nazistów byli nimi czterej działacze komunistyczni: trzech Bułgarów, w tym Dymitrow, i poseł do Reichstagu, członek KPD Torgler. Władze przygotowywały ten proces przez siedem miesięcy, ale podczas rozpraw wyraźnie wyszło na jaw, że wszystko zostało ukartowane, i czterech komunistów musiano uniewinnić. Wyrok uniewinniający wskazywał na prawdziwych sprawców podpalenia. Z faktów, które wyszły na jaw podczas procesu, wynikało jasno, że to sami naziści podpalili Reichstag, aby mieć pretekst do rozwiązania partii lewicowych i rozpętania masowego terroru. Wysiłki sądu, aby ukryć prawdę, nie zdały się na nic.

Bardzo ładnie, można zapytać, ale jak dokonano podpalenia? Kto namówił van der Lubbe, aby zrobił, co trzeba, kto wymyślił plan, kto o nim wiedział i kto czynnie pomagał sprawcy? Podpalacze mogli się dostać do budynku tylko podziemnym przejściem łączącym siedzibę Göringa z Reichstagiem: fakt ten i sprzeczności w zeznaniach premiera Prus utwierdziły nas w przeświadczeniu, że należał on do spisku. Ale jak przekonać naiwny Zachód do tak fantastycznej historii? Nie mieliśmy bezpośrednich dowodów ani dostępu do świadków, a z Niemcami utrzymywaliśmy tylko konspiracyjną łączność. Musieliśmy opierać się na domysłach i intuicyjnej wiedzy o metodach i sposobie myślenia naszego przeciwnika w tej totalitarnej grze.

Słowo „my” odnosi się w tym kontekście do sztabu propagandy

Kominternu w Paryżu, działającego pod szyldem Deutsches Hilfskomitee (Niemieckiego Komitetu Pomocy). Jak już pisałem, przybyłem do Paryżu w trakcie batalii i odegrałem w niej drugorzędną rolę. Miałem śledzić reakcje, jakie wywołuje proces i nasze działania propagandowe w brytyjskiej prasie i w Izbie Gmin, badać nastawienie brytyjskiej opinii publicznej i wyciągać odpowiednie wnioski taktyczne. Przez pewien czas redagowałem też codzienny biuletyn, który rozdawaliśmy francuskim i brytyjskim dziennikarzom.

Kiedy przyłączyłem się do walki, pierwsza runda była już wygrana, hitlerowcy zostali zepchnięci do defensywy. Rozpaczliwie próbując oczyścić się przed światową opinią publiczną, wezwali na świadków Göringa i Goebbelsa. Ich niepowodzenie i nasz końcowy triumf – sensacyjne uniewinnienie oskarżonych komunistów – było niemal wyłączną zasługą geniuszu jednego człowieka: Willego Münzenberga.

Willi był szarą – a raczej czerwoną – eminencją i niewidocznym organizatorem ogólnoświatowej krucjaty antyfaszystowskiej. W nocy, w której Reichstag stanął w płomieniach, uciekł z Niemiec, urządził swój sztab w Paryżu i rozpoczął kampanię będącą jedynym w swoim rodzaju osiągnięciem w całej historii propagandy.

W kominternowskiej hierarchii Willi zajmował wyjątkową pozycję, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, nie był politykiem, lecz propagandzistą, nie „teoretykiem”, ale „działaczem”. Nie brał udziału w walkach frakcyjnych, nie knuł intryg i z lekceważeniem traktował spory o dialektycznie poprawną wykładnię aktualnej linii partii.

Po drugie, Willi kierował ogólnoświatową, potężną organizacją o nazwie Internationale Arbeiterhilfe (IAH, Międzynarodowa Pomoc Robotnicza), nazywaną w partii „koncernem Münzenberga”. IAH była nadzorowana bezpośrednio z Moskwy i nie podlegała lokalnym partiom komunistycznym. Willi miał dzięki temu większą swobodę działania na arenie międzynarodowej niż jakikolwiek działacz Kominternu. Gazety, periodyki, filmy i spektakle teatralne koncernu Münzenberga, wolne od dławiącego nadzoru biurokracji partyjnej, mogły korzystać z pomysłowych metod propagandowych nie mających nic wspólnego z pedantycznym, sekciarskim językiem oficjalnej prasy partyjnej. Spektakularne sukcesy Willego, jego niezależność i niespecjalnie

skrywana pogarda dla serwilizmu i ideologicznego dzielenia włosa na czworo, ściągnęły nań głęboką nienawiść partyjnej biurokracji. Zwłaszcza niemieccy wodzowie – Ulbricht, Pieck, Eisler i spółka, rządzący potem Niemiecką Republiką Demokratyczną – bez przerwy intrygowali przeciwko niemu i starali się go utracić. Udało im się wreszcie w 1937 roku, podczas wielkiej czystki.

Münzenberg założył najpierw Deutsches Hilfskomitee, mający oddziały w całej Europie i Ameryce. Była to oficjalnie organizacja dobroczynna i w każdym kraju wspierało ją honorowe gremium złożone z szanowanych osobistości, od angielskich księżnych do amerykańskich dziennikarzy i francuskich uczonych. Ludzie ci nigdy nie słyszeli o Münzenbergu i sądzili, że Komintern to straszidło wymyślone przez dr. Goebbelsa.

Komitet ten, ze swoją galaktyką międzynarodowych sław, stał się motorem całej krucjaty. Starano się, aby nie miał on żadnych związków z komunistami – z wyjątkiem kilku głośnych nazwisk, takich jak Henri Barbusse i J.B.S. Haldane. Jednakże paryski sekretariat, kierujący jego pracami, składał się wyłącznie z komunistów z Münzenbergiem na czele i znajdował się pod ścisłą kontrolą Kominternu. Jego siedziba mieściła się najpierw przy rue Mondétour w pobliżu hal, a potem przy 83 Boulevard du Montparnasse. Sam Münzenberg urzędował w wielkim gabinecie w budynku komitetu, ale nikt postronny o tym nie wiedział. Wszystko urządzone więc było bardzo prosto.

Münzenberg założył następnie w Paryżu własne wydawnictwo – Éditions du Carrefour, które przystąpiło do opracowania słynnej pierwszej *Brunatnej księgi* na temat hitlerowskiego terroru i podpalenia Reichstagu. Oddziaływała ona chyba najsilniej na opinię publiczną ze wszystkich broszur politycznych od czasu *Common Sense* Thomasa Paine'a.

Ukazała się anonimowo. Na karcie tytułowej napisano: „Opracowana przez Niemiecki Komitet Pomocy, wstępem opatrzył lord Marley”. Zawierała pierwszy obszerny raport o niemieckich obozach koncentracyjnych (włącznie z danymi statystycznymi i listą ofiar), o prześladowaniach Żydów, paleniu książek i innych przejawach represji. Dokumentację zebrał wywiad Kominternu. W książce znalazła

się też „zakulisowa historia” pożaru Reichstagu, począwszy od szczegółowego życiorysu van der Lubbeego, który zestawili holenderscy agenci Kominternu, i relacji o jego kontaktach z homoseksualnym otoczeniem szefa SA Röhma, a skończywszy na przekonującym opisie tego, w jaki sposób podpalacze dostali się podziemnym przejściem do Reichstagu. Podano nazwiska kilku bezpośrednich uczestników tej akcji: hrabiego Helldorfa oraz przywódców SA Heinesa i Schulza.

Wszystko opierało się na nieoficjalnych informacjach, dedukcji, domysłach i zwykłym blefie. Mieliśmy pewność tylko co do jednego: że podpalenie zorganizowały pewne kręgi nazistowskie. Cała reszta była strzałem w ciemno, który jednak trafił prosto w cel. W ciągu kilku tygodni *Brunatną księgę* przetłumaczono na siedemnaście języków i wydano w milionach egzemplarzy. Stała się ona biblią antyfaszystowskiej krucjaty. W dużych ilościach przemycano ją do Niemiec w okładkach książek z taniej serii klasyki wydawanej przez Recklama – *Wallensteina* Schillera i *Hermana i Doroty* Goethego.

Anonimowym autorem *Brunatnej księgi* był główny współpracownik Münzenberga, Otto Katz, alias André Simone, który w 1952 roku został skazany w procesie Slansky’ego i powieszony.

Kiedy nad *Brunatną księgą* trwały prace, Münzenberg podjął kolejne przedsięwzięcie. Wraz z Katzem, wciąż pod szyldem Deutsches Hilfskomitee, stworzył Komisję Śledczą w sprawie Pożaru Reichstagu. Składała się ona z prawników cieszących się międzynarodową renomą. Byli wśród nich: syn byłego premiera Szwecji, senator Georg Branting; adwokat Sacco i Vanzettiego, Arthur Garfield Hays; mecenas Vincent de Moro-Giaffery i Gaston Bergery z Francji; D.N. Pritt z Anglii i inni. 14 września 1933 roku w sali londyńskiej Izby Adwokackiej sir Stafford Cripps otworzył obrady komisji. Przesłuchiwała ona świadków, badała dokumenty i działała właściwie jako „nieoficjalny trybunał, który otrzymał swój mandat od sumienia świata” – jak napisał Katz, jej niewidzialny organizator, w *Drugiej brunatnej księdze*. Obrady komisji przyjęło się nazywać „kontrprocesem”. Publiczny proces tego rodzaju był wówczas nowością, zyskał więc międzynarodowy rozgłos. Münzenberg wpadł na ten pomysł, kiedy szukając nowych forteli

propagandowych, przypomniał sobie „tajne sądy” rosyjskich rewolucjonistów z czasów caratu.

Werdykt komisji, uniewinniający komunistów i uznający winę nazistów, ogłoszono w Caxton Hall w Londynie 20 września – na dzień przed rozpoczęciem się prawdziwego procesu przed Sądem Rzeszy w Lipsku. Dzięki temu genialnemu pomysłowi Münzenberga naziści od samego początku znaleźli się w defensywie. Proces lipski trwał trzy miesiące, a przez większość tego czasu sąd usiłował obalić oskarżenia wysunięte w *Brunatnej księdze* i ustalenia komisji prowadzącej kontrproces. Podczas rozpraw *Brunatną księgę* nazywano wręcz „szóstym oskarżonym”. Był to jedyny wypadek w historii prawa, że sąd – w dodatku Sąd Rzeszy – skoncentrował się na obalaniu oskarżeń wysuniętych przez trzecią stronę, nie uczestniczącą w procesie. Stąd parada ministrów w roli świadków, stąd niebываłe żądanie sądu wobec szefa poczdamskiej policji, aby dostarczył alibi na czas popełnienia przestępstwa, stąd niewiarygodna wręcz autodenuncjacja premiera Göringa:

Według *Brunatnej księgi* przyglądałem się przygotowaniom do pożaru i miałem rzekomo na sobie bladoniebieską togę. Brakuje tylko, aby mnie oskarżono, że jak Neron podczas pożaru Rzymu grałem na lutni... *Brunatna księga* to podżegająca broszura, którą każę zniszczyć, gdziekolwiek ją znajdę... W *Brunatnej księdze* twierdzi się, że jestem skończonym idiotą, który uciekł z domu wariatów, i że moja czaszka zapadła się już w kilku miejscach.

* *

*

Uniewinnienie Dymitrowa i pozostałych komunistów było ukoronowaniem zwycięstwa Münzenberga. Miało ono dalekosiężne skutki polityczne. Dla opinii publicznej oznaczało uwolnienie komunistów od zarzutu spisku i przemocy. Akcje terrorystyczne komunistów uważano odtąd za wymysł hitlerowców, mający zdyskredytować ich głównych przeciwników; raz na zawsze uznano, że komuniści to uczciwi obrońcy wolności i demokracji, tylko odważniejsi i bardziej zdecydowani od innych. Kto nazywał Dymitrowa „agentem Kominternu”, używał języka nazistów. Dymitrow stał się symbolem owego dzielnego i godnego szacunku współczesnego liberała

noszącego miano „antyfaszysty”.

Pół roku później grupa przywódców SA, do której należeli domniemani sprawcy podpalenia – Röhm, Heines, Schulz i inni – została zlikwidowana podczas hitlerowskiej czystki 30 czerwca. Zarówno Heines, jak Schulz przedstawili dość przekonujące alibi; również inne twierdzenia wysunięte w *Brunatnej księdze* miały się z prawdą. Nie zmniejszyło to wszakże jej wpływu na opinię publiczną. W totalitarnej propagandzie szczegóły nie mają znaczenia.

Jeszcze bardziej niezwykle jest inne osiągnięcie komunistów: wymazanie z pamięci społecznej faktu, że przez długie lata, w Niemczech i innych krajach, nawoływali oni do przemocy i zbrojnych przewrotów. Dowody na to znajdowały się na pierwszej stronie każdej komunistycznej gazety. Ale ponieważ podczas procesu wykazano, że komuniści nie planowali zbrojnego przewrotu podczas pożaru Reichstagu, opinia publiczna uznała za dowiedzione, że nigdy nie mieli oni i nie będą mieć takiego zamiaru.

Najbardziej fascynującym przykładem ogłupienia opinii publicznej była sprawa tak zwanego spisku sofijskiego, który odegrał ważną rolę podczas procesu lipskiego. 14 kwietnia 1925 roku w Sofii został zastrzelony szef bułgarskiego sztabu generalnego. Dwa dni później, podczas nabożeństwa żałobnego, w katedrze sofijskiej wybuchła bomba schowana za ołtarzem. Sto pięćdziesiąt osób zginęło na miejscu, ponad pięćset zostało ciężko rannych. Wśród ofiar śmiertelnych znalazło się czternastu generałów, szef policji, burmistrz Sofii, ponad pięćdziesięciu wysokich urzędników państwowych, trzydziestu redaktorów gazet i dziennikarzy i tak dalej. Sprawcy chcieli za jednym zamachem unicestwić całą bułgarską elitę rządzącą.

Działania odwetowe podjęte przez rząd były jeszcze krwawsze niż sam zamach. Według oficjalnych danych podczas osiemdziesięciu jeden procesów przed sądem stanęło 3537 osób, z których trzysta skazano na śmierć. Według informacji opozycji co najmniej pięć tysięcy ludzi zostało zabitych albo zaginęło bez wieści. Niektórych więźniów spalono żywcem w wielkim piecu w sofijskiej siedzibie policji. W więzieniu w Sofii zginął brat Dymitrowa. Sam Dymitrow, jeden z przywódców Bułgarskiej Partii Komunistycznej, został zaocznie skazany na śmierć.

On i Komintern naturalnie wypierali się wszelkiej odpowiedzialności za zamach i twierdzili, że dokonali go prowokatorzy policji.

Kiedy siedem lat później Dymitrow został aresztowany pod zarzutem podpalenia Reichstagu, prasa nazistowska oskarżyła go również o zorganizowanie zamachu w sofijskiej katedrze. Dymitrow i aparat Münzenberga sprytnie skorzystali z okazji, aby przekonać świat, że skoro komuniści nie podpalili Reichstagu, nie są też winni masakry w Sofii. W swojej słynnej mowie końcowej podczas procesu lipskiego Dymitrow ponownie to podkreślił:

Wysoki Sądzie, nie pierwszy raz taka zbrodnia została kłamliwie przypisana komunistom... Chciałbym przypomnieć zamach w sofijskiej katedrze. Akcji tej nie zorganizowała Bułgarska Partia Komunistyczna, ale na Bułgarską Partię Komunistyczną spadły za to prześladowania. Pod tym kłamliwym zarzutem zamordowano dwa tysiące bułgarskich komunistów, robotników, chłopów i intelektualistów. Tę prowokację, wysadzenie sofijskiej katedry, zorganizowała w rzeczywistości bułgarska policja.

Prawda wyszła na jaw dopiero piętnaście lat później – i ujawnił ją sam Dymitrow. 19 grudnia 1948 roku, podczas V Zjazdu Bułgarskiej Partii Komunistycznej, powiedział wprost, że katedrę sofijską wysadziła jednak partia komunistyczna, która w owym czasie uległa lewicowemu odchyleniu:

Egzekutywa partii w kraju nie potrafiła jednak poradzić sobie z ultralewicowym odchyleniem, zerwać na czas z polityką zbrojnego powstania i zreorganizować działalności partii odpowiednio do zmienionej sytuacji. Rząd faszystowski kontynuował swój terrorystyczny kurs z jeszcze większą zaciekłością. Wykorzystując desperackie akcje organizacji wojskowej partii, których kulminacją był zamach w katedrze sofijskiej, rozpoczął masową rzeź działaczy komunistycznych...

Zabawne jest to, że oba cytaty pochodzą z tej samej książki: Georgi Dimitrov, *Selected Speeches and Articles*, opublikowanej przez Brytyjską Partię Komunistyczną (Londyn 1951).

* *

Po uniewinnieniu Torgler trafił do „aresztu prewencyjnego”, czyli

obożu koncentracyjnego, a Dymitrow i jego bułgarscy koledzy, mimo ponawianych gróźb Göringa, odlecieli samolotem do Moskwy. Zgodnie z tezą dwojga historyków Kominternu, Ruth Fischer i Franza Borkenau^[11], Dymitrow od samego początku procesu wiedział, że GPU i gestapo zawarły tajne porozumienie, w myśl którego bez względu na wynik procesu znajdzie się on bezpiecznie w Moskwie.

Teza ta opiera się na poufnych informacjach, które Ruth Fischer otrzymała w czasie procesu od Wilhelma Piecka, ówczesnego członka Komitetu Centralnego KPD, a potem prezydenta Niemieckiej Republiki Demokratycznej, i od Marii Reese, wiceprzewodniczącej Reichstagu i narzeczonej Torglera. Według Fischer Pieck niepokoił się, że Torgler dowie się o porozumieniu i podczas procesu ujawni je z zemsty za to, że nie został nim objęty. Dlatego Pieck „postanowił ściągnąć do Londynu pewnego niemieckiego uchodźcę dysponującego zaskakującą informacją, że Torgler jest zdrajcą sprawy antyfaszystowskiej... Kurier Piecka rzeczywiście przyjechał do Londynu i przekazał swą informację scenicznym szeptem, ale ponieważ Torgler nie ujawnił porozumienia, dzięki któremu Dymitrow został ocalony, nie wysunięto przeciwko niemu oskarżeń”.

Nie dysponuję informacjami z pierwszej ręki na temat domniemanego porozumienia. Pamiętam jednak, że Münzenberg wiele razy znacząco ostrzegał nas, aby „nie lansować Torglera”. Sugerował tym samym, że Torgler może się załamać, a nawet zmienić front. Ale to podejrzenie nie musiało mieć związku z porozumieniem w sprawie Dymitrowa^[12].

Jeżeli tajne porozumienie rzeczywiście zawarto, to było ono tylko jednym więcej epizodem w historii potajemnych kontaktów między dwoma totalitarnymi reżimami w okresie od dojścia Hitlera do władzy do paktu Ribbentrop–Mołotow. Ale nawet mając porozumienie w kieszeni, Dymitrow musiał się podczas procesu liczyć z tym, że swą bojową postawą narazi się nazistom do tego stopnia, że ci wycofają się z umowy. Jego osobista odwaga zasługuje więc na słowa najwyższego uznania. Żałosna rola, jaką odegrał później w charakterze sekretarza generalnego Kominternu i w sprawie Tity, dowodzi jedynie, że komunista ma skłonność zachowywać się jak lew wobec swoich

wrogów i jak mysz wobec zwierzchników.

Wyrok w procesie lipskim ogłoszono na dwa dni przed Bożym Narodzeniem 1933 roku. Po zakończeniu procesu wróciliśmy do codzienności. Trwały prace nad *Drugą brunatną księgą*, zatytułowaną *Dymitrow kontra Göring*. Gromadzone przez nas wycinki prasowe, dokumenty i broszury urosły do wielkiej hałdy i Willi postanowił, że staną się zaczątkiem Archiwum Antyfaszystowskiego, które wkrótce przekształciło się w Bibliotekę Wolnych Niemiec. Przydzielono mnie do pracy w tym archiwum, którą bardzo polubiłem.

Po raz pierwszy zostałem zawodowym komunistą, płatnym pracownikiem partii. Oficjalnie zatrudniał mnie oczywiście Deutsches Hilfskomitee, ale w rzeczywistości otrzymywałem pensję z IAH, czyli z kasy partyjnej. Byłem w sytuacji funkcjonariusza partyjnego, którego oddelegowano do pracy w fasadowej organizacji. A to bardzo mi się nie podobało. Nigdy nie chciałem być partyjnym urzędnikiem i miałem głęboką awersję do wszelkiego rodzaju politycznej biurokracji. Datowała się ona od czasu mojej działalności w ruchu syjonistycznym, gdzie zetknąłem się z zarozumiałymi, nadętymi biurokratami. Pogłębiła się jeszcze po tym, jak poznałem mechanizmy kominternowskiej polityki. Chciałem żyć dla partii, nie z partii. Pragnąłem być komunistą amatorem, a nie zawodowcem.

Była to jak na marksistę postawa nielogiczna, niewątpliwym przejaw „drobnomieszczańskiego idealizmu” stojący w sprzeczności ze stanowiskiem Lenina, który domagał się „zawodowych rewolucjonistów”. Ale nic nie mogłem na to poradzić. Atmosfera w „koncernie Münzenberga” była wprawdzie bardziej liberalna i swobodna niż w tradycyjnym biurze partyjnym; nie musiałem się obawiać, że pewnego dnia jakaś nieostrożna uwaga zostanie wykorzystana przeciwko mnie. Mimo to czułem, że po kilku latach pracy dla Münzenberga stracę resztki niezależności i szacunku dla samego siebie.

Znalazłem się na rozdrożu. Musiałem wybrać: albo życie zawodowego komunisty i kariera w „koncernie Münzenberga”, taka jaką kiedyś robiłem u Ullsteina, albo zapewnienie sobie innych środków utrzymania i odzyskanie finansowej samodzielności. Czułem, że od tego

wyboru zależy cała moja przyszłość. I jak w każdej przełomowej chwili w moim życiu, decyzja podjęła się sama, bez świadomego rozważenia przeze mnie wszystkich za i przeciw. Na początku 1934 roku zrezygnowałem z jedyne go płatnego stanowiska partyjnego, jakie kiedykolwiek zajmowałem, i rozstałem się w przyjaźni z Willim i Ottonem.

Doktor Costler i czystka w szklance wody

Zrezygnowawszy z zawodowej działalności w partii, przysiadłem fałdów i w krótkim czasie napisałem dwie książki. Jedna była moją pierwszą powieścią i nigdy nie została wydana. Druga ukazała się pod pseudonimem „Dr A. Costler” i stała się międzynarodowym bestsellerem. Co więcej – jak na ironię – jest to jedyne moje dzieło, które miało same pochlebne recenzje. Nawet krytycy, którzy kręcili nosem na inne moje książki, dla tej mieli same pochwały. Niektóre recenzje cytuję w przypisie^[13]. Być może czytelnik uzna to samochwalstwo za usprawiedliwione, gdy się dowie, że rzeczona książka nosiła tytuł *The Encyclopaedia of Sexual Knowledge* (Encyklopedia wiedzy o seksie).

Był to pierwszy tom trylogii, która pod pewnymi względami stała się wzorcowym opracowaniem w swojej dziedzinie. Przeczytałem całego Freuda, Adlera, Junga i Stekela, ale nigdy nie przypuszczałem, obok ilu nieznanymi tragedii przechodzimy codziennie na ulicy. Dopiero statystyki pozwalają poznać powszechność problemów seksualnych. Dwadzieścia lat później raport Kinseya wywołał wstrząs w społeczeństwie amerykańskim, ale już w 1932 roku w berlińskim instytucie Hirschfelda można było uzyskać podstawowe dane dotyczące tej kwestii. Chaotyczne warunki społeczne w Niemczech przed dojściem Hitlera do władzy, rozpacz, nihilizm i bliski hysterii stan szerokich rzesz ludzi pogłębiły oczywiście problemy seksualne w społeczeństwie i ukazały je w jeszcze jaskrawszym świetle.

Seksuologią zainteresowałem się więc jako jednym z wielu przejawów kryzysu naszej cywilizacji. Nigdy jednak nie pomyślałbym o napisaniu książki na ten temat (a tym bardziej trylogii liczącej pół miliona słów), gdyby nie moja rozpaczliwa sytuacja – sytuacja komunistycznego emigranta, który nie chce zarabiać na życie działalnością partyjną.

Swoją encyklopedię napisałem w sześć czy osiem tygodni i otrzymałem za nią jednorazową zapłatę w wysokości trzech tysięcy franków – w tym czasie około czterdziestu funtów. Kiedy książka stała się światowym bestsellerem, wydawca poczuł się zobowiązany dopłacić

mi jeszcze półtora tysiąca franków nieprzewidzianych w umowie. W ostatnim angielskim wydaniu, ze stycznia 1944 roku, znajduje się informacja, że sprzedano już 75 000 egzemplarzy. We Francji, Stanach Zjednoczonych, Hiszpanii i Włoszech książka odniosła podobny sukces. Nie wiem, w jakich jeszcze językach się ukazała.

Cztery i pół tysiąca franków, które zarobiłem na encyklopedii, wydałem wkrótce do ostatniego centyma. Znow znalazłem się w ślepym zaułku, tak jak przed ośmioma laty, kiedy omal nie umarłem z głodu w Palestynie. Teraz jednak miałem już dwadzieścia dziewięć lat i czułem się jak obiecujący niegdyś, nie pierwszej już młodości człowiek, o którym mówi się, że „ma wielką przyszłość za sobą”. Żyłem na łaskawym chlebie, byłem pisarzem odrzucanych książek i sztuk, emigrantem i obcym wśród swoich, przyjaciół i towarzyszy – moja litość nad sobą nie miała granic. Był to jedyny okres w moim życiu, kiedy uległem temu niegodnemu uczuciu. Trwał on tylko kilka tygodni, ale był większym koszmarem niż więzienia i obozy koncentracyjne. O ile bowiem w normalnych warunkach uzalanie się nad sobą jest przyjemnością, w chwili kryzysu życiowego staje się dla człowieka niszczące.

Przez kilka dni nie wychodziłem z pokoju i pewnego wieczoru podjąłem decyzję. Pozatykałem szpary w drzwiach i oknach i otworzyłem gaz. Położyłem poplamiony przez pluskwy materac obok kuchenki, ale kiedy kładłem się na nim, z rozchwierutanej półki spadła książka i uderzyła mnie w twarz. Omal nie złamała mi nosa, wstałem więc, zamknąłem gaz i wyjąłem uszczelnienia ze szpar. Ze wszystkich niepowodzeń najtrudniej przyznać się do nieudanej próby samobójczej. Książką, która spadła mi na głowę, była *Druga brunatna księga, Dymitrow kontra Göring*, omawiająca przebieg procesu lipskiego. Trudno było sobie wyobrazić drastyczniejszą aluzję do nikczemności mojego postępu. Musiałem albo potrącić nieszczęsną półkę, albo „dialektyka” dokonała cudu.

Nie powiedziałem o tym głupim zdarzeniu nikomu oprócz Egona Erwina Kische, który na emigracji pod pewnym względem zastępował mi ojca.

Egon Erwin Kisch (dla przyjaciół „Egonek”) pochodził z Pragi,

gdzie zyskał rozgłos jako młody dziennikarz od spraw kryminalnych i autor opowiadań z życia złodziei i prostytutek. Jego pierwsza książka, *Szalejący reporter*, weszła do klasyki niemieckiego dziennikarstwa. Po niej Kisch napisał cykl książek podróżniczych o Chinach, Ameryce, Australii i sowieckiej Azji. Miały one prokomunistyczną wymowę, ale skrzyły się dowcipem i wszystkimi barwami życia. W pierwszej połowie lat trzydziestych Kisch, mimo pięćdziesiątki i wydatnego brzucha, wciąż podobał się kobietom – był pełen osobistego uroku, a jego śniadą twarz często rozjaśniał uśmiech. Miał słabość do młodych dziewcząt, które oczarowywał opowiadanymi po mistrzowsku anegdotami. Niekiedy opowieść taka trwała pół godziny. Był też iluzjonistą amatorem i popisывał się sztuką czytania w myślach – wraz z późniejszą żoną, wierną, zadowoloną z siebie Giesl o końskich zębach, która wyglądała jak nauczycielka i pracowała dla GPU.

Do polityki miał Kisch stosunek na wskroś cyniczny. Unikał wdawania się w jakiegokolwiek dyskusje, wykręcając się frazesem: „Ja nic nie myślę, za mnie myśli Stalin”, który wypowiadał z kamienną twarzą. Po tych słowach zwykle zapadała nerwowa cisza i pospiesznie zmieniano temat. Kisch wynalazł też nową grę planszową, z rodzaju tych, w których rzuca się kostką i przesuwa konika po torze wyścigowym. U Kische jednak ścigały się nie konie, lecz działacze partyjni. Zamiast wpadać do rowu albo rozbijać się o przeszkody, uczestnicy byli karani za trockistowskie sympatie, usuwani z partii za bucharinowskie odchylenie itd. Trudno powiedzieć, jakim cudem takie dowcipy uchodziły mu na sucho. Powody mogły być trzy: Kisch należał do ludzi, którym wszystko się wybaczają; jego popularność zjednywała partii niemieckiej sympatię intelektualistów; herezje Egonka stanowiły dobry kamuflaż dla działalności Giesl.

Pod maską wesołego cynika skrywała się jednak twarz zmęczonego, rozczarowanego człowieka, który nie miał złudzeń co do partii, ale tym bardziej co do świata poza nią. W każdym razie czuł się zbyt stary, aby się wycofać i zacząć wszystko od nowa. W jednej z moich powieści stary komunista mówi: „Skoro zainwestowałeś cały swój kapitał w firmę, nie będziesz go wycofywał – nie w twoim wieku, nie po trzydziestu latach. To byłoby nieprzyzwoite, mówię ci, zupełnie

nieprzyzwoite”. Kisch nigdy tego nie powiedział, ale kiedy pisałem te słowa, słyszałem, jak są wypowiedane jego głosem. Zmarł na serce w rodzinnej Pradze pod rządami komunistycznego reżimu, na krótko przed egzekucją swojego rodaka i bliskiego przyjaciela, Ottona Katza.

Kisch zawsze lubił groteskowe anegdoty, opowiedziałem mu więc o swojej niefortunnej próbie samobójczej w tym właśnie stylu. Musiał to komuś powtórzyć, bo dwanaście lat później, gdy po wojnie wróciłem do Paryża i byłem atakowany przez Francuską Partię Komunistyczną, w kilku gazetach napisano o „próbie samobójczej tego zdrajcy Koestlera w paryskim hotelu”, co miało dodatkowo świadczyć o podłości mojego charakteru. Dziwi mnie tylko, że nigdy nie ujawniono, iż to ja jestem doktorem Costlerem, o czym aparat na pewno wiedział. Być może partia uznała, że to tylko zjedna mi sympatię żeńskiej części rewolucyjnych kadr.

Z otchłani rozpaczy wydobyła mnie nieoczekiwana propozycja pełnoetatowej posady, bezpłatnej, ale bardzo mi odpowiadającej. Przez następne sześć do dziewięciu miesięcy praca ta pochłaniała mnie całkowicie. Chodziło o stworzenie ośrodka badań nad społeczeństwem i mechanizmami władzy w państwach faszystowskich, który miałyby charakter bardziej naukowy niż propagandowy koncern Münzenberga. Pomysł wyszedł od mego starego przyjaciela i guru partyjnego, Petera Marosa. Wrócił on właśnie do Paryża z dłuższego pobytu w Jugosławii i zapytał mnie, czy nie zechciałbym pracować w tworzonej przez niego instytucji. Nazywała się ona INFRA – Institut pour l’Etude du Fascisme.

Peter nie mógł mi tego zaproponować w bardziej sprzyjającym momencie. Byłem mu za to bezmiernie wdzięczny. Po przyjeździe zadzwonił do mnie i powiedział, że chciałby się ze mną spotkać w Café Weber przy rue Royale. Przeraziłem się, że wybrał taką elegancką kawiarnię, i zaproponowałem tańszy lokal.

– Nie przejmuj się – odparł Peter. – Ja płacę. Dobrze ci zrobi, jak wyjdiesz ze swojej nory.

A więc musiał już słyszeć, że marnie mi się wiedzie.

Rzeczywiście dobrze mi to zrobiło. Nie byłem w pobliżu bulwarów od kilku tygodni i aby nie kupować biletu na metro, przeszedłem piechotą całą drogę z Belleville do rue Royale. Kiedy mieszkałem

w Paryżu jako korespondent koncernu Ullstein, którego siedziba znajdowała się w tej dzielnicy, ze wszystkich kawiarni najbardziej lubiłem właśnie Café Weber. Teraz wydała mi się ona miejscem w jakimś obcym kraju, leżącym na dalekich brzegach Luksusu. Było wczesne lato, taras u Webera kąpał się w słońcu, a tłum klientów wyglądał tak, jakby stadko świergoczących szpaków obsiadło stoły i w jednej chwili zamieniło się w ludzi. Peter był opalony, ale poza tym wyglądał jak dawniej: szczupły, ascetyczny, z wąskimi ustami. Mocno i znacząco uściśnął mi rękę i jak to miał w zwyczaju, przypatrywał mi się kilka sekund bez słowa swymi nieco wyłupiastymi oczami, z których emanowała braterska miłość i zdecydowanie właściwe ważnemu działaczowi frontu kulturalnego. Potem, z charakterystycznym dla siebie entuzjazmem i siłą przekonywania, przedstawił mi swój plan.

Instytut Badań nad Faszyzmem miał stać na uboczu zwykłej działalności partyjnej, utrzymywać się sam i uchodzić przed opinią publiczną za jedno z przedsięwzięć Frontu Ludowego. Szereg wybitnych postaci francuskiego życia kulturalnego obiecało mu swoje poparcie moralne i finansowe – między innymi profesor Langevin, małżeństwo Joliot-Curie, André Malraux, Bertrand de Jouvenel. Zainteresowanie wyraziły również francuskie związki zawodowe. Ponieważ pieniądze napływały powoli, na razie w instytucie pracowali wolontariusze, którym zapewniono jednak bilety na metro i gorącą zupę. Jak powiedział Peter, INFA mogła zaoferować tylko tyle – oraz prawdziwie braterską atmosferę nielicznej grupy ludzi oddanych ważnemu zadaniu na froncie kulturalnym. Czy w takich warunkach przyjąłbym kierownictwo działu publikacji INFA? Oczywiście, że tak – zgodziłem się z ochotą. Potem zapytałem, kto pracuje w tym dziale.

– Na razie tylko ty – odparł Peter.

Zacząłem pracę następnego dnia. Instytut zajmował czteropokojowe mieszkanie przy 25 rue Buffon. Jego personel tworzyli: Peter, trzy Niemki – Rita, Ellen i Lys – które zbierały materiały i katalogowały je; młodzieniec imieniem René, pół-Francuz i pół-Rosjanin, zajmujący się tłumaczeniami; mężczyzna w średnim wieku o imieniu Max, pełniący funkcję „dyrektora handlowego”; i sprzątaczką, która gotowała też zupę. Wszyscy należeli do partii

z wyjątkiem René i Ellen, którzy byli tylko sympatykami. Może się to wydać dziwne, ale podczas wielomiesięcznej pracy w INFAs nigdy nie poznałem nazwisk swoich kolegów ani choćby podstawowych faktów z ich życia; nie wiedziałem nawet, gdzie mieszkają.

Była to grupka wyjątkowo sympatycznych i oddanych sprawie ludzi, a INFAs uważam za najprzyjemniejszą i najprzystojniejszą organizację, z jaką zetknąłem się podczas mojej partyjnej kariery. Miała ona w sobie coś z ducha wczesnego okresu ruchu i chyba dlatego po roku biurokracja partyjna celowo ją zniszczyła.

Peter stworzył INFAs, aby ustalić w sposób naukowy, czym naprawdę jest faszyzm. Slogany w rodzaju „barbarzyństwo”, „powrót do średniowiecza”, „rządy gangsterów” i tak dalej nie były żadnym wyjaśnieniem. Nie umieli go podać także tak zwani teoretycy partyjni – choć oczywiście nie chcieliśmy ich krytykować. Partia uważała faszyzm po prostu za „jawną formę dyktatury kapitalizmu finansowego” w odróżnieniu od „zamaskowanej formy tej dyktatury w tak zwanych krajach demokratycznych”. Tak więc jedyna różnica między, na przykład, Anglią a Niemcami polegała na „zewnątrznych formach”, w których wyrażała się ta dyktatura kapitalistycznej klasy panującej, bo oba reżimy miały taką samą „treść klasową”. Poza tym według partii każdy, kto nie był z nami, był faszystą. Socjalistów nazywano „socjalfaszystami”, katolików „klero-faszystami”, trockistów „trockisto-faszystami” i tak dalej. Dlatego w INFAs chcieliśmy dojść, czym naprawdę jest faszyzm.

Dział publikacji miał wydawać dwumiesięczny biuletyn (którego ukazały się trzy numery) oraz broszury i książki dla wyrobionych czytelników (kilka rzeczywiście wyszło drukiem), a także dostarczać postępowym instytucjom kulturalnym i związkom zawodowym „ideologicznego oręża”, czyli materiałów dokumentalnych.

Z początku wszystko układało się dobrze. Po miesiącu ukazał się pierwszy biuletyn INFAs. Jeden z włoskich towarzyszy nadesłał znakomicie udokumentowany artykuł *Warunki na polach ryżowych na Nizinie Padańskiej*, który wciąż z wdzięcznością pamiętam, bo resztę łamów biuletynu musiałem wypełnić sam. Napisałem też pod szyldem INFAs sześć cokolwiek nazbyt optymistycznych artykułów

o podziemnym ruchu oporu w Niemczech dla paryskiej popołudniówki „L’Intransigeant”. Mimo że rozpaczliwie potrzebowałem pieniędzy, nie potrafiłem się wcześniej zdobyć na pisanie do burżuazyjnej prasy francuskiej. Teraz, ponieważ występowałem w imieniu INFA, pozbyłem się oporów i odzyskałem dziennikarską biegłość pióra.

Max, „dyrektor handlowy” INFA, był jedynym pracownikiem, który wydawał się w instytucie nie na miejscu. Wyglądał jak komiwojażer sprzedający damską bieliznę. Partia przysłała go nam jako „dobrego organizatora”, ale wszyscy czuliśmy się w jego obecności nieswojo – aż któregoś dnia zniknął z rue Buffon i z Francji w niewyjaśnionych okolicznościach. Zdaje się, że zabrał ze sobą część naszych skromnych funduszy, ale Peter i Lys, którzy prowadzili księgi rachunkowe, nie chcieli o tym mówić.

W tej trudnej sytuacji obowiązki Maksa powierzono mnie. Polegały one głównie na spotkaniach z różnymi francuskimi osobistościami i proszeniu ich o wsparcie. Przy tej okazji poznałem między innymi André Malraux. Odwiedziłem go w jego biurze w wydawnictwie Gallimard, które publikowało jego książki. Rozmawialiśmy, spacerując po pięknym ogrodzie na tyłach budynku wydawnictwa. Jako wielbiciel twórczości Malraux byłem bardzo przejęty, ale dzielnie opowiedziałem pisarzowi o wielkich perspektywach naszego instytutu i jego jeszcze większej potrzebie funduszy. Malraux słuchał w milczeniu, od czasu do czasu nerwowo pociągając nosem, co brzmiało jak ryk rannego zwierza w dżungli, po czym następowało klepięcie dłonią w nos. W pierwszej chwili robiło to zaskakujące wrażenie, ale szybko się przyzwyczailem. Kiedy powiedziałem swoje, Malraux zatrzymał się, podszedł do mnie groźnie, aż oparłem się o mur ogrodu, i rzekł:

– *Oui, oui, mon cher, mais que pensez-vous de l’apocalypse?*

Po tych słowach dał mi pięćset franków i życzył powodzenia.

Zazwyczaj chodziłem po prośbie raz w miesiącu, zakładając na tę okazję moją jedyną porządną koszulę. Wśród mecenasów INFA, których odwiedzałem, był profesor Langevin, brodaty i miły, Frédéric Joliot-Curie, młody, bardzo uczuciowy i pełen zapału, Louis Aragon, sztywny, ambitny i próżny, jedyny, który zawsze dawał mi tylko dobre

rady i ani grosza, oraz profesor Lucien Lévy-Bruhl, którego prace o prelogicznym charakterze umysłowości prymitywnej wywarły na mnie wielki wpływ i którego z tego powodu czciłem jak boga.

Wszyscy ci francuscy intelektualiści – i wielu innych – byli wobec mnie, anonimowego „uchodźcy antyfaszystowskiego”, bardzo mili. Choć w większości nie należeli do partii komunistycznej, dawali mi pieniądze dla INFAs, użyczali swych nazwisk naszemu komitetowi patronów i chętnie pisali dla mnie listy polecające do swoich kolegów. Ale w ich uczynności było coś bezosobowego, jakaś powściągliwość i chłód uczuciowy. Byłem im wdzięczny za pomoc, ale przygnębiało mnie, że ani ja, ani żaden z moich kolegów emigrantów nigdy nie został zaproszony do francuskiego domu. Wiedziałem rzecz jasna, że ta rezerwa należy do francuskiej tradycji, i podczas wcześniejszego pobytu w Paryżu uważałem ją za coś oczywistego. Ale bieda i wygnanie czynią człowieka nadwrażliwym, a emigrant pragnie przede wszystkim uwolnić się od ciągłego poczucia wykorzenienia. Dlatego żołnierze stacjonujący w obcych krajach uciekają od swoich ponurych kwater, aby ogrzać się w ciepłe zgromadzonej przy stole rodziny. Brytyjczycy instynktownie rozumieją tę potrzebę i mimo całej swojej nieśmiałości i dystansu potrafią zaopiekować się obcym niczym bezpańskim psem, zaprowadzić do swego domu i sprawić, by czuł się jak u siebie. Francuzi natomiast obejmują go serdecznie, a potem każą mu dygotać z chłodu na ulicy, skazując na los wiecznego turysty lub wiecznego uchodźcy.

Dlatego wielka rzesza wygnańców żyła we Francji jak w getcie, nie utrzymując żadnych kontaktów z Francuzami. Czytali swoje emigracyjne gazety, chodzili do swoich emigracyjnych klubów i kawiarni, zanurzeni całkowicie w emigracyjnym świecie z jego nieuchronnymi sporami i intrygami. W czasie siedmioletniej emigracji we Francji obracałem się wyłącznie w towarzystwie emigrantów, nadal pisząc i myśląc po niemiecku. Ale gdy tylko w 1940 roku osiadłem w Anglii, zacząłem pisać po angielsku, obracać się wśród angielskich przyjaciół i przestałem być emigrantem. Zresztą wielu pisarzy, których językiem ojczystym nie był angielski, zdobyło wysoką pozycję w literaturze angielskiej lub amerykańskiej. Nie znam jednak ani jednego podobnego przypadku w literaturze francuskiej.

Aby zrozumieć historię mojego pobytu we Francji, należy o tym pamiętać. Była to bowiem historia fizycznego i duchowego wygnania, typowa – pomijając nieliczne wyjątki – dla tysięcy politycznych uchodźców takich jak ja.

Aby zakosztować w pełni losu uchodźcy, zostałem teraz bezdomnym w dosłownym znaczeniu: nie mając pieniędzy na pokój nawet w tanim hoteliku w Belleville, zamieszkałem na bezpłatnym strychu w osiedlu sympatycznych dziwaków w Meudon-Val Fleuri, w połowie drogi między Paryżem a Wersalem. Znajdowało się ono w pięknym parku, będącym kiedyś zwierzyńcem Ludwika XIV albo XV. Stało tu wiele opuszczonych stajni, pawilonów i domków letnich – pamiątek po dworskich igraszkach miłosnych. Budynki te i liczne namioty zajmował teraz barwny tłum wegetarian, nudystów, poetów i malarzy, należących przeważnie do sekty Raymonda Duncana, oraz ukrywający się przed policją uchodźcy bez dokumentów. Całością zawiadywał brodaty młodzian imieniem Paul, który nosił sandały i ręcznie tkane ubrania i był potajemnym członkiem partii.

Choć stale chodziłem trochę głodny, a w niedzielę, kiedy nie jadłem zupy w INFA, żołądek skręcał mi się z głodu, czułem się doskonale i byłem zadowolony z życia. Praca, poczucie braterstwa i przynależności sprawiały, że nie miałem już powodu uzalać się nad sobą. Wreszcie prowadziłem życie, jakie powinien wieść komunista: ubogie, ofiarne i zdyscyplinowane.

Oczywiście było to zbyt piękne, by mogło długo trwać.

Pewnego dnia latem 1934 roku INFA wzbogaciła się o cennego pracownika w osobie „towarzysza Paula”, czyli Manèsa Sperbera. Kilka tygodni później partia mianowała komisarza, który miał nadzorować naszą działalność. Nazywał się Jan, ale bardziej pasowałby do niego przydomek „Niewidzialny”, ponieważ wydawał się pozbawiony wszelkich cech indywidualnych. Był mężczyzną w średnim wieku i średniego wzrostu; włosy miał rzadkie, garnitur brązowy, ramiona szerokie, mowę powolną, a wzrok zacięty. Stanowił doskonale wcielenie biurokraty z KPD – drewniana twarz, mózg z gipsu, a ciało wypchane chyba końskim włosiem.

Walka o INFA nosiła do pewnego stopnia cechy walki cieni. Nie

groziła nam śmierć ani uwięzienie, jedynie niełaska i dymisja – a w ostateczności oczywiście wydalenie z partii. Ale świadomość tych niebezpieczeństw wystarczyła, abyśmy byli ulegli i oddali Janowi absolutną władzę.

Jan przystąpił do pracy w sposób spokojny i dyskretny. Z jego ust nigdy nie padły ostre słowa, nigdy nie powiedział wprost, że nie podoba mu się coś, co powiedzieliśmy. Dopiero po miesiącu zrozumiałem, że jego celem jest usunięcie Petera z instytutu. Od przyjazdu Jana co tydzień odbywały się dwa lub trzy „oficjalne zebrania”, które zabierały nam mnóstwo czasu i wskutek których atmosfera zmieniała się z przyjaznej i swobodnej na biurokratycznie drętwą i uroczystą. Podczas tych zebrań Jan wygłaszał mowy trwające od godziny do dwóch, podczas których ortodoksyjnym żargonem stalinowskim ustalał „generalne zasady” naszej pracy; mówił więc o „pogłębianiu więzi z masami pracującymi”, „poszerzaniu frontu ideologicznego”, „intensyfikacji dialektycznego charakteru naszej pracy naukowo-oświatowej”, „zwracaniu większej uwagi na zamaskowany faszystowski charakter tak zwanych nauk tak zwanej szkoły austromarksistowskiej” i tak dalej.

Wszystko to było niezamierzoną parodią „dyrektyw” i „tez” Stalina przedstawianych na posiedzeniach Komitetu Centralnego partii sowieckiej i nie miało związku z naszą pracą. Jan celowo nie wdawał się w żadne kwestie praktyczne, aby nie ponosić odpowiedzialności za jakiegokolwiek decyzje. Po jakimś czasie przekonałem się jednak, że choć jego referaty nie mają nic wspólnego z naszą pracą, mają wiele wspólnego z osobami naszych pracowników. W każdym przemówieniu wybierał kilkoro z nas i w nieprzypadkowej kolejności chwalił ich, natomiast wszystkie jego apele o „samokrytykę” były w ten czy inny sposób zawsze skierowane do Petera, a później, kiedy dałem jasno do zrozumienia, że jestem po stronie Petera, również do mnie. Ataki te zawsze były zawoalowane, Jan nigdy nie wytykał nam konkretnych błędów w pracy, lecz używał ogólnikowych zwrotów, takich jak „poszerzenie frontów”, „intensyfikacja wysiłków”, „pogłębianie więzi” i tak dalej. Osiągał jednak swój cel: „stare partyjne konie pociągowe” wśród nas rozumiały, że z tego czy innego powodu Peter i ja jesteśmy

w nielasce.

W zwykłym biurze partyjnym wystarczyłoby to, aby się nas pozbyć. Pracownicy zrozumieliby aluzję i oskarżyli nas o nieudolność, trockizm albo korupcję. Komitet Centralny poleciłby wszcząć dochodzenie i wyrzuciłby nas z instytutu, a nawet z partii. Ale ludzie pracujący w INFA należeli do szczególnego gatunku. Nie spierali się z Janem – byłoby to daremne i zostałyby uznane za bunt – ale nie atakowali Petera ani mnie i wydawali się głusi na delikatne aluzje Jana.

Partia mogła oczywiście pozbyć się nas, zwyczajnie wydając rozkaz. Jednakże zgodnie z zasadami kominternowskiej polityki przed zlikwidowaniem osoby lub frakcji należało ją „zdemaskować”, to znaczy zdyskredytować „w oczach mas”. Dlatego tyle trudu i starań wkładano w zmuszenie ofiary do przyznania się do winy. „Masami” w tym wypadku nie było tylko sześciu czy ośmiu pracowników INFA, ale ważna grupa francuskich intelektualistów wspierających instytut. Mogli oni przecież zainteresować się sprawą i gdyby doszło do jakiegoś skandalu, Janowi groziłoby oskarżenie o „polityczny sabotaż”.

Jan obrał więc nową taktykę. W szczęśliwych czasach przed jego przybyciem instytut zatwierdził mój projekt Międzynarodowej Wystawy Antyfaszystowskiej i jesienią przystąpiliśmy do jego realizacji. Przedsięwzięcie było bardzo ambitne: wystawa miała się odbyć w jednym z wielkich pawilonów dorocznych Targów Paryskich przy Porte de Versailles. Planowaliśmy, że będzie trwać co najmniej miesiąc i będą jej towarzyszyć publiczne zgromadzenia, odczyty znanych intelektualistów europejskich itd. Kosztowałoby to miliony franków i oczywiście przekraczało nasze finansowe i organizacyjne możliwości. Ale Peter i ja zainteresowaliśmy pomysłem kilka postępowych organizacji, takich jak Liga Praw Człowieka i Liga do Walki z Prześladowaniami Rasowymi, oraz niektórych działaczy francuskich związków zawodowych. Pertraktacje były trudne i delikatne, bo wszystkie te organizacje prowadziły własną politykę i często toczyły ze sobą spory. Osiągnięto wstępne porozumienie; INFA miała opracować szczegółowy plan i budżet przedsięwzięcia, a potem mieliśmy odbyć spotkanie i mianować mieszany komitet do jego wykonania.

Pracowaliśmy intensywnie nad tym planem, gdy pewnego dnia przybył nam nowy pracownik. Jan przedstawił go jako „Maurice’a, godnego zaufania towarzysza, karykaturzystę i rysownika”. Miał on nam pomóc przy „artystycznej stronie” przedsięwzięcia.

Maurice był krępy, trzydziestokilkuletnim mężczyzną zachowującym się jak typowy proletariusz; na jego twarzy malowała się nieufność i irytacja. Dowiedziałem się później, że pracował w aparacie partyjnym w Hamburgu i od czasu do czasu rysował karykatury do gazet partyjnych. Podał nam dłoń z pochmurnym i podejrzliwym wejrzeniem swoich zaczerwienionych oczu i przez następne trzy dni nie odezwał się ani słowem. Pracował na swojej rysownicy w pokoju Jana. Nie zadawał nam żadnych pytań na temat pracy w instytucie i nie interesował się planami, nad którymi miał z nami pracować. Powoli dotarło do nas, że towarzysz Maurice jest zwykłym bałwanem i jego nieufne milczenie wynika stąd, że nie potrafi pojąć niczego, o czym mówimy. Po pewnym czasie dostaliśmy do obejrzenia rysunki, które przygotował na wystawę. Jeden był szkicem plakatu, na którym olbrzymi robotnik w kombinezonie druzgocze młotkiem karłowatego Hitlera; drugi stanowił projekt wystroju głównej sali wystawy, przewidujący na jednej ścianie „fotografie zbrodni popełnionych przez faszystowskich barbarzyńców”, a na drugiej „zdjęcia z socjalistycznych budów w Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich”.

Tego właśnie najbardziej się obawialiśmy. Projekt wystawy będący jawną propagandą komunistyczną musiał zrazić do nas osoby i organizacje, od których zależała realizacja całego przedsięwzięcia. Widzom należało ukazać alternatywę: „faszyzm albo wolność”, a nie „faszyzm albo komunizm”. Nasza jedyna rozsądna taktyka polegała na podkreślaniu wspólnoty interesów wszystkich partii od centrum po skrajną lewicę, którym bez względu na ich programy groził wspólny wróg. Słowem, mogliśmy odnieść sukces tylko dzięki polityce Frontu Ludowego, czyli szerokiej koalicji wszystkich partii centrowych i lewicowych. W tej właśnie kwestii bitwa bogów olimpijskich znalazła bezpośrednie odbicie w naszym małym świecie.

We Francji komuniści mogli tylko zyskać na sojuszu z socjalistami i postępowym mieszczaństwem, bo byli tu stosunkowo słabi; poza tym

wobec rychłego zawarcia francusko-rosyjskiego układu wojskowego Francja powinna była robić wrażenie silnej i zjednoczonej. W Niemczech natomiast należało stosować odmienną taktykę. Tu komuniści, jako ofiara numer jeden nazistów, mieli szansę zdominować ruch opozycyjny; partie umiarkowane skompromitowały się, a klęska spotęgowała jeszcze nienawiść między niemieckimi socjalistami a komunistami przebywającymi na emigracji. Polityka Frontu Ludowego mogła zostać narzucona również partii niemieckiej, ale mogła też ona dostać wolną rękę, jak to się czasem zdarzało w Kominternie. Pierwsza możliwość była bardziej prawdopodobna, ale bynajmniej nie pewna. W tej sytuacji Jan mógł tylko grać na zwłokę. Tymczasem Peter i ja przyjęliśmy już nowy kurs. Atakowanie nas za to nie było politycznie rozsądne, bo partia mogła wkrótce zatwierdzić zmianę polityki. Jednocześnie Jan nie chciał się mieszać do praktycznej działalności instytutu i brać odpowiedzialności za nasze posunięcia. Dlatego z jednej strony mówił o „poszerzaniu frontu”, co mogło uchodzić za poparcie polityki Frontu Ludowego, a z drugiej o „pogłębianiu więzi z masami”, co dowodziło jego wierności dla starej, rewolucyjnej linii.

Gdybyśmy jednak z Peterem zostali zastąpieni nowymi ludźmi, musieliby oni pod naciskiem okoliczności iść w nasze ślady. W obliczu tego dylematu Jan dowiódł swojej biegłości w „sztuce polityki frakcyjnej”. Ściągnął do instytutu Maurice’a, który nie znał francuskiego i nie mógł Jana zobowiązać do niczego, ponieważ nic nie potrafił zrobić. Janowi, i każdemu działaczowi Kominternu będącemu na jego miejscu, chodziło tylko o przetrwanie okresu niepewności.

Kilka dni po przyjściu Maurice’a Jan zwołał zebranie. Po jednym ze swoich długich, zawitych i mglistych kazań wystąpił z szeregiem „propozycji reorganizacji pracy instytutu w celu zwiększenia jej efektywności”. Oświadczył, że towarzysze Peter i Arthur powinni wycofać się z organizowania wystawy i poświęcić siły innym, nieokreślonym bliżej zadaniom. Przygotowaniem wystawy zajmie się odtąd jedna osoba, towarzysz Maurice, który będzie odpowiadać za wszelkie planowanie, pertraktacje i zadania administracyjne.

Propozycje te były oczywiście zarządzeniami. Odsunięcie nas od pracy nad wystawą oznaczało nie tylko naszą „polityczną likwidację”,

ale utracenie całego przedsięwzięcia, które bez nas było skazane na fiasko. Myślę, że wszyscy obecni rozumieli to. Zebranie trwało trzy albo cztery godziny i zakończyło się moją rezygnacją z pracy w INFA; ponieważ tę pracę podjąłem dobrowolnie, a nie na rozkaz partii, nie można mi było zarzucić łamania partyjnej dyscypliny. Peter, właściwy cel intryg Jana, okazał się lepszym komunistą ode mnie. Przez większą część zebrania milczał, patrząc na swego prześladowcę wzrokiem pełnym chrześcijańskiej miłości, który Jana, mimo całej jego tępoty, wprawiał chyba w zakłopotanie. Peter zabrał głos tylko po to, aby odwozić mnie od decyzji odejścia z instytutu. Mówiąc bardzo cicho, przekonywał mnie, że niektóre postanowienia partii mogą być w danej chwili trudne do przyjęcia, lecz koniec końców zawsze okazuje się, że partia ma rację – w dogmat ten głęboko wierzył. Ale kilka tygodni później i on musiał odejść.

Pozostali pracownicy INFA wypowiadali się podobnie jak Peter. Tak gorąco namawiali mnie do pozostania, że równało się to milczącej krytyce czystki i jeszcze bardziej utrudniało mi decyzję. Nikt z obecnych nie śmiał jednak sprzeciwić się zarządzeniom Jana. Nieposłuszeństwo było dla nich nie do pomyślenia, mimo że byli przywiązani do Petera i oddani INFA. Żadnemu z nas nie przyszło też do głowy, aby poprosić o poddanie „propozycji” Jana pod głosowanie. To również było nie do pomyślenia.

Zimą Peter ustąpił ze stanowiska szefa INFA i miesiąc później instytut został zamknięty.

Wycieczka w I wiek p.n.e.

Dzień po odejściu z INFA, zdjęty nagłą ciekawością, zajrzałem do encyklopedii, żeby przeczytać hasło „Spartakus”. Komunistyczna Partia Niemiec powstała z organizacji rewolucyjnej zwanej Związkiem Spartakusa, którą podczas pierwszej wojny światowej założyli Karl Liebknecht i Róża Luksemburg. Każdy komunista niemiecki znał więc imię Spartakusa; jak większość komunistów miałem jednak tylko mgliste pojęcie o tym, kim był ów człowiek. Wiedziałem właściwie tylko tyle, że stał na czele pewnego rodzaju rewolucji w starożytności. Była to jedna z tych luk w wykształceniu, które człowiek zawsze chce uzupełnić, ale jakoś nigdy nie może się do tego zabrać.

Otworzyłem więc *Meyers Lexicon*, tom dwunasty (*Seefeld bis Traun*), i przeczytałem:

Spartakus, wódz podczas wojny niewolników i gladiatorów, 73–71 przed Ch., urodził się jako wolny Trak, wzięty do niewoli trafił do szkoły gladiatorów w Kapui, uciekł stamtąd z 70 towarzyszami, zajął Wezuwiusz, pokonał pretora Waryniusza, a armia jego zwolenników wzrosła do 70 000. Opanował południową Italię i cztery razy pobił Rzymian, aż 71 pretor Marek Licyniusz Krassus zepchnął go na południowo-zachodni cypel Italii; zginął pod Petelią wraz z 60 000 niewolnikami. Wziętych do niewoli ukrzyżowano, a niedobitki, którym udało się wyrwać z okrążenia, u stóp Alp wyciął w pień Pompejusz. Lit.: Hartwig, *Der Sklavenkrieg*.

Ten lakoniczny tekst całkowicie zawładnął moją wyobraźnią i od razu postanowiłem dodać do moich czterech niepublikowanych książek piątą – powieść historyczną. Zajęło mi to cztery lata, ale przekopałem się przez Himalaje materiałów, wyrobiłem sobie nowy pogląd na historię i napisałem *Gladiatorów*, którzy stali się moim powieściowym debiutem. Zanim ich ukończyłem, musiałem napisać cztery inne książki: dwie następne o seksie, aby mieć z czego żyć, książkę propagandową dla hiszpańskich republikanów i relację z mego uwięzienia w Hiszpanii. Dlatego pisanie *Gladiatorów* przypominało bieg z przeszkodami. Kiedy latem 1938 roku skończyłem pracę, nie

należałem już do partii i powieściowe dialogi czytam dziś jak pamiętnik pielgrzymki ku wewnętrznej wolności.

Przez następne tygodnie prawie nie wychodziłem z Bibliothèque Nationale. Moje położenie materialne zdążyło się nieco poprawić. Od sierpnia nie mieszkałem już na strychu w Val Fleuri, ale w hoteliku na Ile Saint-Louis – z Dörte, która kilka miesięcy później została moją żoną.

Poznałem ją w poprzednim roku, oboje pracowaliśmy dla Willego Münzenberga. Miała wtedy dwadzieścia pięć lat, ciemne, potargane włosy, wielkie brązowe oczy i sympatyczną owalną twarz, na której nieśmiałość mieszała się z powagą. Nie pasowała do żadnego z dwóch typów kobiet należących do KPD: męskich, zadzierzystych robotnic i neurotycznych mieszczańskich myszek.

Ojciec Dörte był berlińskim bankierem, jej brat, Ernie, młodym lekarzem, a siostra, Liesl, żoną Petera Marosa. Jeszcze w szkole Ernie i jego siostry wstąpili do socjalistycznej organizacji młodzieżowej, a stamtąd, pod wrażeniem rosyjskich filmów, sztuk awangardowych i pieśni Brechta, przeszli do partii komunistycznej. Ojciec zmarł przed kilku laty, zostawiając majątek wdowie, mojej przyszłej teściowej, kobiecie władczej i ekscentrycznej, obsesyjnie bojącej się nędzy. Starsza pani zniechęciła córki za to, że zostały komunistkami, i zamieszkała w Shepherds Bush na przedmieściach Londynu. Wypłacała Dörte pięć funtów miesięcznie, co nawet w 1934 roku było śmiesznie mało. Kiedy się pobraliśmy, podarowała córce, jako prezent ślubny i wyprawę, parę wełnianych majtek.

Tak więc Dörte była prawie tak biedna jak ja. Ale po odejściu z INFA od czasu do czasu pisywałem artykuły do liberalnego tygodnika Leopolda Schwarzschilda, „Das Neue Tage-Buch”, a Dörte pracowała dorywczo, więc jakoś wiązaliśmy koniec z końcem. Gotowaliśmy posiłki na kuchence gazowej w *cabinet de toilette* i raz w tygodniu chodziliśmy do kina.

Od chwili gdy przed ponad trzema laty wstąpiłem do KPD, płynąłem całkowicie zanurzony w strumieniu rewolucji. Teraz wystawiłem głowę ponad powierzchnię, przyjrzałem się strumieniowi, zacząłem się zastanawiać, dokąd toczy swoje wody, i próbowałem

z głębi naturę sił, dzięki którym płynie. Z początku moją wyobraźnię poruszyły malownicze i romantyczne aspekty powstania niewolników: gladiatorzy, którzy nim kierowali, ich obóz na zboczach Wezuwiusza, i to, że powstańcy omal nie zdobyli Rzymu, co mogło zmienić bieg dziejów. Wkrótce jednak porzuciłem tę frapującą fasadę i zainteresowałem się historycznymi i moralnymi wnioskami płynącymi z tej pierwszej wielkiej rewolucji proletariackiej. Istniały wyraźne podobieństwa między I wiekiem p.n.e. a naszym stuleciem. Był to również wiek społecznych niepokojów, rewolucji i gwałtownych ruchów masowych, poczynając od powstania sycylijskich niewolników, które skończyło się ukrzyżowaniem dwudziestu tysięcy buntowników, po reformy Mariusza i Cynny, bunt Sertoriusza i spisek Katyliny – oraz powstanie Spartakusa, najważniejszej i najbardziej tajemniczej postaci z nich wszystkich.

Przyczyny ówczesnych zaburzeń i wstrząsów również brzmiały znajomo: upadek tradycyjnych wartości, gwałtowna zmiana systemu ekonomicznego, masowe bezrobocie spowodowane napływem niewolników i taniego zboża z kolonii, ruina drobnych rolników i rozwój wielkich latyfundiów, korupcja urzędników i demoralizacja klasy panującej, spadek przyrostu naturalnego, wzrost liczby rozwodów i aborcji. Tylko na tym tle można było zrozumieć, jak to się stało, że grupka siedemdziesięciu zbiegłych gladiatorów w ciągu kilku miesięcy rozrosła się do siedemdziesięciotysięcznej armii, która przez dwa lata panowała nad połową Italii. W gruncie rzeczy był to jeden z tych rzadkich momentów w dziejach, kiedy wystąpiły wszystkie elementy składające się na „obiektywną sytuację rewolucyjną”, jak to nazywają marksiści.

Dlaczego więc rewolucja poniosła klęskę? I jak to się stało, że Rzym, z jego pasożytniczą, zdemoralizowaną klasą panującą i przestarzałym systemem gospodarczym, którego bliski upadek głosili poeci, satyrycy i filozofowie – jak to się stało, że to imperium skazane na zagładę istniało jeszcze pięćset lat? I co w takim razie z marksistowskim twierdzeniem z *Manifestu Komunistycznego*, że w ciągu całych dziejów „wolni i niewolnicy, ciemniejscy i uciemienieni prowadzą nieustanną walkę, która musi skończyć się albo rewolucyjnym

przeobrażeniem całego społeczeństwa, albo zagładą obu walczących klas”?

W I wieku p.n.e. w Italii było już dwukrotnie więcej niewolników niż ludzi wolnych. Początkowe sukcesy ludzi Spartakusa pozwoliły im uwierzyć w swą siłę, przekonały ich, że Rzym jest bezradny, gdy tylko odważą się podnieść głowę. Nigdy więcej na to się nie zdobyli i imperium obalił nie rzymski proletariatus, lecz barbarzyńscy najeźdźcy. Dlaczego niewolnicy rzymscy nie „wzięli swego losu we własne ręce”, jak mówił *Manifest Komunistyczny*? I dlaczego, dwa tysiące lat później, niemiecki i włoski proletariatus nie pojął, na czym polega jego prawdziwy interes, i poparł Neronów i Kaligule swojej epoki? Czy pojęcie „świadomości klasowej” może być w ogóle pomocne w tłumaczeniu procesu historycznego? Czy psychologia mas nie jest czymś o wiele bardziej skomplikowanym? Dlaczego ta nader ważna kwestia była białą plamą na marksistowskiej mapie świata? Dlaczego „partia mas” całkowicie pomijała odkrycia Le Bona, Frazera, Durkheima, Lévy-Bruhla, Freuda i Junga, którzy kładli nacisk na irracjonalny i emocjonalny charakter zachowań zbiorowych, tak wyraźnie ujawniony przez faszyzm i pokrewne ruchy? Czy monotonne tyrady partii przeciwko „zdrajcom klasy robotniczej” i „lokajom burżuazji” wyjaśniają, dlaczego ludzie nie podążają za nami? Czy zamknięty świat, w którym żyłem, ma jakikolwiek związek z rzeczywistością?

To nie ja zadawałem te pytania, to stawiał je materiał, nad którym pracowałem. Wyłaniające się powoli odpowiedzi były niepewne i hipotetyczne, bardzo dalekie od doktrynalnych pewników materializmu historycznego. Do tej pory krytykowałem sowieckie kierownictwo i biurokrację Kominternu, ale nie kwestionowałem podstawowych zasad komunizmu, które uważałem za historycznie słuszne i tak oczywiste jak aksjomaty Euklidesa. Im bardziej jednak zagłębiałem się w przedmiot badań, tym bardziej wątpliwe wydawały mi się same podstawy doktryny, tym więcej szczelin pojawiało się w murze „zamkniętego systemu” i tym więcej świeżego powietrza wpływało przez nie. Pisząc swoją powieść, miałem wrażenie, że biorę udział w odkrywczej wyprawie, podczas której za każdym pagórkiem otwierają się nowe perspektywy. Jeśli niektórzy recenzenci nazywają *Gladiatorów* moją najlepszą

powieścią, to chyba dlatego, że namiętności i gniew, które budziły we mnie współczesne wydarzenia, są tu rzutowane na tło odległe w czasie i przestrzeni; dzięki temu książka nie zawiera odpadków aktualności, które zaśmiecają inne moje książki.

Choć praca nad *Gladiatorami* była fascynującą przygodą i dała mi wiele satysfakcji, jeszcze przed ich ukończeniem postanowiłem, że nigdy więcej nie napiszę powieści historycznej. Wyobraźnię ludzką cechuje pewna bezwładność, która ogranicza zdolność do przenoszenia się w inny czas i miejsce. Każda kultura jest wyspą. Utrzymuje kontakt z innymi wyspami, ale tragedie i radości koniec końców może przeżywać tylko na swój sposób. Zwyczaje i umysłowość, powiedzmy, rycerza drugiej krucjaty są tak odmienne od naszych, że niełatwo nam uwierzyć w jego realność. Myśli galernika albo trackiego gladiatora, którego wyszkolono do walk na arenie, na tyle trudno sobie wyobrazić, że ich postaci w literaturze sprowadzają się do bladych albo groźnych cieni. Wydaje się, że istnieją tylko dwie metody ożywienia takich dziejowych cieni. Jedna to wyostrenie ich i uczynienie z nich reprezentantów pewnych typów ludzkich, co jednak pozbawia ich głębi, ciepła i światła, dzięki którym można się z nimi emocjonalnie utożsamić. Druga metoda polega na oszustwie, na obdarzeniu owych cieni uczuciami i myślami charakterystycznymi dla czasów autora. We wszystkich powieściach i dramatach historycznych spotkać można jedną z tych dwóch metod albo połączenie obu.

W *Gladiatorach* postaci należące do wyższych sfer rzymskiego społeczeństwa, którego zwyczaje znamy, zbudowane są przy użyciu metody „modernizacyjnej” – zachowują się i mówią tak, jakby były naszymi nieco ekscentrycznymi współczesnymi; natomiast robotnicy z Kampanii, pasterze z Lukanii, tracy gladiatorzy i ponurzy Celtowie z sumiastymi wąsami musieli siłą rzeczy pozostać czymś w rodzaju sylwetek ukazanych z profilu albo kolorowych płaskorzeźb.

Inną trudność przedstawiały sceny zbiorowe – opisanie tej bezkształtnej, nie umiejącej się wysłowić, na wpół barbarzyńskiej hordy, która jest prawdziwym bohaterem książki, hordy sunącej po drogach Italii, plądrującej jej miasta i pokonującej karne legiony rzymskie. Większość powieściopisarzy unika scen zbiorowych jak zarazy, nawet

gdy fabuła ich wymaga. Czytając ponownie *Wojnę i pokój*, z rozbawieniem śledziłem, jak zręcznie Tołstoj je omija. Starsze pokolenie sowieckich pisarzy stawiało sobie za cel wprawić w ruch wielkie tłumy, ale tylko dwóm z nich – Sierafimowiczowi i Szołochowowi – się to udało. Inne przykłady, które przychodzą mi do głowy, to Stephen Crane w *Szkarłatnym godle odwagi*, Franz Werfel w *Czterdziestu dniach Musa Dagh* i Gustave Flaubert w *Salambo*. Żaden z nich nie wywarł na mnie wpływu. Wzorowałem się na powieści Alfreda Döblina *Die drei Sprünge des Wang-lun* (Trzy skoki Wang-luna). Jest to opowieść o mitycznym powstaniu masowym w Chinach, napisana na poły ekspresjonistycznym stylem i trochę już zapomniana nawet w ojczyźnie autora. *Die drei Sprünge des Wang-lun* była moja literacką biblią i kiedy starałem się wyobrazić sobie ciżbę rzymskich niewolników, przed oczami stawał mi tłum obdartych chińskich żebraków z powieści Döblina. Czerpałem też z Thomasa Manna, wczesnego Feuchtwangera i *Kobiety z wyspy Andros* Thorntona Wildera. Odbiło się to na stylu książki, który jest odmienny w różnych jej partiach – a przynajmniej tak sądziłem, nękany wyrzutami sumienia, bo większość czytelników i tak nie rozpoznała pierwowzorów.

Powieść ukazała się najpierw w Anglii w 1939 roku, w znakomitym tłumaczeniu Edith Simon. Potem wybuchła wojna, niemiecki rękopis zaginął podczas mojej ucieczki z Francji i niemieckie wydanie, które wyszło po wojnie, było tłumaczeniem z angielskiego przekładu. To samo nieszczęście spotkało następną moją powieść, *Ciemność w południe*.

Gladiatorzy to pierwsza część trylogii poświęconej etyce rewolucji, kwestii celów i środków. W drugiej, *Ciemności w południe*, zagadnienie to umieściłem we współczesnym kontekście; w trzeciej, pt. *Krucjata bez krzyża* (*Arrival and Departure*), zostało ono postawione na płaszczyźnie psychologicznej. Spartakus jest ofiarą prawa, które zmusza przywódcę dążącego do utopii, aby popełniał „okrucieństwa w imię litości”. Jest „skazany na to, aby zawsze czynić to, do czego czuje największą odrazę, na mordowanie, by położyć kres mordom, na biczowanie ludzi, by ich nauczyć, żeby nie pozwolili się biczować, na wyzbycie się wszelkich skrupułów w imię najwyższego skrupułu i narażenie się na nienawiść

ludzkości z miłości do niej – miłości abstrakcyjnej i geometrycznej”. Spartakus cofa się jednak przed tym ostatnim krokiem – ukrzyżowaniem wiarołomnych Celtów i stworzeniem bezlitosnej tyranii – skazując swą rewolucję na klęskę. W *Ciemności w południe* bolszewicki komisarz Rubaszow idzie przeciwną drogą, do końca pozostając wierny wspomnianemu prawu – i przekonuje się, że „sam rozum nie jest na tyle dobrym kompasem, aby mógł prowadzić człowieka taką krętą, okrężną drogą, iż cel ginie w końcu we mgle” i że jest winien, bo „postawił ideę ludzkości ponad ideą człowieka”.

Zaraz po ukończeniu pierwszego rozdziału *Gladiatorów* – właściwie był to rozdział piąty, bo zacząłem pisać książkę od środka – otrzymałem od partii nowe zadanie. Miałem natychmiast jechać do Zagłębia Saary, aby redagować tam tygodnik z historyjkami obrazkowymi.

Po pierwszej wojnie światowej (tak jak po drugiej) nie rozstrzygnięto, do kogo ma należeć Zagłębie Saary z jego licznymi kopalniami węgla i sześciuset tysiącami niemieckojęzycznych mieszkańców. Clemenceau chciał przyłączyć je do Francji, ale decyzję odłożono na piętnaście lat, po upływie których miał się odbyć plebiscyt. W tym czasie Saarą administrowała Liga Narodów.

Plebiscyt wyznaczono na 13 stycznia 1935 roku. Jego wynik miał symboliczne znaczenie, daleko wykraczające poza losy samej Saary, ponieważ jej niemiecka ludność miała w wolnych wyborach ocenić reżim Hitlera po dwóch latach jego rządów. Partie polityczne działające w Zagłębiu Saary stworzyły dwa bloki: Front Niemiecki, skupiający wszystkie stronnictwa pronazistowskie, i Front Ludowy, złożony z socjalistów, komunistów i liberałów. Przyjechałem do Saarbrücken, kiedy kampania propagandowa trwała już na całego.

Mieszkańcy zagłębia wybierali między trzema rozwiązaniami. Mogli głosować za powrotem Saary do Niemiec, za przyłączeniem jej do Francji albo za utrzymaniem *status quo*, czyli pozostaniem pod kontrolą Ligi Narodów. Ponieważ ludność Saary była niemiecka, drugie rozwiązanie oczywiście nie wchodziło w rachubę. Dlatego socjaliści (i liberałowie, bardzo zresztą słabi) opowiadali się od początku za zachowaniem *status quo*. Komuniści jednak w pierwszej fazie

kampanii oświadczyli, że utrzymanie status quo będzie służyć interesom francuskim, uznali socjalistów za „agentów francuskiego imperializmu” i rzucili własne hasło: „Czerwona Saara w sowieckich Niemczech” (*Eine Rote Saar in Soviet-Deutschland*).

– Ależ, towarzyszu – skarżył się jakiś górnik w siedzibie partii – na razie nie ma sowieckich Niemiec, więc za czym mamy głosować?

– Głosujemy, towarzyszu, za Czerwoną Saarą w sowieckich Niemczech.

– Ale przecież nie ma sowieckich Niemiec, czy to znaczy, że mamy głosować na Hitlera?

– Komitet Centralny nie powiedział, że macie głosować na Hitlera. Powiedział, że macie głosować za Czerwoną Saarą w sowieckich Niemczech.

– Ale skoro nie ma sowieckich Niemiec, to czy nie lepiej będzie głosować za *status quo*?

– Głosowanie za *status quo*, towarzyszu, będzie na rękę socjalfaszystowskiemu agentom francuskiego imperializmu.

– W takim razie, towarzyszu, może nam powiecie, na kogo u diaska mamy głosować?

– Stawiacie to pytanie w sposób mechanistyczny, towarzyszu. Przecież już powiedziałem, że jedynie słuszną polityką rewolucyjną jest walka o Czerwoną Saarę w sowieckich Niemczech.

Codziennie odbywały się setki takich dyskusji.

W 1934 roku, kiedy Związek Sowiecki był słaby i przestraszony, a europejskie partie komunistyczne stanowiły nieliczne, pobite i niesforne grupki, paranoidalne tendencje w ruchu komunistycznym przybierały absurdalne formy. Hasło „Czerwona Saara w sowieckich Niemczech” było tylko jednym z wielu przykładów. Do innych należała „odezwa Heckerta” z 1933 roku, głosząca, że Hitler nie zwyciężył niemieckiej klasy robotniczej, bo dokonała ona tylko „strategicznego odwrotu”. Slogan ten przez dwa lata był wyznaniem wiary partii niemieckiej. W odezwie twierdzono ponadto, że zwycięstwo Hitlera miało pozytywne skutki, bo „uwolniło masy spod wpływu socjalistów, przyspieszając w ten sposób marsz Niemiec ku rewolucji proletariackiej”.

Stanowisko Kominternu w kwestii Saary było wynikiem ścierania się starego, radykalnego kursu z polityką Frontu Ludowego. Kretyńskie hasło „Czerwonej Saary” wymyślił zapewne niemiecki Komitet Centralny, aby uchylić się od decyzji do czasu zakończenia sporu. Było ono zupełnie w duchu mglistych przemówień Jana o „poszerzaniu frontów” i „pogłębianiu kontaktów”.

Kiedy w Moskwie zapadła decyzja, kurs zmienił się z dnia na dzień. Do czerwca 1934 roku każdy, kto opowiadał się za głosowaniem za *status quo*, był agentem francuskiego imperializmu; od czerwca 1934 roku głosowanie za *status quo* należało do obowiązków każdego komunisty.

Zaraz po plebiscycie w Saarze ukazał się ostatni numer tamtejszej gazety komunistycznej (nazywała się chyba „Volksstimme”). Na pierwszej stronie widniał wielki nagłówek: „Porażka Hitlera w Saarze”. W artykule tłumaczono, że dialektycznie biorąc, naziści przegrali, ponieważ dostali tylko 90 procent głosów zamiast 98, jak zapowiadali. Kiedy gazeta trafiła do kiosków, członkowie jej redakcji zdążyli już uciec do Francji.

Dialektycznie biorąc, mój tygodnik był trwałym osiągnięciem, choć z mechanistycznego punktu widzenia ukazał się tylko jeden jego numer. Potem partia zamknęła gazetę i kazała mi wracać do Paryża.

Pismo nazywało się „Die Saar-Ente” (*Ente*, czyli „kaczka”, to po francusku *canard*, co miało nawiązywać do tytułu słynnego satyrycznego tygodnika francuskiego „Le Canard Enchaîné”). Ukazało się na miesiąc przed plebiscytem i miało cztery kolumny z rysunkami „Fritty” i moimi tekstami, z których pamiętam tylko jeden, ilustrowany poemat w stylu *Dziesięciu małych Murzynków*. Owymi dziesięcioma Murzynkami byli nazistowscy esamani, likwidowani jeden po drugim podczas czystki Strassera, czystki Röhma, z powodu niearyjskiej babki i tak dalej; ostatni ocalał dzięki temu, że przyłączył się do frontu antyfaszystowskiego.

Nie przyszło mi do głowy, że opowieść ta dotyczy również, *mutatis mutandis*, partii komunistycznej – i to nawet w większym stopniu, bo czystki następowały w niej regularnie jak w zegarku. Inni jednak musieli na to wpaść. Być może podświadomość, ten złośliwy

prześmiewca, splatała mi typowego dla siebie figla – tak jak nieco później, gdy w przemówieniu na zebraniu partyjnym powiedziałem: „A więc, towarzysze, będziemy dalej prowadzić walkę ze stalinowską tyranią, to jest, chciałem powiedzieć, z hitlerowską tyranią”.

Na szczęście w partii nie wierzono we Freuda.

Nie dowiedziałem się, dlaczego właściwie partia zamknęła „Die Saar-Ente”. Może z powodu moich *Dziesięciu małych Murzynków*, może dlatego, że *intra muros Cominterni* satyrę zawsze uważano za niebezpieczny wirus, a może po prostu gazeta była słaba – ale w takim wypadku wystarczyło przecież zmienić redaktora. W każdym razie powiedziano mi, że partia nie ma pieniędzy na kontynuowanie eksperymentu, mam się spakować i wrócić do Paryża.

Moja kolejna misja partyjna okazała się nieudana. Ale w tym czasie nie przejmowałem się już takimi niepowodzeniami i z radością wróciłem do I wieku p.n.e.

Czas oczekiwania

Pierwszego grudnia 1934 roku członek sowieckiego Politbiura, szef partii w Leningradzie Siergiej Kirow został zastrzelony przez niejakiego Nikołajewa. Zabójstwo Kirowa rozpoczęło nową epokę w dziejach Rosji i międzynarodowego ruchu komunistycznego. 6, 12 i 18 grudnia władze sowieckie poinformowały krótko o straceniu bez procesu stu czterech osób. Na mocy dekretu wydanego nazajutrz po zabójstwie oskarżonych pozbawiono prawa do obrony i apelacji, a wyroki śmierci miały być wykonywane natychmiast po ich orzeczeniu. Zinowjew, pierwszy przewodniczący Kominternu, Kamieniew, były przewodniczący Moskiewskiej Rady Delegatów, i wielu innych przywódców rewolucji październikowej zostali oskarżeni i później straceni. Rozpoczął się terror.

Rozpoczął się od strzału z rewolweru, jakby na umówiony sygnał – tak jak terror w Niemczech zaczął się od pożaru Reichstagu. Człowiek, który oddał ten strzał, Nikołajew, był młodym neurotykiem, bezwolnym narzędziem w czyichś rękach, tak jak van der Lubbe. Dalsze krwawe wydarzenia potoczyły się drogą przetartą przez nazistów – jak to się jeszcze często miało zdarzać w późniejszych latach.

Terror nie osiągnął od razu swego apogeum, nie narastał też stałym crescendo. Tuż po zamachu na Kirowa dziesiątki tysięcy Rosjan – w Związku Sowieckim nazywano ich potocznie „zabójcami Kirowa” – wywieziono na Syberię. Potem jednak nastąpiło pozorne uspokojenie. Kiedy za kulisami trwały przygotowania do likwidacji rewolucyjnej starej gwardii, propaganda stalinowska trąbiła o nowej konstytucji sowieckiej, „najbardziej demokratycznej konstytucji na świecie”. Głównymi autorami nowej konstytucji byli Bucharin i Radek, którzy niedługo później zasiądą na ławie oskarżonych podczas procesów moskiewskich.

Ten okres potajemnych przygotowań trwał od wiosny 1935 do lata 1936 roku. Podczas tego półtorarocza propagandzie sowieckiej udało się zataić przed światem, co naprawdę dzieje się w Rosji. Liberalne i postępowe koła europejskiej opinii publicznej uwierzyły

w propagandowe hasła dotyczące sowieckiej konstytucji i nowej „ludowofrontowej” polityki w Europie. Wtedy właśnie Stalin dowiódł swego geniuszu propagandowego, stopniowo przykręcając śrubę, a jednocześnie stwarzając iluzję bardziej liberalnej polityki.

Okres ten skończył się raptownie w sierpniu 1936 roku. Wyroki śmierci, które zapadły na pierwszym procesie moskiewskim, oznaczały przejście od terroru zamaskowanego do nagiego i jawnego terroru masowego. Ale wówczas trwała już hiszpańska wojna domowa. Rebelia Franco zepchnęła wydarzenia w Związku Sowieckim na bardzo daleki plan. W dniu, w którym w europejskiej prasie ukazały się pierwsze doniesienia o procesie Zinowjewa, jechałem do Hiszpanii jako agent Kominternu.

Ten przejściowy okres, przełom 1935 i 1936 roku, był pozbawiony ważniejszych wydarzeń w moim życiu. Spędziłem go po większej części w podróży, krążąc między Paryżem, Zurychem, Budapesztem i innymi miastami. Nie podróżowałem dla przyjemności, ale za pracą. Pierwszym przystankiem w mojej tułaczce był Zurych. Brat Dörte, Ernie, otrzymał stanowisko chirurga w szpitalu w sowieckiej Autonomicznej Socjalistycznej Republice Niemców Wołżańskich i wyjeżdżał tam na stałe z żoną Szwajcarką i małą córeczką. Czyny za ich mieszkanie w Westbühl, jednej z nowoczesnych dzielnic Zurychu, był opłacony na pół roku z góry. Szkoda było zmarnować taką okazję. Mogliśmy tam mieszkać za darmo, a ja w tym czasie pracowałbym nad *Gladiatorami*. Sprawę przesądziło chyba to, że w mieszkaniu była prawdziwa łazienka. W styczniu 1935 roku przenieśliśmy się na pół roku do Zurychu.

Przed wyjazdem z Paryża niespodziewanie uśmiechnęło się do mnie szczęście. W odruchu wspaniałomyślności wydawca moich książek o seksie zgodził się wypłacać mi przez rok po pięć funtów miesięcznie na poczet honorarium za *Gladiatorów*. Wiodło mu się teraz znakomicie i zamierzał wydawać też „poważne” książki, choć, jak zobaczymy, nie wytrwał długo w tym postanowieniu. Byłem oczywiście zachwycony tym, że będę mógł całkowicie poświęcić się pracy nad powieścią, i liczyłem, że w ciągu roku ją ukończę.

Mieszkanie Erniego było przyjemne i nowoczesne. Miało trzy pokoje z dużymi oknami wychodzącymi na czysty podmiejski park.

Po tanich paryskich hotelikach wydawało nam się pałacem. Podobała nam się schludność Szwajcarów, ich miły dla ucha dialekt, proste i szorstkie maniery. W bibliotece miejskiej było wiele książek o starożytności, a regulamin pozwalał wypożyczyć do domu aż piętnaście tomów naraz.

Okazało się jednak, że w Zurychu trudniej jest być biednym niż w Paryżu. Zurych, choć jest to największe miasto Szwajcarii, cechuje prowincjonalna atmosfera, kult zamożności i mieszczańskich cnót. Na Montparnasse bieda mogła być uważana za żart, za dziwactwo artystów; w Zurychu nie było ani Montparnasse, ani tanich *bistros*, ani takiego poczucia humoru. W tym czystym, filisterskim, porządnym mieście ubóstwo odczuwało się jako degradację. A choć już nie głodowaliśmy, nadal byliśmy bardzo biedni. Mieliśmy z Dörte w sumie dziesięć funtów miesięcznie; któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że jest to mniej, niż w Szwajcarii wynosi zasiłek dla bezrobotnych.

Niemniej owo pół roku upłynęło nam spokojnie i przyjemnie. Pracowałem przez osiem godzin dziennie i od czasu do czasu chodziliśmy na długie spacery po okolicznych wzgórzach albo wokół Jeziora Zuryskiego. Z wielką ulgą przyjęliśmy decyzję partii, która zakazała nam wszelkich kontaktów ze Szwajcarską Partią Komunistyczną. Policja szwajcarska znacznie baczniej niż francuska obserwowała cudzoziemców i kontakty z miejscowymi komunistami skończyłyby się dla nas natychmiastowym wydaleniem z kraju.

Prawie wszyscy nasi przyjaciele należeli do tak zwanego kręgu Humma. Jacob Humm był znanym szwajcarskim powieściopisarzem tworzącym w języku niemieckim. W jego mieszkaniu raz w tygodniu zbierali się pisarze, aby dyskutować i czytać swoje utwory. Bardzo miło wspominał te wieczory, a toczone przyjaznym i życzliwym tonem rozmowy korzystnie różniły się od zgryźliwych dyskusji w naszym kole pisarzy komunistycznych w Paryżu. Humm był wysokim, chudym, ekscentrycznym mężczyzną o wyglądzie i manierach szwajcarskiego przewodnika górskiego, ale obdarzonym wrodzoną delikatnością i sejsmograficznym wyczuciem trosk innych ludzi. Pod pewnymi względami przypominał George'a Orwella.

Mniej lub bardziej regularnymi uczestnikami naszych spotkań byli:

Ignazio Silone, który w tym czasie mieszkał w Szwajcarii; Bernard von Brentano, pisarz niemiecki; Gyula Háy, komunistyczny dramatopisarz węgierski, oraz kilku miejscowych dziennikarzy i młodych pisarzy. Kilka tygodni po nas przyjechał do Zurychu również Peter, teraz już mój szwagier, z jakąś tajną misją partyjną i został stałym członkiem kręgu Humma. Jego zadanie wiązało się z „poszerzaniem frontu kulturalnego i nawiązywaniem nowych kontaktów”, ale na czym dokładnie polegało, Peter nie chciał powiedzieć, a ja, znając jego skłonność do tajemniczości, nie wypytywałem. Przykre doświadczenia z INFA w najmniejszym stopniu nie zraziły go do partii i kiedy pozwoliłem sobie na kilka gorzkich i cynicznych uwag, popatrzył mi tylko głęboko w oczy swoim wzrokiem świętego, niczym psychiatra i ksiądz w jednej osobie, aż zrobiło mi się wstyd.

Gyula Háy był ciemnowłosym, przystojnym młodym mężczyzną, który niczym się nie przejmował. Z przekonania został komunistą, ale nie interesował się polityką, płacił partyjne składki, jak się płaci podatki, i żył tylko swoimi dramatami. Jeden z nich wystawił w 1932 roku Max Reinhardt w Berlinie. Od tej pory Háy był emigrantem, wędrującym po Europie z walizką pełną niewystawionych sztuk, które stanowiły jego kapitał i przyszłość. Po wojnie wrócił do Budapesztu i został najbardziej znanym dramaturgiem reżimowym^[14].

Silone uczestniczył w naszych spotkaniach bodaj tylko dwa albo trzy razy. Chorował wcześniej na gruźlicę i przechodził rekonwalescencję w górach, do Zurychu zaglądał z rzadka. Jego pierwsza powieść, *Fontamara*, która przyniosła mu europejski rozgłos, wyszła przed kilkoma miesiącami po niemiecku. Dzieje publikacji tej książki są typowe dla niemal nieprzezwyrodnionych trudności, jakie napotyka pisarz emigracyjny. Silone zaproponował powieść największemu wówczas wydawnictwu szwajcarskiemu, Oprecht und Helbing, którego właściciel, dr Emil Oprecht, był lewicowym socjalistą o prokomunistycznych sympatiach. Mimo to i mimo entuzjastycznych recenzji wewnętrznych Oprecht odrzucił książkę, tłumacząc, że wysoki koszt jej przekładu z włoskiego oryginału narazi go na zbyt duże ryzyko finansowe. Ten klasyczny argument skazuje pisarza-emigranta na milczenie i przymieranie głodem. Po roku lub dwóch przyjaciele

Silonego znaleźli hojnego mecenasa w osobie zuryskiego sprzedawcy futer, którego żona interesowała się literaturą. Mecenas zagwarantował Oprechtowi, że pokryje ewentualne straty, i niemiecki przekład *Fontamary* ukazał się drukiem. Od razu stał się bestsellerem i wydawca do końca życia mógł się szczycić tym, że „odkrył” Silonego.

W ciągu kilku lat poprzedzających nasze spotkanie w Zurychu Silone powoli rozluźniał swoje związki z partią, ale nie atakował jej otwarcie, a partia wciąż miała nadzieję z powrotem go sobie zjednać. *Fontamara* zachwyciła mnie, więc się ucieszyłem, że będę mógł poznać jej autora. Silone okazał się człowiekiem miłym, ale bardzo powściągliwym, zamkniętym w sobie, otoczonym lekkim, ale nieprzeniknionym obłokiem melancholii i smutku. Ku memu wielkiemu rozczarowaniu nie potrafiłem nawiązać z nim bliższego kontaktu.

Od Zurychu nie widzieliśmy się przed trzynaście lat, ale krytycy stale łączyli nasze nazwiska – z André Malraux jako trzecim – w swego rodzaju triumwirat pisarzy – byłych komunistów.

W 1948 roku, podczas pierwszego powojennego pobytu w Rzymie, zadzwoniliśmy z Mamaine (moją drugą żoną) do Silonego i umówiliśmy się na obiad w restauracji. Silone spóźnił się i po kilku melancholijnych słowach powitania na resztę posiłku zatopił się w gazecie, nie zauważając naszych zdumionych spojrzeń. Darina, uroczą i oddaną Silonemu irlandzka żona pisarza, opowiadała nam później z komiczną rozpaczą, jak to po obiedzie robiła mu wymówki, że był wobec nas nietaktowny, na co zdziwiony Silone odpowiedział: „Dlaczego miałbym nie czytać gazety? Koestlerowie to nie obcy, to przyjaciele”. Zostaliśmy potem dobrymi przyjaciółmi – ale była to zawsze trudna przyjaźń.

W marcu pobraliśmy się z Dörte. Bezpośrednim powodem tej decyzji były kłopoty paszportowe, odwieczna zmora uchodźców. Termin ważności niemieckiego paszportu Dörte upłynął i nie mógł zostać przedłużony; wychodząc za mnie, mogła otrzymać węgierskie obywatelstwo i paszport. Choć w Związku Sowieckim pod wpływem „nowej proletariackiej moralności” wskrzeszono seksualne konwenanse, europejscy komuniści nadal wyznawali nieograniczoną wolność w tej dziedzinie i z pogardą odnosili się do mieszczańskiej instytucji małżeństwa. Ale innego sposobu zapewnienia Dörte paszportu nie było,

więc wzdychając z rezygnacją, postanowiliśmy odbyć tę staroświecką ceremonię.

Kilka dni przed ślubem Dörte weszła do mojego pokoju z ponurą miną.

– Dostałam list z konsulatu – rzekła z wahaniem. – Piszą, że mój paszport można jednak przedłużyć.

– To świetnie – odparłem. – Możemy wszystko odwołać i żyć długo i szczęśliwie.

Dörte popatrzyła na mnie w zamyśleniu spod zmierzwionej grzywki.

– Ale już napisałam do wszystkich, że się pobieramy. Co ludzie powiedzą, jak odwołamy ślub?

Poszliśmy więc do Hummów i pożyczylimy od nich obrączki. Żadne z nas nie pisnęło słówkiem o liście z konsulatu. Aby zachować szacunek dla samych siebie, nadaliśmy naszemu ślubowi pozory przymusowej formalności.

Pewnego dnia latem 1935 roku nieoczekiwanie przyjechał do Zurychu mój wydawca. Z zakłopotaniem wyjaśnił, że jedzie właśnie do Budapesztu, aby omówić ze swoim współnikiem nowe plany wydawnicze. Jego skrępowanie nie zwiastowało niczego dobrego. Rzeczywiście, klucząc i lawirując, wydusił w końcu, że zamiast ciągnąć dalej *Gladiatorów*, powinienem napisać następną książkę o seksie. Po zastanowieniu doszedł bowiem do wniosku, że niewielu czytelników będzie zainteresowanych I wiekiem p.n.e., za to seksem interesuje się każdy.

Próbowałem go przekonywać, ale na próżno. Stracił zainteresowanie Spartakusem i w związku z tym postanowił zaprzestać wypłacania mi pensji, połowy naszego biednego budżetu.

Na pocieszenie zaprosił nas na wystawny obiad. Byłem zbyt zgnębiony i zrezygnowany, żeby się z nim kłócić. Podczas obiadu wyłożył mi plan nowej książki o seksie. Obiecałem, że się zastanowię.

Potem mój wydawca wyjechał do Budapesztu, uśmiechając się przeprasząco – jak szarańcza, która zniszczyła rolnikowi zbiory i odebrała mu wszelką nadzieję.

Kilka miesięcy po naszym ślubie Dörte i ja postanowiliśmy się

rozstać, uznając, że nie nadajemy się do małżeńskiego życia – a przynajmniej ja się do niego nie nadaję. Rozstaliśmy się bez kłótni i wzajemnych pretensji i do dziś jesteśmy przyjaciółmi. Jako okoliczność łagodzącą mogę dodać, że to samo dotyczy moich wcześniejszych i późniejszych towarzyszek życia.

Po nieszczęsnych odwiedzinach wydawcy musiałem wrócić do pisaniny dla chleba. Zajęło mi to cały rok, podczas którego niewiele miałem czasu i energii na pisanie *Gladiatorów*, a jeszcze mniej na zbieranie materiałów do powieści. Nigdy chyba nie napisałem więcej w ciągu jednego roku, i to bez większego sensu – chyba że sensem nazwać przeżycie z dnia na dzień.

W sumie w owym roku napisałem pół miliona słów. Można by odnieść wrażenie, że należę do ludzi, którym pisanie przychodzi łatwo i bez wysiłku. Nic bardziej mylnego. Piszę tak, jak jąkała mówi, powoli i z trudem, bez przerwy kreśląc i poprawiając. Maszynopis, który idzie do druku, jest zwykle trzecią albo czwartą redakcją, a na odbitkach korektorskich poprawianie zaczyna się od nowa. Dotyczy to oczywiście tylko „poważnych” utworów, do których jednak zaliczają się artykuły do gazet i pism. Ostateczny produkt nieuchronnie uzyskuje pewną gładkość, którą często myli się ze swobodą stylu i łatwością pisania. Przez wiele lat pisałem średnio dwie strony, czyli osiemset słów, dziennie beletrystyki i trzy – literatury faktu. Większość autorów, których o to pytałem, pisze mniej więcej tyle samo, choć ich dzień pracy jest znacznie krótszy.

W jaskini lwa

Osiemnastego lipca 1936 roku generał Franco podniósł bunt przeciwko hiszpańskiemu rządowi. Przebywałem w tym czasie w Breedene, nadmorskiej wsi pod Ostendą, pracując nad dalszym ciągiem *Przygód dobrego wojaka Szwejka* Jaroslava Haška. Dzięki zaliczce, którą wypłacił mi Willi Münzenberg, mogłem spędzić dwa miesiące w tym małym flamandzkim uzdrowisku, gdzie życie było tańsze niż w Paryżu i gdzie bawili niemieckojęzyczni pisarze emigracyjni, między innymi Joseph Roth, Irmgard Keun i Egon Erwin Kisch.

Po tygodniu nie ulegało wątpliwości, że rebelia Franco doprowadzi do długotrwałej wojny domowej, mogącej mieć konsekwencje dla całej Europy. Hiszpania była pierwszym w Europie krajem, w którym wypróbowano nową kominternowską politykę Frontu Ludowego. Dzięki niej koalicja partii lewicowych odniosła wielkie zwycięstwo. Była też pierwszym krajem, w którym robotnicy i postępowe mieszczaństwo razem chwycili za broń, aby nie dopuścić do zdobycia władzy przez faszystów. Dlatego wojna domowa w Hiszpanii miała od początku wymiar symbolu.

Dwa tygodnie po jej wybuchu wróciłem do Paryża, żeby spotkać się z Willim Münzenbergiem.

Od czasu powstania Frontu Ludowego Willi rozwinął oszałamiającą aktywność. Bez wytchnienia organizował międzynarodowe kongresy, demonstracje i komitety. Były wśród nich Kongres Pisarzy w Obronie Kultury, Komitet Czujności i Demokratycznej Kontroli i najbardziej udany Kongres Pokojowy przeciwko Wojnie Imperialistycznej w Amsterdamie, poprzednik Sztokholmskiego Apelu Pokojowego. Rolę Pabla Picassa grał wówczas równie naiwny politycznie Henri Barbusse. Pacyfistyczna powieść Barbusse'a *Ogień* była poprzednikiem Picassowskiego *Gołąbka*, a jego książka o terrorze *Faits divers* – Picassowskiej *Guerniki*. Działalność Kongresu Pokojowego polegała na popieraniu zbrojeń przeciwko nazistowskiemu Niemcom i zwalczaniu pacyfizmu brytyjskiej Partii Pracy,

który wyzyskiwali naziści w swojej konkurencyjnej „ofensywie pokojowej”.

Jako szef propagandy Kominternu w państwach zachodnich Willi kierował kampanią propagandową na rzecz hiszpańskich republikanów. Stworzył właśnie Komitet Pomocy Republikańskiej Hiszpanii i Hiszpański Fundusz Mleczny, korzystając z doświadczeń Deutsches Hilfskomitee i znów maskując akcje polityczne działalnością filantropijną.

Willi powiadomił mnie, że partia „robi pewne trudności odnośnie do Szwejka”, co znaczyło, że moja książka nie zostanie wydana. Przyjąłem to z ulgą, gdyż właściwie przyjechałem do Paryża prosić Willego, aby pomógł mi się zaciągnąć do wojska wiernego hiszpańskiemu rządowi (Brygad Międzynarodowych jeszcze wtedy nie było). W tym celu zabrałem ze sobą paszport. Był to paszport węgierski, a w nim znajdowała się moja legitymacja prasowa korespondenta gazety „Pester Lloyd”. Nie napisałem jeszcze z Paryża ani słowa do tej gazety, ale Vészi, jej redaktor naczelny, po starej znajomości wystawił mi legitymację prasową, która przydawała mi się podczas kontaktów z policją i dzięki której mogłem czasem liczyć na darmowe bilety do teatru.

Willi przyjął moje plany bez entuzjazmu. Wartość ludzkich działań mierzył ich przydatnością propagandową, uważał więc, że dziennikarz nie powinien tracić czasu w okopach. W zamyśleniu obracał w rękę mój paszport i legitymację prasową wystawioną przez ultrakonserwatywny, półoficjalny organ węgierskiego rządu. I wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– A może pojechałbyś jako dziennikarz „Pestera Lloyda” do kwatery Franco? – zapytał. – Węgry są krajem półfaszystowskim, więc Franco przyjmie cię z otwartymi ramionami.

Ku niejakiemu zdziwieniu Willego zgodziłem się od razu. Potem zaczęliśmy omawiać kwestie organizacyjne. Po kilku minutach Willi poprosił do nas Ottona Katza i opowiedział mu o swoim pomysle. Otto przymknął oko i przechylił głowę na bok, jak to miał w zwyczaju, gdy nad czymś intensywnie myślał. Raz czy dwa rzucił mi spojrzenie, którego znaczenia wówczas nie zrozumiałem. Potem dopiero zdałem

sobie sprawę, że chciał mnie ostrzec, bym się wycofał, póki nie jest za późno.

Celem mojej wizyty w kwaterze nieprzyjaciela było zebranie dowodów na interwencję Niemiec i Włoch po stronie Franco. Nie mówiliśmy o tym, w jaki sposób mam tego dokonać. Willi powiedział tylko ze swoim szerokim uśmiechem, że byłoby świetnie, gdyby udało mi się tam dostać i „trochę się rozejrzeć”. Przez resztę czasu omawialiśmy sprawy techniczne.

Rebelianci nie wpuszczali korespondentów lewicowych gazet na zajęte przez siebie tereny. „Pester Lloyd” zapewniał dobry kamuflaż, ale istniały pewne komplikacje. „Pester” oczywiście nigdy nie wysłałby mnie do Hiszpanii, więc gdyby wywiad Franco zasięgnął o mnie informacji, kłamstwo od razu by się wydało. Doszliśmy jednak do wniosku, że w zamęcie wojny domowej nikt nie będzie zadawał sobie trudu, aby sprawdzać w Budapeszcie, czy ktoś jest naprawdę korespondentem „Pestera Lloyd”. Po drugie, innym korespondentom mogło się wydać dziwne, że mała gazeta węgierska wysyła do Hiszpanii specjalnego korespondenta, zamiast korzystać z doniesień agencyjnych. Należało więc wystarać się o akredytację z innej jeszcze gazety, która uwiarygodniłaby mój pobyt w Hiszpanii. Było to trudniejsze, niż się wydaje, bo w grę nie mogła wchodzić gazeta lewicowa, a gdybym poprosił jakąś francuską gazetę prawicową, by wysłała mnie do kwatery Franco, od razu wzbudziłoby to podejrzenia. W końcu Otto zaproponował „News Chronicle” jako *faute de mieux*. Londyńska gazeta miała orientację liberalną i antyfrankistowską, ale Otto znał w redakcji kilka osób, które bez zwłoki mogły załatwić mi akredytację. Miałem podróżować jako korespondent „Pestera Lloyd” i powołać się na „News Chronicle” tylko w ostateczności – to znaczy, gdyby jakiś dziennikarz albo urzędnik prasowy zaczął coś podejrzewać. Wówczas miałem poufnie przyznać się, że choć moje sympatie są po stronie bogobojnego „Pestera Lloyd”, z powodów finansowych musiałem zgodzić się na pracę dla londyńskiej gazety, której redaktorzy są niestety uprzedzeni do generała Franco, ale pozwolili mi obiektywnie relacjonować fakty i tym sposobem przekonywać liberalną brytyjską opinię publiczną do Franco. Brzmiało to dość zawile, ale na tym stanęło.

Istniało wreszcie niebezpieczeństwo, że któryś z niemieckich korespondentów wojennych w Hiszpanii, wiedzących, że odszedłem z Ullsteina i zostałem komunistą, rozpozna mnie. Na to nic już nie mogłem poradzić, musiałem wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę. Ryzyko okazało się ogromne i szczęśliwa gwiazda nic mi nie pomogła, bo już pierwszego dnia po przybyciu do kwatery Franco w Sewilli zostałem rozpoznany.

Dwudziestego drugiego sierpnia wszedłem w Southampton na pokład parowca *Almanzora* płynącego do Lizbony. Franco nie opanował jeszcze wybrzeża baskijskiego, jego tymczasową stolicą wciąż była Sewilla, a jedyna droga na terytorium zajęte przez rebeliantów wiodła przez Portugalię.

Kiedy przybyliśmy do Lizbony, urzędnik paszportowy wykrył, że choć moja wiza portugalska jest w porządku, data ważności mojego paszportu upływa w trakcie podróży. Podczas pospiesznych przygotowań nie zwróciłem na to uwagi. Przeoczenie niespodziewanie obróciło się na moją korzyść. Po krótkiej dyskusji policja portugalska zgodziła się, abym zszedł na ląd, ale pod warunkiem że udam się prosto do węgierskiego konsulatu w Lizbonie i przedłużę paszport. Było to dla mnie bardzo niewygodne, bo chciałem za wszelką cenę uniknąć kontaktów z przedstawicielami władz węgierskich.

Konsul jednak okazał się przeuroczym człowiekiem. Był tylko konsulem honorowym i nawet nie Węgrem, lecz wysokim, dobrodusznym Duńczykiem trudniącym się eksportem. Przyjął mnie bardzo serdecznie, bo jak wyjaśnił, jedynymi Węgrami, z którymi dotąd się zetknął, byli marynarze bez środków do życia albo włóczędzy mający kłopoty z policją. Prolongował mi paszport o cały rok za pomocą nowiutkiej pieczętki, a kiedy spytałem, jak dostać się na tereny zajęte przez rebeliantów, powiedział, żebym przyszedł po obiedzie do kasyna w Estoril, a on już wszystko załatwi. Poradził mi też, bym zatrzymał się w hotelu Aviz, w którym wysłannicy Franco w Portugalii urządzili sobie siedzibę. Potem przedstawił mi równie uroczą żonę, portugalską arystokratkę i zagorzałą faszystkę, która utrzymywała bliskie stosunki z ludźmi Franco w Lizbonie.

Wieczorem w kasynie w Estoril konsul i jego żona przedstawili

mnie kilku osobom z tego towarzystwa. Każdy wydawał się markizem albo księciem. Wszyscy mieli melodyjnie brzmiące nazwiska, wypisane kaligraficznym pismem na biletach wizytowych, a ja byłem tak przejęty kupowaniem z pieniędzy Kominternu trunków dla markiza de Quintanar i markiza de la Vega de Anzo, że na chwilę zapomniałem o swoich troskach. Nieco później dyskretnie zbierano datki na szpitale dla wojsk generała Franco, więc wysupłałem pewną kwotę z tych samych funduszy.

Był to osobliwy wieczór. Trunki, wytworna atmosfera kasyna i świadomość, że po tylu latach biedy mam w kieszeni dwieście funtów w czekach podróżnych, zawróciły mi w głowie. Uznałem, że wszyscy ci faszyści to życzliwi i czarujący ludzie, i zapomniałem, kim naprawdę jestem. Znów znalazłem się w świecie, w którym obracałem się jako korespondent zagraniczny, przed zapisaniem się do partii komunistycznej. W swoim czasie hiszpańska prasa publikowała moje relacje z wyprawy arktycznej sterowcem *Graf Zeppelin* i niektórzy moi nowi znajomi niejasno je pamiętali, a przynajmniej udawali, że pamiętają. Dzięki temu stałem się w ich oczach kimś, kto może przydać się frankistowskiej propagandzie. Ktoś wznosił toast za węgierskiego regenta, admirała Horthy'ego, a ja odwzajemniłem się toastem za zdrowie generała Franco. Mój zacny duński znajomy promieniał zadowoleniem.

Nazajutrz w hotelu Aviz przedstawiono mnie jeszcze dwóm szefom frankistowskiej konspiracji w Lizbonie: przywódcy katolickiemu, Gilowi Roblesowi, i dżentelmenowi, który podał się za Fernandesa d'Avila, ale w rzeczywistości był Nicolásem Franco, bratem generała. Tego samego wieczoru, trzydzieści sześć godzin po przybyciu do Lizbony, wyruszyłem w drogę na terytorium rebeliantów, mając przy sobie dwa bezcenne dokumenty: podpisany przez Nicolása Franco list żelazny, w którym nazwano mnie godnym zaufania przyjacielem rewolucji narodowej, i osobistym listem polecającym od Gila Roblesa do komendanta garnizonu w Sewilli, generała Queipo de Llano.

Jedyna linia kolejowa wiodąca na tereny zajęte przez rebeliantów biegła przez hiszpańskie miasteczko graniczne Ayamonte. Pociąg

odjeżdżał z południowego brzegu Tagu, dokąd dopływało się z Lizbony statkiem. Statek ten wypływał późnym wieczorem; większość pasażerów zmierzała na terytorium rebeliantów i nie miała nastroju do rozmowy.

Było nas zaledwie od trzydziestu do czterdziestu osób, w większości zapewne ochotników do armii rebelianckiej, handlarzy broni i może kilku oficerów niemieckich i włoskich po cywilnemu. Siedziałem na pokładzie i patrzyłem, jak nad ciemną taflą wody gasną światła Lizbony – a z nimi euforia, którą czułem przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Jej miejsce zajmowała rosnąca obawa, po części wynikająca z uzasadnionego niepokoju o przyszłość, ale po części irracjonalna. Powoli stawała się ona tak dojmująca, że zacząłem dygotać, choć noc była ciepła. Obawie towarzyszyło przygniatające poczucie winy, bo w nikczemny sposób zdradziłem zaufanie, jakim obdarzył mnie życzliwy konsul – mimo że zrobiłem to oczywiście dla dobra sprawy.

Przed wejściem do pociągu w Barreiro kupiłem sobie dla kurażu dwa litry czerwonego wina. Alkohol pomógł mi tym razem i przy wielu późniejszych okazjach, bo przez następne cztery burzliwe lata, aż do ucieczki do Anglii w listopadzie 1940 roku, żyłem w stanie chronicznej nerwicy lękowej w klinicznym znaczeniu tego terminu. Ostre ataki tej nerwicy, najczęściej nie spowodowane przez żaden zewnętrzny czynnik, przeplatały się z okresami względnego spokoju. Ale nawet wtedy niejasno odczuwałem lęk i poczucie winy, które wisiały nade mną jak poranna mgła nad jeziorem.

Lęk, który w odróżnieniu od konkretnego strachu jest irracjonalną i kapryśną plagą, nie przeszkadzał mi jednak zachowywać się zupełnie racjonalnie w trudnej sytuacji. Jest to mniej paradoksalne, niż się wydaje, ponieważ lęku nie powoduje żadne znane niebezpieczeństwo; to strach przed nieznanym mający swoje ostateczne źródło w nierozwiązanym konflikcie duchowym. To echo podziemnej wojny, obawa przed karą za nieznaną zbrodnię, poczucie niebezpieczeństwa promieniujące ze świata wewnętrznego.

Paradoksalnie, nie czułem lęku tylko wtedy, gdy siedziałem w więzieniu, może dlatego, że kara była wówczas wymierzona i za wszelkie popełnione winy odbywałem pokutę.

Perypetie, które przeżywałem w następnych miesiącach, należy widzieć na tym tle psychicznym – które musi pozostać tłem, bo ciągłe przypominanie o nim byłoby nużące.

Podróż do kwatery głównej rebeliantów mogłem uznać za udaną. Już w Lizbonie znalazłem wiele dowodów na to, że władze portugalskie po cichu wspierają frankistów. W Sewilli fakty świadczące o interwencji nazistów po stronie Franco można było znaleźć nawet na ulicach – spacerujący po nich niemieccy lotnicy nosili wprawdzie białe mundury lotnictwa hiszpańskiego, ale z małą swastyką między dwoma skrzydłami wyhaftowanymi na bluzach. Ustaliłem nazwiska kilku niemieckich pilotów oraz (za pośrednictwem młodego Anglika, który zgłosił się na ochotnika do rebelianckiego lotnictwa, ale potem zraził się do niego) typy, oznaczenia i przybliżoną liczbę niemieckich samolotów dostarczonych Franco. Wreszcie, dzięki listowi Gila Roblesa, zdobyłem wywiad z generałem Queipo de Llano – za sprawą przemówień radiowych najpopularniejszym z generałów Franco – który sądząc, że ma do czynienia ze zwolennikiem, pozwolił sobie na kilka rażących niedyskrecji dotyczących pomocy zagranicznej. Wojna domowa trwała dopiero drugi miesiąc i rebeliantom wciąż zależało na utrzymaniu fikcji nieinterwencji. Hitler zaprzeczał, że wysłał Franco pomoc, a Franco kłamał, że jej nie otrzymuje. Dlatego materiał, który przywiozłem z powrotem, wart był poniesionych trudów.

Mój pobyt na terytorium rebeliantów zakończył się nagle drugiego dnia w Sewilli. Muszę opisać to wydarzenie szczegółowo, gdyż bez tego późniejsze rozdziały nie będą zrozumiałe.

Od recepcjonisty w moim hotelu dowiedziałem się, że wszyscy niemieccy oficerowie mieszkają w hotelu Christina. Mój rozmówca ostrzegł mnie z uśmiechem, żebym tam nie chodził, bo Niemcy wszystkich obcych zaraz biorą za szpiegów. Powiedział mi też, że o trzeciej rano w naszym hotelu został aresztowany jakiś francuski dziennikarz. Nazajutrz aresztowano operatora kroniki filmowej Pathé Gazette, którego trzymano w więzieniu przez trzy miesiące pod zarzutem, że sfilmował masakrę w Badajoz. Pozostali dziennikarze francuscy znajdowali się w swego rodzaju areszcie domowym. Atmosfera panująca w Sewilli nie sprzyjała dziennikarzom – nawet tym

prawdziwym.

Mimo to postanowiłem pójść do hotelu Christina i przyjrzeć się z bliska niemieckim pilotom. Sądziłem, że skoro mam w kieszeni list żelazny Nicolása Franco, to najwyżej zostanę stamtąd grzecznie wyproszony.

Wchodząc do prawie pustego holu hotelowego, zobaczyłem czterech umundurowanych oficerów lotnictwa niemieckiego, którzy siedzieli przy stoliku w towarzystwie jakiegoś cywila. Usiadłem kilka stolików dalej i zamówiłem sherry. Po pewnym czasie mężczyzna w cywilnym ubraniu przeszedł obok mojego stolika. Poznaliśmy się od razu. Był to Friedrich Strindberg, mój dawny kolega z redakcji Ullsteina, nawiasem mówiąc, syn wielkiego Augusta Strindberga. Jego obecność w Sewilli mogło tłumaczyć tylko to, że był korespondentem prasy koncernu Ullstein, przejętego przez nazistów. Strindberg wiedział oczywiście, że jestem komunistą.

Obaj udaliśmy, że się nie znamy. Strindberg wrócił na swoje miejsce przy stoliku Niemców. Przez minutę albo dwie siedziałem jak sparaliżowany, niezdolny nawet myśleć; miałem wrażenie, że to koszmar, z którego zaraz się obudzę. Po jakimś czasie Strindberg i jeden z pilotów wstali i zaczęli przechadzać się po holu. Jeden z pozostałych Niemców podszedł do recepcji i zadzwonił dokądś. Zdążyłem tymczasem nieco ochłonąć, zamówiłem drugą sherry i postanowiłem, bardziej kierując się instynktem niż jakimiś rozumowymi przesłankami, że jedyną moją szansą jest przejąć inicjatywę i udawać niewinnego. Wypiłem sherry, wstałem i zawołałem po niemiecku na cały hol, starając się nadać głosowi naturalne brzmienie:

– Halo, czy to pan, panie Strindberg?

Spacerujący zatrzymali się i Strindberg wymamrotał zakłopotany:

– Przepraszam, ale rozmawiam z tym panem.

Tymczasem podszedłem już do nich i znów idąc za głosem instynktu, który podpowiadał mi, że jeśli się wycofam, to przepadłem, głośno i arogancko zapytałem Strindberga, dlaczego nie chce podać mi ręki. Tak oczywiście postąpiłby każdy, kto nie miał nic na sumieniu; poza tym zdążyłem się już naprawdę rozgniewać. W tym momencie wtrącił się niemiecki pilot stojący obok Strindberga. Ukłonił się

sztynno, przedstawił się – „von Bernhardt” – i zażądał ode mnie dokumentów. Rozgniewałem się jeszcze bardziej i zapytałem, co go do tego upoważnia. Odpowiedział, że jako oficer armii hiszpańskiej ma prawo prosić podejrzaną osobę o wylegitymowanie się. Ponieważ mówił po niemiecku i miał na mundurze swastykę, brzmiało to dość komicznie. Zaprotestowałem z oburzeniem przeciwko nazywaniu mnie „podejrzany”, oświadczyłem, że jestem korespondentem wojennym londyńskiej „News Chronicle” akredytowanym przez kapitana Bolína, szefa wydziału prasowego kwatery głównej, uznałem cały incydent za „skandaliczny” i poprosiłem o połączenie z Bolínem, aby mu się poskarżyć.

Powołałem się na „News Chronicle”, a nie na „Pestera Lloyd’a”, bo czułem, że ta angielska gazeta, chociaż lewicowa, zrobi na nich większe wrażenie – będą się bali skandalu dyplomatycznego. Nie zawiodłem się. Spieraliśmy się dalej, ale głos von Bernhardta brzmiał już nieco mniej pewnie, zwłaszcza gdy zażądałem, byśmy razem zatelefonowali do kapitana Bolína. Opowiedziałem wcześniej Bolínowi o mojej podwójnej akredytacji, więc musiał przez telefon potwierdzić moje słowa, a to, miałem nadzieję, powinno wystarczyć, żeby bezpiecznie opuścić hotel Christina. Na razie nie myślałem, co będzie później – tylko o tym, żeby wydostać się z tego hotelu. Zauważyłem nie raz, że w chwilach zagrożenia ten rodzaj myślenia etapami, punkt po punkcie, zastępuje metodyczne planowanie.

W tym momencie do hotelu wszedł niczym *deus ex machina* kapitan Bolín. Był to wysoki oficer pochodzenia skandynawskiego o delikatnej twarzy i zdecydowanych ruchach, który zdążył już zasłynąć z grubiaństwa wobec zagranicznych korespondentów. To Bolín kazał aresztować francuskich dziennikarzy i groził jednemu z nich rewolwerem. Ale to właśnie on oglądał listy, które napisali dla mnie Gil Robles i Nicolás Franco, i osobiście zorganizował mi wywiad z generałem Queipo de Llano; na pewno więc nie był gotów uwierzyć, że jestem szpiegiem. Zależało mi oczywiście na tym, aby zagmatwać sprawę i robiąc scenę, nie dopuścić do spokojnej dyskusji. Podbiegłem więc do Bolína i podnieconym tonem zacząłem mu się skarżyć, że spotkała mnie zniewaga. Żądałem, aby Strindberg i von Bernhardt

natychmiast mnie przeprosili. Bolín, w pierwszej chwili zdumiony, wpadł w gniew i oświadczył, że nie chce mieć nic wspólnego z całą tą głupią sprawą, że toczy się wojna i że nic go nie obchodzi, czy dwóch zatraconych dziennikarzy przywita się ze sobą czy nie. Jego opryskliwość ocaliła mnie. Kazał nam iść do diabła i zakończył scenę, odwracając się na pięcie. Z obrażoną miną wyszedłem z hotelu przez nikogo nie zatrzymywany. Tak często wychodziłem po kłótni z obrażoną miną, że nikogo nie mogło to zdziwić.

Byłem pewien, że mam kilka godzin, nim prawda zdąży wyjść na jaw. Pojechałem prosto do kwatery generała Queipo de Llano, gdzie oświadczyłem, że moja redakcja pilnie wzywa mnie do kraju, i bez trudu otrzymałem zezwolenie na wyjazd, które napisano na liście żelaznym od Nicolása Franco. Potem wróciłem do hotelu, żeby zabrać paszport i wynająć samochód do Gibraltaru – była to najkrótsza droga wydostania się z Hiszpanii. Kiedy czekałem na auto, odwiedził mnie francuski kolega. Powiedział, że wieść o mojej kłótni z pilotami niemieckimi już się rozeszła, i radził uciekać jak najszybciej. Podziękowałem mu gorąco i pozwoliłem sobie wytłumaczyć, że w Hiszpanii generała Franco nie wszystko jest tak, jak być powinno.

Przejechałem granicę między Hiszpanią a Gibraltarem na godzinę przed wydaniem w Sewilli nakazu mojego aresztowania. Dowiedziałem się o tym później od kolegów po fachu. Powiedzieli mi też, że kapitan Bolín był siny z wściekłości i zaklinał się, że „zabije tego K. jak wściekłego psa, gdy tylko wpadnie mu w ręce”.

Pięć miesięcy później, kiedy rebelianci zajęli Malagę, aresztował mnie kapitan Bolín.

Bitwa we mgle

Wracając z Gibraltaru, zatrzymałem się na jeden dzień w Londynie i pierwszy raz odwiedziłem siedzibę „News Chronicle” przy Bouverie Street. Moje przygody w Sewilli trafiły na pierwszą stronę gazety, więc szef działu zagranicznego, Norman Cliff, powitał mnie bardzo wylewnie.

Po powrocie do Paryża poszedłem prosto do biura Münzenberga przy Boulevard Montparnasse.

Wchodząc po znajomych schodach, miałem wrażenie, jakbym wracał do domu. Wszyscy witali mnie niczym Odyseusza wracającego z kraju Cyklopów. Willi konferował właśnie z Ottonem, który siedział po drugiej stronie biurka z przechyloną na bok głową.

– Przyjemna wycieczka – uśmiechnął się na mój widok Willi.
 – Jest wypoczęty i opalony – dodał Otto w zamyśleniu.
 – No, dość się naplotkowaliśmy – rzekł Willi. – Wracasz do Londynu, żeby rozkręcić nowy komitet. Towarzysze angielscy zapadli w śpiączkę.

Owym nowym komitetem była Komisja do Badania Naruszeń Porozumienia o Nieinterwencji w Hiszpanii – organ Komitetu Pomocy Republikańskiej Hiszpanii, przygotowujący publiczny proces pokazowy wzorowany na kontrprocesie w sprawie podpalenia Reichstagu. W skład komisji wchodziły jak zwykle wybitne i niczego nie podejrzewające osobistości: Philip Noel-Baker, baron Faringdon, Eleanor Rathbone, profesor Trent i inni; ale jego dwaj sekretarze, Geoffrey Bing i John Langdon-Davies, należeli do partii komunistycznej, a motorem całego przedsięwzięcia była grupa komunistów: Ivor Montagu, Isabel Brown, Dorothy Woodman, Bing, Langdon-Davies i Otto Katz, który reprezentował Willego, to znaczy biuro zachodnie Kominternu. Tuż przed moim powrotem do Paryża brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wpisało Katza na czarną listę. W rezultacie nie otrzymał on wizy albo nie został wpuszczony do Wielkiej Brytanii przez urzędnika imigracyjnego w Dover – dokładnie nie pamiętam. Komisja, pozbawiona regularnych odwiedzin Katza, czuła się odcięta od swojej paryskiej centrali. Miałem więc zapewnić łączność między Londynem

a Paryżem, a także, podczas publicznych posiedzeń komisji, złożyć relację z podróży do kwatery Franco.

Następne kilka miesięcy spędziłem w Paryżu, Londynie i w Hiszpanii. Należałem do najbliższego otoczenia Willego.

Dopiero teraz przekonałem się, jak głęboko strategia ludowofrontowa zmieniła stanowisko partii i panującą w niej atmosferę. Przyjęcie Związku Sowieckiego do Ligi Narodów i jego starania na rzecz zawarcia sojuszu wojskowego z Francją i Czechosłowacją wymagały, aby komuniści na Zachodzie bronili „burżuazyjnej demokracji” przed wspólnym wrogiem i opowiadali się za jednością narodową. Wszystkie rewolucyjne hasła i wezwania do walki klasowej odeszły do lamusa. Komuniści unikali nawet określania się mianem „komunistów”, woleli mówić, że są antyfaszystami i obrońcami pokoju. Partie komunistyczne na Zachodzie postawiły doniczki z geranium w oknach i otwały drzwi przed wszystkimi ludźmi dobrej woli. Na przykład w Hiszpańskim Komitecie Pomocy zasiadali obok siebie konserwatystka księżna Atholl, liberał sir Walter Layton i komunista J.B.S. Haldane. W Paryżu ta jedność osiągnęła apogeum w scenie, która rozegrała się w dniu francuskiego święta narodowego w 1935 roku w Salle Bullier. Wśród wiwatów wielotysięcznego tłumu przywódca komunistów Marcel Cachin objął „socjalfaszystowskiego gada” Léona Bluma i ucałował go w oba policzki. Połowa widzów płakała, a druga połowa odśpiewała najpierw *Marsylianę*, a potem *Międzynarodówkę*.

Tło tych wydarzeń ilustruje anegdota, którą kilka lat później opowiedział poseł socjalistyczny Grumbach. Towarzyszył on Lavalowi podczas jego wizyty w Moskwie po podpisaniu w maju 1935 roku układu francusko-sowieckiego. W komunikacie wydanym po zakończeniu wizyty mówiło się między innymi, że „pan Stalin rozumie i w pełni akceptuje politykę obrony narodowej, którą prowadzi Francja w celu utrzymania swoich sił zbrojnych na poziomie wymaganym względami bezpieczeństwa państwa”. Oznaczało to, że posłowie komunistyczni będą musieli zaprzestać głosowania przeciwko wydatkom na wojsko i poniechać kampanii przeciwko proponowanemu wydłużeniu służby wojskowej – co oczywiście niezwłocznie uczynili. Laval nie mógł jednak przewidzieć tej wolty

Francuskiej Partii Komunistycznej i podczas jednej z rozmów ze Stalinem zapytał go, co mu radzi zrobić, gdyby komuniści nadal bruździli. Stalin popatrzył na Lavalą ironicznie, pyknął z fajki i rzekł:

– Niech pan ich powiesi.

Laval nie wierzył własnym uszom, więc Stalin z uśmiechem powtórzył, co powiedział, przesuwając palcem po gardle, aby nie było wątpliwości.

Na wspomnienie tych czasów rzuca więc cień późniejsza wiedza o tym, że za fasadą Frontu Ludowego krył się cynizm i nieszczerłość.

To samo dotyczy wspomnień o hiszpańskiej wojnie domowej. Dziś wiemy, co było dalej: odmowa Związku Sowieckiego przyznania azylu żołnierzom Brygad Międzynarodowych i likwidacja wszystkich Rosjan i Hiszpanów, którzy zajmowali wysokie stanowiska podczas wojny domowej i wiedzieli za dużo o tym, co działo się za kulisami. Wiemy, że ZSRS przedłużał agonię Hiszpanii, wysyłając akurat tyle broni, aby wojna trwała dopóty, dopóki pakt z Niemcami nie znajdzie się w zasięgu ręki. Wiemy, że Stalin wykorzystał Hiszpanię, aby pozbyć się anarchistów, trockistów i innych politycznych nieprzyjaciół. Kiedy wojna wybuchła, komuniści byli słabą partyjką, mającą niespełna dwustu członków w całej Katalonii; w miarę trwania walk udało im się za pomocą szantażu, intryg i terroru przeobrazić kraj w posłusznego satelitę Kremla.

Nie mieliśmy wtedy o tym pojęcia. Dziś wiemy, że nasza prawda była półprawdą, nasza walka bitwą we mgle i że ci, którzy podczas niej cierpieli i umierali, byli pionkami w grze między dwoma totalitarnymi kandydatami do panowania nad światem. Kiedy jednak w listopadzie 1936 roku Brygady Międzynarodowe uratowały Madryt, uważaliśmy, że przejdą do historii tak jak obrońcy Termopil; a gdy na niebie nad ostrzeliwaną stolicą pojawiły się pierwsze sowieckie myśliwce, wszyscy ci, którzy przeżyli naloty bombowe w bezbronnym mieście, powitali ich jak zbawców cywilizacji.

Madryt bowiem (jakże odległe to dziś czasy!) był pierwszą stolicą europejską bombardowaną na wielką skalę. W ciągu czterech tygodni, od 24 października do 20 listopada, zginęło około tysiąca osób, trzy tysiące zostało rannych, a jedna trzecia miasta legła w gruzach.

Doniosłość tego wydarzenia polegała nie na jego fizycznej grozie – choć nalot na miasto pozbawione obrony przeciwlotniczej jest czymś strasznym – ale na świadomości, że zaczyna się nowa epoka w dziejach, w której zniknie różnica między żołnierzami i cywilami, a śmierć uderzać będzie z powietrza na oślep – epoka wojny totalnej i totalnego strachu.

* *
*

Po przesłuchaniach przed Komisją do Badania Naruszeń Porozumienia o Nieinterwencji – które odniosły taki skutek, jaki może odnieść taktyczne zwycięstwo w strategicznie przegranej walce dyplomatycznej – znów wysłano mnie z misją specjalną do Hiszpanii. Było to interesujące i cokolwiek zaskakujące zadanie. Kiedy rebelia Franco w Madrycie została stłumiona, kilku prawicowych polityków uciekło ze stolicy, pozostawiając tam swoją korespondencję i prywatne archiwa. Miałem je przejrzeć, szukając dowodów, że nazistowskie Niemcy brały bezpośredni udział w przygotowaniu rebelii. Znalezione dokumenty miałem zawieźć do Paryża. Dokumentów tych pilnie potrzebowano dla potwierdzenia oskarżeń, które rząd hiszpański wysunął na forum Ligi Narodów; chciano ich też użyć do celów propagandowych.

Zaskakujące było to, że zadanie przeszukania archiwów powierzono cudzoziemcowi, a nie komuś z hiszpańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Otto wyjaśnił mi jednak, że sam del Vayo, hiszpański minister spraw zagranicznych, poprosił Paryż o przysłanie doświadczonego dziennikarza politycznego. Kilka dni później del Vayo przyjechał na krótko do Paryża i zaprosił Ottona i mnie na herbatkę. Otto był w tym czasie nieoficjalnym szefem propagandy rządu hiszpańskiego w Europie Zachodniej i miał do dyspozycji pokaźne fundusze (po części pochodzące z Hiszpanii, po części z Kominternu). Pieniądze te odegrały ważną rolę w pozyskaniu sympatii wpływowych francuskich dziennikarzy, i całych gazet, dla sprawy republikańskiej. Otto był szarą eminencją tej wojny propagandowej, toteż ambasada hiszpańska i del Vayo traktowali go z należnym respektem.

Hiszpański minister poprosił mnie, abym wyjechał do Madrytu jak najszybciej. Połowa jego pracowników znajdowała się na froncie, druga

połowa była przeciążona obowiązkami, nie miał więc nikogo, kto mógłby się podjąć tego zadania, wymagającego kilku tygodni pracy. Ponieważ bardzo słabo znałem hiszpański, obiecano mi tłumacza, samochód i wszelką potrzebną pomoc. Nadal jednak nie rozumiałem, dlaczego nie zatrudnią do tej roboty jakiegoś hiszpańskiego dziennikarza z Madrytu.

– Zrozumie pan, jak zabierze się pan do pracy – odpowiedział del Vayo. – W Madrycie panuje chaos i każdy robi pięć rzeczy naraz. Poza tym ludzie zazdrośnie pilnują swego; jedne domy, które będzie pan musiał przeszukać, są zajęte przez anarchistów, inne przez socjalistów. Nikt nie wpuści Hiszpana, nie należącego do jego grupy, aby weszły po domu i zabierał jakieś dokumenty. Zagranicznemu specjaliście będzie znacznie łatwiej. Ponieważ dał pan sobie radę z Franco, poradzi pan też sobie, z Bożą pomocą, z anarchistami.

Po przyjeździe przekonałem się, że miał rację.

Wyjechałem nazajutrz zaopatrzony w hiszpański paszport (wystawiony jednak na moje niehiszpańskie nazwisko) – chodziło o jakieś względy związane z kontrolą graniczną, o których już dziś nie pamiętam. Miałem w miarę możliwości ukrywać cel swojej podróży, bo gdyby się dowiedziano, że ważne dokumenty mają być wywiezione z Hiszpanii, któraś z partii na pewno podniosłaby larum. Wszystko to brzmi dziwnie i da się zrozumieć tylko na tle wewnętrznych konfliktów i intryg w obozie republikańskim, które kilka miesięcy później doprowadziły do walk z anarchistami w Barcelonie i wojny domowej wewnątrz wojny domowej. Poza tym rząd potajemnie przygotowywał się na ewentualny upadek Madrytu i chciał wywieźć z miasta co się da, nie informując o tym publicznie. Zapasy złota ze skarbcza Banku Hiszpanii wywożono do Związku Sowieckiego, a archiwa do Paryża; ale cała operacja musiała być otoczona ścisłą tajemnicą.

Pozostałem w Madrycie trzy albo cztery tygodnie, aż znalazłem to, czego szukałem.

Del Vayo dotrzymał obietnicy i oddał mi do dyspozycji tłumacza i samochód z kierowcą. Było to wielkie auto marki Isotta Fraschini, zaprojektowane i skonstruowane specjalnie dla byłego premiera, don Alejandro Lerroux. Po wykonaniu zadania miałem zwrócić samochód

Ministerstwu Spraw Zagranicznych, mającemu teraz siedzibę w Walencji. Potrzebowałem jednak straży przybocznej, która chroniłaby moje cenne dokumenty, wypełniające dwie wielkie walizy. Drżałem na myśl, co się stanie z nimi i ze mną, jeśli jakiś patrol złożony z półanalfabetów otworzy bagaże i znajdzie papiery z nagłówkami w kształcie swastyki i falangistowskich strzał. W końcu partia skontaktowała mnie z towarzyszami z eskadry Malraux. Szukali oni transportu dla rannego pilota, którego należało ewakuować do Walencji, i dla dwóch francuskich lotników, członków partii, którzy mieli odebrać dwa samoloty świeżo zakupione we Francji. Postanowiono, że pojedziemy we czwórkę.

Była to dziwaczna, groteskowa podróż. Wyjechaliśmy nocą, obawiając się spotkania z pancerną kolumną rebeliantów albo wojowniczym patrolem anarchistów, ale przede wszystkim kierowcy don Alejandra, pędzącego po krętych drogach Kastylii z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Miałem przy sobie list żelazny wystawiony przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, drugi przez partię komunistyczną i trzeci należący do pilotów, który otrzymali oni od jednego z przywódców anarchistów. Każdy trzymałem w innej kieszeni. Przypomniała mi się Rosja i moje dwa zestawy dokumentów, „prawy” i „lewy”. Na szczęście żołnierze z patroli wojskowych, którzy zatrzymywali nas co pół godziny, nosili na czapkach i wyłogach wielkie odznaki partyjne, musiałem więc tylko pamiętać, żeby sięgnąć do właściwej kieszeni. Nie liczyłem, ile razy się zatrzymywaliśmy, ale dr Junod z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który mniej więcej w tym samym czasie jechał z Madrytu do Walencji, naliczył w sumie sto czterdzieści osiem patroli i blokad drogowych. Naszą najlepszą przepustką był ranny pilot. Miał nogę w gipsie i prawie zagojoną ranę ciętą nad okiem, ale uznawszy, że efekt nie jest odpowiednio drastyczny, zdjęliśmy mu plaster znad oka i zastąpiliśmy go zakrwawionym bandażem. Ranny miał podczas każdej kontroli jęczeć rozdzierająco i udawać, że majaczy, przeklinając Franco soczystymi *muertas*. Sposób okazał się tak skuteczny, że moich walizek nikt nie otwierał i bez przeszkód dojechaliśmy do Walencji. Czułem teraz palący wstyd, że wpadłem w panikę, i to uczucie wstydu stało się powodem, że trzy

miesiące później dostałem się w ręce oddziałów Franco.

Kiedy w Paryżu przejrzano osławione dokumenty, okazało się, że ich treść jest znana z innych źródeł albo przestała już być aktualna.

W ostatnich miesiącach 1936 roku Otto i ja napisaliśmy książki propagandowe o Hiszpanii, które miały się wzajemnie uzupełniać. Obie wyszły po niemiecku i francusku nakładem Éditions du Carrefour oraz po angielsku nakładem londyńskiego Left Book Club Victora Gollanca. Książka Ottona dotyczyła roli, jaką odegrały hitlerowskie Niemcy w przygotowaniu i rozniesieniu rebelii Franco. Moja zaczynała się od podróży do kwatery rebeliantów i przedstawiała tło historyczne oraz pierwsze kilka miesięcy wojny. Tytuł niemieckiego wydania, które ukazało się pierwsze, zaproponował Otto: *Menschenopfer unerhört*^[15] (Niezliczone ofiary w ludziach). W rewanżu zaproponowałem niemiecki tytuł dla książki Ottona: *Spione und Verschwörer in Spanien* (Szpiegzy i spiskowcy w Hiszpanii).

Willemu bardzo zależało, aby książki wyszły jak najszybciej. Często wpadał do mnie – czego nigdy wcześniej nie robił – żeby się dowiedzieć, jak mi idzie pisanie. Wojna hiszpańska stała się jego obsesją, podobnie zresztą jak nas wszystkich. Brał do ręki kilka kartek maszynopisu, przebiegał je wzrokiem i krzyczał na mnie:

– Za słabe. Zbyt obiektywne. Przywal im, przywal im tak, żeby się nie pozbierali! Pisz, że przejeżdżają czołgami po rannych, że oblewają ich benzyną i palą żywcem. Niech świat zadrży ze zgrozy. Wbijaj im to do głów. Niech się obudzą...

Przy tych słowach uderzał pięścią w stół. Nigdy dotąd nie widziałem Willego w takim stanie.

Jeśli miałem jeszcze jakieś skrupuły, to pozbyłem się ich, widząc brak skrupułów propagandy Franco. W Anglii i Francji opierała się ona na oklepanej tezie, że rebelia miała zapobiec rewolucji komunistycznej, która mogła wybuchnąć lada chwila. W Niemczech twierdzono po prostu, że to rząd hiszpański rozpoczął wojnę domową, ostrzeliwując bez powodu koszary wojskowe w Madrycie. W porównaniu z tymi bezczelnymi łgarstwami nasza propaganda była w początkowej fazie wojny stosunkowo uczciwa.

Zdumiewała mnie nie tylko kłamliwość propagandy rebeliantów,

ale także bezmiar niewiedzy i głupoty, które ujawniła. Goebbels był bardzo inteligentnym przeciwnikiem, ale spece od propagandy z Burgos, siedziby władz Franco, wydawali się półgłówkami.

Najbardziej jednak wściekało nas to, że Franco, tak jak przed nim Hitler, udawał, że dokonał zamachu, aby uprzędzić naszą rewolucję. Ponieważ otwarcie opowiadaliśmy się za rewolucją, nie mieliśmy właściwie powodu do oburzenia – chyba że o charakterze technicznym, bo w tym czasie wcale nie przygotowaliśmy rewolucji w Hiszpanii. Ale przypuszczam, że zawodowy włamywacz byłby tak samo oburzony, gdyby go oskarżono o włamanie, którego akurat nie dokonał. Upokarzała nas świadomość, że jesteśmy mimowolnymi akuszerami narodzin jednej dyktatury faszystowskiej za drugą.

Książka ukazała się po niemiecku na początku stycznia. Przekład francuski, zatytułowany *L'Espagne ensanglantée*, właśnie się drukował, gdy otrzymałem rozkaz, abym trzeci i ostatni raz pojechał do Hiszpanii.

Rząd hiszpański zdołał w końcu zorganizować międzynarodową agencję prasową, która powinna działać już od miesiący, ale nie mogła powstać z powodu wiecznych sporów między partiami politycznymi tworzącymi gabinet. W Anglii agencja nazywała się Spanish News Agency, we Francji Agence Espagne. Centralą europejską znajdującą się w Paryżu kierował Otto, biurem londyńskim Geoffrey Bing. Willy Forrest z „Daily Express” i ja byliśmy pierwszymi korespondentami wojennymi, których Agence Espagne wysłała do Hiszpanii. Forrest miał donosić z Madrytu o sytuacji na froncie centralnym, a ja z Malagi – na froncie południowym.

Znałem Willy'ego Forresta z czasów swego pierwszego pobytu w Madrycie i uważałem go za najsympatyczniejszego z tamtejszych korespondentów zagranicznych. Był to chyba pierwszy Szkot, którego poznałem. Zrobiło na mnie wrażenie jego cierpkie poczucie humoru, wyprostowana postawa pasująca raczej do żołnierza niż dziennikarza, hojność w stawianiu trunków, która nie zgadzała się z moimi kontynentalnymi wyobrażeniami o Szkotach, a przede wszystkim to, że choć pracował dla tego kontrrewolucyjnego potwora, barona Beaverbrooke'a, należał do Brytyjskiej Partii Komunistycznej i wcale się z tym nie krył. Nigdy też nie używał takich słów, jak „dialektyczny”,

„konkretny” albo „mechanistyczny”, często natomiast słyszałem z jego ust takie, jak „przyzwoitość”, „uczciwość”, „to nie byłoby w porządku” i tym podobne. Był dla mnie objawieniem, komunistą, który jest purytaninem, purytaninem, który pije alkohol – i w dodatku nie upija się. Podejrzywałem, że skrycie wierzy w Boga. Ci brytyjscy towarzysze byli prawdziwymi oryginałami.

Przed wyjazdem z Paryża otrzymałem delegację również z „News Chronicle”. Tak więc razem z Willym Forrestem pracowaliśmy jednocześnie dla Agence Espagne i „News Chronicle”. Obaj też należeliśmy do partii, ale pod każdym innym względem byliśmy tak różni, jak tylko dwóch ludzi może się między sobą różnić; i pewnie dlatego tak się lubiliśmy. Kiedy w Walencji nasze drogi się rozeszły, moja prowadziła prosto do więzienia. Piętnaście lat później spotkaliśmy się znowu w Paryżu. Uczciliśmy tę okazję tak hucznie, że znowu trafiłem prosto do więzienia, bo rozbiłem policjantowi nos. Mam nadzieję, że następnym razem przyjdzie kolej na Willy’ego.

Następne pół roku było decydującym okresem w moim życiu, duchowym kryzysem i punktem zwrotnym. Szczegółową historię tego okresu zawiera książka *Dialogue with Death*, oparta na moich dziennikach więziennych, które udało mi się przemyścić na wolność.

Rozmowa ze śmiercią

Przez sześć tygodni na froncie wojny domowej w Hiszpanii panował względny spokój.

Zima była mroźna, wiatr od Guadarramy chłostał ulice Madrytu, Maurowie w swoich okopach zapadali na zapalenie płuc i pluli krwią. Przełęcz w Sierra Nevada były nie do przebycia, republikańska milicja nie miała ani mundurów, ani koców, a w szpitalach polowych brakowało chloroformu; odmrożone palce i stopy musiano amputować bez narkozy. W prowadzonym przez anarchistów szpitalu w Maladze jakiś chłopiec śpiewał Marsyliankę, gdy obcinano mu dwa palce u stopy; ta metoda znieczulenia zyskała później popularność.

Potem przyszła wiosna i wszystko znów było dobrze; rozkwitły pąki na drzewach, a na drogi wyjechały czołgi. Łaskawa natura pozwoliła generałowi Queipo de Llano już w połowie stycznia rozpocząć od dawna planowaną ofensywę w kierunku Malagi.

Był rok 1937. Generał Gonzalo Queipo de Llano, który jeszcze niedawno spiskował przeciwko monarchii i zwierzał się w kawiarniach przy Puerta del Sol z sympatii do komunizmu, dowodził teraz Armią „Południe” wojsk rebelianckich. W swoim gabinecie w kwaterze głównej w Sewilli kazał zainstalować mikrofon i co wieczór wygłaszał przemówienie radiowe.

– Marksiści – mówił – to żarłoczne bestie, ale my jesteśmy rycerzami.

Señor Companys zasłużył na to, aby go zarznąć jak świnię.

Wojska generała Queipo de Llano składały się z około 50 000 żołnierzy włoskich, trzech *banderas* (batalionów) Legii Cudzoziemskiej i 15 000 Afrykanów. Resztę, około 10 procent, stanowili Hiszpanie.

Ofensywa ruszyła 10 stycznia.

* *
*

Dwudziestego piątego stycznia z frontu południowego nadeszły hiobowe wieści. Rebelianci zajęli dwa kluczowe punkty: Marbellę leżącą na drodze do Gibraltaru i Alhama de Granada. Los Malagi miał się rozstrzygnąć w ciągu najbliższych dni.

Dostać się do tego miasta nie było łatwo. Pociągi nie kursowały, benzyna była racjonowana. Dwoje moich kolegów dziennikarzy od wielu dni też czekało na jakiś transport. W końcu, 26 stycznia, doczekaliśmy się. Wydział prasowy hiszpańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych przydzielił nam samochód i kartki na benzynę na trzysta kilometrów. Do Malagi było około siedmiuset, ale okazało się, że im dalej na południe od stolicy, tym łatwiej kupić benzynę.

Jechaliśmy we czwórkę: pani Gerda Grepp, dziennikarka norweska, pan W., polski dziennikarz, kierowca i ja.

Nocą 27 stycznia przejechaliśmy przez Alicante i nazajutrz dotarliśmy do Almerii.

Środa, 28 stycznia, Almeria

Godzina 10. U brytyjskiego konsula w Almerii. Nie poprosił nas, żebyśmy usiedli, toteż zgodnie z hiszpańskim zwyczajem rozmawialiśmy na stojąco. Niemniej był miły i gotów do pomocy. Powiedział, że w Maladze dojdzie do strasznej rzezi. Jego zdaniem miasto będzie się bronić do ostatniego człowieka. Podobno wszyscy zagraniczni konsulowie wyjechali z Malagi z powodu ciągłych nalotów i ostrzału z morza. Ale brytyjskie okręty wojenne są wciąż w zatoce – nadal więc jest nadzieja na ucieczkę w razie okrążenia miasta.

Rozmowa podniosła nas na duchu. Ci brytyjscy konsulowie w opuszczonych miastach hiszpańskich są jak filary podczas apokaliptycznego potopu – susi i niewzruszeni.

W południe jedziemy dalej. Drogi są w coraz gorszym stanie. Zalane w kilku miejscach przez strumienie spływające z gór. Zastanawiam się, jak przejeżdżają tędy ciężarówki z żołnierzami i amunicją. Prawda jest taka, że nie przejeżdżają. Droga, jedyna droga łącząca Malagę z republikańską częścią Hiszpanii, jest zupełnie pusta. Czy Malaga została już ewakuowana? Nie napotykamy jednak żadnych uchodźców. Bardzo to wszystko dziwne.

* *
*

Przyjeżdżamy do Malagi o zmierzchu.

Pierwsze wrażenie: miasto po trzęsieniu ziemi. Ciemność, całe ulice zburzone; puste chodniki, po których walają się gruzy i zapach, który znam z Madrytu; w powietrzu unosi się drobny pył zmieszany

z prochem strzelniczym i – a może to złudzenie – obrzydliwy odór spalonych ciał.

Błądzące światła naszych reflektorów wydobywają z mroku ruiny i sterty gruzów. *Pulvis et praetera nihil* – Madryt po wielkim nalocie i ostrzale artyleryjskim był uzdrowiskiem w porównaniu z tym konającym miastem.

W restauracji hotelu Regina brudni, ale weseli milicjanci spluwają na marmurową posadzkę i zjadają jedyne dostępne w Maladze danie – smażoną rybę. Poza nami w hotelu nie ma innych gości; kelner mówi, że tego popołudnia pięćsetkilowa bomba spadła na dom w pobliżu, zabijając pięćdziesięciu dwóch jego mieszkańców.

Idziemy z Gerdą przejść się po mieście. Ale ciemność jest tak przerażająca, że szybko wracamy, drżąc z emocji i niepokoju. Portier patrzy w gwiazdziste niebo i mówi:

– Dobra pogoda na nalot.

Jego córka straciła obie nogi we wczorajszym bombardowaniu. Portier zastanawia się, czy narzeczony zechce ją bez nóg.

Piątek, 29 stycznia

Nie ma chleba na śniadanie, wyłącznie czarna kawa; żywność nie dociera do miasta, tak jak zresztą i amunicja. Most w Motril został zburzony i dwustutysięczne miasto dosłownie głoduje.

Przez cały ranek chodzenie po urzędach: wydział propagandy, Gobierno Civil, kwatera główna. Wszędzie dobra wola, ale beznadziejna biurokracja i brak organizacji.

Nie sposób wysłać depeszy; nie ma cenzorów dla zagranicznych dziennikarzy. Po niekończących się debatach udaje nam się w końcu doprowadzić do mianowania cenzorem młodego oficera, który zna trochę francuski.

Po obiedzie idę do portu. Naprzeciwko wejścia do portu – brytyjski konsul. W fasadzie zieje dziura; pocisk z rebelianckiego krążownika uderzył bez ostrzeżenia, na szczęście nie wybuchł. Ale konsul brytyjski wyjechał do Gibraltaru. Również brytyjski okręt wojenny opuścił port. Los Malagi nie interesuje chyba Europy.

Kilkoro kobiet i mężczyzn nadbiega od strony portu, twarze mają zwrócone ku niebu. Po chwili zaczynają bić dzwony: alarm lotniczy. Nie

ma nawet syren. Wszyscy biegają bezładnie tam i z powrotem, panika jest znacznie większa niż kiedykolwiek w Madrycie. Miasto jest mniejsze i cele widać wyraźnie na tle morza; ludność zdemoralizowana. Alarm okazał się zresztą fałszywy.

Później wywiad z pułkownikiem Villalbą, dowódcą wojsk w Maladze. Szczerze przyznaje, że sytuacja jest zła, ale dziesięć dni temu, kiedy go mianowano, było jeszcze gorzej.

– Najpierw przeprowadziłem inspekcję najbardziej zagrożonego odcinka: nadbrzeżnej szosy Malaga–Marbella–Gibraltar – opowiada. – Nie było tam ani okopów, ani punktów oporu, tylko dwaj milicjanci siedzieli i palili papierosy trzy kilometry od pozycji nieprzyjaciela. „Gdzie wasi ludzie?” – zapytałem. „Gdzieś we wsi – odpowiedzieli. – Jak rebelianci zaatakują, zobaczymy ich stąd i zawiadomimy naszych towarzyszy. Po co mieliby tu moknąć na deszczu?”

Idę spać pełen złych przeczuc, choć wmawiam sobie, że przeczuciom nie należy wierzyć.

Sobota, 30 stycznia

Wizyta na froncie w Marbelli. Jedziemy szosą nadbrzeżną; ani śladu posterunków, dopiero po pięćdziesięciu kilometrach zatrzymuje nas kamienna barykada: a więc to jest front. Z prawej strony barykady milicjanci zaczęli ryc okop; siedzą teraz z łopatami na kolanach. Gerda wyjmuje aparat.

– Towarzysze – krzyczy dowódca – pracujcie, jesteście fotografowani.

Pyta nas, jak się nam podoba jego front. Ja z kolei pytam, co robi, jak nadejdą czołgi. Wzrusza ramionami.

– Ucieknę z moimi ludźmi w góry.

Poniedziałek, 1 lutego

Dziś w końcu udało nam się zobaczyć front w Antequerze, do którego próbowaliśmy dotrzeć wczoraj. To najbardziej malowniczy i zwariowany front, jaki widziałem w tej wojnie.

Jak niemal wszędzie w Hiszpanii, z wyjątkiem odcinka wokół Madrytu, tutejszy „front” to to samo, co „szosa”. Szosa Malaga–Antequera–Cordoba przechodzi, tuż przed Antequerą, przez wysoką przełęcz górską. Góry nazywają się Sierra el Torcal i są

bocznym pasmem Sierra Nevada. Przełęcz leży na wysokości tysiąca metrów. Nad nią wznosi się naga skała o wysokości półtora tysiąca metrów: Diabelska Wieża. Siedzi tam kapitan Pizarro i obserwuje, czy drogą nie nadciągają rebelianci. Obok ma telefon i stalowy drut. Ponieważ obawia się, że w krytycznej chwili telefon nie zadziała, kazał przeciągnąć drut, który biegnie do oddalonego o osiemset metrów sztabu. Kiedy pociąga za drut, na dole rozlega się dzwonek. Czasami przylatuje ptaszek i dziobie drut, wywołując alarm na dole.

Tak to trwa od pół roku; od wybuchu wojny domowej na tym malowniczym odcinku frontu nic się nie zmieniło oprócz chmur, które przepływają Pizarrowi u stóp.

Nawiasem mówiąc, Pizarro twierdzi, że jest potomkiem w prostej linii zdobywcy Peru. Przed pół rokiem, kiedy zajmował swoje stanowisko bojowe, jego ludzie nie mieli ani koców, ani nabożów. Noce są w górach zimne, a w dole leżało nieprzyjacielskie miasto Antequera, gdzie musiało być mnóstwo koców i amunicji. Kapitan Pizarro, czując w żyłach krew konkwistadorów, pewnej burzliwej nocy pomaszerował z garstką ludzi na Antequerę, włamał się do tamtejszego magazynu wojskowego i przyniósł koce i naboje. Wkrótce potem zabrakło im papierosów. Pizarro więc wyprawił się do Antequery i przyniósł papierosy. Później przyszła wiosna, a chłopcy nie mieli ziarna na siew. Burmistrz Antequery wspiał się na Diabelską Wieżę i zaproponował Pizarro, aby napadł na miasto i zdobył ziarno na siew. I Pizarro napadł na Antequerę i przyniósł ziarno.

Nigdy dotąd żaden dziennikarz, a cóż dopiero zagraniczny dziennikarz, nie odwiedził tej dalekiej placówki wojny domowej. Okazję należało więc odpowiednio uczcić. Zeszliśmy na dolny posterunek, gdzie zarżnięto barana, a gdy zasiedliśmy do posiłku, ktoś pociągnął za drut i z przeciwległego wzgórza oddano salwę.

Rozpromieniony Pizarro pokazał nam swoje skarby: karabin maszynowy (każdy z nas musiał wystrzelić serię), kawaleryjskie konie (dwa z nich zostały wprowadzone do chłopskiej izby, w której podano nam posiłek, i powąchały miskę z baraniną), oraz kufer wypełniony granatami (przez grzeczność zaproponowano nam, abyśmy sobie po jednym rzucili, ale podziękowaliśmy). Gerda oczarowała naszych

gospodarzy, bo, po pierwsze, była kobietą, po drugie, nosiła spodnie, a po trzecie, miała aparat fotograficzny. Dostała w prezencie żywe koźlą; kiedy to piszę, leży ono obok mojej maszyny do pisania, beczy za matką i zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że jest symbolem – symbolem wybujałej dobroduszości i dziecinności tych ludzi, na których nasłano nawet Maurów...

Owładnięty swoją *idée fixe*, zapytałem oczywiście Pizarra, co zrobi, gdy przyjdą czołgi.

– A niech przychodzą – odpowiedział. – Zadusimy gołymi rękami te diabelskie maszyny.

Wtorek, 2 lutego

Rano napisałem artykuł.

W południe odwiedziłem sir Petera Chalmersa-Mitchella. W 1932 roku, stworzywszy po trzydziestu latach starań Whipsnade Zoo, sir Peter kupił w Maladze willę, aby wieść spokojne życie emeryta. Spokojne, nie ma co... Zadbany dom, na wpół hiszpański, na wpół wiktoriański, i piękny ogród są jak zaczarowana wyspa w tym upiornym mieście. Od razu się zaprzyjaźniliśmy. Sir Peter proponuje, abym zamieszkał u niego, gdy sytuacja stanie się krytyczna. Jest zdecydowany pozostać w mieście bez względu na okoliczności. Mam niejasne przeczucie, że też zostanę.

Kiedy zastanawiam się nad tym, co widziałem ostatnio na różnych frontach, wszystko wydaje mi się beznadziejne. Ale najdziwniejsza jest ta absolutna cisza na froncie. Malagę bombardują co najmniej raz dziennie, tymczasem na froncie nie pada ani jeden strzał. Ostatni atak rebelianci przeprowadzili dziesięć dni temu jednocześnie z dwóch kierunków: z Granady i od strony Gibraltaru; od tej pory nic. Odnoszę coraz silniejsze wrażenie, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu, niezrozumiałego jak wiele innych rzeczy w tej dziwnej wojnie, rebelianci zrezygnowali z ataku na Malagę. Rozmawiałem kilka razy z Villalbą. Ma takie samo wrażenie. W mieście wciąż brak żywności i amunicji, ale wygląda na to, że jakimś cudem ono ocaleje – tak jak cudem ocalał Madryt po 6 listopada, kiedy rząd Caballero uciekł do Walencji, a Franco mógł w każdej chwili wejść na Puerta del Sol. Do 10 listopada zorganizowano obronę i Franco stracił swoją

szansę.

Po pewnych wahaniach telegrafuję do „News Chronicle”:

Coraz silniejsze wrażenie, że ofensywa rebeliantów na Malagę odwołana.

Środa, 3 lutego

Trochę pracowałem, odwiedziłem Gobierno Civil, chodziłem po mieście. Co najmniej połowa miasta leży w gruzach. Istne Pompeje. Druga połowa jest w jeszcze gorszym stanie – o ile to w ogóle możliwe. Większość sklepów, biur, banków itd. zamknięta. Ludzie na ulicach niewiarygodnie obdarci, wynędzniali, głodni, przygnębieni. Cieszyłem się, że znów jestem w hotelu; przeprowadziliśmy się do Caleta Palace, który zapewnia nieco lepszą ochronę przed nalotami. W hotelu tym mieszkają głównie piloci. Pokój nade mną zajmuje pilot, któremu zestrzelili wczoraj obserwatora. Płakał przez całą noc; towarzysze broni bez przerwy przychodzili go pocieszać.

Wieczorem dowiedziałem się w sztabie, że Queipo de Llano rozpoczął zmasowaną ofensywę na północno-zachodnim odcinku. W sztabie same poważne twarze, szepty, nerwowość. Mam przeczucie, że za chwilę zacznie się ostatni akt tragedii.

A ja, dureń, wysłałem wczoraj optymistyczny telegram!

Piątek, 5 lutego

Krażownicy rebeliantów *Canarias, Baleares, Almirante Cervera* i trzy mniejsze okręty przez cały dzień ostrzeliwują wybrzeże na północ i na południe od Malagi. Gdzie jest republikańska flota? Nigdzie jej nie widać. Rebelianci niepodzielnie panują na morzu i w powietrzu. Brak żywności i amunicji. Pierwsze przejawy paniki w mieście. Podobno gubernator zdezerterował do Walencji. Ostatnia linia telegraficzna zniszczona pod Motrilem. Próbuję nadać radiogram przez Gibraltar, ale nie wiem, czy dotarł do Londynu.

O piątej po południu nie sposób uzyskać żadnych informacji o sytuacji na froncie. Gerda i ja postanawiamy pojechać szosą nadmorską, aby samemu zobaczyć, co się dzieje. Jesteśmy ostatnimi dziennikarzami w Maladze; nasi koledzy wyjechali wczoraj.

Bez przeszkód docieramy do Torremolinos. Tamtejszy komendant odradza nam dalszą jazdę brzegiem morza. Cała flota Queipo de Llano

stoi na kotwicy niedaleko Fuengirolí i ostrzeliwuje nasz front. Na okrętach zabawiają się celowaniem w samochody na szosie nadbrzeżnej. Rano auto z sierżantem i trzema gwardzistami zostało trafione pociskiem.

– Nawet tyle z nich nie zostało – mówi komendant, z zapalem pokazując brud za paznokciem.

Zostawiam Gerdę w Torremolinos i jadę dalej z szoferem. Mijamy Fuengirolé; zaraz za nią jest zakręt i zatoka. W zatoce, niecałą milę od brzegu, stoją w pięknej linii prostej *Baleares*, *Almirante Cervera* i trzy mniejsze okręty, oddając salwy armatnie jak na manewrach. Ani jedna bateria im nie odpowiada. Karabin maszynowy na brzegu szczeka w bezsilnej złości.

Zostawiamy samochód za jakimiś krzakami i dalej idziemy pieszo. Za następnym zakrętem stoi cała kolumna ciężarówek z żywnością i amunicją. Kierowcy odmówili dalszej jazdy, „bo jest zbyt niebezpiecznie”. Front, to znaczy żałosna barykada kamienna, którą widzieliśmy przed tygodniem, od dwudziestu czterech godzin pozbawiony jest dostaw. Naprawdę można się uśmieć, że Queipo musiał użyć aż pięciu okrętów wojennych, aby ostrzeliwać tę nędzną pozycję. Widocznie przecenia obronę.

Po około dziesięciu minutach flota rusza powoli w kierunku Malagi równoległe do brzegu. Pociski padają coraz bliżej: pięćset, dwieście, sto metrów. Prawdziwe piekło. Przywieramy do ziemi, rozplaszczając się jak płastugi. Nie śmiemy nawet szeptać – tak jakby na okrętach mogli nas usłyszeć. Ostatni wybuch zasypuje nas deszczem ziemi. Potem strzały stają się coraz rzadsze i flota nas mija.

Na „froncie” panuje cisza. Przestał już istnieć. Logicznie biorąc, piechota rebeliantów powinna teraz nacierać. Jest jednak ciemno, a Hiszpanie nie lubią atakować po ciemku. Prawdopodobnie zaatakują dopiero o pierwszym brzasku.

Wieczorem na kolacji w hotelu z pułkownikiem Alfredo. Mówi, że Alfarnate i Ventas de Zafarrayas padły. To oznacza koniec.

Gerda mówi, że jutro wyjeżdża. Będę więc ostatnim Mohikaninem.
Sobota, 6 lutego

Rano kilka nalotów. Od czwartku żadnych wiadomości z Londynu,

a więc mój radiogram nie dotarł. Poszedłem do Gobierno Civil zapytać, czy mógłbym skorzystać z radia, aby nadać w świat informację, że wojska włoskie niedługo wkroczą do Malagi. Ale w Gobierno Civil wszyscy potracili głowy. W tym samym celu poszedłem do kwatery głównej, ale Villalby nigdzie nie ma; zostawił rozkaz, żeby *la presse – la presse, c'est moi* – nie pozwolić nadawać żadnych informacji o położeniu militarnym z wyjątkiem optymistycznej propagandy. Wojskowi zawsze myślą, że jak nazwą klęskę zwycięstwem, to będzie ona zwycięstwem, a zabici zmartwychwstaną. Wierzą w czarodziejską moc propagandy jak buszmeni w modlitwy swojego czarownika.

Tymczasem Gerda przygotowała się do wyjazdu. Jedzie z jakimś funkcjonariuszem jego samochodem do Walencji. Zdażyłem tylko napisać kilka słów na kartce, które ma przetelefonować stamtąd do redakcji „News Chronicle”: „Malaga padła. K. zostaje, próbuje załatwić mianowanie sir Petera Chalmersa-Mitchella honorowym konsulem, aby ograniczyć zbliżającą się rzeź miasta”.

Około drugiej po południu zaczyna się exodus z Malagi. Droga do Walencji płynie strumień ciężarówek, samochodów, mułów, wozów, przerażonych i kłócących się ludzi.

Strumień ten wsysa i unosi ze sobą wszystko: cywilów, dezertersów z milicji, dezerterskich oficerów, gubernatora, członków sztabu generalnego. Droga na wschód stała się jednokierunkowa. Ze stolicy nie dochodzi już nic: ani amunicja, ani żywność, żaden organizator, żaden zbawca – choć nawet teraz nie jest jeszcze za późno.

O czwartej postanawiam sprawdzić, co się dzieje w Vélez. Mojemu szoferowi, choć służył wcześniej w milicji, udzieliła się atmosfera paniki. Próbuje mnie przekonać, żebyśmy pojechali przez Vélez do Walencji i nie wracali. Aby go uspokoić, mówię, że zdecydujemy po przyjeździe do Vélez. Kiedy samochód podjeżdża, spostrzegam, że jest w nim cały nasz bagaż, choć nie wydałem takiego polecenia.

W Vélez panuje chaos. Milicjanci z pobitej armii śpią na chodnikach, w bramach, na marmurowych stolikach kawiarnianych. Stracili całkowicie wygląd żołnierski – są brudnymi tłumokami z dygoczącymi ciałami w środku. Ci, którzy nie śpią, gromadzą się na rogach ulic i skręcają papierosy, czekając na przybycie swoich katów.

Z tych ludzi nic już nie będzie. Próbowali zatrzymać nacierające czołgi kamieniami. Zabawiono się z nimi w polowanie z nagonką: oni byli lisami, czołgi sforą psów. Ci, których pojmano żywcem, bronili się nożami, a kiedy wiązano im ręce, gryźli.

Nasze auto natychmiast otacza grupa milicjantów-anarchistów.

– Rekwirujemy ten samochód.

– Po co?

– Żeby wysadzić most na drodze do Ventas.

– Ale podobno ten most został już wysadzony.

– Nie gadaj tyle, tylko wyłaź z samochodu.

Po krótkiej rozmowie udaje mi się przekonać dowódcę anarchistów, żeby poszedł ze mną do sztabu. Nie ma w nim nikogo. Na dziedzińcu samotny żołnierz Guardia Civil zabija muchy.

– Gdzie komendant?

– Jeśli chcecie rozmawiać z komendantem, musicie napisać podanie.

– Oszalałeś? Rebelianci są pięć kilometrów od miasta.

– Żartujecie. Rebelianci są osiemdziesiąt kilometrów na północ, za Ventas.

– Nie słyszysz karabinów maszynowych? To rebelianci.

Kiedy do gwardzisty dociera w końcu, że mówimy prawdę, reaguje osobliwie: chwytą się obiema rękami za głowę i ucieka. Anarchista, nie wiedząc czemu, biegnie za nim i znika z pola widzenia.

Pytamy wszystkich, gdzie jest komendant; nikt nie wie i nikogo to nie obchodzi. W końcu znajdujemy go w restauracji – pada na nos, nie spał od co najmniej dwóch dni. Słucha spokojnie trzech milicjantów, którzy mówią naraz, gwałtownie gestykułując, podczas gdy komendant starannie obiera pomarańczę.

– Jeżeli jesteście z prasy, to rozejrzycie się wokoło, a nie będziecie musieli zadawać pytań.

– Co z mostem na drodze do Ventas?

– Wysadziliśmy go przed godziną.

– Ile zajmie tamtym zbudowanie prowizorycznego mostu?

– Dwanaście godzin.

– Co wtedy?

Komendant nie odpowiada. Wzrusza ramionami i obiera drugą pomarańczę. Potem pyta:

– Jedzie pan z powrotem do Malagi?

Kierowca: – Nie, do Walencji.

Ja: – Tak, do Malagi.

– Skoro tak, to proszę zabrać ze sobą mojego komisarza politycznego. Nie mam samochodu. Może uda mu się zdobyć dla nas trochę amunicji.

– W Maladze nie ma amunicji.

– Wiem, ale mimo wszystko.

Odchodzimy w pośpiechu. Kierowca jest zupełnie roztrzęsiony. Skarży się, że kiedy rozmawialiśmy z komendantem, ktoś ukradł mu papierosy z samochodu. Komisarz pyta go, czy nie ma ważniejszych zmartwień, na co kierowca, biały jak kreda, odpowiada krnąbrnie:

– Nie.

Kiedy przyjeżdżamy do Malagi i podwozimy komisarza do kwatery głównej, kierowca oświadcza kategorycznie, że nie zostanie ani chwili dłużej. Właściwie nie mam prawa ani władzy, aby go zatrzymać. Proszę go tylko, żeby zawiózł mój bagaż z hotelu do domu sir Petera Chalmersa-Mitchella, bo wygląda na to, że krytyczna chwila nadeszła. Dwadzieścia minut później kierowca i samochód znikają na drodze do Walencji, a wraz z nimi moja ostatnia szansa na ucieczkę z Malagi.

Zapada zmierzch. Czuję się nagle bardzo samotny, siadam na schodach przed budynkiem kwatery głównej. Przechodzi pułkownik Alfredo i przysiada się do mnie. Po chwili mówi:

– To prawdopodobnie nasza ostatnia noc. Za kilka godzin droga zostanie odcięta, a oni wytluką nas jak szczury w pułapce.

– Co zrobisz, jak przyjdą?

Alfredo klepie swój rewolwer.

– Mam jeszcze pięć nabojów. Cztery dla faszystów, piąty dla mnie.

Odnoszę niejasne wrażenie, że Alfredo się zgrywa, że wszyscy jesteśmy dziećmi udającymi bohaterów z powieści Waltera Scotta, nie zdajemy sobie sprawy, czym jest śmierć.

Tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno; zza wzgórz dobiega

nieprzerwane dudnienie artylerii i terkot karabinów maszynowych.

Alfredo prowadzi mnie do kasyna oficerskiego. Wkładam do kieszeni suchary i dwie butelki koniaku. Potem wędruję przez pogrążone w ciemności miasto do domu sir Petera z brytyjską flagą na dachu.

Niedziela, 7 lutego

Już o ósmej, w porze śniadania, nalot.

Wspinamy się na przeciwległe wzgórze, aby mieć lepszy widok. Stąd lepiej słyszeć wybuchy bomb; tu i tam widać białe obłoki dymu, ale nie sposób zorientować się w sytuacji.

Po lunchu – „lunch” to spora przesada – schodzę do miasta. Jego oblicze zmieniło się od wczoraj. Tramwaje nie jeżdżą, wszystkie sklepy pozamykane, na rogach ulic stoją gromadki ludzi, a na wszystkich twarzach szara pajęczyna strachu. Słońce świeci, niebo jest oślepiająco niebieskie, ale rozłożyste skrzydła śmierci obejmują miasto. Kiedy przechodzę przez most Caleta, sześć rebelianckich samolotów przelatuje bardzo nisko nad naszymi głowami, rzucając bomby. Chowam się pod mostem; dwóch milicjantów pije tam koniak, jeden śpiewa *Międzynarodówkę*, a drugi cicho i z głupim uśmiechem hymn Falangi. Czuję, jak zaczyna mnie ogarniać strach.

Wchodzę do kwatery głównej, która wygląda jak przytułek noclegowy. Ludzie niepodobni do ludzi śpią na biurkach i na podłodze. Kiedy czekam na rozmowę z pułkownikiem Villalbą, wchodzi śmiertelnie zmęczony sierżant; ledwie trzyma się na nogach. Prowadzą go prosto do pułkownika. Przyłączam się do niego.

- Co słyszeć? – pyta Villalba.
- Piętnaście czołgów idzie drogą z Colmenar.
- Gdzie są w tej chwili?
- Godzinę temu były osiem kilometrów od miasta.
- Opór?
- Żadnego. Nasi ludzie rzucili karabiny i uciekli w góry.
- Dziękuję.

Sierżant osuwa się pod stół i natychmiast zasypia. Villalba rozmawia szeptem z kilkoma oficerami ze swego sztabu. Wydaje adiutantowi rozkaz i wszyscy wychodzą z pokoju.

Zatrzymuję Villalbę.

– Czego pan chce? – mówi niecierpliwie. – Nie widzi pan, że nie mam czasu? Mogę panu powiedzieć tylko tyle: sytuacja jest krytyczna, ale Malaga będzie się bronić.

– Dokąd pan jedzie? – pytam, ale pułkownik już wyszedł.

Podbiegam do okna i wyglądam. Villalba i jego oficerowie wsiadają do samochodu. Wyglądają na zakłopotanych. Samochód odjeżdża.

– Dokąd pojechał? – pytam znajomego oficera.

– Zdezertował – odpowiada spokojnym głosem.

– Jego obowiązkiem było wyjechać – wtrąca się inny oficer. – Za godzinę zostaniemy odcięci, a on dowodzi całym południowym odcinkiem, musiał wyjechać.

– Jak może dowodzić, jeśli zostaliśmy odcięci? – pytam.

– Zdezertował – powtarza pierwszy.

– Kto jest teraz szefem? – pytam.

– Szefem?

Wszyscy są zdziwieni, nikt tego nie wie.

Wchodzę do innego pokoju. Alfredo siedzi tam przy maszynie do pisania. Zauważam, że używa części taśmy z czerwonym kolorem. Czytam:

Do wszystkich zainteresowanych. Niniejszym zaświadcza się, że pułkownik Alfredo G. został odkomenderowany z pilną misją do Walencji. Wszystkie posterunki mają umożliwić mu przejazd.

– Ty też, Alfredo? – pytam.

Czerwieni się.

– I ty też – odpowiada. – Zabieram cię z sobą. To koniec.

Przedstawienie skończone. Czuję strach, aż ciarki przechodzą mi po skórze.

Kiedy samochód rusza, przypominam sobie o sir Peterze. Przez ostatnią godzinę zdążyłem o nim zupełnie zapomnieć.

– Musimy zabrać mojego angielskiego przyjaciela – mówię do Alfreda.

– To niemożliwe – odzywa się kierowca – faszyci zajęli już Nową Drogę. Jego dom jest odcięty.

– Ależ byłem u niego zaledwie przed godziną!
– Od tego czasu weszli do miasta. Nie słyszy pan karabinów maszynowych?

Waham się. Samochód mija rogatki. Uchodźcy patrzą na nas, uprzywilejowanych właścicieli samochodu, z zazdrością i nienawiścią.

Nagle ogarnia mnie obrzydzenie. Nerwy mam zupełnie stargane. – Niech pan stanie – mówię do kierowcy. – Wracam.

– Nie zatrzymywać się – rozkazuje Alfredo.

Wyskakuję z samochodu. Alfredo gwałtownie wymachuje rękami. Samochód znika w tłumie.

Znów zapada zmierzch. Powoli idę do domu sir Petera. Rebeliantów jeszcze tam nie ma.

Sir Peter siedzi za biurkiem przy lampie naftowej, widać nie wie, co się dzieje na zewnątrz – jego dom to wiktoriańska idylla w środku apokaliptycznego potopu. Czuję się jak Hiob, poza tym gryzą mnie wyrzuty sumienia, bo spóźniłem się na kolację i mam na sobie brudne ubranie – po drodze był kolejny nalot i musiałem kryć się w brzdach.

Przy świetle świec uroczyście spożywamy nasze pieczone sardynki i pijemy wyborne białe wino hiszpańskie.

Rozmawiamy o tym, jakie mamy szanse; nie wyglądają najlepiej. Sir Peter opublikował dwa listy w „Timesie”, w których atakował rebeliantów, i podczas wizyt w Anglii otwarcie opowiadał się po stronie rządu hiszpańskiego; jego sympatie dla „czerwonych” są ogólnie znane. Co do mnie, to po moich przygodach w Sewilli władze rebelianckie wydały nakaz mojego aresztowania, a książka, którą właśnie opublikowałem w Paryżu, nie mogła się spodobać generałom Franco i Queipo de Llano. Na naszą korzyść przemawia tylko jedno: flaga brytyjska na dachu. Ale w tej chwili nie jest to zbyt przekonujący argument. Deszcz i wiatr postrzępiły jej brzegi i flaga zwisa bezwładnie.

– Niech pan posłucha – mówi sir Peter. – Zostaję. W Maladze jest dwieście tysięcy ludzi. Jutro wejdą rebelianci i być może rozstrzelają pięćdziesiąt tysięcy. Wszyscy konsulowie wyjechali, świat nie interesuje się Malagą, mogą tu robić wszystko, co zechcą. Jeśli się dowiedzą, że tu jestem – swego rodzaju „neutralny obserwator” – może rozstrzelają tylko czterdzieści tysięcy. A nawet jeśli moja obecność nie ma znaczenia,

zostanę i gdy przeżyję, opowiem światu, co się stało w Maladze. Nigdy dotąd, ani w Badajoz, ani w Toledo, żaden cudzoziemiec nie widział, co robią rebelianci po wejściu do miasta, które zdobyli. Chyba warto zaryzykować.

Poniedziałek, 8 lutego 1937 (Dzień upadku Malagi)

Ósma rano. Podczas śniadania obserwujemy przez lornetkę, jak rebelianckie krążowniki z czerwono-żółto-czerwoną banderą Burbonów wpływają do portu w Maladze. Czekamy na ostrzał, ale nie otwierają ognia.

Ósma trzydzieści. Osiem rebelianckich samolotów krąży nad nami po niebie, ale nie zrzuca bomb.

Dziewiąta. O tej godzinie zaczyna się zwykle ostrzał artyleryjski. Dziś ani wystrzału. Słońce świeci, panuje upiorna cisza.

Dziewiąta trzydzieści. Gromady obdartych milicjantów przeciągają drogą od Colmenar. Większość bez broni. Wszyscy mają zarośnięte, zmęczone twarze i rozbiegane oczy ściganych ludzi. Nikt nic nie mówi, niektórzy utykają. Przechodzą obok domu, nie podnosząc głowy, i znikają za zakrętem.

Dziesiąta. Pojedynczy maruder – ranny milicjant, bez broni i na wpół żywy ze zmęczenia. Prosi o wodę i papierosy. Kiedy podaję mu ogień, widzę, że jego ręce i nogi drżą.

– Czy droga do miasta jest nadal wolna? – pyta.

– Tak, nadal wolna.

– Nie zastrzelą mnie?

– Nikt pana nie zastrzeli.

– Jest pan pewien?

– Jestem pewien.

– Bóg z panem.

Zataczając się, idzie dalej.

Jedenasta. Rebelianckie krążowniki i samoloty panoszą się na wodach i na niebie Malagi, która nadal należy przecież do republiki.

Wraz z sir Peterem postanawiamy zejść do miasta i dowiedzieć się, co się dzieje.

Kiedy wychodzimy, w pobliżu zaczyna terkotać niewidoczny karabin maszynowy. Ulica jest pod ostrzałem. Wracamy.

Dwunasta. Do ogrodu wchodzi rodzina uchodźców – mężczyzna, jego żona, dwoje dzieci i teściowa, obładowani wielkimi koszami i tobołami, głównie z pościelą. (Podczas wszystkich klęsk – pożarów, powodzi, wojen – biedacy najpierw ratują pościel).

Rodzina roztasowuje się w ogrodzie. Republikańskim zwyczajem witamy ich zaciśniętą pięścią, ale oni nie podnoszą rąk i uśmiechają się z zażenowaniem. Pytamy, gdzie są rebelianci, i kobieta odpowiada szeptem, chytrze mrużąc oczy:

– Armia narodowa jest wszędzie na wzgórzach – tu, tam, wszędzie.

Potem kładzie palec na ustach, jakby Maurowie podsłuchiwali za krzakami.

Pytamy, jaka jest sytuacja w mieście. Kobieta odpowiada, znów szeptem i znów chytrze mrużąc oczy:

– Od rana na budynku Gobierno Civil wisi biała flaga.

Pierwsza po południu. Na drodze do Colmenar, naprzeciwko naszego domu, pojawia się oficer w szarym hełmie armii włoskiej.

Rozgląda się i strzela z rewolweru w powietrze. Zaraz potem na zakręcie pojawia się jakichś dwustu żołnierzy piechoty, którzy maszerują w zwartym szyku w stronę miasta. Śpiewają hymn Mussoliniego *Giovinezza*.

Mijając nasz dom, salutują. Służący sir Petera, którzy jeszcze wczoraj gorliwie podnosili zaciśniętą pięść, teraz z taką samą hiszpańską egzaltacją wznoszą ręce w faszystowskim pozdrowieniu. Robią to z całkowitą naturalnością, uważają nas, cudzoziemców, za półidiotów. Ogrodnik radzi sir Peterowi i mnie, żebyśmy go naśladowali, „bo mamy teraz nowy rząd”.

Po pewnym czasie, ponieważ coraz więcej żołnierzy przechodzi obok i salutuje nam – stoimy wszyscy na tarasie, jakbyśmy przyjmowali defiladę – sir Peter i ja też w końcu podnosimy ręce. Staramy się nie patrzeć na siebie.

Potem wchodzę do domu i wypijam całą szklankę koniaku.

Druga po południu. Kompania włoskiej piechoty zajmuje sąsiednie wzgórze.

Trzecia. Młody włoski porucznik dowodzący tą kompanią wchodzi do naszego ogrodu i pyta, czy może się umyć. Przedstawia się

szarmancko i sir Peter poleca naszykować mu kąpiel. Kilku żołnierzy też schodzi z góry, aby się umyć i napić wody. Nie mówią słowa po hiszpańsku. Wyglądają na wycieńczonych; ich zachowanie jest bez zarzutu.

Siadamy z sir Peterem na leżakach na tarasie. Świeci słońce. Słyszymy, jak porucznik pluszcze się w wannie. Stwierdzamy zgodnie, że to sympatyczny facet.

Czwarta po południu. Stłumiony odgłos okrzyków „hurra” i oklasków. Rebelianci są już w centrum Malagi.

Wpół do piątej. Drogą jadą samochody powiewające burbońskimi flagami. Niekończąca się kolumna czołgów nadjeżdża od strony Colmenar. Z miasta w regularnych odstępach dolatuje dźwięk wystrzałów. Kucharka uważa, że skoro walki dobiegły końca, strzały te oznaczają, „że zaczęły się egzekucje czerwonych zbrodniarzy”.

Znów nadszedł wieczór i znów usiedliśmy naprzeciwko siebie w wiktoriańskich fotelach przy pięknie nakrytym stole.

Spaliłem wszystkie kompromitujące papiery: listy polecające z ambasady hiszpańskiej w Paryżu, zezwolenia podróżne wystawione przez władze w Walencji i wszystkie egzemplarze mojej książki z wyjątkiem jednego, zadedykowanego sir Peterowi, który obiecał mi, że go zniszczy. Potem zamazałem wszystkie niebezpieczne miejsca w moim dzienniku.

Mogli przyjść po nas w każdej chwili – najprawdopodobniej w nocy – ale tak naprawdę nie wierzyliśmy w to. Rankiem, gdy dawałem drżącemu milicjantowi papierosa, ostatni raz ogarnęła mnie chęć ucieczki. Byłem już niemal zdecydowany zabrać z domu maszynę do pisania, papiery i przyłączyć się do milicjantów. I tylko przez gnuśność tego nie zrobiłem. W mieście wciąż panował chaos i niepewność, a rozsloneczniony ogród tchnął spokojem – wydawało się prawie niemożliwe, aby w tym pięknym ogrodzie mogły się zdarzyć jakieś nieporządki.

W tym momencie historia nieco się komplikuje. Kapitan Bolín, który poprzysiągł, że mnie zabije jak wściekłego psa, gdy tylko wpadnę mu w ręce, miał stryja. Stryj ten posiadał w Maladze dom, który stał obok willi sir Petera.

Stryj kapitana nazywał się Tomás Bolín. Temuż Tomásowi Bolínowi i jego rodzinie sir Peter uratował życie. Dowiedziałem się o tym dopiero podczas ostatniej kolacji u sir Petera, w nocy przed naszym aresztowaniem.

Tomás Bolín należał do Falangi, hiszpańskiej partii faszystowskiej. 18 lipca 1936 roku w Hiszpanii wybuchła antyrządowa rebelia. W Maladze, podobnie jak w Madrycie i Barcelonie, siły wierne rządowi po zaciętych walkach ulicznych pokonały rebeliantów. Republikanie zachowali władzę w mieście i Tomás Bolín udał się do domu sir Petera, o którego „czerwonych” poglądach wiedział, aby prosić go o schronienie i opiekę.

Towarzyszyła mu żona, teściowa, pięcioro czy sześcioro dzieci i dwie albo trzy służące. Sir Peter przygarnął ich. Bolín zajął te same dwa pokoje, w których zamieszkałem pół roku później. Zaraz po przybyciu powierzył sir Peterowi na przechowanie kopertę z dokumentami, którą ten schował do szuflady biurka.

Nazajutrz do domu sir Petera zapukał patrol anarchistów. Nie chcieli niepokoić gospodarza, znając jego prorządowe nastawienie, ale zażądali dokumentów *señora*, którego poprzedniego dnia przyjął pod swój dach.

Sir Peter musiał wydać im te dokumenty. Dowódca anarchistów, młody chłopak, otworzył kopertę. Najpierw wyjął z niej legitymację członka Falangi należącą do *señora* Bolína, a potem plik pornograficznych zdjęć, jakie wysyłają na zamówienie niektóre paryskie księgarnie. Dowódca anarchistów był zachwycony oboma znaleziskami. Wówczas sir Peterowi przyszedł do głowy szczęśliwy pomysł:

– Może dobijemy targu – powiedział łagodnie – pan zatrzyma zdjęcia, a ja legitymację.

Dowódca – jak już powiedziałem, człowiek bardzo młody – był najpierw oburzony, potem rozbawiony, a w końcu – przez sympatię do sir Petera – zgodził się na jego propozycję.

Mimo to kilka dni później *señor* Bolín został aresztowany. Sir Peter wszakże wyjednał jego zwolnienie, załatwił jego rodzinie paszporty, a w końcu, ryzykując życie, nielegalnie przewiózł Bolína przez granicę do Gibraltaru.

Bagaż Bolína zostały u sir Petera, w jego domu urządzono szpital polowy.

Zostaliśmy aresztowani we wtorek, 9 lutego, o jedenastej rano.

O wpół do jedenastej byłem na tarasie, naszym tradycyjnym stanowisku obserwacyjnym, i liczyłem ciężarówki pełne włoskich żołnierzy, które zjeżdżały z gór niekończącym się sznurem. W pewnej chwili zobaczyłem, jak przed dom *señora* Bolína zajeżdża elegancki prywatny samochód, pokryty kurzem i powiewający burbońską flagą. Zawołałem sir Petera.

– To pewnie wrócił Bolín – powiedział. – Teraz jego kolej, żeby nas chronić.

I poszedł do domu sąsiada.

Wrócił po dziesięciu minutach, blady i zdenerwowany.

– To rzeczywiście Bolín. Przyjechał właśnie samochodem z Gibraltaru.

– Przywiózł nowe świńskie zdjęcia?

– Nie, czerwony beret *requetés*^[16] i wojskowy rewolwer. Mówi, że z przyjemnością zapoluje na czerwonych w mieście i własnoręcznie zabije kilku z nich.

– Podziękował panu przynajmniej za ocalenie?

Sir Peter wzrusza ramionami i idzie na górę po rzeczy *señora* Bolína.

Zostaję sam w ogrodzie. Znów czuję przemożną chęć napicia się koniaku i idę do biblioteki, aby sobie nalać.

Biblioteka ma troje drzwi wejściowych. Kiedy wyjmuję koniak z szafki, wszystkie drzwi otwierają się jednocześnie i niemal bezgłośnie. Wchodzi trzech oficerów z rewolwerami w dłoni. Dwóch z nich nie znam, widzę tylko, że mają na sobie nowiutkie mundury. Trzeci to kapitan Bolín.

Stoimy na środku biblioteki, trzy rewolwery są wymierzone we mnie – po jednym z każdej strony, trzeci z tyłu.

Wszystko to przypomina sen. Mam wrażenie, jakbym znalazł się pod kloszem, w którym niczym w pustej muszli szumi powietrze. Przez ten szum słyszę, jak kapitan Bolín woła do ogrodnika:

– Sznur.

Ogrodnik idzie szukać sznura. Zauważam, że kuleje.

Na szczycie schodów pojawia się sir Peter z walizką *señora* Bolína w ręku.

– Ręce do góry!

Sir Peter podnosi ręce, ale stoi wyprostowany.

Przez kilka sekund panuje cisza. Wszyscy stoimy nieruchomo jak figury woskowe u Madame Tussaud.

Wtedy do pokoju wchodzi szósta osoba, w czerwonym berecie na głowie. Rozpoznaję ją od razu dzięki rodzinnemu podobieństwu: to señor Tomás Bolín. Z kpiącym uśmiechem przygląda się scenie.

– Sir Peter – pytam – czy to temu człowiekowi uratował pan życie? *Señor* Bolín nadal uśmiecha się drwiąco.

Wraca ogrodnik. Nie mógł znaleźć sznura, przyniósł więc dwa metry kabla elektrycznego.

– Wygląda na to, że mnie powieszą – mówię do sir Petera.

Przychodzi mi do głowy, że z tym kablem śmierć będzie trwała dłużej, niż byłoby to przy użyciu zwykłego sznura.

– Stul gębę! – rzuca kapitan Bolín i daje znak oficerowi stojącemu po mojej lewej stronie.

Oficer – przystojny młody człowiek, który wygląda dość nieśmiało i całkiem sympatycznie – bierze kabel i staje za mną. Wykręca mi ręce do tyłu i próbuje je związać kablem, który jednak okazuje się zbyt sztywny. Obchodzi mnie, przesuwając moje ręce do przodu, jakby bawił się drewnianą lalką, i znów próbuje je związać. Tymczasem Bolín wbija mi rewolwer w prawy bok, a trzeci oficer w lewy. Ten ostatni to gruby, łysy facet z niewiarygodnie bydlęcą twarzą. Przez cały czas z jego ust nie schodzi szyderczy uśmiech, dosłownie sapie z zadowolenia. Sapie przez nos, jakby miał astmę, czuję jego oddech na moim uchu. Do tej pory znałem takie typy tylko z politycznych karykatur, nigdy nie sądziłem, że istnieją naprawdę. Facet uśmiecha się szyderczo i sapie, sapie. Ewidentny psychopata. Odczucie fizycznego wstrętu sprawia, że wrażenie snu pryska, wraca mi jasna świadomość, a wraz z nią strach; wpełza mi pod skórę i skręca wnętrzności.

Ze zdziwieniem słyszę własne słowa skierowane do kapitana Bolína:

– Proszę posłuchać, jeśli chce mnie pan zastrzelić, niech pan to zrobi na piętrze. Nie chcę, żeby sir Peter był przy tym.

Później często zastanawiałem się, czy mówiąc te słowa, które być może uratowały mi życie, rzeczywiście chciałem oszczędzić sir Peterowi przykrego widoku, czy tylko zyskać na czasie. Być może chodziło o jedno i drugie. Myślę jednak, że drugi motyw przeważał.

– Stul pysk! – mówi Bolín, ale tym razem w jego głosie pobrzmiewa niepewność.

Sir Peter prosi Tomása Bolína o rozmowę w cztery oczy w drugim pokoju. Señor Bolín uśmiecha się drwiąco, ale w końcu daje się namówić. Obaj wychodzą do drugiego pokoju. Kapitan Bolín nadzoruje skomplikowaną czynność wiązania mi rąk, po czym idzie za nimi. Drzwi pozostają uchylone. Z gestów rozmawiających wnioskuję, że sir Peter interweniuje w mojej sprawie, ale bez większego powodzenia.

Nie wolno mi podejść do nich.

– Co się dzieje? – krzyczę przez niedomknięte drzwi.

Wychodzą i sir Peter mówi bardzo cicho:

– Moja sprawa jest chyba załatwiona – pańska nie.

Potem nas wyprowadzają.

Do dziś nie wiem, dlaczego kapitan Bolín zrezygnował z zastrzelenia mnie na miejscu: czy moje słowa uświadomiły mu odpowiedzialność, którą na siebie weźmie, zabijając zagranicznego dziennikarza w domu z flagą brytyjską, czy też *señor* w czerwonym berecie i z nieprzyzwoitymi fotografiami postanowił w końcu wstawić się za mną.

Myśl, że można zawdzięczać życie plikowi obscenicznych zdjęć, podnosi na duchu.

Zaprowadzili nas do samochodu. Miałem związane ręce, sir Peter nie. Tomás Bolín gdzieś zniknął. Samochód ruszył.

Za zakrętem zatrzymał nas oddział żołnierzy; tłukli w szyby pięściami i wyglądało na to, że chcą nas zlinczować. Kapitan Bolín odwiódł ich jednak od tego i pojechaliśmy dalej.

Zatrzymaliśmy się przed posterunkiem policji. Na maszt wciągnięto już nowiutką czerwono-żółto-czerwoną flagę. Kapitan Bolín i gruby oficer wysiedli. Ja i sir Peter musieliśmy zostać w samochodzie;

pilnował nas młody oficer, który wcześniej wiązał mi ręce. Czekaliśmy dwie godziny. Słońce prażyło, więc w aucie było nieznośnie gorąco. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Przypuszczam, że o jakichś głupstwach.

Bolín i grubas wrócili i zabrali ze sobą sir Petera. Sądziłem, że już go więcej nie zobaczę. Co do mnie, to Bolín sfotografował mnie na ulicy, najpierw *en face*, a potem z profilu.

Zostałem wprowadzony do wielkiego pustego pokoju. W rogu stał taboret, na którym kazano mi usiąść. Dwóch gwardzistów usiadło naprzeciwko mnie przy drzwiach z karabinami na kolanach.

Tak siedzieliśmy przez pewien czas.

Potem na dziedzińcu dały się słyszeć krzyki i do pokoju wprowadzono młodego mężczyznę z nagim torsem ociekającym krwią. Całą twarz miał w ranach – tłuczonych, ciętych i klutych; w pierwszej chwili pomyślałem, że musiał go przejechać parowóz. Dwóch falangistów trzymało go pod pachami i ciągnęło przez pokój. Krzyczał i skamlał. Ci, którzy go wlekli, przemawiali doń bardzo serdecznie: „*Hombre*, już nie będziemy cię bić”. Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, rozległy się odgłosy ciosów i kopniaków. Bity na przemian jęczał i krzyczał. Krzyczał w regularnych odstępach.

Na kilka sekund zapadła cisza. Słyszałem tylko szybki, ciężki oddech. Nie wiem, co mu robili w ciągu tych kilku sekund. Potem znów zaczął wrzeszczeć nienaturalnie wysokim, piskliwym głosem i w końcu ucichł. Po chwili drzwi się otwały i przez pokój, w którym siedziałem, wywlekli go na dziedziniec. Nie widziałem, czy jest martwy, czy tylko nieprzytomny. Nie przyglądałem się dokładnie.

Później to samo zrobili z drugim delikwentem, a po nim z trzecim.

Przechodząc przez pokój, falangiści za każdym razem patrzyli na mnie tak, jakby chcieli mnie sobie zapamiętać. Nic jednak nie mówili. Trzeci delikwent okazał się ostatni. Siedziałem nieruchomo na moim taborecie i czekałem.

Pilnujący mnie gwardziści wydawali się zgorszeni tym, co się dzieje. Kiedy w drugim pokoju bito ludzi, uważnie mi się przyglądali, aby zobaczyć, jak reaguję – a może i z pewnym współczuciem. Po wyprowadzeniu trzeciego delikwenta, martwego lub nieprzytomnego,

starszy gwardzista wzruszył ramionami, zerkając w moją stronę; był to nieświadomy gest przeprasający. Wyraził się w nim cały światopogląd pięćdziesięcioletniego żandarma, który z jednej strony miał za sobą trzydzieści lat służby w średniowiecznym kraju, a z drugiej – zapewne żonę, gromadkę niedożywionych dzieci i kanarka w klatce. Wyraziła się w nim cała filozofia wstydu, rezygnacji i apatii. „Taki już jest świat – zdawał się mówić – i ani ja, ani ty go nie zmienimy”. To wzruszenie ramion gwardzisty utkwilo mi w pamięci wyraźniej niż krzyki torturowanych.

Było już ciemno, kiedy kapitan Bolin i jego gruby kolega wrócili po mnie.

Wyszliśmy na dziedziniec i Bolin kazał mnie dokładnie obszukać.

Dwóch żołnierzy przystąpiło do dzieła. Najpierw opróżnili mi kieszenie. Grubas przejrzał mój portfel. Spaliłem wszystkie kompromitujące papiery, więc w portfelu miałem tylko kilka osobistych dokumentów, trochę pieniędzy i dwa telegramy od szefa działu zagranicznego „News Chronicle”, w których prosił mnie między innymi o przesyłanie wszystkich zdjęć pocztą lotniczą.

– Co to miały być za zdjęcia? – zapytał grubas.

– Prasowe, oczywiście – odpowiedziałem zdziwiony.

– Od kiedy to fotografie prasowe przesyła się pocztą lotniczą? – spytał drwiąco.

Jak wielu oficerów miał na pewno manię szpiegowską; nieufność połączona z głupotą i złą wolą to chyba najbardziej niebezpieczna mieszanka. Zrozumiałem, że nie ma sensu się z nim spierać i tylko wzruszyłem ramionami – a i to, dla bezpieczeństwa, jedynie w duchu.

Potem stało się to, co było do przewidzenia.

Żołnierz macający podszewkę mojego płaszcza krzyknął z bólu i wetknął kciuk do ust. Skaleczył się o igłę od strzykawki z morfiną, którą sir Peter podarował mi w charakterze „ostatniego wyjścia”.

– Ma coś ostrego pod podszewką – powiedział żołnierz, z wściekłością i strachem ssąc swój kciuk.

Wyjąłem igłę i w półmroku podniosłem ją do góry.

– Co to jest? – krzyknął grubas, cofając się kilka kroków.

Również Bolin się odsunął. Wszyscy byli przekonani, że mają

do czynienia ze słynną igłą zatrutą przez Indian jadem żmii, którą znali z filmów i opowiadań detektywistycznych. Była to kapitalna scena.

Kazali mi położyć igłę na talerzu, bo żaden nie chciał jej dotknąć. Potem przeszukali paczkę papierosów i znaleźli w niej strzykawkę. Strząsnęli moją chustkę do nosa i znaleźli tabletki. W końcu dobrowolnie wyjąłem spod podszewki płaszcza drugą igłę. Byłem bez wątplenia najbardziej niebezpiecznym osobnikiem, jaki kiedykolwiek znalazł się na hiszpańskiej ziemi.

Bolín przeliczył moją gotówkę, a potem kazał mi podpisać kwit: „Potwierdzam, że podczas aresztowania miałem przy sobie 700 franków i 150 peset”.

Bolín schował kwit do kieszeni. Wiedziałem, po co mu jest potrzebny. Chciał mieć po mojej śmierci dowód, że obchodził się ze mną jak należy.

Miałem też przy sobie kilka banknotów katalońskich, pozbawionych wszelkiej wartości na terytorium rebelianckim.

– Może pan je sobie zatrzymać – rzekł Bolín. – Dziś w nocy zapłaci pan nimi za bilet do nieba.

Poprosiłem, żeby zostawił mi też pióro wieczne.

– W niebie nie będzie panu potrzebne – odparł Bolín i oddał pióro grubasowi, który z widoczną przyjemnością zaczął się nim bawić.

Pióro było prezentem od żony. Nie przywiązuję wagi do pamiątek, ale myśl, że moje stare pióro, którym napisałem swoją pierwszą książkę o Hiszpanii, trafiło w łapy faszysty, sprawiła mi niewymowną przykrość.

Po rewizji został mi tylko zegarek, którego na szczęście nie znaleźli.

Wróciłem do mojego pokoju, tonącego teraz w ciemności. Znów płynęły godziny. Chodziłem tam i z powrotem z uczuciem zupełnej beznadziejności, mając przed oczami karabiny gwardzistów.

Od śniadania nic nie jadłem, ale nie czułem głodu. Około dziesiątej wieczorem przyszedł podoficer i kazał mnie zaprowadzić do ciężarówki. Pięciu żołnierzy z karabinami usiadło za mną. Byłem przekonany, że wiozą mnie na egzekucję.

Ruszyliśmy. Ulice Malagi zajętej przez rebeliantów były ciemne jak w noc mojego przyjazdu.

Próbowałem się zorientować, w której części miasta jesteśmy – przypuszczałem, że zgodnie ze zwyczajem egzekucja odbędzie się na cmentarzu, i gorączkowo paliłem swojego przedostatniego angielskiego papierosa. Nie czułem ani specjalnego strachu, ani żadnych innych emocji – chciałem tylko, żeby skończyło się to jak najszybciej i bezboleśnie.

Zdobyłem się w końcu na odwagę i zapytałem jednego z żołnierzy, czy jedziemy na cmentarz. Odpowiedział rzeczowym tonem, że na razie nie zostaną rozstrzelani, jadą do więzienia. Potem odpalił papierosa od mojego i powiedział do kolegi siedzącego za nim:

– Facet myślał, że zaraz zostanie rozstrzelany.

– Ale gdzie tam – odpowiedział tamten dobroncznym, grzmiącym basem. Jego twarzy nie widziałem. – Ale gdzie tam. To tak łatwo nie idzie, *hombre*.

Zatrzymaliśmy się pod bramą więzienia i kierowca nacisnął guzik nocnego dzwonka. To, że więzienie ma nocny dzwonek, jest zupełnie logiczne, ale nie wiedzieć czemu wydało mi się wtedy dziwne. Żelazna brama otworzyła się i długim, źle oświetlonym korytarzem poszliśmy do kancelarii. Zostałem ponownie zrewidowany i musiałem się rozebrać do bielizny. Jeden z funkcjonariuszy ostukał podeszwy moich butów żelaznym młotkiem, drugi przeczesał mi włosy. Ponieważ nigdy nie lubiłem podwiązek do skarpetek, nosiłem podkolanówki. Na ich widok funkcjonariusz zapytał, czy kiedykolwiek przebierałem się za kobietę. Znów, mimo beznadziejności swojego położenia, musiałem się uśmiechnąć.

„*Lleva calcetines de mujer*” (nosi kobiece skarpetki) – zapisał funkcjonariusz. Kiedy to robił, udało mi się rzucić okiem na protokół sporządzony przez kapitana Bolína, leżący na stole przed funkcjonariuszem. Przeczytałem, że jestem bardzo niebezpiecznym osobnikiem – powodem takiej opinii była chyba igła od strzykawki – że należy mnie ściśle pilnować i trzymać *incommunicado*, czyli w całkowitej izolacji; i że jestem *caso internacional* – przypadkiem międzynarodowym, czyli szpiegiem.

A teraz jeszcze te „kobiece skarpetki”. Wszystko się zgadzało.

W końcu pobrano mi odciski palców i pozwolono się ubrać; tylko

pas musiał zostać w biurze.

Potem zaprowadzono mnie do celi.

Pierwszy raz usłyszałem trzask zamykanych od zewnątrz drzwi celi.

Jest to dźwięk jedyny w swoim rodzaju. Drzwi celi nie mają klamki, ani od środka, ani od zewnątrz, zamkną się więc tylko wtedy, gdy się je zatrzaśnie. Są zrobione ze stali i betonu, mają grubość dziesięciu centymetrów i każde ich zamknięcie brzmi jak wystrzał. Ale dźwięk ten natychmiast cichnie, nie ma echa. Pomieszczenia więzienne nie są akustyczne.

Kiedy drzwi pierwszy raz zamykają się za więźniem, staje on na środku celi i rozgląda się. Sądzę, że każdy zachowuje się w tej sytuacji mniej więcej tak samo.

Najpierw rozgląda się wokoło i rejestruje przedmioty znajdujące się w jego nowym mieszkaniu:

żelazną pryczę

umywalkę

klozet

zakratowane okno

Następnie próbuje podciągnąć się na prętach kraty i wyrzeć przez okno. Nie udaje mu się, a jego garnitur jest cały biały od tynku, bo podczas podciągania się przyłgnął do ściany. Na razie daje za wygraną, ale postanawia poćwiczyć i nauczyć się podciągać do okna. Podejmuje zresztą wiele postanowień: codziennie będzie się gimnastykował, uczył się obcego języka, i w ogóle nie da się. Otrzepuje garnitur i kontynuuje wyprawę odkrywczą po swoim królestwie – długim na pięć kroków i szerokim na cztery. Na próbę kładzie się na pryczy. Sprężyny są połamane, metalowa siatka ugina się i wżyna w ciało; przypomina to leżenie w drucianym hamaku. Wstaje i robi minę, która ma dowodzić, że jest pełen odwagi i pewności siebie. Potem jego wzrok pada na drzwi celi. Widzi w judaszu oko, które go obserwuje.

Oko łypie na niego szkliście, jego źrenica jest nienaturalnie wielka – to oko bez człowieka. Na chwilę serce więźnia przestaje bić.

Oko znika i więzień oddycha głęboko, przykładając rękę do lewej

piersi.

„No – perswaduje sobie – jak można się było tak głupio przestraszyć. Trzeba do tego przywyknąć, przecież funkcjonariusz spełnia tylko swój obowiązek, kiedy zagląda; tak to już jest w więzieniu. Ale nie dam się, nigdy mnie nie złamią. W nocy zasłonię wizjer papierem...”

Właściwie można by to zrobić od razu. Pomysł budzi w więźniu prawdziwy entuzjazm. Pierwszy raz ogarnia go owo niemal szaleńcze pragnienie aktywności, które od tej pory będzie odczuwać na przemian z melancholią i depresją.

Potem uświadamia sobie, że nie ma papieru i w następnej chwili chce dzwonić na służącego albo biec do sklepu na rogu – w zależności od tego, do jakiej warstwy społecznej należy. Trwa to tylko ułamek sekundy; w następnej chwili uprzytamnia sobie właściwe znaczenie swojego położenia. Pierwszy raz rozumie z całą ostrością, co to znaczy znajdować się za drzwiami zamkniętymi od zewnątrz.

To też trwa tylko kilka sekund. Po chwili znów włącza się mechanizm znieczulający, powodujący ten dobroczynny stan półnarkozy, w który wprowadza więźnia chodzenie tam i z powrotem, snucie planów i oddawanie się złudzeniom.

„A więc – mówi sobie – na czym stanęliśmy? Ach tak, na zasłonięciu judasza papierem. Papier oczywiście da się jakoś zdobyć”.

Owo „jakoś” pozostawia w zawieszeniu. Ten sposób myślenia już wkrótce opanuje do perfekcji – a raczej to on opanuje jego. Będzie na przykład mówił: „Kiedy wyjdę, już nigdy nie będę się martwił o pieniądze. Zawsze jakoś to będzie”. Albo: „Kiedy wyjdę, już nigdy nie będę się kłócił z żoną. Jakoś zawsze się dogadamy”.

Myślenie wedle tego schematu, który po kilku dniach zyskuje nad więźniem całkowitą władzę, sprawia, że świat zewnętrzny przestaje być dlań rzeczywisty, staje się światem marzeń, gdzie wszystko jest „jakoś” możliwe.

„Na czym stanęliśmy? Acha, na zasłonięciu wizjera papierem. Oczywiście papier da się jakoś zdobyć. Ale czy to dozwolone? Nie, na pewno nie. No to po co się trudzić?”.

„Przyjrzyjmy się bliżej przedmiotom w celi. No proszę, jest jeszcze żelazny stół z krzesłem, którego wcześniej nie zauważyliśmy i nie obejrzeliliśmy. Oczywiście krzesła nie da się odsunąć od stołu, jest do niego przytwierdzone. Szkoda, bo można by go było użyć jako stolika nocnego i przed pójściem spać układać na nim rzeczy: książkę, chustkę do nosa, papierosy, zapalki i tak dalej”.

Potem uświadamia sobie, że nie ma ani książki, ani chustki, ani papierosów, ani zapalek.

Barometr nastroju spada po raz drugi.

Podnosi się ponownie, gdy wzrok więźnia pada na kran nad umywalką. „No proszę, w więzieniu jest bieżąca woda – nie jest w nim wcale tak źle, jak się z zewnątrz wydaje. Jest przecież łóżko (a znacznie zdrowiej jest spać na twardym łóżku), umywalka, stół, krzesło – czego jeszcze człowiekowi trzeba? Muszę się nauczyć żyć prosto i skromnie: trochę gimnastyki, czytanie, pisanie, uczenie się obcego języka...”.

Potem więzień podchodzi do klozetu. „No, no, jest nawet to, naprawdę nie jest tak źle”. Pociąga za sznurek, ale woda nie spływa. Urządzenie nie działa. I barometr znowu spada.

Na nowo idzie w górę, gdy więzień wpada na chytry plan: napełni wiadro wodą z kranu i w ten sposób będzie spłukiwał sedes. Ponownie spada, gdy się okazuje, że w kranie też nie ma wody. Znow się podnosi, kiedy więzień dochodzi do wniosku, że w ciągu dnia na pewno są chwile, kiedy jest woda. Barometr spada – podnosi się – spada – podnosi się. I tak już będzie stale w następnych minutach, godzinach, dniach, tygodniach, latach.

Jak długo jest już w celi?

Patrzy na zegarek: dokładnie trzy minuty.

Napisałem, że moim zdaniem ogromna większość więźniów w pierwszych minutach pobytu w celi zachowuje się w taki właśnie albo zbliżony sposób. Im drastyczniejsza sytuacja, tym bardziej stereotypowa reakcja.

Kiedy życie staje się najbardziej dramatyczne, najtrudniej jest uciec od szablonów. W tak zwanych wielkich chwilach zachowujemy się jak postacie z brukowych powieści. Wielkość słowa polega na abstrakcji; wobec tego, co dotykalne, język jest bezsilny. A staje się całkowicie

bezużyteczny, gdy trzeba opisać tak straszliwie zwyczajny fakt, jak strach człowieka przed śmiercią.

Nie minęło jeszcze pięć minut, kiedy w zamku zazgrzytał klucz i drzwi się otworzyły.

Stanęli w nich znani mi już dwaj funkcjonariusze: ten, co mnie rewidował, i ten, który wpisał do moich akt adnotację o „kobięcych skarpetkach”.

– *Venga* – powiedzieli. – Chodź.

Nie miałem odwagi zapytać dokąd.

Znów szliśmy długimi, pustymi korytarzami, mijając po drodze niekończące się rzędy zamkniętych drzwi do cel.

Do każdego wizjera po obu stronach korytarza przyklejone było wyłupiaste oko.

Przeszliśmy przez szpaler oczu – szeroko otwartych, wpatrujących się, oczu bez ludzi.

Strażnik, który mnie rewidował, był w wesołym humorze. Wyciągał rękę w stronę to tej, to innej celi, a potem palcem wskazującym robił ruch, jakby pociągał za spust.

– Bach, bach – mówił. – Czerwoni, sami czerwoni. Jutro wszyscy martwi.

Oczy wpatrywały się w nas. W każdym wizjerze była źrenica.

– Ty też jutro martwy – powiedział strażnik.

Poczułem, że miękną mi kolana. Pisze się: „Skazaniec szedł niepewnym krokiem”. Wszyscy skazańcy chodzą niepewnym krokiem. Nie mogłem uciec od tego przekłętego stereotypu.

Na końcu korytarza była żelazna krata. Funkcjonariusz otworzył ją, a potem zasunął za nami. Dalej znajdował się krótki korytarzyk z kilkoma celami – izolatkami.

Drzwi jednej były otwarte: zostałem mocno popchnięty i wpadłem do środka.

I znów drzwi zatrzasnęły się za mną.

Cela wyglądała tak samo jak poprzednia, tylko zakratowane okno było mniejsze i znajdowało się nieco wyżej. Na ścianie nad pryczą widniały plamy krwi. Musiały być świeże, bo wciąż wydzierały kwaśny zapach. Poczułem go i zaraz zwymiotowałem.

Położyłem się na drucianym materacu. Nie miałem siennika ani koca. W celi było zimno. Marzłem, druty wżynały mi się we wszystkie członki i nie mogłem się uwolnić od kwaśnego zapachu krwi. Klozet był zatkany, a kran nie działał. Przez okno dolatywał odgłos pojedynczych strzałów; później rozległa się salwa, potem znów strzały, a w przerwach między nimi krzyki. Były to przeszywające krzyki, które rozbrzmiewały mi w uszach na długo po tym, jak krzyczący umilkł na zawsze. Znów musiałem zwymiotować. Położyłem się na pryczy i czułem się jak ostatni nieszczęśnik. „Jesteś zwykłym nieszczęśnikiem” – pomyślałem i nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Potem uświadomiłem sobie, że odebrali mi pasek, ale zostawili krawat. Nad pryczą znajdował się metalowy hak na ubrania, więc pomyślałem, że najmądrzejszym wyjściem byłoby się powiesić. Hak wbito bardzo nisko, ale często czytałem w gazetach, że urzędnicy w średnim wieku, straciwszy pracę, wieszali się na klamkach u drzwi. A hak był nawet wyżej niż klamka. Zacząłem próbować, ale stwierdziłem, że to bardzo nieprzyjemna czynność, i zrezygnowałem.

Nagle zrobiło mi się cudownie lekko na duszy. Byłem szczęśliwy, że znów mogę oddychać cuchnącym powietrzem celi; poczułem nagłą senność i wszystko mi zobojętniało. Spałem mocno i spokojnie aż do świtu.

Po obudzeniu się w pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem, a gdy sobie przypomniałem, nie poczułem się lepiej. Przez brudne okno sączyło się brudne światło brzasku. Panowała zupełna, głucha cisza. Tylko w więzieniach bywa tak cicho.

Poranne wstawanie zawsze wymaga decyzji. Tego ranka nie miałem żadnych powodów, aby wstać z łóżka; nie czekała na mnie ani praca, ani korespondencja, ani żaden obowiązek. Po raz pierwszy doznałem tego dziwnego uczucia wolności i braku odpowiedzialności, które są jedną z iluzji typowych dla psychozy więziennej. Przewróciłem się na drugi bok, podciągnąłem nogi do brzucha, aby było mi cieplej, i znowu zasnąłem.

Kiedy się ocknąłem, wciąż nie było jeszcze całkiem jasno. Zbudził mnie jakiś dźwięk. Zacząłem nasłuchiwać; ktoś śpiewał. Śpiewający musiał być w jednej z izolatek naprzeciwko. Usiadłem na łóżku

i poczułem, że serce zamiera mi w piersi: poznałem *Międzynarodówkę*.

Więzień śpiewał fałszywie, ochryplym głosem. Na pewno czekał na to, aby inni skazańcy przyłączyli się do niego, ale nikt mu nie zawtórował. Śpiewał sam w swojej celi, w całym więzieniu, w nocy.

Czytałem relacje z niemieckich więzień i obozów koncentracyjnych. Często wspomniano tam o więźniach śpiewających *Międzynarodówkę*, co miało być protestem politycznym albo ostatnią demonstracją. Ale mimo że żywiłem głęboki szacunek dla niemieckich męczenników, opisy te wydawały mi się zawsze nieco melodramatyczne i niewiarygodne. Teraz słyszałem na własne uszy, jak człowiek, który wie, że umrze, śpiewa *Międzynarodówkę*. Jego śpiew wcale nie był melodramatyczny. Ten ochryply, niemelodyjny głos brzmiał przejmująco i żałośnie. Powtórzył refren dwa albo trzy razy, przeciągłe, aby śpiew trwał dłużej, aby odwlec chwilę, w której znów zapadnie cisza. Wstałem, stanąłem przy drzwiach i podzwaniając zębami, podniosłem pięść w republikańskim pozdrowieniu, którego nauczyłem się podczas zebrań w Walencji i Madrycie. Czułem, że więźniowie w sąsiednich celach też stoją przy drzwiach z pięścią podniesioną w pożegnalnym geście.

Śpiewał i śpiewał. Widziałem go przed sobą: nieogolony, z pobitą twarzą i udręką w oczach. Śpiewał i śpiewał. Musieli go słyszeć, przyjdą i go zatłuką.

Śpiewał i śpiewał. To było nie do zniesienia. Jakże go wszyscy kochaliśmy.

Nikt jednak nie zawtórował – strach był zbyt wielki.

Zaczął się mój pierwszy dzień w więzieniu; pierwszy ze stu dwóch dni.

Nie dostałem śniadania, wody do mycia ani grzebienia, żeby się uczesać. Pozostało mi tylko czekanie. Chodziłem tam i z powrotem, sześć i pół kroku w jedną stronę, sześć i pół kroku w drugą, usiłując myśleć o przyjemnych rzeczach. Pierwszą, która przyszła mi do głowy, był cytat z jednego z opowiadań Edgara Wallace'a:

Wszyscy umieramy tylko raz. Co do mnie, to nigdy się z tego nie cieszyłem. Gdyby się umierało więcej razy, można by było do tego przywyknąć. Rozumiesz, o co mi chodzi? To jest filozofia.

To rzeczywiście filozofia, pomyślałem. I ze zdziwieniem stwierdziłem, że bardzo trudno jest myśleć o miłych rzeczach i w ogóle kierować biegiem swoich myśli. Podążają własnym torem, jeśli bodaj na chwilę straci się nad nimi kontrolę.

Odłamałem kawałek drutu z pryczy i zacząłem skrobać na ścianie wzory matematyczne. Wyprowadziłem równanie elipsy, ale z hiperbolą mi się nie powiodło. Doszedłem do tak długich wzorów, że sięgały od klozetu do umywalki. Dałem za wygraną i spojrzałem na zegarek. Była pierwsza. Dopiero wtedy poczułem, że jestem głodny jak wilk. Nie jadłem nic od dwudziestu dziewięciu godzin.

Wpadłem w furję i zacząłem walić w drzwi celi: najpierw pięściami, a potem butem. Widziałem taką scenę w jakimś amerykańskim filmie. Niestety mój but miał gumową podeszwę.

Żadnej reakcji. Wściekłość minęła i znów popadłem w apatię. Przyłożyłem oko do judasza i wyjrzałem na korytarz. Pole widzenia było tak wąskie, że obejmowało tylko przeciwległe drzwi. Po chwili jednak dokonałem ciekawego odkrycia. Judasz naprzeciwko rozjaśniał się i ciemniał w stałych odstępach.

Ponieważ w celach było jaśniej niż na korytarzu, niezastłonięty wizjer stanowił jasny punkt. Kiedy więc judasz robił się ciemny, mój więzień z przeciwka musiał przykładać do niego oko. Ale widziałem tylko ciemny wizjer, nie widziałem oka.

Odstępy między jasnością a ciemnością trwały tylko kilka sekund; było mało prawdopodobne, aby więzień z taką regularnością patrzył przez wizjer, odwracał się, a potem znów przykładał oko do judasza. Bardziej prawdopodobne wydało mi się przypuszczenie, że chce mi dać jakiś sygnał.

Zacząłem zakrywać swój wizjer ręką i odkrywać go w takich samych regularnych odstępach. Potem zrobiłem to wolniej, a później szybciej. Ale rytm w celi naprzeciwko nie zmienił się. Położyłem palec w poprzek wizjera; najpierw poziomo, potem pionowo. Powtórzyłem to trzykrotnie: wydawało mi się, że robię znak krzyża.

Ale więzień z przeciwka nie zareagował. Jasność i ciemność w jego wizjerze następowały po sobie w takich samych odstępach, z przygnębiającą jednostajnością.

Zastanawiałem się, o co mu chodzi. Nie mógł osiągnąć tego efektu, chodząc w tę i z powrotem, ponieważ odstępy czasu były zbyt krótkie. Nagle mnie olśniło: wiedziałem już, co robi ten człowiek, miałem to przed oczami.

Stał na rozstawionych nogach przed drzwiami celi i kiwał głową w prawo, w lewo, w prawo, w lewo, jak miś. Musiał być w ostatnim stadium apatii i rozpacz.

Stukałem w drzwi, robiłem palcami przed wizjerem wszelkie możliwe figury – bez skutku.

To mnie ponownie przygnębiło. Znów położyłem się na pryczy i drzemałem. Próbowałem recytować wiersze, ale mój mózg przestał pracować. Myśli wymykały mi się spod kontroli.

Około siódmej wieczorem usłyszałem szuranie i hałasy na korytarzu. Wyjrzałem przez wizjer. Dwóch strażników ciągnęło wielki kocioł z jakimś brunatnym płynem. Była to kawa. Dwóch innych niosło wielki kosz chleba.

Drzwi celi naprzeciwko otwarły się i w końcu zobaczyłem jej lokatora, „misia”. Z początku widać było w półmroku tylko zarośniętą dolną część jego twarzy i podartą koszulę, sztywną od zaschniętej krwi. Stał w kącie celi najbardziej oddalonym od drzwi, przywierając plecami do ściany i zasłaniając ręką twarz, jak przed uderzeniem.

– *Hombre* – powiedział strażnik trzymający w ręku chochlę, sympatyczny starszy mężczyzna – to tylko kawa. Tu w więzieniu nie biją.

Zaczerpnął chochlą kawę i wyciągnął ją w stronę brodacza, który ujął ją dwoma rękami i łapczywie wypił zawartość. Chleptał i mlaskał jak pies pijący wodę. Czterech strażników stało i przyglądało mu się. Potem jeden podał więźniowi chleb z kosza. Brodacz chwycił bochenek, przycisnął go do piersi i patrzył na strażników wciąż tym samym półobłąkanym wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Dyszał głośno. Z wyraźnym wysiłkiem zapytał:

– Nie będzie więcej bicia?

– W więzieniu nie – odpowiedział starszy strażnik.

Miał już zamknąć drzwi, gdy brodacz przytrzymał je ręką i zadał następne pytanie:

– Kiedy...?

Nic więcej nie mógł wykrztusić.

Starszy strażnik wzruszył ramionami i zamknął drzwi.

Pochód strażników z kawą i chlebem sunął od celi do celi przeciwną stroną korytarza. Usłyszałem, jak na jego końcu zawrócili i zmierzają w moją stronę. Kiedy byli już niedaleko, nadszedł piąty strażnik z naręczem metalowych naczyń do picia – starych puszek po konserwach i małych baniek na benzynę.

Dostałem puszkę pełną kawy i bochenek chleba. Ale od dłuższego czasu zastanawiałem się, czy, skoro nie jadłem i nie piłem od trzydziestu sześciu godzin, nie lepiej głodować dalej, tym samym pozbawiając się sił. Krzyki torturowanych na posterunku policyjnym nadal brzmiały mi w uszach. Pomyślałem sobie, że im będę słabszy, tym szybciej stracę przytomność, gdy zaczną mnie bić.

Wylałem kawę do sedesu, pokruszyłem chleb i pozbyłem się go w ten sam sposób. Miałem wrażenie, że znów biorę czynny udział w wydarzeniach, że podejmuję walkę. Ta myśl uspokoiła mnie. Zwinąłem się w kłębek na pryczy i próbowałem zasnąć.

Z drzemki wyrwał mnie jakiś oleisty głos.

Dobiegał przez zakratowane okno od strony jednego z dziedzińców. Ktoś wyczytywał nazwiska; było ich od dwudziestu pięciu do trzydziestu – nie zdołałem policzyć dokładnie, bo pogubiłem się w gąszczu kilkuczętonowych hiszpańskich nazwisk. Wszyscy, których wyczytano, musieli odpowiedzieć „jestem” i jeśli odpowiedź nie nadeszła szybko, oleisty głos wymyślał opieszalcowi. Potem zaczął wywoływać:

– Wszyscy z celi nr 17!

– Wszyscy z celi nr 23!

Byli to więźniowie, którzy zostali rozstrzelani i pochowani bezimiennie.

Tej nocy oleisty głos dał się słyszeć jeszcze dwa razy; raz około północy – sześćdziesiąt nazwisk – a drugi raz tuż przed świtem. Za drugim razem dobiegł z odległego skrzydła więzienia jako niewyraźny, słaby pomruk, tak że nie mogłem policzyć ofiar.

Potem wstał nowy dzień.

* *
*

Był czwartek i nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin, odkąd straciłem wolność.

Około dziesiątej wyprowadzono z celi „misia”.

Tym razem nie wyczytano żadnych nazwisk. Strażnik i dwaj żołnierze podeszli do celi sprężystym krokiem. Strażnik otworzył drzwi i zawołał do jej lokatora: „*Valor, hombre* (Odwagi, człowieku)” i pospieszył do następnej celi. Żołnierze chwycili brodacza, związali mu ręce i wyprowadzili go poza moje pole widzenia. Trzy razy jeszcze słyszałem z różnego oddalenia „*Valor, hombre*”. Potem znów zapadła cisza, a ja straciłem swego *vis-à-vis*.

Od dwóch dni nic nie jadłem, a ostatniej nocy spałem mało, a może nawet wcale. Po „*Valor, hombre*” byłem u kresu wytrzymałości.

Pomyślałem, że nie ma żadnego sensu przedłużać tej udręki i chyba jednak powinienem skorzystać z haka. Ale myśl ta nie wydała mi się kusząca. Podciągnąłem się na kracie okiennej i na zasnutym pajęczynami parapecie zobaczyłem kawałek szkła. Był odpowiednio ostry. Bardzo się ucieszyłem z tego znaleziska, ale postanowiłem poczekać na zapadnięcie nocy.

Podjęcie decyzji, którą uważałem za ostateczną, wprawiło mnie w doskonały humor. Zrobiło mi się wesoło, barometr szedł do góry z zawrotną szybkością. Na próbę przypomniałem sobie wyprowadzenie „misia” i sceny z posterunku policji. Nie poruszyły mnie teraz w najmniejszym stopniu. Pomyślałem o przyjaciółach i rodzinie i nie odczułem żadnych emocji. Byłem bardzo dumny z tego olimpijskiego spokoju i przysłała mi do głowy myśl godna bohatera tandetnej powieści: tego, kto postanowił rozstać się z życiem, nic już nie wzruszy.

Dopiero znacznie później, w więzieniu sewilskim, rozmawiając ze współwięźniem o strachu przed śmiercią, zrozumiałem tajemnicę tej czarodziejskiej przemiany: dzięki pozornej decyzji odebrania sobie życia zyskałem dwanaście beztróskich godzin. Mój olimpijski spokój nie wynikał, jak mi się zdawało, z samego postanowienia, ale z odsunięcia jego wykonania o dwanaście godzin. Do tej pory co godzina liczyłem się z tym, że oleisty głos wywoła moje nazwisko; teraz zdołałem wmówić sobie, że świat zewnętrzny będzie przestrzegać dwunastogodzinnego

terminu, który sam wyznaczyłem. Dlatego byłem tak radosny.

Mój dobry nastrój trwał aż do popołudnia, a potem jeszcze się poprawił, bo drzwi się otworzyły i starszy strażnik ze swoim pomocnikiem wnieśli do celi siennik. Był stary, brudny, wygnieciony i cuchnący, ale kiedy wyciągnąłem się na nim, poczułem we wszystkich członkach, jak cudownie jest wygodny w porównaniu z wżynającymi się w ciało drutami. Aż mruczałem z zadowolenia; strażnicy przyglądali mi się z uśmiechem. Musieli już wiele razy być świadkami takiej sceny i świetnie wiedzieli, jaka jest różnica między celą z siennikiem a celą bez niego.

Człowieka jednak trudno zadowolić. Chciałem mieć nie tylko wygodne, ale i ciepłe łóżko. Oczywiście nie mogłem nawet marzyć o kocu. Próbowałem więc użyć siennika jako koca, ale było to kiepskie rozwiązanie. W końcu wpadłem na pomysł. Kawałkiem szkła rozciąłem siennik u wezłowia i w ubraniu wpełzłem do niego nogami do przodu, pozostawiając na zewnątrz tylko głowę. Wyglądałem chyba jak mumia egipska i szybko zapadłem w sen.

Ale seria szczęśliwych wydarzeń jeszcze się nie skończyła. O piątej po południu znów przyniesiono jedzenie, choć od ostatniego posiłku nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny. Tym razem dostaliśmy po puszcze peklowanej wołowiny i bochenku chleba. Posiłki w tym więzieniu, zarówno jeśli chodzi o czas ich podawania, jak menu, były dość oryginalne.

Pomyślałem, że skoro mam swój kawałek szkła, nie ma powodu, abym głodował, i zjadłem za jednym zamachem cały chleb i połowę wołowiny. Do pełni szczęścia brakowało mi tylko szklanki wody. Ale przecież nie można mieć wszystkiego. Z powrotem zagrzebałem się w sienniku, przez chwilę podrapałem się i zasnąłem.

Około dziesiątej wieczorem obudził mnie łomot i ciężkie kroki na korytarzu. Znałem już doskonale więzienne dźwięki, więc od razu zrozumiałem, że przybyła nowa partia więźniów. Otwierano i zamykano drzwi do sąsiednich cel, które rano właściciel oleistego głosu opróżnił z lokatorów. Potem otworzyły się też moje drzwi.

Do celi wszedł, a raczej został wepchnięty, młody człowiek. Drzwi natychmiast zamknęły się za nim. Przybysz oparł się o ścianę, głowa

opadła mu na pierś. Jego koszula przedstawiała znajomy widok – podarta tkanina cała w krwawych plamach. Poraniona głowa ze stłuczeniami i strupami krwi oraz obłęd w oczach też nie były już dla mnie nowością. Twarz nieznanego miała jednak w sobie coś dziwnego, jakąś anatomiczną anomalię, którą nie od razu pojąłem: jego żuchwa była zwichnięta, wybita ze stawu i wyglądała niewiarygodnie krzywo, jakby ktoś przymocował ją do twarzy odwrotnym końcem. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrobiło mi się niedobrze.

Wyczołgałem się z siennika i powiedziałem biedakowi, że może usiąść na łóżku. Nie odpowiedział. Wziąłem go za rękę, podprowadziłem do łóżka i pomogłem mu usiąść. Nadal patrzył prosto przed siebie, dotknął żuchwy i gwałtownie cofnął rękę, jakby się oparzył. Nie wiedząc, co robić, podałem mu trochę peklowanej wołowiny, która mi jeszcze została, ale tamten tylko odwrócił głowę. Najwidoczniej nie mógł ani mówić, ani jeść. Może nawet nie był w stanie myśleć – jedynie cierpieć, bać się i czekać na *coup de grâce*. Usiadłem naprzeciwko niego na podłodze i wziąłem go za rękę. Po chwili cofnął ją. Powoli zaczął grzebać pod paskiem u spodni i w końcu wyjął dwa niedopałki. Wziąłem je i zapaliłem jednego; był tak krótki, że musiałem odchylić głowę do tyłu i trzymać ją poziomo, żeby nie oparzyć sobie nosa i ust. Ludzki wrak uśmiechnął się lekko kącikami oczu i dał mi znak, bym zatrzymał drugi niedopałek, bo nie jest mu już potrzebny. Siedziałem naprzeciwko niego przez kilka minut, nie mając odwagi się odezwać. Wszelkie słowa pociechy wydawały mi się bluźnierstwem. Dopiero później, w Sewilli, poznałem prostą prawdę, że w takich sytuacjach nie treść słów jest ważna, lecz ton głosu i gotowość do niesienia pociechy. W sewilskim więzieniu udało nam się w ten sposób pocieszyć milicjanta, który bardziej od innych bał się rozstrzelania. Wiedział, że kłamiemy, a my wiedzieliśmy, że o tym wie; a jednak uspokoił się i pił nasze słowa jak narkotyk.

To milczące *tête-à-tête* trwało tylko kilka minut, potem mojego gościa wywołano z celi. Nawet nie odwrócił głowy, gdy na progu wiązali mu ręce. Poprowadzili go w lewo, w stronę bramy więziennej. Nie słyszałem, aby zatrzasnęły się za nim jakieś drzwi.

Niech spoczywa w pokoju.

Tej nocy oleisty głos rozległ się tylko raz. Nie liczyłem już nazwisk. Leżałem w swoim worku i drzemałem; byłem teraz przekonany, że nic, nawet to upiorne przeżycie, nie wytrąci mnie z równowagi – tak jak rano byłem pewien, że wieczorem umrę. Nie wyłaziłem ze swego „śpiwora” do popołudnia następnego dnia – piątku. A i wówczas tylko po to, aby zabrać jedzenie, które mi przyniesiono: chleb i puszkę z białą hiszpańską fasolą. Było to moje pierwsze – i mało przyjemne – zetknięcie z więzienną fasolą.

Jakiś czas potem jeden z więźniów zaczął domagać się wody. „*Agua, agua*” – krzyczał i uderzał pięściami w drzwi celi. Uznałem to za świetny pomysł. Po zjedzeniu fasoli czułem straszne pragnienie, a ciągła drzemka rozbudziła we mnie żądzę czynu. Zacząłem też walić w drzwi i krzyzczeć „*agua, agua*”. Zaraz przyłączył się trzeci więzień i wkrótce całe skrzydło łomotało w drzwi, krzyząc „*agua, agua*”.

Przyszli strażnicy i z korytarza zaczęli nam wymyślać. Na kilka sekund zapadła cisza, ale potem znów zacząłem walić w drzwi i krzyzczeć i całe skrzydło przyłączyło się do mnie. Byłem pewien, że przyjdą i mnie pobiją, ale nie bałem się; przeciwnie, chciałem, aby wreszcie coś się zdarzyło. Nie awanturowałem się dlatego, że byłem wściekły, po prostu chciałem koniecznie coś zrobić. Czułem się wyspany, wypoczęty i byłem bardzo pobudzony. Walenie w drzwi uważałem za świetną zabawę.

Po kilku minutach nasze wysiłki zostały nagrodzone. Strażnicy przynieśli ogromną kadź z wodą i po kolei napoili nas. Miałem wybór: mogłem napić się albo z tłustej puszki po fasoli, albo prosto z chochli; wybrałem to drugie. Wypiłem trzy chochle i starałem się przy tym chłeptać i mlaskać tak jak wcześniej „miś”.

I ta noc jakoś minęła. Po burzliwej ostatniej dobie z jej ciągłymi emocjonalnymi wahaniem wróciłem do jakiejś takiej równowagi. Od mojego aresztowania upłynęły już cztery dni, więc miałem nadzieję, że wiadomość o nim dotarła już do Anglii i że rozpoczną się tam protesty. Czas działał na moją korzyść, a pięć procent szans to zawsze lepiej niż żadna szansa.

Bezsenna część nocy zeszła mi na tych względnie pocieszających rozmyślaniach.

Nie wiedziałem, że sąd doraźny w Maladze skazał mnie na śmierć, nawet mnie nie przesłuchawszy.

Nie wiedziałem też, że od upadku Malagi do owego dnia – soboty 13 lutego 1937 roku – rozstrzelano w tym mieście pięć tysięcy osób, w tym sześćset z mojego więzienia.

W sobotę około południa drzwi mojej celi znów się otworzyły.

W progu stali dwaj gwardziści z karabinami, na których osadzone były bagnety.

– *Venga* – powiedzieli. – Chodź.

Pod bramą więzienia stała wielka ciężarówka i małe sportowe auto. Ruszyliśmy w stronę samochodu. Jego wlot do chłodnicy zdobiły cztery mosiężne tabliczki: na pierwszej widniała swastyka między dwoma skrzydłami, na drugiej rzymskie różgi liktorskie, na trzeciej pięć czarnych strzał hiszpańskiej Falangi, a na czwartej herb Burbonów.

W najśmielszych snach nie marzyłem o jeździe takim pięknym, ozdobionym tyloma symbolami autem. Ale kiedy już wsiadaliśmy, podbiegł do nas oficer ze szpicrutą i oznajmił, że rekwiruje samochód, a my możemy jechać ciężarówką. Gwardziści mieli złe miny, ale nie śmieli protestować. Wgramoliliśmy się więc na ciężarówkę, w której tłoczyło się już czterdziestu więźniów z ich konwojentami.

W pobliżu dworca ciężarówka zatrzymała się; ja i moi gwardziści wysiedliśmy. Najpierw zeskoczył jeden i pomógł mi zejść, bo miałem skute ręce, a drugi zeskoczył po mnie. Ciężarówka pojechała dalej. Więźniowie patrzyli za nami i w ich oczach, a nawet w oczach ich konwojentów, widziałem zazdrość i pogardę. Byliśmy obcy, nie należeliśmy już do wspólnoty biedaków złączonych smutnym losem. Wszyscy trzej patrzyliśmy za ciężarówką znikającą w tumanie kurzu. Jeden z gwardzistów odwrócił się do mnie i aby wybić mi z głowy ewentualne myśli o ucieczce, zrobił ruch, jakby strzelał do mnie z karabinu. Potem skręcił trzy papierosy, po jednym dla każdego, i weszliśmy do hali dworcowej.

Gwardzista ten był wysokim i niezgrabnym mężczyzną o końskiej twarzy. Miał żółte, końskie zęby, płaski nos i dobroduszno-głupawe oczy dorożkarskiego konia. Nazywał się Pedro.

Jego kolega był niski i barczysty, miał ogorzałą, żywą chłopską

twarz. Nosił imię Luis.

Kiedy staliśmy w poczekalni, zapytałem don Pedra, dokąd mnie wiozą.

– Do Sewilli – odpowiedział i pokazał mi napisany na maszynie rozkaz. Przeczytałem, że „osobnik A. K. ma być pod ścisłą eskortą dostarczony do Sewilli i oddany do specjalnej dyspozycji dowódcy Armii „Południe” Wojsk Narodowych, generała Queipo de Llano”.

Miałem wcześniej nadzieję, że trafię do Burgos albo do Salamanki. Ze wszystkich miast kuli ziemskiej Sewilla miała dla mnie najmniej przyjemną nazwę. A ze wszystkich możliwych tego świata najbardziej obawiałem się generała Gonzalo Queipo de Llano.

Nie minęło jeszcze pół roku, odkąd z nim rozmawiałem. Wywiad, którego mi udzielił, i krótka, lecz nieprzychylna charakterystyka generała, którą napisałem, zdążyły się już ukazać nie tylko w prasie, ale także w mojej książce wydanej we Francji. Queipo znał francuski i książka ta zapewne leżała na jego biurku obok moich akt.

Wyobrażałem sobie jego minę, kiedy czytał rozdział *Portret rebelianckiego generała*. Był to jego własny portret. A teraz oddano mnie do jego „specjalnej dyspozycji”. Czułem się jak podróżnik, który w dżungli niechcący nastąpił tygrysowi na ogon.

Wsiedliśmy do pociągu. Był to staroświecki pociąg ze śmieszną, małą lokomotywą i komicznymi wagonikami, które wyglądały jak drewniane pudełka na kółkach. Przecisnęliśmy się do przedziału trzeciej klasy, który zajmowała już chłopska rodzina: ojciec, matka, babka, dorastająca dziewczynka i niemowlę. Rodzina zrobiła nam miejsce, przez szacunek dla władzy oddając gwardzistom miejsca przy oknie. Usiadłem obok don Pedra; obok mnie siedziała matka z niemowlęciem, naprzeciwko babka, a obok niej w rogu przedziału dorastająca córka. Była bardzo ładna i ukradkiem zerkała na mój przybrudzony, ale wciąż zdradzający zagraniczne pochodzenie garnitur. Trzymałem dłonie w rękawach jak zakonnik, aby nie widać było kajdanek. Pociąg ruszył.

Babka tymczasem wdała się w rozmowę z moimi konwojentami. Najpierw mówili o pogodzie, potem o zbiorach pomarańczy, a później o wojnie. Dowiedziałem się, że po moim aresztowaniu Motril padł i że upadek Almerii jest kwestią godzin. Zarówno chłopci, jak konwojenci

unikali opowiadania się po którejs z stron; armię Franco nazywali nie *los nuestros*, „nasi”, ale *los nacionales*. Konwojenci mówili o drugiej stronie *los rojos* („czerwoni”), ale babka używała nazwy *los valencianos*. Rodzina pochodziła spod Antequery, miasta, do którego Pizarro wyprawiał się po papierosy i ziarno siewne. W pierwszych dniach po wybuchu rebelii uciekli do Malagi i schronili się u krewnych; nie mogli wrócić do swojej wsi, bo ta znalazła się po drugiej stronie frontu. Potem *los nacionales* zajęli Malagę, więc chłopci wracali do domu.

Don Luis spytał, co się działo w Maladze za rządów czerwonych.

Zapytany mężczyzna wzruszył ramionami i odpowiedział, że nigdy nie interesował się polityką.

W Sewilli byliśmy późną nocą. Do komendantury dworcowej weszliśmy gęsiego: don Pedro, ja i don Luis. Tam rozpoczęła się dyskusja, co ze mną zrobić o tak późnej porze – było już kwadrans po północy. Służbowego samochodu nie było, a tramwaje już nie kursowały. Don Luis zaproponował, żeby zawieźć mnie na tę jedną noc do koszar falangistów. Tego właśnie się obawiałem. Zapytałem don Pedra, czy nie mogą po prostu odstawić mnie do więzienia. Wyszczерzył zęby i rzekł:

– Nie lubisz Falangi, co?

– Nie – potwierdziłem.

Obaj uśmiechnęli się i przez jakiś czas naradzali się szeptem. Potem don Pedro powiedział, że zadzwonią do sztabu generalnego, bo to jest przecież urząd, któremu podlega moja sprawa. Poprosili jakiegoś urzędnika o książkę telefoniczną. Ten jednak odpowiedział, że wszystkie ważne numery są napisane na ścianie kabiny telefonicznej. Poszliśmy więc do kabiny.

Jej ściany upstrzone były różnymi numerami. Przeczytałem:

Dowództwo włoskie, numer taki a taki

Koszary piechoty włoskiej, numer taki a taki

Koszary piechoty włoskiej nr 2, numer taki a taki

Włoski punkt zaopatrzenia, numer taki a taki.

Ruch turystyczny w Sewilli wyraźnie się zwiększył od czasu mojej ostatniej bytności w tym mieście.

Wspólnymi siłami znaleźliśmy w końcu numer telefonu sztabu

generalnego Armii „Południe”.

Don Luis zadzwonił i pół godziny później przyjechał po nas samochód.

Jechaliśmy ulicami Sewilli – obok hotelu Madrid, w którym kiedyś mieszkałem, hotelu Cristina, w którym spotkałem Strindberga i niemieckich pilotów, obok koszar falangistów, gdzie widziałem zakrwawionych jeńców z kopalni Río Tinto – do znanej mi siedziby „radiowego generała”. Była to upiorna podróż, gorsza jeszcze niż jazda do więzienia w Maladze, kiedy myślałem, że jadę na rozstrzelanie. Don Pedro i don Luis milczeli, a ja pragnąłem tylko, żeby mnie nie opuścili.

Z powodu późnej pory korytarze w siedzibie sztabu były wyludnione. Tylko w kilku pokojach jeszcze pracowano. Byliśmy odsyłani od jednego pokoju do drugiego, nikt nie wiedział, co z nami zrobić. W końcu trafiliśmy do wydziału szyfrów. Sympatyczny urzędnik pozwolił nam przespać się na podłodze. Don Luis zdejmował już buty, kiedy zjawił się jakiś oficer i kazał nam się wynosić. Powiedział, że nie podlegam wydziałowi szyfrów, ale policji. Powlekliśmy się więc na policję.

Trafiliśmy do jakiegoś cuchnącego biura, w którym opryskliwy facet spisał protokół i pobrał ode mnie odciski palców. Potem zawołał dwóch policjantów. Stanęli na baczność przed swoim zwierzchnikiem – wyglądali jak dwa goryle. Zasalutowali, a jeden spytał służbiście:

– *Una flagelación?*

Słowem *flagelación* określa się pierwsze bicie aresztowanego na hiszpańskich posterunkach policji. Jest to nielegalna, ale przyjęta praktyka w większości krajów europejskich. We Francji nazywa się ją *passer à tabac*, w Niemczech *die erste Abreibung*.

Don Luis pochylił się do ucha szefa i powiedział szeptem kilka słów. Udało mi się tylko wyłowić: „*Inglés – periodista*” (Angielski dziennikarz). *Flagelación* została odwołana.

Rozczarowani goryle wprowadzili mnie do swego rodzaju klatki z żelaznych prętów. Don Pedro i don Luis przechodzili obok tej klatki kilka minut później, gdy już sprawdzono i podstemplowano ich dokumenty. Podziękowałem im, że podczas podróży tak porządnie się wobec mnie zachowywali. Bardzo się zmieszali i uścisnęli mi dłoń przez

kraty. Goryle zrobili wielkie oczy, a moi dwaj nowi przyjaciele odeszli.

Nie byli wyjątkami, ale dwoma z dwudziestu pięciu milionów w większości przyzwoitych Hiszpanów. Gdyby przed naszą podróżą wydano im rozkaz rozstrzelania mnie albo zatłuczenia na śmierć, zrobiliby to bez wahania. Gdyby więziono ich razem ze mną, podzieliliby się ostatnim papierosem. A gdybym podróżował z dwoma gorylami, najpewniej rozstalibyśmy się w takiej samej przyjaźni.

Popatrzyłem na goryli, goryle popatrzyli na mnie. Zastanawiałem się, jak by mnie urządzili, gdyby doszło do *flagelación*. Ale ponieważ została odwołana, poczęstowali mnie papierosem, uśmiechając się całkiem grzecznie. Odwzajemniłem uśmiech i pomyślałem: jakie to śmieszne, że przywiązujemy taką wagę do charakteru człowieka; jak w gruncie rzeczy niewiele zależy od tego, kim jest jakiś człowiek, a jak dużo od funkcji, którą pełni w społeczeństwie; i jak niewielką to społeczeństwo daje mu swobodę, aby mógł rozwinąć swoje wrodzone skłonności.

Między drugą a trzecią rano przyjechał samochód i zawiózł mnie w eskorcie dwóch goryli przez śpiące miasto, przez most na Gwadalkiwirze, pustymi ulicami do więzienia prowincjonalnego w Sewilli.

Widok budynku więziennego mającego w ciemności podziałał na mnie uspokajająco. Wiedziałem już, że więźniowie są bici i maltretowani tylko na posterunkach policyjnych, w kwaterach falangistów i koszarach, nie w więzieniach. Z więzienia prowadziły dwie drogi: na wolność albo przed pluton egzekucyjny. Dopóki człowiek był w więzieniu, nic mu nie groziło.

Z tkliwą wdzięcznością przyglądałem się masywnemu budynkowi. Choroba każdej cywilizacji przejawia się rozmaicie: na przykład tym, że więzienia nie służą już do ochrony społeczeństwa przed więźniem, ale więźnia przed społeczeństwem.

Więzienie sewilskie zbudowano w pierwszych latach po upadku monarchii, w 1931 lub 1932 roku. Młoda i ambitna republika chciała dorównać cywilizowanemu Zachodowi pod każdym względem, a nawet go prześcignąć. Do jej największych osiągnięć należały reformy w dziedzinie penologii, która dotychczas znajdowała się w Hiszpanii

na średniowiecznym poziomie. Tak zwane wzorowe więzienia zbudowane w Madrycie, Barcelonie i Sewilli to rzeczywiście najnowocześniejsze i najlepsze więzienia w Europie.

Przeszliśmy przez piękny ogród przed główną bramą, zadzwoniliśmy – tu również był nocny dzwonek – i zostaliśmy wpuszczeni do środka.

Z holu wejściowego odchodziły trzy długie korytarze: jeden prowadził prosto, pozostałe w prawo i w lewo. Korytarze miały dwa piętra, a w każdym po obu stronach ciągnął się jednostajny rząd drzwi do cel. Cele na górnym piętrze wychodziły na wąską stalową galerię, na którą prowadziły stalowe schody. Wszystkie drzwi miały numer i kartkę z nazwiskiem oraz wizjer. Wszędzie królowała stal i beton; wszystko było fantastycznie znormalizowane, symetryczne, techniczne. Patrząc na te stalowe konstrukcje, można było odnieść wrażenie, że jest się w maszynowni okrętu wojennego.

Na środku holu, naprzeciwko wejścia, stało coś w rodzaju szklanej kabiny; była to kancelaria. Trzeci już raz przeszedłem rutynową procedurę: spisywanie protokołu, rewizja osobista, pobieranie odcisków palców. Funkcjonariusze zachowywali się tak, że wydawało mi się, jakbym był w urzędzie podatkowym wśród uprzejmych i trochę znudzonych urzędników.

Goryle pożegnali się. Młody, sympatycznie wyglądający i milczący strażnik przejął nade mną pieczę i poprowadził mnie środkowym korytarzem. Na pierwszej celi po prawej stronie – nr 44 – widniało nazwisko „Caballero”.

Largo Caballero był wówczas premierem rządu republiki hiszpańskiej z siedzibą w Walencji. Wiedziałem, że jego syn, którego rebelia zaskoczyła w Sewilli, jest zakładnikiem w rękach rebeliantów. Kilka dni przed moim wyjazdem z Paryża gazety doniosły, że został rozstrzelany. A więc wiadomość była fałszywa: wszak na własne oczy zobaczyłem kartkę z jego nazwiskiem. Bardzo się ucieszyłem i poczułem się jak Henry Stanley, który odnalazł w głębi Afryki doktora Livingstone’a.

Minęliśmy cele nr 43 i 42; były na nich hiszpańskie nazwiska. Przy celi nr 41 zatrzymaliśmy się i strażnik otworzył drzwi. A więc to było

moje nowe mieszkanie.

Cela miała przyjemne proporcje kwadratu. Najpierw rzuciło mi się w oczy wielkie okno naprzeciwko drzwi. Umieszczono je w łukowato sklepionym zagłębieniu w murze; zaczynało się na wysokości głowy człowieka, dzięki czemu opierając łokcie na pochyłym parapecie, można było całkiem wygodnie wyglądać na zewnątrz. Okno wychodziło na patio, bardzo rozległy i zakurzony dziedziniec więzienny.

Przegrodzone było solidną żelazną kratą, za którą znajdowała się gęsta siatka druciana przypominająca stalową moskitierę.

Pod prawą ścianą stała żelazna prycza, którą można było złożyć, aby mieć więcej miejsca do spacerowania po celi. Naprzeciwko niej był stalowy stół z krzesłem, również składany. W nogach pryczy umywalka z bieżącą wodą, a w drugim rogu klozet.

Strażnik sprawdził siennik, do którego przyszyta była płócienna etykietka ze stemplem z datą, najwidoczniej informująca, kiedy ostatni raz zmieniano słomę i czyszczono siennik. Przyniósł gruby wełniany koc i powiedział, że nazajutrz przyjdzie zmienić koc i siennik. Potem życzył mi dobrej nocy i ostrożnie zamknął drzwi od zewnątrz.

Po Maladze wydało mi się, że jestem w luksusowym hotelu.

Podszedłem do okna i wyjrzałem. Niebo było rozgwieżdżone, a dziedziniec więzienny cichy i spokojny. Naprzeciwko, pod murem na przeciwległym krańcu dziedzińca, chodził w tę i z powrotem strażnik z bagnetem na karabinie i palił papierosa. Przy odrobinie fantazji można było sobie wyobrazić, że jest tam nie po to, aby nas pilnować, ale aby nas chronić.

Było wpół do trzeciej. Wyciągnąłem się na sienniku, przez chwilę napawałem się cudownym luksusem, jakim był koc, i zadowolony zasnąłem.

Obudził mnie dźwięk trąbki sygnałowej. Była za kwadrans siódma. Przypuszczałem, że to pobudka, ale udałem, że jestem głuchy, i spałem dalej. Kiedy się znów obudziłem, była już dziewiąta. W zamku zazgrzytał klucz. Pierwszy raz od czasu aresztowania na dźwięk otwierania drzwi celi nie zadrzałem ze strachu. Strażnik, który w nocy przyprowadził mnie do celi, rozejrzał się dokoła i zaczął mi wymyślać, że nie wstałem na pobudkę i nie umyłem podłogi.

Wrzeszczał tak, że mury się trzęsły, ale nie przestraszyłem się. Kłął jak kapral klnie rekruta i mimowolnie odpowiedziałem jak rekrut, który dopiero co przybył do koszar i nie zna jeszcze panujących zwyczajów. Strażnik szybko się uspokoił i wyjaśnił, że muszę najpierw zamieść podłogę miotłą, a potem umyć ją na mokro ścierką.

Wziąłem więc miotłę i zacząłem zamiatać, instynktownie udając przy tym niezdarne gościa. Strażnik szybko stracił cierpliwość i powiedział, że zawoła kalifaktora, który mi pokaże, jak się zamiata. Otworzył drzwi i krzyknął na cały korytarz:

– Ángel, Angelito!

„Aniołek” przyszedł, szurając butami, i z małpią zręcznością zaczął zamiatać podłogę. Miał twarz starej kobiety, cerę jak pognieciony pergamin i figurę dwunastoletniego dziecka. Nie patrzył na mnie ani na strażnika, ale kiedy na czworakach uwijał się po celi, oczy biegały mu na wszystkie strony, nerwowo jak u ryjówki. W niecałe dwie minuty posadzka została zamieciona, zlane wodą i jakoby gruntownie wyszorowana. Był to iście popisowy występ. Kiedy strażnik z „aniołkiem” poszli sobie i kamienne płyty zaczęły wysychać, zobaczyłem, że są tak samo brudne jak przedtem.

Wkrótce potem przywieziono śniadanie: metalową miskę pełną całkiem znośnej kawy, zaczerpniętej z wielkiego kotła, i białą bułkę.

Po śniadaniu stanąłem przy oknie i do południa obserwowałem ruch na dziedzińcu. Powoli zacząłem rozpoznawać osoby w anonimowym tłumie. Starszy mężczyzna pierwszy przykuł moją uwagę; musiał mieć ponad siedemdziesiąt lat, lekko się garbił i miał na sobie wełnianą jesionkę. Od razu mi się spodobał. Było też kilku chłopców, trzynasto-, może czternastoletnich. Pomyślałem, że to pewnie dzieci czerwonych, wzięte jako zakładnicy. Tam i z powrotem spacerowało z bardzo ważnymi minami trzech albo czterech mężczyzn w doskonale odprasowanych spodniach i wyglansowanych do połysku butach. Nazwałem ich „elegantami” i zastanawiałem się, z jakiego powodu się tu znaleźli.

Zastanawiałem się też, czy wszyscy ci ludzie są więźniami politycznymi czy kryminalnymi. Sądząc po twarzach, byli chyba politycznymi, zauważyłem jednak, że niektórzy mają na koszulach

naszywki w barwach Burbonów i że pozostali więźniowie bynajmniej od nich nie stronią. Nie tak wyobrażałem sobie stosunki między więźniami politycznymi.

Wszyscy palili papierosy, a tytoń i bibułki krążyły bez przeszkód z rąk do rąk. Ponieważ podczas podróży mogłem palić, ponowną abstynencję znosiłem wyjątkowo ciężko. Palcem wskazującym zrobiłem dziurkę w drucianej siatce, tak aby dało się przez nią precyzyjnie przycisnąć papierosa. Wiedziałem, że z dziedzińca wewnątrz mojej celi musi wydawać się ciemno, przycisnąłem więc twarz do żelaznych prętów i zacząłem na migi pokazywać ludziom na dziedzińcu, że chciałbym dostać coś do palenia.

Zrazu wydawało mi się, że tylko przypadkiem nikt nie patrzy w moją stronę. Zacząłem wołać, ale na dziedzińcu panował taki zgiełk, że nikt mnie nie słyszał. Nie mogłem przecież głośno krzyczeć. Ale ci, którzy stali najbliżej, musieli mnie usłyszeć. Nikt jednak nie zareagował.

Poczułem się bardzo nieswojo. Zauważyłem teraz, że niektórzy więźniowie, przechodząc obok mego okna, na pewno widzieli moje znaki i słyszeli moje wołania, ale odwracali głowę. Znowu uderzyło mnie to, że nikt nie podchodził bliżej niż na dziesięć kroków do muru, w którym znajdowało się okno mojej celi.

W końcu jeden z chłopców w płóciennych kurtkach zaczął pokazywać pozostałym moje okno. Robił to jednak bardzo dyskretnie. Trzech, czterech jego towarzyszy zerknęło ukradkiem w moją stronę. Zacząłem gestykulować jeszcze gwałtowniej, prosząc na migi, aby poczęstowali mnie papierosem. Wydawali się zakłopotani, nie wiedzieli, co robić, z obawą rozglądali się, choć strażnik był w drugim końcu dziedzińca. Potem jeden szybko położył palec na ustach i wzruszył ramionami, po czym cała grupa pospiesznie oddaliła się.

Dopiero teraz zauważyłem, że równoległe do mojego muru biegnie wyblakła, słabo widoczna biała linia, przypominająca linie na zaniedbanym korcie tenisowym. Zaczynała się na końcu mojego rzędu cel, przed celą nr 44, w której siedział Caballero, i kończyła się kilka cel dalej po lewej, przed celą nr 36. Dalej, poczynając od celi nr 35, więźniowie swobodnie podchodzili do okien i rozmawiali z mieszkańcami cel. Ale od nr 36 do 44 ciągnął się między murem

a białą linią dziesięciometrowy pas ziemi niczyjej. Cele znajdujące się naprzeciwko tej linii, w tym i moja, były najwyraźniej tabu.

Nagle zrozumiałem, że ludzie z dziedzińca bali się. Bali się, że są obserwowani. Widocznie wiedzieli, że każdy ich krok jest śledzony. Widzieli to, czego ja nie mogłem widzieć: że z górnych okien baczne oczy obserwują dziedziniec. Za ich demonstracyjną wesołością musiało się kryć coś szczególnego i niesamowitego.

Nie rozumiałem, o co chodzi. Czy to jakiś sabat czarownic w biały dzień? Czy ci wszyscy ludzie, grający na słońcu w piłkę, skaczący żabką albo spacerujący, czekają tylko na to, aż zapieje drugi kur albo oleisty głos wywoła ich nazwisko?

Dlaczego umieszczono mnie w celi tabu? Dlaczego nie mogłem wychodzić z innymi na dziedziniec i dlaczego ci z dziedzińca tak bali się patrzeć w moją stronę? Czy był to naprawdę strach, czy też wstyd, z jakim zdrowy odwraca wzrok od ciężko chorego, który nosi na czole pieczęć śmierci?

Wreszcie musiałem pogodzić się z tym, czego od początku niejasno się domyślałem: siedziałem w celi śmierci.

Przywieziono obiad: zupę fasolową gotowaną na oleju i bochenek białego chleba. Zupę podano mi w tej samej misce, z której rano piłem kawę. Obiad przywiózł znów Angelito, ale tym razem towarzyszył mu strażnik. Miał czerwoną twarz, okrągłą jak księżyc w pełni, i mówił trochę po francusku. Cieszył się, że może porozmawiać w tym języku z cudzoziemcem, i cierpliwie wysłuchał moich prośb. Chciałem się ogolić, dostać kawałek mydła, grzebień, ręcznik, ołówek i papier, aby napisać do brytyjskiego konsula, książkę do czytania z biblioteki więziennej i jakieś gazety; chciałem wyjść na dziedziniec jak inni więźniowie i otrzymać z powrotem pieniądze, które mi skonfiskowano, żeby kupić papierosy i zmianę bielizny. Wysłuchał tego wszystkiego uważnie, kiwając głową po każdym zdaniu, jakby chciał powiedzieć, że uważa moje żądania za słuszne i uzasadnione.

Poradziłem mu, żeby je sobie zapisał, aby niczego nie zapomniał.

Odparł, że nigdy niczego nie zapomina, bo ma bardzo dobrą pamięć, i na potwierdzenie poklepał się w czoło. Potem powiedział jeszcze, że zaraz wróci, i zniknął. Czekałem na niego i rzeczywiście

wrócił – dokładnie dwa tygodnie później, kiedy znów miał służbę na moim korytarzu. Był tak samo życzliwy i równie cierpliwie jak za pierwszym razem wysłuchał moich prośb, które powtarzałem trzy razy dziennie jego kolegom – tak samo bezskutecznie.

Obiad przywieziono na krótko przed pierwszą po południu; o pierwszej więźniów przyprowadzono ze spaceru. Sjesta trwa w Hiszpanii od pierwszej do trzeciej po południu – w biurach, fabrykach, na froncie i w więzieniu.

Przez kwadrans wielkie patio było puste i wymarłe. Potem brama naprzeciwko mojej celi otworzyła się i na dziedziniec weszło dwóch więźniów.

Obaj byli bardzo schludnie i elegancko ubrani. Natychmiast zaczęli spacerować szybkim krokiem tam i z powrotem. Jeden miał nieco dystygowany chód i jakąś zuchwałość w całej postaci. Nazwałem go „lord Byron”. Jego towarzysz zachowywał się spokojniej, był bardziej zamknięty w sobie; policzki miał zapadnięte i wyglądał na suchotnika.

Chodzili od muru do muru przez dwie godziny bez przerwy, aż do trzeciej. Potem strażnik odprowadził ich z powrotem do cel. Dziesięć minut później na dziedziniec wypuszczono więźniów, których widziałem rano.

Popołudnie upłynęło mi na wyglądaniu przez okno, ale nie starałem się już dawać znaków ani nawiązywać kontaktu z ludźmi z dziedzińca. Nie martwiłem się, że nikt nie patrzy w kierunku mojego okna, wystarczyło mi, że uczestniczę w życiu toczącym się na zewnątrz jako milczący i niewidoczny widz.

Tuż przed siódmą wieczorem przywieziono kolację: zupę z soczewicy i bochenek chleba.

Więźniowie zjedli na dworze.

Tuż przed ósmą wprowadzono ich z powrotem do budynku. Wkrótce potem pusty dziedziniec utonął w ciemnościach.

O dziewiątej rozległa się trąbka, a o dziesiątej zagrano hiszpański capstrzyk, bardzo ckliwą i melancholijną melodię.

W celi nade mną ktoś zdjął buty, które upadły z łoskotem na kamienną posadzkę.

Potem wszystko ucichło i głucha cisza więzienna wypełniła jak

wata wszystkie zakamarki.

Ale elektryczne światło w mojej celi paliło się przez całą noc.

Nazajutrz był wtorek, 16 lutego. Zacząłem wydrapywać kreski na ścianie, aby nie stracić rachuby czasu. Poranna pobudka uświadomiła mi przede wszystkim, że minął tydzień od mojego aresztowania.

Pomyślałem sobie, że w więzieniu czas liczy się zupełnie tak samo, jak u dzieci: najpierw świętuje się tygodnie, potem miesiące i w końcu lata.

Kontynuowałem swoją naukę. Dziś przyszła kolej na dzieje biblijne i literaturę francuską – wczoraj w programie była matematyka, poezja i wojna trojańska. Ale przedmioty te nie pociągały mnie. Z przerażeniem stwierdziłem, że moja wiedza składa się z samych luk i że mole zjadły ją jak starą akademicką togę. Nie mogłem skupić myśli ani pogрузić się w snach na jawie. Więźniowie grający w piłkę na dziedzińcu nie znali przepisów o spalonym, irytowali mnie i nudzili. Zabijałem czas zabijaniem much. W trakcie tego zajęcia przypomniało mi się przykazanie „Nie zabijaj”; było to jak lekki atak manii religijnej. Każda próba metodycznego myślenia sprawiała mi fizyczny ból, miałem wrażenie, że wszystkie ośrodki skojarzeniowe w moim mózgu są w stanie zapalnym.

Barometr spadał i spadał.

Po południu ósmego dnia poczułem, że niżej nie mogę już opaść. Pomyślałem, że za chwilę oszaleję. Potem przypomniałem sobie, że Dante siedział w mrocznym lochu przykuty do ławki przez cztery lata, nie mogąc ani chodzić, ani się położyć. Przez cztery lata, czyli prawie tysiąc pięćset dni. I nie oszalał.

Staralem się przez cały czas o tym pamiętać – a także o losie rzymskich niewolników i galerników. I czerpać pociechę z tego, że oni mieli gorzej ode mnie. Ale była to bardzo marna pociecha. Mówić człowiekowi z amputowaną stopą, że są tacy, którzy mają amputowane dwie, to nie pocieszać go, ale drwić sobie z niego. Gdy nieszczęście przekracza pewną granicę, wszelkie ilościowe porównania tracą sens.

Poza tym, dumałem, zwykły „dożywotnik” ma jedną przewagę: wie przynajmniej, że nie zostanie stracony i przystosowuje się do tego. Dożycie to w końcu dożycie, człowiek nie musi już bać się śmierci. Do wszystkiego można się przyzwyczaić – głosi stare

powiedzenie. Najgorsza jest niepewność – mówi inne.

Zresztą nie miałem już czego zazdrościć „dożywotnikom”. Trzy dni później otrzymałem pierwsze oficjalne zawiadomienie. Zostałem skazany na śmierć, ale wyrok mógł zostać zamieniony na dożywocie.

Kiedy byłem pogrążony w najczarniejszej melancholii, o wpół do piątej w mojej celi zjawił się mesjasz – fryzjer.

Podczas pierwszych dni w więzieniu wciąż zdumiewały mnie własne reakcje psychiczne. Niezwykła sytuacja, w której się znalazłem, powodowała niezwykle reakcje. Mój umysł działał według nowych, nieznanymi mi prawideł. Czułem się jak kierowca, który sądzi, że zna swój samochód na wylot, i nagle stwierdza, że po naciśnięciu pedału gazu auto skręca, a po naciśnięciu hamulca – robi w powietrzu pętlę. Pojawienie się fryzjera wywołało w mojej psychice takie trzęsienie ziemi, że musiałem dosłownie przytrzymać się kranu, żeby nie upaść. Poczułem, *horribile dictu*, że oczy zachodzą mi łzami. Dlatego fryzjera ujrzałem przez pryzmaty łez – otoczonego świetlistą aureolą we wszystkich kolorach tęczy. Był zbawcą, który miał mnie ocalić przed złem. Przyszedł i wszystko znów było dobrze, granitowe głązy mego strachu i niedoli uniosły się w powietrze, jakby były wypełnione gazem.

Fizyka obłędu ma własne prawa; jeden kamyk może nie tylko uruchomić lawinę, ale także ją zatrzymać. Lawina mojej rozpaczliwej zamieniła się w białe płatki miękkiej piany, którą fryzjer nałożył na moje policzki. Dzwonią dzwoneczki, dzwonią, zostanę ogolony, wróciłem na ziemię.

Sympatyczny don Antonio, który poprzedniego dnia miał służbę na patio, stał obok, nadzorując ceremonię golenia.

Don Antonio był pierwszym strażnikiem, który wdał się ze mną w rozmowę. Do tej pory strażnicy przywożący jedzenie odzywali się do mnie tylko monosylabami, bo byłem *incommunicado* i nikomu nie wolno było ze mną rozmawiać. Moja cela przypominała grobowiec z potrójnym murem: milczenia, samotności i strachu.

Ach, to bezgraniczne dobrodziejstwo zwykłej ludzkiej życzliwości! Fryzjer mydlił, don Antonio siedział na pryczy, paląc papierosa, i potrójny mur runął jak mury Jerycha. Fryzjer zapytał, czy brzytwa nie jest za tępa. Odparłem, że brzytwa jest znakomita. Don Antonio z kolei

spytał, czy nie chciałbym zapalić. Odrzekłem, że bardzo chętnie bym zapalił. Fryzjer golił. Don Antonio skręcił mi papierosa i podał ogień. Och, Zuzanno, och, Zuzanno, życie jest jednak piękne!

Każdy palacz wie, że pierwszy papieros po paru dniach niepalenia powoduje lekki zawrót głowy. Paliłem niemal bez przestanku, zaciągając się głęboko, łapczywie, i ściany celi zaczęły się z lekka kiwać.

Po kilku minutach, gdy fryzjer zaczął mnie strzyć, odzyskałem władzę nad sobą i mogłem prowadzić sensowną rozmowę z don Antoniem. Dowiedziałem się od niego, że wszyscy więźniowie z wielkiego patio to polityczni: po części jeńcy wojenni, po części republikanie, socjaliści, komuniści i anarchiści z Sewilli i okolicznych wiosek.

Poza tym trzymano tu też wielu falangistów i żołnierzy Legii Cudzoziemskiej z armii Franco, uwięzionych za dezercję albo złamanie regulaminu. Było nawet dwóch Maurów. Poprzedniego wieczoru słyszałem, jak jeden z nich śpiewał gardłowym głosem melancholijne arabskie pieśni.

Don Antonio nie chciał mi powiedzieć, jakie wyroki mają więźniowie, ani jak wyglądały ich procesy; ale znacząco wzruszał ramionami i odniosłem wrażenie, że większość więźniów, zwłaszcza chłopów, których podejrzewano o wrogie nastawienie, zostało osadzonych bez procesu.

Przed tygodniem przywieziono kilku więźniów z Malagi, ale już ich nie było. Ze zrozumiałym zainteresowaniem zapytałem, co się z nimi stało.

– *Se marcharon*, poszli – odpowiedział don Antonio, znów wzruszając ramionami. Nie chciał powiedzieć nic więcej.

Spytałem, czy w więzieniu są jacyś kryminaliści.

– Jest trochę – odparł don Antonio. – Przechadzają się na „pięknym patio”.

„Piękne patio” znajdowało się w innym skrzydle; było mniejsze, ale za to rosły tam kwiaty i drzewa, stały ławki. Dawniej – przez „dawniej” don Antonio zawsze miał na myśli czasy republiki – piękne patio należało do więźniów politycznych, a wielkie, czyli zwykłe, do kryminalistów. Teraz było odwrotnie.

Wyjaśniła się też zagadka narodowych kokard, które nosili więźniowie polityczni. Kokardy naszywano na koszule tym więźniom, którzy sprawowali jakąś funkcję – jak Angelito, kalifaktor, jak bibliotekarz itd. Zapytałem, co to za ptaszek z tego Angelita. Don Antonio odparł, że to zwykły przestępca, który rzemieniem ciężko pobił teściową; na jego szczęście kobieta nie umarła, została tylko jednostronnie sparaliżowana.

Na koniec zapytałem don Antonia, co jego zdaniem mnie czeka. Ale była to trzecia sprawa, o której nie chciał mówić.

Gdy się rozstawaliśmy, przedstawiłem mu swoje nieśmiertelne prośby: od pieniędzy do ołówka, od konsula do mydła. Obiecał, jak obiecali poprzednio wszyscy strażnicy, że szybko wszystko załatwi. Rezultat był dokładnie taki sam jak poprzednio. To połączenie u Hiszpanów najlepszych chęci z zupełną beztroską za każdym razem robiło na mnie wrażenie jakiegoś zjawiska naturalnego. „*Mañana, mañana*” (jutro, jutro) albo „*ahora, ahora*” (zaraz, zaraz) – mówili z czarującym uśmiechem. Oba te wyrażenia używane są zamiennie i oznaczają, w zależności od kontekstu: „kiedyś; może; bądźmy dobrej myśli; Allah jest wielki; nie trzeba rozpaczać”.

Żegnając się, don Antonio dał mi dziesięć papierosów, a fryzjer połówkę starego tłustego grzebienia i kawałek mydła. Były to dla mnie cudowne prezenty. Moja stopa życiowa zaczęła się wyraźnie podnosić.

Piątek, 19 lutego, rozpoczął się, jak wszystkie inne dni, od nowej kreski w ściennym kalendarzu. Odkryłem, że od mojego przybycia do Sewilli minął tydzień. Jeszcze trzy dni, a będę mógł obchodzić jubileusz dwóch tygodni od chwili aresztowania. Kreski na ścianie wykazywały niebezpieczną tendencję do mnożenia się przez podział jak mikroby na kupie gnoju. Ale wciąż nie stanąłem przed sądem ani nie poinformowano mnie oficjalnie, dlaczego zostałem aresztowany. Bolín, który mnie aresztował, podobno wrócił już do Salamanki, a Queipo de Llano, którego ojcowskiej opiece mnie powierzył, nie wydawał się mną interesować.

Snułem różne przypuszczenia na temat tego, co się dzieje za kulisami. Najbardziej prawdopodobna wydawała mi się hipoteza, że Queipo zażądał moich akt i że jakiś urząd zajęty jest tłumaczeniem

na hiszpański mojej książki i artykułów, między innymi wywiadu z Queipo, które miały stanowić najważniejszy dowód przeciwko mnie. Jeżeli tak było w istocie, nie miałem powodu cieszyć się z zyskanego w ten sposób czasu.

Z drugiej strony byłem przekonany, że organizowana jest już akcja w mojej obronie. Protestuje „News Chronicle”, protestują stowarzyszenia dziennikarskie i zrobił się spory szum. Ale czy Franco obchodziły jakieś protesty? Nic a nic. W ostatnich kilku latach stało się już tradycją, że kraje demokratyczne protestowały, a dyktatorzy robili swoje, i taki podział pracy zdawał się zadowalać obie strony.

Ale tego dnia o piątej po południu wrogie siły, w których rękach spoczywał mój los, przysłały do mnie pierwszą delegację. Jako oficjalnego wysłannika użyły, o dziwo, nie sędziego śledczego ani innego urzędnika tego rodzaju, ale uśmiechniętej młodej damy. Miała na sobie dopasowany mundur falangistowski, nazywała się Helena – jak piękność, o którą toczyła się wojna trojańska – i była korespondentką amerykańskiej prasy Hearsta.

Towarzyszyło jej dwóch nieskazitelnie eleganckich oficerów.

Była, jak powiedziałem, piąta po południu, gdy w zamku zazgrzytał klucz, drzwi się otworzyły i trójka przybyszów weszła do celi. Powitali mnie bardzo uprzejmie, a potem rozejrzeli się, nieco zagubieni, za czymś do siedzenia.

Nagle otwarcie drzwi celi poza porami posiłków jest zawsze wstrząsem dla więźnia. W pierwszej chwili widok trójki nieznamych tak mnie speszył, że zacząłem przeproszać młodą damę, iż nie mogę jej zaproponować nic wygodniejszego do siedzenia niż moja prycza. Ona jednak tylko się uśmiechnęła – jej uśmiech wydał mi się czarujący – i zapytała, czy nazywam się Koestler i czy mówię po angielsku. Na oba pytania odpowiedziałem twierdząco.

Potem spytała, czy jestem komunistą. Zaprzeczyłem.

– Ale jest pan czerwony, nieprawdaż?

Odparłem, że popieram republikanów, lecz nie należę do żadnej partii.

Dama zapytała, czy wiem, jakie spotkają mnie konsekwencje.

Odrzekłem, że nie.

– No cóż, to oznacza śmierć.

Mówiła z amerykańskim akcentem, przeciągając samogłoskę w słowie *death* tak, że brzmiało ono jak *dea-ea-h-th*; patrzyła, jakie zrobiło to na mnie wrażenie.

– Dlaczego? – zapytałem.

Dlatego, odparła, że wzięto mnie za szpiega.

Powiedziałem, że nie jestem szpiegiem i nigdy nie słyszałem o szpiegu, który podpisywałby swoim nazwiskiem książki i artykuły skierowane przeciwko jednej z walczących stron, a potem udał się na terytorium tej strony z własnym paszportem w kieszeni.

Dama rzekła na to, że władze wyjaśnią jeszcze tę sprawę, tymczasem jednak redakcja „News Chronicle” i pan Hearst w Nowym Jorku poprosili generała Franco, aby oszczędził mi życie; że jest korespondentką prasy Hearsta w Hiszpanii i że według generała Franco zostaną skazani na śmierć, ale być może zamieni mi on wyrok.

Zapytałem, co dokładnie rozumie przez zamianę wyroku.

– No, dożywotnie więzienie. Ale zawsze jest przecież nadzieja na amnestię – powiedziała ze swoim czarującym uśmiechem.

Przez głowę przeleciał mi istny cyklon myśli. Zawdzięczałem już życie plikowi nieprzyzwoitych zdjęć, a teraz w charakterze drugiego zbawcy występował Randolph Hearst – mój anioł stróż miał osobliwe upodobania. A poza tym, co znaczyło to „być może”?

Nie miałem jednak wiele czasu do namysłu. Dama zapytała mnie bowiem ujmującym tonem, czy chciałbym dać do jej gazety oświadczenie na temat tego, co myślę o generale Franco.

Byłem oszołomiony tym wszystkim, ale nie do tego stopnia, żeby nie zauważyć związku między tym pytaniem a owym „być może” generała Franco. Było to coś w rodzaju biblijnego kuszenia, choć tym razem szatan wcielił się w uśmiechniętą młodą dziennikarkę; w owej chwili – po tyłu dniach czekania na tortury i śmierć – nie miałem siły mu się oprzeć.

Powiedziałem więc, że choć nie znam osobiście generała Franco, mam wrażenie, że musi być on politykiem humanitarnym, któremu spokojnie mogę powierzyć swój los. Młoda dama z radością zapisała te słowa i poprosiła, abym się pod nimi podpisał.

Wziąłem pióro do ręki, ale nagle uświadomiłem sobie, że za chwilę podpiszę na siebie moralny wyrok śmierci, którego nikt już nie odwoła. Przekreśliłem więc napisane zdanie i podyktowałem inne oświadczenie:

Nie znam osobiście generała Franco i on nie zna mnie; gdyby miał mnie ułaskawić, musiałbym uznać, że uczynił to w pierwszej kolejności ze względów politycznych.

Nie mógłbym jednak nie być mu osobiście wdzięcznym, tak jak jeden człowiek wdzięczny jest drugiemu za uratowanie życia. Ale wierzę w socjalistyczną koncepcję przyszłości ludzkości i nigdy w nią wierzyć nie przestanę.

To oświadczenie podpisałem.

Pogratulowałem sobie w duchu, że oparłem się pokusie, i ucieszyłem się, iż znów mam jasną głowę. Nadal jej potrzebowałem, bo panna Helena zapytała, co właściwie rozumiem przez „socjalistyczną koncepcję przyszłości ludzkości”.

Kwestia ta wymagała akademickiej dyskusji i zamierzałem ją rozpocząć, ale trójka falangistów nie była właściwą publicznością dla moich popisów retorycznych. Młoda dama przerwała mi i zaproponowała zwięzłe sformułowanie:

„Wierzy w socjalizm przez wzgląd na dobro robotników”.

Powiedziała, że Amerykanie zrozumieją sprawę tym lepiej, im krócej się ją ujmie.

– W imię Boże, amen – odrzekłem.

Potem zapytała, jak wytłumaczę to, że zostałem w Maladze po odejściu czerwonych.

Staralem się – jak najkrócej, po amerykańsku – wyjaśnić skomplikowaną historię sir Petera, samochodu Alfreda i całą apokaliptyczną atmosferę Malagi. Czułem, że moje opowiadanie nie brzmi przekonująco.

Ale młoda dama była na tyle uprzejma, że nie wyraziła wątpliwości, a ja zapytałem, co się dalej stało z sir Peterem.

Odpowiedziała, że też jest w więzieniu. Była to nieprawda; sir Peter od dawna przebywał już w Anglii i poruszał niebo i ziemię, aby wyciągnąć mnie z więzienia. Ale tego właśnie moi nieprzyjaciele nie chcieli mi powiedzieć.

Przed pożegnaniem koleżanka po piórze przyznała mi się jeszcze, że jest asystentką kapitana Bolína z departamentu prasy i propagandy kwatery głównej w Salamance, że Madryt lada chwila padnie i że spróbuje mi załatwić przeniesienie do lepszego więzienia. Odparłem, że byłbym jej za to bardzo wdzięczny, bo generał Queipo i ja od dawna nie pałamy do siebie sympatią.

– *Thank you sooo much* – powiedziała na koniec. Oficerowie zaszalowali jeszcze raz bardzo grzecznie i cała trójka wyszła. Opadłem wyczerpany na pryczę, która pachniała teraz zupełnie niezwykle – francuskimi perfumami.

Nie mogłem zebrać myśli. Wyrok śmierci, dożywocie, korespondentka Hearsta, departament propagandy, mundur falangistowski i perfumy – to było za wiele na moją biedną głowę.

Korespondentka Hearsta odwiedziła mnie 19 lutego. Był to w ciągu trzech miesięcy mój jedyny kontakt z władzami, z których rozkazu siedziałem w więzieniu.

Mijały dni.

Piątek, sobota, niedziela, poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek.

W piątek odwiedziła mnie piękna Helena i od tego piątku do następnego dzieńne rubryki w moim kalendarzu więziennym są puste – w tych dniach nie zaszły żadne pamiętne wydarzenia.

W tym hermetycznym kloszu, jakim jest sewilskie więzienie, za pamiętne wydarzenia uchodzą takie rzeczy jak: kartoflanka zamiast fasolówki na obiad, kilka słów zamienionych prywatnie ze strażnikiem albo kalifaktorem, papieros otrzymany od strażnika, pająk w oknie albo pluskwa w sienniku. Są to zapierające dech przeżycia, zatrudniają one i pobudzają na całe godziny maszynę umysłu, który bez tego pracuje na jałowym biegu. Zastępują kino, seks, czytanie gazet i codzienne troski. Dla tych, których horyzontem jest krawędź szklanki, burze w szklance wody są tak samo ważne jak burze na morzu.

Tak więc owe siedem pustych miejsc w moim kalendarzu oznacza największą pustkę, jaką można sobie wyobrazić. Nie zdarzyło się wówczas nic, najdrobniejsza rzecz, najmniejszy ułamek najdrobniejszej rzeczy, który mógłby spowodować najłżejszy wiaterek zdolny poruszyć

nieruchome skrzydła wiatraka czasu. Jak niedźwiedź śpiący snem zimowym żywi się własnym sadłem, tak mój umysł żywił się tym, co zgromadził podczas trzydziestu lat lektur, nauki i doświadczeń życiowych. Ale mój mózg był wypłukany do czysta i te kilka kropli myśli, które z niego wycisnąłem, miało esencjonalność trzykrotnie parzonej herbaty.

Mózg to niezwykle urządzenie: tworzy tylko wtedy, gdy ma z góry zapewniony zbyt na swoje produkty za pośrednictwem słowa lub pióra. Jeśli na jego wytwory nie ma popytu, ogłasza strajk. Można oszukać go na pewien czas, udając, że samemu jest się odbiorcą tego, co wytworzy. Ale szybko zauważa oszustwo. Własne ego nie jest bynajmniej przyjemnym partnerem. Po sześciu tygodniach samotności miałem się tak dosyć, że mówiłem do siebie tylko per pan.

Rzeczą zadziwiającą, zagadkową i pocieszającą w tym całym okresie było to, że minął. Mówię najszczerzą prawdę, twierdząc, że nie wiem w jaki sposób. Próbowałem przychwycić czas na mijaniu. Czyhałem na niego, wlepiąłem oczy w minutową wskazówkę na swoim zegarku, postanawiając nie myśleć o niczym prócz czystego czasu. Przytrzymałem go jak ten prostaczek z bajki, który myślał, że aby schwytać ptaka, trzeba mu nasypać soli na ogon. Przez długie minuty, przez kwadransy wpatrywałem się w dłuższą wskazówkę, aż oczy zachodziły mi łzami i wpadałem w swoisty trans. I później nie wiedziałem, jak długo obserwowałem mijanie czasu.

Czas włókł się przez tę pustynię bez zdarzeń, jakby utykał. Napisałem, że zdumiewające i pocieszające w tym żalnym stanie było to, że w ogóle minął. Ale istniało coś jeszcze bardziej zadziwiającego, coś graniczącego z cudem, a mianowicie, że te niekończące się godziny, dni i tygodnie mijały mi szybciej niż jakikolwiek okres w moim życiu.

Uświadamiałem sobie ten paradoks, ilekroć wydrapywałem na białym tynku nową kreskę, a ze szczególnym zdziwieniem, kiedy zakreślałem grupę tych kresek, zaznaczając, że minął tydzień, a potem miesiąc. Co, już tydzień, już cały miesiąc, cały kwartał!? Czyż to nie wczoraj drzwi celi zatrzasnęły się za mną pierwszy raz?

Kiedy przeżywałem siedem pustych dni i rozmyślałem nad fenomenem czasu, na dziedzińcu, gdzie grano w piłkę i skakano żabką,

rozstrzelano trzydziestu siedmiu ludzi. Ale wtedy o tym nie wiedziałem.

* *
*

Już w pierwszych dniach po przybyciu do Sewilli rzucił mi się w oczy jeden więzień – mocno zbudowany, zezowaty mężczyzna w zagranicznym swetrze z czerwono-żółto-czerwoną naszywką oznaczającą więźnia funkcyjnego. Przechadzał się z nieco pogardliwą miną wśród chłopów w wyblakłych płóciennych kapotach i przestawał głównie z „elegantami”. Próbowałem się domyślić, kim jest z zawodu, i doszedłem do wniosku, że bokserem. Był to bibliotekarz.

Dowiedziałem się o tym kilka dni później, gdy zobaczyłem, że rozdaje więźniom książki.

Wszystkie moje wysiłki, aby dostać coś do czytania, spełzyły dotąd na niczym.

Zacząłem dawać grubemu „bokserowi” znaki. Przechodził obok mojego okna średnio trzy razy rano i trzy razy po południu; czyhałem godzinami na ten moment w nadziei, że zwrócę jego uwagę.

Po dziewięciu albo dziesięciu dniach w końcu mi się udało. Spojrzał na mnie i skinął głową niemal niezauważalnie na znak, że zrozumiał moją prośbę.

Całe popołudnie czekałem podniecony na jego przyjście. Snułem domysły, jaką książkę mi przyniesie. Czekałem do wieczora, a potem przez cały następny dzień, nadal dając mu znaki, których albo nie widział, albo nie chciał widzieć. I jeszcze jeden dzień. W sobotę, 27 lutego, kiedy straciłem już wszelką nadzieję, nadeszła w końcu szczęśliwa chwila. Podczas obiadu bibliotekarz przeszedł korytarzem obok otwartych drzwi mojej celi.

Zawołałem go i w podnieceniu wylałem zupę na stopy Angelita.

Bibliotekarz stał niezdecydowany, ale miałem szczęście, bo służbę pełnił akurat jeden z sympatycznych strażników, który nie miał nic przeciwko temu, abym dostał książkę. Bibliotekarz trzymał pod pachą cały stos i dał mi tę, która leżała na samej górze. Był to hiszpański przekład autobiografii Johna Stuarta Milla.

Pod okładką znalazłem jeszcze na wpół zgnieciony papieros.

Było to prawdziwe święto, które należało odpowiednio uczcić.

Zjadłem do końca swoją fasolę, bardzo starannie umyłem miskę

i postawiłem ją na oknie, aby wyschła. Potem usiadłem na pryczy, zapaliłem papierosa i pogrążyłem się w lekturze.

Czytałem z namysłem i z zapałem, ale bardzo powoli. Nie rozumiałem co najmniej jednej czwartej słów, nie miałem słownika i musiałem się zastanawiać nad znaczeniem każdego zdania. Ale to jeszcze zwiększało przyjemność. Uczyłem się czytać na nowo, z dawno zapomnianym skupieniem na każdym zdaniu, każdym słowie. Czułem się jak ktoś, kto po długim leżeniu w łóżku uczy się na nowo chodzić i z zadowoleniem doświadcza każdego naprężenia mięśni i ścięgien.

Był to zresztą wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności, że na wierzchu sterty książek znalazła się akurat autobiografia Milla Hemingway, Joyce albo Huxley mieliby na mnie w tej sytuacji zgubny wpływ. A tak zetknąłem się z człowiekiem, którego życie było przykładem owego twórczego purytanizmu wolnego od samozadowolenia, człowiekiem, który uważał ascetyzm nie za cel sam w sobie, lecz za konieczny środek do osiągnięcia duchowej doskonałości. Należał on do filarów XIX wieku; można go było obchodzić wkoło i stukać w odporny na erozję kamień, z głową zadartą ku górze, gdzie ginął w dalekiej perspektywie architektonicznej – a taka pozycja głowy jest bardzo zdrowa dla ducha.

Drugą książką, którą dostałem do czytania, była *Voyage autour de ma chambre* (Podróż dookoła mojego pokoju) Xaviera de Maistre'a. Gdy przewracałem kartki, rzuciło mi się w oczy pewne zdanie. Autor, osadzony w areszcie domowym, przygląda się swojej bibliotece:

Zabronili mi wychodzić do miasta i poruszać się swobodnie w przestrzeni, ale zostawili mi cały wszechświat; bezkresna, nieskończona przestrzeń i niezmierny czas są do mojej dyspozycji.

Więzienny księgozbiór liczył około tysiąca sześciuset książek, po większej części bardzo dobrych. Zgromadzono je za czasów republiki, a nowi inkwizytorzy zapomnieli na razie wyrzucić rzeczy „nieprawomyślne”. Pozostały więc nawet rewolucyjne broszury z lat 1930–1931, biografie Caballero, Azañi i tym podobne pozycje.

Zresztą w całym więzieniu wszystko szło dotychczasowym trybem.

95 procent strażników i funkcjonariuszy niższych szczebli należało do starej załogi. Mieli oni we krwi humanitarne zasady republiki,

a nowego reżimu nie darzyli większą sympatią, choć część z nich, chcąc nie chcąc, założyła falangistowski mundur. Z trzema wyjątkami wszyscy strażnicy byli życzliwi i ludzcy, niektórzy nawet niezwykle grzeczni – na ile pozwalały im na to polecenia zwierzchników. Czasami zresztą lekceważyli te polecenia.

Wszystko to dotyczyło strażników, czyli niskich funkcjonariuszy, którzy na co dzień stykali się z więźniami, nie mając wpływu na ich los. Im wyżej w hierarchii, tym atmosfera stawała się zimniejsza i bardziej ponura. Dla generałów hiszpańskich człowiek zaczynał się od podoficera. Dla nas, więźniów, okrucieństwo zaczynało się od podoficerskiego szczebla.

W więzieniu odpowiednikiem podoficera jest *jefe de servicio*, dowódca zmiany. Pierwszy kontakt z jefe „zawdzięczałem” awarii rezerwuaru w mojej celi.

Było to 28 lutego, dzień po otrzymaniu pierwszej książki.

Rankiem rezerwuar zaczął przeciekać. Byłem tak pochłonięty lekturą, że nie przejąłem się tym. Kiedy przywieziono zupeę, cała posadzka była już mokra. Zwróciłem na to uwagę strażnikowi, który obiecał – *ahora, ahora* – że przyśle *fontanero*, hydraulik. Na razie miałem wycierać posadzkę szmatą.

Zrobiłem, jak kazał, i wróciłem do Milla. Hydraulik oczywiście nie przyszedł. O zmroku warstwa wody na posadzce miała już kilka milimetrów, a rezerwuar przeciekał coraz bardziej. W porze kolacji nie musiałem już nawet nic mówić strażnikowi, sam widział, co się dzieje.

– *Ahora* – powiedział uprzejmie – przyślę *fontanero*.

Tymczasem miałem wycierać posadzkę, aby woda nie wylała się na korytarz.

Zrobiłem to, klnąc pod nosem, ale teraz z rezerwuaru płynął regularny strumyk i przy drugim capstrzyku woda sięgała już do kostek. Ponieważ hydraulik nie przychodził, zacząłem wściekle walić w drzwi – co po drugim capstrzyku było zabronione.

Po kilku minutach nieustannego walenia drzwi się otworzyły i do celi wpadł *jefe de servicio*, a za nim drżący Angelito.

Jefe był niski i gruby, falangistowski mundur opinał się na nim, a mimo to marszczył się jak skóra na suchej kiełbasie. Na twarzy *jefe*

miał szramę, która zaczynała się koło nosa i sięgała do prawego ucha. Połowy tego ucha nie było. Mina jefe nie wróżyła nic dobrego. Wrzeszczał tak, że mury się trzęsły.

– Co pan wyprawia?!

Odpowiedziałem, że to rezerwuar jest winien, nie ja.

– Wolno panu mówić tylko wtedy, kiedy pana pytają – krzyknął jefe. – A kiedy wchodzę, ma pan stanąć na baczność tam przy ścianie.

Poczłapałem do ściany, brodząc w wodzie, i stanąłem na baczność. Jefe ze złością cisnął na posadzkę niedopałek, który płynąca woda zaraz zniosła pod drzwi.

– Niech pan wytrze podłogę! – ryknął.

Powiedziałem, że wytarłem już trzy razy (w rzeczywistości zrobiłem to tylko dwukrotnie), ale to nic nie daje.

Jefe odparł, że jak mi każe, to wytrę podłogę sześć, dziesięć albo dwadzieścia razy, będę ją wycierał dzień i noc; wymachiwał gumową pałką pod moim nosem i obiecał, że poleci mi nazajutrz zaaplikować *flagelación*. Potem splunął i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Znow zabrałem się do wycierania posadzki. Zanim jednak zdążyłem skończyć, drzwi się otworzyły i wszedł don Ramón, jeden z najsympatyczniejszych strażników, a za nim hydraulik. Strażnik położył palec na ustach i uśmiechnął się. Domyśliłem się, że przemycił hydraulika po ostatnim capstrzyku wbrew rozkazom *jefe* i regulaminowi więziennemu.

Z tego zdarzenia wyciągnąłem ważną naukę. Zrozumiałem, że *fontanero* nigdy by nie przyszedł, gdybym nie urządził awantury. A zatem, pomyślałem sobie, moje żądania – od konsula po papierosy – zostaną spełnione tylko wtedy, kiedy zrobię piekło. Oczekałem dzień, podczas każdego posiłku przedstawiając swoje żądania wyjątkowo dobitnie, po czym, słysząc ciągle *mañana* i *ahora*, we wtorek 2 marca rozpocząłem strajk głodowy.

Skutek był natychmiastowy i przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

Kiedy rano don Ramón i Angelito pojawili się z kotłem kawy, oświadczyłem, że nie będę niczego jadł. Don Ramón zapytał, czy boli mnie brzuch.

Odpowiedziałem, że chcę rozmawiać z dyrektorem i że dopóki nie przyjdzie, nie tknę niczego.

Don Ramón był bardzo zdziwiony, a Angelito uśmiechnął się drwiąco. Wyszli bez słowa.

Podczas obiadu znów odmówiłem jedzenia; służbę pełnił inny strażnik, który nic nie powiedział, tylko trzasnął drzwiami i poszedł. A więc wiadomość musiała się już rozejść. Był to dobry znak.

O szóstej wieczorem drzwi się otworzyły i do mojej celi wkroczyła uroczysta procesja. Na czele szedł dyrektor, za nim *jefe de servicio*, potem Angelito, a na końcu jeden z „elegantów”.

Dyrektor był niskim, ale dość sympatycznie wyglądającym mężczyzną. Dowiedziałem się później, że należał do starego personelu. Nie zwolnili go, bo był im potrzebny ze względu na swoje fachowe kwalifikacje; przydzielili mu jednak falangistowskiego oficera i ograniczyli kompetencje do spraw czysto technicznych.

Dyrektor przyglądał mi się przez chwilę, a potem zapytał, o co mi chodzi, jednocześnie dając „elegantowi” znak, żeby tłumaczył. Powiedziałem, że znam hiszpański na tyle, aby móc się porozumieć, ale dyrektor odparł, że woli rozmawiać przez tłumacza, aby na pewno wszystko dobrze zrozumieć.

Dyrektor wzbudzał zaufanie. Zreferowałem mu krótko swoją sprawę i przedstawiłem listę żądań. Odpowiedział, że musi wykonywać rozkazy; jestem *incommunicado*, więc nie mogę pisać listów ani kontaktować się z konsulem. Nie ma też wpływu na moją przyszłość. Spróbuje jednak zwrócić mi skonfiskowane pieniądze i dopilnuje, abym otrzymał przedmioty, których wydanie leży w jego kompetencjach. W zamian mam się zobowiązać do przerwania głodówki.

Uczyniłem to i procesja opuściła celę.

Czekałem niecierpliwie, czy dyrektor dotrzyma słowa, czy też należy do tych, którzy mówią tylko *mañana*.

Ale już na drugi dzień rano do celi zawitał Angelito w towarzystwie don Ramóna i przyniósł naręczne bezcennych skarbów. Położył je na pryczy i obaj stanęli z minami dobroczyńców rozdających bożonarodzeniowe prezenty. Nie posiadałem się z radości, każdy przedmiot oglądałem dokładnie i z czułością. Były tam:

kawałek ołówka
pięć kartek białego papieru
kostka mydła
ręcznik
koszula

Don Ramón wyjaśnił, że papier i ołówek nie są przeznaczone do pisania listów, ale „do tworzenia”, bo dyrektor uważa, że jeśli znów będę mógł tworzyć, będzie mi „lżej na sercu”. Potem, mrugając okiem, dodał, że ponieważ wszystko, co napiszę, może być w każdej chwili sprawdzone, powinienem pisać tylko „ładne rzeczy”.

Obiecałem pisać tylko ładne rzeczy. Znowu doznałem tego wspaniałego uczucia wszechogarniającej, bezgranicznej radości, które opanowało mnie, gdy zjawił się fryzjer i kiedy otrzymałem pierwszą książkę.

Zastanawiałem się, której przyjemności pokosztować najpierw: ołówka czy mydła. Mydło zwyciężyło; wyszorowałem się od stóp do głów, włożyłem czystą koszulę, uprałem starą i położyłem ją na oknie, aby wyschła.

Potem wziąłem do ręki ołówki.

Od tego dnia datuje się mój dziennik. Pamiętałem, że mam pisać tylko „ładne rzeczy”, więc kiedy nocą rozstrzelano dziesięciu więźniów, notowałem: „Źle spałem, obudziłem się o dziesiątej”.

Zapiski z ostatnich dni Malagi, które skonfiskowano mi podczas aresztowania, oraz wydarzenia z pierwszych trzech tygodni pobytu w więzieniu odtworzyłem z pamięci.

Tak się szczęśliwie złożyło, że wychodząc na wolność, zdołałem przemyścić swój dziennik.

Środa, 3 marca

Rano dostałem ołówek, papier, mydło, ręcznik i koszulę. Gdybym miał jeszcze szczoteczkę do zębów, znowu byłbym nieomal człowiekiem.

Czwartek, 4 marca

O siódmej wieczorem zaprowadzono mnie do kancelarii więzienia. Sekretarz pokazuje mi telegram z Salamanki do dyrektora:

Dyrektor więzienia prowincjonalnego w Sewilli stop pieniądze i rzeczy osobiste więźnia Koestlera znajdują się u pułkownika Fustera

sztab generalny Armii „Południe” Sewilla stop Bolín.

A więc Bolín jest z powrotem w Salamance. To pocieszające.

Sekretarz informuje mnie, że dyrektor zażądał pisemnie od pułkownika Fustera, aby odesłał do więzienia moje pieniądze i rzeczy.

Niech żyje dyrektor.

Wracając z kancelarii, przeszedłem obok celi nr 44. Kartka z nazwiskiem Caballero wisi nadal, ale na drzwiach sąsiednich cel, nr 43 i 42, nie ma już kartek z nazwiskami. Chciałbym wiedzieć, co się stało z ich lokatorami.

Środa, 10 marca

Wczoraj minął miesiąc od mojego uwięzienia.

Mimo ciągłych rozmyślań i układania planów nie potrafię sobie konkretnie wyobrazić przyszłości. Ale wszelkie plany wydają się nierzeczywiste, jak we śnie. Wszystkie myśli coraz bardziej przypominają sny na jawie. Ilekroć drzwi się otwierają, od świeżego powietrza napływającego z korytarza kręci mi się w głowie i muszę przytrzymać się stołu.

Kiedy jakiś strażnik odzywa się do mnie, chrypnę z podniecenia. W nocy skończyłem de Maistre’a. Od wczesnego ranka bez skutku daję znaki przez okno. Bibliotekarz celowo chyba nie patrzy w moją stronę, może dlatego, że nie chce mu się przynosić książki. Na pewno ma dość wyobraźni, aby rozumieć, czym jest książka dla więźnia w izolatce. Inaczej wyobrażałem sobie solidarność między więźniami politycznymi.

Czwartek, 11 marca

Kiedy więźniowie są wyprowadzani na patio i kiedy stamtąd wracają, przechodzą czwórkami korytarzem obok mojej celi. Idą wolno, szurając nogami; większość nosi filcowe łapcie albo sandały z łyka. Stoję przy judaszu i patrzę, jak jedna twarz po drugiej mija moje pole widzenia. Wszyscy mają zwyczaj odczytywać nazwiska z kartek wiszących na drzwiach cel. Często więc słyszę swoje imię i nazwisko sylabizowane pod nosem piętnaście albo dwadzieścia razy po kolei: „ar – tu – ro – ko – est – ler”. Czasami ktoś odczyta też resztę: „In – co – mu – ni – ca – do. O – jo”. „Ojo” znaczy: „uwaga”. Czasami, gdy jestem zajęty czytaniem albo marzeniami, słysząc nagle swoje imię i nazwisko

wymawiane w ten sposób, wydaje mi się, że otacza mnie chór upiórów.

Dziś w południe, kiedy wchodzili do budynku na sjęstę, ktoś wrzucił mi do celi kartkę brązowego papieru zwiniętą w kulkę.

Rozwinałem ją i przeczytałem:

Towarzyszu, wiemy, że przebywacie tutaj i że jesteście przyjacielem republiki hiszpańskiej. Zostaliście skazani na śmierć, ale oni was nie rozstrzelają. Za bardzo boją się nowego króla Anglii. Zabijają tylko nas, biednych i pokornych (*los pobres y humildes*).

Wczoraj znów rozstrzelali siedemnastu na cmentarzu. W celi kiedyś było nas stu, a dziś tylko siedemdziesięciu trzech. Drogi towarzyszu cudzoziemcze, my trzej też zostaliśmy skazani na śmierć i rozstrzelają nas dziś albo jutro. Ale wy zapewne ocalejecie i jeśli kiedyś wyjdziecie na wolność, musicie opowiedzieć światu, jak nas tu zabijają tylko dlatego, że chcemy wolności, a nie Hitlera.

Zwycięskie wojska naszego rządu zdobyły ponownie Toledo i zajęły też Oviedo, Vitorię i Badajoz. A wkrótce przyjdą i tu i poprowadzą nas triumfalnie ulicami. Będą dalsze listy. Odwagi. Kochamy was.

Trzech republikańskich milicjantów

Więcej listów nie było. Dowiedziałem się później, że dwóch z tej trójki rozstrzelano jeszcze w nocy. Trzeciemu zamieniono wyrok na trzydzieści lat ciężkiego więzienia – hiszpański odpowiednik dożywocia.

Nauczyłem się tego listu niemal na pamięć. Stał się dosłownie częścią mnie, bo pół godziny później w mojej celi przeprowadzono rewizję. Nie miałem czasu zniszczyć listu, musiałem więc go zjeść.

Piątek, 12 marca

Rano bibliotekarz. Przyniósł Agathy Christie *Muerte en las nubes* (*Śmierć w chmurach*). Stara lichwiarka zostaje zamordowana w samolocie za pomocą zatrutej indiańskiej strzały.

Na patio *los pobres y humildes* wciąż grają w piłkę i skaczą żabką. Nie sposób ustalić, czy kogoś nie ma i kogo.

Papier mi się kończy; piszę tak małymi literami, że oczy mi łzawią.

Sobota, 13 marca

Wieczorem odwiedził mnie czarny kotek, wskoczył z dziedzińca

na parapet. Chciałbym mieć go w celi, ale z powodu siatki nie mógł wejść do środka; nie mogłem go nawet pogłaskać. Odszedł zawiedziony i wskoczył na sąsiedni parapet, ten od okna celi nr 42. Zapewne było mu zimno i szukał cieplejszego miejsca. Nigdzie nie mógł go znaleźć i przez pół nocy płakał jak niemowlę.

Dziś czarny kotek przez cały dzień na patio i jeszcze jeden, biały. Wszyscy byli dla nich mili – miłsi niż dla biednego Pedra, naszego więziennego półgłówka, który znów dostał ataku szału.

Niedziela, 14 marca

W południe nowy strażnik, byczysko z brutalną, nalaną twarzą. Zdumiewające podobieństwo do Charlesa Laughtona w roli kapitana Bligha z *Buntu na Bountu*.

Cały dzień dawałem znaki bibliotekarzowi, na próżno.

Po południu nagle przenieśli mnie do sąsiedniej celi, nr 40. Nie podali powodu. Urządzona dokładnie tak samo, tylko widok na dziedziniec nieco inny. W nowej celi czuję się dziwnie i nieswojo. Brakuje mi moich kresek na ścianie.

Poniedziałek, 15 marca

Rano bibliotekarz. Przyniósł *Las aventuras de David Balfour* (*Porwanego za młodu*) Stevensona i pięć nowych kartek papieru. Próbowałem wyciągnąć od niego pesetę, ale powiedział, że nie ma żadnych pieniędzy. Dał mi papierosa, pierwszego od trzech dni. Po zapaleniu najpierw czułem się jak pijany, a potem dostałem choroby morskiej.

„Byk” ma teraz cały czas służbę. To bardzo przygnębiające. Dotąd strażnicy czasami mówili miłe słowo, przywożąc posiłek, na przykład: „Jedz, Arturito, to utyjesz”, albo coś podobnego. Krzepiące działanie takich słów trwało potem przez parę godzin. Cały nastrój popołudnia albo nocy zależy od tonu głosu Angelita i strażnika rozwożących posiłki. Reaguję jak sejsmograf na fale życzliwości lub nieżyczliwości.

„Byk” strasznie mnie przygnębia.

W nocy

Przy całym poczuciu godności własnej nie potrafię się oprzeć myśli, że strażnicy są istotami wyższego rzędu. Świadomość uwięzienia działa jak trucizna podawana małymi dawkami, przeobraża cały

charakter. To coś więcej niż tylko zmiana psychiczna, niż kompleks niższości; mam poczucie, że to naturalny proces, którego nie da się odwrócić. Pisząc powieść o gladiatorach, stale zastanawiałem się, dlaczego rzymscy niewolnicy, których było dwu-, trzykrotnie więcej niż wolnych obywateli, nie buntowali się przeciwko swoim panom. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, czym jest niewolnicza mentalność. Życzę każdemu, kto mówi o psychologii mas, aby spędził rok w więzieniu.

Nie wierzyłem, aby dyktatura mniejszości mogła się opierać tylko na bagnietach. Nie wiedziałem jednak, jak potężne są owe atawistyczne siły, które od środka paraliżują większość.

Nie wiedziałem też, jak szybko człowiek nabiera przeświadczenia, że ludzie uprzywilejowani to istoty wyższego gatunku, i przyjmuje ich uprzywilejowanie za coś oczywistego. Don Ramón ma klucz, a ja siedzę w lochu; obaj uważamy ten stan rzeczy za naturalny i trudno nam dojrzeć w nim coś nienormalnego.

I gdyby przyszedł jakiś zwariowany agitator, aby głosić, że wszyscy ludzie są równi, obaj byśmy go wyśmiali. Don Ramón z całym przekonaniem, ja być może bez większego przekonania – ale zawsze.

Wtorek, 16 marca

Kolejny jubileusz – pięć tygodni od dnia aresztowania. I prawie cztery tygodnie od wizyty mojej koleżanki z Hearsta. Gdyby generał Franco zamienił mi wyrok śmierci na trzydzieści lat więzienia, na pewno by mnie o tym poinformowano.

Ale wątpliwe, aby powiadomili mnie o odmowie ułaskawienia. Podobno w takim wypadku wyrok jest zatwierdzany dopiero w ostatniej chwili.

Jak przez mgłę przypominam sobie wcześniejsze sprawy. Na przykład Hauptmann, morderca syna Lindbergha, dowiedział się o odrzuceniu apelacji na dobę przed śmiercią na krześle elektrycznym. Nie wiem, co lepsze. Chyba jednak nie wiedzieć do ostatniej chwili.

Środa, 17 marca

W ciągu dwóch dni zapisałem prawie cały papier. Od tej pory będę notował rzeczy, które nie należą do dziennika (matematyka i tym podobne) na kafelkach nad umywalką. Później można je będzie zetrzeć.

Po południu wielkie wydarzenie: zaprowadzono mnie pod prysznic. Łazienka więzienna wręcz luksusowa. Oprócz pryszniców i wanien jest też basen. Oczywiście prawie wszystko już zepsute. Basen jest pusty i brudny, w kranach nad wannami nie ma wody, działają tylko dwa prysznice z zimną wodą. Cudowne uczucie być znowu czystym. W basenie cenne znalezisko: kawałek starego mydła.

Caballero wciąż w więzieniu; cele nr 41 i 43 puste, ale na drzwiach celi nr 42 nowe hiszpańskie nazwisko.

Sobota, 20 marca

Na prośbę bibliotekarza Angelito przyniósł mi nową książkę, Gabriela Miró La cerezas del cementerio (Wiśnie na cmentarzu). Słaba rzecz, przegadana i sentymentalna.

Poniedziałek, 22 marca

W nocy zarwała się przede mną prycza – upadłem na ziemię i śniło mi się, że zostałem zastrzelony. Potwierdzenie osobliwego zjawiska, że ułamek sekundy między upadkiem a przebudzeniem wystarczy do stworzenia post factum całej historii. Dźwięk walącego się łóżka trafia do świadomości dopiero wtedy, gdy historia jest gotowa – do tego czasu czeka na progu świadomości.

Potem nie mogłem zasnąć. Porównywałem psychoanalityków do kanalarzy; typowy dla ich profesji odór towarzyszy im nawet w prywatnym życiu. Ich spojrzenie zdradza, że zajmują się czyszczeniem sieci kanalizacyjnej ducha.

Z niezadowoleniem zauważam, że w samotności staję się coraz bardziej antypatyczny. Sentymentalny i antypatyczny.

Piątek, 26 marca

Beznadziejny dzień: podenerwowanie, bóle brzucha i melancholia.

W południe nagle usłyszałem na patio język niemiecki. Nie wierzyłem własnym uszom. Krępy młody blondyn o rumianych policzkach w niebieskim kombinezonie mechanika stał przy białej linii, nieco w bok od mojego okna, zwrócony w stronę celi nr 37.

Potem chodził tam i z powrotem i mijając okno celi nr 37, wypowiadał głośno zdanie po niemiecku.

Chce napisać do konsula, mówił, ale nie dają mu papieru.

Siedzi w celi z sześcioma innymi, zafajdanymi Hiszpanami.

Wszyscy to czerwoni, więc trzeba bardzo uważać.

Nie słyszałem odpowiedzi z celi nr 37. Zrozumiałem tylko, że lokator tej celi nazywa się Carlos, mówi po niemiecku i jest starym przyjacielem blondyna.

Zastanawiam się, co to wszystko znaczy.

Wyrzuciłem skarpetki, nie nadawały się już do noszenia. Obie koszule i spodnie wyglądają jak szmaty; garnitur, który zastępuje mi też piżamę, mógłby być rekwizytem w przedstawieniu *Opery żebraczej*.

Sobota, 27 marca

W południe proponowałem strażnikowi zegarek za sto papierosów. Odmówił. Godzinę później dostałem pierwszy list od żony i sto peset.

Mało nie oszalałem z radości. Przy strażniku i sekretarzu więziennym, który przyniósł list, uściskałem Angelita.

Ten wykrzywił w uśmiechu swoją pomarszczoną twarz starej kobiety i nagle zrobił się bardzo uprzejmy i troskliwy. Na poczet przyszlých napiwków dał mi od razu dziesięć papierosów. Potem wszyscy wyszli.

List nosi datę 8 marca, szedł więc dwadzieścia dni. Zawiera tylko pięć, sześć pocieszających zdań, celowo banalnych w treści, aby przeszły przez cenzurę. Nie wiedzieć czemu został doręczony konsulatowi brytyjskiemu w Maladze, który przesłał go prokuraturze wojskowej, a ta przekazała dyrekcji więzienia. Z tego wniosek, że mimo wszelkich starań moja żona nie zdołała się dowiedzieć, gdzie przebywam. Ostatnie zdanie mówi o tym, że za pośrednictwem konsulatu koniecznie powinienem przesłać jej kilka własnoręcznie napisanych słów. Z czego wnoszę, że nie jest wcale pewna, czy jeszcze żyję.

Zastukałem w drzwi i zapytałem, czy mogę odpisać na list. Strażnik widocznie zawczasu otrzymał instrukcje w tej sprawie, bo od razu odpowiedział, że nie mogę. Powiedziałem, że chcę tylko napisać jedno zdanie: że żyję. Odparł, że to niemożliwe.

Potem przyszedł Angelito rozmienić sto peset na bony więzienne. Zapytał uniżenie, czy mógłby mi przynieść wiktuały z kantyny. Z wielkopańskim gestem dałem mu piętnaście peset, aby zrobił mi za nie zakupy i pozwoliłem, aby od razu odliczył sobie dwie pesety napiwku.

W naszych stosunkach zaszła wprost czarodziejska zmiana. Do tej

pory byłem całkowicie zdany na łaskę Angelita i uzależniony od jego humorów. Teraz on jest biedakiem, a ja panem. Ta drobna satysfakcja sprawiła mi dużą przyjemność.

Razem z wieczorną zupą Angelito przywiózł cały kosz bajecznych skarbów. Papierosy, zapalki, szczoteczka do zębów, pasta do zębów, sardynki w oleju, sardynki w sosie pomidorowym, sałata, ocet winny, oliwa i sól w specjalnym pojemniku, kiełbasa paprykowa, suszone figi, ser, andaluzyjskie pigwy, czekolada, tuńczyk w oleju i cztery jajka na twardo. Moja prycza zamieniła się w delikatesy. Zupę z soczewicy wylałem do klozetu i zjadłem wszystkie przysmaki jak leci – czekoladę i sardynki, kiełbasę i słodycze.

Pierwszy raz od sześciu tygodni czułem się syty – syty, zadowolony i zmęczony.

Gdybym tylko mógł napisać do Dörte.

Niedziela, 28 marca

Przez Angelita kupiłem skarpetki, papier, koszyk na wiktuały i nowe smakołyki. Dzień minął mi na jedzeniu i paleniu. Bibliotekarz przyniósł trzy małe tomiki humoresek Awierczenki.

Po południu niemiecki młodzian o blond włosach znów mówił do celi nr 37. Powiedział, że dostał papier, aby napisać do konsula, i obiecał niewidocznemu Carlosowi, że pożyczy mu pesetę.

Wieczorem trębacz zagrał na capstrzyk nową melodię. Jest jeszcze bardziej melancholijna niż poprzednia.

Poniedziałek, 29 marca

Straciłem całą przyjemność z jedzenia i picia. Każdy kęs przypomina mi o tym, skąd dostałem pieniądze i list. Napady nostalgii pojawiają się w krótkich odstępach i z gwałtownością, jakiej dotąd nie doświadczyłem. Jakąż smutną istotą jest człowiek; dopóki jest głodny, nie ma innych pragnień oprócz tego, żeby jeść i jeść, ale gdy tylko jest syty, zjawiają się „wyższe uczucia” i zatruwają całą radość. Jeszcze trzy dni temu kawałek sera wydawał mi się najwspanialszą rzeczą na świecie. Teraz, gdy tylko mój wzrok padnie na ser albo puszkę sardynek, zaraz przypomina mi się dom i wstępuje we mnie diabeł. Dobry Bóg stanowczo wmontował nam w głowę o kilka kółek za dużo.

Po południu Angelito złożył mi prywatną wizytę i uwolnił mnie

od części moich zmartwień, pochłaniając z wielkim apetytem sardynki, ser i czekoladę. Potem nowy *jefe de servicio* przyszedł poinformować, że pułkownik Fuster nie odpowiedział jeszcze na mój list w sprawie skonfiskowanych pieniędzy i rzeczy. Już mi wszystko jedno. Zapytałem, kiedy można się spodziewać decyzji w mojej sprawie. Odparł, że nie wie i że jestem „ważnym przypadkiem”, nie co dzień zdarza się aresztowanie czerwonego dziennikarza. Bardzo mi to pochlebiło, ale nie wiem, czy być „ważnym przypadkiem” to dobrze czy źle.

Środa, 31 marca

W południe strażnik zapytał, czy chciałbym wina. Oczywiście, że chciałem. Za 45 centimos dostałem wielki kieliszek – około 300 mililitrów. Dowiedziałem się, że każdy więzień ma prawo kupić wino na obiad i kolację, ale nie więcej niż tę ilość... Zatrzymałem obiadową rację na wieczór, aby wypić wszystko razem. Niezłe białe wino, choć za mało, żeby mogło podzielać. Ale i tak świetnie, że jest.

Czwartek, 1 kwietnia

Dostałem za jednym razem Nerval'a *Aurelię*, Bunina *Sujodol* (*Suchodoły*) i Stevensona *Olalla*. Mam teraz niezłe jedzenie, wino, papierosy, czystą bieliznę i dobre książki, żadnych trosk materialnych i zmartwień z wydawcami, redaktorami i kolegami. Obiektywnie biorąc, moja sytuacja byłaby całkiem dobra, gdyby nie strach. Gdyby ta niepewność się skończyła i pozwolono mi razem z innymi wychodzić na patio, dałoby się tu żyć.

Czytając, zapominam o wszystkim na długie godziny i jestem zupełnie zadowolony, wręcz wesół. Potem przypominam sobie list z całym wyrażonym w nim współczuciem i czuję, że mam niejako obowiązek być nieszczęśliwy. Myślę o tym, jak wyobraża sobie moją sytuację żona, i moje współczucie odbija jej współczucie jak echo. Kiedy jestem wesół, raz po raz łapię się na wyrzutach sumienia. Zwyczaj nakazuje, aby człowiek w więzieniu cierpiał.

Zmarłym na pewno jest ciężko, gdy żyjący myślą o nich.

Piątek, 2 kwietnia

Jakież perły odkrywa się w słabo znanych książkach, kiedy wskutek niecodziennych okoliczności człowiek nabiera zwyczaju uważnego czytania!

Gérard de Nerval spędził pół życia w domu wariatów. Książkę, którą czytam, napisał po części między dwoma atakami choroby i po części podczas samej choroby. Jest w niej wiele stron z opisami całkowicie nedorzecznych wizji, a autor to popada w obłąd, to się z niego wydobywa. W pewnej chwili jego stan poprawia się na dobre, wraca mu jasność umysłu. W rezultacie zostaje wyrzucony z zakładu i błąka się bezdomny ulicami Paryża w chłodne noce zimowe, zamiast oddawać się radosnym widzeniom w dobrze opalonym domu wariatów. Na wpół żywy z wyczerpania rozmyśla:

„Kiedy odzyskujesz to, co ludzie nazywają rozsądkiem, okazuje się, że nie warto biadać nad jego utratą”.

Kiedy miał czterdzieści siedem lat, powiesił się.

Chciałbym wiedzieć, czy w chwili gdy zakładał sobie pętlę na szyję, był obłąkany, czy właśnie przy zdrowych zmysłach.

Świat zewnętrzny wydaje mi się coraz bardziej nierzeczywisty.

Czasami myślę nawet, że kiedyś byłem szczęśliwy. Człowiek ulega złudzeniom nie tylko co do własnej przyszłości, ale też przeszłości.

Sobota, 3 kwietnia

Dostałem igłę i nitkę, cały dzień łatał strzępy, które pozostały z mojej koszuli, spodni i nowych skarpetek. W południe Angelito przyniósł mi świeżą sałatę owiniętą w starą gazetę, z której dowiedziałem się, że król Belgów gościł w Berlinie i że Włochy zawarły pakt z Jugosławią, ale nie było tam żadnych informacji o wojnie w Hiszpanii. Zdziwiłem się i przestraszyłem, że te wiadomości tak mało mnie obeszły i że moje zainteresowanie tym, co się dzieje na zewnątrz, tak szybko zanika. A przecież nie minęły jeszcze dwa miesiące.

Znacznie bardziej interesuje mnie to, że spacerowicze przechadzający się podczas sjeisty – „Byron” i suchotnik – mają towarzysza. Tyczkowaty, nieogolony, brudny, nosi okulary. Ma na sobie krótki płaszcz skórzany, który jest dla niego o wiele za kusy. W ogóle wygląda dość komicznie i wzruszająco niezgrabnie. Nie mam pojęcia, kto to może być.

Poniedziałek, 5 kwietnia

W nocy miałem zawał serca, tak jak w 1932 roku. Bardzo się boję następnego ataku.

Historia zawału serca była zmyślona.

Poprzedniego dnia, w niedzielę, gdy barometr mojego nastroju znów spadł na samo dno, obmyśliłem plan symulowania choroby. Chodziło o to, aby zmusić administrację więzienia do przeniesienia mnie do szpitala. Stamtąd, rozumowałem, znacznie łatwiej mi będzie skontaktować się z brytyjskim konsulem.

Wiedziałem jednak, że niełatwo mi będzie oszukać więziennego lekarza, musiałem być naprawdę chory. Postanowiłem więc rozpocząć głodówkę, tyle że nie jawnie, lecz potajemnie: brać jedzenie, ale ukradkiem wyrzucać je do klozetu, aż stanę się tak słaby, że będą musieli sprowadzić lekarza. Lekarzowi zamierzałem powiedzieć, że dolega mi serce; choroby serca są trudne do zdiagnozowania, a poza tym wiedziałem, że po dziesięciu czy piętnastu dniach głodówki serce jest osłabione, a tętno staje się nieregularne.

Ponieważ mój dziennik mógł zostać przejrzany w każdej chwili, musiałem umieścić w nim zapiski o mojej rzekomej chorobie. Konsekwentnie więc pisałem zamiast „głód” – „choroba”, a zamiast „żołądek” – „serce”. Dziennik nabrał więc sentymentalnego zabarwienia, które musiało wzruszyć hiszpańskiego cenzora.

Plan był naiwny, ale nie miałem wyboru.

Następujące poniżej fragmenty wydrukowane kursywą były pisane szyfrem albo zostały dodane później.

Głodówkę rozpocząłem w poniedziałek, 5 kwietnia, osiem tygodni po aresztowaniu.

Wtorek, 6 kwietnia

Drugi dzień dolegliwości sercowych. Po południu przyszedł fryzjer, a strażnik, jak zwykle podczas golenia, usiadł na pryczy, aby pogawędzić. Wypytyując go ostrożnie, dowiedziałem się, że Madryt broni się nadal. Strażnik uważa, że wojna potrwa jeszcze długo. Strażnik, fryzjer i ja zgadzamy się, że nie powinno być żadnych wojen.

Chleba nie da się wyrzucić do klozetu w jednym kawałku; musiałem go pokruszyć i spuścić wodę dwa albo trzy razy, żeby wszystko spłynęło. Podczas kruszenia zapachniało mi słonecznymi polami pszenicy, obfitującymi w witaminy. Z zupą łatwiej, spływa od razu cała.

Środa, 7 kwietnia

Dostałem *W osiemdziesiąt dni dookoła świata* Jules'a Verne'a. Sądziłem, że się rozerwę, ale przeżyłem zawód. Albo to wina Verne'a, albo mojego serca, które wciąż mi dolega. Ciągle muszę o nim myśleć i nawet na dziesięć minut nie mogę się skupić na czytaniu albo pisaniu.

Czwartek, 8 kwietnia

Zrobiłem pewne odkrycie.

Tego popołudnia Niemiec o blond włosach znów rozmawiał z tajemniczym Carlosem. Powiedział, że Carlos powinien napisać list do swojego konsula i położyć go na parapecie okiennym w północnym kącie dziedzińca. A wtedy on, Niemiec, weźmie go i wyśle. Zastanawiałem się, w jaki sposób Carlos może tego dokonać, przecież siedzi w izolatce.

Potem w czasie sjesty zobaczyłem, że tyczkowaty w okularach podchodzi do opisanego okna i coś tam robi. A więc to tajemniczy Carlos jest nowym spacerowiczem.

Później Niemiec podszedł do okna i zabrał list.

Dziś była to moja jedyna rozrywka. Serce dokucza mi tak, że nie mogę czytać. Niech licho porwie Fileasa Fogga. Jego zimna krew jest czystą prowokacją.

Piątek, 9 kwietnia

Dziś mijają dwa miesiące od dnia, w którym Bolín ze swoim rewolwerem pojawił się w domu sir Petera.

Pozbyłem się w końcu Fileasa Fogga i dostałem *Wojnę i pokój* Tołstoja.

Na patio podczas sjesty pojawił się nowy spacerowicz. Mały andaluzyjski chłop z czarnym zarostem i łagodnymi, lekko wylupiastymi oczami. Trzyma się z „Byronem” i suchotnikiem. Carlos spaceruje po dziedzińcu samotnie. Z moim sercem nie jest lepiej; to już szósty dzień...

Musiałem bardzo uważać, żeby nikt nie przejrzał mojego planu. Nie tylko wyrzucałem więzienne racje, ale także nadal kupowałem wiktuały w kantynie i pozbywałem się ich. Szczupłość moich zasobów pieniężnych dała mi wreszcie pretekst, aby uwolnić się od tej dodatkowej męczarni.

Niedziela, 11 kwietnia

Ponieważ nie potrafię na razie czytać krwawego Tołstoja, zacząłem

wymyślać krzyżówki. Jest to o wiele zabawniejsze, ale również znacznie trudniejsze niż ich rozwiązywanie. W jednym miejscu wyszło mi słowo „Eumene”. To na pewno coś znaczy, ale co?...

...Wciąż zastanawiałem się nad „Eumene”, kiedy dyrektor wezwał mnie do siebie. Powiedział, że spróbuje „przyspieszyć moją sprawę”. Zauważył też, że wyglądam bardzo źle, i zapytał, czy nie jestem chory. Odparłem, że stale dolega mi serce, ale z czasem na pewno mi przejdzie. Obiecał, że spróbuje załatwić mi zgodę na wychodzenie od czasu do czasu na świeże powietrze. Odrzekłem, że jest to moje największe marzenie.

Dyrektor też wyglądał bardzo źle, więc zapytałem, jak udała się operacja, której niedawno musiał się poddać. Odparł, że wciąż czuje się bardzo słaby i że najlepiej by mu zrobiło, gdyby przepisano mu kilka dni wypoczynku w celi. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Po powrocie do celi było mi całkiem wesoło na duszy.

Ale tętno utrzymywało się uparcie między osiemdziesiąt a osiemdziesiąt osiem, choć od rozpoczęcia głodówki minął już cały tydzień.

Poniedziałek, 12 kwietnia

Dzień wielkich wydarzeń...

Najpierw mnie ogolono. Podczas golenia na służbie był nowy strażnik – młodzieniec w falangistowskim mundurze, w binoklach, którego widziałem wczoraj chodzącego jak kogut po patio i wymyślającego kilku biednym chłopom. Po skończonym goleniu został w mojej celi i kontynuował rozmowę. Później dołączyli do nas jeszcze don Ramón i bibliotekarz. Tak oto w mojej celi doszło do prawdziwego zebrania towarzyskiego przy kawie.

Kiedy rozmowa cichła, młodzieniec w binoklach stroił żarty, wymachiwał mi pod nosem rewolwerem i mówił, że prędzej czy później i tak zostanę rozstrzelany. Don Ramón, siedzący obok niego na pryczy, dawał mi znaki, żebym nie traktował młodziana poważnie, a nawet stukał się w czoło.

– Gdybyś był na moim miejscu, a ja byłbym strażnikiem, przekonałbyś się, że takie żarty nie są wcale śmieszne – rzekłem okularnikowi.

– To prawda – odpowiedział zdziwiony i od tej pory był znacznie grzeczniejszy.

Wymyślał na czerwonych i twierdził, że torturują jeńców, wylupiają im oczy itd. Odparłem, że to absolutna nieprawda i że to samo myślałem wcześniej o przeciwnej stronie; o wrogu zawsze myśli się najgorsze rzeczy.

Okularnik znów przyznał mi rację i z uśmiechem dodał:

– Tu w więzieniu wszyscy jesteście traktowani jak džentelmeni, dopóki was nie rozstrzelają. Ale jeśli ktoś z was wpadnie w ręce Maurów na froncie, to nie ma się z czego śmiać.

Zapytałem go, czy jako katolik pochwała torturowanie ludzi.

– Właściwie nie – odpowiedział z zażenowanym uśmiechem.

I tak przez jakiś czas toczyła się nasza rozmowa; mówiliśmy też o Anglii, Darwinie i o tym, czy ludzie kiedyś polecą na Księżyc.

Nasze spotkanie trwało prawie dwie godziny. Zastanawiałem się, co to wszystko ma znaczyć.

Potem tajemniczy bibliotekarz opowiedział mi o sobie. Nie był zawodowym bokserem, ale właścicielem agencji reklamowej w Paryżu. Tuż przed wybuchem wojny domowej zbankrutował i uciekł do Hiszpanii. Wierzyście wpadli na jego trop i rząd francuski zażądał od władz hiszpańskich wydania zbiega. Aresztowano go w Sewilli na tydzień przed wybuchem rebelii. Bibliotekarz odwołał się od postanowienia o ekstradycji. Potem zaczęła się wojna domowa, warunki w więzieniu „uległy pewnym zmianom”, jak to oględnie ujął, i teraz marzył tylko o tym, aby wydano go Francji. Tym bardziej że wierzyście, wzruszeni jego dramatyczną historią, wyrazili gotowość do porozumienia. Francuski konsul w Sewilli stawał na głowie, żeby doprowadzić do ekstradycji rodaka, ale teraz władze rebelianckie nie chciały go od siebie puścić. Francuz był dla nich „czerwony”, a miejsce „czerwonych” było w więzieniu. Najśmieszniejsze, że bibliotekarz wedle własnych słów należał do Croix-de-Feu, faszystowskiej organizacji pułkownika de la Rocque’a.

Kiedy odprowadzałem gości do drzwi, don Ramón kiwnął na mnie i pokazał drzwi mojej celi od zewnątrz.

Wisiała tam nowa kartka. Było na niej moje nazwisko, ale *ojo*

i *incomunicado* zniknęły.

A więc to było rozwiązanie zagadki. Moja izolacja, zapewne dzięki prywatnej inicjatywie dyrektora, skończyła się.

Około siódmej wieczorem falangista wrócił i zakomunikował mi oficjalnie, że od jutra będę mógł wychodzić na spacer na patio podczas sjesty, od pierwszej do trzeciej. Zapytałem, czy mogę wreszcie napisać do konsula. Przytaknął, ale zauważył, że listy muszą być pisane atramentem, a pióro i atrament będę mógł kupić dopiero jutro, bo kantyna jest już zamknięta.

Niech żyje dyrektor!

Mogłem znów zacząć jeść, bo cel został osiągnięty bez mojego udziału. Postanowiłem jednak przezornie odczekać jeszcze jeden dzień, aż list do konsula zostanie wysłany.

Poniedziałek, 12 kwietnia (w nocy)

Przed chwilą – o dziesiątej – był u mnie *jefe de servicio*, którego nigdy wcześniej nie widziałem, starszy człowiek o włosach przyprószonych siwizną. Powiedział, że kancelaria otrzymała polecenie z prokuratury, według którego od jutra mam wychodzić na patio z innymi więźniami, to znaczy na cały dzień.

Jeszcze lepiej!

Wtorek, 13 kwietnia

Wstałem już o szóstej i czekałem niecierpliwie na chwilę, kiedy w końcu będę mógł wyjść ze swojej nory. Więźniowie pojawili się na dziedzińcu jak zwykle o ósmej rano, ale drzwi mojej celi pozostały zamknięte. Na próżno w nie waliłem. W końcu przy śniadaniu strażnik wyjaśnił mi, że dziś ma służbę inny *jefe* – grubas od historii z rezerwuarem – który powiedział, że nie dostał żadnych instrukcji odnośnie do mnie. Poprosiłem o pióro i atrament, ale i tego mi odmówiono, bo „*jefe* nie ma żadnych instrukcji”. Poprosiłem o rozmowę z *jefe*, który jednak kazał mi powtórzyć, że nie ma czasu.

Byłem bliski zrobienia karczemnej awantury, ale opanowałem się.

Przypomniałem sobie, że na szczęście nie przerwałem głodówki; że jest to jej dziewiąty dzień; że moje tętno, nareszcie, waha się między sześćdziesiąt a sto pięć i że jeszcze najwyżej kilka dni, a będą musieli położyć mnie do szpitala.

Wtorek wieczorem

W południe Angelito przyszedł z wiadomością od jefe: dzwonili z prokuratury – zezwalają mi na przebywanie na patio od pierwszej do trzeciej... wciąż nie ma jednak instrukcji co do wydania mi pióra i atramentu.

Znów gorączkowe oczekiwanie do pierwszej. W końcu rozlega się gwizdek, więźniowie na patio ustawiają się czwórkami i wchodzą do budynku. Patio jest puste. Najpóźniej w ciągu dziesięciu minut muszą pojawić się „Byron”, suchotnik, Carlos i nowy; a wtedy w końcu i moje drzwi zostaną otwarte...

Mija kwadrans po pierwszej, wpół do drugiej, za kwadrans druga – nic się nie dzieje. Tamci też nie pojawiają się na patio.

Nie mogę dłużej wytrzymać i zaczynam bębnić w drzwi – uderzam miską i kopię, aż bolą mnie stopy. Robię piekielny hałas. Po dwóch minutach drzwi się otwierają i stają w nich Angelito, *jefe* i „kapitan Bligh”. Wrzeszczą na mnie wszyscy naraz, a Angelito najgłośniej. (Od dwóch dni nie dostał napiwku, a wie, że zostało mi tylko dwadzieścia peset). Wyjaśniam, dlaczego łomotałem w drzwi. „Kapitan Bligh” krzyczy, że mnie wypuści, jak mu się spodoba, a jak mu się nie spodoba, to wcale mnie nie wypuści; grozi, że jeżeli jeszcze raz zrobię coś takiego, to mnie zmiażdży, rozdepcze, rozgniecie jak pluskwę.

Wszystko to dzieje się przy otwartych drzwiach. „Byron”, suchotnik i nowy, których widocznie wypuszczono z cel, stoją na korytarzu i przysłuchują się. Potem całą naszą czwórkę wyprowadzają na dziedziniec.

Czuję na twarzy gorące słońce, wdycham powietrze wielkimi haustami – i nagle robi mi się szaro, zielono, czarno przed oczami i stwierdzam, że siedzę na ziemi. Towarzysze stawiają mnie z powrotem na nogi. „Byron” i nowy chwytają mnie pod pachy i po kilku krokach przychodzą do siebie.

Stoimy w gromadce naprzeciwko celi nr 36. Zrazu tylko wdycham powietrze, znów prawdziwe powietrze, a nie gęstą mieszaną smrodu pryczy, woni stęchłego jedzenia i fetoru klozetu, na której żyłem od dwóch miesięcy. Potem zaczyna się rozmowa.

Moje pierwsze pytanie dotyczy oczywiście tego, na jakie wyroki

zostali skazani moi towarzysze.

– *La muerte* – mówi „Byron” i uśmiecha się szeroko.

– *La muerte* – wtóruje suchotnik. Jest znanym politykiem republikańskim, a „Byron” jego byłym sekretarzem. Od trzech miesięcy czekają na rozstrzelanie.

– *La muerte* – powtarza trzeci mężczyzna. Jest andaluzyjskim chłopem, milicjantem, który dostał się do niewoli na froncie pod Almerią.

Carlosa nie ma, zdaje się, że choruje.

Carlos jest Włochem, porucznikiem z kontyngentu włoskiego walczącego pod rozkazami Franco. Jego aresztowanie ma chyba jakiś związek z jego niemieckim przyjacielem.

Milicjant nazywa się Nicolás. Dostał się do niewoli przed dziesięcioma dniami i tydzień później został skazany. Oskarżono go, jak wszystkich jeńców wojennych, o *rebelión militar*, zbrojny bunt. Podczas spaceru po patio Nicolás opowiedział nam o swoim procesie przed sądem wojskowym w Sewilli.

Trwał on trzy minuty. Przewodniczący sądu odczytał imię i nazwisko oskarżonego, nazwę miejsca jego urodzenia i miejscowości, w której został pojmany. Prokurator zażądał kary śmierci i dodał: „Żałuję tylko, że nie mogę tego *rojecillo* – małego, czerwonego robaka – wysłać przed rozstrzelaniem w klatce do Genewy, aby pokazać Lidze Narodów, jak żałośnie wyglądają ci rzekomi bojownicy o sprawiedliwość i demokrację”.

Potem wyprowadzono go.

Nicolásowi udało się zdobyć skądś główkę sałaty; skubał ją podczas swojej opowieści i proponował każdemu z nas po listku. Odmówiłem ze względu na chorobę, ale pozostali łapczywie schrupali swoje liście.

– Kiedy według was mnie rozstrzelają? – zapytał Nicolás między kęsami.

– *Paciencia*, synu – odparli republikanie z typową dla starych więźniów pogardą dla nowicjusza. – Trzeba mieć cierpliwość. My czekamy już trzy miesiące.

Ale potem wszyscy zaczynają pocieszać Nicolása. Boi się bardziej

od nas, bo atrament na jego wyroku śmierci jeszcze nie wysechł. Przekonujemy go, że wyroki śmierci to tylko żart mający nas nastraszyć, a w rzeczywistości nikogo nigdy nie rozstrzelano. My trzej, którzy siedzimy w więzieniu w sumie osiem miesięcy, jesteśmy tego żywym dowodem. Skwapliwie w to uwierzył i w końcu my też w to uwierzyliśmy. Zrobiło się nam wesoło i „Byron” zaproponował, żeby od godziny pierwszej do trzeciej wywieszać na patio taką tabliczkę:
„Wstęp tylko za okazaniem wyroku śmierci”.

Powiedziałem Nicolásowi, że chętnie pożyczę mu książkę, ale odparł, że nie umie czytać. Pogłaskał okładkę Tołstoja swoimi zrogowaciałymi chłopskimi palcami, a w jego oczach pojawił się smutek. Powiedział, że kiedy wygramy wojnę, chciałby nauczyć się czytać.

Środa, 14 kwietnia (Rocznica proklamowania Republiki Hiszpańskiej)

Przy śniadaniu dałem strażnikowi list do brytyjskiego konsula, ale przyniósł go z powrotem, bo w cenzurze więziennej powiedzieli, że listy muszą być pisane po hiszpańsku.

W południe list został wreszcie wysłany – widziałem, jak don Antonio wkłada go do skrzynki w korytarzu. Mówi, że konsul na pewno jutro przyjedzie.

Odrażająca kłótnia z Angelitem o trzy pesety. Powiedział, że gwizdże na moje pieniądze, ale ich nie oddał.

Tuż po pierwszej, tym razem dość punktualnie, wypuszczono mnie znów na dziedziniec. Byli tam dwaj republikanie i Carlos.

Brakowało jednak Nicolása.

Chciałem zapytać strażnika, co się z nim stało, ale obaj republikanie odwieśli mnie od tego. Carlos trzymał się od nas z daleka. Wyciął z papieru swastykę i wetknął ją do dziurki od guzika, a potem maszerował samotnie tam i z powrotem wzdłuż muru zewnętrznego.

W końcu jednak zapytałem strażnika. Wzruszył ramionami i nic nie powiedział...

Spoczywaj w pokoju, Nicolás. Miejmy nadzieję, że wszystko poszło szybko i że zbytnio nie cierpiałeś. Wybrali uroczysty dzień na twoje rozstrzelanie.

Byłeś małym andaluzyjskim chłopem z nieco wylupiającymi oczami, jednym z pobres y humildes; ta książka jest poświęcona Tobie. Co ci po tym? Nawet gdybyś żył, nie mógłbyś jej przeczytać. Dlatego Cię rozstrzelali; bo miałeś czelność mówić, że chcesz nauczyć się czytać. Ty i kilka milionów takich jak Ty chwyciliście za swoje stare karabiny, aby bronić nowego porządku, który mógł kiedyś nauczyć was czytać.

Nazywają to zbrojnym buntem, Nicolás. Nazywają to ręką Moskwy, Nicolás. Nazywają to instynktami motłochu, Nicolás. To, że człowiek chciałby nauczyć się czytać.

Na Boga, naprawdę powinni Cię byli wysłać do Genewy w klatce z napisem:

„Ecce homo Anno Domini 1937”

Zamierzałem przerwać głodówkę, gdy tylko mój list do konsula zostanie wysłany.

List wyekspediowano tuż przed moim wyjściem na patio. Potem dowiedziałem się o egzekucji Nicolása i byłem tak zdruzgotany, że odłożyłem świętowanie pierwszego posiłku do następnego dnia.

Był to czwartek, 15 kwietnia.

Na śniadanie wypilem kawę ze skondensowanym mlekiem i zjadłem ciasto z kantyny; upłynęło dokładnie dziesięć dni, odkąd po raz ostatni miałem coś w ustach. Ale nie potrafiłem się cieszyć. Każdy kęs przypominał mi o sałacie, którą częstował mnie Nicolás.

Nie mogłem się doczekać pierwszej i ponownego wyjścia na dziedziniec. Carlos ze swoją swastyką już tam był.

Ale dwóch republikanów nie było.

Chodziliśmy z Carlosem tam i na powrót, nie patrząc na siebie i, obaj bardzo bladzi, zerkaliśmy na drzwi, przez które powinni wejść.

W końcu Carlos podszedł do mnie – dotychczas nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa – przedstawił się oficjalnie jako porucznik Carlos T. i powiedział, że wczesnym rankiem widział przez judasza, jak obu prowadzono korytarzem.

Nie wyjawiał, co o tym myśli. Ja też nic nie powiedziałem. W milczeniu chodziliśmy po pustym dziedzińcu.

Ale kilka sekund później drzwi się otworzyły i weszło przez nie dwóch republikanów, umytych i ogolonych.

Tak się ucieszyliśmy na ich widok, że podbiegliśmy do nich, ściskaliśmy im ręce i klepaliśmy po plecach. Wyjaśnili, że rano poprowadzono ich do łaźni. Nie zdradziliśmy ani słowem, że obawialiśmy się najgorszego, ale domyślili się tego.

Dzięki temu zdarzeniu Carlos i ja nagle staliśmy się przyjaciółmi. Rozmawialiśmy ze sobą po niemiecku; opowiedział mi swoją historię.

Carlos był porucznikiem wojsk włoskich. Brał udział w zdobywaniu Malagi i pamiętał, że podczas wkraczania do miasta przechodził obok domu sir Petera – rzuciła mu się w oczy brytyjska flaga. Twierdził nawet, że chyba widział mnie na tarasie.

Potem został odkomenderowany na front madrycki. Wcześniej jednak spędzał kilkudniowy urlop w Sewilli i zaprzyjaźnił się tam z niemieckim kierowcą. Nazywał się on Johnnie i był owym blondynem, którego widywałem na dziedzińcu.

Jak się później okazało, Johnnie był niebieskim ptakiem; popełnił kilka przestępstw i po wybuchu wojny hiszpańskiej zgłosił się na ochotnika do niemieckiego korpusu ekspedycyjnego, bo słyszał, że można tam zarobić dużo pieniędzy. W połowie marca, na żądanie władz niemieckich, Johnnie został aresztowany w Sewilli, a Carlosa odwołano z frontu madryckiego do Sewilli, aby złożył zeznania w sprawie swego przyjaciela. Miał się stawić w głównym komisariacie policji. Podczas przesłuchania był bardzo niegrzecznie traktowany przez funkcjonariuszy Guardia Civil; uznał to za obrazę swego honoru oficerskiego i spoliczkował komisarza policji. Skuto go kajdankami i wsadzono do więzienia.

Najdziwniejsze w tej całej dziwnej historii było to, że Carlos spacerował razem z nami, skazanymi na śmierć. Przypuszczalnie władze nie chciały, aby kontaktował się z Johnniem. Nie mogły jednak umieścić włoskiego oficera razem z kryminalistami z „pięknego patio”. Znalazł się więc u nas.

Tak rozumowaliśmy. Ale Carlos wyznał mi, że przebywanie w naszym towarzystwie bardzo go niepokoi. Bał się, że któreś nocy przyjdą po niego i ni stąd, ni zowąd go rozstrzelają. Powiedziałem, że to absurd i że w ciągu kilku dni jego sprawa się wyjaśni.

Odparł, że gdybym wiedział, jakie stosunki panują między

Hiszpanami a Włochami, to bym nie był takim optymistą. Wymownie świadczy o nich to, że włoski oficer mógł zostać wyprowadzony w kajdankach i uwięziony. Przyjechał do Hiszpanii powodowany szczerym entuzjazmem (na marginesie, zarabiał 4000 lirów miesięcznie plus 40 peset dziennej diety); a teraz wsadzili go do ciupy jak pierwszego lepszego kryminalistę, zabrali mu pieniądze i dokumenty. Nie ma co palić, nie ma grzebienia, mydła, niczego do czytania...

Odpowiedziałem, że nie musi ciągnąć tego wyliczenia, znam je świetnie. Był to właściwie sympatyczny człowiek, ale nie mogłem się oprzeć uczuciu niejakiej satysfakcji z jego nieszczęścia.

Miał dwadzieścia dwa lata, był Włochem pochodzenia austriackiego i studiował filozofię w Mediolanie. Po studiach chciał zostać nauczycielem łaciny.

Nosił swastykę, bo nie potrafił wyciąć z papieru różeg liktorskich.

Powiedział, że był wcześniej przekonany, iż po stronie czerwonych walczą głównie Rosjanie i bardzo się zdziwił, że jest tam tylu Hiszpanów.

Sądził też przedtem, że wszyscy czerwoni są barbarzyńcami, więc bardzo go zdumiało, iż dwaj republikanie i ja jesteśmy takimi miłymi ludźmi.

Carlos był wzruszającą mieszanką naiwności, ciasnoty umysłowej i szczerzej ambicji dojścia do czegoś w życiu. Ale jak widać nie przychodziło mu to łatwo.

* *
*

Dwa pierwsze miesiące w sewilskim więzieniu spędziłem w zupełnej izolacji. Dopiero teraz, nawiązawszy kontakt z innymi więźniami, dowiedziałem się, co się wokół mnie dzieje.

Dowiedziałem się, że w ciągu tygodnia od mojego przybycia rozstrzelano trzydziestu siedmiu ludzi z wielkiego patio.

W ostatnim tygodniu lutego nie było żadnych egzekucji. W marcu rozstrzelano czterdzieści pięć osób.

Zdecydowaną większość ofiar stanowili jeńcy wojenni z frontów wojny domowej. Rozprawy sądowe wyglądały zawsze tak jak proces Nicolása.

Co prawda, nikt nie został rozstrzelany bez procesu, ale

frankistowskie procesy były czymś haniebniejszym niż bezceremonialne zabijanie jeńców na froncie zaraz po ich wzięciu do niewoli.

Wszystkich jeńców wojennych, bez żadnych wyjątków, oskarżano o *rebelión militar*. Ludzi broniących legalnego rządu przeciwko zbrojnej rebelii nielegalne sądy skazywały za udział w rebelii i choć procesy były kpiną z wymiaru sprawiedliwości, orzeczone wyroki obowiązywały i były wykonywane.

Scenariusz tej ponurej farsy wyglądał zawsze tak samo. Rozprawa trwała dwie albo trzy minuty. Tak zwany prokurator żądał kary śmierci, zawsze i bez wyjątku. Tak zwany obrońca – zawsze i bez wyjątku – wnosił o dożywocie ze względu na okoliczności łagodzące. Potem więźnia wyprowadzano. Gdy tylko drzwi się za nim zamykały, wydawano wyrok. Oskarżony nie znał więc jego treści. A brzmiał on, zawsze i bez wyjątku – śmierć.

Sąd przesyłał orzeczenie głównodowodzącemu Armii „Południe”, generałowi Queipo de Llano. Queipo podpisywał całe listy. Od 20 do 25 procent skazanych – zależnie od humoru generała albo sytuacji na froncie – było ułaskawianych. Resztę rozstrzeliwano.

Z formalnego punktu widzenia ostateczna decyzja należała do generała Franco. Niekiedy – zwłaszcza gdy groziły komplikacje międzynarodowe – Franco korzystał z prawa łaski. Spisów skazanych *pobres y humildes* nigdy nawet nie widział. Nicolás na przykład został rozstrzelany czwartego dnia po swoim procesie. Jest fizycznie niemożliwe, aby jego akta w tak krótkim czasie trafiły z sądu do generała Queipo, stąd do kwatery głównej Franco w Salamance albo w Burgos, i z powrotem do Sewilli.

Od opuszczenia sądu wojennego skazany nie wiedział, co go czeka. Jeśli wyrok śmierci zamieniono mu na trzydzieści lat więzienia, zawiadamiano go o tym listownie – tydzień, miesiąc albo rok później. Jeżeli wyrok śmierci został zatwierdzony, dowiadywał się o tym dopiero wtedy, gdy prowadzono go na egzekucję.

A tymczasem mógł grać w piłkę, skakać żabką albo codziennie odliczać na guzikach płaszcz, czy tej nocy zostanie rozstrzelany.

Na patio byli ludzie, którzy czekali na rozstrzelanie od czterech miesięcy. Rekord należał do pewnego kapitana milicji: cztery i pół

miesiąca. Rozstrzelano go dopiero kilka dni przed moim wyjściem na wolność.

Nicolás miał szczęście, musiał czekać tylko cztery dni.

W marcu rozstrzelano czterdziestu pięciu ludzi.

W pierwszych trzynastu dniach kwietnia nie było egzekucji.

W nocy z 13 na 14 kwietnia, dla uczczenia rocznicy republiki, rozstrzelano siedemnastu ludzi, wśród nich Nicolása.

Dwie noce później, z czwartku na piątek, rozstrzelano ośmiu. Wtedy po raz pierwszy to usłyszałem.

Wszystko odbywało się bardzo cicho. Może dlatego nic wcześniej nie słyszałem. Tym razem jednak nie spałem, nasłuchiwałem.

Dowiedziałem się wcześniej, że krytyczny czas to od dwunastej do drugiej w nocy. Przez kilka dni stałem od północy do drugiej rano z uchem przyciśniętym do drzwi celi.

Pierwszej nocy, z wtorku na środę, nic się nie stało.

Drugiej nocy...

Na wspomnienie tej nocy wciąż robi mi się niedobrze.

Zasnąłem i obudziłem się tuż przed północą. W mrocznej ciszy więzienia wypełnionej koszmarami tysiąca trzystu śpiących mężczyzn usłyszałem, jak ksiądz mamrocze swoje modlitwy, a dzwonek kościelny podzwania cicho.

Potem otworzyły się drzwi celi, trzeciej po lewej ode mnie, i wywołano jakieś nazwisko.

– *Qué?* O co chodzi? – spytał zaspany więzień; głos księdza stał się wyraźniejszy, a dzwonek zabrzmiał głośniejsz.

Wtedy zaspany mężczyzna zrozumiał. Zrazu tylko jęknął, a potem zdławionym głosem zaczął wołać o pomoc:

– *Socorro, socorro!*

– *Hombre*, nikt ci nie pomoże – rzekł strażnik towarzyszący księdzu.

Nie powiedział tego ani wrogim, ani serdecznym tonem; po prostu stwierdził fakt. Człowiek idący na śmierć na chwilę zamilkł; trzeźwy, rzeczowy ton strażnika odebrał mu głos. A potem zaczął się śmiać.

Śmiał się cicho, uderzał się rękami po udach, chichotał i krztusił się. – Wy przecież żartujecie. Od razu wiedziałem, że to tylko żart.

– *Hombre*, to wcale nie żart – odparł strażnik wciąż tym samym suchym tonem.

Wyprowadzili go.

Słyszałem, jak krzyczał na zewnątrz. Salwa rozległa się dopiero kilka minut później.

Tymczasem ksiądz i strażnik otworzyli drzwi następnej celi. Była to cela nr 42, druga po lewej. I znowu „*Qué?*”, znów modlitwa i dzwonek. Ten więzień płakał i siąkał nosem jak dziecko. Potem wzywał matkę: „*Madre, madre!*”.

I znowu: „*Madre, madre!*”.

– *Hombre*, dlaczego nie pomyślałeś o niej wcześniej? – zapytał strażnik.

Wyprowadzili go.

Podeszli do następnej celi. Kiedy wywoływali mojego sąsiada, ten nie powiedział nic. Najprawdopodobniej nie spał i tak jak ja był przygotowany. Ale kiedy ksiądz skończył swoją modlitwę, zapytał jakby do siebie:

– Dlaczego muszę umierać?

Ksiądz odpowiedział zdaniem wypowiedzianym bardzo podniośle, choć dość pospiesznie:

– Miej ufność w Bogu, człowiecze. Śmierć oznacza wolność.

Wyprowadzili go.

Podeszli do mojej celi i ksiądz odsunął rygiel. Widziałem go przez judasza, był niski, czarny i tłusty.

– Ten nie – rzekł strażnik.

Poszli do następnej celi. Jej lokator też nie spał. Nie zadawał żadnych pytań. Kiedy ksiądz się modlił, zaczął cicho śpiewać *Marsyliankę*. Ale po pierwszych taktach głos mu się załamał i zaczął płakać.

Wyprowadzili go.

A potem znów zaległa cisza.

Tej nocy często się budziłem; miałem wrażenie, że prycza drży, jakby trzęsła się ziemia. Potem zrozumiałem, że to moje ciało dygocze od stóp do głów. Kiedy się budziłem, nieruchomiałem, gdy zapadałem w sen, nerwowy dygot powracał. Zrazu myślałem, że to trwała

przypadłość niczym nerwica frontowa; ale po dwóch jeszcze napadach w następnych dniach wszystko przeszło.

W ciągu pięciu dni rozstrzelano czterdziestu siedmiu ludzi. Nawet w tym więzieniu był to rekord. Więźniowie spacerujący po patio mieli szare twarze; podczas meczu piłki nożnej dwóch graczy pobiło się i wrywało sobie włosy garściami. Rankiem strażnicy z nocnej zmiany przemykali się korytarzem z podkrążonymi oczami, przestraszeni i zmieszani. Nawet Angelito, który noc w noc musiał otwierać drzwi do cel skazańców, przyszedł któregoś ranka z zapłakanymi oczami.

– Jeśli tak dalej pójdzie, wszystkich nas wykończą.

Moi dwaj republikanie z patio trzymali się najlepiej. Pewnego razu, w niedzielę, zajrzeliśmy do jednej z cel zbiorowych, z której każdego popołudnia o trzeciej jeden z przyjaciół pozdrawiał ich machaniem ręki; jego towarzysze pokazali nam na migi, że poprzedniej nocy przyszła jego kolej. „Byronowi” zrobiło się niedobrze i musiał zwymiotować; potem zapalił papierosa i opowiedział nieprzyzwoity dowcip.

Kiedy odprowadzano nas do cel, nie mieliśmy odwagi powiedzieć „*hasta mañana*” (do jutra), aby nie zapeszyć. Mruknęliśmy tylko „*hasta...*” i zawstydziliśmy się, że jesteśmy tacy przesądni.

Pewnego wieczoru don Antonio przyszedł do mnie podczas kolacji.

– Dlaczego tak mało jesz? – zapytał.

Odparłem, że nie mam apetytu.

– Boisz się?

Zastanowiłem się przez chwilę, a potem powiedziałem:

– Tak.

Nic na to nie odpowiedział. Wzruszył ramionami, poczęstował mnie papierosem i cicho zamknął drzwi.

Poniedziałek, 19 kwietnia

Do tej pory zawsze byłem golony w celi; wczoraj zaprowadzono mnie do fryzjera. Pierwszy raz od dwóch i pół miesiąca zobaczyłem się w lustrze. Zdumiałem się, że się tak mało zmieniłem. Człowiek jest naprawdę elastyczny jak piłka futbolowa; dostajesz kopniaka i myślisz, że rozpadniesz się na kawałki. Ale zewnętrzna powłoka wraca do dawnego stanu, a jedynym śladem jest co najwyżej grudka błota, która się do niej przykleiła. Gdyby nasza świadomość stanowiła sumę

naszych doświadczeń, w dwudziestym piątym roku życia bylibyśmy siwi.

Dziś rano, zaraz po wydaniu śniadania, strażnik z Angelitem przyszli do mojej celi.

– Chodź szybko – powiedział strażnik. – Twój przyjaciel zwariował.

Poszliśmy do celi nr 37. Na podłodze, równoległe do pryczy, leżał jak długi Carlos, ze swastyką w dziurce od guzika. Twarz miał całą spoconą, oczy szeroko otwarte, a na ustach pianę. Przyjrzałem mu się ze zdziwieniem i nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Strażnik dźgnął mnie pod żebro.

– No powiedz coś do niego – zachęcił. – Porozmawiaj z nim po niemiecku.

Carlos znał tylko kilka słów po hiszpańsku; już kilka razy służyłem mu za tłumacza.

Zapytałem, co mu jest. Potrząsałem nim, uszczypnąłem go w ramię – na nic nie reagował i wyglądało na to, że mnie nie poznaje. Razem z Angelitem wzięliśmy wiadro wody i wylaliśmy mu ją na głowę. Potem zaczęliśmy go ciągnąć za uszy. Dopiero wtedy się ocknął, zaczął jęczeć i wymachiwać rękami. Trzymaliśmy go mocno i tak długo do niego przemawiałem, aż w końcu mnie poznał i zaczął się bezładnie skarżyć, że bolą go plecy i że nie może ruszać nogami. Obmacaliśmy mu nogi; były sztywne jak kłody i nie zginały się w kolanach. Kiedy próbowaliśmy je zgąć siłą, Carlos krzyknął z bólu.

Położyliśmy go w końcu na pryczy i po chwili przyszedł pomocnik lekarza, więzień, student medycyny. Wspólnie orzekliśmy, że to histeria. Potem zjawił się *jefe de servicio* i powiedział, że Carlos symuluje i że jeśli nie będziemy na niego zwracać uwagi, to wróci do siebie.

Wreszcie wszyscy wyszli z celi i zostawili mnie samego z Carlosem. Nie odwracałem głowy, ale byłem pewien, że *jefe* patrzy na nas przez wizjer.

Powiedziałem Carlosowi, że jeśli symuluje, może mi spokojnie o tym powiedzieć, bo na pewno go nie wydam. Ale nie rozumiał, co do niego mówię, zdołałem wyciągnąć z niego tylko tyle, że słyszał w nocy te same dźwięki co ja, że ksiądz z dzwonkiem zbliżał się do jego

celi; dzwonek był coraz bliżej i dalej już nic nie pamięta...

Po kilku minutach przyszli po mnie i zamknęli w celi. *Jefe* powiedział, że jeśli Carlosowi nie poprawi się do południa, to trafi do karceru – to go na pewno wyleczy.

Biedny Carlos. Jego nogi okazały się mądrzejsze od głowy. Kiedy myślał, że przyszli wziąć go na rozstrzelanie, zeszywniały i odmówiły posłuszeństwa.

Jeśli zostanie kaleką, nie przypną mu do piersi orderów.

Po południu byliśmy na patio tylko we trzech. Opowiedziałem o wszystkim „Byronowi” i suchotnikowi; wzruszyli ramionami i nie okazali współczucia. Ale potem dali Angelicie trochę papierosów i poprosili, żeby zaniósł Carlosowi.

Podczas kolacji zapytałem strażnika, jak się miewa Carlos. Popukał się tylko w czoło i rzekł:

– Twój *amigo* zwariował.

Napisałem nowy list do konsula. Pierwszy nadano przed pięcioma dniami. Od tej pory codziennie i co godzina czekam na jego odwiedzinę, a przynajmniej odpowiedź. Jestem przekonany, że pierwszy list musiał gdzieś zaginąć; inaczej nie da się wyjaśnić tego, że w ciągu dwudziestu czterech godzin nie odpowiedział na moje wołanie o pomoc.

Straszliwy zawód. Przez dwa i pół miesiąca walczyłem o pozwolenie na napisanie listu – przez dziesięć dni miałem „zawały serca” – a teraz żadnej odpowiedzi, nic.

Wtorek, 22 kwietnia

Wczoraj późnym wieczorem list od konsula, z datą 20. Pisze, że otrzymał moje listy z 14 i 19 kwietnia i zwrócił się o pozwolenie odwiedzenia mnie.

I znów głazy zamieniły się w balony.

Z początku szalałem z radości – potem poczułem do siebie wielkie obrzydzenie, że teraz, gdy jestem względnie bezpieczny, stałem się tak obojętny na los innych. To obrzydzenie było tak silne, że nie mogłem zasnąć, choć dzisiejszej nocy nic się nie działo. Ciekawe, że wszystkie szczęśliwe wydarzenia – list z domu, pieniądze, list od konsula – zwracają się przeciwko mnie. Dźwiganie brzemienia innych to dla mnie niemal imperatyw kategoryczny; i jest wyłącznie kwestią gustu,

że mówię „brzemień” zamiast „krzyż”.

Ale z tego samego źródła wypływa równie gorące pragnienie, żeby zabić tego małego, czarnego i tłustego księdza, który nocami podzwania dzwonkiem.

Carlos czuje się dziś lepiej; przechadza się z nami po dziedzińcu. Jego nogi są wciąż trochę sztywne, ale i to pewnie niedługo przejdzie.

Piątek, 23 kwietnia

O trzeciej po południu, kiedy wprowadzano nas do budynku, pozwolono mi pójść do kantyny i kupić sobie papierosów za ostatnie kilka peset. Przed kantyną stał Johnnie i pił kawę. Wyglądało, jakby chciał zacząć ze mną rozmowę, ale odwróciłem się do niego plecami. Potem przyszedł bibliotekarz. Był w świetnym humorze i powiedział mi, że jutro odsyłają go w końcu do Francji.

Konsul jeszcze nie przyjechał. A jeśli w ogóle go nie wpuszczą?

Sobota, 24 kwietnia

Wczoraj przyszedł do mnie młody Caballero w towarzystwie strażnika. To miły młodzieniec, ma dwadzieścia pięć – dwadzieścia sześć lat, może nawet mniej, nosi brunatny kombinezon. Wyjątkowo dokładnie go pilnują, od blisko roku jest *incomunicado*, nie może z nikim rozmawiać, nie wychodzi na patio i może tylko spacerować po korytarzu przez dwie godziny dziennie w towarzystwie strażnika. Często widziałem go przez judasza; jest zawsze czysty, ogolony, uczesany i humor mu dopisuje. A przecież noc w noc przeżywa to samo co ja – a co musiał przeżywać w pierwszych kilku miesiącach, kiedy każdej nocy stu, dwustu, trzystu więźniów wyprowadzano na egzekucję, wówczas jeszcze bez procesu i innych formalności...

Albo chłopak ma prosty, dziecinny charakter, albo musi być niesamowicie twardy. Nie potrafię powiedzieć.

Strażnicy bardzo go lubią. Kiedy wczoraj zjawił się w mojej celi, strażnik wyjaśnił, że nie możemy ze sobą rozmawiać i przyszli tylko dlatego, że „Caballerito” nie ma nic do czytania, a słyszał, że ja mam pierwszy tom *Wojny i pokoju*. Czy może już go przeczytałem albo mógłbym pożyczyć „Caballerito” na jedną noc?

Dałem mu książkę i zapytałem, czy mógłbym uścisnąć „Caballerito” rękę. Uśmiechnęliśmy się do siebie i kiedy podawaliśmy

sobie ręce, zobaczyłem, że oczy młodego człowieka zrobiły się wilgotne. Potem odeszli z Tołstojem.

Na patio Carlos opowiedział mi, że rano dwóch gwardzistów zaprowadziło go do włoskiego konsulatu. Wysłuchawszy jego opowieści, konsul pokręcił tylko głową z rezygnacją i zapewnił, że w ciągu kilku dni zostanie zwolniony. Carlos odniósł wrażenie, że konsul ma codziennie kilkanaście takich spraw. Pod bramą więzienia spotkał dyrektora, który powiedział do niego ze zdziwieniem:

– Myślałem, *teniente*, że już pana zwolniono.

Oczywiście jest bardzo szczęśliwy. Przez cały czas wyciągał od nas pieniądze; teraz obiecuje nam góry złota, jak tylko wyjdzie na wolność. Chce napisać do Mussoliniego, że nasza trójka powinna zostać zwolniona. Przeczytał nam nawet brudnopis listu. Zaczyna od opisu swoich studiów, kariery w ruchu faszystowskim, wojskowej rangi i czynów wojennych w Hiszpanii. Potem pisze, że przekonał się, iż nie wszyscy czerwoni są przestępcami, ale wielu z nich to zbłąkani idealisci; dalej następuje wzruszająca charakterystyka naszej trójki, a w końcu autor grzecznie, ale dobitnie wyraża nadzieję, że Duce na dowód swej szlachetności pozwoli nam się połączyć z bliskimi.

Musiałem przetłumaczyć list Carlosa na hiszpański; okazaliśmy się na tyle taktowni, że wysłuchaliśmy go ze śmiertelnie poważnymi minami.

Niedziela, 25 kwietnia

Konsul wciąż nie przyjeżdża, Carlos nadal nie został zwolniony.

Poniedziałek, 26 kwietnia

Dziś wieczorem zostałem wezwany do kancelarii. Dwóch dobrze odżywionych panów z biura prasowego w Salamance przywitało się ze mną bardzo grzecznie i przekazało jeszcze jeden list od żony.

Zawiera on nieco więcej informacji niż pierwszy. Moja żona pisze, że „zdziwiła się, ilu mamy przyjaciół” i że „ma nie tylko nadzieję, ale przekonanie, iż niedługo już będę musiał czekać na zwolnienie”.

To ostatnie jest niewątpliwie pobożnym życzeniem, ale pierwsze wskazuje, że akcja protestacyjna trwa.

List przesłano do Salamanki za pośrednictwem arcybiskupa Westminsteru.

Ale z jego treści jasno wynika, że moja żona mimo wszelkich starań nie zdołała ustalić, gdzie przebywam. Jaki cel mogą mieć władze frankistowskie w ukrywaniu miejsca mojego pobytu?

Środa, 28 kwietnia

Dzisiaj przyjechał konsul.

Powiedział, że rząd brytyjski życzliwie interesuje się moją sprawą i że otrzymał instrukcje, aby się mną zaopiekować. W Izbie Gmin składane są interpelacje w mojej sprawie. Żona poruszyła niebo i ziemię, aby wydobyć mnie z więzienia. Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych pytało władze frankistowskie, o co jestem oskarżony, ale Franco odmówił odpowiedzi, zasłaniając się tym, że moja sprawa jest wciąż *sub iudice*.

Sub iudice – a to dobre. Dotąd twierdzili, że sąd wojenny skazał mnie na śmierć, a tu nagle okazuje się, że sprawa wciąż się toczy; przecież ani razu nie wezwali mnie jeszcze na przesłuchanie.

Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć, i konsul chyba też tego nie wie. Zapytałem go, czy Franco oficjalnie zapewnił, że nie zostanę rozstrzelany. Odpowiedział, że o ile mu wiadomo takie oświadczenie nie zostało dotąd wydane. Nie wiem nawet, czy z tego, że moja sprawa jest *sub iudice*, należy się cieszyć czy smucić. Prawdopodobnie szum wokół mojej osoby nie jest Franco na rękę i jego ludzie chcą urządzić formalny proces, aby skazać mnie „jak należy”. Spreparują materiał, który opublikowałem na temat niemieckich pilotów, tak aby wystarczył do wyroku skazującego.

Słowem, wiem tyle co przedtem.

Najbardziej się boję, że Queipo zrobi z tego sprawę prestiżową, może nawet mieszając w nią autorytet Franco. Wygląda na to, że dotychczas Salamanka broniła mnie przed Queipo; ale jestem w Sewilli, a nie w Salamance.

Konsul obiecał, że będzie mnie odwiedzał co tydzień i zaraz da mi znać, gdy otrzyma jakieś nowe informacje z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Poprosiłem go o różne drobiazgi: pieniądze, szachownicę, książki – przyrzekł, że następnym razem je przyniesie. Rozmawialiśmy prawie godzinę w kancelarii. Kiedy wracałem do celi, strażnik pokazał mi zwykłą salę widzeń.

Jest to wielkie pomieszczenie z żelazną klatką w środku. Więźniowie siedzą w niej na podłodze. Wokół klatki jest pusta przestrzeń na mniej więcej pięć kroków. Po jej drugiej stronie siedzą żony więźniów i krzykiem prowadzą rozmowę. W sali jest przynajmniej sto osób. Nie mam pojęcia, jak w tej ogłuszającej wrzawie można się w ogóle porozumieć. Widzenia trwają dziesięć minut. Każdy więzień ma prawo do jednego widzenia w tygodniu.

Piątek, 30 kwietnia

Cały czas bóle głodowe. Pragnienie jeszcze dotkliwsze. Czuję się chory i rozbity, serce wali mi jak młotem. Ulewa. Carlos dowiedział się, że Johnnie wyszedł na wolność, i szaleje z zazdrości. Przecież to przez Johnniego znalazł się w więzieniu, a teraz Johnny jest wolny, on zaś siedzi dalej...

Wczoraj ogłosił głodówkę, ale dziś znowu zaczął jeść – powiedział, że zapach kawy tak podrażnił mu nozdrza, że nie wytrzymał.

Ostatnie noce były spokojne. Ale boimy się 1 maja.

Środa, 5 maja

Wczoraj późną nocą Carlos został przeniesiony do mojej celi. Przybył nowy transport więźniów; więzienie jest przepelnione.

Bardzo się ucieszyliśmy i przegadaliśmy całą noc.

Dziś rano przenieśli nas obu do celi nr 17.

Znajduje się ona po drugiej stronie korytarza, okno wychodzi na „piękne patio”. Kiedy pierwszy raz wyrzeliśmy rankiem przez to okno i zobaczyliśmy klomby i zielone drzewa, wydało mi się to bajką. Kwiaty i drzewa nie są oczywiście szczególnie wspaniałe – „piękne patio” przypomina jeden z tych biednych parków w dzielnicach robotniczych. Ale najważniejsze, że kwiaty i drzewa są kolorowe. Nagle uświadomiłem sobie, że wszyscy tu żyjemy w świecie, który zna tylko odcienie czerni i szarości.

Chciałem sprawdzić, czy tylko ja tak silnie reaguję na te rzeczy, czy też moja reakcja jest typowa dla więźnia. Nie zdradziłem się słówkiem Carlosowi ze swego zachwytu; sam zaczął mówić, jak cudne są drzewa i kwiaty i omal nie klaskał w ręce z radości jak dziecko.

Czwartek, 6 maja

Wczoraj zabrali z naszej celi żarówkę. W więzieniu i całej Sewilli

brakuje żarówek. Strażnik wyjaśnił nam, że potrzebuje jej do celi z nowymi *incomunicados* i *ojos*.

– Jesteście grzeczni – powiedział. – Nie trzeba was już obserwować.

Bardzo nam to pochlebiło. Należymy teraz do więziennego patrycjatu. Strażnicy rozmawiają z nami poufnym tonem o sprawach służbowych; weszliśmy do rodziny.

Tak się robi karierę.

Przez ostatnie osiem dni nie było egzekucji.

Sobota, 8 maja

Pierwszy raz byłem przesłuchiwany.

O wpół do drugiej po południu dźwięk otwieranych drzwi obudził mnie z poobiedniej drzemki.

– Venga, chodź – głos strażnika zabrzmiał bardzo zimno i oficjalnie, dawno już nie słyszałem takiego tonu.

Zaprowadzili mnie do kancelarii. Był tam jakiś oficer i umundurowany stenotypista.

Od razu wiedziałem, że to sędzia śledczy sądu wojskowego. Od dawna wyobrażałem sobie tę sytuację.

Miał przed sobą grubą teczkę akt; kiedy ją otwierał, udało mi się zobaczyć napis na okładce. Było tam moje nazwisko, a w nawiasie zarzut: *Auxilio de rebelión militar*. Wiedziałem, że za „pomoc zbrojnej rebelii” sąd wojenny Franco przewiduje tylko jeden wyrok: śmierć. Mimo to poczułem ulgę. Wydawało mi się dobrym znakiem, że sami wycofali się z zarzutu szpiegostwa.

Przesłuchanie trwało około dwóch godzin. Przez blisko pół godziny sędzia śledczy usiłował mnie zmusić do przyznania, że „News Chronicle” to gazeta komunistyczna. Ignorancja tego człowieka była zdumiewająca. Uważał, że gazeta, która zajmuje lojalne stanowisko wobec legalnego rządu hiszpańskiego, musi mieć orientację komunistyczną. Przesłuchanie zamieniło się w dyskusję. Kiedy się zorientował, że się ośmiesza, stał się opryskliwy.

Pozostałe pytania dotyczyły mojego pierwszego pobytu w Sewilli, mojej podróży do Malagi itd. Powiedziałem, że o tym wszystkim opowiadałem już pannie Helenie od Hearsta.

Zapytał, kim są ludzie, którzy w Anglii „pociągają potajemnie za sznurki czerwonej propagandy”.

Wymieniłem od dwudziestu pięciu do trzydziestu nazwisk, które pojawiały się na apelach i w relacjach z publicznych zgromadzeń, profesorów uniwersytetów i arystokratów. Kiedy doszedłem do księżnej Atholl, miał dość.

Na zakończenie zapytał:

– Kiedy był pan pierwszy raz na terytorium narodowym, nie został pan aresztowany?

– Nie – odpowiedziałem.

– Niesamowite.

Na tym przesłuchanie się skończyło.

Wróciłem do celi bardzo zadowolony. Z początku miałem obawy, ale głupota sędziego śledczego przywróciła mi wiarę w siebie.

Z wielkim upodobaniem opowiedziałem Carlosowi o przesłuchaniu. Był kiepskim słuchaczem i z każdą chwilą denerwował się coraz bardziej. W końcu powiedział, że nie rozumie, jak mogę się cieszyć, skoro jestem oskarżany o „pomoc zbrojnej rebelii”. To jest przecież „zupełnie straszne”.

Oczywiście to wystarczyło, aby mój dobry nastrój prysł; zasiadłem do pisania nowego listu do konsula z prośbą o pomoc.

Podczas pierwszej wizyty konsula uzgodniliśmy sygnał alarmowy: jeśli podkreślę datę, będzie to oznaczało SOS.

Napisałem list o błażej treści i podkreśliłem datę.

Niedziela, 9 maja

Carlosowi udało się napędzić mi stracha. Chodzi po celi i widzę, że uważa mnie już za trupa. Traktuje mnie z przesadnym szacunkiem i troskliwością, które działają mi na nerwy. Zawsze wołałem nieczułą pielęgniarkę od tej, która roztkliwiała się nade mną. Litość to echo naszej własnej niedoli i w dwójnasób tę niedolę potęguje.

Poniedziałek, 10 maja

Przyjechał konsul. On również trochę się zaniepokoił tym, że wezwano mnie na przesłuchanie. Nadal nie sposób uzyskać od Franco zapewnienia, że nie każe mnie rozstrzelać. Konsul przyznał co prawda, że Franco nie zależy chyba na mojej śmierci tak bardzo, aby chciał się

narażać na gniew brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale to dość słaba dla mnie pociecha. Zapytałem, czy nie można by mnie wymienić na jakiegoś jeńca republikańskiego, ale konsul odparł, że w obecnej chwili nie uważa tego za prawdopodobne.

Środa, 12 maja

Dziesięć minut temu kazano mi się spakować, bo mam wyjść na wolność.

Włożyłem do kieszeni szczoteczkę do zębów.

Carlos jest na patio...

Między sjeżdżalniami a kolacją drzwi mojej celi otworzyły się i wolność uderzyła mnie jak obuchem. Byłem oszołomiony i chwiejnym krokiem wkroczyłem z powrotem w życie; gdyby los zrządził inaczej, tak samo chwiejnie ruszyłbym na spotkanie śmierci.

Stojąc w korytarzu, dygotałem na całym ciele, przeżywając taki sam nerwowy wstrząs jak owej nocy, gdy na zewnątrz ktoś wołał o pomoc.

Wszystko, co nastąpiło w następnych minutach, pamiętam jak przez gęstą mgłę.

Na biurku dyrektora pali się żarówka. Otacza ją tęczowa aureola, taka jaką widać wokół latarni ulicznej kiwającej się we mgle. W fotelu dyrektora siedzi jakiś nieznajomy mężczyzna. Ma na sobie czarną koszulę bez krawata. Kłania mi się z afektacją.

– *Señor* – mówi – Zabieram pana stąd. Nie mogę powiedzieć dokąd, ale proszę się niczego nie obawiać, jesteśmy *caballeros*.

Idziemy oświetlonym korytarzem, nie wiem, co się ze mną dzieje, poruszam się jak we śnie. Wracamy do mojej celi, ściskam Carlosowi rękę, jest tak samo ogłupiała jak ja; drzwi odgradzają nas od siebie, zanim mamy czas powiedzieć cokolwiek. Znow idziemy korytarzem; luźne kartki dziennika wypadają mi z kieszeni. Człowiek w czarnej koszuli pomaga je zbierać. – Co pan tam ma, *señor*?

Na wierzchu leży list mojej żony podstemplowany przez cenzurę.

– Prywatne listy – mówię.

– Może je pan zatrzymać, *señor*. Jesteśmy *caballeros*.

Podążamy dalej korytarzem, otwieramy następne drzwi, ściskam rękę „Byronowi” i suchotnikowi; obaj są przerażeni.

– Dokąd cię prowadzą?

– Nie wiem – odpowiadam. – Bóg z wami.

Drzwi zatrząskują się. Idziemy dalej korytarzem i znów się żegnam
– z Angelitem, don Ramónem, don Antoniem.

Jesteśmy z powrotem w kancelarii.

– *Señor* – mówi człowiek w czarnej koszuli – jedziemy teraz do innego miasta i jeśli jest pan gotów złożyć pewne obietnice, będę mógł poczynić kroki w celu pańskiego zwolnienia.

Sięga po pióro i atrament. Na widok pióra i atramentu od razu się budzę.

– Drogi panie – mówię. – Wszystko dzieje się tak nagle i nieoczekiwanie. Kim pan jest? Co to za miasto, do którego chce mnie pan zawieźć? Jakie obietnice mam panu złożyć?

– Wolałbym, *señor*, nie zdradzać panu swojego nazwiska. Ale jesteśmy *caballeros*, może nam pan zaufać. Chcielibyśmy tylko, aby pan nam przyrzekł, że nie będzie się pan więcej mieszał w wewnętrzne sprawy Hiszpanii. Jeśli pan to obieca, będę mógł podjąć pewne działania na rzecz pańskiego zwolnienia.

– Nigdy nie mieszałem się w wewnętrzne sprawy Hiszpanii.

– Prowadził pan, *señor*, perfidną kampanię przeciwko narodowej Hiszpanii.

– Pisałem to, co widziałem i co o tym myślę. Nigdy nie wtrącałem się do wewnętrznych spraw Hiszpanii.

– Nie chcę się z panem spierać, *señor*. Jeżeli podpisze pan zobowiązanie, że nie będzie się pan mieszał w wewnętrzne sprawy Hiszpanii, będę mógł przedsięwziąć pewne kroki w celu pańskiego uwolnienia. Ale nie będziemy pana do niczego zmuszać, jesteśmy *caballeros*.

Podpisałem oświadczenie, że nigdy nie zamierzałem mieszać się w wewnętrzne sprawy Hiszpanii. Podpisałem też, że w więzieniu sewilskim byłem dobrze traktowany.

Dowiedziałem się później, że moje zwolnienie nie było aktem łaski ani gestem politycznym ze strony Franco. Zostałem wymieniony na jednego z więźniów rządu republikańskiego w Walencji.

Dowiedziałem się też, że wymieniono mnie na kobietę o nazwisku Haya.

Caballero w czarnej koszuli był jej mężem, jednym z naj słynniejszych pilotów lotnictwa Franco^[17].

Ponownie ruszyliśmy korytarzem, człowiek w czarnej koszuli i ja. Żelazna krata została odsunięta, przekręcono klucz w zamku, rygiel odskoczył. Za bramą była ulica.

Jechały po niej samochody i wozy zaprzężone w osły. Ludzie na chodniku chodzili jak chcieli, a nie czwórkami. Jakiś mężczyzna opierał się o ścianę i czytał gazetę. Dziecko siedziało w ulicznym kurzu i jadło winogrona.

W ogrodzie przed bramą więzienną stali wartownicy i flirtowali z dziewczętami o czarnych włosach, z różami za uszami, zupełnie jak Carmen. Miały na sobie spódnice i były bardzo urodziwe.

– *Señor* – rzekł człowiek w czarnej koszuli. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to wsiądziemy do samochodu.

Wsiadliśmy do samochodu. Z tyłu siedziało dwóch dyskretnych detektywów. Jeden włożył rękę do kieszeni; myślałem, że wyjmie kajdanki, ale była to tylko srebrna papierośnica.

Przejechaliśmy przez most na Gwadalkiwirze, po którym płynęły statki. Z kominów unosił się dym ciągnący się za nimi jak rozpuszczone warkocze. Na pokładach powiewały kolorowe flagi. Z jednego ze statków doleciało buczenie syreny.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem.

– Do innego miasta – odparł człowiek w czarnej koszuli.

Na tarasach kawiarni siedzieli ludzie, czytali gazety i popijali kolorową lemoniadę. Na ulicach panował ogłuszający zgiełk. Omal nie zderzyliśmy się z tramwajem. Potem wjechaliśmy w jakąś aleję i miasto zostało za nami.

Zatrzymaliśmy się w polu i wysiedliśmy. *Caballero* i dwaj detektywi stali niezdecydowani. Ostatni raz przez głowę przebiegła mi myśl: teraz wyjmą rewolwery i mnie zastrzelą. Potem usłyszałem warkot silnika, zza zarośli wyłonił się mały, otwarty jednopłatowiec i potoczył się w naszym kierunku.

Mechanik zeskoczył na ziemię i zasalutował. Mężczyzna w czarnej koszuli usiadł w fotelu pilota, a mechanik pomógł mi zająć miejsce obok niego. Detektywi ustawili się każdy przy swoim skrzydle i zaczęli pchać.

Przejechaliśmy przez pole. Za zaroślami rozciągało się lotnisko. Pasło się tam całe stado przedpotopowych stalowych jaszczurów z rozpostartymi skrzydłami.

Caballero ujął drążek sterowy; ziemia przechyliła się i osunęła w otchłań pod naszym stopami.

Siedzieliśmy w nieprawdopodobnie małej maszynie; był to otwarty samolot Baby Douglas wyglądający jak dziecięca zabawka. Wznosiliśmy się coraz wyżej, widnokrąg rozszerzał się, Sewilla malała. *Caballero* w czarnej koszuli wydał wargi – nic nie słyszałem, ale widziałem, że pogwizduje sobie pod nosem.

– Dokąd lecimy, *señor*? – krzyknąłem.

– Do innego miasta, *señor* – odkrzyknął.

Samolot wznosił się coraz wyżej. Przed nami wyrosły góry. Ze wszystkich stron opływały nas białe strzępy mgły. *Caballero* pokazał palcem w otchłań.

– To wszystko jest narodowa Hiszpania, *señor* – krzyknął. –
Wszyscy są tu szczęśliwi.

– Co? – krzyknąłem.

– ...szczęśliwi – odkrzyknął. – Szczęśliwi i wolni.

– Co?

– Wolni.

– Kiedy się tak tu siedzi – krzyczał mężczyzna w czarnej koszuli – to myśli się dużo o życiu i o śmierci. Czerwoni to sami tchórze; nie umieją nawet umierać. Potrafi pan sobie wyobrazić, jak to jest nie żyć?

– Zanim się urodziliśmy, nie żyliśmy – krzyknąłem.

– Co?

– Mówię, że zanim się urodziliśmy, nie żyliśmy.

– To prawda. Ale dlaczego w takim razie człowiek boi się śmierci?

– Nigdy nie bałem się śmierci, tylko umierania.

– A ja przeciwnie.

Na białej płaszczyźnie pod nami pojawiły się rozpadliny. Podmuch wiatru uderzył w samolot, który zadygotał i zaczął brykać jak żrebak. Ręce *caballero* znów były zajęte, zamilkł, skupiając uwagę na pilotowaniu maszyny.

Gdyby zrobił teraz jakiś fałszywy ruch, ziemia runęłaby na nas

i nas przygniotła. Byłaby to piękna śmierć, pomyślałem sobie, o niemal mitologicznym wymiarze. Śmierć nie jest straszna, tylko umieranie – czyż ta maksyma nie dotyczy wszystkich? Ale *caballero* twierdzi, że z nim jest przeciwnie. Znakomicie pilotuje samolot, pewnie też świetnie zrzuca bomby. Carlos jest oficerem i na pewno nie boi się umierania. Ale na myśl o śmierci zeszywniały mu nogi, stał się bezradny jak dziecko, które jeszcze nie chodzi.

Carlos i *caballero* umieją umierać, są oficerami, umieranie to ich zawód. Wpojono im to podczas szkoleń wojskowych, mają to we krwi: umierać z podniesionym czołem.

Mały Nicolás na pewno nie umarł z podniesionym czołem. Był cywilem. Milicjanci na patio też byli cywilami. Nie mieli doświadczenia w umieraniu. Strasznie bali się umierania. Byli tylko żołnierzami ludu, żołnierzami życia, a nie śmierci.

Byłem przy nich, kiedy umierali – we łzach, daremnie wzywając pomocy i w wielkiej słabości, tak jak muszą umierać ludzie. Bo umieranie to cholernie poważna sprawa, nie można z niej robić melodramatu.

Lecieliśmy. *Caballero* wymachiwał rękami i wykrzykiwał swoje slogany. Chętnie wyrzuciłbym go z samolotu. Ale siedział za sterami i był silniejszy ode mnie.

Powrót do codzienności

Po przyjeździe do Londynu poznałem łańcuch wydarzeń, które doprowadziły do mojego uwolnienia.

Kiedy nas rozdzielono, sir Peter został zawieszony do hotelu i przebywał tam pod ścisłym nadzorem policyjnym. Dwadzieścia cztery godziny później brytyjski niszczyciel HMS *Basilisk* zawiął do Malagi. Jego kapitan interweniował u lokalnych władz i sir Peterowi pozwolono wyjechać do Gibraltaru. Ponieważ nie miałem angielskiego obywatelstwa, na razie nic nie można było dla mnie zrobić. Ale przez radiostację na *Basilisku* sir Peter powiadomił o moim aresztowaniu redakcję „News Chronicle”, uruchamiając tym samym kampanię protestacyjną, która uratowała mi życie.

Mogę mówić o tej niezwyklej kampanii bez narażania się na zarzut pychy, ponieważ nie miała ona żadnego związku z moją osobą i moimi zasługami. Nie znałem większości osób i organizacji, które wysyłały depesze i listy protestacyjne do Franco, one zaś nie słyszały wcześniej o Arthurze Koestlerze. Wstawiło się za mną pięćdziesięciu ośmiu posłów do Izby Gmin, z czego blisko połowa konserwatystów, a ponadto stowarzyszenia pisarzy i dziennikarzy, biskupi i inni duchowni, organizacje polityczne i kulturalne wszelkiego rodzaju. Interweniował nawet rząd węgierski.

Moja książka *L'Espagne ensanglantée* ukazała się właśnie po francusku i niemiecku. Wielu ludziom, którzy występowali w mojej obronie, jej treść nie mogła się spodobać – o ile oczywiście w ogóle ją przeczytali. W Anglii, centrum organizacyjnym kampanii, nie opublikowano jeszcze żadnej mojej książki, więc nazwisko Koestler było zupełnie nieznane. Do tego stopnia, że minister spraw zagranicznych, Anthony Eden, odpowiadając na interpelację w parlamencie, oświadczył, że rząd Jego Królewskiej Mości interweniował w sprawie pana K., „mimo że jest on obywatelem czechosłowackim”. Brytyjska opinia publiczna wiedziała tylko, że najnowszy reżim dyktatorski chce zabić jednego z tysięcy dziennikarzy, korespondenta liberalnej gazety. Do tej pory ani Hitler, ani

Mussolini nie ośmielili się przekroczyć pewnej granicy i zagranicznych dziennikarzy, którzy im się narazili, co najwyżej wyrzucali z kraju. Groźba Franco została więc uznana za kolejny krok na drodze do zniesienia wolności myśli w Europie stopniowo opanowywanej przez dyktatorów. W tej sytuacji sprawa nieznanego korespondenta „News Chronicle” miała wymiar symbolu.

Przekonałem się też, że nieświadomie zaciągnąłem jeszcze jeden dług wdzięczności. Miał on osobisty charakter i nie mogłem go spłacić. Organizatorką i duszą kampanii była bowiem Dörte, z którą rozstałem się przed dwoma laty, ale która według prawa wciąż była moją żoną. Kiedy wiadomość o moim aresztowaniu ukazała się w prasie francuskiej, Dörte zażądała od partii, aby wysłała ją do Londynu z zadaniem zorganizowania akcji protestacyjnej. Partia jednak uważała, że ponieważ na jaw mogą wyjść niewygodne fakty, lepiej będzie mówić o sprawie jak najmniej. Dörte poparł tylko Otto Katz.

Pozycja Willego była już w tym czasie bardzo słaba. Moskwa odwołała go „na konsultacje”. Willi, wiedząc, co to oznacza, odwlekał wyjazd pod różnymi pretekstami, a Otto, który przez wszystkie te lata donosił na Willego aparatowi, stopniowo przejmował jego obowiązki. Zdradził swego zwierzchnika i dobroczyńcę, co wszyscy, włącznie z Willim, od dawna przewidywaliśmy. Kiedy jednak uzna się naczelną zasadę komunistycznej etyki, że wierność partii jest ważniejsza od osobistych przyjaźni, to staje się jasne, że Otto nie miał wyboru; a jego stanowisko wobec Dörte dowodzi, że w czasie całej tej walki o przetrwanie, prowadzonej zgodnie z nieludzkimi prawami, starał się zachować resztki człowieczeństwa. Nie pytając o zdanie partyjnych biurokratów, upoważnił Dörte, aby z ramienia koncernu Münzenberga pojechała do Londynu; jej wydatki pokrywał z funduszy przeznaczonych na propagandę w sprawie wojny hiszpańskiej. Poza tym Otto co pewien czas zamieszczał w prasie fikcyjne wiadomości o mnie, na przykład: „Koestler trzymany w kajdanach w mrocznym lochu”. Był to stary chwyt propagandowy, w którym chodziło o sprowokowanie dementi i zdobycie w ten sposób informacji o miejscu pobytu więźnia.

Tak więc Dörte pojechała do Anglii, w której nigdy dotąd nie była, żeby nakłonić tamtejszą opinię publiczną do wstawienia się za swoim

mężem, o którym nikt wcześniej nie słyszał. Zadanie utrudniało jej to, że nawet moi oficjalni pracodawcy, „News Chronicle”, prawie nic o mnie nie wiedzieli. Poznałem tylko dwóch członków redakcji gazety: Normana Cliffa i Willy’ego Forresta. Nigdy nie rozmawiałem z redaktorem naczelnym, a gazeta zamieściła w sumie tylko kilka moich artykułów. Choć redaktorzy „News Chronicle” pomagali Dörte, jak mogli, taki stan rzeczy oczywiście nie ułatwiał im zadania. Ale Dörte, którą uważałem za kobietę nieśmiałą i mało przebojową, okazała się nagle waleczną amazonką. Była niestrudzona i pełna inwencji, taktowna i uparta. Przez szesnaście godzin na dobę zbierała podpisy polityków i literatów, rozmawiała z posłami do Izby Gmin, przeprowadzała wywiady z książętami i arcybiskupami, organizowała petycje i demonstracje protestacyjne. Swoją małomównością osiągała w Anglii więcej, niż mogłaby osiągnąć elokwencją; jej szczerłość natychmiast zjednywała jej przyjaciół; to, że była zrozpaczoną żoną ratującą więzionego męża, miało większą siłę przekonywania niż jakiegokolwiek polityczne argumenty. Wielu ludzi pospieszyło z pomocą, ale to Dörte uratowała mi życie.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy mnie aresztowano w Hiszpanii, w Związku Sowieckim aresztowano brata Dörte, Erniego. Była oczywiście gotowa zrobić wszystko, aby go ocalić, tak jak uczyniła wszystko, aby uratować mnie. Ale opinia publiczna i naciski dyplomatyczne, z którymi w krajach faszystowskich wciąż się liczone, nie miały żadnego wpływu na reżim sowiecki. Dlatego ja, wróg generała Franco, człowiek winny w świetle jego praw, ocaliłem głowę, a Ernie, człowiek niewinny, lojalnie popierający Związek Sowiecki, został rozstrzelany.

Walcząc o uratowanie mi życia, Dörte nie zdradziła rzecz jasna, że nasze małżeństwo rozpadło się przed dwoma laty. Toteż dla zachowania pozorów po moim powrocie zamieszkaliśmy razem. Nic nie może złączyć dwojga ludzi silniej niż przeżycia, które stały się moim i Dörte udziałem. Mieliśmy teraz wyjątkową okazję, aby zacząć wszystko od nowa. Przez jakiś czas korzystaliśmy z gościnności lorda (wówczas sir Waltera) i lady Layton w ich domu na Putney Hill (Layton był przewodniczącym rady nadzorczej „News Chronicle”). Potem

na resztę lata wynajęliśmy domek w Shepperton-on-Thames, gdzie w ciągu dwóch miesięcy napisałem *Dialogue with Death*, większość tekstu dyktując Dörte, która od razu pisała go na maszynie. Wszystkie okoliczności nam sprzyjały; niestety, moja neurotyczna niezdolność do związania się z jedną osobą na całe życie jeszcze raz okazała się silniejsza niż sympatia i wdzięczność. Po kilku miesiącach nasze drogi znów się rozeszły, choć pozostaliśmy przyjaciółmi.

Również w innej dziedzinie należało zachowywać pozory. Po wszystkich publicznych protestach przeciwko uwięzieniu liberalnego dziennikarza ujawnienie, że jest on członkiem partii komunistycznej, skompromitowałoby nie tylko „News Chronicle”; wszyscy, którzy pomagali mi z dobrego serca, wyszliby na głupców. Byłaby to też woda na młyn propagandy frankistowskiej, która twierdziła, że demokratyczni przeciwnicy reżimu to zawsze zamaskowani komuniści. Wobec tego musiałem podtrzymywać fikcję, że jestem liberalnym dziennikarzem działającym w najlepszej wierze – najpierw w moich wspomnieniach więziennych, które ukazywały się w odcinkach na łamach „News Chronicle”, a potem w książce *Dialogue with Death*, która wyszła kilka miesięcy później. Raz popełnione oszustwo zaczyna żyć własnym życiem i trudno się od niego uwolnić.

Spanish Testament, zawierający *Dialogue with Death* i kilka rozdziałów z *L’Espagne ensanglantée*, ukazał się na początku 1938 roku. Został jedną z książek rekomendowanych Left Book Club, doczekał się przekładu na kilka języków i odniósł umiarkowany sukces. W wieku trzydziestu trzech lat wszedłem w końcu na drogę kariery literackiej.

Książkę ukończyłem w pierwszych dniach września 1937 roku. Zdążyłem już wydać całą zaliczkę, którą wypłacił mi Gollancz, i znów stanąłem oko w oko z rzeczywistością – z płaszczyzny tragicznej wróciłem do codzienności. Nie mogłem ponownie podjąć pracy w „News Chronicle” i Spanish News Agency, bo podpisałem oświadczenie, że dopóki trwa wojna domowa, nie wrócę do Hiszpanii – był to warunek mojego zwolnienia. Lord Layton, który nie wiedział, że należę do partii, zaproponował mi stanowisko korespondenta „News Chronicle” w Moskwie, ale Gerald Barry, znający moje komunistyczne afiliacje, sprzeciwił się temu. W końcu uzgodniliśmy, że w charakterze

specjalnego wysłannika gazety odbędę kilkutygodniową podróż po Palestynie i Bliskim Wschodzie.

Podróż miała się zacząć w Grecji, dokąd pojechałem pociągiem. Zatrzymałem się najpierw w Paryżu, gdzie Otto Katz powitał mnie na Gare du Nord z wielkim bukietem róż, który zupełnie do niego nie pasował i bardzo mnie wzruszył. Musieliśmy wyglądać jak para gangsterów z amerykańskiego filmu, niosących na pogrzeb żałobny wieniec.

Nazajutrz dwóch delegatów partii oficjalnie przesłuchało mnie na okoliczność mojej postawy podczas uwięzienia. Jednym z nich był Paul Merker, który po wojnie został członkiem władz Niemieckiej Republiki Demokratycznej; drugiego nie znałem.

We wszystkich tajnych ruchach rewolucyjnych, a zwłaszcza w partii komunistycznej, członka organizacji, który przebywał w więzieniu i został z niego zwolniony, uważa się *ipso facto* za podejrzanego. Mógł przecież zostać groźbą lub przekupstwem zwerbowany, mógł wydać swoich towarzyszy. Dlatego komunista wypuszczony z więzienia musiał poddać się drobiazgowej weryfikacji prowadzonej przez partyjne organy bezpieczeństwa; w krajach, w których partia działała w konspiracji, na dłuższy czas był odcięty od kontaktów z innymi członkami. Ponieważ często nie sposób było ustalić na pewno, czy ktoś jest wciąż godny zaufania, uporczywe podejrzenia stały się przyczyną wielu tragedii w nielegalnej partii niemieckiej, a potem we francuskim ruchu oporu.

W moim wypadku weryfikacja miała zupełnie niewinny charakter i była w dużej mierze formalnością. Nie miałem żadnych potajemnych kontaktów we frankistowskiej Hiszpanii, które mógłbym zdradzić. Wyszedłem na wolność na mocy międzynarodowego porozumienia, toteż prześladowcy nie mogli mnie zmusić do jakiegś niehonorowej transakcji. A to, że miałbym dobrowolnie zostać agentem Franco, wydawało się niemożliwe.

Ale już po zakończeniu przesłuchania poczułem nagle przytłaczający strach. Zauważyłem, że kiedy podnoszę do ust filiżankę z wystygłą *café au lait*, drży mi ręka. Była jesień 1937 roku. Kilka miesięcy wcześniej marszałek Tuchaczewski i ośmiu najwyższych rangą

dowódców Armii Czerwonej zostało rozstrzelanych po tajnym procesie. Codziennie słyszało się o nowych aresztowaniach pod najbardziej niewiarygodnymi zarzutami. Moje niewinne przesłuchanie miało przerażające tło. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić własną bezradność wobec tego małomównego człowieka o twardym spojrzeniu, gdybym siedział naprzeciwko niego nie w paryskiej kawiarni, ale w budynku GPU w Baku albo na Łubiance. Fale terroru rozlewały się po Rosji, porywając wszystkich na swojej drodze, i nawet ich odległe, niewinne echo w paryskiej kawiarni przyprawiło mnie o drżenie ręki.

Z Paryża ruszyłem do Szwajcarii, gdzie listownie umówiłem się wcześniej na spotkanie z Thomasem Mannem. Było to moje pierwsze i ostatnie spotkanie z autorem *Buddenbrooków* i *Czarodziejskiej góry*, którego podziwiałem w młodości jak żadnego innego żyjącego pisarza. Spotkanie sprawiło mi przykry zawód, ale zdarzenie, które do niego doprowadziło, warte jest opowiedzenia, gdyż stanowi niezwykle przykładowy przykład telepatii.

Aby to wyjaśnić, muszę cofnąć się do Sewilli. Przez pierwsze trzy tygodnie uwięzienia jedyną moją pożywką umysłową była treść przeczytanych niegdyś lektur. Wielką pociechę duchową przynosił mi wówczas pewien fragment z *Buddenbrooków* – tak wielką, że kiedy najdotkliwiej odczuwałem przygnębienie, wracałem do tej sceny, jakbym sięgał po tabletkę przeciwbólową. Fragment ów zapamiętałem następująco: konsul Tomasz Buddenbrook, choć zbliża się dopiero do pięćdziesiątki, wie, że wkrótce umrze. Nigdy nie oddawał się religijnym ani metafizycznym rozmyśleniom, ale teraz ulega czarowi książki, która przez lata stała nieczytana w jego bibliotece. Znajduje w niej twierdzenie, że śmierć nie jest czymś ostatecznym, lecz tylko przejściem do innej, bezosobowej formy życia. „Czuł, że cała jego jaźń rozrasta się potężnie, napęlniając się ciężkim, mrocznym upojeniem; myśl jego była omglona i całkowicie odurzona czymś niewysłowienie nowym, kuszącym i pełnym obietnic... wszystko to uszło z jego ducha i nie przeszkadzało mu już pojmować wieczystej niezmienności”^[18]. Książką, której konsul Buddenbrook zawdzięczał swoje oświecenie, jest rozprawa Schopenhauera *Über den Tod und sein Verhältnis zur Unzerstörbarkeit unseres Wesens an sich* (O śmierci i jej stosunku

do niezniszczalności naszej jaźni samej w sobie).

Dzień po wyjściu z więzienia napisałem do Thomasa Manna list (wiedziałem, że mieszka w dzielnicy Zurychu Küßnacht), w którym opowiedziałem mu o tym, o czym wyżej napisałem, i podziękowałem za duchową pociechę, którą mogłem czerpać z jego dzieła. W liście wysłanym z hotelu Rock w Gibraltarze 16 albo 17 maja 1937 roku wymieniłem też tytuł rozprawy Schopenhauera.

Odpowiedź Thomasa Manna otrzymałem kilka dni później w Londynie. Był to odręczny list, który zaginął wraz z innymi moimi papierami podczas ucieczki z Francji w 1940 roku. Nie pamiętam dosłownie jego treści, ale brzmiał on mniej więcej tak:

Drogi Panie,

Pański list otrzymałem ... maja. Po południu tego dnia siedziałem w ogrodzie w Küßnacht. Rozprawę Schopenhauera przeczytałem w 1897 albo 1898 roku, podczas pisania *Buddenbrooków*, i nigdy do niej potem nie wracałem, nie chcąc osłabić wielkiego wrażenia, jakie na mnie wywarła. Jednakże tego popołudnia nagle zapragnąłem przeczytać ją po blisko czterdziestu latach. Wszedłem do domu, aby wyjąć z szafy tę książkę. W tej samej chwili do drzwi zadzwonił listonosz, który przyniósł Pański list...

Po tym intrygującym wstępie czekałem na spotkanie z Thomasem Mannem z jeszcze większym przejęciem i wewnętrznym drzeniem. Spotkaliśmy się w jednej ze szwajcarskich miejscowości wypoczynkowych (chyba w Locarno, ale nie jestem pewien), gdzie dr Mann i jego żona wówczas przebywali. Od chwili mego przyjazdu wszystko szło na opak. W *Czarodziejskiej górze* występuje postać półinteligentki pani Stöhr, która ma okropny zwyczaj mówienia przy każdej okazji: „*Wenn es Ihnen konveniert*”^[19]. Po przybyciu do hotelu, w którym mieszkali państwo Mannowie i w którym ja też zarezerwowałem pokój, zgodnie z umową zadzwoniłem do Manna. Pisarz zapytał:

– To kiedy chciałby pan przyjść do mnie?

Byłem tak rozemocjonowany, że odpowiedziałem słowami pani Stöhr:

– *Wann es Ihnen konveniert, Herr Doktor*^[20].

W słuchawce zaległo pełne zdziwienia milczenie, a potem Mann cicho odchrząknął.

– No cóż, hmm – zabrzmiał ponownie olimpijski głos – byłoby mi bardzo miło, gdyby mógł mi pan towarzyszyć podczas mojego małego porannego spaceru jutro o jedenastej.

Była szósta po południu, mieliśmy pokoje na tym samym korytarzu, zaledwie kilka metrów od siebie; przyjechałem specjalnie do Szwajcarii, aby złożyć uszanowanie mistrzowi, więc takie przyjęcie nieco mnie zmroziło. Ale czegoż można się spodziewać, jeśli mówi się językiem pani Stöhr? Mann musiał chyba pomyśleć, że staram się być bardzo dowcipny. Miałem ochotę odgryźć sobie język i wypluć go do spluwaczki.

Spacer, który odbyliśmy nazajutrz, nie przyniósł mi pocieszenia. Rozmawialiśmy głównie o tetralogii *Józef i jego bracia*, której trzeci tom właśnie się ukazał. Mann przeczytał wiele dzieł z historii starożytnej i mitologii i zapoznał się z teoriami niektórych niemieckich antropologów. Zapytałem, czy czytał Lévy-Bruhla, a kiedy zaprzeczył, rzekłem popędliwie:

– Ależ musi go pan przeczytać.

Mann pokręcił głową:

– Sądzę, że przeczytałem już dość z tej dziedziny. Zbyt obszerna wiedza paraliżuje wyobraźnię.

Była to jedyna uwaga Manna podczas całego dnia, która zrobiła na mnie wrażenie. Reszta rozmowy była zdawkowa. Nie mogłem oprzeć się myśli, że wszystko, co mówi Mann, przeznaczone jest dla potomności. Nie był to dialog, lecz szereg doniosłych wypowiedzi w rodzaju: „Jestem przeciw dyktatorom, ale jeśli trzeba wybierać, to jako humanista wolę pana Stalina niż pana Hitlera jako mniejsze zło”. Ani na chwilę nie nawiązaliśmy osobistego kontaktu. Po części wynikało to niewątpliwie z mojej nieśmiałości w obliczu wielkiego pisarza, która mnie paraliżowała; Mann jednak nie zrobił nic, abym poczuł się swobodniej. Nie zapytał ani o moje przeżycia więzienne, ani w żaden inny sposób nie ujawnił zainteresowania moją osobą. Potraktował mnie jak dziennikarza, który przyszedł zrobić wywiad, i jak przypadkowego Eckermanna (sekretarza Goethego), od którego oczekuje się, że zanotuje

każde słowo z tej rozmowy w swoim pamiętniku i przekaże je potomności. Czuć było atmosferę Weimaru. Miałem dziwną pewność, że nazwisko Eckermanna, w którego rolę się wcieliłem, prędzej czy później padnie w naszej rozmowie.

Wracając do hotelu, spotkaliśmy w ogrodzie panią Mann, która zaprosiła mnie na wspólny obiad. Obecny był także przyjaciel Mannów (jego nazwisko niestety wyleciało mi z głowy) – sympatyczny i bardzo grzeczny pan około czterdziestki, bardzo starający się przełamać moje skrupowanie. Chwila, której oczekiwałem z przestachem i ciekawością zarazem, nastąpiła pomiędzy pierwszym i drugim daniem. Nie bardzo wiedziałem, co jem, ani czego dotyczy rozmowa, gdy wtem usłyszałem tubalny głos Manna, kończącego zdanie, którego początku nie dosłyszałem:

– (bum, bum, bum) – jak w rozmowie z Eckermannem miał okazję zauważyć Goethe.

A kilka minut później pisarz zwrócił się wprost do mnie:

– (bum, bum, bum) – jak miałem okazję zauważyć podczas naszego małego spaceru.

Byłem tak przybity, że o mało znów nie zacytowałem pani Stöhr. Wyjechałem wieczorem tego samego dnia.

Osobiste rozczarowanie nie zmniejszyło jednak mojego podziwu dla twórczości Manna. Nasze spotkanie pomogło mi wszakże wyjaśnić pewną cechę jego pisarstwa, która zawsze mnie intrygowała: mam na myśli brak zwykłej ludzkiej dobroci. Nie było chyba drugiego wielkiego powieściopisarza, który byłby tak pozbawiony typowego dla Dostojewskiego współczucia dla skrzywdzonych i poniżonych. U Manna zastępuje je ironia, czasem dobrotliwa, czasem nie. Jego stosunek do kreowanych przez siebie postaci ma w sobie coś z olimpijskiej wyniosłości, nawet w swoim najżyczliwszym wydaniu. Czytelnik ma poczucie, że jest naprawdę tylko panią Stöhr.

*
*

Następnym celem mojej podróży był Belgrad, gdzie umówiłem się z rodzicami. Przyjazd do Budapesztu stał się dla mnie zbyt ryzykowny. Przy tej okazji ostatni raz widziałem ojca – machał mi na pożegnanie z okna nocnego pociągu z Belgradu do Budapesztu. Zmarł na raka

w 1940 roku, kiedy uciekałem z Francji i wszelka łączność z Węgrami została zerwana. O jego śmierci dowiedziałem się dopiero kilka lat później. Kiedy po wojnie mama przyjechała do mnie do Londynu, okazało się, że oboje sądzili, iż wpadłem w ręce hitlerowców, ale nigdy o tym ze sobą nie rozmawiali. Na dzień przed śmiercią ojciec poprosił, żeby mama zabrała moje zdjęcie z jego nocnego stolika.

– Nie mogę tego dłużej znieść – powiedział cicho i były to jego ostatnie słowa na mój temat.

W intencji redaktorów „News Chronicle” podróż po Bliskim Wschodzie miała być dla mnie rodzajem synekury. Okazało się jednak, że znów trafiłem do kraju szalejącego terroru i wojny partyzanckiej. Najpierw miałem napisać o Grecji, gdzie zamierzałem spędzić spokojne dwa tygodnie. Ale kilka dni po przybyciu do Aten otrzymałem z Londynu depezę z poleceniem natychmiastowego wyjazdu do Palestyny, bo Arabowie znów wywołali rozruchy.

Ponieważ między Grecją a Palestyną nie było bezpośredniego połączenia, pojechałem przez Aleksandrię do Kantary nad Kanałem Sueskim. Odchodził stąd pociąg do Palestyny. Na dworcu tłoczyli się brytyjscy żołnierze jadący do Jerozolimy. Dzień wcześniej Brytyjczycy aresztowali cały arabski komitet w Palestynie i pozbawili stanowiska jego przewodniczącego, wielkiego muftiego. Nikt nie wiedział, co będzie dalej. Arabski pucybut na dworcu wesoło ostrzegł mnie, żebym nie wsiadał do pociągu z wojskiem:

– Pod torami jest co najmniej tona dynamitu, *hawadja*.

Okazało się jednak, że palestyńscy Arabowie, pozbawieni swoich przywódców, na razie nie potrafią nic zdziałać. Wysadzanie pociągów i zasadzki na samochody zaczęły się dopiero dwa tygodnie później.

W Palestynie zabawiłem półtora miesiąca. Podczas pierwszych, względnie spokojnych dwóch tygodni, spotkałem się z przyjaciółmi i kolegami z Berlina, którym udało się uciec z hitlerowskich Niemiec. Wszyscy musieli się przekwalifikować: były redaktor gazety Ullsteina był teraz szatniarzem w hotelu King David; adwokatka została kucharką w pensjonacie; mój dawny zwierzchnik, dr Magnus, szef międzynarodowej służby informacyjnej Ullsteina, zajmował się pozyskiwaniem ogłoszeniodawców dla jakiejś małej polskiej gazetki.

Był to kolejny rozdział w dziejach zagłady europejskiej elity intelektualnej. Ludzie ci ocalili, ale ponieważ wychowali się w kulturze niemieckiej, nie znali hebrajskiego i nie byli syjonistami, skazali się na bezcelową i jałową egzystencję w kraju, w którym zamieszkali nie z własnej woli.

Kiedy 15 października Arabowie znów rozpętali terror, jedną z pierwszych jego ofiar stał się młody ortodoksyjny Żyd, który niedawno wyemigrował z Niemiec. W czasie szabatu szedł jerozolimską ulicą, czytając Biblię, i został pchnięty nożem w plecy. Inną ofiarą było dwunastoletnie dziecko z Ness Ziona, jednego z najstarszych osiedli wzniesionych na tak zwanym Wzgórzu Marzeń. Zostało zastrzelone we śnie. Był to incydent charakterystyczny dla tej bezsensownej kampanii terrorystycznej. Pod pewnym względem sytuacja wyglądała gorzej niż w Hiszpanii, choć wszystko działo się tu na mniejszą skalę. Tam przynajmniej każdy wiedział, gdzie jest linia frontu, tu członkowie obu wrogich obozów mieszkali obok siebie i nikt nie mógł przewidzieć, kiedy zostanie dźgnięty nożem albo gdzie wybuchnie następna bomba domowej roboty.

Większość wybuchła w zatłoczonych autobusach i pociągach albo pod torami kolejowymi. Podpalono ropociąg z Mosulu, spalono lotnisko w Lydda, organizowano zasadzki na żołnierzy brytyjskich, strzelano z daleka do żydowskich osadników, gwałcono, a potem mordowano dziewczęta. Przez kilka dni w Jerozolimie obowiązywała godzina policyjna. O wpół do piątej po południu ulice roiły się od ludzi spieszących do domów; kwadrans później były już puste, wszystkie drzwi i okna pozamykane i tylko warkot samochodu pancernego albo gwizd kuli snajpera przerywał upiorną ciszę – ciszę Malagi z ostatniej nocy przed wkroczeniem wojsk Franco.

Po tygodniu sytuacja nieco się uspokoiła. Tydzień później wszystko zaczęło się na nowo. Żydzi wciąż nie odpowiadali pięknym za nadobne.

Musiało minąć trochę czasu, nim krawcy z Warszawy, adwokaci z Pragi i studenci Talmudu z Jerozolimy nabrali wprawy w rzucaniu bomb.

Podczas pierwszego pobytu w Palestynie należałem

do maksymalistycznej partii Żabotyńskiego, dążącej do przekształcenia Palestyny w państwo żydowskie z mniejszością arabską. W świetle wydarzeń, które zaszły od tego czasu, program ten okazał się niewykonalny i utopijny. Żydzi i Arabowie byli zbyt różni pod względem religijnym, kulturalnym i społecznym, aby w dającej się przewidzieć przyszłości żyć zgodnie w jednym państwie. Coraz bardziej więc skłaniałem się do przekonania, że podział kraju, zaproponowany przez Komisję Królewską pod przewodnictwem lorda Peela, jest jedynym możliwym rozwiązaniem, choć oczywiście dalekim od ideału. Cykl artykułów, które po powrocie napisałem dla „News Chronicle”, kończył się apelem o pilne przeprowadzenie podziału i ostrzeżeniem przed tragedią, do której może doprowadzić dalsza zwłoka.

W 1937 roku można było dokonać podziału Palestyny bez większych kłopotów i przy niewielkim rozlewie krwi. Żydowskie organy przedstawicielskie były gotowe je zaakceptować. Umiarkowani przywódcy arabscy ustąpiliby pod naciskiem dyplomatycznym. Najbardziej wpływowy z nich, król Transjordanii Abd Allah (odwiedziłem go ponownie w Ammanie podczas przerwy w walkach), udzielił mi wywiadu, w którym w zawołowany sposób godził się na podział. Jednakże rząd Neville’a Chamberlaina odmówił realizacji planu Komisji Królewskiej i polityka brytyjska w Palestynie na całą dekadę pograżyła się w mroku niezdecydowania, błędów i uprzedzeń. W końcu, po dziesięciu latach rozlewu krwi i niepotrzebnych cierpień, Organizacja Narodów Zjednoczonych zatwierdziła plan podziału kraju, który podczas wojny arabsko-żydowskiej został wprowadzony w życie przy użyciu siły zbrojnej.

Od 1942 roku, w którym zaczęła się masowa eksterminacja europejskich Żydów, aż do powstania i okrzepnięcia państwa żydowskiego w 1948 roku, Palestyna jeszcze raz stała się głównym przedmiotem mojego zainteresowania. W tym czasie spędziłem w tym kraju łącznie półtora roku, napisałem o nim dwie książki (*Thieves in the Night* i *Promise and Fulfilment*), kilka broszur, mnóstwo artykułów, wygłaszałem przemówienia i zasiadałem w komitetach – przez cały czas wypowiadając się za podziałem jako jedynym sposobem zakończenia okrutnych walk i ocalenia tych, których można jeszcze ocalić.

Ze wszystkich krucjat, w których uczestniczyłem, ta była najboleśniej – jakby za pokutę za polityczne błędy przeszłości. Uwikłała mnie ona w ostry konflikt między przekonaniem a uczuciem, miałem bowiem dość terroru i przemocy, a musiałem tłumaczyć i bronić żydowskich terrorystów. Podczas długich pobytów w Palestynie zatruta atmosfera tego kraju, zamachy bombowe, egzekucje, wszechobecna nienawiść i okrucieństwo były pożywką dla mojej nerwicy lękowej, którą uśmierzał tylko alkohol.

Kiedy wojna z Hitlerem została w końcu wygrana, zamierzałem osiąść gdzieś na stałe i wieść spokojne, ustabilizowane życie. Na swój dom wybrałem Anglię. Pisałem po angielsku, myślałem po angielsku, przywiązałem się do tego kraju i jego mieszkańców, zapuściłem korzenie. Wystąpiłem o angielskie obywatelstwo i czekałem na dzień, w którym znów będę miał paszport i ojczyznę. Najtrudniejsza chwila w tym pełnym konfliktów okresie nastąpiła wtedy, gdy moje podanie miało zostać załatwione pozytywnie, a ja nie potrafiłem złożyć przysięgi na wierność koronie brytyjskiej, ponieważ Anglicy i Żydzi praktycznie toczyli ze sobą wojnę. To również było częścią mojej pokuty, ale miało też swoją dobrą stronę. Kiedy pod koniec 1948 roku Izrael ugruntował swój byt państwowy, mogłem stwierdzić z zadowoleniem, że zostałem obywatelem brytyjskim w wyniku wolnego wyboru, po przejściu długiej i trudnej drogi.

„Ciemność w południe”

Okres, który poprzedzał moje ostateczne zerwanie z partią komunistyczną, był pełen wahań i wątpliwości. Na początku 1938 roku, po powrocie z Palestyny, udałem się w czterotygodniową podróż z odczytami po Anglii. Zorganizował ją Left Book Club, będący wtedy u szczytu popularności. Odczyty dotyczyły politycznej i militarnej sytuacji w Hiszpanii.

Ten ostatni okres mego członkostwa w partii przeżyłem jak ktoś, kto wie, że czeka go bolesna i ciężka operacja, którą odkłada się z tygodnia na tydzień. Im mniej się o niej myśli, tym lepiej.

Przestałem być komunistą na długo przed zdaniem sobie z tego sprawy. Wewnętrzna przemiana, którą przeszedłem w celi nr 40 sewilskiego więzienia, powoli się ujawniała. Nie musiałem już łamać sobie głowy nad pytaniem, jaki właściwie jest mój stosunek do partii. Problem rozwiązywał się sam.

Po zakończeniu odczytów wróciłem do Paryża. Minęło kilka miesięcy. W marcu odbył się w Moskwie proces tak zwanego bloku prawicowo-trockistowskiego. Pod względem absurdalności i grozy przewyższył on wszystkie dotychczasowe procesy pokazowe. Na ławie oskarżonych zasiedli między innymi: Nikołaj Bucharin, którego Lenin nazywał „ulubieńcem partii”, w latach 1926–1929 przewodniczący Międzynarodówki Komunistycznej; Chrystian Rakowski, były premier Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, przedstawiciel ZSRS w Wielkiej Brytanii i Francji; Nikołaj Kriestinski, długoletni ambasador sowiecki w Niemczech; Aleksiej Rykow, następca Lenina na stanowisku przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych; wreszcie Gienrich Jagoda, organizator poprzednich procesów moskiewskich, ludowy komisarz spraw wewnętrznych, szef GPU, następca Mienżynskiego, którego wedle własnych zeznań kazał otruć, podobnie jak pisarza Maksima Gorkiego.

Proces ten sięgnął szczytów absurdu, bo wynikało z niego, że dotychczasowa czystka i procesy pokazowe były dziełem truciciela i degenerata; że wszystkich zdrajców na ich wysokie stanowiska

w państwie sowieckim mianował mądry i czujny Stalin; i że Międzynarodówką Komunistyczną w pierwszym piętnastoleciu jej istnienia kierowali agenci niemieckich i brytyjskich służb wywiadowczych.

Niedługo potem do Londynu niespodziewanie przyjechała Eva, żona Aleksa Weissberga. Po osiemnastomiesięcznym uwięzieniu na Łubiance została wydalona ze Związku Sowieckiego. Od niej właśnie usłyszałem pierwsze wiarygodne, oparte na osobistym doświadczeniu informacje o metodach, jakie stosowało GPU, aby zmusić oskarżonych do przyznania się do winy.

Eva, jak wiemy, zajmowała się ceramiką artystyczną. W kwietniu 1936 roku została aresztowana. Oskarżono ją o to, że do wzorów na filiżankach przeznaczonych do masowej produkcji przemyciła ukradkiem swastykę; poza tym miała schować pod łóżkiem dwa pistolety z zamiarem zastrzelenia towarzysza Stalina na następnym zjeździe partii. Podczas półtorarocznego pobytu na Łubiance usiłowano przygotować ją do roli skruszonego grzesznika podczas nadchodzącego procesu Bucharina. Próbowwała popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły, ale odratowano ją. Potem, dzięki nadzwyczajnym staraniom zaprzyjaźnionego z jej matką konsula austriackiego, została zwolniona z więzienia i deportowana z kraju.

Znałem Evę od piątego roku życia. Chodziliśmy do tego samego przedszkola, a w późniejszych latach utrzymywaliśmy przyjacielskie kontakty w Paryżu, Berlinie i Charkowie. Teraz ona została zwolniona z komunistycznego, a ja z faszystowskiego więzienia. W tym samym czasie chodziliśmy tam z i powrotem po swojej celi, ja w Sewilli, ona w Moskwie, z tą samą prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Mogliśmy więc wymienić się relacjami z podróży.

Eva została ocalona, lecz Aleksowi, aresztowanemu kilka miesięcy po niej, wciąż groziło niebezpieczeństwo. Eva wiedziała tylko, że jej mąż przebywa w więzieniu charkowskim oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec i przygotowywanie zbrojnego powstania na Ukrainie. Później dowiedzieliśmy się, że obwiniono go także o zorganizowanie nazistowskiej bandy terrorystycznej, która miała zamordować Stalina i marszałka Woroszyłowa podczas ich następnego polowania

na Kaukazie i wysadzić w powietrze najważniejsze zakłady przemysłowe w Charkowie. Los Aleksa wydawał się przesądzony, ale obiecałem Evie, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby mu pomóc.

Ponieważ Alex był fizykiem, pomyślałem, że apel skierowany bezpośrednio do Stalina i podpisany przez troje wybitnych francuskich fizyków, laureatów Nagrody Nobla, może zrobić pewne wrażenie. Chodziło o Frédérica i Irène Joliot-Curie oraz Jeana Perrina. Cała trójka sympatyzowała z lewicą, a Frédéric kilka lat potem wstąpił do Francuskiej Partii Komunistycznej. Znałem go przelotnie z czasów, gdy pracowałem w INFA. Nigdy nie słyszał o Aleksie Weissbergu, uwierzył mi jednak na słowo, że jest niewinny, podpisał zredagowany przeze mnie list do Stalina i uzyskał podpisy swojej żony i Perrina, który też zresztą nie znał Weissberga.

Wspólny protest trojga francuskich laureatów Nagrody Nobla, poparty przez Einsteina, który osobno napisał w tym samym czasie do Stalina, nie doczekał się odpowiedzi, ale miał chyba wpływ na los Aleksa. Niedługo po jego wystosowaniu zabrano go z celi, odwieszono, ogolono i ostrzyżono, założono mu porządny garnitur i krawat i w tym upięszonym stanie sfotografowano. Potem garnitur i krawat zostały zabrane, a Alex wrócił do celi. Wszystko wskazuje na to, że w obliczu międzynarodowych protestów władze sowieckie chciały mieć możliwość udowodnienia, że więzień żyje i ma się dobrze. A kiedy najwyższe instancje doceniły wagę sprawy, życie Aleksa było ocalone.

Alex spędził łącznie trzy lata w różnych więzieniach ukraińskich i rosyjskich. W 1940 roku, wraz z setką innych niemieckich i austriackich komunistów, socjalistów i antyhitlerowskich uchodźców, został wydany gestapo. Ta niebywała podłość była jednym ze skutków, a zarazem haniebnym symbolem paktu Ribbentrop–Mołotow. Alex przeżył więzienie gestapo, brał udział w powstaniu warszawskim, a po wojnie uciekł na Zachód. W 1952 roku opublikował swoje niezwykle wspomnienia pt. *Conspiracy of Silence*, do których napisałem przedmowę^[21].

Moje rozstanie z partią odbyło się całkiem zwyczajnie.

Któregoś dnia wiosną 1938 roku miałem wygłosić odczyt o Hiszpanii dla Schutzverband Deutscher Schriftsteller (Stowarzyszenia

Pisarzy Niemieckich) w Paryżu.

Odczyt odbył się w sali Société d'encouragement pour l'industrie nationale przy Place Saint-Germain-des-Prés, a audytorium składało się z mieszkających na emigracji dwustu lub trzystu intelektualistów, w większości komunistów. Był to mój pierwszy odczyt w Paryżu od czasu powrotu z Hiszpanii. Przeczuwałem, że będzie on ostatnim, który wygłoszę w charakterze członka partii. Nie zamierzałem atakować partii w czasie, gdy wojna domowa w Hiszpanii wciąż trwała, a publiczna krytyka Związku Sowieckiego wydawała się bluźnierstwem. Czułem jednak potrzebę zajęcia wyraźnego stanowiska, aby nie być biernym współnikiem oprawców moich przyjaciół. Chociaż zwykle mówię z głowy, napisałem sobie zakończenie tego odczytu, które potem kilkakrotnie poprawiałem. Była to ważna okazja i chciałem się do niej dobrze przygotować. W końcu zdecydowałem, że swój występ zakończę trzema prostymi zdaniami; każde z osobna było banałem, ale łącznie dla każdego stalinowca stanowiły herezję. Pierwsze brzmiało tak: „Żaden ruch, partia ani osoba nie może sobie rościć pretensji do nieomyślności”. Drugie: „Tolerancja dla wroga jest równie samobójcza jak nietolerancja wobec przyjaciela, który zmierza do tego samego celu inną drogą”. Trzecie było cytatem z Thomasa Manna: „Na dłuższą metę szkodliwa prawda jest lepsza niż pożyteczne kłamstwo”.

Efekt był mniej więcej taki, jakby nazistowskiej widowni powiedziano, że wszyscy ludzie są równi. Kiedy skończyłem, niekomunistyczna część audytorium biła brawo, a komuniści siedzieli w grobowym milczeniu, przeważnie z demonstracyjnie założonymi rękami.

Wróciłem do domu sam. Kiedy na stacji Saint-Germain-des-Prés czekałem na metro, grupa moich towarzyszy przeszła obok na drugi koniec peronu, nie patrząc na mnie, jakbym był niewidzialny.

Powrót do domu metrem dał mi przedsmak samotności, która czekała mnie w nadchodzących miesiącach i latach. Nie była to samotność w sensie fizycznym, bo po zerwaniu z partią miałem więcej przyjaciół niż przedtem. Ale pojedyncze przyjaźnie nie potrafią zastąpić poczucia przynależności do wspólnoty obejmującej całą kulę ziemską. Ani kojącego, pokrzepiającego uczucia solidarności, które zapewnia tej

wielkiej, bezkształtnej masie ludzkiej spoistość i rodzinną atmosferę.

Kilka dni później spędzałem samotny wieczór w domu. Nagle przyszło mi do głowy, że mogę skończyć z męczącym czekaniem, wziąć sprawy w swoje ręce i wystąpić z partii. Choć od dawna oddalałem się od niej, rozwiązanie to nie wydało mi się logicznym wyjściem z sytuacji, lecz zupełnie nowym i zuchwałym pomysłem. Komunista wyrzucony z partii jest uważany przez towarzyszy za upadłego członka rodziny; ktoś, kto występuje z niej z własnej inicjatywy, sam wyklucza się ze wspólnoty. Ale jednocześnie na myśl o wystąpieniu z partii poczułem euforię, którą przeżywałem za każdym razem, gdy paliłem za sobą mosty: tamtej nocy w Wiedniu, gdy rzuciłem studia, i owej drugiej nocy przed siedmioma laty, kiedy postanowiłem zrezygnować z kariery i wstąpić do KPD. Przez całą noc pracowałem nad listem pożegnalnym do partii. Sądzę, że był to dobry tekst, i żałuję, że jego kopia nie zachowała się. Ale wciąż brakowało mi odwagi, aby wyciągnąć ostateczne konsekwencje. Rozstawałem się z Komunistyczną Partią Niemiec, Kominternem i stalinowskim reżimem, lecz zakończyłem deklaracją lojalności wobec Związku Sowieckiego. Występowałem przeciwko systemowi, rakowatemu rozrostowi biurokracji, terrorowi i dławieniu swobód obywatelskich, ale dałem wyraz przekonaniu, że podstawy państwa robotniczo-rolniczego pozostały mocne i niewzruszone, że nacjonalizacja środków produkcji jest gwarancją, iż w końcu wróci ono na drogę do socjalizmu, i że mimo wszystko Związek Sowiecki wciąż jest „naszą ostatnią i jedyną nadzieją na tej planecie szybko staczającej się ku upadkowi”.

W tym przekonaniu trwałem niezłomnie jeszcze przez półtora roku, aż pakt Ribbentrop–Mołotow rozwał resztki złudzeń.

Jeżeli wahania przed i zaraz po zerwaniu z partią dowodzą trwałości iluzji karmiącej się nadzieją, to moje późniejsze doświadczenia ujawniają inny aspekt irracjonalnych sił kierujących człowiekiem. Kiedy byłem komunistą, otaczała mnie sympatia ludzi o postępowych poglądach, którzy wprawdzie nie lubili komunizmu, ale szanowali moje przekonania. Po zerwaniu z komunizmem ci sami ludzie zaczęli odnosić się do mnie z pogardą. Za tą postawą kryło się niewypowiedziane oskarżenie. Byli komuniści to nie tylko irytujące Kasandry, takie jak

antynazistowscy emigranci; to też upadłe anioły, które nietaktownie przypominają, że w niebie nie jest wcale tak wspaniale, jak się wydaje. Ludzie szanują tych, co nawrócili się na katolicyzm albo komunizm, ale odrazą napęlnia ich każdy kapłan dowolnego wyznania, który zrzucił sukienkę duchowną. Tę postawę tłumaczy się niechęcią do renegatów. A przecież konwertyta to też pewnego rodzaju odstępcą od swojej dawnej wiary albo niewiary, gotowy prześladować jej wyznawców. Mimo to wybacza mu się, ponieważ „przyjął” wiarę, gdy tymczasem ekskomunista lub były ksiądz wiarę „stracili” – i tym samym mogą pozbawić wierzących złudzeń, przypominając o obmierzłej, groźnej pustce.

* *
*

Kiedy wstępowałem do partii komunistycznej, miałem dwadzieścia sześć lat, a trzydzieści trzy, gdy opuszczałem jej szeregi. Były to najlepsze lata mojego życia – zarówno ze względu na młody jeszcze wiek, jak to, że widziałem przed sobą wzniosły cel. Nigdy wcześniej ani później życie nie było dla mnie tak pełne znaczenia jak w owych siedmiu latach. Były one jak piękny błąd w porównaniu z lichą prawdą.

Przez siedem lat Jakub służył Labanowi, aby zdobyć rękę jego córki Racheli – „a wydały mu się one jak dni kilka, bo bardzo miłował Rachelę”. Ale w dzień po zaślubinach w ciemnym namiocie odkrył, że zbliżył się nie do pięknej Racheli, lecz do brzydkiej Lei. I rzekł do Labana: „Cóż mi uczyniłeś? Czemu mnie oszukałeś?”^[22].

Można by sądzić, że nigdy nie otrząsnął się z tego szoku. Dowiadujemy się jednak, że po następnych siedmiu latach służby otrzymał swoją ukochaną. I znów wydały mu się one jak kilka dni. Bo, chwala Bogu, człowiek jest upartą istotą.

W owym krytycznym okresie po zerwaniu z partią, kiedy były rewolucjonista staje się wyrzutkiem partii wyrzutków i żyje w duchowej samotności, ogarnia go pokusa, aby przejść do przeciwnego obozu politycznego albo nawrócić się na wiarę religijną. Ci z moich przyjaciół, którzy oparli się tej pokusie i zachowali umysłową i emocjonalną równowagę, mieli poza partią inne zainteresowania – byli pisarzami, artystami albo uczonymi – dzięki czemu zachowali cel w życiu i nie stracili gruntu pod nogami.

Wracając na początku 1938 roku do Paryża, przywiozłem ze sobą cenny dokument. Była to umowa z londyńskim wydawnictwem Jonathana Cape'a na *Gladiatorów*, moją pierwszą powieść, która ukazała się drukiem. Cape wypłacił mi zaliczkę w wysokości, zdaje się, 125 funtów; chociaż musiałem zapłacić za tłumaczenie, zostało mi dość, aby przeżyć pół roku w spartańskich warunkach. Mogłem więc w końcu napisać książkę, od której co chwila musiałem się odrywać, bo albo nie miałem pieniędzy na życie, albo musiałem wykonać jakieś zadanie partyjne. Ukończyłem ją w lipcu 1938 roku, cztery lata od rozpoczęcia.

Po każdej z mniej lub bardziej dramatycznych przerw powrót do I wieku p.n.e. napełniał mnie spokojem i cichą radością. W miesiącach, które poprzedziły moje zerwanie z partią i nastąpiły po nim, praca nad *Gladiatorami* była dla mnie prawdziwą terapią. Zapewniła poczucie ciągłości, które pomogło mi przetrwać okres samotności i wewnętrznej pustki. Przed zerwaniem uważałem się tylko za sługę sprawy i pisanie traktowałem jako część tej służby. Odtąd zacząłem się uważać za zawodowego pisarza, a pisanie stało się celem samym w sobie. Zaraz po ukończeniu *Gladiatorów* przystąpiłem do pracy nad *Ciemnością w południe*.

Powieść ta, zgodnie z konspektem, który napisałem dla wydawcy, miała dotyczyć losów czterech lub pięciu ludzi osadzonych w więzieniu jednego z państw totalitarnych. Czekać na wykonanie wyroku śmierci, zostają oni przeniesieni z banalnej na tragiczną płaszczyznę egzystencji. Dokonują obrachunku z życiem i stwierdzają, że są winni, ale nie zbrodni, za które zostali skazani. Ich wina polega na tym, że postawili interesy ludzkości ponad interesami człowieka, poświęcili moralność dla skuteczności, środki dla celów. Teraz muszą umrzeć z ręki ludzi wyznających te same zasady, bo ich śmierć przysłuży się sprawie. Powieść miała nosić tytuł *Circulus vitiosus* (Błędne koło).

Zaczynając pracę nad książką, nie znałem jeszcze jej fabuły i tylko jedna postać stała mi jasno przed oczami. Miał to być członek starej gwardii bolszewickiej o poglądach Nikołaja Bucharina, wyglądający jak skrzyżowanie Lwa Trockiego z Karolem Radkiem. Ukazywał mi się wyraźnie jak zjawa: niski, krępy, z kocią bródką, w trakcie chodzenia po celi wycierający binokle o rękaw. Należało znaleźć mu odpowiednie

nazwisko. Grzebiąc w rupieciarni swojej pamięci, natknąłem się na nazwisko „Rubaszow”, ale nie pamiętałem, skąd się ono tam znalazło. Podobało mi się, bo pochodziło od słowa „rubaszka”, oznaczającego długą koszulę rosyjską, w którą w wyobraźni ubierałem na niedzielę mego bohatera. W rzeczywistości Nikołaj Salmanowicz Rubaszow był redaktorem „Dawar”, socjalistycznego dziennika wychodzącego w Palestynie, ale zapomniałem o tym. Nigdy nie poznałem prawdziwego Rubaszowa, lecz jego nazwisko było dobrze znane w Palestynie podczas mojego tam pobytu. Na marginesie dodam, że *otczestwo* mego bohatera, Salmanowicz (syn Salomona), wskazywało na jego żydowskie pochodzenie, ale wtedy tego nie zauważyłem; nie zwrócił mi też na to uwagi żaden z czytelników.

Dla zachodniej opinii publicznej, nie znającej systemu sowieckiego ani jego reguł, zeznania oskarżonych na wielkich procesach pokazowych były jedną z wielkich zagadek naszych czasów. Dlaczego starzy bolszewicy, bohaterowie wojny domowej i przywódcy rewolucji, którzy tak często narażali życie, że sami nazywali się „trupami na urlopie”, przyznawali się do tych absurdalnych, strasznych kłamstw? Jeśli pominać tych, którzy starali się tylko ocalić głowę, jak Radek; psychicznie załamanych, jak Zinowjew; i tych, którzy usiłowali osłonić rodzinę, jak Kamieniew, podobno nad życie kochający syna – to wciąż zostanie wielu działaczy, jak Bucharin, Piatakow, Mraczkowski, Smirnow i co najmniej dwudziestu innych mających za sobą długą rewolucyjną przeszłość, weteranów carskich więzień i syberyjskiego zesłania, których całkowite i skwapliwe samoponiżenie pozostawało niewytłumaczalne. Rubaszow miał być właśnie przedstawicielem tego „głównego trzonu” działaczy.

Podane w powieści rozwiązanie zagadki nazwano „teorią Rubaszowa”. Stała się ona przedmiotem długiego i gorącego sporu, w którym zresztą sam nie brałem udziału. Technika stosowana przez GPU podczas przesłuchań, na przykład pozbawianie oskarżonego snu za pomocą „konwejera”, zmuszanie go do stania przez cały dzień albo kilka dni, oślepianie światłem, groźby egzekucji bez procesu, jeśli nie będzie współpracował, zamienne używanie „twardych” i „miękkich” metod, została potwierdzona później przez więźniów.

Co do najważniejszego: w jaki sposób oskarżonych należących do „głównego trzonu” działaczy partyjnych skłoniono logicznymi argumentami do przyznania się do absurdalnych zarzutów, moja teza znalazła potwierdzenie w relacji Waltera Kriwickiego. Opisał on, jakimi metodami zmuszono do przyznania się do winy Mraczkowskiego, jednego z oskarżonych w pierwszym moskiewskim procesie pokazowym.

Przed swoim zerwaniem z Moskwą w 1937 roku Walter Kriwicki był ważnym agentem sowieckiego wywiadu wojskowego w Europie Zachodniej. Jako pierwszy z wysokich funkcjonariuszy sowieckiego wywiadu uciekł na Zachód. GPU dwukrotnie próbowało go we Francji zamordować; udało się dopiero za trzecim razem, w Stanach Zjednoczonych. Śmierć Kriwickiego miała wyglądać na samobójstwo. Znalaziono go z raną postrzałową głowy w małym waszyngtońskim hotelu, w którym nigdy wcześniej nie mieszkał. Wiele razy uprzedzał rodzinę i przyjaciół, aby w razie jego nagłej i tajemniczej śmierci nie wierzyli, że odebrał sobie życie. Jest takie stare powiedzenie funkcjonariuszy GPU: „Każdy dureń potrafi popełnić morderstwo, ale trzeba prawdziwego artysty, żeby zadać naturalną śmierć”.

Nie znałem osobiście Kriwickiego. Ci z moich przyjaciół, którzy mieli okazję się z nim zetknąć, byli pełni podziwu dla jego odwagi i uczciwości. Jego książka *W tajnej służbie Stalina* ukazała się w grudniu 1939 roku – w czasie gdy do ukończenia *Ciemności w południe* pozostała mi tylko ostatnia jej część pt. „Fikcja gramatyczna”. Wspomnienia Kriwickiego przeczytałem dopiero kilka lat później, bo po napisaniu *Ciemności w południe* przez długi czas miałem alergię na przedstawioną w niej problematykę. Kriwicki pisze:

Jak wydobywano takie zeznania?... Zdumiony świat obserwował, jak budowniczości systemu sowieckiego biczą się za zbrodnie, których nie mogli z całą pewnością popełnić i których opisy były – jak się okazało – najwymyślniejszymi kłamstwami. Od tamtego czasu owe samooskarżenia pozostają zagadką dla świata zachodniego. Jednak dla nas, ludzi należących do stalinowskiego aparatu władzy, powody przyznania się do winy nigdy nie były tajemnicą.

Chociaż kilka czynników wpływało na decyzję aresztowanych

o „przyznaniu się”, czynili to z prawdziwym przekonaniem, że w ten sposób po raz ostatni mogą oddać przysługę partii i rewolucji. Poświęcali dobre imię i życie w obronie znenawidzonego reżimu Stalina, ponieważ uważali, że mimo wszystko jest ostatnim promykiem nadziei na lepszy świat, o który walczyli w młodości.

Kriwicki powtarza, że to wyjaśnienie dotyczy tylko pewnej kategorii oskarżonych (których nazwałem „głównym trzonem”). Potem opisuje, w jaki sposób skłoniono do przyznania się Siergieja Mraczkowskiego:

Mraczkowski był członkiem partii bolszewickiej od 1905 roku, jego ojciec zaś rewolucjonistą zesłanym przez cara na Syberię. Wielokrotnie trafiał do więzienia za czasów carskich. Po rewolucji październikowej, w latach wojny domowej, organizował oddziały ochotników na Uralu, które dokonały bohaterskich czynów, rozbijając kontrewolucyjną armię admirała Kołczaka. W czasach Lenina i Trockiego jego sława bohatera obrosła legendą.

W czerwcu 1935 roku ukończono wszystkie przygotowania do pierwszego pokazowego procesu. Wydobyto „przyznanie się” od czternastu więźniów. Zostali wyznaczeni główni bohaterowie dramatu, Zinowjew i Kamieniew, którzy ćwiczyli swe role. Jednak w gronie ofiar było dwóch potencjalnych oskarżonych, z których nie udało się wydrzeć obciążających zeznań. Jednym z nich był Mraczkowski, drugim jego przyjaciel, Iwan Smirnow, założyciel partii bolszewickiej i dowódca 5 Armii w latach wojny domowej.

Stalin nie chciał rozpocząć procesu, póki nie wydobędzie samooskarżenia się tej dwójki. „Urabiano” ich całymi miesiącami, przeszli przez wszystkie tortury „trzeciego stopnia” stosowane przez NKWD, ale ciągle odmawiali „przyznania się do winy”. Szef NKWD zadzwonił nagle do mojego towarzysza, Słuckiego, by przejął przesłuchanie Mraczkowskiego celem złamania go. Słucki naprawdę szanował Mraczkowskiego. Popłakaliśmy się, gdy opowiadał swoje przeżycia, gdy przyszło mu być inkwizytorem.

– Przystąpiłem do badania gładko ogolony – powiedział Słucki. – Gdy skończyłem, miałem brodę.

Trzy dni i trzy noce trwały dyskusje, które doprowadziły

Mraczkowskiego do przekonania, że nikt poza Stalinem nie może stać na czele WKP (b). Mraczkowski był zdecydowanym zwolennikiem systemu monopartyjnego i musiał przyznać, że nie ma tak silnej grupy bolszewików, która mogłaby doprowadzić do reformy wewnątrz partii lub do obalenia zwierzchnictwa Stalina. To prawda, w kraju panuje głębokie niezadowolenie, ale próba rozwiązania tej sprawy poza partią bolszewicką oznaczałaby koniec dyktatury proletariatu. A tej idei Mraczkowski pozostał wierny.

Obaj, oficer śledczy i więzień, zgodzili się, że wszyscy bolszewicy muszą podporządkować własną wolę i ideały ideałom i woli partii. Obaj doszli do wniosku, że trzeba pozostać w partii, nawet gdyby to groziło śmiercią w niesławie, ale służyłoby umocnieniu władzy sowieckiej. Od samej partii zależy, czy okaże względy kajającym się, czy uwzględni te przejawy samopoświęcenia.

– Doprowadziłem go do takiego stanu, że zaczął płakać – opowiadał mi Słucki.

– Gdy doszliśmy do wniosku, że wszystko stracone, że nic nie pozostało z naszej nadziei i wiary, że można jedynie czynić rozpaczliwie wysiłki, by nie dopuścić do daremnej walki niezadowolonych mas, płakałem wraz z nim. W tym celu rządowi są potrzebne publiczne „wyznania win” opozycyjnych przywódców.

Mraczkowski poprosił o pozwolenie na spotkanie ze swym przyjacielem – Iwanem Smirnowem. Słucki kazał przyprowadzić Smirnowa z celi i w jego biurze odbyła się rozmowa. Słucki opisał ją następująco:

„To była naprawdę wstrząsająca scena. Dwaj bohaterowie rewolucji rzucili się sobie na szyję. Płakali. Mraczkowski powiedział do Smirnowa:

– Iwanie Nikiticzu, dajmy im to, czego chcą. Trzeba tak zrobić...

Pod koniec czwartego dnia podpisał zeznanie, które powtórzył później na publicznym procesie.

Poszedłem do domu. Przez cały tydzień nie byłem w stanie pracować. Nie nadawałem się do życia”^[23].

Kiedy wiele lat po napisaniu *Ciemności w południe* czytałem te słowa, miałem tak silne poczucie *déjà vu*, że aż zrobiło mi się słabo.

Podobieństwo do opisanego w mojej powieści pierwszego przesłuchania Rubaszowa było naprawdę uderzające. Analogie między argumentami Iwanowa, śledczego z mojej powieści, i Słuckiego nietrudno wyjaśnić: zarówno na wydarzenia powieściowe, jak rzeczywiste wywierały wpływ te same idee i okoliczności. Ale niektóre podobieństwa szczegółów i niuansów znacznie wykraczały poza ten ogólny kontekst. W obu wypadkach przesłuchanie rozpoczyna się od sceny, w której przesłuchujący i przesłuchiwany oddają się sentymentalnym wspomnieniom z wojny domowej; w obu oskarżający walczył pod rozkazami oskarżonego; wskutek rany odniesionej podczas wojny domowej jedna osoba z obu par protagonistów kuleje; w obu wypadkach śledczy sam zostaje później zgładzony. Podczas lektury miałem upiorne wrażenie, jakbym spotkał sobowtórów Rubaszowa i Iwanowa – jakby postacie i wydarzenia z mojej wyobraźni nagle zaczęły żyć własnym życiem.

W listopadzie 1952 roku przeznaczenie dosięgło ostatniego z najbliższych mi towarzyszy partyjnych, Ottona Katza, alias André Simona.

Lata wojny Otto spędził w Meksyku. Potem wrócił do swego kraju rodzinnego, Czechosłowacji. Po komunistycznym zamachu stanu w 1948 roku mianowano go szefem działu zagranicznego oficjalnego organu partii, „Rudego Prava”, a potem kierownikiem wydziału prasy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W 1952 roku fala wielkiej czystki, która przetoczyła się przez kraje bloku wschodniego, zagarnęła również Katza. Znalazł się wśród czternastu podsądnych w procesie Słánskiego–Clementisa; oskarżono go o to, że był szpiegiem brytyjskim, sabotażystą i agentem syjonistycznym. Przyznał się do wszystkiego i został powieszony.

Czytając o zeznaniach złożonych przez Ottona w trakcie procesu, przeżyłem większy wstrząs niż podczas wszystkich podobnych okazji. W ostatnim słowie przed trybunałem Otto zacytował końcowe przemówienie Rubaszowa na tyle dosłownie, na ile zapewne pozwalała mu pamięć. Zakończył je tak:

Zasłużyłem na stryczek. Mogę oddać jeszcze tylko jedną przysługę: być przestroga dla wszystkich, którym przez ich pochodzenie

i charakter grozi podążenie tą samą drogą do piekła. Im surowsza kara... (głos oskarżonego staje się niesłyszalny)^[24].

Ostatnie słowo Rubaszowa, w którym mówił on o „oddaniu ostatniej przysługi” i „służeniu za przestrożę”, było parafrazą zeznań Bucharina złożonych podczas procesu moskiewskiego w 1938 roku – i Katz o tym wiedział.

Wybierając te słowa, niewątpliwie chciał dać do zrozumienia, że jego też, tak jak Bucharina i Rubaszowa, zmuszono do przyznania się do wymyślonych zbrodni. Może wierzył, że uczynię dla niego to, co on zrobił dla mnie, kiedy znajdowałem się w podobnej, choć nie tak beznadziejnej sytuacji; może miał nadzieję, że jego wpływowi dawni przyjaciele z Paryża, Londynu i Hollywood, którzy kiedyś podziwiali i fetowali autora *Brunatnych ksiąg* i organizatora kampanii propagandowych w obronie republiki hiszpańskiej, pospieszą mu na ratunek. Kiedy człowiekowi grozi szubienica, łatwo mu przecenić zainteresowanie świata swoją osobą. Ale nikt z cizby redaktorów, dziennikarzy, dam z towarzystwa i gwiazd filmowych otaczających Ottona w romantycznych, różowych czasach Frontu Ludowego, nie zabrał głosu w jego obronie. Ostatnie słowa Katza były jak list rozbitka w butelce, która unosi się na falach wśród wyrzuconych przez morze odpadków, niezauważona przez plażowiczów.

Jesienią 1938 roku zostałem redaktorem niemieckiego tygodnika wydawanego w Paryżu przez Willego Münzenberga. Nosił on tytuł „Die Zukunft” (Przyszłość).

Willi również ostatecznie zerwał z Kominternem, odmawiając wyjazdu do ZSRS na żądanie Moskwy. Biurokracja partyjna przejęła zbudowane przezeń międzynarodowe przedsiębiorstwo, które szybko się rozpadło. Rozsadzająca Willego energia potrzebowała ujścia – dlatego założył „Die Zukunft”. Miał to być niezależny, niemieckojęzyczny tygodnik, który oprócz prowadzenia antynazistowskiej propagandy, działałby na rzecz zbliżenia różnych kręgów emigracji i opracował program na czasy po upadku hitlerowskiego reżimu. Początek był udany, zamieściliśmy oryginalne teksty Thomasa Manna, Harolda Nicolsona, Alfreda Duffa Coopera, Normana Angella, Edwarda Morgana Forstera, Aldousa Huxleya i innych. Nad koncepcją długoterminowej polityki

niemieckiej na czasy po Hitlerze pracował redakcyjny trust mózgow złożony z Manèsa Sperbera (który też odszedł już z partii), Paula Seringa (literacki pseudonim Richarda Löwenthala), historyka Juliusa Steinberga, Willego i mnie. Ponadto wydawaliśmy dodatek literacki redagowany przez Ludwiga Marcusego.

Mimo to po kilku miesiącach pismo zaczęło podupadać, jak to się dzieje prędzej czy później z większością gazet emigrantów, odciętych od ojczyzny i pozbawionych żywego kontaktu z krajem emigracji. Zajęty redagowaniem „Die Zukunft”, mogłem pracować nad *Ciemnością w południe* tylko nocami, a ponieważ przeczuwałem rychłą wojnę, pragnąłem poświęcić się całkowicie mojej powieści, póki było to jeszcze możliwe. Toteż przed Bożym Narodzeniem ustąpiłem z redakcji, choć pozostałem członkiem trustu mózgow i niezależnym współpracownikiem pisma.

„Die Zukunft” ukazywała się pod redakcją członka katolickiej partii Centrum do końca 1939 albo początku 1940 roku, kiedy większość pracowników redakcji zamknięto w obozach internowania. Tygodnik od samego początku był pozbawiony perspektyw, ale nie żałuję swego czasu i wysiłku, bo podczas pierwszych kilku miesięcy po zerwaniu z partią potrzebowałem zajęcia i towarzystwa ludzi podobnie myślących. Praca nad pismem zbliżyła mnie jeszcze bardziej z Willim na krótko przed jego śmiercią i zapoczątkowała także moją przyjaźń z Manèsem Sperberem. Po jego odejściu z partii przekonałem się, że łączy on w sobie jasność myśli, ciepło, humor i analityczną wnikliwość, kryjące się za cokolwiek apodyktyczną fasadą.

Po zerwaniu z partią wszyscy przypominaliśmy rekonwalescentów, którzy uczą się chodzić po ciężkiej operacji. Mnie i Sperberowi łatwiej było się odnaleźć w nowej sytuacji niż Willemu, dla którego partia była całym życiem od wczesnej młodości, od czasów pracy w fabryce obuwia w Erfurcie. Mimo to nie usłyszałem od niego słowa skargi na partię, która odpłaciła mu czarną niewdzięcznością. Prawdziwym sprawdzianem charakteru polityka jest chwila, w której traci on władzę. Pozbawieni swoich imponujących biur, sekretarek, przywilejów i admiratorów byli ministrowie i dyplomaci, których poznałem na emigracji, przypominali w większości starszych dygoczących

z zimna w łaźni tureckiej. Willi należał do rzadkich wyjątków. Do końca zachował siłę osobowości, autorytet i życiową werwę.

Koniec ten nadszedł latem 1940 roku. Od wybuchu wojny politycy francuscy chronili Willego przed internowaniem, któremu podlegali wszyscy niemieccy uchodźcy. Dopiero kilka dni przed upadkiem Paryża wysłano go do obozu internowania w środkowej Francji. Kiedy wojska niemieckie zbliżyły się do obozu, komendant, wiedząc, co grozi jego mieszkańcom, gdy wpadną w ręce Niemców, otworzył bramy i życzył im powodzenia. Internowani uznali, że najlepiej będzie się rozdzielić i pojedynczo lub grupkami zmierzać ku granicy szwajcarskiej i nieokupowanej części Francji. Kiedy Willego widziano ostatni raz, szedł szosą na wschód w towarzystwie dwóch młodych ludzi, którzy zaprzyjaźnili się z nim w obozie. W kręgach emigracyjnych ich nie znano, sądzono, że należą do Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Kilka dni później w lesie opodal Grenoble znaleziono zwłoki Willego. Wisiał na drzewie powieszony za szyję. Twarz była zakrwawiona i posiniaczona. Gałąź, do której przywiązano sznur, znajdowała się zbyt wysoko, aby zmarły mógł popełnić samobójstwo. Wojska francuskie ani niemieckie nie przechodziły przez tę okolicę. O dwóch młodych ludziach wszelki śluch zaginął.

Dzięki „Die Zukunft” poznałem Sigmunda Freuda; był to ostatni rok w życiu wielkiego uczonego. Jesienią 1938 roku pojechałem do Londynu, aby prosić go o artykuł do specjalnego, angielsko-niemieckiego numeru pisma, który przygotowaliśmy.

Freud miał wówczas osiemdziesiąt dwa lata. Pół roku wcześniej Niemcy hitlerowskie dokonały aneksji Austrii i uczonego wyemigrował wraz z rodziną do Londynu. Jego młodszy syn Ernst, z zawodu architekt, urządził mu dom w Hampstead. Był to przyjemny domek w stylu georgiańskim z małym, ogrodzonym murem ogrodem, gdzie rosły stare drzewa. Na trawniku stał fotel bujany, w którym Freud drzemał czasem po bezsennej nocy. W domu obok wąskich, starych schodów Ernst Freud pomysłowo zamontował małą windę, aby oszczędzić ojcu trudu wchodzenia na górę.

Gabinet Freuda znajdował się na drugim piętrze. Z mebli nie zapamiętałem niczego – byłem tak przejęty, że przeszedłem przez

przedpokój jak otumaniony, nie zwracając na nic uwagi. Pamiętam jednak, że wszędzie było wiele orientalnych *objets d'art* należących do słynnej kolekcji Freuda, na które zerkałem tylko kątem oka z podziwem i ciekawością. Znowu opanowała mnie moja przekłeta nieśmiałość i trzymała w swoich szponach przez całą wizytę. Byłem jeszcze bardziej skrępowany niż podczas rozmowy z Thomasem Mannem.

Freud wyglądał dokładnie jak na fotografii i tak ściśle odpowiadał moim wcześniejszym wyobrażeniom, że aż się wzdrygnąłem; miałem wrażenie, jakbym idąc po Hyde Parku spotkał legendarnego jednoroźca, a ten powiedział do mnie: „Jestem legendarnym jednoroźcem”. Freud był bardzo uprzejmy, a gdy spostrzegł moje zakłopotanie, jego twarz przybrała wyraz delikatności – była to pozbawiona uśmiechu, poważna, męska delikatność. Choć był niski i wąły, z twarzą zarośniętą krótką białą brodą – niejako przystrzyżoną na jeża – wyglądał nie na chorego osiemdziesięcioletniego staruszka, lecz na hebrajskiego patriarchę z jego niespożytymi męskimi siłami. Wrażenia tego nie mogło zatrzeć nawet to, że mówił w sposób nienaturalny i z trudem. Rak ust, na który miał wkrótce umrzeć, zmuszał go do zaciskania warg i rozciągania kącików ust podczas mówienia – na podobieństwo dziecka przedrzeźniającego bezzębnych staruszków. Cały czas cierpiał i wizyty szybko go męczyły. Anna Freud wprowadziła mnie do gabinetu i poprosiła, żebym nie siedział dłużej niż dwadzieścia minut, ale Freud zatrzymał mnie na dodatkowe dziesięć. Musiał to uczynić wyłącznie z dobroci, ponieważ nie mogąc przezwyciężyć nieśmiałości, wygłaszałem jeden komunał po drugim, zwłaszcza o polityce i „Die Zukunft”, co musiało go nudzić. Ale może odegrała też rolę jego nienasycona ciekawość ludzi, jakkolwiek byliby nieobcy i nie umieli się wysłowić.

Moje notatki z tej rozmowy skonfiskowała policja francuska i po piętnastu latach pozostały mi w pamięci tylko trzy jej fragmenty.

Pierwszym jest niewiarygodna gafa, od której rozpocząłem rozmowę. Wyjaśniłem, że do numeru specjalnego potrzebujemy artykułów wszystkich niemieckich i angielskich laureatów Nagrody Nobla – „pańskiego, panie profesorze, Thomasa Manna i tak dalej”.

Na co Freud, bez uśmiechu, rozciągając usta, rzekł:

– Tak, widzi pan, jestem już starym Żydem, ale Nagrody Nobla nigdy nie dostałem.

Drugi epizod pamiętam równie jasno. Wypowiedziałem jakiś frazes dotyczący nazistów. Freud popatrzył nieobecny, zamyślony wzrokiem na drzewa za oknem i powiedział z wahaniem:

– Widzi pan, to jest odreagowanie agresji stłumionej przez naszą cywilizację. Coś takiego było prędzej czy później nieuniknione. Nie jestem pewien, czy z mojego punktu widzenia mogę ich za to potępiać.

Wyraził to zapewne zupełnie innymi słowami, ale taki był na pewno sens jego wypowiedzi. W ten sposób dał tylko wyraz etycznej neutralności freudowskiej doktryny – i wszelkiej ściśle deterministycznej nauki. Nie było to nawet *tout comprendre c'est tout pardonner* – bo nawet przebaczenie zawiera w sobie osąd moralny – ale po prostu *tout comprendre c'est tout comprendre*.

Potem zapytałem Freuda, czy spotyka się w Londynie z przyjaciółmi i kolegami po fachu. Odpowiedział, że „lekarze” zalecają mu unikanie częstych spotkań z powodu „tego na mojej wardze”. Mówił, że leczą go promieniami rentgenowskimi i radem. Potem jego spojrzenie znów stało się nieobecne i zamyślane.

– Lekarze mówią, że potrafią to wyleczyć. Ale kto wie, czy można im wierzyć?

Freud wiedział, że „to” na jego wardze jest nowotworem. Ale ani w rozmowie, ani w listach do przyjaciół nazwa ta nigdy nie padła. Nikt też nie nazywał rzeczy po imieniu w jego obecności. Pogromca wszelkich tabu sam stworzył własne. Był świadom, że nie ma dla niego nadziei i że „lekarze” też to wiedzą. Człowiek, który wiedział więcej od innych śmiertelników o sposobach samooszukiwania się, postanowił wstąpić w wieczny mrok z zawiązanymi oczami.

„Śmieć tego świata”

Na początku sierpnia 1939 roku wyjechałem z G. [rzeźbiarką Daphne Hardy] na południe Francji. W Roquebillière wynajęliśmy starą willę, którą pod koniec XIX wieku zbudował dla swojej kochanki książę Monako. Ja pisałem *Ciemność w południe*, G. rzeźbiła moje popiersie. Byliśmy bardzo szczęśliwi.

Dwudziestego trzeciego sierpnia na trzeciej stronie gazety „L’Eclair de Nice et du Sud-Est” przeczytałem lakoniczny komunikat agencji prasowej Havasa. Korespondent informował, że Niemcy i Związek Sowiecki podpisały pakt o nieagresji. Gazetę dopiero co przyniósł listonosz. Otworzyłem ją po drodze na obiad, który jadaliliśmy w Saint-Sébastien.

– Co się stało? – zapytała G., widząc, jak biję się pięściami po skroniach.

– To koniec – odparłem. – Stalin przyłączył się do Hitlera.

– A czego się spodziewałeś? – rzekła na to G. z niezmaconym spokojem.

Próbowałem jej wytłumaczyć, co to oznacza dla świata w ogóle oraz dla mnie i moich przyjaciół w szczególności. Co to oznacza dla tej lepszej, bardziej optymistycznej połowy ludzkości, którą zwano lewicą, bo wierzyła w postęp społeczny, i która, choć przeciwna metodom Stalina i jego uczniów, wciąż świadomie lub podświadomie wierzyła, że Rosja to jedyny obiecujący eksperyment społeczny w tym strasznym stuleciu. Sam przez siedem lat byłem komunistą i drogo za to zapłaciłem; zaledwie przed półtora rokiem pełen odrazy odszedłem z partii. Część moich przyjaciół uczyniła to samo, niektórzy wciąż się wahali; wielu zostało rozstrzelanych lub uwięzionych w Związku Sowieckim. Zrozumieliśmy, że stalinizm skompromitował i zbrukał socjalistyczną utopię jak średniowieczny Kościół skompromitował i zbrukał chrześcijaństwo; że Trocki, choć sympatyczniejszy jako człowiek, jako ideolog nie jest lepszy od swego przeciwnika; że główne zło bolszewizmu polega na bezwarunkowym stosowaniu zasady, iż cel uświęca środki; że kierująca się szczytnymi ideałami dyktatura

Torquemady–Robespierre’a–Stalina ma jeszcze gorsze skutki niż naga tyrania typu neronowego; że wszystkie partie lewicy przeżyły się i że kiedyś z pozogi wyłoni się nowy ruch, którego kaznodzieje będą pewnie nosić mnisie habity i podążać bosy drogami leżącej w gruzach Europy. Zrozumieliśmy to wszystko i odwróciliśmy się plecami do Rosji, ale nigdzie nie mogliśmy znaleźć pociechy. Dlatego w głębi duszy wciąż tliła się w nas iskierka nadziei, że może się jednak mylimy i że na dłuższą metę to Rosjanie mają rację. W swoich uczuciach do Rosji przypominaliśmy mężczyznę, który rozwiódł się z ukochaną żoną; nienawidzi jej, a przecież cieszy go to, że ona wciąż żyje.

A teraz umarła. Nie ma śmierci smutniejszej i bardziej ostatecznej niż śmierć złudzenia. W pierwszej chwili po otrzymaniu ciosu człowiek nie czuje bólu, ale wie już, że wkrótce zacznie cierpieć. Czytając komunikat agencji Havasa, nie byłem przygnębiony, a tylko podniecony; wiedziałem jednak, że jutro, pojutrze pogrążę się w otchłani depresji i że gorycz nie opuści mnie przez kilka najbliższych miesięcy, a może nawet lat; i że miliony ludzi, reprezentujące ową bardziej optymistyczną połowę ludzkości, zapewne nigdy nie otrząsną się z tego przygnębienia, choćby nie zdawały sobie sprawy z jego przyczyn. Każdy okres w historii ma swą religię i nadzieję; tylko bardzo rzadko, w najmroczniejszych czasach, ludzkości brakowało wiary, dla której można by żyć i umrzeć. Wojna była nieunikniona. Ludzie lewicy gotowi byli w niej walczyć, ale z goryczą i rozpaczą; tak bowiem walczą ludzie, którzy wiedzą przeciwko czemu walczą, lecz nie wiedzą o co.

Staralem się to wszystko wyjaśnić G., która była niemal rówieśniczką traktatu wersalskiego i nie mogła pojąć, dlaczego trzydziestoczteroletni mężczyzna robi tyle szumu z powodu pogrzebu swoich złudzeń – należała bowiem do pokolenia nie mającego już żadnych złudzeń.

Nazajutrz rano, 24 sierpnia, wiadomość o pakcie znalazła się na pierwszej stronie gazety. Niczego nam nie oszczędzono. Przeczytaliśmy o błyskawicznej wizycie Ribbentropa w Moskwie, gdzie został serdecznie przyjęty – przypomniałem sobie, jak nasze gazety partyjne wyśmiewały się z tego byłego handlarza winem, którego mianowano głównym dyplomatycznym komiwojazerem marki „Strach

przed Czerwonymi”, rozlewanej w Château Berchtesgaden. Dowiedzieliśmy się, że na moskiewskim lotnisku wciągnięto flagę ze swastyką, a orkiestra Armii Czerwonej odegrała *Horst-Wessel-Lied*. Przypomniałem sobie, jak moi zwierzchnicy partyjni tłumaczyli egzekucje Tuchaczewskiego i innych dowódców Armii Czerwonej. Oficjalne wyjaśnienie (wersja A, przeznaczona dla prostodusznych i prawowiernych) głosiła, że to zwykli zdrajcy; według wersji B (przeznaczonej dla inteligencji i na użytek wewnętrzny) straceni, choć nie byli właściwie zdrajcami, opowiadali się za porozumieniem z nazistami przeciwko zachodnim demokracjom, Stalin słusznie więc ich rozstrzelał. Poznaliśmy treść niesłychanego trzeciego paragrafu paktu^[25], wprost zachęcającego Niemcy do napaści na Polskę. Zastanawiałem się, jak tym razem partia wyjaśni prostodusznym masom ten ostatni sukces polityczny Związku Sowieckiego. Już nazajutrz poznaliśmy odpowiedź: „L’Humanité”, oficjalny organ Francuskiej Partii Komunistycznej, wyjaśniał, że pakt to efekt nadludzkich starań Stalina, aby zapobiec grożącej wojnie imperialistycznej. Tak, mieli wyjaśnienie na każdą okazję: od kary śmierci dla dwunastoletnich dzieci po zniesienie prawa do strajku i zorganizowanie wyborów z udziałem jednej partii; nazywali to „rewolucyjną dialektyką” i przypominali iluzjonistów, którzy potrafią wyjąć jajko z każdej kieszeni swojego fraka, a nawet z nosa jakiegoś widza. Wyjaśniali wszystko tak przekonująco, że podczas posiedzenia któregoś z komitetów Heinrich Mann, swego czasu wielki sympatyk komunizmu, zawołał do Dahlema, jednego z przywódców KPD:

– Jeśli każecie mi uwierzyć, że ten stół jest sadzawką, to obawiam się, że przekroczy to moje zdolności dialektyczne.

Biedny stary Heinrich Mann – a także André Gide, Romain Rolland, John Dos Passos i George Bernard Shaw. Zastanawiałem się, jak zareagują na wieść o pakcie. Jakże zręcznie ci iluzjoniści umieli wyjmować jajka z nosów intelektualnej elity na całym świecie. I wszyscy starzy robotnicy Citroëna, młodzi robotnicy z lochów gestapo, członkowie Left Book Club w Bournemouth i ofiary wojny hiszpańskiej pochowane w masowych mogiłach – wszyscy nabrali się na tę największą farsę, jaką widział świat.

Dwudziestego czwartego sierpnia 1939 roku było pięknie

i słonecznie. Swoim zwyczajem czytałem gazetę, gdy szliśmy na obiad do Saint-Sébastien. Gestykułowałem i rozprawałem głośno. Po drodze jak zwykle mijaliśmy zakład dla obłąkanych. Jedna z pensjonariuszek, siedząca na słońcu i dzierżąca niewidzialny sweter, spojrzała na nas z przerażeniem.

* *
*

Rankiem 2 października 1939 roku siedziałem właśnie w wannie, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Sprzątaczką jeszcze nie przyszła. Pomyślałem, że to pewnie listonosz, i zawołałem, by chwilę zaczekał. W odpowiedzi usłyszałem:

– Policja! Proszę się pospieszyć.

Ponieważ jednak byłem absolutnie przekonany, że przyjdą po mnie nocą, uznałem, że chodzi o jakieś głupstwo: wykroczenie drogowe albo naruszenie przepisów o zaciemnieniu. Owinąłem się w pasie ręcznikiem i boso podreptałem do drzwi, myśląc przy tym, że sprzątaczką będzie zrzedzić na mokre plamy na parkiecie. Kiedy odsunąłem zasuwę, drzwi otworzyły się gwałtownie i musiałem się cofnąć w głąb mieszkania pod naporem dwóch barczystych mężczyzn.

– Czy ma pan broń? – zapytali, ale spostrzegłszy moje odzienie, uznali pytanie za bezcelowe i wymijając mnie, weszli do dużego pokoju.

Rozejrzeli się szybko i stwierdzili, że nie znajdują się w mieszkaniu robotnika. Od razu stali się grzeczniejsi – zachowanie bardzo charakterystyczne dla francuskich policjantów.

– Bardzo nam przykro, ale musi pan pójść z nami na komisariat – rzekł niższy z dwójki. Miał krótkie włosy, krostowatą twarz i nazywał się, jak się kilka minut potem dowiedziałem, Fernand Pétetin.

Ponieważ Węgry do 1941 roku zachowywały neutralność, nie należałem do kategorii obywateli wrogich państw i moje aresztowanie musiało mieć inne przyczyny. Jakie dokładnie, nie wiem do dziś. Aresztowano mnie, internowano, wypuszczono na wolność i znów aresztowano, ale nigdy nie zostałem przesłuchany, nigdy też nie postawiono mi żadnych zarzutów. Według jednej hipotezy policja nie wiedziała albo nie wierzyła, że zerwałem z KPD; według drugiej – partia zastosowała sprawdzony chwyt i zadenuncjowała mnie. Zgodnie z trzecią hipotezą marszałek Pétain (ówczesny ambasador francuski

w Hiszpanii) obiecał frankistowskiemu ministrowi spraw zagranicznych, że wszyscy obcokrajowcy mieszkający we Francji, którzy walczyli w Brygadach Międzynarodowych albo publicznie występowali przeciwko Franco, będą internowani na czas wojny. W każdym razie za sprawą paktu Stalina z Hitlerem komuniści i sympatycy komunizmu we Francji stali się biernymi sprzymierzeńcami nazistów i potencjalną piątą kolumną. W tej zawilej sytuacji biurokracja francuska uznała, że znienawidzeni emigranci antyhitlerowscy świetnie nadają się na kozłów ofiarnych. I jak to zwykle bywa podczas takich polowań na czarownice, pierwszymi ofiarami stali się niewinni ludzie.

Na komisariacie byliśmy o dziewiątej. Przez cztery godziny musiałem siedzieć na drewnianej ławce i przyglądać się, jak policjanci grają w belotkę.

Około pierwszej *panier à salade* – karetka więzienna w jasnozielonym kolorze – zawiozła nas do prefektury. Na dziedzińcu wysiedliśmy i policjanci poprowadzili nas do tak zwanej *salle Lépine*.

Salle Lépine to obszerne pomieszczenie z ekranem kinowym, przeznaczone na wykłady i odczyty dla policjantów. W rzędach stało tam około trzystu foteli; połowa była już zajęta przez cudzoziemców, którzy tak jak ja zostali rano aresztowani. Na podium, plecami do ekranu i twarzą do widowni, siedzieli uzbrojeni policjanci. Wszystko wyglądało dość komicznie, jak skrzyżowanie szkółki niedzielnej z rewolucyjnym trybunałem z 1789 roku.

W *salle Lépine* znalazłem się o pierwszej, a o dziewiątej wieczorem wciąż siedzieliśmy w fotelach i czekaliśmy nie wiadomo na co. Policjanci na podium byli tym znudzeni tak samo ja my. Obawa i nuda powoli uciszyły wszystkie rozmowy. Niektórzy z nas drzemali, kilku policjantów też przysnęło i pochrapywało, trzymając karabiny między kolanami.

O północy służbę objęła druga zmiana policjantów. Ich poprzednicy, otumanieni sennością, wynieśli się chwiejnym krokiem. Trochę później zgromadzono nas na dziedzińcu i sprowadzono wąskimi schodami do piwnicy.

Prawie całe pomieszczenie wypełniał węgiel. Hałda wznosiła się na wysokość człowieka pod przeciwległą ścianą i opadała pochyło

w kierunku drzwi, pozostawiając wolny pas około trzymetrowej szerokości, zasypany miałem węglowym i jakimiś śmieciami. Policjanci wepchnęli nas do środka.

– A teraz możecie spać – powiedzieli i zamknęli drzwi. Było nas około osiemdziesięcioro.

Niektórzy mieli przy sobie gazety, które rozpostarli teraz i położyli się na nich. Kobiety co godzina zmieniały się na trzech wąskich, mających około trzydziestu centymetrów szerokości ławkach. Pozostali próbowali oczyścić z miału kawałek podłogi, aby choć usiąść. Zaduch był okropny.

Nazajutrz o ósmej rano wyprowadzono nas grupkami do toalety. Nie mogliśmy nawet umyć rąk. Przed dwudziestoma czterema godzinami wyglądaliśmy jak normalni ludzie, teraz przypominaliśmy zgraję włóczęgów. Po apelu o wpół do dziewiątej wróciliśmy przez dziedziniec do *salle Lépine*. Kazano nam usiąść na tych samych fotelach co poprzedniego dnia. Nowa zmiana policjantów zajęła swoje miejsca na podium.

Była dziewiąta; siedzieliśmy tak przez piętnaście godzin, aż do północy.

Ponownie część naszej grupy załadowano do karetek więziennych i wywieziono dokądś. Pozostało nas około trzydzieścioro. Musieliśmy spędzić drugą noc w piwnicy z węglem. Rano, czarni od brudu i węgla, wróciliśmy na swoje fotele w *salle Lépine*. Wyglądaliśmy jak procesja upiórów – swędziało nas całe ciało, piekły oczy, byliśmy otepiali ze zmęczenia i braku snu.

Policjanci, wykąpani, pachnący, w odprasowanych mundurach patrzyli na nas z pogardą i obrzydzeniem. Czytali poranne gazety, a właśnie tego dnia wszystkie gazety wydrukowały oficjalny komunikat, informujący, że cudzoziemcy aresztowani w ciągu ostatnich dwóch dni przez „naszą czujną policję” są najbardziej niebezpiecznym elementem paryskiego podziemia przestępczego – prawdziwym „śmieciem tego świata”^[26].

Rozejrzałem się dokoła. Wielu z tych, którzy siedzieli w *salle Lépine*, widziałem wcześniej na antyfaszystowskich demonstracjach, w Mutualité, w tanich restauracjach na Montmartrze albo w Dzielnicy

Łacińskiej. Większość przeszła już przez więzienia i obozy koncentracyjne w Niemczech, we Włoszech, Europie Wschodniej albo w Hiszpanii. Ponieśliśmy klęskę częściowo z własnej winy, ale przede wszystkim dlatego, że mocarstwa, które powinny nam były pomagać, zdradziły nas i zostawiły samym sobie. Przed kilkoma laty gazety i politycy zachodni, pewnie po to, aby zagłuszyć wyrzuty sumienia, nazywali nas męczennikami faszystowskiego barbarzyństwa, pionierami walki o cywilizację, obrońcami wolności i czym tam jeszcze. Teraz staliśmy się „śmieciem tego świata”.

Wieczorem trzeciego dnia *salle Lépine* opróżniono z ostatnich niedobitków wielkiej oblawy.

Na dziedzińcu prefektury stały dwie ciężarówki. Do jednej załadowano kobiety, do drugiej mężczyzn i ruszyliśmy. Za Pont du Châtelet ciężarówka z kobietami skręciła w prawo, w Boulevard de Sébastopol, nasza w lewo. Był wśród nas śniady młodzieniec, skrzypek z Jugosławii; jego żonę lub kochankę aresztowano wraz z nim. Przez cały dzień w *salle Lépine* i nocą w piwnicy z węglem siedzieli obok siebie i trzymali się za ręce. Kiedy ciężarówka z kobietami zniknęła nam z oczu, Jugosłowianin zaczął płakać. Później dowiedzieliśmy się, że kobiety z naszej grupy trafiły do „Petite Roquette”, więzienia cieszącego się wyjątkowo złą sławą.

Jechaliśmy Quais, mijając Luwr i Tuileries. Rozeszła się plotka, że zmierzamy na wielki stadion tenisowy w Auteuil noszący imię sławnego pilota wojskowego, Rolanda Garrosa. Oznaczało to internowanie, a nie uwięzienie.

Trzydzieści okazów ludzkiego „śmiecia” zaczęło się uśmiechać i z radości rozdawać sobie kuksańce. Kiedy zobaczyliśmy ogrodzenie z drutu kolczastego otaczające nasz obóz koncentracyjny, byliśmy szczęśliwi jak dzieci, które zabrano do wesołego miasteczka.

Tygodniowy pobyt na stadionie Rolanda Garrosa można nazwać wręcz sielanką w porównaniu z wcześniejszymi i późniejszymi doświadczeniami.

Stadion zamieniono w prowizoryczny obóz internowania dla „niepożądanych cudzoziemców”. Było nas około pięciuset i mieszkaliśmy w pustych pomieszczeniach pod wielką trybuną kortu

centralnego, gdzie przed wojną znajdowały się szatnie dla zawodników. Podzielono je teraz na trzy sale, w których umieszczono po 150–200 osób. Nazwano je „pierwszym oddziałem”, „drugim oddziałem” i „oddziałem niemieckim”.

Trafiłem do drugiego oddziału. W naszej sali nie było okien; jej sklepienie, będące spodnią stroną trybun, wznosiło się nad nami pod kątem 45 stopni. Spaliśmy na cienkiej warstwie słomy rzuconej na goły beton. Słoma była wilgotna, bo trybuny przeciekały. Tylko połowa z nas miała ze sobą koce, a w obozie nie wydawano żadnych przykryć. Ścisk był taki, że wielu z nas wybrało tak zwany system sardyńkowy: leżało się głową między nogami dwóch sąsiadów, aby nie chuchać sobie w twarz. Mimo to nastroje w naszej sali były znakomite, a nawet świetnie się bawiliśmy.

Pilnujący nas żołnierze byli prawie bez wyjątku mili wobec nas. W zimne lub deszczowe noce bez skrępowania opuszczali swoje posterunki i przychodzili się ogrzać do naszej przytulnej, dusznej pieczary. Jeden z nas stawał wtedy na czatach, aby ich ostrzec w razie zbliżania się patrolu. Większość mówiła nam na ty i my sami niektórych tykaliśmy – niezwykła poufałość między więźniami i strażnikami.

Napisałem „więźniowie”, a nie „internowani”, bo nasz status był właściwie trudny do określenia. Oficjalnie nazywano nas *étrangers indésirables*, czyli „niepożądanymi cudzoziemcami”, należeliśmy więc do innej kategorii niż zwyczajni Niemcy i Austriacy, których internowano zaraz po wybuchu wojny. Umieszczono ich najpierw na wielkim stadionie Colombes na przedmieściach Paryża, a po tygodniu rozwieziono do różnych obozów na prowincji. Rząd obiecał powołać komisję, która miała rozpatrzyć sprawy wszystkich osadzonych, i zwolnić z obozów antyfaszystów.

Nas jednak aresztowano pojedynczo. W większości pochodziliśmy z krajów neutralnych lub alianckich – Rosji, Czechosłowacji, Polski, Włoch, Węgier itd. Niemcy z „oddziału niemieckiego” przebywali wcześniej w zwykłych obozach internowania; ulokowano ich u nas, bo zostali uznani za szczególnie podejrzanych. Początkowo zamierzano wsadzić nas wszystkich do więzienia, ale ponieważ w więzieniach brakowało miejsca, stadion Rolanda Garrosa zamieniono

na prowizoryczne więzienie.

W następnych dniach przeniesiono do nas większość cudzoziemców z obozu Santé. Przez miesiąc trzymano ich w odosobnieniu. Wielu cierpiało na depresję, niektórzy przestali się golić, a wszyscy opowiadali przerażające historie o niewiarygodnej pladze szczurów i pluskiew w Santé.

Wśród przybyszów z Santé był dramaturg Kurt Kersten, socjolog Paul Frölich, Friedrich Wolf, autor słynnego dramatu *Profesor Mamlock* i scenariusza do filmu antynazistowskiego pod tym samym tytułem, który niedawno wszedł w Londynie na ekrany, oraz większość współpracowników Willego Münzenberga, nieoficjalnego przywódcy niemieckiego wychodźstwa.

Stu pięćdziesięciu ludzi stłoczonych w naszej sali należało do dwudziestu trzech narodów. Znaleźli się wśród nich Chińczyk, Murzyn z Senegalu i sześćoosobowa rodzina z Gruzji – ojciec, trzech jego synowie, kuzyn i stryj, noszący nazwisko Jeligulaszwili. Była to więc prawdziwa Wieża Babel.

Prawie połowę mieszkańców mojego oddziału stanowili Rosjanie, którzy dzielili się na dwa obozy: białych białych i czerwonych białych; jedni nie rozmawiali z drugimi. Biali biali byli emigrantami wciąż wrogo nastawionymi do bolszewizmu, natomiast czerwoni biali podczas dwudziestoletniej emigracji pogodzili się z tym, że rewolucji nie da się cofnąć i trzeba ją uznać za fakt dokonany; postanowili wrócić do ojczyzny i w tym celu wystąpili do ambasady sowieckiej o wizy. Ale czerwoni biali też dzielili się na dwie grupy: jedni pozostali antykomunistami i dążyli do porozumienia z sowieckim rządem tylko z pobudek patriotycznych; drudzy chcieli wstąpić do partii komunistycznej.

Biali biali byli jedynymi „prawicowcami” w naszym oddziale; resztę tworzyli nieliczni uchodźcy apolityczni i antyfaszyści z całej Europy, między innymi członkowie Chorwackiej Partii Chłopskiej, hiszpańscy syndykaliści, czescy liberałowie, włoscy socjaliści, węgierscy i polscy komuniści, niemieccy niezależni socjaliści i jeden trockista. Wszyscy nosili fizyczne lub psychiczne ślady udręk i prześladowań, przed którymi uciekli. Bardziej światła administracja

uznałaby je za gwarancję, że ludzie ci będą lojalni i pełni uczciwych zamiarów.

* *
*

Dopiero w pociągu dowiedzieliśmy się, dokąd jedziemy. Wtedy pierwszy raz usłyszeliśmy nazwę Le Vernet, miejscowości w departamencie Ariège oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów od granicy hiszpańskiej. Trzymano tu podobno hiszpańskich milicjantów, ale pół roku wcześniej ewakuowano ich ze względu na złe warunki higieniczne. Teraz był to obóz karny dla sprawiających kłopoty Hiszpanów i wszelkiego rodzaju internowanych, których kierowano do Le Vernet z innych obozów.

Nie wróżyło to dobrze, ale w gorączce podróży nie zastanawialiśmy się nad tym. Było nas około pięciuset; podróżowaliśmy pod silną eskortą, ale w zwykłych wagonach trzeciej klasy. Doczepiono je do ekspresu tuluskiego, który odjeżdżał z Gare d'Austerlitz około dziesiątej wieczorem. Przed trzema laty kilka razy jechałem tym pociągiem, aby o piątej rano wsiąść w Tuluzie do samolotu do Barcelony, Alicante lub Madrytu.

W Tuluzie nasze wagony doczepiono do pociągu osobowego, który około jedenastej rano zatrzymał się na małej, zagubionej na pustkowiu stacyjce z napisem Le Vernet. W oddali bieleły wyniosłe szczyty Pirenejów. Wysiedliśmy, pociąg odjechał. Konwojenci zaczęli ustawiać naszą pięćsetkę w długi szereg.

Było to widocznie bardzo trudne zadanie, bo przez ponad pół godziny pokrzykiwali i poszturchiwali nas. Potem ruszyliśmy drogą równoległą do torów kolejowych. Tymczasem zaczął padać deszcz – uporczywy, melancholijny, październikowy kapuśniaczek, który potrafi padać całymi dniami i w odludnej okolicy wzbudza w człowieku poczucie zupełnej beznadziejności. Szliśmy bardzo powoli, bo nieśliśmy ciężkie bagaże. Po kilku minutach koce, którymi się okrywaliśmy, całkowicie przemokły; musieliśmy często przystawać, gdyż starsi mężczyźni – wielu miało po sześćdziesiątce, a kilku nawet po siedemdziesiątce – co kilkaset metrów rzucali bagaż i odpoczywali, ciężko dysząc.

W połowie drogi do obozu dogoniło nas i minęło około trzydziestu

ludzi idących szybkim, wojskowym krokiem. Nieśli na ramionach łopaty; pilnowali ich policjanci z rzemiennymi biczami w rękach. Więźniowie mieli ogolone głowy, ale twarze zarośnięte. Okryci byli łachmanami; niektórzy szli po błocie w łapciach, innym przez dziury w butach wystawały palce, a jeszcze inni mieli na bosych nogach gumowe kalosze. Najpewniej wracali z miejsca pracy do obozu. Patrzyliśmy na ich ogolone czaszki z przerażeniem. Też się nam przyjrżeli. Ich apatyczne twarze na chwilę ożywiła ciekawość. Niektórzy chcieli coś do nas powiedzieć, ale konwojenci szybko zamknęli im usta. Znikli za zakrętem drogi w rytm ochryplego „raz-dwa, raz-dwa” prowadzących ich strażników.

Obóz w Le Vernet miał około dwudziestu hektarów powierzchni. Z oddali wyglądał jak płatanina drutów kolczastych, które otaczały obóz potrójnym ogrodzeniem i dzieliły go na strefy.

Ziemia była tu jałowa i kamienista, pylista w czasie suszy, gruzłowata i wyboista podczas mrozu; w okresie śloty tonęło się po kostki w błocie.

Obóz podzielono na trzy sekcje: A, B i C. Każdą oddzielał od sąsiednich rów i ogrodzenie z drutu kolczastego. W sekcji A umieszczono obcokrajowców notowanych za przestępstwa pospolite, w sekcji B więźniów politycznych. Sekcja C była przeznaczona dla „podejrzanych” pod względem kryminalnym lub politycznym. Trafiłem do sekcji C, jak większość internowanych, którzy przyjechali ze mną z Paryża.

Baraki zbudowano z drewnianych desek i pokryto rodzajem wodoodpornego papieru. Każdy mieścił dwustu ludzi, miał dwadzieścia siedem metrów długości i pięć i pół metra szerokości. W środku wzdłuż obu dłuższych ścian biegły dwie drewniane platformy o szerokości stu osiemdziesięciu centymetrów, niższa i wyższa. Niższe dzielił od wyższych niecały metr, więc na niższym poziomie nie można było stanąć prosto. Na każdej platformie spało, z nogami w kierunku przejścia, pięćdziesięciu ludzi. Drewniane słupy podtrzymujące dach dzieliły każdą platformę na dziesięć przedziałów. W każdym, szerokości dwustu siedemdziesięciu centymetrów, gnieździło się pięciu ludzi; tak więc więzień miał do dyspozycji pas o szerokości około pół metra.

Oznaczało to, że cała piątka musiała spać na tym samym boku i jednocześnie przewracać się na drugi.

Na deskach leżała cienka warstwa słomy, będąca jedynym wyposażeniem naszej stodoły, bo inaczej naszych kwater nie da się nazwać. Okien nie było, tylko drewniane prostokąty wycięte w ścianach, zastępujące okiennice. Zimą z 1939 na 1940 rok nie mieliśmy piecyków, oświetlenia ani koców. W obozie nie było jadalni, a w barakach – ani jednego stołu czy taboretu. Nie mieliśmy też talerzy, łyżek, widelców ani mydła do mycia. Tylko nieliczną garstkę stać było na kupienie sobie tych rzeczy; reszta musiała żyć w epoce kamiennej.

Dzienna racja żywnościowa składała się z trzystu gramów chleba, kubka gorzkiej kawy na śniadanie oraz chochli „zupy” na obiad i kolację – mętnego płynu nie zawierającego tłuszczu, a jedynie garstkę grochu, soczewicy albo makaronu. W zupie obiadowej pływało trochę gotowanego mięsa, ale tak zepsutego, że tylko najgłodniejsi zdobywali się na jego zjedzenie.

Zimą praca trwała od ósmej do jedenastej i od pierwszej do czwartej po południu; liczba godzin roboczych zależała od długości dnia i stanu fizycznego niedożywionych ludzi. Odsetek chorych we wszystkich barakach zawsze przekraczał 25 procent, choć symulowanie surowo karano.

Zatrudniano nas głównie przy robotach drogowych oraz koniecznych naprawach i reperacjach w obozie. Za pracę nie płacono, nie zapewniano też ubrań roboczych. Ponieważ więźniowie w większości mieli tylko to, co nosili na grzbiecie – dawno już sprzedali za papierosy koszulę czy bieliznę na zmianę – nawet na dwudziestostopniowym mrozie pracowali w łachmanach i butach bez podeszew i spali bez koców w barakach, gdzie temperatura nie przekraczała zera.

Cztery razy dziennie odbywały się apele trwające od pół godziny do godziny. Przez większość tego czasu musieliśmy stać nieruchomo na mrozie. Za najdrobniejsze przewinienie policjanci bili pięścią albo pejczem. Poważniejsze wykroczenia karano co najmniej ośmioma dniami karceru; przez pierwszą dobę więzień nie dostawał nic do jedzenia ani picia, a przez następne trzy dni tylko chleb i wodę.

Tak z grubsza wyglądały warunki w obozie w Le Vernet. Był to najcięższy obóz we Francji, pod względem wikt, zakwaterowania i higieny gorszy nawet od ówczesnych niemieckich obozów koncentracyjnych. Około trzydziestu ludzi z sekcji C przeszło przez różne obozy niemieckie, włącznie z tymi, które miały najgorszą sławę: Dachau, Oranienburg i Wolfenbüttel, więc wiedzieli, co mówią. Osobiście mogę potwierdzić, że jedzenie w więzieniu Franco było znacznie bardziej treściwe i pożywne, a przecież nie musieliśmy pracować i trwała wojna domowa.

Sekcja C liczyła dwadzieścia baraków, ale tylko trzy były zajęte. Administracja nie musiałaby wydać ani grosza na ulokowanie nas w pustych barakach, dzięki czemu nasze „łóżka” mogłyby mieć choć metr szerokości. Ale nie – musieliśmy się zadowolić półmetrową przestrzenią życiową. Nic by ich nie kosztowało – poza kilkoma deskami – urządzenie w jednym z siedemnastu pustych baraków jadalni; stoły zrobilibyśmy sami. Nic z tego. Musieliśmy jeść na stojąco albo siedząc na zamarzniętej ziemi.

Baraki sekcji C nosiły numery od 32 do 51 i stały w dwóch rzędach. Numery 32, 33 i 34 były zajęte. Mieszkałem w baraku 34, w drugim przedziale po lewej, na górnej platformie. Przedział ten zajmowali wraz ze mną: Włoch Mario – który naprawdę nazywał się Leo Valiani i mimo niecałych trzydziestu lat już dziewięć spędził w więzieniu za działalność antyfaszystowską – węgierski pisarz Tamási, rosyjski impresario Pitoun i rumuński projektant obuwia Klein. Dziewiętnastoletni Żyd z Polski Jankiel, który przeżył już dwa pogromy i poznał siedem krajów europejskich, spał obok Tamásiego w przedziale trzecim.

Po przybyciu do obozu musieliśmy czekać przed barakami, aż dokładnie przeszukają nas i nasze rzeczy, wpiszą nazwiska do różnych rejestrów i przydzielą do odpowiedniej sekcji. Podczas podróży Mario, Tamási, Klein, Pitoun i ja trzymaliśmy się razem, chętnie więc zajęliśmy jeden przedział. Należeliśmy do ostatnich, których wpuszczono do baraku, więc staliśmy na deszczu przez sześć godzin.

Barak tonął w zupełnej ciemności i był taki jak cały obóz –

mroczny, budzący grozę i przygnębiający. Drżąc z zimna w przemoczonych ubraniach, położyliśmy się na słomie i w piątkę przykryliśmy się trzema kocami, bo tylko tyle nam dano.

Nazajutrz nie musieliśmy pracować; kazano nam ustawić się przed pustym barakiem w kolejce do strzyżenia włosów. Kiedy na drodze do Le Vernet spotkaliśmy pierwszych mieszkańców obozu, największe wrażenie zrobiły na nas ich łyse głowy. Wszyscy znawcy więziennictwa wiedzą, że ogolenie więźniowi głowy ma wielki wpływ na jego psychikę; dlatego w bardziej cywilizowanych krajach więźniom politycznym oszczędza się tego upokorzenia.

Na drugi dzień podzielono nas na zespoły robocze. Wraz z około trzydziestoma innymi miałem skopać i wyrównać teren za naszymi barakami.

Był to pas ziemi mający około trzystu metrów długości i stu pięćdziesięciu metrów szerokości. Korzystaliśmy potem z niego podczas ćwiczeń i gier sportowych – przywilej ten różnił nas, zwykłych „podejrzanych”, od „kryminalistów” z sekcji A i „politycznych” z sekcji B, którzy mogli zażyć trochę ruchu tylko na wąskiej ścieżce między swoimi barakami.

Kazano nam gruntownie przekopać teren, usunąć większe kamienie, zasypać doły – wszystko miało wyglądać „ładnie i równo”. Pracowaliśmy kilofami i łopatami pod nadzorem dwóch strażników. Nie poganiali nas – wałęsali się tylko ze znudzonymi minami, od czasu do czasu uderzając małymi pejcami o cholewki butów. Przez pierwszą godzinę robota wydawała mi się całkiem lekka. Przed czternastoma laty pracowałem fizycznie, nadal więc umiałem jako tako machać łopatą.

Słońce przygrzewało i choć była połowa października, pracowaliśmy rozebrani do pasa. Po mniej więcej godzinie poczułem zmęczenie; po następnych trzydziestu minutach miałem wrażenie, że kilof waży dwa razy więcej, i czułem, jak krew pulsuje mi w skroniach.

Wtedy doszło do pierwszego incydentu. Jeden ze strażników podszedł do Vargi, młodego Rumuna wyglądającego dość cherlawo, i kazał mu kopać głębiej. Varga był już mocno zaczerwieniony z wysiłku, oczy wyszły mu na wierzch. Ciężko sapiąc, odpowiedział

z irytacją, że jest studentem i nie przywykł do pracy fizycznej. W następnej chwili wielka pięść policjanta spadła na jego szczękę. Varga zachwiał się i upadł. We dwóch pomogliśmy mu wstać i chłopak bez słowa zabrał się znów do kopania. Policjant odszedł powoli do swego kolegi; minę miał tak samo znudzoną jak zawsze.

Pracowałem na przemian kilofem i łopatą. Około dziesiątej poczułem, że za chwilę oczy wyjdą mi z orbit, a oszalałe serce wyskoczy z piersi. Co dziesięć minut pozwalałem sobie na minutową przerwę i opierałem się na trzonku łopaty. Policjanci nie zabraniali tego, ale ich oczy z zawodową wprawą dostrzegały od razu każdego, kto nie potrafił dotrzymać tempa sąsiadom albo tylko pozorował pracę.

O jedenastej poranna zmiana zakończyła się, ale nie mieliśmy czasu na odpoczynek. Najpierw musieliśmy odnieść narzędzia do szopy na drugim końcu obozu i poczekać tam, aż ktoś raczy przyjść z kluczem. Potem pod strażą pomaszerowaliśmy, raz-dwa, raz-dwa, z powrotem do baraków. Stamtąd na apel, który trwał pół godziny. Kiedy stanęliśmy w kolejce po zupę, była już dwunasta, ale zupę przywieźli dopiero o wpół do pierwszej. Rozlewano ją pod gołym niebem i musieliśmy jeść na stojąco z zardzewiałych blaszanych misek, które wygrzebaliśmy na obozowym śmietniku. Należałem do szczęśliwców mających aluminiowe naczynia i sztućce; pozwalałem Mario z nich korzystać. Po zjedzeniu zupy czuliśmy większy głód niż przedtem. Ledwie zdążyliśmy umyć naczynia w zimnej wodzie – obok każdego baraku biegł rząd kranów – musieliśmy stanąć do trzeciego tego dnia apelu, pomaszerować do szopy z narzędziami, wziąć na ramię łopatę i kilof i raz-dwa, raz-dwa, wrócić do pracy.

Popołudniowa zmiana była torturą. Bez przerwy zerkałem na wskazówki mojego zegarka. Wydawało mi się, że minutowa nigdy nie obiegnie trzykrotnie tarczy. Bolało mnie całe ciało, serce i tętna waliły jak młotem; z otępiąłym zdziwieniem słuchałem osobliwego dźwięku, który przy każdym uderzeniu kilofa wydobywał się z moich płuc. W mózgu miałem watę, przez którą nie mogła się przebić żadna logiczna myśl; obsesyjnie odliczałem tylko minuty. Byłem półprzytomny i ogłupiał do szczytu.

O ile mogłem zauważyć, większość moich towarzyszy znajdowała

się w podobnym stanie. Rano rozmawiali jeszcze ze sobą, teraz wszyscy milczeli, pracując jak sapiące automaty. Dwóch z naszego zespołu już tego pierwszego popołudnia trafiło do karceru za niewydajną pracę.

Ale mijałbym się z prawdą, gdybym twierdził, że strażnicy nas popędzali albo znęcali się nad nami. Obserwowali nas tylko uważnie i samą swoją obecnością wymuszali pracę w regulaminowym tempie. Groźby i brutalne traktowanie nie były konieczne.

Po trzech dniach dostałem zawrotów głowy i palpacji serca i musiałem zgłosić się do lekarza. Od dwóch lat cierpiałem na dolegliwości sercowe, będące skutkiem głodówek w więzieniu sewilskim, dolegliwości, które w tych warunkach nieuchronnie się nasiliły.

Wiedzieliśmy już, że w obozie jest dwóch lekarzy: „dobry” i „zły”. „Dobrym” był młody podporucznik, „złym” – porucznik należący do Croix-de-Feu. Kłopot polegał na tym, że nigdy nie było wiadomo, który z nich ma służbę.

W dniu, w którym wezwano mnie do lekarza, służbę miał podporucznik. Zmierzył mi ciśnienie i dość dokładnie zbadał. Potem zapytał:

– Jest pan pisarzem?

– Tak.

– Pisze pan do angielskich i amerykańskich gazet?

– Tak.

– *Tiens* – rzekł, a potem odwrócił się do sanitariusza i zarządził:

– Niezdolny do pracy, także do maszerowania.

Kiedy wyszedłem od lekarza, serce biło mi radośnie. Przez całą drogę do sekcji C gwizdałem *Carmagnole* w rytmie raz-dwa, raz-dwa naszych strażników. W baraku 34 zastałem Maria i Tamásiego, którzy właśnie wrócili z pracy. Leżeli na słomie szarzy ze zmęczenia. Na ich widok cała moja radość przysła w jednej chwili. Ale kiedy z pewnym ociąganiem wyznałem, że nie muszę pracować, Tamási swoim zwyczajem uroczyście mi pogratulował, a Mario zerwał się na równe nogi i rzucił mi się na szyję tak szczęśliwy, jakby to on dostał zwolnienie z pracy. Od razu się zorientował, że mam mieszane uczucia, i kładąc się z powrotem, powiedział:

– To świetnie dla nas wszystkich. Będiesz trzepał koce, czyścił słomę i załatwiał z kucharzami, żebyśmy zawsze mieli wrzątek. W sumie, wyzyskamy cię i nie pozwolimy ci się stoczyć do pasożytniczych szeregów burżuazji.

Tak zaczęliśmy organizować nasze życie. Klein, rumuński projektant obuwia, dostał stały przydział do kuchni. Przy jego pomocy i dzięki przemysłnemu systemowi przekupywania kucharzy dwa razy dziennie miałem wrzątek i mogłem zaparzyć herbatę wracającym z pracy kolegom. Potem z domu przysłano mi termosy, dzięki czemu zaopatrywałem kolegów w herbatę nawet podczas pracy. Strażnicy nie sprzeciwiali się temu, o ile więźniowie wypijali herbatę jednym haustem i nie przerywali pracy. Poza tym stopniowo nas poznawali i szanowali Tamásiego i Maria.

Z domu zaczęły przychodzić paczki – z początku nieregularnie, potem po jednej na tydzień. Po kilku tygodniach w obozie powstały kantyny – po jednej w każdej sekcji – gdzie można było kupić papierosy, ser, skondensowane mleko, chleb, czekoladę i boczek po cenach o połowę wyższych niż na wolności. Kantyny i paczki szybko doprowadziły do utworzenia się w naszym baraku społeczeństwa klasowego.

Obozem zarządzano z bardzo charakterystyczną dla francuskiej administracji mieszaniną głupoty, sprzedajności i *laissez-faire*.

Sekcje były ściśle odgradzone od siebie drutami kolczastymi i rowami; pod groźbą surowych kar nie wolno też było krzyczeć przez ogrodzenie ani przesyłać sobie wiadomości. Ale wewnątrz sekcji do ósmej wieczorem mogliśmy poruszać się swobodnie, odwiedzać kolegów w innych barakach i spacerować po pustym placu za barakami. Od ósmej wieczorem do szóstej rano obowiązywał zakaz opuszczania baraków, ale ponieważ latryny znajdowały się na dworze, mieliśmy zawsze pretekst, aby wyjść na papierosa albo zaczerpnąć świeżego powietrza. Obóz był ściśle strzeżony, lecz wartownicy stali po drugiej stronie ogrodzenia i w nocy do naszej sekcji tylko z rzadka zaglądał patrol.

Pilnowali nas nie żołnierze, jak na stadionie Rolanda Garrosa, ale gwardziści z *garde mobile* – którzy tradycyjnie należą do najbardziej

reakcyjnych i brutalnych służb mundurowych we Francji.

Wszechmocnym dyktatorem sekcji C był *adjutant* Pernod. Jego sztab składał się z dwóch sierżantów, „Fernandela” i „Korsykanina”. Ten pierwszy zawdzięczał przywilejom podobieństwu do znanego francuskiego komika; miał taką samą końską twarz, wielkie zęby i głupkowaty uśmiech, który zniknął podczas nagłych ataków gniewu. Korsykanin był wysoki i chudy, miał żółtą cerę i zirytowaną-melancholijną minę człowieka cierpiącego na chroniczne dolegliwości żołądkowe.

Pernod, Fernandel i Korsykanin pojawiali się cztery razy dziennie na apelach przed i po pracy. Towarzyszyło im około trzydziestu strażników. Podczas apelów o ósmej rano i pierwszej po południu Fernandel i Korsykanin organizowali zespoły robocze i przydzielali im strażników. O jedenastej i czwartej po południu rozdzielali pocztę. Nie licząc tych codziennych ceremonii, zostawiali nas w spokoju i nie interesowali się tym, co robimy w czasie pracy. Bardzo rzadko zaglądali też do baraków. Smród gnijącej słomy i odór dwustu męskich ciał nie zachęcał do tego.

Jak wspominałem, w sekcji C osadzono „podejrzanych”, nie tylko o polityczne, ale także pospolite przestępstwa. „Kryminaliści” znajdowali się głównie w naszym baraku. Większość z nich nie miała jednak nic wspólnego ze światem przestępczym. Internowano ich z powodu jakiegoś dawnego wykroczenia, na przykład pracy na czarno. W naszym baraku mieszkało jednak około dwudziestu prawdziwych *types du milieu*. Choć nieliczni, zdołali doprowadzić do podziałów społecznych i zatruć atmosferę.

Wszystko zaczęło się od kantyny i paczek z domu. Wikt w obozie był tak zły, że ciągle dokuczał nam głód i bez przerwy marzyliśmy o jedzeniu. Ale niektórzy w tym samym baraku pałaszowali konserwy mięsne, kielbasy, boczek, ser, masło, czekoladę i owoce. Kontrast między bogatymi a biednymi stał się tak jaskrawy jak w jakiejś satyrze na stosunki społeczne. Nasz mroczny barak ukazywał jak w krzywym zwierciadle współczesne społeczeństwo.

Na początku za kilka papierosów albo kawałek kielbasy mogliśmy załatwić u kucharzy wrzątek albo nająć ludzi do prania koszuli bądź

czyszczenia butów. Później, kiedy kryminalni zaprowadzili w baraku swoje porządki, za łapówkę można było otrzymać praktycznie wszystko: zwolnienie z pracy, więcej miejsca do spania, alkohol i ochronę przed denuncjacją u władz obozowych.

Nasza piątka też zorganizowała sobie stół, pięć krzeseł, szafkę na prowiant, a nawet półkę na książki – a wszystko na przestrzeni kilku metrów kwadratowych. Słomę upchnęliśmy do pięciu worków przysyłanych z domu; w ciągu dnia sienniki układało się porządnie jeden na drugim. Nie stać nas było na świeczki, ale ze starych puszek zrobiliśmy dwie lampki, które napełniliśmy olejem i wyposażyliśmy w knoty. Należeliśmy do niższych warstw plutokracji, bo tylko dwóch z nas otrzymywało paczki, którymi dzieliliśmy się z kolegami. Zazwyczaj doręczano je w czwartki; wprowadziliśmy ścisły system racjonowania, dzięki któremu przysłane rzeczy wystarczały nam na cały tydzień. Każdą tabliczkę czekolady i każdy herbatnik dzieliliśmy siedem razy na pięć części, a kreski na kielbasie przypominały podziałkę termometru. Ten sam system zastosowaliśmy do przysługujących nam pięciu metrów kwadratowych powierzchni. Aby usiąść jednocześnie przy stole, musieliśmy ułożyć nasze kończyny w odpowiedni sposób, niczym części układanki.

Nasz względny dobrobyt był dowodem na zdolność człowieka do adaptacji. Myślę, że nawet dusze w czyścicu po jakimś czasie wypracowują coś w rodzaju codziennej rutyny. Dlatego też większość pamiętników więziennych nie nadaje się do czytania. Ponieważ autorowi trudno jest dać czytelnikowi wyobrażenie o koszmarze życia za kratami, przedstawia je jako stan permanentnej rozpacz. Obawia się, że zostanie uznany za beztroskiego i że zepsuje cały efekt, jeśli przyzna, iż nawet na dnie nędzy zdarzają się wesołe chwile.

Z drugiej strony nie można zapominać, że z wymienionych wyżej *douceurs de la vie*, takich jak stoły, taborety, senniki i lampki, mogła korzystać tylko nieliczna garstka mieszkańców – dwudziestu zajmujących pięć przedziałów przy drzwiach na południowym końcu baraku. Te pierwsze pięć i pół metra baraku wyglądało jak przekrój japońskiego domku dla lalek, prymitywnego, ale przecież bardzo przytulnego; pozostałe dwadzieścia dwa metry nie były niczym innym,

jak brudną i ponurą stajnią, w której z trudem się oddychało, bo ludzie cuchną gorzej niż konie.

Tego rażącego kontrastu nie dało się zlikwidować. Wszystkie przywileje, którymi cieszyła się plutokracja, były nielegalne. Drewno na zrobienie stołów i taboretów ukradliśmy, a świece i lampki były oficjalnie zakazane, choć u pojedynczych osób je tolerowano. Fernandel i Korsykanin uznawali za naturalne, że pan Goodman, ubierający się jak dżentelmen, albo pan K., którego nazwisko „stało w gazetach”, korzystają z przywilejów niedostępnych dla zwykłych zjadaczy chleba. Jedną z przyczyn bankructwa europejskiej lewicy było to, że nie dostrzegła, jak głęboko tkwi w ludziach świadomość różnic klasowych.

Aby je zmniejszyć, doprowadziliśmy do tego, że wszyscy mieszkańcy naszego baraku otrzymali koce, a co tydzień przeprowadzano zbiórkę w celu poprawienia jakości zupy. Więcej nie dało się zrobić.

Jeśli biedną część naszego baraku można nazwać czyścem, to barak 32, zwany Barakiem Trędowatych, był prawdziwym piekłem. Panowała tam zupełna ciemność, a fetor zapierał dech. Żaden z jego mieszkańców nie miał koszuli ani skarpetek na zmianę, a wielu sprzedało ostatnią koszulę za paczkę papierosów i cienką, siermiężną kurtkę zakładało na gołe ciało. W baraku roiło się od robactwa, pleniły się choroby. Poza godzinami pracy jego lokatorzy wykonywali usługi na rzecz swoich kolegów, na przykład prali im bieliznę za kilka kromek chleba, łatali i czyścili buty. Nie dostawali ani nie pisali listów. Włóczyli się po obozie, podnosząc niedopałki z błota i z betonowej posadzki latryn, bo tam było ich najwięcej. Nawet najwięksi nieszczęśnicy z innych baraków patrzyli na nich z mieszaniną przerażenia i odrazy.

Tych dwustu pięćdziesięciu mieszkańców Baraku Trędowatych było niedobitkami Brygad Międzynarodowych – dumy europejskiego ruchu rewolucyjnego, awangardy lewicy. Byli żołnierzami pierwszej od czasu krucjat armii ochotniczej, która miała walczyć o ogólnoludzką sprawę.

Podobnie jak krzyżowcy, żołnierze Brygad Międzynarodowych mieli niejednoznaczną reputację i budzili namiętne spory; zapewne nawet przyszłym historykom trudno będzie wydać jednomyślną opinię.

Tak jak rycerze Gotfryda z Bouillon i Piotra z Amiens, bojownicy antyfaszystowskiej krucjaty byli w większości ludźmi wiary, łączącymi w sobie sprzeczne cechy: otwartość umysłu i sekciarstwo, braterstwo i nietolerancję, dobroczynność i okrucieństwo, ofiarność i zachłanność najemników. Znajdowali się wśród nich ludzie, którzy porzucili wszystko, aby przyłączyć się do ruchu, i ci, którzy nie mieli nic do stracenia. Połowa świata czciła ich jako bohaterów i świętych, a druga połowa uważała za szaleńców i awanturników. W rzeczywistości byli jednymi i drugimi, ale nade wszystko tworzyli awangardę bojowników swojej wiary. I, podobnie jak to było z ich poprzednikami, wiara ta została cynicznie wykorzystana przez tych, którzy za kulisami pociągali za sznurki.

Brygady Międzynarodowe stworzył Komintern i Komintern sprawował nad nimi nadzór. Szeregowi żołnierze byli w większości komunistami i sympatykami komunizmu, natomiast oficerowie i komisarze polityczni należeli do partii i podlegali bezpośrednio aparatowi partyjnego. Trzecia Międzynarodówka zaczęła swoją krucjatę w czasach, gdy Hiszpania była polem ideologicznej bitwy, a Stalin wciąż stawiał na demokratycznego konia. Kiedy przeszedł na drugą stronę, zdradził Hiszpanię (oddając ją faszyzmowi jako prezent zaręczynowy na długo przed tym, nim ktokolwiek przewidywał małżeństwo), zdradził Komintern, zdradził europejską klasę robotniczą. Ocalałych żołnierzy Brygad Międzynarodowych – ponad dwie trzecie zginęło na polu walki – zamknięto we francuskich obozach koncentracyjnych; ani jeden nie dostąpił zaszczytu zaproszenia do ojczyzny proletariatu, która historycznie wysławiała ich bohaterstwo, która szczyciła się, że zlikwidowała bezrobocie i ma pracę dla każdego. Bramy Związku Sowieckiego nie otworzyły się, partia pozostała głucha na rozpaczliwe wołania, a kasa Czerwonej Pomocy była pusta. Ale przecież zawsze powtarzano, że partia nie jest instytucją dobroczynną.

Krucjata skończyła się więc tutaj – w Baraku Trędowatych w Le Vernet. Połowa ludzkich wraków, które w nich wegetowały, przybyła z Niemiec i Austrii, jak Willy Schulz, jasnowłosa, niebieskooki, słabowity i fanatyczny młodzieniec, który powoli wypływał płuca na słomie baraku 32 (mieszkańców Baraku Trędowatych prawie nie

przyjmowano do szpitala). Ich *curriculum vitae* wyglądało mniej więcej tak jak jego:

1930–1933: życie na zasiłku

1933–1935: obóz koncentracyjny w Niemczech

1935–1936: bezrobocie w Paryżu, bez prawa do zasiłku

1936–1939: ochotnik podczas wojny domowej w Hiszpanii, dwukrotnie ranny, za drugim razem w płuca

1939–?: obóz koncentracyjny we Francji.

Tydzień mijał za tygodniem w typowym dla więzienia rytmie, w którym okresy monotonii przeplatają się z chwilami podniecenia. Ówczesne wydarzenia i incydenty mają w mojej pamięci dziwnie zniekształcone proporcje. Ich łańcuch składa się z ogniw o różnej skali i wadze. Bardzo słabo pamiętam dzień, kiedy Rosja wypowiedziała wojnę Finlandii, a bardzo dobrze ten, w którym zająłem drugie miejsce w szachowych mistrzostwach sekcji C.

Któregoś dnia w jednym z pism ilustrowanych zobaczyliśmy zdjęcia z francuskiego obozu jenieckiego. Niemieccy jeńcy wojenni posilali się w schludnej jadalni, widać było stoły, krzesła, naczynia, noże i widelce. Na drugim zdjęciu mogliśmy podziwiać ich sypialnię: stały tam prawdziwe łóżka z materacami i kocami. Zdjęcia miały jednoznaczną wymowę: jeśli jesteście nazistami, obchodzą się z wami dobrze; jeżeli antynazistami, traktują was jak bydło. Po zwolnieniu z Le Vernet dowiedziałem się, że pewien niemiecki uchodźca z baraku 33 wyciągnął wnioski z tego, co zobaczył, i napisał list do władz francuskich. Oznajmił krótko, że zmienił poglądy polityczne, stał się zwolennikiem kanclerza Hitlera i wrogiem Francji, prosi więc, aby uznano go za cywilnego jeńca wojennego. Kilka dni później rzeczywiście przeniesiono go do obozu jenieckiego dla nazistów. Dobrze świadczy o jego kolegach to, że żaden nie poszedł za jego przykładem.

Początek grudnia przyniósł pierwsze mrozy; od Pirenejów wiał lodowaty wiatr, temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera. Tymczasem w całej sekcji C nie było ani jednego piecyka.

W okresie chłódów wybuchła epidemia biegunki. Więźniowie musieli pięć, sześć razy w ciągu nocy wychodzić do latryny, znajdującej się jak wiadomo pod gołym niebem. Niektórzy starsi więźniowie nie

mieli na to sił. Skutki łatwo można sobie wyobrazić.

Kiedy w sekcji C zmarła druga osoba, administracja obozu zrozumiała, że może ponieść odpowiedzialność za to, iż pozwoliła sześćdziesięcio- i siedemdziesięcioletnim ludziom spać w nieogrzewanym pomieszczeniu przy piętnastu stopniach mrozu. Dlatego dwa puste baraki wyposażono w łóżka, sienniki, dwa piecyki i kazano przenieść do nich wszystkich mężczyzn powyżej pięćdziesiątego piątego roku życia.

Baraki te stały poza obrębem sekcji C. Przeprowadzka starszków wyglądała bardzo smutno. Szli gęsiego, każdemu towarzyszył młodszy kolega niosący jego rzeczy. Byli zaniepokojeni i przygnębieni, że muszą rozstać się z przyjaciółmi i opuścić dotychczasowe baraki, które mimo że panował w nich okrutny ziąb, stały się niejako ich domem. Bali się, tak jak każdy więzień, nagłej zmiany warunków. Dlatego ich pochod przypominał kondukt pogrzebowy. W połowie drogi, tuż za ogrodzeniem sekcji C, jeden z biedaków załamał się. Był to *Kammersänger* Schiller.

Kammersänger Schiller śpiewał główne partie tenorowe na scenach niemieckich oper prowincjonalnych. Jak wielu aktorów obsesyjnie bał się starości. Farbował włosy, a żona słała mu z Paryża jedwabne piżamy kremowego koloru, wodę kolońską i specjalny, dyskretny lakier do paznokci. Myśleliśmy, że niedawno przekroczył czterdziestkę; teraz okazało się, że ma ponad pięćdziesiąt pięć lat i jego miejsce jest w baraku dla starców.

Kammersänger Schiller uczepił się ogrodzenia sekcji C, łzy ciekły mu po gładko ogolonej twarzy, błagał żandarmów, żeby pozwolili mu wrócić. Nie jest przecież stary, potrafi znieść wszystkie trudy, nigdzie nie pójdzie – nie, nigdzie nie pójdzie. Strażnicy stanęli i przyglądali mu się z otwartymi ustami. W końcu nieborak zrezygnował z oporu i dołączył do pochodu:

– Ustępuję wobec przemocy – załkał bezradnie, choć nikt go nawet nie dotknął.

Od tej pory stracił chęć do życia. Przestał farbować włosy i dbać o wygląd. W baraku dla starców stał się starcem.

Ponieważ nadchodziło Boże Narodzenie, rozpoczęły się żałosne przygotowania do tradycyjnej namiastki świąt w więzieniu. Drzwi

baraków udekorowano zielonymi gałęziami i napisem: „1940! VIVE LA FRANCE! LIBERTÉ, ÉGALITÉ, FRATERNITÉ!”. Po zakończeniu świąt gałęzi użyto do zamywania latryny, a słowa „Liberté, Égalité, Fraternité” zmasowano. Komendant obozu, którego przy tej okazji ujrzelismy pierwszy i ostatni raz, wygłosił przemówienie i zezwolił nam na zbiórkę pieniędzy na zakup beczki czerwonego wina – po pół litra na głowę. W ten sposób władze dowiodły zarówno swojej hojności, jak oszczędności. Wikt był jednak tak samo podły jak każdego innego dnia: w Wigilię zupa z ciecierzycy bez dodatku mięsa, w sylwestra to samo.

W pustym baraku odbyła się część artystyczna, amatorskie przedstawienie rewiowe przygotowane przez sekcję C. Chór rosyjski śpiewał rosyjskie pieśni ludowe, chór węgierski węgierskie pieśni ludowe; potem wystąpił akrobata z baraku 32, chór jugosłowiański śpiewający pieśni ludowe z terenu Jugosławii, klaun, chór polski śpiewający polskie pieśni ludowe, czeski chór śpiewający czeskie pieśni ludowe, a potem wszyscy zaśpiewaliśmy *Marsylianę* i odmaszerowaliśmy do baraków przy akompaniamencie nie mniej rytmicznego raz-dwa, raz-dwa naszych strażników.

Warunki jeszcze się pogorszyły. Po Bożym Narodzeniu Pernoda przeniesiono, a na jego miejsce przyszedł porucznik Cosne. Cosne nosił gorset, mówił falsetem i był odrażającym ucieleśnieniem kompleksu niższości, chodzącym na krzywych nogach ze szpicrutą w ręce. Nie było prawie dnia, aby jej nie użył.

Naszym głównym zajęciem, rozrywką i obsesją było oczywiście rozważanie szans zwolnienia z obozu. W gruncie rzeczy nie mieliśmy żadnych. Władze francuskie utworzyły swego rodzaju komitet doradczy dla rozpatrzenia spraw Niemców i Austriaków osadzonych w „normalnych obozach”. Wielu z nich zwolniono, ale Le Vernet wydawał się odgradzony żelazną kurtyną. Jego mieszkańcy byli pariasami wśród internowanych, niedotykalnymi.

Nasi przyjaciele i krewni pisali z Paryża rozpaczliwe listy. Mimo wielotygodniowych starań nie udało im się nawet dowiedzieć, do jakich władz mają się zwrócić. Prefektura policji skierowała ich do Sûreté Nationale, Sûreté – do „władz wojskowych”, które z powrotem odsyłały interesantów do prefektury. Gmach administracji francuskiej już

wówczas się walił; kilka miesięcy później runie w tumanie kurzu.

To samo dotyczyło wszystkich organów rządu. Wojna dała w końcu biurokracji dogodne usprawiedliwienie jej tradycyjnej ksenofobii; ale w naszym wypadku dochodził jeszcze jeden motyw: biurokracja opowiadała się za porozumieniem z Niemcami. I jeśli nawet nie kibicowała wprost Hitlerowi, wyznawała faszystowskie poglądy. Nienawidziła wojny i wszystkich emigrantów–podżegaczy wojennych, którzy jej zdaniem wciągnęli miłującą pokój Francję w to całe bagno.

Intelektualiści wśród osadzonych w obozie mieli w Paryżu ustosunkowanych przyjaciół, ale anonimowa większość nie miała nikogo. A skoro nawet najbardziej wpływowi przyjaciele, włącznie z zagranicznymi dyplomatami, Pen Clubem, Ligą Praw Człowieka i wieloma innymi organizacjami, nie potrafili przełamać oporu niechętej biurokracji, czyż zwykli ludzie mogli mieć nadzieję? Akt z Le Vernet nigdy nie otwarto – aż przyszło gestapo.

* *

Ostatnie tygodnie w Le Vernet były najgorsze.

W pierwszych dniach stycznia wszystkich, których młody podporucznik uznał za niezdolnych do pracy, ponownie poddano badaniom medycznym. Przeprowadził je porucznik, który prawie nie podnosił wzroku znad akt, przekreślał jedno po drugim orzeczenia swego młodszego kolegi i czerwonym atramentem wpisywał własne: „Zdolny do każdego rodzaju pracy”. Nazajutrz rano zostałem przydzielony do *corvée de tinette*, ekipy szambiarzy.

Nasza praca polegała na opróżnianiu zbiorników z latryny sekcji C i kwatery żandarmów znajdującej się poza obozem. Każda ekipa składała się z dwunastu ludzi i miała za zadanie opróżnić około dwudziestu zbiorników. Ich zawartość przelewaliśmy do sześciu większych. Ponieważ sporo z nich nie miało uchwyków, ich przenoszenie było trudne i aby uniknąć oblania się szambem, należało stosować specjalną technikę. Pełny zbiornik ważył około trzydziestu kilogramów. Dwóch ludzi musiało nieść go przez cały obóz aż do kolejki wąskotorowej. Tam ładowaliśmy zbiorniki na wagony, które pchaliśmy nad rzekę Ariège, płynącą około kilometra za obozem. Zawartość zbiorników wylewało się do wielkiego otworu opodal rzeki. Wydobywający się z niego fetor czuć

było, zależnie od wiatru i pogody, w promieniu od stu metrów do dwóch kilometrów. Puste zbiorniki znosiliśmy po śliskiej od lodu lub błota skarpy do rzeki, aby je umyć w wodzie. Kiedy rzekę skuwał lód, musieliśmy najpierw wyrąbać przerębel. Potem zbiorniki ładowaliśmy na wagony, które pchaliśmy z powrotem do obozu, i odnosiliśmy do latryn. Jedyny zabieg higieniczny po tej pracy polegał na umyciu rąk w zimnej wodzie. Nieuchronnym tego skutkiem były powtarzające się epidemie dyzenterii.

Całą operację przeprowadzaliśmy dwa razy dziennie. Pierwsze dwa razy wymiotowałem, potem się przyzwyczailem.

Mogłem bez trudu załatwić sobie inne zajęcie, ale przy szambie pracowało się tylko godzinę rano i godzinę po południu, podczas gdy kopacze, kamieniarze i robotnicy drogowi musieli harować sześć godzin dziennie. W *corvée de tinette* wystarczyły dwie godziny mdłości, aby mieć dzień roboczy z głowy; przy każdym innym zajęciu po tygodniu znów groziłby mi zawał. Dlatego, choć może zabrzmie to dziwnie, pracę przy szambie uważano w obozie za najlepszą. To brudne, obrzydliwe zajęcie pozwalało bowiem uniknąć morderczego wysiłku i monotonii związanych z innymi pracami.

Siedemnastego stycznia – pracowałem w *corvée de tinette* od około dwóch tygodni – kazano mi stawić się natychmiast u porucznika Cosne'a. Myślałem, że chodzi o rękawice. Rano gwardzista z czystej złośliwości kazał mi zdjąć rękawice podczas opróżniania zbiorników, a ja odmówiłem. Nie nalegał, ale byłem przekonany, że zameldował komendantowi o mojej niesubordynacji. Byłem więc przygotowany na najgorsze. Kiedy wszedłem, porucznik Cosne wstał i oświadczył uroczystym tonem:

– Mam przyjemność zawiadomić pana, że z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nadszedł właśnie telegraficzny nakaz pańskiego zwolnienia.

Przyłożył lewą rękę do gorsetu i położywszy szpicrutę na biurku, wyciągnął prawą w moją stronę. Byłem tak zaskoczony, że podałem mu swoją – czego żałuję do dziś dnia.

Zataczając się, wyszedłem na dwór.

O szóstej wieczorem stałem przy ogrodzeniu sekcji C. Pożegnałem

się już ze wszystkimi przyjaciółmi oprócz Maria. Stał w ciemności obok mnie, z ogoloną czaszką, nerwowym tikiem w twarzy i swoim osobliwym uśmiechem.

– Do widzenia, Mario.

Uśmiechnął się.

– Będzie mi ciebie brakowało. Jak przeniosą mnie do *corvée de tinette*, w wolnym czasie być może napiszę rozprawę na temat *Historii Europy w XIX wieku* Benedetta Crocego.

Objął mnie i uściskał. Przyszedł Korsykanin i otworzył bramę, a potem zamknął ją za mną. Jakież to było proste.

Korsykanin poszedł ze mną do zewnętrznej strefy obozu i otworzył ostatnią bramę. Jak bardzo to było proste. Stałem z walizką w rękę, sam, na środku drogi. Było ciemno, od czasu do czasu przejeżdżał samochód, świecąc bladoniebieskimi reflektorami, i po chwili z powrotem pograżał się w ciemności.

Ostatni raz spojrzałem na szyld wiszący na głównej bramie obozu:
CAMP DU VERNET D'ARIÈGE

Byłem pierwszym, którego zwolniono z tego obozu. Mówię to niemal ze wstydem; na swoje usprawiedliwienie przypomnę tylko, że jako jedyny miałem w Wielkiej Brytanii wpływowych przyjaciół, choć nie byłem wówczas brytyjskim obywatelem. Kilka dni przed opuszczeniem przeze mnie Le Vernet „Völkischer Beobachter” opublikował artykuł na temat francuskich obozów koncentracyjnych. Autor pytał ironicznie, czy angielscy przyjaciele, którzy doprowadzili do mojego zwolnienia z więzienia sewilskiego, zdołają mi pomóc tym razem. Zdołali.

* *
*

W styczniu 1940 roku znalazłem się z powrotem w Paryżu.

Po kilku dniach, w czasie których ze zwierzęcą łapczywością jadłem i piłem, rozkoszowałem się kąpielą i czystym łóżkiem, znów owładnęło mną paraliżujące przygnębienie. Nic się nie zmieniło. Jesienią poprzedniego roku Francja dopełniła dyplomatycznej formalności, wypowiadając wojnę, a potem znów zapadła w słodki sen.

W czasie pierwszej wojny światowej zginęło półtora miliona

Francuzów; od września 1939 do maja 1940 roku nawet nie tysiąc. W 1917 roku naród był wykrwawiony nieomal śmiertelnie, ale w końcu ocalał; w 1940 roku cierpiał na moralną anemię, groźniejszą niż jakiegokolwiek rany.

W Le Vernet otrzymałem zaświadczenie, że na polecenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych *le nommé* A. K. został zwolniony z obozu dla niepożądanych cudzoziemców w Le Vernet i po przyjeździe do Paryża ma zgłosić się na komisariacie policji w XV Dzielnicy. *Le nommé* A. K. nie znajduje się pod nadzorem policyjnym.

Na drugi dzień po przyjeździe poszedłem na komisariat. Powiedziano mi, że muszę się zgłosić w prefekturze policji w celu przedłużenia mojej *carte d'identité*. *Carte d'identité* to największy skarb obcokrajowca mieszkającego we Francji. Bez niej jest on poza prawem.

Nazajutrz poszedłem do prefektury. Po odstaniu godziny w kolejce do okienka dowiedziałem się, że zanim moja *carte* będzie mogła zostać przedłużona, muszę uzyskać *cachet de déconcentration* – pieczętkę potwierdzającą zwolnienie z obozu. Mam pójść do pokoju 34 na czwartym piętrze, gdzie mi ją przystawią, i zgłosić się ponownie.

Poszedłem więc na czwarte piętro do pokoju 34 – i w chwili gdy przekroczyłem próg tego pokoju, rozpoczął się w moim życiu epizod, którego nie wymyśliłby P.G. Wodehouse. Jest to historia niemal niewiarygodna, lecz niezwykle charakterystyczna dla ostatnich miesięcy Trzeciej Republiki. Byłaby bardzo śmieszna, gdyby nie była tak denerwująca i przygnębiająca.

W pokoju 34 przyjął mnie dość sympatyczny młody urzędnik. W pierwszej chwili nie przejrzał dokładnie moich dokumentów i już brał do ręki czarodziejską pieczętkę, gdy jego wzrok padł na słowa „Obywatelstwo: węgierskie”.

– Ale pan jest obywatelem państwa neutralnego – rzekł ze zdziwieniem. – Jak to się stało, że zesłano pana do obozu?

– Przyjechałem z Le Vernet.

Trzeba pamiętać, że byłem pierwszym „politycznym podejrzanym”, którego bezwarunkowo zwolniono z Le Vernet. – To zmienia postać rzeczy – powiedział urzędnik zupełnie innym tonem. – Nasze instrukcje dotyczą tylko obywateli wrogich państw zwolnionych

ze zwykłych obozów. Muszę zapytać szefa.

Zapukał do drzwi sąsiedniego pokoju, gabinetu swego przełożonego. Usłyszałem wypowiedziane astmatycznym głosem „*Entrez*” i urzędnik znikł za drzwiami, nie domykając ich. Nie usłyszałem, co powiedział, ale potem ochrypły głos zawołał z oburzeniem:

– Vernet, mówi pan? *Incroyable!* Dowiem się.

I zatelefonował do kogoś. Słyszałem tylko strzępy rozmowy:

–...*Oui, mon pauvre ami*, zaczęli zwalniać ludzi z Vernet.

W głowie się nie mieści.

...

–...Polecenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Prawdopodobnie przekupstwo.

...

–...Tak jest. Dopilnuję, żeby jak najszybciej zamknęli go w więzieniu.

...

– Tak jest. Przekazę jego sprawę *Éloignement*.

Département de Éloignement des Étrangers zajmował się deportacjami cudzoziemców.

...

–...Tak jest. Niestety! *Mon cher*, Niestety! *Au revoir, cher ami*.

Urzędnik wrócił i wzruszył ramionami.

– Proszę posłuchać – rzekłem do niego. – Słyszałem, co powiedział pański zwierzchnik. Proszę mi pozwolić z nim pomówić i wyjaśnić sprawę.

– To niemożliwe.

Próbowałem go przekonać. Pokazałem mu legitymację prasową i kilka listów od wpływowych osób. Nabrałem już upokarzającego zwyczaju noszenia ich ze sobą. W końcu zapukał jeszcze raz do szefa. Znów rozległ się tubalny, chrapliwy głos i po chwili urzędnik wrócił z zaczerwienioną twarzą.

– Nic się nie da zrobić! Musi się pan zgłosić do *Éloignement*.

Éloignement mieściło się na piątym piętrze. Ponieważ wskutek wojny deportacja stała się praktycznie niemożliwa, biurokracja francuska

wynalazła nową, wyrafinowaną torturę zwaną *le régime du sursis*. Polegała ona na odmowie zezwolenia na pobyt we Francji – *refus de séjour*, równoznacznej z nakazem wydalenia – i odroczeniu wykonania tego nakazu na krótki czas. Ilekroć ważność sursis wygasła, cudzoziemiec mógł trafić do więzienia albo do obozu koncentracyjnego.

Tego dnia Éloignement odroczyło mi nakaz o dwadzieścia cztery godziny.

Kiedy ten termin upłynął, pozwolili mi pozostać we Francji przez pięć dni.

Potem przez czterdzieści osiem godzin.

Potem przez cały miesiąc.

Potem znów przez czterdzieści osiem godzin. Potem przez tydzień, potem przez dwadzieścia cztery godziny; i tak przez cztery miesiące. Kiedy wojska niemieckie były niecałe sto kilometrów od Paryża, policja znów przyszła po mnie.

W siedzibie Éloignement musiałem czekać na decyzję przez siedem do ośmiu godzin – od dziewiątej rano do czwartej albo piątej po południu. Była to tylko drobna dodatkowa udręka. Ilekroć tam szedłem, zastanawiałem się, czy wyjdę z tego budynku, czy też znów zamkną mnie w piwnicy z węglem. Pierwsze kilka razy G. towarzyszyła mi, później czekała na mnie w domu, nie wiedząc, czy wrócę, czy mnie aresztują. Wielkie niebieskie „E” (od Éloignement) w moich dokumentach sprawiało, że byłem kimś w rodzaju więźnia na przepustce. Znów miałem spakowaną walizkę i spałem z budzikiem nastawionym na niebezpieczną godzinę. Przez całą noc wisiała nad moim łóżkiem niewidzialna litera „E”.

Podczas tych ostatnich czterech miesięcy we Francji rozpaczliwie usiłowałem wyjaśnić swoją sytuację. Obsesyjnie bałem się odesłania do Le Vernet – choć nie ze względu na panujące tam warunki. Byłem przekonany, że Francja jest skazana na klęskę i że francuskie obozy koncentracyjne staną się śmiertelną pułapką dla ludzi w nich osadzonych. Na początku marca znajomy, który miał znajomego w policji, ostrzegł mnie, że podczas następnej obławy zostanę aresztowany. 12 marca policja przeprowadziła u mnie rewizję. Detektywi przewrócili cały dom do góry nogami i zabrali połowę moich

rękopisów, maszynopisów i książek, ale o nic nie pytali. I to właśnie było w tym wszystkim najbardziej denerwujące, mogło przyprawić o szaleństwo: poprzednim razem zostałem aresztowany bez żadnego wyjaśnienia i bez żadnego wyjaśnienia po czterech miesiącach zwolniony. Przez cały ten czas ani razu nie zostałem przesłuchany, nie mogłem nawet bronić się przed zarzutami, bo ich nie znałem. Byłem w sytuacji człowieka, który wpadł w trzęsawisko i rozpaczliwie szuka oparcia pod stopami, ale wciąż się pogrąża, aż w końcu tonie.

Finlandia została pokonana, Niemcy napadły na Danię i Norwęgę, nad Francją zbierały się czarne chmury nadciągającej apokalipsy – a ja wciąż borykałem się ze swoim koszmarem.

Tymczasem skończyłem *Ciemność w południe*, nad którą pracowałem w Roquebillière. Przeczucie klęski, które dotyczyło zarówno Francji, jak mnie osobiście, oświadczyło mi tak całkowicie, że na niczym mi już nie zależało – oprócz G. i mojej powieści. Wiedziałem, że czas pracuje przeciwko mnie. Maszynopis wysłałem do mojego londyńskiego wydawcy 1 maja – na dziesięć dni przed niemiecką inwazją. Uczuliśmy to wydarzenie z kilkorgiem przyjaciół i upiliśmy się z radości; praca została wykonana – po nas choćby potop.

Inwazja na Francję zaczęła się w piątek 10 maja. We wtorek 14 byłem umówiony na Sorbonie z profesorem Joliot-Curie. Czytając w metrze artykuł wstępny Henriego de Kérillisa w „Époque”, natknąłem się na takie mniej więcej zdanie:

„Powrócił duch bohaterskich czasów 1916 roku; wczoraj, odbijając z rąk wroga fortyfikacje pod Sedanem, nasi żołnierze dali dowody męstwa godnego chwalebnych dni walk o Douaumont”. Musiałem wysiąść i gazetę zostawiłem w metrze.

– Co panu jest? – zapytał Joliot na mój widok.

– Są w Sedanie.

– W Sedanie? Coś się panu przyśniło. Skąd u diaska wziął pan tę plotkę?

– Kérillis pisze o tym w porannej gazecie. Pan wie, że on zawsze robi aluzje do prawdziwej sytuacji, aby ominąć cenzurę.

– A co właściwie napisał?

– Że wczoraj nasze wojska odbiły fortyfikacje pod Sedanem

z męstwem przypominającym czasy Verdun.

Joliot uśmiechnął się.

– Wszystko pan pokręcił. Kérillis wspomniał Sedan, żeby nawiązać do wojny z 1870 roku. Nie wiedziałem, że jest pan takim panikarzem.

Zawstydziłem się i znów wstąpiła we mnie otucha. Był to piąty dzień niemieckiej ofensywy, a my wiedzieliśmy tylko – my, czyli Francuzi czytający komunikaty wojenne i słuchający radia – że wszystko idzie całkiem nieźle: co prawda Niemcom udało się zamknąć Maastricht w okrążeniu i wtargnąć do Holandii, ale ich spadochroniarze zostali wybici prawie do nogi, a francuska kawaleria zmotoryzowana posuwa się naprzód w belgijskich Ardenach; również Longwy znalazło się w okrążeniu, ale wkrótce miało doczekać się odsieczy. Wszystko mogło być oczywiście optymistycznym mydleniem oczu, ale przecież Joliot miał ścisły kontakt z Ministerstwem Wojny i był zawsze dobrze poinformowany. Chyba rzeczywiście źle zrozumiałem tę aluzję do Sedanu.

Kiedy wychodziłem od Joliota, na ulicach sprzedawano już gazetę „Paris-Midi”. Nagłówek na pierwszej stronie krzychał: „EWAKUOWALIŚMY SEDAN”.

Ziemia rozstała mi się pod nogami.

To, co było później, pamiętam jak wędrówkę po walącym się domu, gdzie wszystko, czego człowiek chce się uchwycić, rozpada się w pył przy najlżejszym dotknięciu. Następny tydzień wydaje mi się z perspektywy czasu pogmatwanym, męczącym snem, pozbawionym w dodatku pocieszającej nadziei, że można się z niego obudzić.

Niemcy zajęli Abbeville, dotarli do kanału La Manche, zdobyli Boulogne. Wąski klin stalowy przebijał ciało Francji, obracał się w ranie, powiększał ją i niszczył żywą tkankę kraju. W radiu rozległ się makabryczny głos premiera Reynauda:

– Gdyby mi ktoś powiedział, że tylko cud może uratować Francję, uwierzyłbym w ten cud. Francja nie może zginąć.

Naloty na stacje kolejowe. Z ulic znikają autobusy i taksówki. Miasto powoli kurczy się, jakby chorowało na suchoty. Na rogach ulic stoją policjanci z pistoletami maszynowymi. W oczach ludzi spotykanych w metrze ćmią się ogniki trwogi.

Strach przed spadochroniarzami. Psychoza piątej kolumny. Ostatnia policyjna obława i długo oczekiwany, straszny dzwonek do drzwi o siódmej rano. Zamykam starą walizkę z Le Vernet. Ostatni raz rzucam okiem na mieszkanie – książki, zasłony, biurko – wiedząc, że to naprawdę ostatni raz. G. stoi u szczytu schodów i patrzy za mną z nieruchomą, kredowobiałą twarzą, jakby za chwilę miała zemdleć.

Znów drewniane ławki w policyjnym komisariacie. Siedziało na nich około trzydziestu ludzi, Austriaków i Niemców w wieku od pięćdziesięciu pięciu do osiemdziesięciu lat. Była to ostatnia obława. Wszyscy, których zimą zwolniono z obozów internowania dla Niemców, zostali przed tygodniem znowu aresztowani, kobiet nie wyłączając. Dotychczas mężczyźni powyżej pięćdziesiątego piątego roku życia i inwalidów zostawiano w spokoju. Teraz przyszła kolej i na nich. Władze francuskie dokonały prawdziwego pogromu. Chorych wyciągano z łóżek; kilku z nich zmarło w następnych dniach. Przywódcy ruchu antyhitlerowskiego, ludzie o europejskiej sławie: Heinrich Mann, Lion Feuchtwanger, Willi Münzenberg, Walter Hasenclever, Ernst Weiss, Carl Einstein, Walter Benjamin – też nie uniknęli aresztowania. Z siedmiu wymienionych pierwszym dwóm udało się uciec, czterej ostatni popełnili samobójstwo.

Czekaliśmy od wpół do ósmej rano do wpół do czwartej po południu. Nie mogliśmy wstawać z ławek ani zjeść czegokolwiek. O wpół do czwartej załadowano nas do policyjnej furgonetki. Sądziłem, że jedziemy do *salle Lépine*, ale samochód potoczył się *rue de Vaugirard*, a potem *boulevards extérieurs*.

– Dokąd jedziemy? – ktoś ośmielił się spytać jednego z naszych konwojentów z marsowymi minami.

– Vélodrome Buffalo. Są tam fajne karabiny maszynowe. Zanim wejdą szkopy, postawimy was wszystkich pod ścianą.

W tym czasie byłem już mocno wstawiony. Od trzech miesięcy chowałem na tę okazję butelkę koniaku. W ciągu pięciu godzin spędzonych na policyjnej ławce omówiłem z moim sąsiadem, doktorem Pollackiem, kwestię, która wszystkim nam nie dawała spokoju: czy Francuzi zdążą nas wywieźć z Paryża przed Niemcami. Próbowałem go przekonać, że Niemcy będą postępować zgodnie ze swoją zasadą: „jedna

rzecz na raz” i najpierw unicestwią izolowane oddziały we Flandrii. Dzięki temu Francuzi będą mieli tydzień do dziesięciu dni, aby nas ewakuować. Ale Pollack w to nie wierzył. Uważał, że Francuzi potrzebują wszystkich środków transportu dla swoich wycofujących się wojsk, a ponieważ komunikacja kolejowa załamała się, nikt nie będzie się nami kłopotał, zostawią nas własnemu losowi, czyli gestapo. Przyjrzałem mu się: na jego czole lśnił pot, w oczach czaił się strach. Stan dr. Pollacka udzielił mi się. Znałem to uczucie i nienawidziłem go najbardziej ze wszystkiego. Zaczynało się gdzieś między żołądkiem a sercem, po czym pęczniało, ogarniało serce i promieniowało w dwóch kierunkach: ku pęcherzowi i w stronę gardła. Był tylko jeden sposób, by się od tego uczucia uwolnić – cokolwiek mogą powiedzieć o tym ludzie, którzy nigdy go nie zaznali. Wyjąłem więc butelkę z walizki i w ciągu dwóch godzin opróżniłem ją małymi łykami. Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, czułem już filozoficzny spokój i przestałem się martwić o to, co mnie czeka. Potem zapadłem w stan półsnu i doświadczyłem jednego z najdziwniejszych wrażeń w moim życiu. To, co wydarzyło się na zewnątrz mnie, było już samo w sobie bardzo dziwne, ponieważ pół godziny później odzyskałem wolność. Ale naprawdę fascynujące było to, co działo się we mnie: butelka koniaku na pusty żołądek wyłączyła wszelkie świadome myślenie i uruchomiła instynkt samozachowawczy. Gdybym się nie upił, książka ta pewnie nigdy by nie powstała.

Jak już wspomniałem, wszyscy moi towarzysze podróży byli Niemcami lub Austriakami; tylko ja należałem do „podejrzanych obywateli państw neutralnych”. Dotychczas „obywateli wrogich państw” trzymano na Vélodrome Buffalo, torze kolarskim na południu Paryża, a „podejrzanych” na kortach Rolanda Garrosa. Tego dnia jednak prefektura, zapewne z powodu niedostatku środków transportu, poleciała dzielnicowym komisariatom przewieźć wszystkich aresztowanych na Vélodrome Buffalo. Ale, jak się okazało po naszym przyjeździe, nie poinformowała o tym administracji obozu – typowy francuski bałagan. Byłem pierwszym obywatelem państwa neutralnego, który przeszedł przez bramę obozu. Kiedy zobaczyłem zdziwienie na twarzy urzędnika oglądającego mój paszport, doznałem olśnienia.

- Kiedy i gdzie pana aresztowano? – padło pytanie.
- Godzinę temu w Café Dupont, Place de la Convention.

Nad tą odpowiedzią nie namyślałem się nawet przez sekundę.

Sprawił to koniak – a raczej ta sprytna, włochata supermałpa, podświadomość. Rzecz polega na tym, że po trzeźwemu jestem kiepskim aktorem i kiedy przy pokerze próbuję blefować, widać to od razu. Czułem się więc zupełnie niezwykle.

- Gdzie jest pańska *carte d'identité*?

– W domu: 10 rue Dombasle, siódme piętro. Dlatego mnie aresztowano. Po obiedzie zszedłem tylko na kawę i nie wziąłem ze sobą *carte d'identité*. Była obława i zabrali mnie na komisariat. Prosiłem, żeby pozwolili mi wrócić do domu po *carte d'identité*, ale nie chcieli o tym słyszeć – wsadzili mnie do samochodu i tak się tu znalazłem.

Byłem pewien, że to, co mówię, brzmi całkowicie przekonująco. Mój głos wyrażał święte oburzenie i uprzejmą naiwność. Przez cały czas obserwowałem siebie i zdumiewałem się. Było to naprawdę bardzo dziwne doznanie. Kiedyś w takich stanach euforycznego uniesienia ludzie słyszeli głosy i mieli wizje; w naszych czasach cuda zdarzają się przy biurkach policjantów. Ale jest to zawsze ten sam proces.

Urzędnik za biurkiem oddał mi paszport i zaczął przeglądać pozostałe dokumenty: legitymację prasową, listy od wpływowych osób itd. Zegar nad jego głową wskazywał wpół do piątej.

– To wszystko jest ciekawym doświadczeniem dla dziennikarza – powiedziałem, to znaczy powiedział koniak, czyli włochata małpa – ale szkopuł w tym, że mam spotkanie o piątej.

- Jakie spotkanie?

– No, codzienną konferencję prasową w Ministerstwie Informacji. (W życiu nie byłem na tej konferencji, od wybuchu wojny nie napisałem ani jednego artykułu, ale legitymację prasową zatrzymałem).

– Ten kretyn Lamèche zawsze narobi bigosu – rzucił urzędnik do swojego sekretarza. Niezdecydowanie przekładał moje papiery. Domyśliłem się, że Lamèche jest komisarzem z XV Dzielnicy. Nasi konwojenci odjechali zaraz po przywiezieniu nas na Vélodrome Buffalo.

– Proszę posłuchać – powiedziałem. – Muszę tam być o piątej. Skoro ma pan jeszcze wątpliwości, niech mi pan pozwoli przywieźć

carte d'identité. Mogę pojechać z policjantem taksówką. Jeśli pan chce, może mi pan też przydzielić strażnika z pistoletem maszynowym.

Za plecami urzędnika znajdowały się drzwi prowadzące do obozu. Gdybym przez nie przeszedł, nie byłoby już dla mnie powrotu. Miałem je przed oczami i wiedziałem, że to śmiertelna pułapka. Wiedziałem też, że jeden fałszywy ton w moim głosie i przepadłem. Ale to nie był mój prawdziwy głos, więc ufałem mu całkowicie.

– Nie, to chyba nie jest konieczne – powiedział w końcu urzędnik i z uśmiechem oddał mi dokumenty. – Jest pan wolny, *Monsieur*.
Wartownik, proszę odprowadzić pana do bramy.

Do swojego sekretarza:

– Niech mi pan przypomni, żebym zadzwonił do tego idioty Lamèche'a, kiedy załatwimy pozostałych.

I do mnie:

– *Au revoir, Monsieur*. Na drugi raz niech pan pamięta o *carte d'identité*.

Po drodze do bramy wziąłem walizkę, którą zostawiłem pod drzwiami biura. Wartownik nie zwrócił na to uwagi. Przy bramie dałem mu pięć franków i poprosiłem o złapanie taksówki. Taksówka przyjechała.

Koniak powoli przestawał działać i zacząłem sobie uświadamiać, w jakiej znalazłem się sytuacji. Urzędnik zadzwoni do Lamèche'a, czy jak on się tam nazywał, i za pół godziny gra będzie skończona. W moim mieszkaniu zjawiają się policjanci, tym razem pewnie rzeczywiście z pistoletami maszynowymi. Zapukałem w szybę i podałem taksówkarzowi inny adres. Wiedziałem, że nie zobaczę już swojego mieszkania.

Miałem do wyboru: oddać się w ręce policji albo się ukrywać. Mimo że groził za to sąd wojskowy, zdecydowałem się na to drugie.

Paryscy przyjaciele przechowali mnie u siebie przez jedną lub dwie noce. Załatwili też mi i G. legalne przepustki do Limoges; bez takiej przepustki żaden cudzoziemiec nie mógł podróżować.

Kilkudniowy pobyt w Limoges na początku czerwca był tylko krótką przerwą w ucieczce.

Tymczasem walki pod Dunkierką trwały nadal, dając Francji

ostatnie wytchnienie. Dzięki przepustce czułem się bezpieczny przynajmniej przez dwa tygodnie. Mogłem pójść na posterunek policji i tymczasowo zalegalizować swoją sytuację, twierdząc, że zgubiłem *carte d'identité*.

Wieczorem 10 czerwca z ochrypłego głośnika przed sklepem z aparatami radiowymi przy rue Gambetta znów rozległ się głos Reynauda. Premier informował, że Włochy wypowiedziały Francji wojnę. Było to jego przedostatnie przemówienie. Tłum, który zebrał się przed głośnikiem, słuchał premiera w głuchym milczeniu. Ruch na ulicy zamarł. Niektóre kobiety szlochały bezgłośnie; zaczęły płakać już podczas ostatnich taktów *Marsylianki* poprzedzającej przemówienie. Kiedy jednak Reynaud wypowiedział słowa: „*Que les Français se resserrent fraternellement autour de leur patrie blessée*” (Niech Francuzi zewrą braterskie szeregi wokół swej zranionej ojczyzny), kilku mężczyzn przyłączyło się do kobiet. Pierwszy i ostatni raz widziałem wtedy tłum płaczący z powodu jakiegoś politycznego wydarzenia. Było to przerażające, a mimo to jakoś pocieszające. Nikt nie histeryzował. Był to rzadki moment, który szybko minął. Podczas wojennej katastrofy i w ciągu kilku miesięcy po niej nie widziałem, aby Francuzi zachowywali się z taką godnością.

Parę tygodni później Reynaud został aresztowany. Głośniki uliczne rozbrzmiały nienawistnymi słowami sklerotycznego Pétaina, a jego akolici pluli jadem na to, co pozostało jeszcze z Francji, niszcząc ostatni moralny bastion podbitego narodu: wspólnotę żałoby.

Trzynastego czerwca dowiedzieliśmy się o ostatnim apelu Reynauda do Roosevelta.

Dwadzieścia cztery godziny później Niemcy wkroczyli do Paryża.

Po następnych dwudziestu czterech godzinach padło Verdun i linia Maginota została przełamana.

Minęły kolejne dwadzieścia cztery godziny i brytyjska propozycja zjednoczenia dwóch imperiów została odrzucona, a Reynaud przekazał stanowisko Pétainowi.

Po następnych dwudziestu czterech godzinach w głośnikach po raz pierwszy rozległ się słaby głos starca, przerywany suchym pokasywaniem:

– Z bólem serca zawiadamiam was, że walka musi zostać przerwana.

Ucieczka do życia

Kilka lat wcześniej oglądałem w Paryżu głośny film *Le Grand Jeu*^[27]. Z fabuły zapamiętałem tylko tyle, że bohater został wplątany w morderstwo i ścigała go policja. Kiedy wszystko wydawało się stracone, przypadkiem znalazł się pod biurem werbunkowym Legii Cudzoziemskiej. Wszedł do środka i pod fałszywym nazwiskiem podpisał kontrakt na pięcioletnią służbę w Legii. Nie pytano go o nic i nie wymagano żadnych dokumentów.

– To takie proste? – dziwił się, kiedy kilka minut później sierżant wręczył mu *carnet militaire* potwierdzający jego nową tożsamość. Sierżant uśmiechnął się:

– Od tej chwili pańska przeszłość nie istnieje. Tu nikt nie będzie panu zadawał niedyskretnych pytań. W Legii wszyscy jesteśmy żywymi trupami.

Kiedy oglądałem ten film, przyszła mi do głowy dziecinna myśl, że w razie klęski Francji również dla mnie może to być jedyne wyjście. W dniu, w którym pierwszy raz usłyszeliśmy w paryskim radiu niemiecki hymn – i upewniliśmy się, że nie pomyliliśmy stacji – omówiliśmy ten plan z G. Godzinę po ogłoszeniu przez Pétaina kapitulacji Francji poszedłem do biura werbunkowego Legii. Wszedłem do Caserne de la Visitation w Limoges jako Arthur Koestler, dziennikarz i pisarz, urodzony w Budapeszcie; wyszedłem jako Albert Dubert, taksówkarz, urodzony w szwajcarskim Bernie. To naprawdę było bardzo proste. Jediną ceną, jaką musiałem zapłacić za nową tożsamość, było zobowiązanie do pięcioletniej służby w szeregach Legii Cudzoziemskiej (od 7 czerwca 1940 do 17 czerwca 1945 roku).

Podpisałem cztery drukowane formularze, nawet ich nie czytając. Badania lekarskie były czystą formalnością. Na koniec wprowadzono mnie do biura kwatermistrza, który wręczył mi przydział i asygnatę na darmowy bilet kolejowy. Miałem się stawić w punkcie zbornym Legii w Lyon-Sathonay. Pełniący służbę sierżant wiedział równie dobrze jak ja, że Niemcy zajęli rano Dijon i będą w Lyonie przede mną. Nic jednak nie powiedziałem. Sierżant zmierzył mnie wzrokiem.

– Powodzenia na pańskie pięć lat – zadrwił. – Niech się pan jak najszybciej nauczy *Deutschland, Deutschland über alles*. Przyda się panu w przyszłej armii francuskiej.

– Nie mógłby mi pan zmienić przydziału na Marsylię? – zaryzykowałem. – Centralny punkt zborny Legii jest przecież w Marsylii, prawda?

– Niech się pan nie przejmuję przydziałem. Od godziny żadne pociągi we Francji nie jeżdżą. A dziś w nocy Niemcy będą w Limoges. Powodzenia.

Kiedy wyszedłem z biura werbunkowego, była czwarta po południu. W Café de l’Orient czekała na mnie G. Wypiliśmy za narodziny Alberta Duberta.

Nie mieliśmy pojęcia, co robić dalej, wiedzieliśmy tylko, że musimy natychmiast opuścić Limoges i w strumieniu uchodźców ruszyć na południe. Im dalej od nacierających Niemców, tym lepiej. Najbliższym miastem w tym kierunku było Périgueux, więc postanowiliśmy się tam dostać. Zamierzałem się zameldować w tamtejszej kwaterze Legii i poprosić o dalsze rozkazy. G. chciała się upewnić, że nic mi się złego nie stanie, a potem spróbować wrócić do Anglii, albo – gdybym został skierowany do Algierii – pojechać do mieszkającej tam siostry zamężnej z Francuzem.

Pospiesznie spakowaliśmy nasze rzeczy do dwóch walizek i trzech toreb. G. zabrała z Paryża trochę rękopisów i książek, których nie skonfiskowała policja, między innymi moje notatki z Le Vernet i dziennik z ostatnich czterech lat. Teraz je też musieliśmy zostawić. Bez większego żalu pozbyłem się balastu przeszłości. Materialne składniki zmarłego A. K. szybko zniknęły, a postać legionisty Alberta Duberta nabierała realnych kształtów. W kawiarni ćwiczyłem nowy podpis i uczyłem G., żeby zwracała się do mnie „Albert”. Zapuściłem też wąsy – sumiaste wąsy jak z reklamy papierosów „Celtique”. Mimo rozpaczliwej sytuacji byliśmy dziwnie weseli. We Francji nawet tragedie miały w sobie coś z wodewilu.

Moje wąsy zaczęły rosnąć, a ja rozpocząłem prowadzenie nowego dziennika. Ten mały czerwony notes, czarne pióro wieczne i niebiesko-biały karnet biletów na paryskie autobusy to jedyne rzeczy,

które udało mi się ocalić z Francji.

Następne strony pochodzą z owego czerwonego notesu.

Poniedziałek, 17 czerwca 1940 (Dzień kapitulacji)

Zawlekliśmy nasze dwie walizki i trzy torby na kolej. Dworzec zamknięty. Sierżant miał rację, w całej Francji komunikacja kolejowa zawieszona. Setki ludzi biwakuje wokół dworca ze swoimi bagażami. Widok jak podczas hiszpańskiej wojny domowej. Ten sam fatalizm i apatia. Takie same umorusane dzieci łożące jak ospałe muchy między stertami bagaży.

Zmierzchało się. Ponieważ czekanie nie miało sensu, postanowiliśmy pojechać tramwajem na pętlę przy drodze do Périgueux i tam próbować złapać okazję. Ale kiedy tam dotarliśmy, zupełnie się ściemniło i żaden samochód nie chciał się zatrzymać. Spotkaliśmy człowieka, który przyjechał właśnie z Châteauroux. Powiedział, że do czwartej po południu Niemców nie było jeszcze w Châteauroux (około stu trzydziestu kilometrów na północ od Limoges); uspokoiliśmy się więc, że nie dotrą tam dziś wieczorem, i poszliśmy do przydrożnej restauracji na kolację.

Przyjemna restauracyjka z widokiem na rzekę Vienne, ale zatłoczona uchodźcami z północy.

Wtorek, 18 czerwca

Spaliśmy na stołach w restauracji z ośmioma innymi ludźmi na ośmiu innych stołach. Wszędzie kręciły się dzieci. G. zaczyna rozumieć, co to znaczy być uchodźcą, ale rano wygląda świeżo i schludnie – kolejny dowód na brytyjską hipokryzję.

Po śniadaniu zrzuciliśmy bagaże przy szosie i usiłowaliśmy zatrzymać jakiś samochód. Ludzie z restauracji chcieli zostać tam do podpisania rozejmu, a potem wrócić do domu, na północ.

Po godzinie ktoś się zatrzymał i podwiózł nas do Thiviers, w połowie drogi do Périgueux. Tłumy uchodźców na szosie przerzedziły się, głównie z powodu braku paliwa. Wszędzie rodziny biwakujące przy drodze ze swoimi samochodami, w miejscu, gdzie skończyła im się benzyna. Wszyscy czekają na zawieszenie broni, aż „wszystko będzie znowu normalnie”. Naprawdę wierzą, że będą żyć tak jak dawniej. Tymczasem jedzą i piją na rozświetlonej łące i grają w belotkę.

Apokalipsa jako rodzinna majówka.

W Thiviers dowiedzieliśmy się, że autobus do Périgueux odjedzie prawdopodobnie o pierwszej. Zawlekliśmy bagaże do małej ciemnej gospody i wysłuchaliśmy wiadomości o wpół do dwunastej. W końcu przyjechał autobus i zawiózł nas do Périgueux. Zostawiłem G. z bagażami w poczekalni na dworcu autobusowym i poszedłem do Caserne Busseaux. W kancelarii pokazałem swoje papiery.

– I czego pan u diabła chce?

– Rozkazów!

Sierżant przyjrzał mi się i nagle zawołał:

– Hej, chodźcie tu wszyscy!

Wokół mnie zebrało się około piętnastu oberwanych, nieogolonych żołnierzy.

– Przyjrzyjcie mu się: to legionista Dubert z Berna w Szwajcarii, który zaciągnął się w dniu zawieszenia broni, dostał przydział do Lyonu i przyjechał do Périgueux po rozkazy.

Nikt się nie roześmiał. Wzruszyli ramionami i wrócili na swoje ławki, szurając nogami. Jeden powiedział:

– *Mon vieux*, od dwóch tygodni powinienem być w Brukseli, a siedzę tutaj.

Sierżant zadzwonił do oficera dyżurnego.

– *Mon capitaine*, jest tu jakiś pomyłony legionista, który prosi o rozkazy.

...

– Nie, do Lyonu.

...

– Mówi, że nie mógł złapać żadnego pociągu.

...

– Powiedziałem mu już dwa razy, żeby poszedł do diabła, ale się upiera.

...

– *À vos ordres, mon capitaine*.

Sierżant odłożył słuchawkę.

– Kapitan mówi, że możemy wziąć pana na utrzymanie. Niech pan czeka z resztą.

Usiadłem z innymi i dowiedziałem się, że wszyscy są *isolés* – żołnierzami, którzy podczas odwrotu stracili kontakt z oddziałem i niesieni przez strumień uchodźców wylądowali w Périgueux. Wszyscy mieli zostać wzięci na utrzymanie – to znaczy otrzymać wikt i zakwaterowanie do czasu nadejścia nowych rozkazów. Sierżant wyjaśnił, że zgodnie z decyzją kapitana mam być też traktowany jak *isolé*.

Piątek, 21 czerwca

Kiedy rano obierałem kartofle na dziedzińcu, porucznik zawołał mnie do siebie. Był to stary oficer z kolonii.

– Czy to ty jesteś tym Szwajcarem, który zaciągnął się w dniu zawieszenia broni?

– *Oui, mon lieutenant.*

– Jaki jest twój zawód?

– Taksówkarz.

Szybkim spojrzeniem obrzucił moje ręce.

– Posłuchaj, dla mnie możesz tu tkwić do śmierci, ale jak nie chcesz spotkać się ze szkopami, to lepiej bierz nogi za pas. To ściśle prywatna rada.

Musiałem wyglądać na mocno zaskoczonego, stojąc tak z nożem, którym obierałem kartofle, bo porucznik mówił dalej:

– Idą wzdłuż morza. Według meldunków są już w La-Roche-sur-Yon.

Zapytałem, dokąd radzi mi uciekać. Wzruszył ramionami.

– Na twoim miejscu próbowałbym się dostać do Bordeaux i zamustrować się na jakiś statek. Podobno wciąż wypływają stamtąd statki, do Afryki i w innych kierunkach...

– A może mógłby mi pan dać *ordre de marche* do Bordeaux, *mon lieutenant*?

– Nie mogę. A co się tyczy kapitana, to... a więc, powodzenia i radź sobie jakoś.

Pobiegłem do pokoju, spakowałem cywilne ubranie, a czerwony fez zastąpiłem mniej rzucającym się w oczy baskijskim beretem. Niebieski beret to półoficjalne nakrycie głowy francuskich żołnierzy. Kiedy przechodziłem koło biura porucznika, zawołał mnie.

– Weź to.

Była to stara książeczka wojskowa niejakiego Jeana Roziera, trzydziestoletniego *soldat de deuxième classe*, urodzonego w Périgueux w departamencie Dordogne.

– Jeśli przypadkiem wpadniesz w ręce szkopów, jako Francuzowi nic ci nie zrobią. Szwajcarskiego ochotnika z tą podejrzaną datą zaciągnięcia się mogą potraktować inaczej. Daj mi słowo, że użyjesz tego tylko w ostateczności i podrzesz, jak tylko będziesz bezpieczny.

Dałem mu słowo. Wzruszył mnie prawie do łez. Przecież rozmawialiśmy ze sobą pierwszy raz w życiu.

– A teraz znikaj. Może się kiedyś spotkamy, choćby w Londynie.

Przeszedłem przez płot i pobiegłem do G. Oficjalnie byłem teraz dezercerem, bo opuściłem koszary bez pozwolenia, ale nie dbałem o to. Postanowiliśmy zostawić walizki i wziąć tylko torby z najpotrzebniejszymi rzeczami G. i moim cywilnym garniturem. Reszta balastu poszła za burtę; znów zostawiliśmy część naszej przeszłości – odpadki rozrzucone po drodze naszej ucieczki. Zostaw umarłym grzebanie ich umarłych^[28].

Znów byliśmy włóczęgami i znów ogarnęła nas panika. Wyszliśmy z miasta drogą do Bordeaux, aby złapać jakąś okazję.

Około piątej przyjechaliśmy do Bergerac. Z mapy wynikało, że jedyna droga do Bordeaux prowadzi przez most w Libourne, na pewno strzeżony przez żandarmów. Bez specjalnego *ordre de mission* nie mieliśmy szans na to, żeby nas przepuszczono. Poszliśmy więc do sztabu wojskowego w Bergerac, aby otrzymać taką przepustkę. Pokazałem dokumenty i wyjaśniłem swoją sytuację.

– *Mais, mon petit*, to wszystko jest niezgodne z regulaminem. Dlaczego nie jest pan w drodze do Lyonu?

– Lyon wczoraj zajęli Niemcy.

– To dlaczego nie zostanie pan tutaj?

– Boję się, że Niemcy mnie rozstrzelają jako cudzoziemskiego ochotnika.

– Ale to wbrew regulaminowi. Nie może pan jechać do Bergerac, mając przydział do Lyonu. W tych krytycznych godzinach każdy żołnierz musi spełnić swój obowiązek i ślepo wykonywać rozkazy

przełożonych.

Pozostali oficerowie przysłuchiwali się naszej rozmowie, niektórzy dyskretnie się uśmiechali.

– *Mon colonel*, to właśnie staram się robić. Moim obowiązkiem jest dołączyć do oddziału. Ponieważ Lyon jest w rękach nieprzyjaciela, próbuję przez Bordeaux albo Marsylię.

– Kto panu tak kazał?

– Oficer dyżurny w Périgueux.

– Co powiedział?

– Powiedział: „Niemcy nadchodzą, radź sobie sam”.

Pułkownik spurpurowiał.

– Nie mogę tego tolerować, nie mogę pozwolić na to, aby oficer wydawał żołnierzowi rozkaz: „radź sobie sam”. Zostanie pan tutaj. Biorę pana na utrzymanie.

Wtrącił się młody porucznik:

– *Mon colonel*, chciałbym uprzejmie zwrócić uwagę, że zaraz po podpisaniu rozejmu nieprzyjaciel przejmie kontrolę nad wszystkimi portami i ten żołnierz jako legionista straci szansę na dołączenie do swojego oddziału.

– Rozejm nie został jeszcze podpisany. Skąd pan wie, że w ogóle zostanie podpisany? Ordynans, proszę wciągnąć tego żołnierza na listę. Odmaszerować.

Te słowa piszę więc na sienniku w koszarach w Bergerac. Tymczasem rozejm został pewnie podpisany i pułapka zatrzasnęła się. Mam to gdzieś. Chcę tylko spać. Gdyby tylko ten kołowrót w mojej głowie przestał się kręcić. G. załatwiła sobie pokój u chłopca. Chciałbym, żeby wróciła do Anglii i zostawiła mnie samego. Chciałbym uciec od ciągłej troski o przetrwanie, chciałbym wrócić do dzieciństwa z jego bezpieczeństwem – ciemnych zasłon w oknach, śniegu na dworze i niani śpiewającej kołysankę.

Wtorek, 25 czerwca, Bajonna

Jestem w Bajonnie. G. nie ma, może nie żyje. Rozejm podpisany. Wszyscy uchodźcy niemieccy mają zostać wydani. Załamanie nerwowe. Niemcy są spodziewani lada godzina.

Od piątku 21 czerwca w Bergerac do wtorku 25 czerwca

w Bajonnie w moim dzienniku jest luka. W ciągu tych pięciu dni rozegrał się ostatni akt tragedii Francji, a ja uznałem, że nie mam już po co żyć. W tym czasie wielu moich przyjaciół i kolegów po piórze wpadło w otchłań rozpacz i skończyło ze sobą. Wówczas o tym nie wiedziałem, lecz czułem, że może do tego dojść.

W tym okresie też nie widziałem sensu w dalszym życiu, ale miałem G., a ciekawość okazała się silniejsza od rozpacz. Poza tym brakowało mi odwagi, łudziłem się resztką nadziei, a na samym dnie siedziała włochata małpa, dla której wszystkie te określenia znaczyły jedno i to samo. Ale największe znaczenie miało spotkanie z francuskim podoficerem, którego poznaliśmy w Bergerac. Powiedział nam, że dowódcy angielskich okrętów w Bordeaux przyjmują na pokład każdego, kto chce się zaciągnąć do brytyjskiej armii, i nie pytają o wizę ani o inne dokumenty. Niezbyt mu wierzyliśmy, bo brzmiało to zbyt pięknie, ale wystarczyło, żeby wyrwać nas ze stanu rezygnacji. Dowiedzieliśmy się, że choć do Bordeaux, w którym schronił się rząd, nie można się dostać prywatnym samochodem, nadal działa linia autobusowa Bergerac–Bordeaux; była to jedna z nielogiczności typowych dla tamtych dni chaosu. Tak więc w niedzielę 23 czerwca zdezerterowałem po raz drugi. O piątej rano opuściłem bez zezwolenia koszary w Bergerac i razem z G. wsiadłem do autobusu, który o szóstej odjechał do Bordeaux.

Około południa przyjechaliśmy do Bordeaux i dowiedzieliśmy się, że ostatni okręt odpłynął przed dwoma dniami. Rozejm został podpisany poprzedniego dnia, ale jego warunki wciąż utrzymywano w ścisłej tajemnicy, choć minął prawie tydzień, odkąd zostały przekazane rządowi francuskiemu. Jedyne komentarz stacji radiowej w Bordeaux brzmiał: „Nie da się ukryć, że warunki są ciężkie”.

Nagle zacząłem się bać o G. Radio przybrało agresywny ton w stosunku do Wielkiej Brytanii: „Postawa pana Churchilla jest niewybaczalna...”. „Żaden Francuz nie może spokojnie słuchać pouczeń premiera obcego państwa”. Ten ostatni cytat pochodził z przemówienia Pétaina (stary bardzo lubił występy przed mikrofonem) i brzmiał dość groteskowo nazajutrz po kapitulacji, ale nie było nam wówczas do śmiechu. Nagła, bezwstydną wolta Francji wobec jej niedawnego

sprzymierzeńca zwiększyła jeszcze grozę sytuacji. Było gorzej od naszych najgorszych przewidywań. Wyglądało na to, że Francja jeszcze przed poznaniem warunków rozejmu została zglajchsztaltowana.

Do tej pory byliśmy smutni, przygnębieni i przestraszeni, teraz po raz pierwszy wpadliśmy w prawdziwy popłoch – a przynajmniej ja. Robiłem sobie wyrzuty, że nie nalegałem, aby G. wyjechała do domu, kiedy była jeszcze na to szansa, i czułem się odpowiedzialny za wszystko, co może ją spotkać.

Godzinami przebiegaliśmy ulice i port w poszukiwaniu statku, taksówki, jakiegokolwiek środka transportu – na próżno. Nagle przed amerykańskim konsulatem natknęliśmy się na Edgara Mowrera z „Chicago Daily News”. Był tak jak my szary na twarzy i miał tak samo mało ochoty na spotkanie z gestapo. Powiedział nam, że Niemcy mogą zająć miasto jeszcze tego samego dnia. Kupił właśnie samochód od brytyjskiego konsulatu w Bordeaux i wyjeżdża o dziewiątej wieczorem do Hiszpanii przez Bajonę, Biarritz i Saint-Jean-de-Luz. Zgodził się nas podwieźć do Biarritz.

Była szósta i czas do dziewiątej przesiedzieliśmy w kawiarni. Kłóciliśmy się nerwowo przy akompaniamencie jazzu płynącego z radiowego głośnika. Próbowałem przekonać G., że powinna jechać z Mowrerem, który się nią zaopiekuje, i zostawić mnie w Bordeaux. Nie mogłem jechać do Hiszpanii, ale jej mogło się udać. A gdyby z Bajonny odpływał jeszcze jakiś statek do Anglii, mógł ją wziąć na pokład, mnie natomiast nie. Obawiałem się, że moja obecność pozbawi ją ostatniej szansy na ucieczkę, więc wołałem, żebyśmy się od razu rozstali. Nasza kłótnia była długa i burzliwa. G. płakała, a ja poszedłem do toalety i pierwszy raz w życiu doznałem załamania nerwowego – zacząłem łkać niepowstrzymanie. Tymczasem głośnik czkał i wymiotował, jakby sam eter dostał niestrawności. W końcu G. postawiła na swoim i oboje pojechaliśmy z Mowrerem. Powiedział, że według jego informacji niemieckie kolumny pancerne przejechały przez most na Garonnie na południe od Bordeaux i musimy się liczyć z tym, że się na nie natkniemy.

Ale jechaliśmy praktycznie pustą szosą bez większych przeszkód; tylko czasem zatrzymywał nas patrol żandarmerii. Ilekroć żądali

dokumentów, doznawałem duchowej rozterki na myśl, że mnie aresztują jako *isolé*: bałem się, a zarazem liczyłem na to ze względu na G. W końcu rzeczywiście zostałem aresztowany. Około północy przyjechaliśmy do Biarritz i chcieliśmy przenocować w mieście. Jechaliśmy powoli ciemnymi ulicami, szukając domu jakichś znajomych Mowrera. Amerykanin zatrzymał samochód, wysiadł i zaczął świecić latarką po tabliczkach z numerami domów. Nagle pojawił się patrol, około pięciu żołnierzy z karabinami. Do dokumentów Mowrera i G. nie mieli zastrzeżeń, ale moje im się nie spodobały i kazali mi iść ze sobą. Może gdybym się postarał, zdołałbym ich przekonać, tak jak wcześniej inne patrole. Ale nawet nie próbowałem. Chciałem uwolnić G. od siebie, a to była po temu dobra okazja, tym bardziej że Mowrer był przy niej i mógł dopilnować, aby bezpiecznie opuściła Francję. Wysiadłem więc i oświadczyłem patrolującemu, że jestem gotów z nimi pójść. Jak przez sen słyszałem głos Mowrera, który wymyślał mi od głupców i kazał wsiadać z powrotem do samochodu. Niewyraźnie widziałem bladą twarz G., która wychyliła się przez okno, aby pocałować mnie na pożegnanie. Potem ruszyłem ulicą pod zbrojną eskortą. Nie oglądałem się za siebie, ale wiedziałem, że G. patrzy za nami, tak jak patrzyła podczas mojego drugiego aresztowania. Oboje byliśmy przekonani, że tym razem rozstajemy się na zawsze.

Następne cztery, pięć dni zatarły mi się w pamięci. Ustawiczny tępy ból uśmierzałem alkoholem, który potęgował jeszcze poczucie nierzeczywistości i zamęt w głowie. Właściwie nie upijałem się, ale przez mniej więcej tydzień żyłem jak we mgle, która stępiała kontury wszystkich wewnętrznych i zewnętrznych zdarzeń. Tylko czasem opar rozwiewał się i twarda rzeczywistość rozbłyskiwała jaskrawym światłem, tak jak podczas wkroczenia wojsk niemieckich do Bajonny.

Kuśtykałem zakurzonymi, zalanymi słońcem ulicami do mostu przez Nive. I wtedy ich zobaczyłem. Byli o jakieś sto metrów dalej: zielone czołgi, sunące powoli, uroczyście niczym kondukt pogrzebowy. Z otwartych włazów wylaniały się ubrane na czarno postacie o drewnianych twarzach. Za nimi jechały warkoczące czarne motocykle z żołnierzami w czarnych skórzanych płaszczach i okularach. W upalnym powietrzu leniwie powiewały ognistoczerwone flagi

z białym kołem i czarnym pajakiem w środku. Ulice były wyludnione, okiennice zamknięte, słońce prażyło. Zrobiło mi się słabo, oparłem się o jakieś drzwi. Patrzyłem na nich i miałem wrażenie, że przejeżdżając, też patrzą na mnie.

Ścigali mnie po całym kontynencie i ilekroć przystawałem, sądząc, że jestem bezpieczny, zjawiali się w swoim powolnym, turkoczącym, grmiącym orszaku pogrzebowym z czarnym pajakiem na swojej fladze. Deptali mi po piętach od Berlina przez Wiedeń i Pragę do Paryża, i dalej, wzdłuż wybrzeża atlantyckiego, aż w tym najdalszym zakątku Francji w końcu mnie dopadli. Patrzyłem na tę zalaną słońcem czarną procesję. W otworze jednej z ruchomych wież stała nieruchomo wysoka postać; widziałem jej twarz. Była to twarz młodego pomorskiego chłopca – z niepewnym uśmiechem, wahającym się między życzliwością a brutalnością, i wylupiastymi oczami półgłówka, patrzącymi łapczywie na katedry i winnice Francji jak pies na kość. Nie mogłem go nienawidzić, choć bardzo się starałem. Żałowałem tylko, że nie mam przy sobie karabinu, bo strzeliłbym do niego – nie żeby zabić, ale by zginać na miejscu. Dotychczas nie rozumiałem rosyjskich i chińskich terrorystów, serbskich i belgijskich *franc-tireurs* z ostatniej wojny i ich pozornie bezsensownych, samobójczych akcji. Teraz, stojąc na ulicy w Bajonnie nękany mdłościami, obszarpany, brudny i patrząc na tę zwycięską defiladę, pojąłem, że można zabić po to, aby zakryć swą nagość.

Pokużykałem z powrotem słoneczną, stromą ulicą; moja kompania stała już na dziedzińcu gotowa do wymarszu. Wziąłem tornister i zająłem miejsce w szeregu. Ciężarówek nie było, musieliśmy iść pieszo. Nie przeszliśmy przez środek miasta, obeszlśmy je łukiem, wymknęliśmy się jak złodzieje. Minęliśmy most kolejowy na Adour i pomaszerowaliśmy zakurzoną szosą na wschód, w stronę nieokupowanej Francji.

Kompania składała się z dwustu *isolés*. Żołnierze byli zmęczeni, osowiali, uginali się pod ciężkimi tornistrami i szli bardzo niechętnie. Nazajutrz sytuacja jeszcze się pogorszyła. Wlekliśmy się drogą jak zgraja włóczęgów i po południu brakowało dwudziestu żołnierzy. Mieszkali w okupowanej części kraju i bali się, że po przejściu

do wolnej strefy nie będą mogli wrócić do domu.

Prawie przez cały czas szedłem z ojcem Darraulem, młodym dominikaninem. Pot spływał mu z czoła i po policzkach; tonsurę miał spaloną słońcem na ciemnoczerwono. Opowiedziałem mu o niemieckiej kolumnie pancерnej, o żołnierzu z czołgu i o tym, że pierwszy raz w życiu czułem przemożne pragnienie mordy – mordy bez nienawiści.

– *C'est logique* – odparł – jedyną alternatywą dla zabijania jest nawracanie, nauczanie.

– Niech ojciec spróbuje nauczać wśród tych zmotoryzowanych neandertalczyków.

– A czy pan i pańscy przyjaciele robiliście w ostatnich latach coś innego? Tyle że wasze kazania i nauki były nieco za suche. Brzmiały jak szelest zeschniętych liści.

Pociągnął z manierki łyk czerwonego wina z wodą.

– Wy też niewiele z nimi wskóraliście – zauważyłem.

– *Mon cher* – uśmiechnął się pobłaźliwie – my możemy poczekać.

I to długo. A wy nie, taka jest między nami różnica.

– A czego konkretnie byście ich nauczali?

– Zawsze tego samego, czego nauczaliśmy przez ostatnie dwa tysiące lat: miłości.

– Na tym polega wasz błąd. Miłość nie jest alternatywą dla nienawiści. Jedno i drugie może istnieć obok siebie w jednym człowieku.

– Ale nie taka miłość, o jaką n a m chodzi. A jaka jest pańska alternatywa?

Czekałem na to pytanie. Uważałem, że dokonałem ważnego odkrycia, i chciałem je poddać sprawdzianowi.

– Lekarstwem na nienawiść jest nauczyć ich śmiać się i uśmiechać się.

Zakonnik zaczął chichotać.

– *Bon Dieu*. Szkopa można nauczyć się śmiać, ale uśmiechać się – to za wiele, nawet dla dominikanina.

Wieczorem tego drugiego dnia zabiwakowaliśmy we wsi Hasparren, leżącej dwadzieścia pięć kilometrów od Bajonny. Było to wciąż w strefie okupowanej, która kończyła się jakieś trzydzieści kilometrów dalej na wschód. Nogi miałem dotkliwie obtarte, poszedłem

więc do wsi do apteki po bandaż. Akurat zatrzymał się przed nią samochód ze starszym małżeństwem i tłustym psem, wyladowany górami bagażu. Starsza pani wysiadła, żeby kupić w aptece aspirynę. Zapytałem, dokąd jadą. Odpowiedziała, że do Lourdes, bo chce się pomodlić za Francję i jednocześnie wyleczyć swój reumatyzm. Poprosiłem, żeby mnie podwieźli, przynajmniej te trzydzieści kilometrów do linii demarkacyjnej. Kobieta zaczęła lamentować, że samochód jest już przeciążony, osie mogą popękać, Coco, jej piesek, boi się obcych itd. W końcu jednak zgodzili się podwieźć mnie do Saint-Palais na granicy wolnej strefy, pod warunkiem że zwrócę im jedną trzecią kosztów benzyny.

Nazajutrz rano pokuśtykałem dalej do Mauléon, niecałe dwadzieścia kilometrów na południowy wschód. Chciałem poczekać tam na swoją kompanię. Ale w Bureau de la Place w Mauléon powiedziano mi, że moja kompania zmieniła marszrutę i skierowała się do Navarrenx, piętnaście kilometrów dalej na północ. Powlokłem się więc do Navarrenx.

Tam jednak nic nie wiadomo o 22 kompanii z Bajonny. Wyglądało na to, że zniknęła gdzieś po drodze z Hasparren do Saint-Palais.

Przez następne dwa lub trzy dni błąkałem się po drogach departamentu Basses-Pyrénées w poszukiwaniu mojej zaginionej kompanii, raz samotnie, to znów z innymi maruderami. Powoli zmienialiśmy się we włóczęgów. Wędrowaliśmy w okrutnym skwarze, od czasu do czasu łapiąc jakąś okazję.

Po trzech, czterech dniach moje stopy były w tak złym stanie, że musiałem zrezygnować z szukania kompanii i zacząłem się rozglądać za jakąś stałą kwaterą. Podczas kilkudniowej włóczęgi natknąłem się na samotną wioskę na szczycie wzgórza pod Navarrenx. Tworzyło ją dwadzieścia starych i zrujnowanych domów otoczonych przez pola uprawne, sady i łąki. Był tam jeszcze mały kościółek, cmentarzyk, drewniany pomnik ku czci poległych i to wszystko – ani sklepika, ani bistra. We wsi mieszkało około stu ludzi, a w domach i stodołach kwatrowało tyle samo *isolés* dowodzonych przez starego kapitana i młodego porucznika. Spodobała mi się ta wieś; miała ładną, melodyjną

nazwę: Susmiou.

Stary kapitan zgodził się mnie przyjąć. Obiecał też dowiedzieć się u zwierzchników, co ma ze mną zrobić, bo nie należałem do jego grupy, która podlegała demobilizacji. Uprzedził mnie, że to może potrwać, ale ja nie miałem się do czego spieszyć. W wolnej strefie jako legionista Dubert byłem zupełnie bezpieczny. Od wielu lat nie czułem się tak bezpieczny i tak mało dbałem o swoje bezpieczeństwo. Nie miałem żadnych planów, nadziei ani aspiracji. Zostało we mnie tylko trochę ciekawości. Z żołnierzami starego kapitana spędziłem dwa miesiące.

Dziesiątego sierpnia porucznik powiadomił mnie, że wszyscy zagraniczni ochotnicy zostają przeniesieni do obozu Septfont w departamencie Tarn-et-Garonne w celu demobilizacji. Mam wyjechać jutro razem z czterema Hiszpanami. Powiedziałem porucznikowi, że mam pięcioletni kontrakt i nie podlegam demobilizacji. Odparł, że wszystko mu jedno, cudzoziemiec to cudzoziemiec, a ja jestem na liście. Mnie też było wszystko jedno, jechałem przecież na koszt państwa.

Niektórzy ze zdemobilizowanych żołnierzy zostawili swoje mundury, zrzucając je na kupę w szkolnej sali. Nocą włamałem się do szkoły i przysposobiłem sobie porządną, prawie nową bluzę z czerwonymi paskami artylerzysty, nowy pas, onuce i tornister. Wyglądałem bardzo sztywnie.

A więc znowu w drogę.

Po długiej i męczącej podróży 15 sierpnia dotarłem do Marsylii, gdzie miałem się stawić w punkcie zbiornym Legii Cudzoziemskiej.

Pierwszy dzień w Marsylii był pełen niespodzianek. Sto metrów od dworca kolejowego usłyszałem nagle czyjś okrzyk:

– *Halt, Genosse Koestler!*

Kiedy ochłonąłem z zaskoczenia, rozpoznałem wysoką postać dr. Breitscheida, ministra spraw wewnętrznych Prus z czasów republiki weimarskiej. Stał przed hotelem Normandie i rozmawiał z jakimś znajomym. Jego siwa głowa górowała nad tłumem.

– Co ma znaczyć to osobliwe przebranie? – zapytał, przypatrując mi się, i z jego spojrzenia wywnioskowałem, że bardzo się zmieniłem. Ale kiedy ostatnim razem widzieliśmy się w Paryżu, on również nie był

siwy, a jego twarz nie przypominała woskowej maski o ostrych rysach. Poszliśmy do jego pokoju na trzecim piętrze hotelu Normandie. *Frau Breitscheid* zrobiła kawę na maszynie spirytusowej. Opowiedziałem im o swoich przygodach, a potem zapukaliśmy przez ścianę do sąsiedniego pokoju i zjawił się dr Hilferding w szlafroku. W dawno minionych czasach weimarskich Hilferding był ministrem finansów. Obaj z Breitscheidem należeli do przywódców Socjaldemokratycznej Partii Niemiec i blisko się przyjaźnili.

Usiedliśmy na łóżku i moi znajomi podzielili się ze mną najnowszymi wiadomościami.

Lion Feuchtwanger zdołał po licznych perypetiach uciec do Stanów Zjednoczonych. Ernst Weiss popełnił samobójstwo w Paryżu, Walter Hasen-clever odebrał sobie życie w obozie koncentracyjnym Les Milles, Kayser, z redakcji „*Pariser Tageszeitung*”, połknął strychninę w innym obozie.

Siedzieliśmy na łóżku w tym małym pokoju hotelowym, piliśmy kawę i jedliśmy winogrona. Breitscheid i Hilferding mieli wizy do Stanów Zjednoczonych, ale władze francuskie nie chciały wystawić im zezwolenia na opuszczenie kraju. Niemcy nie zażądali jeszcze ich ekstradycji, ale Francuzi, zgodnie z umową kapitulacyjną, byli gotowi wydać ich w każdej chwili. Zapytałem Breitscheida, dlaczego nie wyjadą bez zezwolenia. Na pewno mogliby załatwić sobie fałszywe papiery albo uciec do Hiszpanii przez niestrzeżoną przełęcz w Pirenejach. Ale Breitscheid nie chciał o tym słyszeć. Wciąż liczył, że Vichy wyda im w końcu zgodę na wyjazd, jacyś urzędnicy nawet mu już to obiecali. On i Hilferding wychowali się w tradycji Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, partii legalności i praworządności, będącej wspaniałym wytworem niemieckiej demokracji. Socjaldemokracja wierzyła w poczucie honoru marszałka Hindenburga, tymczasem ten zaprzedał ją Hitlerowi. Breitscheid i Hilferding wierzyli w przyzwoitość innego marszałka, a ten wydał ich gestapo. Losy tych dwóch polityków odzwierciedlały dzieje ich narodu – tragedię złudzeń i nadmiernego zaufania.

Kiedy po godzinie opuszczałem hotel Normandie, Breitscheid powiedział mi:

– Jak na razie nie było żądań ekstradycji i moim zdaniem ich nie będzie. To nie do pomyślenia. Paragraf 19 traktatu jest zwykłą formalnością mającą upokorzyć Francuzów. Nigdy nie zostanie zastosowany.

Było to 15 sierpnia 1940 roku. Pół roku później, 11 lutego 1941 roku, władze francuskie wydały Niemcom dr. Breitscheida i dr. Hilferdinga oraz dwudziestu innych uchodźców politycznych.

Druga tego dnia niespodzianka czekała mnie w Fort Saint-Jean, centralnym punkcie zbornym Legii Cudzoziemskiej we Francji. Przybyłem tam w porze obiadu i po oddaniu dokumentów w kancelarii wszedłem do wielkiej jadalni, której ściany zdobiły naturalistyczne obrazy bohaterskich walk Legii Cudzoziemskiej w Algierii, Maroku, Indochinach i Senegalu. Usiadłem przy stole z piętnastoma innymi żołnierzami w cywilnych ubraniach.

– Ta cholerna zupa znów jest niesłona – powiedział jeden z nich, po angielsku.

– Słona czy niesłona, odkąd jestem w tym cholernym kraju, nie jadłem porządnej zupy – rzekł drugi, również po angielsku.

Szesnastu siedzących przy drugim stole też rozmawiało o jedzeniu i też po angielsku. Ten sam temat był przedmiotem rozmów przy dwóch pozostałych stołach.

Wszystkich sześćdziesięciu było żołnierzami Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego wziętymi przez Niemców do niewoli pod Saint-Valéry. Wszystkim sześćdziesięciu udało się zbiec i Francuzi internowali ich w Fort Saint-Jean.

Całą wielką sypialnię mieli dla siebie. Przez większość mego dziesięciodniowego pobytu w Fort Saint-Jean nie rozstawałem się z nimi. Z ich opowieści o ucieczce z niewoli niemieckiej można by ułożyć drugi *Dekameron*; najśłynniejsza była historia o tym, jak „porucznik H. przepłynął Sommę”. Porucznik H., londyński adwokat, wraz z porucznikiem R., studentem Uniwersytetu Londyńskiego, nocą uciekli z niewoli, zdobyli gdzieś cywilne ubrania i zamierzali znalezione łodzią przepłynąć Sommę. Nagle nad rzeką pojawiło się dwóch niemieckich oficerów. Łamaną francuszczyzną wyjaśnili, że chcą się dostać na drugi brzeg. H., który mówił po francusku nie lepiej od nich,

powiedział:

– *S'eel vous play* – i zaprosił ich gestem do łodzi. Niemcy wsiedli i przepłynęli przez rzekę. Po przybiciu do drugiego brzegu jeden z oficerów podziękował po niemiecku, na co H. rzekł:

– *S'eel vous play, deux francs* – i podniósł dwa palce, aby nie było wątpliwości. Niemiec zapłacił, powiedział „*Bon Schour*”, na co H. i R. odrzekli: „*Merci*” i poszli w swoją stronę.

Pobyty w Fort Saint-Jean zdecydował o moim losie. Dwa tygodnie później H., R. i mnie udało się wywieść w pole komendanta twierdzy, zarząd portu, włoską komisję rozejmową i ruszyć w podróż do Anglii. Po wielu przygodach w połowie jesieni szczęśliwie dotarliśmy do celu.

Od dnia przybycia do Marsylii moje osobiste przeżycia można potraktować jako nieistotne. Opisałem szczegółowo wcześniejsze perypetie, gdyż były charakterystyczne dla tysięcy i milionów wygnanych, prześladowanych i ściganych mieszkańców Europy, których z powodu rasy, przekonań lub narodowości uznano za „śmieć tego świata”.

Tak kończy się opowieść o losach pewnego mieszkańca Europy Środkowej pochodzenia mieszczańskiego, który przyszedł na świat w pierwszych latach XX stulecia.

Przypisy

[1] Ich prawdziwe nazwisko brzmiało „Zeiteles” [przyp. red.]. [2] Serbia w rzeczywistości została pokonana w grudniu 1915 roku [przyp. red.]. [3] Termin użyty przez Freuda na określenie przeżycia mistycznego lub religijnego. [4] Wiersz 1112 z części I *Fausta* w przekładzie Władysława Kościelskiego [przyp. tłum.] [5] Żabotyński przełożył między innymi część *Boskiej komedii* na nowohebrajski. [6] „-im” to w hebrajskim przyrostek oznaczający liczbę mnogą. [7] H. Lüthy, *Du pauvre Bertolt Brecht*, „Preuves”, marzec 1953. [8] Cyt. za Nansen, *Betrogenes Volk. Eine Studienreise durch Georgien und Armenien als Oberkommissar des Völkerbundes*, Berlin, 1928. [9] Słowa z Księgi Daniela, 5:27 (cyt. za: *Biblia Tysiąclecia*) [przyp. tłum.] [10] Béla Kun został aresztowany podczas sowieckiej wielkiej czystki w maju 1937 roku i dwa lata później rozstrzelany bez procesu. [11] Franz Borkenau, *European Communism*, Londyn, 1953 i Ruth Fischer, *Stalin and German Communism*, Harvard, Mass., 1948. [12] Torgler przeżył wojnę i był później działaczem Socjaldemokratycznej Partii Niemiec w małym miasteczku niemieckim. Jego historia dowodzi, że burze dziejowe łatwiej przetrwać ludziom bezbarwnym i usuwającym się w cień. Torglerowi udało się pozostać na drugim planie nawet podczas własnego procesu. [13] Ponieważ nie zachowałem oryginałów recenzji, mogę przytoczyć tylko te, które znalazły się na obwolucie książki: „Jasna, nieszkująca, bardzo rozsądnie napisana” („New Statesman and Nation”), „Znakomita dla lekarzy i psychologów” („Time and Tide”), „Gruntownie traktuje przedmiot i zawiera aktualne informacje” („The Listener”), „Dobrze udokumentowana i ścisła” (Aldous Huxley), „Zawiera całą istotną wiedzę, której każdy laik (albo kobieta) potrzebuje na ten temat” („The Schoolmaster”), „To pomnikowe dzieło jest godne polecenia” („The Medical Officer”). [14] Aresztowany podczas rewolucji węgierskiej 1956 roku, spędził ponad trzy lata w więzieniu. Od 1964 roku na emigracji w Szwajcarii [przyp. tłum.]. [15] Cytat z ballady Goethego *Die Braut von Korinth* (*Narzęczona z Koryntu*): „Opfer fallen hier/Weder Lamm noch Stier/

Aber Menschenopfer unerhört“. [16] Zbrojne oddziały tradycyjalistycznego, katolickiego ruchu karlistów, którego przywódcą był Gil Robles; ich charakterystycznym nakryciem głowy były czerwone berety [przyp. red.]. [17] *Caballero* kłamał, mówiąc, że „będzie mógł przedsięwziąć pewne kroki w celu mojego uwolnienia”. Porozumienie w sprawie wymiany więźniów zostało podpisane dwadzieścia cztery godziny wcześniej dzięki mediacji władz brytyjskich. [18] Tomasz Mann, *Buddenbrookowie*, przeł. Ewa Librowiczowa, Książka i Wiedza, Warszawa, 1988, t. 2, ss. 193, 195 [przyp. tłum.] [19] Pretensjonalne: „Jeśli to panu/pani odpowiada” [przyp. tłum.]. [20] „Kiedy panu odpowiada, panie doktorze”. [21] Wydanie polskie ze wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego na podstawie niemieckiego oryginału pt. *Hexensabbat – Wielka czystka*, Paryż, 1967 [przyp. tłum.] [22] *Biblia Tysiąclecia*, Księga Rodzaju, 29:18–30 [przyp. tłum.] [23] Walter Kriwicki, *W tajnej służbie Stalina*, przeł. Zofia Kunert, Wydawnictwo Magnum, Warszawa, 2002, ss. 146, 151–152, 154–155 [24] *BBC Monitoring Report of last statement by Otto Katz at the Slánský–Clementis trial*, 23 listopada 1952 roku. [25] Dotychczas sygnatariusze traktatów o nieagresji zobowiązywali się do zachowania neutralności w razie a g r e s j i trzeciej strony na jednego z sygnatariuszy. Natomiast partnerzy paktu sowiecko-niemieckiego po raz pierwszy zobowiązywali się do neutralności w razie u c z e s t n i c t w a drugiej strony w wojnie. [26] Słowa z Pierwszego Listu do Koryntian, 4:13 (cyt. według *Biblia Tysiąclecia*) [przyp. tłum.] [27] Polski tytuł *Kobiety jego życia* [przyp. tłum.] [28] Słowa z Ewangelii wg św. Łukasza, 9:60 (cyt. za: *Biblia Tysiąclecia*) [przyp. tłum.]